

JEDWABNA OPOWIEŚĆ



# PENNY JORDAN

## *Jedwab*

Niebezpieczne romanse. Trupy w szafie.

Pajęczyna kłamstw i oszustw.

Poznaj rodzinę Pickfordów!

# Jordan Penny

## Jedwab

*Hrabstwo Cheshire, lata dwudzieste i trzydzieste XX wieku. Czasy wielkiego splendoru, życia na światowym poziomie i upadku moralności. Poznaj skandale tego burzliwego okresu w dziejach Europy i świata – przenieś się do pełnej przepychu dekadencji arystokratycznego Londynu, palarni opium na Dalekim Wschodzie, najmodniejszych butików Paryża oraz opanowywanego przez nazistów Berlina.*

*Amber Vrontsky to spadkobierczyni dynastii Pickfordów, na czele której stoi potężna Blanche, mająca obsesję na punkcie pozycji społecznej. Pragnie ona dla swojej wnuczki wyłącznie jednego – męża z kręgów arystokracji. Tego, czego jej samej – mimo ogromnego bogactwa – nigdy nie udało się osiągnąć.*

*Ale niezależna Amber zamierza iść własną drogą, realizując swoją pasję artystyczną związaną z uwielbianym przez nią jedwabiem. Nie może jednak sprzeciwić się woli Blanche i wyjeżdża do Londynu, gdzie zostaje wprowadzona w środowisko wyższych sfer. Poznaje blichtr salonów, ale także świat nielegalnych związków, papierowych małżeństw, narkotyków, hazardu i zepsucia.*

## Prolog

21 listopada 2002 roku

Wraz z końcem listopada zawsze nastaje przygnębiająca melancholia. To, co najlepsze w jesieni, odchodzi, a szum liści na drzewach staje się tylko wspomnieniem ogołoconych gałęzi. Ale czy drzewa mają wspomnienia? Amber zastanawiała się nad tym, wyglądając przez okno na park okalający posiadłość Denham Place. Czy drzewa, tak jak ona, pamiętały o radości, jaka towarzyszyła przyrodzie budzącej się do życia wiosną? Czy wciąż słyszały echo upalnego lata? Na samo wspomnienie minionych pór roku na wąskich ustach kobiety pojawił się uśmiech, który uwypuklał jej wystające kości policzkowe i nadawał blask nieco przygaszonym oczom. Wiosna i lato minęły już dawno temu, tak jak jesień ze swoimi żywymi kolorami przypominającymi Amber jej ukochany jedwab.

Teraz znajdowała się w niewoli zimy, nagiej i ponurej, ale mimo to pięknej.

W nocy temperatura spadała poniżej zera, zostawiając rano szron na trawie, na której widać było ślady jeleni sprowadzonych do Denham na wyraźne życzenie babki Amber. Ostatnio śniła o Blanche i innych, którzy będą na nią czekać. Czas płynął jej teraz powoli i z niecierpliwością czekała na chwilę, kiedy będą znów razem.

Ale jeszcze nie dzisiaj.

- Naprawdę kończysz dzisiaj dziewięćdziesiąt lat?

To poważne pytanie, które padło z ust młodszego z dwóch prawnuków, rozbawiło ją. Amber położyła dłoń na jego ciemnych włosach.

- Tak. Naprawdę.

- Harry! Wybacz, prababciu. Mam nadzieję, że cię nie obudził.

- Nie, kochanie. Nie przejmuj się tym.

Młoda kobieta, żona jednego z prawnuków Amber, wyglądała na zmęczoną i spiętą. Kobiety nie miały teraz lekkiego życia.

Amber przeżyła niemal cały wiek. W tym czasie zaszło tyle zmian C/y żona ,ej prawnuka, która narzekała na dodatkowe obowiązki związane z karierą polityczną swojego męża, zdawała sobie sprawę, że w latach młodość, Amber kobiety nie miały prawa głosu? Czy ją to w ogóle obchodzi-fo. t zy Amber przejmowałyby się tym na jej miejscu?

Dziewięćdziesiąt lat. Cała wieczność. Amber podejrzewała, że niektórzy spośród krewnych, mający odwiedzić ją dzisiaj, też tak uważają.

A jednak ten wiek zdawał się jej trwać nie dłużej niż westchnienie jeden oddech.

Zycie to tylko sprytna gra w chowanego. Amber wiedziała doskonale, że przeszłość i ludzie, z którymi dzieliła życie, są dla niej dostępni jak otwarte drzwi, przez które może swobodnie przejść. Wspomnienia nie nawiedzały jej już wyłącznie podczas snu. Były równie realne jak ona sama dawały jej radość z tego, co przez te wszystkie lata stworzyła. Słyszała gromki śmiech swojego ojca i czuła niedźwiedzi uścisk, którym teraz obdarowałby swojego praprawnuka.

Amber poprosiła o krzesło, żeby mogła usiąść w miejscu, z którego widać cały pokój, ale też to, co za oknem - przeszłość i teraźniejszość

Zawsze kochała Denham, a posiadłość ta odwzajemniała to uczucie. Znały się dobrze i wymieniały się swoimi najgłębszymi sekretami

Amber czuła chłodną dezaprobatę swojej babci, tak jakby obie znajdowały się teraz w pokoju. Sznur jej pereł zdołał obecnie ląbedzią szyję starszej prawnuczki, Nataszy - po części dlatego, że miała ona takie samo spo, rzen, e jak Blanche. Na szczęście miała całkiem inny charakter i Amber modliła się w duchu, żeby jej prawnuczka nie skomplikowała sobie życia tak jak Blanche.

Ile wspomnień. Niektóre sprawiały jej wielką radość, inne - potworny ból. Ale ceniła je wszystkie na swój sposób.

Jak na listopad dzień był pogodny, a słońce świeciło ostro. Do pokoju wniesiono tort i szampana.

Dom był starszy od Amber o jakieś dwieście lat. W pokoju zapadła wyczekująca cisza - w końcu był on świadkiem wielu uroczystości, za-

równy oficjalnych, jak i prywatnych. Na jej ustach zagościł nieśmiały uśmiech - przypomniała sobie pewne zdarzenie i prawie poczuła na twarzy ciepły śmiech mężczyzny, z którym łączyło ją to wspomnienie.

Wzrok Amber powędrował na ścianę i spoczął na nowym obrazie, który został tam powieszony specjalnie z okazji jej urodzin.

Zatytułowany *Córka handlarza jedwabiem*, był przez lata wypożyczany do wielu renomowanych galerii i teraz, po kilku dekadach, witano go w domu jak członka rodziny albo starego przyjaciela. Ale kobieta z portretu, którą była w istocie Amber, nie przypominała jej wcale. Córka handlarza jedwabiem była zbyt zaabsorbowana materiałem, którego tak bardzo pragnęła.

Jedwab. Kiedy Amber była młodą kobietą, myślała, że wie o nim wszystko. Ale w rzeczywistości poznała go tylko powierzchownie. Zignorowała zupełnie to, co stanowiło jego istotę - wątek i osnowę, które tworzyły także kanwę ludzkiego życia.

Cienie tych, których kochała, przysunęły się do niej jeszcze bliżej; jedynie Amber czuła ich obecność.

Zaszczyt wzniesienia uroczystego toastu przypadł prawnukowi, który obchodził urodziny w tym samym dniu, co ona. W tym roku siedemnaste.

Siedemnaste urodziny.

Pokój zadrżał od bolesnego wstrząsu, który zawładnął na moment jej sercem. Niektóre lata miały pozostać na zawsze zakopane głęboko w pamięci. Jak rok, w którym Amber skończyła siedemnaście lat. Osłabione ar-tretyzmem dłonie, które złożyła na swoich udach pod jednym z towarzyszących jej wszędzie, ręcznie robionych i bogato zdobionych jedwabnych szali, zadrżały. Wyjrzała przez okno. Jej wzrok był przytomny i skupiony na zaskakująco świeżych wspomnieniach.

# Część pierwsza

## Rozdział 1

Cheshire, koniec listopada 1929 roku

Za niespełną godzinę Amber miała zejść na dół do gabinetu swojej babci, żeby otrzymać od niej obiecany wyjątkowy prezent urodzinowy Siedemnaste urodziny! Była już prawie kobietą. Wreszcie u progu dorosłości.

Świadomość ta przepelniała Amber taką radością, że zamiast chodzić po sypialni, najchętniej by w niej tańczyła.

Wiedziała oczywiście, co to za „wyjątkowy prezent”. Jak mogłaby nie wiedzieć?

Szkoła sztuk pięknych - tam będzie mogła się kształcić i dzięki temu pójdzie w ślady swojego ojca. Odkąd sięgała pamięcią, właśnie tego najbardziej pragnęła. Teraz, nareszcie, jej sen miał się ziścić. I nie był to tylko jej sen.

Przy śniadaniu otworzyła kartki urodzinowe od babci i zarządcy jej majątku, od kuzyna, Grega, służących i dyrektora należącego do rodziny zakładu włókienniczego w Macclesfield, a także od Beth, najlepszej przyjaciółki ze szkolnej ławy. Ale tak jak w ciągu ostatnich czterech lat nie dostała żadnych życzeń od tych, których kochała najbardziej. Od swoich rodziców.

Nastrój Amber, tego dnia wyjątkowo zmienny i podszyty silnymi emocjami, zmienił się w mgnieniu oka z podniecenia w smutek - tak jak listopadowy wiatr zasnuł niebo za oknami jej sypialni, zmieniając jego kolor z niebieskiego w szary

Na biurku, które kiedyś należało do jej matki - i w którym Amber trzymała teraz swoje szkicowniki - stała jej fotografia z rodzicami, wykonana w dwunaste urodziny Amber, zaledwie trzy tygodnie przed ich śmiercią. Na zdjęciu matka Amber patrzy z uwielbieniem na swojego męża, a on odwzajemnia się jej równie serdecznym spojrzeniem. Amber stoi

przed nimi, objęta ramieniem przez matkę, podczas gdy ojciec trzyma ją za rękę.

Byli tacy szczęśliwi, wszyscy troje. Nie potrzebowali nikogo. Ich życie wypełniała wzajemna miłość i pasja do jedwabiu, który omotał ich niczym delikatna pajęczyna albo jakiś rodzaj magii. Jedwab wiązał tę rodzinę i sprawiał, że wszystko w jej życiu było wyjątkowe. Amber bardzo tęskniła za rodzicami. Wciąż pamiętała, jak byli szczęśliwi w dniu, w którym zginęli. Wybierali się na wiec polityczny, matka ucałowała ją wtedy w czoło, a ojciec objął i przytulił serdecznie, kręcąc nią wokół, aż chichotała z radości.

Oboje tryskali życiem i nawet dzisiaj, po pięciu latach, Amber z trudem mogła się pogodzić z faktem, że nie żyją. Wiadomość o śmierci rodziców przekazali jej babka i kuzyn Greg, który dostarczył jej później artykuł z jednej z gazet opisujący ze szczegółami, jak drewniany budynek, w którym rodzice Amber razem z innymi zgromadzili się, żeby agitować za prawami klasy robotniczej i koniecznością wprowadzenia podwyżek dla robotników, zawalił się, grzebiąc pod gruzami dwadzieścia sześć osób.

Amber odeszła od okna i wróciła do biurka. Zerknęła na szkic, nad którym obecnie pracowała:

fioletowo-różowo-srebrny kolaż, który tworzył celtycki symbol w formie węzła, stanowiący element lamówki.

Tata Amber był utalentowanym projektantem. Rosyjskim emigrantem, który pracował dla niewielkiego producenta tekstyliów w Londynie, gdzie poznał matkę Amber i zakochał się w niej bez pamięci. Wbrew woli matki dziewczyny postanowili być razem.

Amber zawsze lubiła słuchać historii romansu rodziców. Pamiętała, jak siadała na łóżku, matka cesała jej długie blond włosy antyczną srebrną szczotką i opowiadała o dniu, w którym się poznali.

Oboje trafili na targi tkanin w Londynie. Ojciec Amber jako projektant, a jej matka jako przedstawicielka handlowa Denby Mili, słynnej przędzalni jedwabiu z Macclesfield, która należała do babki Amber, Blanche.

Matka Amber często powtarzała, że nicią, która związała ich na zawsze, był jedwab - najmocniejszy i najlepszy ze wszystkich materiałów, czysty i silny jak ich miłość.



Ojciec Amber był jednym z prekursorów nowego pokolenia projektantów, którzy wyprzedzali swoją epokę. Matka z czułością opowiadała córce o zaangażowaniu, z jakim jej mąż poświęcał się pracy.

Oboje mieli nadzieję, że Amber będzie kontynuować rodzinną tradycję; zawsze jej to powtarzali. Przekazali jej całą swoją pasję do łączenia jedwabiu z odpowiednim projektem, w efekcie czego powstawały prawdziwe dzieła sztuki włókienniczej. To miał być ich dar dla niej, a ona poprzysięgła sobie, że nie zawiedzie rodziców i spełni ich marzenie.

Od chwili, w której Amber po raz pierwszy sięgnęła po ołówek i zrozumiała piękno zaklęte w projektach, jej ojciec dzielił się z nią swoją wiedzą, a matka pokazywała, na czym polega wyjątkowy przepych jedwabiu.

Kiedy inne dzieci mozolnie studiowały nudne i nieprzydatne przedmioty w szkole, Amber poznawała historię jedwabiu, a wraz z nią historię życia i tego, w jaki sposób jedwab związał ze sobą wiele kultur i cywilizacji. Jak doprowadził do wytyczenia najdłuższego ze szlaków przez pustynie i morza, inspirując ludzkość i wywołując potężne żądze - od miłości do zawiści.

Amber najbardziej lubiła opowieść o tym, jak jedwab znalazł się w Chinach. Najpierw w Hotanie, gdzie - jak głosiła legenda - trafił w formie jaj jedwabników przemyconych we włosach chińskiej księżniczki, która wyszła za księcia Hotanu. A potem w Bizancjum, kiedy cesarz Justynian przekonał dwóch mnichów, żeby wybrali się ze specjalną misją wykradzenia sekretu hodowli jedwabników. Zakonnicy wrócili najpierw z nasionami morwy, a dopiero później z jajami jedwabników schowanymi w wydrążonych łodygach bambusa.

- Widzisz, to zupełnie tak jak w prawdziwym życiu - powiedziała jej kiedyś matka, przesuwając sztukę jedwabiu w rękach Amber, którą trzymała na kolanach. - Jedwab przelewa się przez palce jak woda, a mimo to, porządnie naciągnięty, jest wyjątkowo mocny, chociaż jest to tak subtelna moc, że trudno ją schwytać i posiąść. Ludzki charakter jest jak jedwab, Amber. Jego też nie da się złapać; on także ma wielką moc i piękno, pod warunkiem że jesteśmy wystarczająco wrażliwi, by je dostrzec. Zawsze o tym pamiętaj, moje dziecko...

- Amber, jesteś tam?

Głos kuzyna wyrwał nastolatkę z zamyślenia.

Greg miał dwadzieścia trzy lata i do ukończenia studiów w Oksfordzie brakowało mu już tylko roku. Był to przystojny młody mężczyzna o szerokich ramionach i gęstej, kędzierzawej czuprynie. Zachowywał się w sposób zdecydowany i pewny siebie, jak to często mieli w zwyczaju młodzieńcy z dobrych, zamożnych domów. Był ukochanym wnukiem swojej babki, tak jak jego ojciec, Marcus, był jej ulubionym synem.

Ojciec Grega zginął w okopach pierwszej wojny światowej, kiedy ten był jeszcze dzieckiem, a jego matka zmarła, rodząc martwe, długo wyczekiwane, drugie dziecko - krótko po tym, jak dotarła do niej wieść o tragicznej śmierci męża. Grega wychowywała więc babka.

Wysportowany i ekstrawertyczny, zawsze skory do żartów i zabawy, Greg poradził sobie jakoś z nudą, która towarzyszyła mu, gdy opuścił Oksford i swoich przyjaciół, by wrócić do rodzinnej siedziby w Macclesfield. Zawarł bowiem znajomość z grupą młodych, dobrze sytuowanych ludzi, takich jak on, którzy spędzali większość czasu na zaspokajaniu swoich zachcianek i na zabawach: brali udział w wyścigach samochodowych, uczyli się latać, grali w tenisa i chodzili na imprezy, by flirtować z ładnymi dziewczynami. Pochodzący z zamożnych rodzin, które dogadzały ich kaprysom, Greg i spółka nie zamierzali oglądać się wstecz, na straszną wojnę, która zabrała życie tak wielu młodym ludziom, zanim jeszcze zdążyli się nim nacieszyć. Sądziło się, że ich to na pewno nie spotka, a oszałamiające tempo życia, jakie prowadzili, było dowodem na to, jak bardzo byli zdeterminowani, by ten cel osiągnąć. Jeśli prześladował ich koszmar tego, co zostało im oszczędzone, nigdy o tym nie rozmawiali. Życie było po to, żeby korzystać z niego w pełni i wycisnąć je jak cytrynę. Jediną rzeczą, jaką młodzi ludzie pokroju Grega brali na poważnie, była zabawa.

Amber traktowała Grega bardziej jak starszego brata niż kuzyna. Czuła się dobrze w jego towarzystwie, a on był dla niej zawsze miły.

Oprócz Denby Mili Greg miał otrzymać w spadku Denham Place, ziemię i fortunę, którą wcześniej odziedziczyła jego babka - najpierw po swoim ojcu, a później po wuju ze strony matki, właścicielu statku z Liverpoolu.

Tymczasem Amber miała własne marzenia. Wybrała inną drogę.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. - Greg wyszczerzył zęby w uśmiechu, podając jej małe, pięknie zapakowane pudełeczko, po czym dumnym krokiem podszedł do kominka.

Amber widziała wcześniej, jak odjeżdżał swoim nowym roadsterem i znając Grega, podejrzewała, że kupił ten prezent w ostatniej chwili w Macclesfield, gdzie uczestniczył rano w spotkaniu zwolenników Partii Konserwatywnej. Kuzyn miał zostać posłem w miejsce jakiegoś innego członka parlamentu, który szykował się do ustąpienia ze stanowiska w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Tak przynajmniej twierdziła babka.

- Och, Greg. - Z wdzięczności zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go w policzek. - Ale nie mogę go jeszcze otworzyć. Muszę iść i zobaczyć, jaką urodzinową niespodziankę ma dla mnie babcia.

Amber nie mogła powstrzymać emocji w głosie. Tak długo czekała na ten moment, rozmawiała o tym i śniła, zanim jeszcze skończyła latem szkołę z internatem.

- Nie mogę uwierzyć, że za kilka tygodni wyjadę do Londynu, żeby studiować sztukę. Jak myślisz, którą uczelnię wybrała dla mnie babcia? Mam nadzieję, że to będzie Slade, chociaż nie jestem pewna, czybym sobie tam poradziła. Nigdy nie musiałam pokazywać im żadnej swojej pracy, dlatego podejrzewam, że babcia poprosiła o wstawiennictwo pana Lafitte'a. On zawsze powtarzał, że chętnie wyświadczy mi taką przysługę. Greg, jestem taka podekscytowana. To wszystko, czego pragnęłam ja i moi rodzice...

- Zwolnij trochę, dziewczyno. Nie chciałbym psuć ci zabawy, ale nie powinnaś chyba aż tak bardzo się nakręcać. Amber zamarła.

- Jak to?

Greg zaklął pod nosem. Żałował, że w ogóle się odezwał. Problem z Amber polegał na tym, że wbrew pozorom nie należała do naj-bystrzejszych dziewczyn, mających pojęcie, co się wokół dzieje. Gdyby tak było, zrozumiałaby w lot jego aluzję. Zresztą wtedy on w ogóle nie musiałby robić żadnych aluzji ani ostrzegać jej przed czymkolwiek.

- Daj spokój, Amber - zachnął się. - Nie sądzisz chyba, że babcia puści cię do tej szkoły. Znasz ją przecież.

- Ale powiedziała, że ma dla mnie wyjątkowy prezent. Coś, co na zawsze odmieni moje życie i na pewno bardzo mi się spodoba.

- Nie przeczę, że tak właśnie będzie. Lecz z pewnością nie miała na myśli szkoły sztuk pięknych. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- W takim razie co to jest?

Greg pokręcił głową i ruszył w stronę drzwi, ale Amber była szybsza. Znalazła się tam pierwsza i zasłoniła swoim ciałem drzwi, po czym nachyliła się w stronę Grega i spojrzała na niego z determinacją w oczach.

- Nie wyjdiesz z tego pokoju, dopóki mi nie powiesz!

- Nie spodoba ci się to - słowa Grega zabrzmiały jak proroctwo. -Ja również nie byłem zachwycony, kiedy dowiedziałem się, że mam zostać parlamentarzystą. Jednak znasz babcię i wiesz, że to ona pociąga za sznurki. Ich babka nigdy nie ukrywała swojej słabości do Grega, którego wyraźnie faworyzowała. Amber uważała, że kuzyn zawsze dostawał to, co chciał. Teraz zaskoczyła ją myśl, że nie tak się sprawy mają, aż poczuła nieprzyjemne dreszcze. Jakby nagle dowiedziała się, że spokojne wody jeziora na terenie ich posiadłości kryją śmiertelnie niebezpieczne prądy.

- Skoro nie chcesz być członkiem parlamentu, to dlaczego...

- To nie jest takie proste, Amber. Nic nigdy nie jest takie proste, jak się wydaje.

Greg westchnął i usiadł na jednym z eleganckich foteli Sheratona ustawionych po obu stronach kominka. Ostre słońce bezlitośnie obnażało spłowiwały perkal poduszek.

- Chodź tutaj i usiądź - poprosił Amber, wskazując jej miejsce w drugim fotelu, po czym wyciągnął wygodnie długie nogi. - Mamy jeszcze kilka minut, zanim zejdziesz na dół i zobaczysz się z babcią.

Amber posłusznie zrobiła to, o co prosił.

- Babcia nie wysyła cię do Londynu, żebyś poszła do szkoły artystycznej. Robi to po to, żeby cię zaprezentować.

- Zaprezentować? Nie rozumiem.

- Przygotować do wejścia na salony po to, byś znalazła sobie męża z dobrego domu.

Minęło kilka chwil, zanim do Amber dotarło prawdziwe znaczenie słów Grega. Ale kiedy już pojęła, o co chodzi jej kuzynowi, pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Nie. Ona nie może tego zrobić. To wykluczone. Ja nie chcę... Nie zamierzam... - mówiąc to, Amber zerwała się z fotela, nieświadoma tego, co robi, i stanęła twarzą w twarz z Gregiem, zaciskając kurczowo dłonie w pięści. - Mylisz się, Greg. Babcia nie może mieć takiego zamiaru. A poza tym nie ma nikogo w rodzinie, kto mógłby mnie wprowadzić.

Amber zdążyła już podczas nauki w szkole z internatem poznać skomplikowane arkania sztuki bycia młodą damą. Dowiedziała się między innymi, że właściciel fabryki tekstyliów, choćby nie wiadomo jak bogaty, nie ma odpowiedniego zaplecza ani rodowodu, żeby stać się członkiem elitarnego klubu, jakim jest arystokracja.

Odpowiadało jej to. Amber nie mogła wyobrazić sobie gorszego losu dla kobiety niż przymusowe, zaaranżowane małżeństwo - co czekało większość dziewczyn, z którymi uczęszczała do szkoły

- Amber, babcia zawsze znajdzie jakiś sposób, żeby dopiąć swego.

- Ale po co miałyby to robić?

Greg wzruszył ramionami. Było mu żal Amber, lecz nie miał ochoty angażować się w dyskusję z nią. Poza tym było już za późno. Także w jego wypadku.

- Barrant de Vries - odparł zwięźle. - Oto odpowiedź na twoje pytanie.

- Dziadek Jaya? Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

- To długa historia, którą sam słyszałem niedawno, za to z pewnego źródła.

Greg zawiesił na chwilę głos, zastanawiając się, jak dużo może jej powiedzieć. Amber była naiwna i ufna, a on nie chciał podejmować niepotrzebnego ryzyka; nie musiała znać źródła tej informacji.

- Kiedy babcia była młoda, ostrzyła sobie zęby na Barranta de Vries i wcale się z tym nie kryła.

Amber stłumiła okrzyk zdziwienia, ale Greg zignorował jej reakcję i kontynuował opowieść.

- Oczywiście całe hrabstwo, z Barrantem i jego ojcem na czele, wiedziało, że babcia nie jest ani wystarczająco szlachetnie urodzona, ani dość

majętna, żeby poślubić kogokolwiek z rodziny de Vries. I to była dla niej gorzka pigułka. Ośmielę się powiedzieć, że wyśmiewano się w towarzystwie z jej matrymonialnych ambicji.

- Jednak chyba musiała zdawać sobie z tego sprawę, prawda? Przecież wszyscy wiedzą, że Barrant de Vries jest wręcz nieprzyzwoicie dumny.

- No tak, nie wątpię, że babcia miała tego świadomość. Ale za to nie można jej było odmówić urody. A pradziadek też nie był żadnym nędzarzem. Idę więc o zakład, że babcia przekonała samą siebie, że usidli Barranta. Z tego, co mi wiadomo, była akceptowana przez śmietankę towarzyską hrabstwa, co dało jej wystarczające podstawy, żeby uważać się już za przyszlą żonę Barranta de Vries.

- Śmietankę towarzyską hrabstwa? - spytała Amber. - Na przykład przez rody Fitton Leghów czy Bromley Davenportów?

- Przez tych drugich bez wątpienia. Nie jestem pewien co do Leghów, ale nie wydaje mi się, biorąc pod uwagę, że Barrant w końcu ożenił się z jedną z nich.

- Ale przecież babcia utrzymuje teraz stosunki towarzyskie z markizą wdową Cholmondeley Należą do tych samych towarzystw charytatywnych i...

- Moja kochana Amber, istnieje ogromna różnica między utrzymywaniem z kimś znajomości a pozwoleniem mu na wejście do swojej rodziny - powiedział Greg, idealnie naśladowując głos i manierę ich babki, tak że Amber nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Kiedyś babcia to usłyszysz i będziesz mieć nie lada kłopoty

- A ty będziesz mieć kłopoty, jeśli zejdziesz teraz na dół do babci i zaczniesz z nią rozmawiać o szkole sztuk pięknych.

- Ale wciąż nie rozumiem, co Barrant de Vries, który nie chciał poślubić babci, może mieć wspólnego ze mną i moim debiutem na salonach.

- A powinnaś to rozumieć doskonale. Babcia nie jest typem kobiety, która daruje choćby najmniejszą zniewagę, nieprawdaż?

Amber przytaknęła. Greg miał rację. Ich babcia potrafiła być bezwzględna, kiedy szło o jej dumę i honor. Z pewnością nie wybaczyła także swojej córce, że wyszła za ojca Amber wbrew jej woli.

Dziewczyna się wzdrygnęła.

- Wiedząc już to, co wiem, śmiem twierdzić, że babcia kupiła tę posiadłość tylko dlatego, że znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie dóbr rodziny de Vries. Chciała w ten sposób pokazać Barrantowi, że ma więcej ziemi i większy dom niż on - kontynuował Greg. - Zatrudniła nawet jego wnuka jako zarządcę majątku. To forma upokorzenia Barranta za odtrącenie jej ręki. Wszyscy wiedzą, że Barrant de Vries stracił po wojnie niemal całą fortunę, w tym także swojego jedyne syna, który nie pozostawił po sobie spadkobiercy Ale babci to nie wystarczy, Amber. Ona chce, żebyśmy zdobyli dla niej to, czego ona sama nie zdołała. Zwłaszcza ty. Ja nie mogę poślubić arystokratki, za to ty możesz wyjść za jakiegoś utytułowanego gościa. Wojna sprawiła, że wiele arystokratycznych rodzin popadło w nędzę. Pomyśl tylko, ilu ojców żeni swoich synów z córkami amerykańskich milionerów. Amber wiedziała o tym. W końcu ich sąsiad, lord Fitton Legh, poślubił w ubiegłym roku amerykańską spadkobierczynię wielkiej fortuny i wszyscy wiedzieli, że małżeństwo to zostało zawarte z czystej kalkulacji - on zyskał pieniądze, ona zaś tytuł.

Jakby czytając w jej myślach, Greg starał się uspokoić Amber.

- Powinnaś być wdzięczna babci, że nie wydała cię za któregoś z Leghów. Ona, ma się rozumieć, celuje w taki tytuł, który przyćmi nawet ród de Vries. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Dlatego chce, żebyś została zaprezentowana na dworze.

Zanim Amber zdążyła cokolwiek powiedzieć, Greg kontynuował:

- Babcia może i ma pieniądze, żeby kupić ci tytuł, ale to nie takie proste. Chodzi mi o to, że musisz zacząć się obracać w odpowiednim towarzystwie, a to jest niemożliwe bez odpowiednich rekomendacji. Co w praktyce oznacza, że każda dziewczyna, która chce bywać w wyższych sferach, musi przejść prezentację na dworze. Twoja babcia pragnie, aby jej wnuczka posiadała tytuł dużo lepszy niż ten, którego odmówił jej Barrant de Vries. W ten sposób będzie mogła odegrać się na tych, którzy śmiali się z niej za jej plecami, kiedy Barrant odrzucił jej względy.

Tego było już za wiele dla Amber.

- Greg, proszę, nie mów takich rzeczy To nic przyjemnego - błagała swojego kuzyna. - Wiem, że lubisz stroić sobie ze mnie żarty, ale...

- Amber, to nie są żarty

- Czy babcia sama ci to wszystko powiedziała?

- Nie.

- A więc to są tylko twoje przypuszczenia? W takim razie jestem pewna, że się mylisz. Co do jednej rzeczy...

- Nie myślę się, Amber. Jeśli koniecznie musisz znać prawdę, przypadkiem znalazłem się przed jej gabinetem, kiedy rozmawiała na ten temat z Jayem Fulshawem. Miało to związek z zapłatą dla jakiejś damy czy kogoś innego, kto miałby cię wprowadzić na salony

- Jay o tym wiedział?

Dla Amber zabrzmiało to jak podwójna zdrada. Lubiała Jaya i było jej go nawet żal. Musiał harować jak wół dla jej babki, w przeciwieństwie do Grega, który studiował z nim razem w Eton, a teraz spędzał życie na zabawie i błahych rozrywkach.

Amber musiała usiąść, tak bardzo się trzęsła. To nie może być prawda. To niemożliwe.

- Ale mnie nie zależy na mężu z tytułem. Nie chcę jeszcze w ogóle wychodzić za mąż. A kiedy już to zrobię.

- Liczy się tylko to, czego chce babcia. Nie to, na czym nam zależy Greg rzeczywiście nie żartował. Prawdę mówiąc, wyglądał teraz dużo poważniej niż kiedykolwiek.

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości - ostrzegł ją. - Ona zawsze dostaje to, czego chce. - Greg spojrzał na Amber i uśmiechnął się cierpko. - Pamiętasz, w jaki sposób została właścicielką tego domu i ziemi. Powiernicy lorda Talbota wcale nie chcieli sprzedać jej Denham Place, ale nie mieli wyjścia po tym, jak Talbot zmarł, nie pozostawiając po sobie spadkobiercy, za to spore zadłużenie.

Gdy Greg wspomniał o Denham Place, Amber natychmiast pomyślała o tym domu. Kochała go, bo był przepiękny. Zaprojektowany przez Van-brugha, o klasycznych kształtach i eleganckich pokojach na pierwszym piętrze. Ale nie miał należeć do niej.

- Denham jest przepiękny, Greg. - Amber rozmarzyła się. - To jeden z ulubionych projektów Vanbrugha, chociaż należy do najmniejszych posiadłości, jakie zaprojektował.



Greg wzruszył ramionami. Architektura i budownictwo zupełnie go nie interesowały.

Zegar wybił trzecią.

- Idź już. Nie każ babci czekać.

Greg też miał umówione spotkanie, chociaż nie był do końca pewien, czy chce na nie iść. Romans, który z początku wydawał mu się ekscytujący, ostatnio zaczął być dla niego ciężarem. Nie przywiązywał specjalnej wagi do tego rodzaju emocji, a już zdecydowanie nie znosił łzawych scen. Ale najgorsze w tym wszystkim było to, że znalazł się w sytuacji, z której nie było łatwego wyjścia.

Gdyby tylko nadarzyła się taka sposobność, z wielką chęcią wyjechałby do Londynu, w którym nie brakowało ekskluzywnych klubów i innych uciech, dostępnych tylko dla najbogatszych. Picie, hazard i flirtowanie z pięknymi kobietami, które znały reguły rządzące tą grą - wszystkie te rzeczy odpowiadały mu znacznie bardziej niż nudne jak flaki z olejem spotkania lokalnego komitetu Partii Konserwatywnej.

Może udałoby mu się namówić babcię, aby - jako kochający starszy kuzyn - mógł częściej bywać w Londynie, żeby mieć oko na Amber.

## Rozdział 2

Blanche Pickford przyjrzała się swojej wnuczce krytycznym wzrokiem. W wieku siedemnastu lat Amber zapowiadała się na piękną kobietę. Była wprawdzie niezbyt wysoka, za to smukła i delikatnej budowy. Miała szlachetną szyję i porcelanową cerę. Jej twarz, która straciła już dziewczęcą krągłość, zaczęła przybierać idealny kształt serca, z szeroko rozstawionymi oczami i gęstymi rzęsami.

Blanche nie była zachwycona, kiedy jej córka - namówiona bez wątpienia przez męża - ogłosiła, że ich dziecko będzie miało na imię Amber. Uważała je za zbyt egzotyczne. Ale w rodzinie panowała tradycja, zgodnie z którą wszystkie córki nosiły imiona kolorów jedwabiu. Nie można było też zaprzeczyć, że Amber miała oczy w kolorze miodowozłotym, takim jak ten szlachetny kruszec, bursztyn.

Prosty nos Amber, kształt jej ust i złociste loki przypominały Blanche z tego samego okresu. Wnuczce brakowało jednak uwodzicielskiej zmysłowości i nic nie zwiastowało, że ten dar kiedykolwiek posiadzie. Amber była uprzejma, łagodna i słaba, podczas gdy Blanche zawsze cechowały siła i temperament. Siedemnastolatce brakowało ognia i pasji. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Ani pasja, ani zmysłowość nie były potrzebne w małżeństwie, które Blanche zaplanowała dla swojej wnuczki. Wręcz przeciwnie.

Ta dziewczyna przynajmniej jakoś wyglądała, w przeciwieństwie do swojej matki. Blanche była wściekła, kiedy okazało się, że jej córka jest uderzająco podobna do swojego niezbyt urodziwego ojca, Henryego Pickforda. A w dodatku, że tak jak on zamierza zmarnować sobie życie, parając się pracą fizyczną w fabryce tkanin i angażując się w działalność ruchu robotniczego. Ale gniew ten był niczym w porównaniu z furją, w jaką wpadła Blanche, gdy wyszło na jaw, że jej dwudziestopięcioletnia brzydka córka, z której staropanieństwem już się pogodziła, zamierza, korzystając ze skromnego spadku po ojcu, wyjść za mąż za rosyjskiego emigranta. Ich

szczęście nie trwało jednak długo. Dokładnie tak jak przewidziała Blanche, jej córka wróciła do niej na kolanach, błagając o pomoc finansową dla siebie i swojego męża.

Amber była ulepiona z innej, nieco lepszej gliny i stanowiła niezły punkt wyjścia. Uroda bez wątpienia przemawiała na korzyść dziewczyny, ale to pieniądze Blanche miały otworzyć jej drzwi do świata arystokracji i przynieść babce tytuł, którego tak bardzo pożądała.

- Usiądź, Amber - powiedziała do wnuczki Blanche. - Musimy poważnie porozmawiać.

Amber nie pamiętała, żeby jej babka kiedykolwiek miała na sobie coś z jedwabiu. Blanche gustowała w strojach francuskiej projektantki Chanel i dzisiaj włożyła jedną z sygnowanych przez nią sukni z dzianiny, ze sprytnie udrapowaną górą, spiętą na biodrach wielką broszką wysadzaną kryształami, które pobłyskiwały przy każdym, nawet najmniejszym ruchu ciała.

Smukła i wyprostowana jak tyczka, babka miała idealną figurę do takich ubrań. Amber odziedziczyła po niej szczupłą sylwetkę, chociaż nie było tego widać pod wełnianym bezrękawnikiem, narzuconym na zwykłą, nierzucającą się w oczy bawełnianą bluzkę. Pod tą bluzką serce Amber waliło jak młotem. Czy to, co powiedział Greg, mogło być prawdą?

Dziewczyna spojrzała na babcię, czekając z niepokojem. Blanche, jak zwykle, miała na szyi potrójny sznur drogocennych pereł - ich połysk dodawał jej ciepła i blasku, których ona sama była zupełnie pozbawiona.

- Obiecałam, że na siedemnaste urodziny dostaniesz ode mnie wyjątkowy prezent. Ten prezent dotyczy twojej przyszłości. Jesteś najszczęśliwszą młodą kobietą pod słońcem i mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Jako moja wnuczka będziesz mieć możliwości i środki, o których większość twoich rówieśniczek może tylko marzyć. Chcę, żebyś pamiętała, dlaczego ci je daję i jaka wiąże się z tym odpowiedzialność. A teraz przejdźmy do sedna. - Blanche zdobyła się na lekki uśmiech. - W styczniu wyjedziesz do Londynu, gdzie będziesz przygotowywać się do prezentacji na dworze. Poczyńłam już pewne niezbędne ustalenia...

A więc to prawda. Greg miał rację. Amber poczuła, jak ogarnia ją czarna rozpacz.

- Nie! - zaprotestowała głośno. - Nie chcę brać udziału w żadnej prezentacji. Chcę iść do szkoły plastycznej. Blanche sprawiała wrażenie zdumionej. Rodzice tej dziewczyny wyrządzili jej więcej krzywdy tym swoim irytującym i bezwartościowym gadaniem o sztuce, niż się spodziewała. Z pewnością odpowiedzialny za to był ten Rosjanin. Nakładł jej do głowy tych bzdur, którymi sam się karmił. Ale Blanche nie zamierzała pozwolić, by pozostały one w tej młodej główce.

Amber miała siedemnaście lat i pragnęła życia, o którym nic nie wiedziała. W wieku trzydziestu siedmiu lat będzie dziękować swojej babce, że ta uratowała ją przed życiem bez perspektyw. Przecież to niedorzeczne porównywać mozół i harówkę samodzielnej pracy i pięcia się po szczeblach drabiny społecznej ze statusem i komfortem, jaki czekał Amber, gdy wszystkim zajmie się Blanche.

Tak naprawdę nie miało dla niej żadnego znaczenia, co myśli jej wnuczka ani jak bardzo będzie protestować. Blanche i tak zrobi to, co postanowiła.

- Szkoła plastyczna?

Amber czuła, jak stalowe spojrzenie babki przyspila ją do niewygodnego fotela, na którym siedziała, starając się zachować wyprostowaną postawę.

Nienawidziła wystroju tego wnętrza. Panująca w nim edwardiańska atmosfera była przytłaczająca, począwszy od fioletowobrazowej tapety i pasujących do niej kanap i foteli wyściełanych aksamitem, a skończywszy na starannie wypolerowanych meblach z mahoniem.

Większość ludzi określała jej babkę jako onieśmielającą, ale Amber przychodziły do głowy zupełnie inne słowa: zasadnicza, nieprzystępna, przerażająca. Rodzice nie bali się jej - przypomniała sobie Amber i wzięła głęboki oddech.

- Tego pragnęłam przez całe życie.

Po tych słowach, w większym stopniu przepełnionych bólem niż arogancją, w pokoju na chwilę zapadła krępująca cisza. Amber zadrżała z zimna, chociaż w kominku z marmuru wesoło buzował ogień. To nie był jakiś tam zwyczajny marmur, lecz najlepszy, z Carrary, starannie wyselek-

cjonowany i absolutnie idealny, jak wszystko w życiu Blanche. Niemniej właścicielka posiadłości czerpała satysfakcję nie z kunsztownego wykonania drogiego kominka, ale z samego faktu posiadania go. Tylko to się dla niej liczyło.

- Amber, masz dopiero siedemnaście lat. Nie wiesz jeszcze, co jest dla ciebie dobre.

Słowa babki napęliły serce Amber strachem i doprowadziły do niekontrolowanego wybuchu.

- Tego chcieli dla mnie moi rodzice. Ojciec często o tym wspominał. A kiedy wyjdę za mąż, chcę, żeby to był ktoś, kogo pokocham i kto obdarzy mnie takim uczuciem jak mój ojciec moją matkę.

Amber zbyt późno zdała sobie sprawę z popełnionej gafy. Twarz jej babki przybrała formę lodowato zimnej maski.

- Twój ojciec? Twój ojciec, Amber, był biednym imigrantem z Rosji, który poślubił twoją matkę dla jej - czy raczej dla moich - pieniędzy.

Zawsze kiedy Blanche wpadała w gniew, zniżala głos do ledwie słyszalnego szeptu, który i tak ranił uszy Amber.

Dziewczyna przewyciężyła jednak strach i postanowiła bronić pamięci ojca.

- To nieprawda. Mój ojciec kochał mamę.

Ignorując ją, Blanche kontynuowała swoją pozbawioną skrupułów przemowę.

- Ostrzegałam twoją matkę, że źle na tym wyjdzie, jeżeli mnie nie posłucha i poślubi twojego ojca. I miałam rację.

Kiedy stracił pracę, przyszła do mnie na kolanach, błagając, żebym załatwiła mu inne zajęcie. Twój ojciec nie kochał mojej córki, tylko moje pieniądze i tę fabrykę.

- Kochał ją. Byli ze sobą szczęśliwi. Mama często to powtarzała. Uważała, że tata jest utalentowanym artystą.

- Bzdura. Był nędzarzem i nieudacznikiem, który doprowadziłby zakład do ruiny, gdybym pozwoliła mu wcielić w życie te jego chore pomysły.

Amber miała wrażenie, że zaraz się zakrztusi. W głowie kręciło jej się od emocji. Za to jej babka pozostała niewzruszona i zimna jak gład. Amber wiedziała, że jej rodzice bardzo się kochali. Zanim fabryka w Londynie, w której pracował tata, została zamknięta, w ich domu często słychać było serdeczny śmiech. Amber przypomniała sobie, jak ojciec przyprowadzał

swoich kolegów artystów i razem przesiadywali w kuchni, jedli zupę, którą przygotowała im mama, i rozmawiali. To były bardzo szczęśliwe, beztroskie czasy i Amber pielęgnowała te wspomnienia.

Kiedy rodzice zostali zmuszeni do przeprowadzki z powrotem do Macclesfield, dobry nastrój w domu jakby przygasł. Ale nigdy nie zabrakło w nim ciepła i miłości. Rodzice woleli wynajmować własny domek niż mieszkać w Denham Place razem z babcią. Ojciec Amber uwielbiał czytać i podczas zimowych wieczorów całą trójką gromadzili się wokół kominka i czytali na głos, najczęściej jakąś wspaniałą książkę Charlesa Dickensa, której akcja rozgrywała się w przerażających warunkach, w jakich żyli ludzie biedni. I teraz babcia chciała zniszczyć te wspomnienia?

Blanche myliła się także, twierdząc, że ojciec doprowadziłby biznes do ruiny. W rzeczywistości on go ocalił. Amber wiedziała o tym. To dzięki jego projektom agenci Denby Mili donosili z Londynu, że nowe dostawy jedwabiu sprzedawały się na pniu, a kupcy składali jedno zamówienie za drugim. Oczywiście w domu często wybuchały gwałtowne spory na temat projektów ojca, który stawiał na nowoczesność, podczas gdy jego teściowa była konserwatywna i przeciwna wszelkim innowacjom. Tymczasem to dzięki ojcu zakład utrzymał najważniejsze kontrakty, chociażby z Kościołem anglikańskim, któremu dostarczał niezwykle cenne gatunki jedwabiu na szaty duchownych.

Amber z całych sił starała się powstrzymać łzy napływające jej do oczu.

- Gdyby moi rodzice żyli, nie pozwoliliby ci tego zrobić - wycedziła przez zęby.

- Dość już tego! - Babka wstała z fotela. - Nie chcę słuchać więcej o twoim ojcu ani tych bzdur o szkole artystycznej. To ja zdecyduję o twoim losie, nikt inny.

- Jesteś snobką! Robisz to tylko przez wzgląd na stare dzieje i Barran-ta de Vries. Chcesz się zemścić na nim i na tych, którzy wyśmiewali się z ciebie, gdy nie udało ci się zostać jego żoną...

Amber zamilkła, dopiero gdy Blanche doskoczyła do niej i uderzyła ją otwartą dłonią w twarz. Ból siarczystego policzka, jaki jej wymierzyła, sprawił, że Amber uzmysłowiła sobie, co narobiła. Policzek piekł ją jak przypieczony rozpalonym żelazem, a serce trzepotało w piersi.

Na twarzy babki wykwitły dwa purpurowe rumieńce, oddychała szybko i płytko.

- Jak śmiesz zwracać się do mnie w ten sposób? Za moich czasów zostałąbyś za coś takiego wychłostana! Pójdiesz teraz do swojego pokoju i zostaniesz tam, dopóki nie pozwolę ci wyjść.

Na wpół oślepiąca płynącymi z oczu łzami, Amber wybiegła z gabinetu, zostawiając babkę samą.

Blanche przez kilka minut siedziała nieruchomo w fotelu. Buzował w niej gniew połączony z poczuciem zranionej dumy Wnuczka, która nie dorastała jej do pięt, gdy ona sama była w tym wieku, ośmieliła się wspomnieć w jej obecności o czymś w taki intymny sposób związanym z jej przeszłością.

Blanche zeszywniała. Przez czterdzieści cztery lata żyła w poczuciu upokorzenia i odrzucenia ze strony Barranta i nikt w tym czasie nie odważył się wspomnieć choćby słowem o tym, co się wtedy zdarzyło.

Podeszła do okna i stanęła, by wyjrzeć na zewnątrz. Miała sześćdziesiąt jeden lat i nie było w całym jej życiu dnia, w którym nie rozpamiętywałyby tamtego upokorzenia, kiedy Barrant wyśmiał ją i powiedział, że nigdy nie ożeni się z córką przemysłowca. Wtedy Blanche poprzysięgła sobie, że nadejdzie kiedyś taki dzień, w którym szala przechyli się na jej stronę, nawet gdyby miała kłaść na nią po jednym ziarenku piasku. I miała nadzieję, że gdy Barrant uświadomi sobie, jak wiele kosztowała go jego arogancja, umrze natychmiast na atak serca.

Nienawidziła go i nie mogła się doczekać dnia, kiedy jej wnuk i wnuczka okażą się lepiej sytuowani społecznie od jego wnuka - i wiedziała, że zrobi wszystko, by ten cel osiągnąć.

Kiedy Jay Fulshawe zobaczył, jak Amber wybiega z płaczem z gabinetu swojej babki, od razu zorientował się, co się stało. Było mu żal tej dziewczyny A więc babka przekazała jej wieści. Biedne dziecko, musiała ciężko to znieść.

Amber była jeszcze w wieku, kiedy wszystkie emocje okazuje się na zewnątrz; niczego nie umiały ukryć jej ciemnozłote oczy, które teraz przesłonił cień rozpachy Błyskotliwa i serdeczna Amber była ulubienicą całej

służby pracującej w domu. Odkąd wróciła ze szkoły z internatem, Jay z przyjemnością wsłuchiwał się w jej radosny śmiech i sam uśmiechał się wtedy mimowolnie, gdyż poczucie humoru Amber nie miało w sobie cienia złośliwości czy uszczypliwości. Z pasją traktowała wszystko, w co wierzyła, i była przy tym niezwykle wrażliwa. Jay miał nadzieję, że życie nie obejdzie się z nią za to zbyt surowo. Była jeszcze taka młoda.

- Amber... - wymówił cicho jej imię i wyciągnął do niej rękę, gdy stała zapłakana w holu, ale ona tylko potrząsnęła głową.

- Wiedziałeś, Jay - powiedziała gorzkim, oskarżycielskim tonem. - Wiedziałeś, co planuje babcia, a mimo to nic mi nie powiedziałaś.

Jak Jay mógł jej nie przekazać tej informacji? Amber знаła go praktycznie od dziecka i traktowała go bardziej jak przyjaciela niż pracownika swojej babci. Jay studiował w Eton z Gregiem i wielokrotnie spędzał wakacje w Cheshire. Jego rodzice mieszkali w Dorset, gdzie ojciec Jaya - trzeci syn „farmera gentlemana” - był pastorem. Szeptano o tym, że kiedy jego żona urodziła syna - i potomka rodu - Barrant de Vries przestał się interesować losem swoich dwóch córek i nie obchodziło go zupełnie, za kogo wyszły. Chociaż byli i tacy, którzy mówili, że kiepsko wyszły za mąż, bo w domu nie było pieniędzy. W kręgach arystokracji, w których się obracali i wydawali za mąż swoje córki tacy jak Barrant de Vries, posag panny młodej był nie mniej ważny od jej pochodzenia.

Jay był poważniejszy niż Greg. Ciemnowłosa, wysoki i wysportowany, wyrażał się też w bardziej stonowany sposób i na jego twarzy malował się przeważnie charakterystyczny zagadkowy uśmiech, który Amber bardzo często miała ochotę oddać węglem na papierze.

Ale teraz Jayowi nie było do śmiechu.

- Nie moja to sprawa i nie miałem na nią żadnego wpływu - powiedział cicho. - Jest mi bardzo przykro, chociaż wydaje mi się, że nie musi to być wcale tak tragiczne, jak sobie wyobrażasz.

- Chcesz powiedzieć, że żaden kawaler z tytułem mnie nie zechce i zostanę odtrącona, tak jak twój dziadek odrzucił względy mojej babci? - odparła Amber z sarkazmem.

A więc w końcu poznała tę starą historię. Jay zastanawiał się, kiedy to nastąpi. Była to zresztą sprawa powszechnie znana w okolicy. Jay przy-



pomnił sobie, jak uraczyła go tą opowieścią jego kuzynka Cassandra, która dowiedziała się od kogoś z rodziny Fitton Legh i przekazała ją Jayowi, nie podejrzewając, że mógł słyszeć ją już wcześniej. Ale Cassandra odziedziczyła po swoim wuju tę samą dumę, którą Jay uważał za szkodliwą i niszczącą.

Jay położył dłoń na ramieniu Amber, lecz ona strzepnęła ją ze złością. Potem wbiegła po schodach, nie zatrzymując się, dopóki nie znalazła się w dającej jej poczucie bezpieczeństwa własnej sypialni. Być może babka uważała to za rodzaj srogiej kary, ale jej taka forma aresztu domowego odpowiadała. Mogła bowiem spędzić trochę czasu sam na sam ze swoją rozpaczą.

Amber zamarła, kiedy usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Odetchnęła jednak z ulgą, kiedy okazało się, że to tylko pokojówka. Mary miała dwadzieścia pięć lat i spotykała się ze sprzedawcą ze sklepu spożywczego w Macclesfield. Zazwyczaj była pełna życia i uśmiechała się ciepło, ale teraz unikała spojrzenia swojej pani. Podeszła do biurka i usprawiedliwiającym tonem obwieściła:

- Pani Blanche kazała mi przyjść na górę i zabrać pani przybory do rysowania, panno Amber.

Twarz Amber zapłonęła z gniewu i poniżenia. Babka musiała się domyślić, że siedzenie do odwołania w sypialni nie jest dla niej żadną karą, może bowiem ukoić smutek, rysując. No cóż, jeśli Blanche chciała w ten sposób wymusić na niej przeprosiny, to była w błędzie!

Zapadł już zmierzch, kiedy Jayowi udało się pokonać pokrytą głębokimi koleinami drogę do Felton Priory za kierownicą samochodu kombi, w który Blanche Pickford wyposażyła swojego zarządcę. Poinformowała go przy tym, że może używać tego auta także „w celach prywatnych, ponieważ z pewnością będziesz chciał odwiedzić swojego dziadka, a on z oczywistych powodów nie może złożyć ci wizyty”.

Jay zastanawiał się, czy potraktować ten gest jako wyraz szczodrości i uprzejmości, czy też jako mało uprzejme podkreślenie, że Barrant jest przykuty do wózka inwalidzkiego. Ale wiedział, co w tej sytuacji pomyślałby sobie jego dziadek.

Noc litościwie okryła zmrokiem zaniedbaną posiadłość i otaczający ją park. Felton Priory, w odróżnieniu od Denham Place, nigdy nie była uznawana za architektoniczną perełkę, uchodziła raczej za chaotyczną mieszaninę stylów historycznych i osobistych kaprysów, przebudowaną przez piątego wicehrabiego w wyjątkowo brzydkim stylu pseudogotyckim.

Z typową dla siebie arogancją - czy też raczej artystyczną ignorancją - dziadek Jaya utrzymywał, że Felton jest najlepszą rezydencją arystokratyczną w Macclesfield, jeśli nie w całym Cheshire. Jaya tak to bawiło, że nie zaprzeczał, chociaż w rzeczywistości o wiele bardziej podobało mu się piękne probostwo Dorset, w którym dorastał. Jay uważał się za szczęśliwca, którego szerokim łukiem ominęła typowa dla rodziny de Vries duma i arogancja. Zaparkował pożyczone auto na żwirowym podejździe i sprężystym krokiem wszedł po schodach do przytłaczającego portyku.

Drzwi otworzył mu kamerdyner dziadka. Jay zatelefonował wcześniej i zapowiedział swoje przybycie, wiedząc, że Bates - starszy od mocodawcy o dobre dziesięć lat - cierpiał na reumatyzm i z trudem pokonywał znaczny dystans ze swojego ciepłego pokoju do drzwi wejściowych.

- Dobry wieczór, panie Jay - przywitał go Bates, odbierając od młodego człowieka płaszcz, czapkę i szal.
- Dobry wieczór, Bates - odpowiedział grzecznie Jay. - Jak twój reumatyzm?
- Nie jest tak źle, dziękuję. Ale obawiam się, że pana dziadek ma za sobą kilka gorszych dni.
- Dziękuję za ostrzeżenie. Nogi znowu dają mi o sobie znać, prawda?
- Niestety tak.

Mimo iż Barrant miał amputowane obydwie nogi, czuł przenikliwy ból, który lekarz określał jako bóle fantomowe. Gdy ból wzrastał się do tego stopnia, że stawał się nie do zniesienia, jedynym lekarstwem, jakie działało, była morfina, którą przepisywał mu doktor Brookes.

Dziadek Jaya nigdy nie zaakceptował faktu, że zmieniło się prawo, które różniło się zasadniczo od poprzednich przepisów medycznych. Teraz morfina i wszystkie jej pochodne mogły być przepisywane na wyraźne zalecenie lekarza i tylko w uzasadnionych przypadkach. Jay zdążył się

zorientować, że dziadek nie był jedyny, który sprzeciwiał się nowym regulacjom, w szczególności Ustawie o lekach niebezpiecznych. Zresztą dla wielu młodych i bogatych przedstawicieli pokolenia lat dwudziestych ta ustawa przyszła za późno. Przedstawiciele złotej młodzieży, tacy jak biedna Elizabeth Ponsonby, o której towarzyskich wybrykach donosiły gazety w kolumnach plotkarskich, cierpieli z powodu uzależnienia od alkoholu i narkotyków. Jedynym efektem wprowadzenia prohibicji w Stanach Zjednoczonych było to, że cały przemysł i handel alkoholem oraz substancjami odurzającymi zszedł do podziemia.

- Dziadek czeka na pana w bibliotece, paniczku Jay.

Biblioteka w Felton Priory była wielkim prostokątnym pokojem, który dziadek Jaya zamienił po wypadku w swoje prywatne królestwo. Za lakierowanym chińskim parawanem znajdowało się dyskretnie schowane łóżko, które Jay zniósł z góry po to, żeby dziadek mógł odpoczywać, kiedy tylko nasza go ochota. Dzięki temu nie musiał korzystać z pomocy niezręcznego głupiego lokaja, który prznosił go na drugi podest, skąd można się było dostać do sypialni.

- Ha, jesteś wreszcie! - zakrzyknął Barrant. - Nie boję się powiedzieć, że Blanche wyciska z ciebie ostatnie poty...

Bates - dziadek wezwał swojego kamerdynera - przynieś mi szklanekę brandy. I dopilnuj, żeby była pełna.

Jay spojrział z troską na dziadka.

- Myślałem, że doktor Brookes zabronił ci pić brandy. Barrant zmierzył wnuka posępnym spojrzeniem.

- Żaden konował nie będzie mi mówił, co mi wolno, a czego nie. Jeżeli chcę się napić brandy, to się napiję. Poza tym co on może wiedzieć. To młody głupiec. Jego ojciec nie był lepszy. Myślałem, że wyśle mnie na tamten świat, zanim zdąży przejść na emeryturę. A jego syn jest jeszcze gorszy.

Staruszek najwyraźniej miał zły dzień.

Jego włosy, niegdyś ciemne i grube jak Jaya, całkiem przyprószyła siwizna. Ból odcisnął mocne piętno na jego twarzy po obu stronach ust i wyostrzył jeszcze bardziej rysy pod wystającymi kośćmi policzkowymi. W ciemnoniebieskich oczach Barranta wciąż tlił się jeszcze ogień, podsycany - jak podejrzewał Jay - frustracją i arogancją.

Dziadek bez podziękowania wziął od Batesa szklanekę brandy i zaczął, aż kamerdyner się oddali, po czym powiedział oschłym tonem:

- A więc chłopak Pickfordów przygotowuje się do roli parlamentarzysty. Jeżeli dobrze zrozumiałem, ma zająć fotel Barclaya Whistona, tak? To oczywiście pomysł Blanche. Ale to się nie uda. Greg jest na to za głupi i nie zmieni tego żadne pieniądze. Nie ma w sobie nic z mądrości swojego ojca.

Na twarzy Barranta pojawił się wyraz, którego Jay nie umiał rozszyfrować.

- A ty dobrze się z nim dogadujesz?

- Każdy dobrze dogaduje się z Gregiem - odpowiedział spokojnie Jay.

- Cassandra raczej nie zaprzęta nim sobie głowy.

Jay na wszelki wypadek przemilczał tę uwagę, ale Barrant ciągnął:

- Masz rację, najwyższy czas, aby Cassandra znalazła sobie męża. Może nie grzeszy urodą, ale w jej żyłach płynie nasza krew. Jest też, niestety, zbyt obcesowa. Który mężczyzna chciałby mieć za żonę kobietę o tak niewyparzonym języku? Nikt nie wie, po kim ona to ma. Na pewno nie po twojej babce, która była łagodna jak baranek.

Niespodziewanie Barrant zmienił temat:

- Cassandra powiedziała mi, że Blanche wysyła swoją wnuczkę do Londynu, łudzac się w swojej naiwności, że kupi jej tytuł.

- Zgadza się, Amber zostanie zaprezentowana na dworze.

- To ładna dziewczyna, prawda?

- Tak.

Barrant chrząknął znacząco.

- Ale nadal jest córką handlarza tekstyliami. Twoja babka pochodziła z rodu Legh. Jej przodkowie brylowali na dworach, tak jak i moi. W małżeństwie liczy się pochodzenie, a nie wygląd. Mezalianse są wykluczone. Zrozumiesz to, kiedy przyjdzie twoja kolej. Chociaż ty nie należysz do rodu de Vries, bo nosisz nazwisko swojego ojca, a nie matki.

Jay dobrze znał tę gorycz w głosie swojego dziadka. Znał też jej powody. Barrant de Vries nigdy nie pogodził się ze stratą syna. Jay wiedział, że dziadek ceniłby go dużo wyżej, gdyby był jego potomkiem, a nie synem jednej z córek.

Znudziłeś się mną, wiem to. W jej głosie słychać było rozdrażnienie, które niebezpiecznie zbliżało się do hysterii.

Greg żałował, że ją odwiedził. Przez nią nie pojechał do Manchesteru, gdzie został zaproszony do nowo otwartego klubu nocnego.

- Nic podobnego.

- Ależ tak. Nie nazwałeś mnie nawet swoim najdroższym kochaniem, tak jak robiłeś to kiedyś.

Zrobiła nadąsaną minę, a z jej błękitnych oczu popłynęły łzy.

Greg poczuł, że traci zapał równie szybko, jak rośnie jego irytacja.

Sypialnia pachniała perfumami i seksem, a każdy z tych zapachów był przesłodzony. Uczucie zamknięcia w pułapce sytuacji, która mu nie odpowiadała, narastające w nim od kilku tygodni, teraz jeszcze przybrało na sile. Ogarnięty pierwszą falą pożądania, nie zauważył, że za jej nieziemską urodą skrywa się kobieta bluszcz o zaborczej naturze.

Żądza oślepiła go do lego stopnia, że nie zauważył niebezpieczeństwa.

Romans z zamężną kobietą był w przekonaniu Grega czymś zupełnie naturalnym dla młodego człowieka o jego pozycji. To prawda, że momentalnie zawładnęło nim pożądanie i wtedy być może składał jej jakieś pochopne obietnice, ale teraz był już tym wszystkim znudzony i chciał pójść w życiu dalej. Ona dała jednak wyraźnie do zrozumienia, że nie pozwoli mu na to.

Z niewiadomego powodu ich, zdawałoby się, zwyczajny romans nabrał dla niej znaczenia. A Greg z całą pewnością nie chciał tego.

- Mówiłeś, że mnie kochasz, ale to były kłamstwa - oskarżyła go. - Jak możesz być tak okrutny? Czy nie dość się już w życiu nacierpiałam? Czy muszę ponieść jeszcze i tę karę - dać sobie skraść serce miłosnymi obietnicami bez pokrycia?

Chodziła teraz nerwowo po sypialni, a jej zachowanie z każdą minutą stawało się coraz bardziej gwałtowne i nieokiełznane. Biały jedwabny pe-niuar z naszytymi piórkami marabutów, który włożyła po wyjściu z łóżka, wirował wokół niej. Greg przywarł do jej nagiego ciała, ale ten widok nie podniecał już go tak jak kiedyś.

Jej zachowanie doprowadzało go do ostateczności. Nigdy nie spodziewał się, że kobieta, która kiedyś tak się z nim droczyła i kusila go, z czasem uzależni się od niego.

Zatrzymała się przed nim, sięgając po szklankę martini, które kazała sobie przynieść wcześniej. W tym celu posłała nawet po pokojówkę; jemu poleciła w tym czasie schować się w łazience, a sama przyrządziła sobie drinka.

Greg ostrzegał ją, że to zbyt wielkie ryzyko, ale ona wpadła w histerię, zarzucając mu, że już jej nie kocha i że kiedyś był w stanie zaryzykować dla niej wszystko.

Teraz piła łączywie ze szklanki, którą trzymała w dłoni. Na twarzy miała wypieki, a wzrok rozbiegany

- Już wiem - powiedziała nagle. - Zadzwońę po nianię i przyniesie tu dziecko.

- Nie! - Greg nie potrafił ukryć przerażenia. - Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Dlaczego nie? W końcu on jest...

W tym momencie załamała się i rzuciła na łóżko, wciąż skotłowane po tym, jak kochali się wcześniej. Przypomniła sobie, jak kochali się w tym pokoju po raz pierwszy. Ich pożądanie było tak intensywne, że nie zdołali nawet dojść do łóżka. Wiedziała, że Greg się zjawi, i to napawało ją dzikim podnieceniem. Miała na sobie sukienkę od Chanel, narzuconą na jedwabną halkę, i pasujące do niej majtki motylki, a pończochy kończyły się jedwabnymi podwiązkami. Każdy element stroju wybrała starannie z myślą o tym, żeby można było go jak najszybciej zdjąć.

Greg wziął ją w ramiona tuż po tym, jak znalazł się w sypialni, zamykając plecami drzwi za sobą. Jego dłonie niecierpliwie błądziły po jej ciele, eksplorując zachłannie każdy jego centymetr, co odpowiadało jej wiecznie niezaspokojonym potrzebom. Greg jęknął głośno, gdy dotknęła przez materiał spodni jego wzwidzonego penisa, a potem przesunęła po nim czubkiem palca, jakby badała długość, mizdrząc się, by tym bardziej go podniecić i podrażnić.

On odwdzieczył się, gryząc ją delikatnie za uchem i pieszcząc jej piersi skryte pod sukienką. Kiedy jego dłonie odnalazły halkę, opuścił ją po-

woli, a do jej nagich piersi przylgnął materiał sukienki, pod którym nabrzmiały sutki, kiedy Greg bawił się nimi i delikatnie je skubał.

Nie powstrzymała go, kiedy podniósł sukienkę, a potem wziął ją na ręce i oparł o drzwi sypialni. Zarzuciła mu tylko ręce na ramiona i opłótła mocno nogami.

Wziął ją szybko i brutalnie, nie zawracając sobie nawet głowy zdjęciem jej majtek. Po prostu odgarnął luźny materiał na bok na chwilę przed lym, zanim rozpiął spodnie.

Krzyczała z podniecenia i rozkoszy, pozwalając mu wchodzić w siebie coraz głębiej, wbijając w niego paznokcie i trzymając się kurczowo jego ramion.

Greg skończył za szybko, ale udawała, że i ona miała orgazm, dając mu dojść przed nią. Przypomniała sobie, jak często robiła później tak samo. Ale teraz poddała się rozpacz i hysterii, błagając go:

- Greg, powiedz, że mnie kochasz.

- Wiesz, że cię kocham - skłamał z zakłopotaniem.

- Powiedz to. Chcę to usłyszeć.

- Kocham cię.

- Nie. Chcę, żebyś powiedział to jak należy i z przekonaniem. Tak jak dawniej.

Jej głos zaczął znów przybierać wysoki, piskliwy ton. Jeżeli dalej będzie tak krzyczeć, ktoś w końcu ją usłyszy Greg zaczął się pocić. Czuł się w tym pokoju jak w więzieniu. A ona była jego strażnikiem.

- Już późno. Muszę iść.

- Nie. - Odwróciła się i podbiegła do niego, chwytając za klapy marynarki i wieszając się na nim. - Chcę, żebyś został.

- Wiesz, że nie mogę.

- To przez twoją babkę. Pewnie już wybrała ci idealną kandydatkę na żonę.

- Nic mi nie wiadomo na ten temat.

- Ale nie miałbyś nic przeciwko, prawda?

- To jest idiotyczna rozmowa...

- Uważasz mnie za idiotkę? Nie myślałeś tak, kiedy się poznaliśmy. Wtedy mnie kochałeś. Pamiętasz? Powiedz, co pomyślałeś, kiedy po raz pierwszy mnie ujrzałeś.

To był rytuał, który Greg praktykował na wczesnym etapie ich związku, ale teraz stracił dla niego wszelki urok. Wydawał się raczej serią przeszkód, które musiał pokonać, zanim uda mu się wreszcie uciec.

- Pomyślałem, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem - odparł posłusznie.

- I co wtedy mi powiedziałeś?

- Powiedziałem, że cię uwielbiam i ubóstwiam. Ze cię pragnę i kocham...

- I że będziesz kochać mnie zawsze - dokończyła triumfalnie. - Nigdy nie miałeś mnie dość...

To była prawda. Były takie dni, kiedy pożerała go taka namiętność, że kończył w niej po niecałej minucie. Mieli za sobą wiele takich pospiesznych i potajemnych rendez-vous w ciemnych zakamarkach i zaciemionych korytarzach, kiedy ich pożądanie zamieniało się w akt erotycznego spełnienia. Tak jak wtedy, w pokoju muzycznym, kiedy jej mąż załatwiał jakieś interesy ze swoim zarządcą, a ona usiadła na taborecie przy fortepianie i poprosiła, by przewracał jej nuty, czekając, aż stanie obok i pozwoli jej rozpiąć spodnie. Jedną ręką pieściła umiejętnie jego kutasa, drugą grając na klawiszach, podczas gdy jej język błędził pracowicie po jego nabrzmiałej żołądki.

- Zawsze marzyłam o tym, żeby grać na takim instrumencie - powiedziała z udawaną niewinnością.

Wziął ją szybko i bezceremonialnie, podciągając jej suknię, gdy wypięła się lubieżnie, ukazując mu krągłe pośladki i wpuszczając go do swojej wilgotnej, gorącej groty. Oboje skończyli równocześnie, nasłuchując kroków zbliżającego się męża i jego zarządcy.

Tak, to były piękne czasy. Ale on najwyraźniej nie chciał już o nich pamiętać.

- Ty to powiedziałeś, Greg - przypomniała mu. - Powiedziałeś, że będziesz kochać mnie zawsze i nigdy mnie nie zostawisz.

- No cóż, kochanie, obawiam się, że właśnie muszę to zrobić. - Zdobył się na żalony uśmiech, starając się, żeby te słowa zabrzmiały żartobliwie. - Na pewno nie mogę zostać na całą noc.

- Ale zobaczymy się jutro?

Kiedy się zawahał, ona znowu wpadła w histerię.



- Musimy Muszę cię zobaczyć, Greg. Jeśli nie przyjdiesz, nie ręcę za to, co mogę sobie zrobić.  
Nie był to pierwszy raz, kiedy groziła mu w ten sposób. Ale obecnie jej groźby bardziej go drażniły, niż napawały lękiem. Przecież to ona miała więcej do stracenia, gdyby ich romans wyszedł na jaw.  
Później, kiedy wracał do domu, myślał z zazdrością o zbliżającym się wyjeździe Amber do Londynu. Ileż on sam by dał, żeby móc tam spędzić kilka miesięcy. Zwłaszcza teraz.

### Rozdział 3

Amber oczywiście popadła w niełaskę. Od jej urodzin minęły ponad dwa tygodnie, a babka dalej traktowała ją chłodno, odzywając się do niej tylko wtedy, gdy musiała.

- Greg, myślisz, że babcia kochała Barranta de Vries? - spytała Amber kuzyna.

Po uroczystym lunchu znajdowali się w sali bilardowej. Amber siedziała po turecku na parapecie, a Greg natarł kij kredą, po czym nachylił się i uważnie wycelował go w jedną z bil.

- A skąd, u licha, miałbym to wiedzieć? - odpowiedział.

Jeżeli babcia kochała Barranta de Vries, to dlaczego tak go teraz nienawidziła? - zastanawiała się Amber. Jeśli faktycznie tak było, musiała to być zupełnie inna miłość niż ta, która łączyła jej rodziców.

- Babcia wciąż nie chce ze mną rozmawiać. Och, Greg, tak chciałabym uniknąć tej prezentacji.

Amber aż zadrżała.

- Daj spokój. - Greg starał się ją rozweselić. - Może nie będzie tak tragicznie. Zawsze myślałem, że wy, dziewczyny, uwielbiacie stroić się w piękne suknie i chodzić na bale. Mogę cię zapewnić, że ja na pewno nie przegapiłbym takiej szansy zabawienia się w Londynie. - W oczach Grega zapaliły się ogniki. - Jest tam Kit-Cat Club, Embassy i Slipper. W tych klubach facet naprawdę może się zabawić. Może powinienem porozmawiać z babcią i spróbować namówić ją, by pozwoliła mi pojechać z tobą, żebym mógł bronić cię przed natrętnymi wielbicielami.

Greg zrobił na pokaz srogą minę, a Amber zachichotała.

- Muszę pojechać do Fitton Hall. Jeśli chcesz, mogę zabrać cię ze sobą. To by cię trochę rozchmurzyło.

Greg był dla niej taki dobry Amber była mu wdzięczna za troskę.

- Zdawało mi się, że przy śniadaniu babcia wspominała, iż lord Fitton Legh wyjechał do Londynu w interesach - powiedziała.

- Naprawdę? Nie przypominam sobie. Jeśli nawet, to nie ma żadnego znaczenia. Mam tylko oddać lady Fitton Legh kilka książek na prośbę babci.

Amber skinęła głową. Nie mogła się doczekać kolejnego spotkania z Caroline Fitton Legh. Wśród miejscowej śmietanki towarzyskiej zawrzało, kiedy lord Fitton Legh poślubił amerykańską dziedziczkę, młodszą od siebie o dwadzieścia lat i niewiele starszą od Amber.

Blanche zasiadała w tej samej komisji charytatywnej, co Caroline Fitton Legh i markiza wdowa Cholmondeley. W ubiegłym roku, w święta Bożego Narodzenia markiza zaprosiła Amber na kinderbal. Amber pamiętała, że obecni na przyjęciu dorośli plotkowali zawzięcie, unosząc brwi i powtarzając często zwrot *pas devant les enfants*. Odnosiło się to do faktu, że książe Westminsteru zaprosił do Eaton Hall Gabrielle Chanel, której stroje tak kochała jej babka. Naiwna Amber spytała później Grega, dlaczego dorośli uważali za niestosowne mówić przy dzieciach o wizycie panny Chanel w Eaton Hall. Greg zaśmiał się wtedy i zdradził Amber szokujący sekret:

- Dlatego, że panna Chanel jest kochanką księcia, niemądra.

Jednak to nie skandaliczne i niemoralne zachowanie księcia Westminsteru zaprzętało teraz myśli Amber, lecz małżeństwo Caroline z lordem Fittonem Leghiem. Czy rodzice Caroline też postanowili wydać ją za kogoś z tytułem? Czy dlatego wyszła za lorda Fittona Legha, który był od niej starszy? Przeszył ją lekki dreszcz. Czy i ją czekał taki sam los?

Amber zbiegła po schodach. Pod kremowy jedwabny żakiet włożyła swoją najlepszą czekoladową popołudniową sukienkę. Promienie grudniowego słońca wydobywały wzór z naszytych na nią małych kremowych diamencików. Choć sukienka była nowa, wyglądała jeszcze bardzo dziewczęco - miała wysoki kwadratowy dekolt, również obszty kremowym jedwabiem, oraz krótką plisowaną spódnicę. Całości dopełniały pasujące do torebki brązowe lakierki na niskim obcasie, z biegnącym w poprzek paseczkiem oraz kremowy kapelusz w kształcie hełmu udekorowany brązową wstążeczką i czekoladowobrązowym kwiatkiem z jedwabiu. Amber naciągnęła kapelusz głęboko na głowę i przekrzywiła lekko na bok, naśladując modelki na rysunkach w „Vogue'u”.

Kiedy zeszła do holu, Greg już na nią czekał, spacerując niecierpliwie tam i z powrotem. On również się przebrał i miał teraz na sobie tweedowy garnitur ze spodniami w stylu oksfordzkim, tak szerokimi, że widać było spod nich tylko nosy brązowych skórzanych półbutów. W rękach trzymał kapelusz, a gęste blond włosy, które zwykle spadały mu na oczy, gustownie zaczesał do tyłu. Wyglądał bardzo przystojnie.

- Gotowa, staruszek? - spytał.

Amber przytaknęła, biorąc go pod ramię, które podał jej z żartobliwym uśmiechem na ustach. Wilson, kamerdyner babci, wskazał jednej ze służących, aby otworzyła im drzwi. Amber poczuła się dorosła i taka dumna z tego, że mogła złożyć popołudniową wizytę w towarzystwie przystojnego kuzyna.

Należący do Grega jasnoczerwony roadster bugatti, na który namówił babcię po powrocie z Oksfordu, stał zaparkowany na żwirowym podjeździe.

Fitton Hall znajdowało się na wschód od Macclesfield, osłonięte od wiatru wzgórzami Derbyshire, natomiast Denham Place leżało na zachodzie. Te dwie wspaniałe posiadłości były oddzielone nie tylko miasteczkiem Macclesfield, ale także śliczną wsią Alderley Edge, gdzie kiedyś kończyła się linia kolejowa i gdzie mieszkali wszyscy bogaci baronowie kolejowi. Do Fitton Hall można się było dostać skrótem biegnącym wijącą się wiejską drogą, po której często jeździły maszyny rolnicze. Greg wybrał jednak dłuższą, lecz znacznie lepszą drogę. I gdy tak pędzili, mijając po drodze Stanley Hall, a następnie wspinając się na wzgórze między Alderley i Edge, Amber na chwilę wstrzymała oddech. Istniało wiele opowieści o Edge i jej magicznych właściwościach. Mówiło się na przykład, że w okolicy nigdy nie było słyhać śpiewu ptaków, a nawet że w jaskiniach pod ziemią żył kiedyś czarownik Merlin, który śpi tam nadal, strzegąc miecza króla Artura.

Kiedy zbliżali się do Macclesfield, Amber dotknęła ramienia Grega.

- Możemy przejechać obok fabryki? Proszę!

- Nie wiem, co ty widzisz w tym nudnym miejscu - skrzywił się. Zakład włókienniczy Denby Mili został zbudowany w stylu neopal-

ladyjskim, bardzo popularnym wśród właścicieli podobnych zakładów przemysłowych. W tym samym stylu powstało kilkanaście innych fabryk

w mieście, ale Denby Mili była jak dotąd największa z nich wszystkich -i przynosiła najwyższe dochody. Matka wytłumaczyła kiedyś Amber, że rodzina zawdzięcza sukces przodkowi, który kiedyś ożenił się z dziedziczką wielkiej fortuny, córką właściciela statku z Liverpoolu. Dzięki pieniądзом żony nie tylko zbudował tę fabrykę, ale też inwestował w rozwój kolei i kanałów.

Blanche Pickford dołożyła do tego jeszcze drugi majątek, który odziedziczyła po wuju, kawalerze ze strony matki. Razem z pieniędzmi jej zmarłego ojca była to iście bajeczna suma.

Matka Amber zdradziła jej również, że zgodnie z historią przekazywaną w rodzinie z pokolenia na pokolenie ten sam przodek zainteresował się Dalekim Wschodem, kopiując na swoim jedwabiu wzory z chińskiego obrazu - w ten sposób powstał wyjątkowy „chiński jedwab” z Denby Mili, który został zaprezentowany po raz pierwszy na wielkiej wystawie światowej, gdzie zachwyciła się nim sama królowa Wiktorja.

Jak większość zamożnych ludzi w tym czasie ich przodek, Josiah Denby, przekazywał część majątku na działalność charytatywną, pomagając ubogim w miasteczku i dając początek chlubnej tradycji pielęgnowanej przez kolejne pokolenia.

Jako dziecko Amber uwielbiała słuchać rodzinnych historii, które opowiadała jej matka.

W otoczonym wysokim parkanem z kutego żelaza fabrycznym ogrodzie stał pomnik założyciela. Przejeżdżając obok, Amber uśmiechnęła się, przypominając sobie, że kiedy była młodsza, chciała, by Josiah Denby zrobił coś bardziej ekscytującego - tak jak panna Brocklehurst, która wybrała się w podróż do Egiptu i przywiozła stamtąd wiele pamiątek, w tym mumię, wystawioną później w muzeum w West Park, gdzie mogli je podziwiać mieszkańcy miasteczka.

Kiedy przejechali przez Macclesfield, mijając znajdujące się tam zakłady, Greg skręcił w drogę, która prowadziła prosto do Fitton Hall i lasu Macclesfield.

Wkrótce dotarli szeroką, wysadzaną drzewami aleją do Hall i zatrzymali się przed stróżówką przy bramie w oczekiwaniu na kogoś, kto mógłby wpuścić ich na teren posiadłości.

Elżbietański dom i otaczające go ogrody zostały poddane renowacji przywracającej im pierwotny blask. Niektórzy utrzymywali, że Czarna Dama z sonetów Szekspira była jedną z Fittonów. Istniała także legenda, według której pewna należąca do tego rodu kobieta została zmuszona do zaaranżowanego małżeństwa, a potem utopiła się w jednym ze stawów znajdujących się między posiadłością a stojącym na terenie pobliskiej wsi kościołem - wolała umrzeć niż opuścić ukochany dom i zamieszkać z mężem, którego nie darzyła uczuciem.

- Och, Greg, ten dom jest piękny! - Amber zachwyciła się widokiem posiadłości, patrząc w stronę elewacji okazałego budynku z wielodzelnymi oknami, kiedy Greg zatrzymał samochód przed głównym wejściem.

Po chwili zjawił się służący, który otworzył im drzwi.

- Dzień dobry, paniczu Pickford.

Łatwość, z jaką odźwierny rozpoznał jej kuzyna, zaskoczyła nieco Amber, lecz była zbyt pochłonięta otoczeniem, by się nad tym dłużej zastanowić.

Dziewczyna rozejrzała się w niemym zachwycie po wyłożonym drewnem holu. Czy te hafty na kanwie, które zdobiły poduszki, były oryginalną robotą jakobicką? Chciała przyjrzeć im się z bliska, ale służący już czekał, by zaprowadzić ich na pokoje.

Hol miał kamienną podłogę przykrytą dywanem, na środku którego stał starannie wypolerowany stół, a na nim znajdował się wazon z przepięknym bukietem szklarniowych lilii i róż roztaczających wokół swój zapach. Kręte schody z balustradą misternie zdobioną owocami i liśćmi w stylu Grinlinga Gibbonsa prowadziły na galerię.

Oprawione w masywne ciemne ramy portrety rodziny Fitton Legh spoglądały na gości ze ścian, a wielki kominek był tak wysoki, że prawie na pewno mógł się w nim zmieścić wyprostowany człowiek.

- Chodźże wreszcie - syknął zniecierpliwiony Greg, ciągnąc za rękę Amber, która zatrzymała się, żeby chłonąć te cudowne widoki.

Amber posłusznie podreptała za służącym, który poprowadził ich korytarzem w stronę Wielkiej Sali. Z okien sięgających wysokości dwóch pięter roztaczał się przepiękny widok na starannie przystrzyżone trawniki, które ciągnęły się prawie po horyzont. Na ścianach wisiały broń i zbroje należące niegdyś do przedstawicieli rodu Fitton Legh.

Amber przyjrzała im się uważnie. Jej ojciec został poproszony przez nieżyjącą matkę lorda Fitton Legha o odwzorowanie tych zbroi na obrusach, dla uczczenia czterechsetnej rocznicy nadania posiadłości rodzinie Fitton Legh. Amber pamiętała, jak przyglądała się ojcu pracującemu nad tym zleceniem, kiedy studiował uważnie te wszystkie zbroje i broń, a potem przenosił je na papier. Pochylał się nad nimi, marszcząc czoło w głębokim skupieniu, po czym wołał do siebie matkę Amber i pytał ją o zdanie.

Ciężkie kotary w oknach były z kolei ozdobione motywem ananasa. Ojciec wyjaśnił kiedyś Amber, że był to ponoć pomysł samego lorda Fitton Legha, który chciał w ten sposób upamiętnić fakt, iż fortuna jego żony pochodziła z handlu towarami z Indii Zachodnich.

Przez cały pokój biegł niewyobrażalnie długi stół jadalny. Pod ścianą naprzeciwko wejścia stał misternie rzeźbiony parawan, a nad nim znajdował się balkon dla orkiestry.

- Chodź już!

- Przepraszam - zreflektowała się Amber. - Ale to wszystko jest takie piękne, że mogłabym tu stać godzinami.

Za Wielką Salą korytarz rozszerzał się, przechodząc w prostokątny przedpokój o bardziej współczesnym wystroju.

Amber zorientowała się, że znaleźli się już w części domu zaprojektowanej przez Roberta Adama. Ściany zostały pomalowane na delikatny pastelowo niebieski kolor, tynki zaś były białe. We wnękach stały popiersia ludzi, którzy - jak przypuszczała Amber - należeli do rodu Fitton Legh.

Przedpokój kończył się eleganckimi drzwiami z mahoni. Służący otworzył je i zaanonsował gości.

Pokój był pomalowany na kolor słomkowy. Meble w stylu regencji przykryto satynowymi narzutami w takim samym odcieniu, co sprawiało, że pomieszczenie tonęło w jasnym, ciepłym świetle.

Lady Fitton Legh spoczywała na niewielkiej sofie w towarzystwie Cassandry, która - jak Amber zdążyła się zorientować - mieszkała z rodziną Fitton Legh. Ci zaś byli spokrewnieni z rodem de Vries, z którego pochodziła nieżyjąca już żona Barranta. Jako dziecko Cassandra nie spędzała w Cheshire tyle czasu co Jay, dlatego Amber nie znała jej tak dobrze.

Cassandra była dwa lata starsza od Amber. Jej rodzice mieszkali w okolicach Brighton i jeśli wierzyć Jayowi, w czasie wizyty w Fitton w ubiegłoroczne święta otrzymała propozycję zamieszkania w tutejszej posiadłości. A ściśle z taką ofertą wyszedł sam lord Fitton Legh, chcąc w ten sposób sprawić przyjemność swojej żonie, która cierpiała na brak towarzystwa.

Na widok gości lady Fitton Legh zerwała się z sofy i wybiegła im naprzeciw, wołając z nieskrywaną radością:

- Greg, cóż za wspaniała niespodzianka!

Dla kontrastu Greg, odpowiadając na jej powitanie, wyraźnie zeszywniał i stracił tak charakterystyczny dla niego luz. Szybko odsunął się i powiedział oficjalnym tonem:

- Babcia poprosiła mnie o zwrot tych książek. Przyproceedziłem też moją kuzynkę Amber.

Za każdym razem kiedy Amber spotykała Caroline Fitton Legh, zachwycała się na nowo jej urodą. Caroline miała duże, głęboko fiołkowe oczy, tak wyraziste w jej delikatnej twarzy, oraz miękkie i pełne usta, które w tym momencie jakby lekko drgały, przez co dziewczyna sprawiała wrażenie smutnej i bezradnej. Jej skóra miała odcień lekkiej opalenizny, jakim mogły się pochwalić modelki z „Vogue'a”. Amber z chęcią oddałaby za taką cerę swoją typowo angielską, brzoskwiniową karnację. Caroline miała ciemne włosy, przycięte zgodnie z obowiązującą modą - blisko głowy i perfekcyjnie pofalowane. Jej jedwabna sukienka była w tym samym odcieniu co włosy. Amber nigdy nie widziała nikogo o równie smukłej i subtelnej budowie ciała. Pierścionki na serdecznym palcu delikatnej dłoni Caroline sprawiały wrażenie olbrzymich i ciężkich.

Cassandra, która do tej pory siedziała, podeszła i stanęła między Caroline a nimi. Amber zauważyła, że Cassandra spogląda na nich groźnie i marszczy brwi. Biedna Cassandra - pomyślała o niej ze współczuciem. Piękno lady Fitton Legh tylko podkreślało brak urody Cassandry. Wysoka i chuda jak tyczka, z kręconymi rudymi lokami, Cassandra miała reputację obcesowej i trudnej w obejściu. Nawet Jay przyznał kiedyś Amber, że ciężko mu było z nią wytrzymać i nie łączyły ich nigdy bliskie stosunki.

Widać było wyraźnie, że Cassandra nie jest zachwycona wizytą Grega i Amber. Patrzyła na nich z urazą, a na jej twarzy malowała się złość.



- Musicie zostać na herbatę - nalegała lady Fitton Legh. - Cassandra i ja trochę się nudziłyśmy. Greg, musisz opowiedzieć nam kilka dowcipów i rozśmieszyć nas. - To mówiąc, Caroline zadzwoniła po służącego, żeby podał herbatę.

Amber nie miała pojęcia, że jej kuzyn tak dobrze zna lady Fitton Legh, by zabawiać ją dowcipami.

- Uwielbiam angielski zwyczaj południowego picia herbaty - roześmiała się lady Fitton Legh. - Greg, usiądź przy mnie, proszę, i dopilnuj, żebym nie zapomniała o żadnym istotnym szczególe tego ceremoniału.

Ale Greg, zamiast przyjąć jej zaproszenie, wypchnął przed siebie Amber.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli Amber usiądzie przy tobie. Ja jestem zbyt niezdarny i na pewno coś strącę albo rozbiję, prawda, Amber?

- Czy to prawda, panno Vrontsky? Czy pani kuzyn rzeczywiście jest taki niezgrabny, czy tylko się z nami droczy? Na szczęście, zanim Amber zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł kamerdyner w asyście dwóch lokajów i pokojówki. Zaczęli podawać herbatę z nienaganną starannością i wyćwiczoną swobodą.

Kamerdyner polecił najpierw lokajowi zdjąć z wielkiej srebrnej tacy spirytusową lampkę pod czajnik. Następnie, kiedy lampka została już rozpalona, lokaj umieścił na niej dzbanek do herbaty. Wszystko musiało przebiegać w ściśle określonej kolejności, na świeżo wyprasowanym obrusie przykrywającym stolik obok sofy. W tym czasie pokojówka nakryła drugi stół i zaczęła rozstawiać chińską porcelanę z tacy, którą trzymał drugi lokaj.

Obaj służący zniknęli w korytarzu, by po chwili powrócić z wózkiem z herbatą, pełnym cienkich grzanek i różnego rodzaju herbatników i bułeczek z rodzynkami. Ale Amber z wrażenia nie mogła jeść. Była tak zdenerwowana i onieśmielona.

Przy herbacie Amber próbowała wciągnąć do rozmowy Cassandrę, podczas gdy lady Fitton Legh przekazywała Gregowi kilka informacji dla ich babci. Nie było to jednak łatwe zadanie, gdyż Cassandra na każde pytanie Amber odpowiadała zdawkowo „Tak” lub „Nie”. Dlatego Amber poczuła ulgę, kiedy lady Fitton Legh zadzwoniła po służących, żeby zabrali puste naczynia.

Niestety nadzieje Amber okazały się płonne, kiedy Caroline zaszczębiotała słodko:

- Greg, lord Fitton Legh będzie na mnie wściekły, jeśli dowie się, że byłeś tutaj, a ja nie mogę mu przekazać szczegółowej relacji z twojego spotkania z Komisją Parlamentarną. Cassandro, może zaprowadzisz Amber do pokoju muzycznego i zagrasz jej ten utwór, który ostatnio ćwiczysz. Amber, musisz wiedzieć, że Cassandra jest bardzo utalentowaną pianistką.

Przez moment Amber myślała, że Cassandra odmówi, była bowiem wściekła jak osa. Ale w końcu wstała, spłoniona gniewnym rumieńcem, i ruszyła w stronę drzwi, ignorując Amber, która musiała podbiec, żeby ją dogonić.

W pokoju muzycznym Cassandra dalej traktowała Amber jak powietrze, wprawiając ją tym w zakłopotanie. Usiadła przy fortepianie, podniosła klawisz i uderzyła w klawisze z taką mocą, fałszując przy tym niemiłosiernie, że aż zadygotały kryształowe żyrandole.

Amber przez dłuższą chwilę nie mogła się otrząsnąć z szoku wywołanego dziwnym zachowaniem Cassandry. Ta jednak nic sobie z niej nie robiła, tylko nadal grała tak głośno, że nie dało się rozmawiać. Amber miała nadzieję, że Greg wkrótce pośpieszy jej z pomocą.

Twarz Cassandry cały czas płonęła purpurą, a jej oczy błyszczały dziwnie. Amber nie wiedziała, co robić. Nigdy wcześniej nie miała do czynienia z takim zachowaniem. W szkole, do której chodziła, obowiązywała bardzo surowa dyscyplina i uczniom nie wolno było okazywać publicznie emocji. Uczono ich bowiem, że kobiecie nie wypada zdradzać swoich uczuć.

Nagle Cassandra przestała grać równie niespodziewanie, jak zaczęła.

- Wiesz, że twój kuzyn kocha się w Caroline? Ale ona nawet na niego nie spojrzy. Wyśmiewa się z niego. Obydwie to robimy.

Amber nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czowała się wyjątkowo skrępowana i szczerze mówiąc, trochę obawiała się Cassandry

- Musisz mu powiedzieć, żeby przestał nas nachodzić i zadreć Caroline. Jeśli tego nie zrobi, napyta sobie biedy

- Jestem przekonana, że się mylisz. Greg po prostu stara się być uprzejmy. - Amber mężnie stawiała czoło dziwnej dziewczynie.

- Nie, nie mylę się. Widziałam, jak na nią patrzy. Słyszałam te wszystkie kłamstewka, które jej opowiada. I wymówki, które wymyśla, żeby tu przyjeżdżać, choć nie ma tutaj nic do roboty.

Po tych słowach Cassandra zatrzasnęła z hukiem klawisz fortepianu, wstała i bez słowa wyszła z pokoju, zostawiając oszołomioną Amber samą.

Czy teraz czujesz się trochę lepiej? - spytał Greg Amber w drodze powrotnej do domu.

Amber spojrzała na swojego kuzyna, który nie odrywał wzroku od drogi przed nimi.

- Greg, Cassandra powiedziała mi coś bardzo dziwnego.

- Tak? A cóż takiego?

- Powiedziała, że kochasz się w lady Fitton Legh.

Nastąpiła krótka cisza, po której Greg wybuchnął nerwowym, nieco zbyt głośnym śmiechem.

- Boże, o czym wy, dziewczyny, rozmawiacie? Oczywiście, że nie kocham się w niej. Lady Fitton Legh jest mężatką.

Za to ta niedojrzała Cassandra faktycznie ma na nią fatalny wpływ. Czy wy zawsze musicie znaleźć sobie jakiś obiekt do plotek i pomówień?

Odpowiedź Grega wydała się sensowna i Amber nieco ulżyło. Chociaż wydarzenia dzisiejszego popołudnia sprawiły, że czuła się trochę skołowana.

Lady Fitton Legh była tak piękna, że Amber nie zdziwiłaby się wcale, gdyby Greg rzeczywiście się w niej zakochał. Ale na szczęście do tego nie doszło.

Jak sam powiedział, Caroline Fitton Legh była mężatką, a Amber nie chciałyby, żeby Gregowi złamał serce ktoś, kto nie był mu pisany i kto nigdy nie odwzajemniłby jego uczuć.

## Rozdział 4

- Amber, myślę, że miałaś wystarczająco dużo czasu, by przemyśleć swoje złe zachowanie i zdobyć się na przeprosiny, które jesteś mi winna.

Za co miałabym przeproszać? Za to, że powiedziałam, iż nie chcę brać udziału w tej prezentacji? Przecież to prawda?

- pomyślała Amber z oburzeniem, ale zamiast trwać w zacietrzewieniu, skłoniła się tylko i odpowiedziała posłusznie:

- Tak, babciu.

- Doskonale. W takim razie nie będziemy do tego wracać - odparła łaskawie Blanche, zrobiła pauzę, i kontynuowała:

- Wyjedziesz do Londynu na początku nowego roku. Wszystko już załatwiłam.

- Ale babciu, zastanawiam się tylko, jak to możliwe. Przecież na dworze można zostać zaprezentowanym tylko wtedy, gdy ma się czyjąś rekomendację i wstawiennictwo. - Amber jękała się w desperacji, lecz była to jej ostatnia nadzieja, której się uchwyciła jak tonący brzytwy: że zaprezentowanie jej na dworze w ogóle nie dojdzie do skutku.

Powtarzano jej to bez przerwy podczas nauki w szkole. Blanche Pickford mogła mieć więcej pieniędzy od większości rodzin innych dziewczyn w szkole, ale one miały coś znacznie cenniejszego: pochodzenie - powiązania i tytuły - i część z nich bardzo szybko dała odczuć Amber, jak nisko znajduje się ona w hierarchii społecznej.

Naturalnie nie wszystkie. Jak chociażby Beth - czy raczej lady Elizabeth Levington - jej najlepsza przyjaciółka, której Amber była dozgonnie wdzięczna za okazaną sympatię.

Amber nawet żartowała z faktu, że nie będą mogły razem chodzić na bale; cieszyła się z tego, że nie jest jej pisany taki los. Słyszała bowiem, że wszystko sprowadzało się wyłącznie do znalezienia w wyrachowany sposób i jak najszybciej bogatego męża.

- Znam dobrze zasady prezentacji debiutantek na dworze. - Głos Blanche znów stał się lodowato obcy. - Dlatego lady Rutland razem ze swoją córką przedstawią cię podczas jednego z oficjalnych salonów.

Amber zrobiło się niedobrze. Nadzieja, której uchwyciła się kurczowo, okazała się płonna. Co teraz zrobi? Nie było sensu oszukiwać się myślą, że mogłaby przeciwstawić się babce. Wiedziała, że to niemożliwe. Zostanie wysłana do Londynu, gdzie wpadnie prosto w objęcia lady Rutland. Czy jej się to podoba, czy nie.

Lady Rutland? To nazwisko wydawało jej się znajome. Tylko skąd...? Wtedy sobie przypomniała i jej rozpacz się nasiliła. Lady Rutland była matką Louise! Tej Louise, która tak jej nie znosiła i dokuczała jej w szkole przy każdej okazji.

W głowie Amber rozbrzmiały echa raniących słów z przeszłości.

„Vrontsky? Co to za nazwisko? - Louise zadrwiła z niej już pierwszego dnia zajęć.

- To nazwisko mojego ojca. Rosyjskie - odparła z dumą Amber".

Louise nabijała się z niej, nazywając ją „córka handlarza z Macclesfield" i podkreślając jej brak korzeni i pochodzenia, nieustannie przechwalając się przy tym swoim.

Amber nie mogła uwierzyć, że to właśnie matka Louise ma zaopiekować się nią w Londynie. Z tego, co mówiła Beth, wynikało, że ta kobieta jest jeszcze większą snobką niż jej córka. Arogancka i dumna. Dumna, ale biedna.

Wtedy do głowy Amber zakradło się lodowate podejrzenie. W ciągu kilku ostatnich dni, jakie upłynęły od jej urodzin, przekonała się, że nie wolno sądzić niczego po pozorach. Czyżby babka kupiła sobie patronat lady Rutland, tak jak zamierzała kupić Amber męża z tytułem?

Blanche wciąż mówiła, ale Amber przestała słuchać. Kiedy babka powiedziała jej o prawdziwym powodzie wyjazdu do Londynu, Amber pomyślała, że gorzej być już nie może. Ale była w błędzie.

Poczuła ulgę dopiero wtedy, kiedy mogła spędzić kilka chwil w samotności, spacerując ścieżką wśród pnącej się roślinności po mrocznym i wypielegnowanym ogrodzie otaczającym dom jej babki. Latem rosły tu pięknie kwitnące róże, ale teraz powietrze wypełniał intensywny zapach zimy.

Nagle Amber zatrzymała się. Usłyszała odgłos czyichś kroków na żwirowej ścieżce, która przecinała tę, po której ona sama szła. Odetchnęła

jednak z ulgą, kiedy z cienia wynurzyła się dobrze jej znana sylwetka Jaya, skąpana w świetle księżyca. Jay był wyższy od Grega i miał szare oczy, które błyszczały, gdy się śmiał, ale potrafiły też przybrać kolor mokrego błota, kiedy się smucił. Był starszy od Grega tylko o dwa lata, jednak znacznie przewyższał go dojrzałością. Miał na sobie proste, solidne spodnie i tweedową marynarkę. Wyglądał w tym stroju bardzo dobrze, chociaż Amber wiedziała, co pomyślałby sobie Greg, widząc go tak ubranym wieczorową porą. Ale Jay nie był typem mężczyzny, którego Amber potrafiłaby sobie wyobrazić w modnie skrojonym smokingu. Było w nim jednak coś takiego - rodzaj dyskretnej uczynności i niezawodności - co przyciągało do niego Amber, która nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć.

- Wyszłam, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i... pomyśleć - powiedziała, chociaż Jay nie zapytał o powód jej obecności w ogrodzie.

Nachylił się w jej stronę i zobaczyła, że jego oczy lśnią ciemnym blaskiem.

- Jay, czy kiedykolwiek pragnęłaś czegoś tak bardzo, że sprawiało ci to ból? - Głos Amber zadrżał. - Ja chciałam być projektantką i pracować w naszej fabryce jedwabiu. To było zawsze moje marzenie.

- Wszyscy mamy jakieś marzenia - odparł Jay cicho, a jednocześnie dobitnie.

- A ty o czym marzysz? - zainteresowała się. - Pewnie o tym, by odziedziczyć tytuł po swoim dziadku.

- Nie, wcale mi na tym nie zależy. - W głosie Jaya zabrzmiała pewność. - Ja kocham tę ziemię. - To mówiąc, schylił się, nabrał trochę ziemi z grządki i przesypał ją przez palce. - Ta żyzna gleba to życie, Amber. Stąpamy po niej, a mimo to zapominamy o tym. Bierzemy ją za coś oczywistego, tymczasem to jest prawdziwy cud. Kiedy nawozimy ją i pielęgnujemy, odwdzięcza się nam po stokroć. Mój pradziadek ze strony ojca był rolnikiem i jak sądzę, to po nim odziedziczyłem tę miłość do ziemi! Cenię sobie tę spuściznę znacznie bardziej niż tytuł de Vries.

- Szkoda, że moja babcia nie jest taka jak ty Dla niej liczy się wyłącznie tytuł.

Jay spojrzał na nią.

- Nie bój się, Amber. Kiedyś nadejdzie dzień, w którym obierzesz własną drogę i zaczniesz sama podejmować decyzje dotyczące twojego życia.

Uśmiech, którym obdarzył ją Jay, rozpromienił całą jego twarz. Jego oczy przybrały barwę roztopionego srebra i z jakiegoś niewyjaśnionego powodu serce Amber zaczęło bić coraz mocniej i szybciej. Wydawało jej się, że stoi w obliczu czegoś niezwykle ważnego. Czegoś, czego pragnęła, a jednocześnie obawiała się. Bezwiednie postąpiła krok w jego stronę, po czym szybko cofnęła się dwa kroki. Po drodze prawie się potknęła i Jay w porę powstrzymał ją przed upadkiem, kładąc rękę na jej ramieniu. Miał długie palce i zadbane czyste paznokcie. To była dłoń dżentelmena. Przez głowę Amber przelatywały setki słów. Podniosła wzrok i przyjrzała mu się. Na pograżonej w półmroku twarzy o silnych rysach tańczyły cienie. Jay odwzajemnił jej równie uważne spojrzenie. Cisza między nimi stała się intensywna i frapująca zarazem.

Amber zapragnęła nagle wyciągnąć rękę i dotknąć jego twarzy. Podążyć palcami za kształtem jego szczęki i lekko wystających kości policzkowych. Oddychała za szybko, zszokowana i podekscytowana swoimi uczuciami.

- Jay...

W chwili, w której wymówiła jego imię, puścił jej ramię i odsunął się.

- Powinnaś już wracać. Robi się coraz chłodniej i babcia zaraz zacznie cię szukać.

- Masz rację.

Odwrócił się do niej plecami. -Jay!

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że mam nadzieję, iż twoje marzenia się spełnią.

On także miał taką nadzieję - dla jej dobra - ale obawiał się, że życie może nie być takie szczodre.

## Rozdział 5

Styczeń 1930 roku

Amber i jej babka przybyły do Cadogan Place po południu, kiedy skute mrozem i spowite mgłą drzewa przybrały srebrnoszarą barwę, wznosząc wysoko rachityczne gałęzie, jak dzieci, które wyciągały ręce w ich stronę, kiedy jechały ze stacji Euston.

Kamerdyner, zgięty wpół pod ciężarem swojego wieku i z gilem sterczącym z nosa, wpuścił ich do holu, który - mimo doskonałych proporcji - był tak zimny, że Amber zadrżała, chociaż miała na sobie zimowy płaszcz.

Zauważyła, że Blanche dyskretnie zawija się w swoje futro. Ponieważ jej babka uważała, że Amber jest jeszcze za młoda, żeby nosić futra, jedynie kołnierz jej płaszcza został wykończony norkami.

Lady Rutland przyjęła je w prywatnym salonie na pierwszym piętrze. Pokój pachniał nieprzyjemnie starymi meblami i wilgocią. Jednak to nie matka Louise, wysoka i szczupła, o sztywnej jak kij postawie i głosie równie chłodnym jak powietrze w salonie, brylowała w czasie rozmowy, lecz Blanche ze swoim wytwornym akcentem i wystudiowanymi manierami.

Wspólnie ustaliły, że Blanche zostanie przez tydzień w Londynie, żeby upewnić się, czy wszystko jest gotowe do prezentacji Amber na jednym z oficjalnych salonów pod koniec kwietnia. Znając swoją babkę, Amber nie była zaskoczona faktem, że gdy tydzień później ta opuszczała dom przy Cadogan Place i wsiadała do bentleya z szoferem, nie tylko zdążyła zatrudnić pokojówkę dla Amber i Louise, ale też przedsięwzięła stosowne kroki, aby przedyskutować z projektantami mody i krawcową wszystkie szczegóły dotyczące nowej garderoby wnuczki.

Obydwie dziewczyny zostały zapisane na kurs tańca i dworskich ukłonów do prestiżowej Yacani School



of Dancing. Natomiast hrabina du Brissac miała im udzielać lekcji języka francuskiego, etykiety oraz „wdzięku towarzyskiego”. Babce Amber udało się także zmienić zimny jak lód dom, do którego weszły ledwie kilka dni wcześniej - gdzie serwowano niesmaczne posiłki, a pościel zawsze cuchnęła wilgocią - w przytulną posiadłość, w której ogień płonął w kominkach we wszystkich pomieszczeniach, w tym także w sypialniach dziewczyn, a posiłki, podawane na czas, były wystarczająco delikatne, aby sprostać najbardziej wysublimowanym gustom. Zatrudniono dodatkowych, zdolniejszych i rzutkich służących i zadbano o to, aby w swych pokojach panienki mogły brać gorące kąpiele. Na czas trwania salonu wynajęto dla nich rollsroyce a z szoferem i otworzono im osobiste rachunki w kilku sklepach, tak by mogły zaopatrywać się we wszystko, czego potrzebowały

Na chwilę przed odjazdem Blanche spojrzała surowo na Amber i powiedziała:

- Jesteś moją wnuczką, pamiętaj o tym. Oczekuję, że będziesz zachowywać się stosownie. Masz zawsze słuchać lady Rutland. Rozumiesz?

- Tak, babciu - odparła posłusznie Amber. Cóż innego mogła bowiem powiedzieć?

Kiedy babka przytuliła ją, Amber obowiązkowo ucałowała ją w policzek. Wyczuła, że zirytowała ją ta wymuszona serdeczność i brak entuzjazmu. Nie zamierzała jednak udawać, że jest tutaj z własnej woli i pragnie przyszłości, jaką zaplanowała dla niej babka.

Blanche puściła ją w końcu, odsunęła się i powiedziała ostrzegawczo:

- Pamiętaj, co powiedziałam, Amber. Nie chcę wysłuchiwać żadnych skarg ze strony lady Rutland.

- Oczywiście, babciu.

Amber usłyszała zniecierpliwienie w głosie Blanche, kiedy ta westchnęła i wskazała kamerdynerowi, żeby otworzył jej drzwi. Odprowadzała ją wzrokiem, aż samochód zniknął jej z oczu. Nie będzie za nią tęsknić - ani trochę, ale dość nieoczekiwanie poczuła się bardzo samotnie.

Od wyjazdu Blanche minęło zaledwie kilka minut, kiedy Louise przypuściła pierwszy atak na Amber. Poszła za nią do sypialni i stanęła w drzwiach, blokując jej wyjście.

- Nie sądzisz chyba, że będę udawać, iż twój pobyt tutaj jest mi na rękę - prychnęła gniewnie. - Bo nie jest. Nikt nie będzie tu z tobą rozmawiać ani zajmować się tobą. Mam nadzieję, że jesteś tego świadoma I za-nnerzam powiedzieć wszystkim, kim naprawdę jesteś.

- A powiesz im też, że moja babcia płaci twojej matce za mój pobyt tutaj i prezentację na dworze? - odparła bez emocji Amber.

Policzki Louise zapłonęły żywym ogniem. Widać było, że Amber trafiła w czuły punkt, ale na szczęście Louise obróciła się na pięcie i bez słowa wyszła z pokoju.

Ta wymiana zdań nadała ton dalszym relacjom między dziewczynami Nawet jeśli lady Rutland w.edziała, że Louise traktuje jej gościa z wrogością, me dała tego po sobie poznać. Nie była kochającą matką ani też nie okazywała córce specjalnie swoich względów. Wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że traktuje ją z takim samym chłodem, jak Amber. Ale Louise nie wydawała się zaprzętać sobie tym faktem głowy ani też przejmować się, że jej matka prowadzi bogate życie towarzyskie. Lady Rutland z pewnością nie opiekowała się obiema dziewczynami w taki sposób, w jaki zrobiłaby to na jej miejscu Blanche Pickford.

Amber tęskniła za domem w Macclesfield. Brakowało jej droczenia się z Gregiem i jego głupich żartów, a także Jaya. Kiedy po raz pierwszy wysłano ją do szkoły, też straszliwie tęskniła. Ale to było coś innego. Chodząc do szkoły, była przekonana, że czeka ją wymarzona przyszłość, którą sama sobie wybierze. Teraz bała się tego, co ją czekało.

Wynajęto również pokojówkę, która miała za zadanie odprowadzać dziewczyny na różne lekcje. Ale najwyraźniej lady Rutland znalazła jej jakieś inne zajęcie, ponieważ już tydzień po wyjeździe babci Amber musiała sama znaleźć drogę do niedużego domu hrabiny za sklepem Harrodsa Bez Louise, która oświadczyła, że nie ma potrzeby pobierania lekcji francuskiego ani „wdzięku towarzyskiego”.

Ponieważ hrabina niechętnie okazywała komukolwiek ciepło, które sama czerpała z rozpalonego kominka, Amber szybko odkryła, że sławne korepetycje ograniczają się w praktyce do wysłuchiwanie przeróżnych opowieści przyjaciółek hrabiny podczas popołudniowych nasiadówek przy herbatce. Dla młodej kobiety takie życie oznaczało tylko jedno - samotność

Amber wiedziała, że lady Rutland zabiera Louise na różne imprezy towarzyskie, na które ona nie miała wstępu. Louise chętnie o nich opowiadała, z jednej strony podkreślając, że są to zaproszenia stricte „rodzinne”, w których „naturalnie” Amber nie jest uwzględniana, z drugiej nie kryjąc, iż to kompletna fikcja. Spotkania te organizowały matki innych debiutan-tek, które również miały wziąć udział w prezentacji podczas dworskiego salonu - i z oczywistych względów nie chciały na nich widzieć konkurencji dla swoich córek.

Amber zastanawiała się, jak dalece to wszystko ma związek z jej pozycją społeczną - czy raczej jej brakiem - a w jakim stopniu macza w tym palce lady Rutland, której obecność Amber boleśnie przypominała o problemach finansowych. Wiedziała, że jej babcia prędzej czy później dowie się o tym wszystkim. Nie przejmowała się jednak zupełnie, że nie zapraszano jej na te imprezy. Prawdę mówiąc, nawet jej to odpowiadało.

Pomimo przejmującego chłodem zimowego wiatru Amber zwolniła kroku, zbliżając się do szkoły tańca Vacani na poranne zajęcia. Perspektywa kilku godzin spędzonych w tym miejscu napawała ją lękiem. Bynajmniej nie z powodu nauczycieli - ci byli dla niej bardzo mili, lecz z powodu grupy dziewczyn, którym przewodziła Louise. Dziewczyny szybko zauważyły, że Amber z trudem przyswaja naukę ukłonów, naśmiewały się z niej za plecami nauczycieli. Teraz Amber bała się zarówno samych lekcji, jak i upokorzenia, które się z nimi wiązało. Im bardziej się starała, tym bardziej niemożliwe wydawało się jej zachowanie właściwej linii stóp przy drążku, który trzymała w prawej ręce. Najpierw musiała schylić się nisko, a następnie płynnie się podnieść, tak by sylwetka pozostała nienagannie wyprostowana. To ćwiczenie musiały zaliczyć wszystkie debiutantki, zanim nauczyciele pozwolili im przejść do kolejnego etapu.

Louise dygała, jakby została do tego stworzona, co w pewnym sensie było prawdą. Amber pomyślała o tym z goryczą, ściągając płaszcz w szatni i zmieniając obuwie, zanim weszła na salę.

Bez względu na to, jak cierpliwa i uprzejma była wobec niej panna Marguerite, Amber wiedziała, że nigdy nie nauczy się właściwie dygać,

a w rezultacie pograży najpierw siebie, i co jeszcze gorsze, swoją babcię. Na samą myśl o takiej kompromitacji zadrżała.

Dzisiaj szło jej jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Na szczęście lekcja wreszcie dobiegła końca. Nie oznaczało to jednak końca ponizeń tego dnia.

Louise weszła do sali pod ramię z jeszcze jedną debiutantką i zatrzymała się celowo odpowiednio blisko, po czym powiedziała dostatecznie głośno:

- Ależ to oczywiste, że dziewczyna z fabryki tekstyliów w Macclesfield nie potrafi prawidłowo dygać. Nie ma do tego odpowiedniego urodzenia. A wdziałyście, jak tańczy? Przypomina wtedy konia pociągowego - To mówią, Louise zademonstrowała pokraczny taniec, po czym skłoniła się tak niezręcznie, że celowo upadła. - Mamusia ma rację: I w Paryżu nie zrobię z owsa ryżu. Tak jak nie sposób uczynić z kogoś takiego jak ty arystokratki. <sup>1</sup>

Jedna z dziewczyn zachichotała pod nosem, inna roześmiała się na cały głos. Nawet te dziewczyny, które nie należały do najbliższego otoczenia Louise, odsunęły się od Amber, jakby była co najmniej trędowata. Czy właśnie w ten sposób Barrant de Vries odtrącił moją babcię? - Amber zadała sobie to pytanie w myślach. Trudno jej było oswoić się z wrażeniem, że ma coś wspólnego z tą onieśmielającą starszą panią.

Listy, które przychodziły od Blanche, były pełne rozkazów i ostrzeżeń. Amber miała robić dokładnie to, co jej kazano, i uważać się przy tym za wszelką szczęściarę. Ale trudno było uwierzyć, że ktoś tak dominujący i zdeterminowany mógł pozwolić sobie na odrzucenie.

W szatni wszystkie dziewczyny rozmawiały ze sobą, ostentacyjnie ignorując Amber, która słyszała wyraźnie słowa Louise:

- Antheo, zobaczymy się na lunchu u lady Wilson-Byer? Myślę, że większość z nas została zaproszona, nieprawdaż? A tak, oczywiście z wyjątkiem ciebie, Amber. Wybacz, ale mamusia prosiła, bym ci przekazała, że dzisiaj popołudnie spędzisz sama. Zapomniałam o tym na śmierć tak mi przykro.

Pochylając się i zapinając buty, Amber obiecała sobie, że nie da im tej satysfakcji i nie rozplacze się.

Amber miała się udać do Normana Hartnella na przymiarke jednej z nowych sukienek, którą miała włożyć na spotkania poprzedzające właściwą prezentację. Poszła jednak wprost na Piccadilly, w kierunku National Gallery. W tym obcym i nieprzyjaznym jej świecie muzeum, które wcześniej wielokrotnie odwiedzała z rodzicami, stało się jej prywatnym schronieniem. Zazwyczaj wystarczyło, że odetchnęła głęboko powietrzem National Gallery, by się uspokoić. Ale dzisiejsze upokorzenie było zbyt mocne.

Amber stanęła przed ulubionym portretem jej ojca przedstawiającym Wawrzyńca Wspaniałego. Jak zawsze starała się spojrzeć na obraz oczami ojca i dokładnie go przestudiować. Tata lubił ten portret, ponieważ czuł niemal ciężar uwiecznionego na nim materiału - jedwabiu z Florencji farbowanego ałunem w Brugii. Amber dzwonił teraz w uszach śmiech ojca i oczami wyobraźni widziała jego uśmiech.

- Medyceuszom nigdy nie udało się przejąć kontroli nad handlem ałunem, który był monopolem papieżstwa - powiedziała na głos, zatopiona w przeszłości, która wydawała jej się dużo szczęśliwsza od terażniejszości.

- Myślisz, że taka była wola Niebios? Ze modlitwy papieża okazały się silniejsze od makiawelicznych umiejętności negocjacyjnych Medyceuszy?

Amber aż podskoczyła. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że odezwała się na głos. Nie zauważyła też za swoimi plecami mężczyzny, który teraz przemówił.

Rumieniąc się ze wstydu, potrząsnęła przecząco głową.

Mężczyzna roześmiał się i powiedział:

- Uważam to za powód do wstydu, że Medyceuszom się nie udało. Ale to pewnie dlatego, że zawsze miałem do nich słabość, zwłaszcza do starego Wawrzyńca, który do perfekcji opanował umiejętność łączenia korzyści osobistych z pobożnością.

Amber nigdy wcześniej nie widziała równie pięknego człowieka. Był niemal zbyt idealny, zwłaszcza jak na mężczyznę: wysoki i szczupły, z bardzo ciemnymi falującymi włosami, cudownie zielonymi oczami i bardzo jasną karnacją. Jego wygląd obudził w niej ducha artystki. Mężczyzna był ubrany w perfekcyjnie skrojony garnitur z tak wspaniale lejącego się materiału, że Amber wprost pożerała wzrokiem każdy jego szczegół. Co to

było? Wełna z domieszką jedwabiu? Amber zdusiła pragnienie, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć tej cudownej tkaniny

- Interesuje się pani Medyceuszami z jakiegoś konkretnego powodu? Głos nieznanego był jak najwyższej próby aksamit; zmieniał ton

i kolorystykę - raz ocieplał się, by po chwili ostygnąć. To wszystko zadziwiło i zafascynowało Amber.

- Niezupełnie. Mój ojciec uwielbiał ten obraz, chociaż twierdził, że w Petersburgu widział jeszcze lepsze. Rodzice przyprowadzali mnie tutaj i opowiadali o historii jedwabiu.

- Jedwabiu? - W głosie mężczyzny zabrzmiała uprzejmość.

- Proszę wybaczyć. Zatrzymuję pana, a w dodatku jeszcze pewnie zanudzam tymi historiami.

To mówiąc, Amber wykonała gest, jakby chciała odejść, ale mężczyzna pokręcił przecząco głową i powiedział:

- Skądże znowu. Przyznam, że moja wiedza na temat historii jedwabiu jest nader skąpa. Proszę spojrzeć, tam jest ławka. Może zechciałaby pani usiąść w moim towarzystwie i podzielić się swoją wiedzą?

Amber już otworzyła usta, żeby odmówić grzecznie, ale zanim zorientowała się, co się właściwie z nią dzieje, siedziała już obok mężczyzny i odpowiadała na jego pytania dotyczące jej domu i rodziny. Sama była zaskoczona tym, do jakiego stopnia obdarzyła zaufaniem człowieka, o którym kompletnie nic nie wiedziała.

- A więc pani babka nie pozwoliła pani studiować w szkole sztuk pięknych, tylko wysłała panią do Londynu, żeby nauczyła się pani dygania przed oficjalną prezentacją na jednym z salonów pod auspicjami lady Rutland, a w efekcie znalazła sobie utytułowanego męża. Pani jednak twierdzi, że nic z tego nie będzie, gdyż nie jest pani w stanie nauczyć się dworskiego ukłonu - podsumował mężczyzna z godną podziwu precyzją.

- Zgadza się - przytaknęła Amber. - Louise, to znaczy córka lady Rutland, twierdzi, że to niemożliwe, ponieważ nie jestem... nie mam... No cóż, jej zdaniem dygać potrafią tylko panny z właściwym pochodzeniem.

- Ach, pochodzenie. - Mężczyzna jakby zamyślił się na chwilę. - Wygląda na to, iż pani przyjaciółka nie nauczyła się jeszcze, że właściwe pochodzenie to stan umysłu, którego nie da się odziedziczyć w spadku.

Amber była przekonana, że mężczyzna stroi sobie z niej żarty, chociaż wyglądał na śmiertelnie poważnego.

- Może powinniśmy się sobie przedstawić - zaproponował nagle nieznajomy - Pani jest...

- Amber - dziewczyna odparła nieśmiało. - Amber Vrontsky Mężczyzna uściśnął wyciągniętą dłoń Amber, po czym wstał i wykonał lekki ukłon.

- Pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem Herr Aubert. - Mężczyzna powiedział to z takim nienaturalnym akcentem, że Amber mimowolnie zachichotała. - Mam szczęście i zaszczyt być najlepszym ekspertem w dziedzinie austriackiej szkoły dygania. Jeśli pani pozwoli, chętnie zademonstruję.

Zanim Amber zdążyła zareagować, mężczyzna puścił jej dłoń, po czym zgiął się w idealnym ukłonie. Kokieteryjny wyraz twarzy, który temu towarzyszył, sprawił, że Amber znów miała ochotę się roześmiać.

- Dobrze, panno Vrontsky Dość już tej niestosownej bez troski. Proszę się przyjrzeć i naśladować.

W galerii nie było żywej duszy i Amber, ani się obejrzała, również wstała z ławki i dołączyła do zabawy. Skłoniła się, po czym wyprostowała bez wysiłku i tak idealnie, jakby dyganie miała we krwi.

Pół godziny później z bolącą od śmiechu przeponą wreszcie zaprotestowała, kiedy jej nieoczekiwany i niewzruszony „nauczyciel” poprosił, aby dygnęła po raz kolejny.

- Nie dam rady więcej. Ze śmiechu boli mnie brzuch.

- Ze śmiechu? A cóż to ma znaczyć? Jest pani tutaj, by nauczyć się dygać, nie śmiać.

Kiedy Amber roześmiała się po raz kolejny, mężczyzna pokręcił głową z udawanym oburzeniem, po czym odezwał się już normalnym, poważnym głosem:

- A teraz powinniśmy uczcić pani zwycięstwo nad dyganiem przy filiżance herbaty w Ritzu.

Amber oblała się rumieńcem.

- Och, nie. Nie mogę.

- Ależ może pani. I powinna.

Oczywiście wyjście z obcym mężczyzną na herbatę było dalece niestosowne, ale Amber poczuła, że nie potrafi mu odmówić.

Wzięli więc taksówkę i pojechali do hotelu. Kiedy wchodzili do środka, portier uklonił się i powiedział:

- Dzień dobry, lordzie Robercie. Pan Beaton czeka na pana przy tym stoliku co zawsze.

- Dziękuję, Mullins - odparł mężczyzna, po czym zwrócił się do Amber: - Pozwól, dziecko.

Uwagi Amber nie uszło rzecz jasna, że portier nazwał jej towarzysza „lordem”. Była już wcześniej w Ritzu z babcią, ale za każdym razem hotel olśniewał ją przepychem. Kiedy zbliżyli się do stolika, przy którym siedział młody mężczyzna, jak spod ziemi wyrosło dwóch kelnerów, którzy odsunęli im krzesła.

- Cecilu, mój drogi - lord Robert przemówił do swojego gościa, przeciągając leniwie samogłoski, i Amber zauważyła, że zmienił nieco swój sposób bycia. Nie był już serdeczny i dowcipny, lecz raczej nieco flegmatyczny i elegancki. - Przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, kiedy dowiesz się, iż właśnie ocaliłem to biedne dziecko.

- To nie dziecko, Robercie, lecz młoda dama - odparł nieco uszczypliwie drugi mężczyzna.

- A tak, w rzeczy samej. Ta młoda dama studiowała portret Wawrzyńca w muzeum, gdyż postanowiła dokonać analizy jakości jego jedwabnego płaszcza. Mam wrażenie, że obawia się, iż tak żywy kolor zawdzięcza on wyobraźni artysty, nie zaś kunsztowi pracowników brukselskich farbiarni.

- Zgadzam się, w istocie - odparł mężczyzna, obrzucając Amber uważnym wzrokiem.

- Moja księżniczko, Cecil ma obsesję na punkcie koloru. I doprowadza tym do obłędu te biedne modelki, które fotografuje dla „Vogue'a”.

Cecil? To był Cecil Beaton! Amber miała szczęście spotkać wielkiego fotografa, którego sesje w „Vogue'u” podziwiała z takim zachwytem. Ta świadomość odebrała jej mowę.

- Opowiadasz mi tu jakieś banialuki, Robercie. A teraz powiedz prawdę, kim jest ta dziewczyna?



Amber posłała swojemu towarzyszowi błagalne spojrzenie, ale było już za późno.

- To Amber Vrontsky, córka Adama Vrontsky ego, jedna z tegorocznych debiutantek. Spotkałem ją w galerii tonącą we łzach, ponieważ nie potrafiła dygać. Ale to już się zmieniło, nieprawdaż? - W przep.ęknych oczach mężczyzny była jakaś dzika satysfakcja i rozbawienie.

- Vrontsky? Doprawdy? - Cecil Beaton zmrużył oczy - Czy pani ojciec był może księciem albo hrabią? Wydaje mi się, że spotkałem już kogoś o tym nazwisku - powiedział, po czym otworzył papierośnicę i poczęstował ją papierosem.

Amber odmówiła, patrząc, jak lord Robert sięga po jeden z wytwornych papierosów Black Russian.

- Nic z tych rzeczy - zdobyła się na odwagę, by odpowiedzieć fotografowi, który przyglądał jej się uważnie, wypuszczając przy tym z ust kłęb dymu o intensywnym zapachu. - Mój ojciec był artystą ^ projektantem tekstyliów. Po tych słowach Amber wstrzymała oddech, spodziewając się jakiegoś wyrazu tak dobrze znanego jej poniżenia. Ale Cecil Beaton zaciągnął się ponownie i powiedział:

- W takim razie miałem rację. Książę wśród ludzi.

- To prawda - przytaknęła z dumą. - A ja pragnę kontynuować jego dzieło, zamiast tego, co szykuje mi babcia.

- Chcesz zostać artystką?

- Nie. - Amber pokręciła głową. - Chcę robić dokładnie to, co mój tata. Projektować nowe wykroje z jedwabiu w naszym zakładzie, którego właścicielką jest moja babcia.

W tym momencie kelnerzy przynieśli i rozlali do filiżanek herbatę. Obaj mężczyźni zajęli się rozmową na temat jakiejś imprezy towarzyskiej, w której wzięli udział. Amber w tym czasie obserwowała otoczenie, przysłuchując się im jednym uchem. Od czasu do czasu wyłapywała jafaeś nazwisko, które wydawało jej się sławne. Ale dużo bardziej interesujące i ekscytujące były stroje kobiet, którymi nasyciała wszystkie swoje zmysły. Wcześniej widziała je tylko na rysunkach i zdjęciach w „Vogue 'u", teraz miała przed sobą na żywo - poruszające się w takt ruchów kobiecych

kształtów. Poczula gwałtowne ukłucie, kiedy zdała sobie sprawę, że większość kobiet ma na sobie ubrania z dzianiny od Chanel. Wtedy jednak dostrzegła kobietę w sukni od Schiaparelli i dosłownie zaparło jej dech w piersiach na widok płynnych ruchów jedwabnego stroju z przepięknie uszytym, niezwykle wytwornym, idealnie dobranym, jedwabnym żakietem. Na chwilę zapomniała o bożym świecie, chłonąc wzrokiem każdy detal - serce biło jej mocno zarówno w hołdzie materiałowi, jak i kunsztowi projektanta.

- Bardziej podobają ci się suknie Schiaparelli czy Chanel?

Amber osłupiała. Była tak pochłonięta widokiem sukni, że nie zauważyła, jak Cecil Beaton odwraca się w jej stronę.

- Chodzi o jedwab - odparła - i o kolor.

Potrząsnęła głową, nie znajdując właściwych słów, by opisać wrażenie, jakie wywarł na niej kolor sukni widziany na żywo, a nie na okładce -Vogue a . Był tak intensywny, jakby żył własnym życiem. Trzeba być naprawdę artystą, żeby uzyskać taki odcień żółci.

- Zastanawiam się, jakiego użyto barwnika. Widziałam ten projekt w „Vogue u', ale nie sądziłam, że w rzeczywistości wygląda jeszcze lepiej - W tym momencie Amber zobaczyła, że fotograf spogląda na nią z lekko kwaśną miną. Zreflektowawszy się, zapewniła go szybko: - Pańskie zdjęcia są doprawdy wspaniałe i potrafią odzwierciedlać rzeczywistość nieporównywalnie lepiej niż szkice.

Lord Robert wezwał kelnera i zamówił koktajle.

- Dla mnie i pana Beatona dubonnet z ginem - powiedział - pół na pół i bardzo zimne. A dla tej młodej damy, powiedzmy, lemoniada.

- Dlatego fotografie są przyszłością magazynów modowych - Wyraźnie udobruchany Cecil Beaton uśmiechnął się do Amber. - Powtarzam to do znudzenia wydawcom „Vogue a', ale czy oni mnie słuchają? Nie ponieważ nie są w stanie mentalnie przestawić się na nowe czasy. Ale udowodnię tej bandzie głupców, że mam rację. Aparat fotograficzny potrafi uchwycić rzeczywistość dużo ostrzej i wyraźniej niż zatrudniony na pełny etat rysownik z tubami nawet najlepszych farb. Projekty Schiaparelli są tego najlepszym przykładem. Jak sama przyznałaś, nie sposób oddać prawdziwy kolor jej sukni bez aparatu. Schiaparelli to oczywiście prawdziwa

artystka, do tego bardzo utalentowana, ale jeśli patrzysz na nią przez pryzmat przyszłości swojego jedwabiu, to raczej szukasz nie tam, gdzie trzeba. Moim zdaniem to Chanel ze swoją praktyczną dzianiną i mądrą, pozorowaną prostotą trzyma w ręku klucz do świata mody. Jeśli weźmiesz sobie do serca moją radę, z czasem sama zrozumiesz, że jedwab bardziej nadaje się do dekorowania domu niż ciała kobiety.

Cecil Beaton przerwał na chwilę i napił się dwa łyki koktajlu. Potem odłożył szklanekę, zapalił kolejnego papierosa i kontynuował:

- Wchodzimy w okres wielkich zmian, nie tylko w dziedzinie mody. Powinnaś przyjrzeć się nowym trendom w wystroju wnętrz. To tam rozegra się największa batalia o nowe materiały i ich zastosowanie. W Nowym Jorku posiadanie domu, który został odświeżony przez projektanta /, pierwszych stron gazet, należy już do dobrego tonu. Ludzie z naprawdę grubymi portfelami oczekują, że ich domy będą nie tylko wyjątkowe dla nich, ale także będą nosić „*cognoscentf*” eksperta i mieć widoczny na pierwszy rzut oka styl. Tutaj widziałbym w przyszłości miejsce dla ciebie. Powinnaś o tym porozmawiać z Leesem-Milne em. On ma bzika na punkcie domów i wie o nich wszystko. Szkoła sztuk pięknych to cenna rzecz, ale nie da ci dobrego oka ani wyczucia smaku. To się ma albo nie. A ja czuję, że ty takie cechy posiadasz. Zaufaj swojej pasji i daj się jej ponieść. Pasji nigdy nie wolno ignorować ani bagatelizować.

Amber słuchała Beatona z podziwem i pokorą, nie przerywając ani razu. Była mu wdzięczna, że poświęcił swój czas, by udzielić jej tak cennych rad. Nagle jej przyszłość, która rysowała się w bardzo mrocznych barwach, okazała się pełna niezwykłych możliwości.

- Mój tata też powtarzał, że trzeba iść z duchem czasu... - przyznała nieśmiało. - I że... - przerwała, gdyż do ich stolika zbliżyła się kobieta o olśniewającej urodzie, ubrana w delikatnie lejącą się luźną suknię, eskortowana przez szczupłego fircyka o aparycji fauna.

- Robert i Cecil, cóż za spotkanie! Potrzebuję waszej pomocy Cecilu, jak widzisz, pozwoliłam sobie zarekwirować twojego asystenta. Spotkałam go we foyer i uratowałam przed stadem rozhisteryzowanych młodych kobiet. Chciałabym z tobą porozmawiać na temat przyjęcia, które planujemy z Bryanem z okazji narodzin dziecka.

Amber me mogła oderwać od niej oczu. Kobieta miała na sobie wieczorowa suknie ze złotej lamy podszytej koronką i z satynowej krey. Na n.ą narzuciła cienki atlasowy płaszcz w kolorze brązowym, z brzoskwiową lamówką, również z atlasu. Na nogaeh miała buty ze srebrnej skóry z drobnym złotem. W eudownie pofalowane blond włosy wpięła brylantowe gwizdy, które odbijały światło żyrandoli. Na paleach i nadgarstkach miała więcej diamentów, a usta pomalowała różowobrazową szminką korespondującą z kolorem sukni i płaszcza.

- Co ja słyszę, kolejne przyjęcie? - Lord Robert przywołał kelnera - Pani Guinness wypije z nami herbatę.

Amber poczuła się kompletnie zagubiona. Tymczasem lord Robert nadal rozmawiał z panią Guinness.

- Diano, to wspaniale, że udało ci się osiąść fortunę Guinnessów a przy tym jeszcze dorobić się uroczonego męża - zakpił z niej, po czym zwrócił się do stojącego u jej boku młodego mężczyzny: - Saville, musisz usiąść obok Cecila, bo jeśli tego nie zrobisz, on gotów jeszcze obrazić się na mnie.

Młody człowiek posłusznie powędrował na wyznaczone miejsce, nic sobie nie robiąc z żartów swojego mocodawcy. Pani Guinness roześmiała się.

- Mój mąż powinien być uroczy, biorąc pod uwagę, że wkrótce wydam na świat jego potomka i być może spadkobiercę.

Amber zarumieniła się lekko, słysząc, w jak otwarty sposób pani Guinness wyraża się o swoim błogosławionym stanie.

- Pozostaje więc mieć nadzieję, że to rzeczywiście będzie syn i że urodzą go na czas i znacznie mniejszym wysiłkiem niż biedny Evelyn Waugh który trudzi się nad swoją nową książką. - Lord Robert wyszczerzył zęby w szatańskim uśmiechu.

Pani Guinness pokręciła głową.

- Robercie, jesteś potworem.

- Być może. Ale mam rację. Harold Acton powiedział mi, że kiedy spytał Evelyn, o czym będzie ta nowa książka, Eve odpowiedział mu iż jest to mieszanina seksu i snobizmu.

Pani Guinness po raz kolejny wybuchnęła śmiechem.

- Evelyn i te jego kosmate myśli. Mówi się, że on i Nancy przyjmują zakłady, czyja książka pierwsza zostanie określona przez Farve mianem „gniota”.

Ależ ona jest piękna i radosna! - pomyślała Amber z zazdrością. Nic dziwnego, że mężczyźni patrzyli w nią jak w obrazek i krążyli wkoło niej jak ćmy wokół lampy.

- Robercie, posłuchaj mnie teraz uważnie - odezwała się pani Guinness stanowczym tonem.

- W porządku - zgodził się lord Robert - ale najpierw, droga Dianio, najpiękniejsza ze wszystkich sióstr Mitford, pozwól, że przedstawię ci moją protegowaną.

- Kogo?! - Pani Guinness z trudem powstrzymała kolejną salwę śmiechu.

Amber załała się rumieńcem - zarówno pod wpływem świadomości, że znajduje się w towarzystwie kogoś, o kim do tej pory czytała tylko w „Vogue'u” i w kolumnach plotkarskich w prasie, jak i tego, że lord Robert nazwał ją swoją protegowaną.

Krępujące milczenie pierwszy przerwał Cecil Beaton, który odpowiedział Dianie:

- To panna Amber Vrontsky. Robert znalazł to dziecko w National Gallery i nauczył je dygać.

Niebieskie oczy obserwujące zalaną rumieńcem twarz Amber rozszerzyły się jeszcze bardziej.

- Ach, dyganie. Rzeczywiście, to coś straszego. Muv zagroził, że poprosi moją siostrę, aby mnie tego nauczyła. Ale na szczęście dla mnie Nancy spławiła go jedną ze swoich flirciarskich sztuczek, dzięki czemu mogłam pobierać lekcje dygania u panny Vacani. Biedne dziecko - Diana po raz pierwszy zwróciła się do Amber bezpośrednio - i do tego śliczne. Nie opędzisz się od adoratorów. Musisz przyjść na jedno z moich przyjęć. Wyślę ci zaproszenie.

- A co pani sądzi o Londynie? - spytał nieoczekiwanie Cecil Beaton.

- Kiedy odwiedzam galerie sztuki albo podziwiam jego wspaniałą architekturę, nie mam wątpliwości, że Londyn to najwspanialsze miasto, jakie miałam okazję odwiedzić, i czuję się z tego powodu bardzo dumna.

- Amber nabrała nagle jakby większej śmiałości. - Ale gdy widzę tych wszystkich biedaków zebranych na ulicach i czytam w gazetach, że nie ma dla nich pracy, czuję się zawstydzona i zażenowana.

Na chwilę zapadła cisza, po czym odezwał się znów Cecil Beaton

- Takie słowa z ust dziecka.

Amber zreflektowała się, że zdobyła się na zbyt daleko idącą śmiałość Greg zawsze nabijał się z niej z tego powodu, ale nic nie mogła poradzić na to, że rodzice nauczyli ją szacunku dla szczerości i prawdomówności

„Prawda czasem boli - powiedziała jej kiedyś matka - ale kłamstwo zadaje dużo dotkliwsze rany”.

Cecil Beaton i jego młody asystent omawiali jakieś szkice, które fotograf wysłał do „Vogue'a”. Cecil wyjął z kieszeni niewielki notes oraz ołówek, którym podkreślał najważniejsze fragmenty swoich wypowiedzi

Amber przyglądała się temu, zafascynowana i trochę zazdrosna nieświadoma, że jej twarz doskonale odzwierciedla targające nią emocje Sa-ville był nie lada szczęściarzem, mając takiego nauczyciela.

W pewnym momencie zakręciło się jej w głowie od przesyconego papierosowym dymem powietrza i upajających rozmów, w których wzięła dzisiaj udział.

Stoliki wokół nich zapełniały się ludźmi. Śmiechy stawały się coraz głośniejsze, a w miejsce filiżanek z herbatą pojawiały się kieliszki szampana.

- Robercie, myślę, że powinieneś zwrócić swoją protegowaną lady Rutland, zanim oboje wpakujecie się w kłopoty - ostrzegł przyjaciela Cecil Beaton, wrywając jednocześnie jedną ze stron swojego notesu

- To prawda, muszę już iść - przytaknęła Amber, nagle zdając sobie sprawę z upływu czasu, który swoim nieubłaganiem zmroził ją do szpiku kości. - Bardzo dziękuję za herbatę i za to, że byli państwo dla mnie tacy uprzejmi...

Raptownie podniosła się z krzesła, zdając sobie przy tym sprawę jak bardzo brakuje jej obycia wśród tych wszystkich wspaniale ubranych i wytwornych ludzi. Zastanawiała się także, w jaki sposób usprawiedliwi swoje spóźnienie przed lady Rutland. Serce biło jej coraz szybciej Co jej powie? Wiedziała, że nie powinna przebywać za domem tak długo

mówiąc, w ogóle nie powinna tu przychodzić. Ale cieszyła się, że jednak to zrobiła.

- Proszę, dziecko, to dla ciebie, na pamiątkę.

Strach Amber nagle ustąpił, a w jego miejsce pojawiła się mieszanina podziwu i zachwytu, kiedy spojrzała na karteczkę z miniaturowym szkicem, który podarował jej Cecil. Miała przed sobą małe - ale jakże celne - karykatury wszystkich osób siedzących przy stole. Pod spodem znajdował się podpis: „Panna Vrontsky raczy się herbatą”.

- Och, dziękuję. - To były jedyne słowa, jakie zdołała z siebie wyrzucić.

Wydawało jej się to tylko pięknym snem - trzymała w ręce jeden ze słynnych miniaturowych rysunków Cecila Beatona, na którym znajdowała się także ona sama.

Zanim wyszła, wezwano kierownika sali i polecono mu dopilnować, by Amber została bezpiecznie odprowadzona do samochodu. Wszyscy dżentelmeni wstali z za stołu i ukłonili się grzecznie, podając jej rękę, po czym Amber odeszła w asyście jednego z kelnerów.

Dotarła już do wyjścia, kiedy dogonił ją lord Robert.

- Gdyby spotkały panią jakieś niemiłe konsekwencje ze strony lady Rutland, proszę odesłać ją do mnie, dobrze? Jego troskliwość nie zna granic - pomyślała rozemocjonowana Amber.

- Jest pan taki uprzejmy - wyjąkała nieśmiało.

Lord Robert odprowadził ją wzrokiem do wyjścia. Ta dziewczyna musiała się jeszcze wiele nauczyć. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że to społeczeństwo dzieli się na ludzi, którzy akceptują przedstawicieli innych warstw społecznych, a nawet zadają się z nimi, oraz na takich, którzy nigdy tego nie zrobią.

On, rzecz jasna, należał do tej pierwszej grupy. Chętnie obracał się w towarzystwie wszystkich ludzi, którzy odznaczali się poczuciem humoru, stylem i, przede wszystkim, nieprzeciętną urodą. Żył w świecie, który był wyrafinowany, zabawny i pełen pieniędzy. Ale ten świat miał także ciemne strony - dwuznaczność, podejrzliwość, nonszalancję i bezwstyd. Nie brakowało w nim ludzi, którzy polowali na piękno, kupowali je i sprzedawali. Ten świat miał przywitać z otwartymi ramionami Amber

Vrontsky, która była piękna, miała do dyspozycji fortunę swojej babki i jej pragnienie dorobienia się tytułu. Ale czy Amber zdoła w nim przeżyć czy ten świat ją zmszczy? Biedne dziecko. Lordowi Robertowi zrobiło się je \*al. W końcu on sam wiedział doskonale, co to znaczy mieć okrutną i bezwzględną rodzinę. Jego dziadek... nie, wolał o tym nie myśleć.

Amber była pewna, że nie zapomni tego dnia do końca życia. Przepęłniała ją nowa nadzieja i szczęście. A mimo to nie mogła przestać zazdrościć młodemu asystentowi Cecila Beatona. Temu to się poszczęściło-

W taksówce, która wiozła ją do Cadogan Place, rozmyślała na przemian o tym, co powie lady Rutland, i o tym, jak mogłoby potoczyć się jej życie, gdyby odmówiła lordowi Robertowi spotkania.

Radość, jaką sprawiło jej to popołudnie, była jednak warta stawienia czoła gniewowi lady Rutland. Amber nigdy nie zapomni tego, że dobrze się bawiła i wszyscy byli dla niej uprzejmi. Zwłaszcza lord Robert Na twarzy dziewczyny pojawił się gorący rumieniec, a jej serce zaczęło bić mecc, szybciej. Lord Robert był taki zabawny... i przystojny. Było mało prawdopodobne, że kiedyś jeszcze się zobaczą, ale gdyby jednak tak się



## Rozdział 6

Gdy Amber dotarła do Cadogan Place, było już dobrze po szóstej i ani śladu po lunchu, który miała zjeść w towarzystwie lady Rutland i jej córki.

Pokojówka obdarzyła Amber spojrzeniem pełnym współczucia i przekazała jej, że ma się niezwłocznie pokazać lady Rutland. Zanim jednak to się stało, do sypialni Amber wpadła Louise, która nie zadała sobie nawet trudu, żeby zapukać. Wyglądała na wyjątkowo zadowoloną z siebie.

- Mamusia jest na ciebie wściekła - poinformowała Amber, zacierając dłonie z satysfakcji. - Pewnie napisze do twojej babci i przekaże jej, że z powodu twojego zachowania nie będzie mogła zaprezentować cię na dworze. Amber w pierwszej chwili pomyślała, że ktoś musiał przyuważyć ją w Ritzu i doniósł o tym lady Rutland. Na szczęście jej obawy przysły jak mydlana bańka, kiedy okazało się, że chodzi o coś zupełnie innego.

- Mamusia mówi, że nie zniosłaby wstydu, prezentując debiutantkę, która nie potrafi dygać.

Amber odetchnęła z ulgą. Była niewinna, ale nie aż tak naiwna, by nie wiedzieć, że przyjmowanie zaproszenia od obcych było nieporównywalnie cięższą zbrodnią towarzyską niż nieumiejętność dygania. Ale nie przejmowała się tym. Nie zamieniłaby tego cudownego popołudnia na nic innego.

Lady Rutland siedziała za małym biurkiem, które - o czym nie omieszkła powiedzieć Amber i Blanche - odziedziczyła po jakimś przód ku, który walczył pod Waterloo.

Amber zarumieniła się, gdy przypomniała sobie, jak jej babka odparła lodowatym tonem: „Czyżby? Jak dla mnie wygląda bardziej wiktoriańsko niż georgiańsko”.

Chociaż lokaj zaanonsował Amber, lady Rutland nie oderwała wzroku od listu, który czytała, zupełnie jakby dziewczyny nie było w pokoju. Minęło dobre pięć minut, zanim w końcu skończyła i odezwała się:

- Jedną z rzeczy odróżniających klasy wyższe od niższych w hierarchii społecznej jest świadomość ważności określonych wartości. W klasie

wyższej trzyma się język za zębami. Czytam właśnie list od twojej babki w którym wyraża ona zaniepokojenie, ponieważ, cytuję: „Moja wnuczka wbrew temu, czego oczekiwałam, nie uczestniczy w tylu spotkaniach towarzyskich, poprzedzających właściwą prezentację, ile bym sobie życzyła”

Amber zawstydziała się. Jay musiał coś powiedzieć babci. Przed wyjazdem z Denham udało jej się uprosić Grega i Jaya, żeby pisali regularnie. Greg okazał się jednak niesolidnym korespondentem. Jego listy były sztywne i zdradzały wyraźnie chęć korzystania z życia, zamiast pisanie o mm. Za to listy od Jaya były interesujące. Amber miała wrażenie, że prowadzi z mm regularne rozmowy, twarzą w twarzą, i z czasem pisała do mego coraz bardziej otwarcie o swoim życiu w Londynie

Jay odpowiedział jej w jednym z listów, utrzymanych w bardzo poważnym tonie, że choć babcia płaci lady Rutland za opiekę nad wnuczką, ta w rzeczywistości bierze pieniądze za coś, czego me robi. Amber me sądziła jednak, że Jay podzieli się tą wiedzą z babcią

Teraz zrozumiała, dlaczego babcia w ostatnim liście poprosiła o listę spotkań towarzyskich, w których do tej pory wzięła udział jej wnuczka

- Amber, szybko przekonasz się, że w towarzystwie donoszenie nie jest mile widziane. Chciałam oszczędzić twojej babce smutnych informacji na temat tego, że jej wnuczka robi z siebie pośmiewisko na lekcjach dygania, a kilka matek, których córki także uczęszczają na te lekcje, odmówiło zaproszenia cie na wydawane przez nie przyjęcia. Teraz jednak, głównie przez twoją nieroztropność, nie mam wyboru i będę musiała poinformować o tym wszystkim twoją babkę.

- Wiem, że Louise żywi nadzieję, iż babcia się rozmyśli i odeśle mnie z powrotem do domu. - Amber zdobyła się na odwagę. - Prawdę mówiąc nie miałabym nic przeciwko.

Lady Rutland nie wyglądała na zadowoloną z tego, co usłyszała Wręcz przeciwnie, sprawiała wrażenie złej jak osa.

- Nie ma mowy o powrocie do domu, Amber. Ostrzegam cię tylko przed fatalnymi skutkami pytlowania językiem. Jestem gotowa dać ci drugą szansę. W ostatnich dniach dwoiłam się i troiłam, błagając moje najlepsze przyjaciółki, żeby oddały mi tę osobistą przysługę, wpisały cię na listę swoich gości. Niebawem napiszę do twojej babki i przedłożę jej listę

wszystkich wydarzeń towarzyskich, w których weźmiesz udział za moim wstawiennictwem.

Nieoczekiwany zwrot akcji z początku nieco zbił Amber z tropu. Spodziewała się, że zostanie odesłana w nielasce do domu. Tymczasem właśnie dowiedziała się, że lady Rutland planowała zabrać ją na owiane legendą przyjęcia, na które wcześniej dziewczyna nie miała prawa wstępu. Amber zaczęła nawet podejrzewać, że lady Rutland najzwyczajniej w świecie obawia się jej babki.

- Wreszcie! Odchodziłam już od zmysłów, nie mogłam się doczekać. Dzwoniłam do ciebie godzinę temu i prosiłam o natychmiastowe spotkanie. Dlaczego jesteś dla mnie taki okrutny, Greg?

Podbiegła do niego i chciała rzucić mu się w ramiona, ale powstrzymał ją. Był rozdrażniony i przerażony.

- Caroline, przecież ustaliliśmy, że nie będziemy nigdy do siebie telefonować. Masz szczęście, że odebrał akurat Jay, a mnie udało się sprzedać mu jakąś tanią wymówkę, że masz dla mnie wiadomość od lorda Fittona Legha.

Caroline nie spodobało się, że została tak obcesowo odtrącona. Teraz dąsała się jak małe dziecko. Greg kiedyś uwielbiał te dziecinne fochy, ale teraz doprowadzały go do furii. Na litość boską! Caroline ma dwadzieścia trzy lata, nie siedemnaście.

- A teraz powiedz mi, co, u licha, podkusiło cię, żeby ryzykować i ściągać mnie tutaj.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, że mnie kochasz. - Teraz Caroline starała się być kokieteryjna, ale wcale nie poprawiło mu to humoru.

- Caroline...

- Powiedz to.

- Posłuchaj mnie...

- Powiedz to, Greg. Musisz to powiedzieć, w przeciwnym razie nie zdradzę ci, po co cię tu sprowadziłam.

Caroline zaczęła coraz bardziej podnosić głos, który przechodził już w krzyk. Greg, zaniepokojony, zerknął w stronę drzwi do sypialni.

Co innego było spotykać się z nią na wcześniej umówionej schadzce, kiedy szansa, że ktoś ich nakryje była minimalna, a łączący ich płomienny

romans był tylko ich tajemnica. Ale Cassandra, która czekała na Grega na podjeździe, a teraz prowadziła go do domu bocznym wejściem, wiedziała oczywiście, co jest grane. I równie oczywiste było to, że nie akceptuje tego związku - wystarczyło zobaczyć pogardę wypisaną na jej twarzy. Jednak tym razem Greg nie był tutaj z własnej woli. Prawdę mówiąc, gdyby to od niego zależało, nigdy więcej nie ujrzałby Caroline Fitton Legh i byłby z tego taktu niezmiernie szczęśliwy.

Do licha! Co miał zrobić, jak dać jej do zrozumienia, że nie jest już zainteresowany kontynuowaniem tego romansu? Caroline nie była pierwszą lepszą naiwną i знаła doskonale reguły rządzące tą grą. Musiała je znać skoro wyszła za mąż za mężczyznę, który mógłby być jej ojcem i który - jak twierdziła - nie był w sypialni ogierem.

- Powiedz to - nalegała Caroline.

Greg najbardziej na świecie nienawidził, kiedy go do czegoś zmuszano. Był łatwy w obejściu, tolerancyjny, ale także uparty. Nie kochał już Caroline i wiedział, że trafi go szlag, jeśli powie jej coś innego.

- Nie zamierzam grać dalej w te gierki. Mam wiele do zrobienia - To mówiąc, podszedł do drzwi.

Złapał za klamkę, kiedy Caroline powiedziała spokojnym głosem - Kiedyś te gierki z moim udziałem bardzo ci odpowiadały. A jeśli mówiąc o wielu rzeczach do zrobienia, masz na myśli tę idiotyczną karierę polityczną, to lepiej zastanów się jeszcze raz. Spodziewam się dziecka. Greg poczuł, jak pocałował mu się ręce, a klamka wyslizguje się z dłoni.

- Czuj się zaszczycony, że dzielisz się ze mną tą nowiną. Ale to chyba sprawa między mężem i żoną - wybuchnął.

- Albo między matką i ojcem dziecka - odgryzła się Caroline. Wpadł w panikę.

- Posłuchaj, Caroline, sprawy zaszły trochę za daleko. To, co nas łączyło było piękne i zapamiętam to do końca życia. Tak jak będę wspominać ciebie z sympatią i... czułością. Ale zawsze wiedzieliśmy, że możemy liczyć wyłącznie na chwilę zapomnienia i przyjemności.

Pocił się coraz obficie. A ona nie mówiła ani słowa. Stała tylko i przyglądała mu się w charakterystyczny dla siebie, wytrącający z równowagi.

- Oboje wiedzieliśmy, że prędzej czy później to musi się skończyć. A teraz doszedł jeszcze jeden ważny powód - ty i lord Fitton Legh będziecie mieć drugie dziecko.

- Nie! To nie jest dziecko mojego męża.

- Na Boga! - Greg stracił cierpliwość. - Co się z tobą dzieje, Caroline? Wiesz, że to dziecko zostanie uznane za potomka twojego męża. Nie ma innej możliwości. Pomyśl o tym, jaki skandal wywołałibyśmy w towarzystwie. Twój mąż rozwiódłby się z tobą i...

- I musiałbyś się ze mną ożenić. - Lekceważąco wzruszyła ramionami. - Ale rozwód to nic złego. Mój ojciec rozwiódł się z mamą, żeby móc poślubić swoją kochankę.

- Może w Ameryce to nic specjalnego - odparł Greg. - Tutaj jest inaczej. - Czuł jak ssie go z nerwów w żołądku. - Nie sądzisz chyba, że moja babcia wyraziłaby zgodę na to małżeństwo.

Zbyt późno zreflektował się, że palnął gafę. Caroline niemal rzuciła się na niego z wyciągniętymi pazurami. Jej twarz pulsowała z gniewu.

- Babcia! Myślisz, że nie wiem, że chowasz się ze strachu za jej plecami? Myślisz, że nie wiem o tej dziewczynie, którą odwiedzasz w Maccles-field? Jak możesz, Greg! To zwykła prostytutka, której ojciec dorobił się na produkcji parówek. Ale w sumie nie powinno mnie to dziwić, biorąc pod uwagę twoje pochodzenie.

Ta obelga mocno zaboląła Grega.

- Możesz mówić, co tylko zechcesz - syknął - ale Maisie jest od ciebie znacznie zabawniejsza i przebywanie w jej towarzystwie sprawia mi dużą przyjemność. Co się zaś tyczy pochodzenia i dobrego wychowania, skup się, proszę, na dziecku, które nosisz w brzuchu.

Caroline wzięła z toaletki lustro i cisnęła w jego stronę. Greg zdążył jeszcze usłyszeć za plecami dźwięk tłuczonego szkła, gdy lustro roztrzaskało się o drzwi, które zamknął w pośpiechu za sobą i wypadł jak z procy na korytarz.

- Lady Rutland oczekuje w salonie, panno Amber.

Serce Amber zamarło. Tylko nie to. Co ona znowu wymyśliła?

- Dziękuję, Alice. - Amber odprawiła służącą, ignorując wymowne spojrzenie Louise.

Tym razem lady Rutland nie była sama. Siedziała w towarzystwie dwóch innych osób. Jedna z nich, młoda kobieta w wytwornym i bogato zdobionym kapeluszu, wydała się Amber dziwnie znajoma. Drugi gość starszy mężczyzna, wsparty na lasce, miał na sobie coś w rodzaju czarnej profesorskiej togi, którą narzucił na włochaty tweedowy garnitur.

- Och, Amber - przywitała ją lady Rutland. - Masz niebywale szczęście, albowiem twoja babka nie ustaje w wysiłkach i wstawia się za tobą gdzie tylko może. Obecny tutaj profesor Roberts przybył, aby poinformować mnie, że pani Pickford poleciła mu udzielić ci kilku lekcji z zakresu architektury Londynu i jego sławnych budynków. Spodziewałam się że pan, Pickford osobiście pofatyguje się, by przekazać mi tę wiadomość' ale wnioskuje, iż miała na głowie dużo ważniejsze sprawy Co prawda nie wiem, jakie korzyści dla debutantki mogłaby ze sobą nieść nauka historii i architektury, ale być może wynika to z przekonania, że nasi przodkowie odegrali tak znaczącą rolę w historii tego kraju. A historia kraju jest historią zamieszkujących go wielkich rodów.

W tym momencie profesor chrząknął znacząco. Kiedy Amber przyjrzała mu się z uwagą, podniósł głowę i mrugnął do niej porozumiewawczo okiem, tak żeby nie zobaczyła tego lady Rutland.

Przecież to lord Robert! I asystent Cecila Beatona, Saville! Co oni tutaj robią, do tego tak dziwnie przebrani?

- Właśnie tak, moja droga lady Rutland - profesor odezwał się drżącym głosem. - Z tego, co pamiętam, pani dziadek poległ pod Sewastopolem. A jego kuzyn, markiz, służył w legendarnej brygadzie angielskiej kawalerii. To w istocie wspaniałe dzieje. Chociaż mnie bliższa jest historia polityczna. Wydaje mi się, że widziałem gdzieś zapis rozmowy, a właściwie kłótni, jaką jeden z pani przodków stoczył z Williamem Pittem Młodszym. Czy coś pani wiadomo na ten temat?

Lady Rutland była tak zaskoczona, że tylko pokręciła przecząco głową Lord Robert westchnął, wyraźnie zawiedziony, i powiedział:

- Jaka szkoda...

Następnie odwrócił się do Amber i zapytał:

- Czy to jest to dziecko?

- Tak - potwierdziła lady Rutland.

Mam nadzieję, że będzie pojętą uczennicą, chociaż z doświadczenia wiem, że takie młode dziewczęta mają raczej skłonność do głupstw i przykładania zbyt dużej wagi do spraw przyziemnych. Chciałbym, żebyśmy zaczęli niezwłocznie, najlepiej od zwiedzenia miasta.

- Ależ oczywiście, profesorze. - Lady Rutland nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń.

Amber z trudem powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Dziecko, słyszałaś, co powiedziała lady Rutland. Biegnij po wyjściowe ubranie. - Po tych słowach lord Robert zwrócił się raz jeszcze do lady Rutland: - Pozwoliłem sobie także zatrudnić przyzwoitkę dla tej młodej damy. Ale nie będę wam jej przedstawiał. Ona nie ma bladego pojęcia o historii wielkich rodów tego kraju.

Co się dzieje? - spytała Louise, kiedy Amber wbiegła po schodach do sypialni, żeby zabrać płaszcz. - Czego chciała od ciebie mamusia? I dlaczego wkładasz ten płaszcz? Amber, odpowiedz!

Ale Amber tylko potrząsnęła głową i wypadła na korytarz, zbiegając na złamanie karku po schodach do holu, gdzie czekał już na nią „profesor” i jego „przyzwoitka”.

- Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy zrozumiałam, że to pan, lordzie Roberts. - Amber wybuchnęła śmiechem, kiedy byli już na zewnątrz i z dala od domu.

- Ja nie mogę uwierzyć, że mam na głowie ten idiotyczny kapelusz -burknął Saville.

- A mnie się wydawało, że zawsze marzyłeś o karierze teatralnej, Saville - zakpił z niego lord Robert. - Powinieneś być mi raczej wdzięczny za możliwość niezobowiązującego treningu aktorskiego. Poza tym nie musiałbyś wkładać tego nakrycia głowy, gdybyś był łaskaw ogolić się rano.

Saville zamilkł, upokorzony, lord Robert zaś zwrócił się do Amber.

- To był pomysł Cecila. Jemu powinnaś być wdzięczna. No i Dianie, która również zdecydowała się wziąć udział w tej maskaradzie, kiedy Cecil zdecydował, że zostaniesz jednak jego protegowaną. Saville i ja jesteśmy tylko wykonawcami jego szatańskiego planu. Niestety obawiam się,

ze Saville został wypożyczony tylko na jeden dzień. Cecil nie jest w stanie dłużej funkcjonować bez swojego asystenta. Ale nie szkodzi. Jestem przekonany, że będziemy się świetnie bawić we dwójkę. Chyba że chcesz, bym znalazł ci inną przyzwoitkę?

Na ustach lorda Roberta błąkał się wciąż ten sam kpiarski uśmieszek. Ale serce Amber zatrzepotało z podniecenia, którego do tej pory nie знаła, choć jednocześnie domyślała się, o co tutaj może chodzić. Czyżby lord Robert rzeczywiście z nią flirtował? Amber pomyślała, że może to być prawda, lecz pozostawiła na razie tę myśl dla siebie.

- To było bardzo sprytne posunięcie wspomnieć przy lady Rutland o jej przodkach. Była pod wielkim wrażeniem pańskiej wiedzy

Saville parsknął szyderczo.

- A teraz do rzeczy, Amber. - Lord Robert zignorował asystenta Ceci-la. - Cecil dał mi precyzyjne instrukcje, zgodnie z którymi mam cię zapoznać ze światem londyńskiej mody. Załatwił nam między innymi wizytę w redakcji „Vogue'a”, chociaż znając go, może to być raczej kara niż nagroda. Mam cię także zabrać do sklepów i wyedukować w zakresie desig-nu i architektury. Cecil zastrzegł również, że przygotowuje dla ciebie testy sprawdzające to, czego się nauczyłaś.

Amber była wniebowzięta.

- Pan Cecil jest taki uprzejmy. Co sprawiło, że podjął takie wielkie ryzyko i poświęcił się dla mnie?

Lord Robert spojrział na nią. Nie było sensu tłumaczyć tej młodej panience, że Cecil Beaton jest częścią świata, w którym liczą się tylko chwilowe zachcianki - przynajmniej tak to wyglądało z zewnątrz. Cecil ciężko pracował i nawet jeśli był na tyle nonszalancki, żeby sprawiać wrażenie, iż jest inaczej, to była jego sprawa.

Z kolei opowiadanie Amber, jak wspaniale jest pić koktajle i rozmawiać o tym, jaką hecę można wywołać, by pomóc młodej naiwnej dziewczynie - zwłaszcza jeśli wiązało się to z planem, który zakładał nagłe zwroty akcji i przebieranie się - byłoby stanowczo zbyt okrutne. Dlatego lord Robert pominął to pytanie milczeniem.

- Ponieważ Cecil dużo podróżuje, główny ciężar twojej edukacji spoczywa na barkach moich, twojego profesora - oświadczył lord Robert,



zaciskając dłonie na połach togi. - Zaczniemy może od współczesnego fenomenu, jakim jest Selfridges. Selfridges! Amber zaświeciły się oczy. Wiele słyszała o tym słynnym sklepie, chociaż lady Rutland twierdziła, że jest on wulgarny, dlatego robili zakupy wyłącznie u Harrodsa.

- Podobno odbywają się tam także najlepsze przyjęcia - rozemocjonowała się Amber. - Czytałam relację w „Expressie”.

- Nie wierz we wszystko, co mówi lord Beaverbrook. - Lord Robert uśmiechnął się znacząco.

- W tym stroju na pewno nie wybiorę się do Selfridges - powiedział rozdrażniony sytuacją Saville.

- W porządku, mój drogi. Nie chcesz, nie idź - odparł Robert.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia - Robert figlarne, a Saville rozwścieczone.

Spędzili w Selfridges dwie godziny, wchodząc aż do ogrodu na dachu, żeby zobaczyć wyłaniające się z ziemi cebulki. Usiedli także na chwilę w kawiarni napić się herbaty, zanim zeszli z powrotem na dół, by przyjrzeć się jednej z najszlachetniejszych modelek Selfridges prezentującej najnowszą kolekcję biżuterii.

- Co o tym sądzisz? - spytał lord Robert.

Amber zawahała się przez moment, po czym odpowiedziała:

- Jest bardzo piękna. Te wszystkie diamenty tak bardzo się świecą, ale...

- Ale? - zachęcił ją, by rozwinęła myśl.

- Nie są w moim guście. Wolę coś mniej... błyszczącego.

Z uznaniem skinął głową. Cecil się nie mylił. To dziecko miało bystre oko i dobry gust, chociaż biorąc pod uwagę sytuację, w której się znalazło, nie wiadomo było do końca, czy uczyni z tych darów jakikolwiek pożytek. Jedno było pewne. Amber nie robi kariery jako jeden z asystentów Cecila. Brakowało jej bowiem pewnej bardzo ważnej cechy. Nie była mężczyzną.

Nagle Amber otworzyła szeroko oczy, dostrzegając w tłumie znajomą postać.

- To przecież księżę Walii - wyszeptała z podziwem.

- W rzeczy samej.

Lord Robert spojrział w tamtą stronę i zobaczył, że księżę jest w towarzystwie swojej kochanki, Fredy Dudley Ward. Księżę miał słabość do wygadanych amerykańskich kobiet. Najchętniej zamężnych. Ale nie miał zamiaru mówić o tym Amber, która w wielu kwestiach była jeszcze tak słodko naiwna.

Godzinę później lord Robert odstawił wyczerpaną, ale szczęśliwą Amber do Cadogan Place.

Dwa dni później, leżąc wieczorem w łóżku, Amber doszła do wniosku, że jest szczęśliwa jak nigdy przedtem.

Wczoraj lord Robert zabrał ją do Sel-fridges, a dzisiaj po raz pierwszy zaprezentowała perfekcyjne dygnięcie.

Dość nieoczekiwanie dzięki lordowi Robertowi Londyn i jej nowe życie stało się dla Amber bardziej ekscytujące i zabawne, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać. Miała ogromne szczęście, że spotkała na swojej drodze lorda Roberta, a on zaprzyjaźnił się z nią na swój sposób. Nie mogła się doczekać kolejnego spotkania.

## Rozdział 7

To niedopuszczalne i gdybym tylko mógł, zmiażdżyłbym go jak pluskwę. Blanche Pickford spojrzała na swojego gościa, starając się nie zdradzać furii, jaka w niej wzbierała.

- Zgadzam się, lordzie Fitton Legh. To rzeczywiście niedopuszczalne, żeby kobieta okłamywała męża, ukrywając przed nim romans. Zanim jednak zmiażdży pan mojego wnuka jak pluskwę, chcę przypomnieć, że do popełnienia grzechu cudzołóstwa potrzebne są dwie osoby.

Pokryta plamami wątrobowymi skóra jej sąsiada oblała się wściekłą purpurą.

- Droga pani, najwyraźniej nie zrozumiała pani tego, co staram się powiedzieć. To pani wnuk zbałamucił moją żonę. Na Boga, kobieto, mam na to świadka! Cassandra wszystko widziała.

- Tak, słyszałam to już. - Blanche ostentacyjnie skinęła głową. - Biedactwo z tej pana żony, na pewno przeżywała katusze, nie mogąc się zdecydować, którego z dwóch starających się o jej względy mężczyzn wybrać.

Lord Fitton Legh wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować.

- Niech mi będzie wolno powiedzieć, madame, że taka reakcja zdradza pani klasę - czy raczej jej brak - syknął pogardliwie. - Każdy, kto może się poszczycić szlachebnym urodzeniem, zrozumiałby...

- Co takiego? Co tu jest do rozumienia poza tym, że mój wnuk i pana żona zabawiali się pod pana nosem? Czy błękitna krew jest bardziej wodnista od czerwonej? Czy chce mi pan powiedzieć, że ludzie szlachebnie urodzeni nie wdają się w romanse? Lordzie Fitton Legh, bądźmy ze sobą szczerzy. Zależy panu teraz tylko na tym, żeby mój wnuk został ukarany

- Ukarany? Bardziej stosowne wydaje mi się słowo „zrujnowany”. Konkretnie decyzje pozostawiam już pani. W tej sytuacji oczekuję jednak, że pani wnuk wycofa się z wyborów do parlamentu. Zwłaszcza kiedy ludzie dowiedzą się, jaką krzywdę wyrządził mojej żonie... Och, proszę nie patrzeć na mnie w ten sposób. Cassandra jest gotowa przysiąc na Biblię, że

wina leży w całości po stronie pani wnuka. Moja żona poskarżyła się jej na grubiańskie zachowanie Grega, a kiedy któregoś dnia Cassandra usłyszała krzyki Caroline, pospieszyła jej na pomoc i odkryła w jej sypialni pani wnuka, który zaatakował właśnie moją żonę i chciał ją skrzywdzić.

- To równie szokujący, co kłamliwy stek bzdur. Wprawdzie to nie moja sprawa, ale przestrzegam przed wywlekaniem tego wszystkiego na widok publiczny, lordzie Fitton Legh. Zawsze znajdą się ludzie, którzy uważają, że nie ma dymu bez ognia, a lady Fitton Legh to wyjątkowo piękna kobieta, która wyszła za dużo starszego od siebie mężczyznę.

- Jakim prawem... Zniszczę go. Na pani oczach. Greg przez resztę życia nie będzie mógł się pokazać w Cheshire.

- Rozumiem pana zranione uczucia. Greg zachował się nagannie i jestem gotowa go za to ukarać. Zostanie wygnany z Cheshire, a być może także z Anglii - na jakiś czas. Ale nie będę stać i przyglądać się biernie, jak rujnuje mu pan życie.

- Nie powstrzyma mnie pani.

- Tak mi przykro, że musi się pan borykać z jeszcze jednym zmartwieniem. Słyszałam, że pana teść stracił ostatnio sporo pieniędzy na Wall Street.

Blanche zamilkła na chwilę i spojrzała na swoje dłonie, jak gdyby ten widok interesował ją znacznie bardziej niż rozmowa. Po chwili jednak podniosła wzrok i popatrzyła lordowi Fitton Legh w twarz, by kontynuować z udawaną uprzejmością:

- Ma pan w tej chwili, nazwijmy to, przejściowe kłopoty finansowe. Do tego stopnia, że musiał pan zastawić Fitton Hall.

- Skąd pani wie takie rzeczy?

- Nieważne, mam swoje sposoby. Moim zdaniem to dość nieroztropne przyjmować pod swój dach młodych ludzi, nie sprawdzwszy ich uprzednio. Zwłaszcza jeśli chodzi o pewien typ osobowości. Mam tu na myśli biedną Cassandrę. Nie chciałabym być zbyt wścibska, ale sporo się mówi na temat jej skłonności do tej samej płci. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że wiele osób może podać w wątpliwość jej wersję historii o romansie pańskiej żony z moim wnukiem. To takie niemiłe i wstrętne. Ale mleko się rozlało i nie mamy już na to wpływu. Jednakże jestem prze-

konana, że dwoje dojrzałych, rozsądnych ludzi - takich jak pan i ja - jest w stanie wymyślić coś bardziej racjonalnego i odpowiadającego prawdzie. Młody mężczyzna, głupi i łatwowierny, zakochuje się w oddanej i pięknej mężatce. Sytuacja godna pożałowania, ale do pewnego stopnia zrozumiała. Oczywiście żadne z nich nie ma zamiaru wkleść się w ten romans. Oboje pochodzą w końcu z dobrych domów i są ludźmi honoru. Niestety na skutek splotu nieszczęśliwych zdarzeń wpadają na siebie. Młodzieniec, w gorącej wodzie kąpany, traci na moment głowę, a osamotniona mężatka pozwala sobie na chwilę zapomnienia w jego ramionach. Oboje tego żałują. Pech chciał jednak, że świadkiem ich afektu jest pewna młoda, niestabilna emocjonalnie kobieta, która musi się jeszcze wiele nauczyć o świecie. Opiekunowie tych młodych ludzi wspólnie postanawiają, że mężczyzna zostanie wygnany z domu, żeby mógł przemyśleć konsekwencje występku, którego się dopuścił. Oddana żona pozostaje rzecz jasna przy mężu. Honorowy kochanek zachowuje w tajemnicy, że samotna żona wpuściła go do swojej prywatnej sypialni, bez przyzwotki i pod nieobecność męża. Kobieta również powinna ponieść karę na łonie swojej rodziny. Nie widzę jednak powodu, aby skazywać ją na jeszcze większe upokorzenie niż to, którego doznała. Sądzę, że Caroline odebrała już swoją życiową lekcję.

- To zwyczajny szantaż.

- Nie, lordzie Fitton Legh, to się nazywa instynkt samozachowawczy

- poprawiła go Blanche lodowatym tonem. - Rozumiem, że pańska duma mocno ucierpiała, ale jestem pewna, że określona suma pieniędzy - powiedzmy tyle, żeby spłacić wszystkich dłużników i zatrzymać Fitton Hall

- powinna załatwić sprawę, a panu pozwoli szybko stanąć na nogi.

Po wyjściu lorda Fittona Legh Blanche odczekała co najmniej pół godziny, zanim sięgnęła po oprawione zdjęcie, które trzymała w górnej szufladzie biurka. Z fotografii spoglądał na nią młody mężczyzna. Jej syn. Ojciec Grega.

- Powinieneś być przeżył - powiedziała na głos, czując w gardle tak dobrze znaną suchość. - Gdybyś żył teraz, nic takiego by się nie zdarzyło.

Odłożyła fotografię z powrotem do biurka i zadzwoniła po Wilsona.

- Kiedy wróci panicz Greg, proszę mu powiedzieć, że chcę go widzieć.

\*

Boże, jaka to ulga pozbyć się wreszcie Caroline. Od ostatniej jej próby skontaktowania się z nim upłynęły już trzy dni. Greg czuł się lekko i rześko, jak gdyby z barków spadł mu wielki ciężar. Był w tak dobrym nastroju, że postanowił to uczcić. Oczywiście w towarzystwie Maisie -pomyślał, szczerząc zęby w uśmiechu, kiedy wysiadł ze swojego czerwonego bugatti i w pośpiechu wszedł do domu. Nie czekając na kamerdynera, zdjął płaszcz i kapelusz, po czym cisnął je w kierunku stojącego w kącie wieszaka. Płaszcz chybił celu, ale kapelusz wylądował na jednym z haczyków.

- Niezły rzut, co? - pogratulował sam sobie, kiedy Wilson schylił się, żeby podnieść płaszcz.

- Pani Pickford prosiła, żebym panu przekazał, iż oczekuje na pana niezwłocznie po przybyciu - poinformował go kamerdyner.

- Naprawdę? W takim razie chyba faktycznie nie będę zwlekać, tylko zobaczę, czegoż ona może ode mnie chcieć - roześmiał się Greg.

- Gregory, czy nie chcesz mi o czymś powiedzieć?

Przestąpił z jednej nogi na drugą. Zdążył się już nauczyć, że należy zachowywać daleko idącą ostrożność, kiedy babka zwraca się do niego tak oficjalnie.

- Raczej nie, babciu. Może poza tym, że chciałbym wyskoczyć na kilka dni do Londynu i zobaczyć, jak się miewa nasza mała Amber.

- Jestem do głębi wzruszona twoją troską o kuzynkę. Wzruszona i zaskoczona. Tym bardziej że swoim zachowaniem zagrażasz reputacji całej naszej rodziny.

Greg poczuł ścisk w żołądku. Był na tyle bystry, że wiedział doskonale, do czego zmierza ta rozmowa.

- Mam tu oczywiście na myśli twój romans z Caroline Fitton Legh. Odwiedził mnie dzisiaj jej mąż.

A więc lord Fitton Legh odkrył prawdę? Greg pobladł.

- Najwyraźniej Cassandra nakłoniła Caroline, by wyjawiała mu waszą tajemnicę po tym, jak Cassandra zastała was *in flagranti*. Chociaż, jak się domyślam, ten niecny uczynek był raczej twoim pomysłem niż Caroline.

zgodnie z tym, co zeznała Cassandra, rzuciłeś się na lady Fitton Legh i zaatakowałeś ją.

- To kłamstwo!

- Wasz związek też jest kłamstwem? Greg nie odważył się zaprzeczyć.

- W takim razie uznaję, że miałaś romans z Caroline Fitton Legh.

- To nic takiego, drobna słabostka.

- Wręcz przeciwnie. Tak ci się tylko zdaje. Teraz rzecz jasna nie możesz robić sobie nadziei na fotel odchodzącego na emeryturę członka parlamentu. Lord Fitton Legh dopilnuje tego. On i jego rodzina mają zbyt rozległe kontakty, by je ignorować. Gregory, rozczarowałaś mnie swoim brakiem wyobraźni i inteligencji. Trzeba było pomyśleć, zanim rzuciłeś się w jej ramiona. Lord Fitton Legh zażądał, żebyś opuścił Cheshire, i w tej sytuacji muszę się z nim zgodzić, że to najlepsze wyjście. Gdyby nie ta przeklęta Cassandra, która miele ozorem na lewo i prawo, może udałoby się zataić tę historię. Ale sprawy zaszły już za daleko. Teraz дума lorda Fittona Legha domaga się zadośćuczynienia w postaci twojej banicji. Muszę powiedzieć, że bardzo mnie zawiodłeś, Gregory

- Babciu, to nie moja wina - zaprotestował. - Przysięgam, że to była inicjatywa Caroline. A kiedy próbowałem zakończyć ten nieszczęsny romans, nie pozwoliła mi na to i teraz się mści.

Blanche przyjrzała mu się przez chwilę, po czym powiedziała spokojnym tonem:

- Czekaając na twój przyjazd, napisałam list do Henryego Jardinea, który prowadzi interesy w Hongkongu, z pytaniem, czy nie znalazłby tam dla ciebie jakiegoś zajęcia. Zyskałbyś bardzo cenne doświadczenie. Jardine to biznesmen najwyższej klasy, który pośredniczy w imporcie jedwabiu, a nasze rodziny znają się od trzech pokoleń. Oczywiście nie oczekuję od ciebie, żebyś natychmiast zajął się handlem zagranicznym, Gregory, niemniej umiejętność zarządzania pieniędzmi przyda się każdemu. Jestem pewna, że lord Fitton Legh zgodziłby się ze mną. Wstręt, jaki Blanche czuła do handlu, w praktyce oznaczał, że nie chciała inwestować pieniędzy na giełdzie. Jej bajeczna fortuna brała się

z żywej gotówki trzymanej w tych samych skarbcach bankowych, co oszczędności rodziny królewskiej.

- Hongkong?

Greg już miał zaprotestować, kiedy przypomniał sobie opowieści o przyjęciach organizowanych przez Anglików mieszkających na obczyźnie. W każdym razie Hongkong nie mógł być nudniejszy niż Macclesfield. Z łatwością przychodziło mu lekceważenie nieprzyjemnych stron życia, dopóki nikt mu o nich nie przypominał.

- Czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć w związku z twoim romansem z Caroline? - spytała Blanche.

Gregowi przemknęła myśl, by przyznać się do tego, że Caroline jest w ciąży, ale błyskawicznie ją odrzucił. Jeśli Caroline faktycznie miała me tylko dobre pochodzenie, ale i odrobinę oleju w głowie, będzie utrzymywać, że to dziecko jej męża. A to oznaczało, że on sam nie musi o tym wspominać babci.

Kilka godzin później Greg uznał, że właściwie powinien sobie po gratulować. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, udało mu się wyjść z tej sytuacji obronną ręką. Babka traktowała go teraz z lodowatym chłodem, ale wiedział, że prędzej czy później jej przejdzie. A zesłanie do Hongkongu okaże się bułką z masłem i będzie się tam świetnie bawić.

- A więc powiadasz, że Fitton Legh zmusił Blanche, aby wysłała swojego ukochanego wnuka do Hongkongu?

Mieliśmy sporo szczęścia, że Cassan-drze udało się ich przyłapać na gorącym uczynku. Przyznam ci się, że sam poleciłem jej mieć oko na Grega, kiedy powiedziała mi, że ten młokos wydzwaniał do Caroline pod nieobecność jej męża. To było oczywiste i proste jak nos Cassandry, że tych dwoje coś kombinuje.

Kiedy Jay słuchał dziadka, wyczuwał w jego głosie nieskrywaną satysfakcję z powodu upokorzenia Grega. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział go w tak dobrym nastroju:

Dziadek tego sobie popijał, bo karafka na stoliku była już niemal pusta. Widząc to, Jay zamarł. Wiedział, że lekarz nakazał Barrantowi wstrzemięźliwość alkoholową, ze względu na jego zdrowie.



Oczywiście plotka o romansie Grega i Caroline rozeszła się z zaskakującą szybkością, ale Jay nie był tym zaskoczony. Miał głowę nie od parady i wiedział doskonale, co się święci.

- Jay, szkoda, że nie masz w sobie więcej krwi rodziny de Vries - powiedział Barrant. - Gdybyś był chociaż w połowie takim człowiekiem jak (wój wuj, sprawiłbyś, że wnuczka Pickfordów zakochałaby się w tobie do szaleństwa i ją także mielibyśmy w garści.

Przez te wszystkie lata Jay żywił do dziadka wiele sprzecznych uczuć empatię, żal i miłość - lecz teraz po raz pierwszy zawrzał w nim gniew i pogarda. Potrafił jeszcze zaakceptować, że dziadek napawa się porażką Grega, ponieważ była to także porażka Blanche. Ale nie podejrzewał, że Barrant mógł osobiście wmieszać się w tę sprawę i dołożyć do ognia, który strawił Grega, posługując się w tym celu Cassandrą. Teraz, kiedy Barrantowi rozwiązał się język pod wpływem tego triumfu oraz brandy, Jay niechętnie zdał sobie sprawę z tego, że jego dziadek jest jeszcze większym manipulatorem i intrygantem, niż mu się wcześniej zdawało.

- Dziadku, jeśli to właśnie chodzi ci po głowie, lepiej będzie, jeżeli wtajemniczysz w swój plan Cassandrę. Ona ma znacznie większe predyspozycje do zdrady i knucia intryg niż ja - powiedział ponuro Jay. - Zresztą sam wiesz najlepiej, czy jest to cecha właściwa rodzinie de Vries, czy też nie - dodał z sarkazmem.

Jayowi było wszystko jedno, jak dziadek zareaguje na ten śmiały komentarz. Jeżeli Barrant nie wiedział jeszcze, że Cassandrą preferuje związki z kobietami niż z mężczyznami, to może nadszedł właśnie czas, by się o tym dowiedział. W końcu Barrant nigdy nie okazywał tolerancji wobec wrażliwości innych ludzi, więc dlaczego sam miałby zostać potraktowany inaczej? Jego sugestia dotycząca Amber była równie nieprawdopodobna, jak niesmaczna. Na samą myśl o tym, że Amber mogłaby doznać z jego strony jakiejś krzywdy, Jay aż zakipiał z gniewu. Na szczęście Amber była w Londynie, poza zasięgiem niecznych zamiarów Barranta.

## Rozdział 8

### Wiosna 1930 roku

Amber była szczęśliwa. Czuła się tak, jak gdyby to szczęście miało ją zalać od środka niemożliwymi do zatrzymania falami, zupełnie jak wiosna wdzierająca się do Hyde Parku. Cieszyła się życiem, jak tylko potrafiła. A szczęście kipiało w niej i buzowało, zwłaszcza podczas dni, które spędzała w towarzystwie lorda Roberta.

„Profesor” pokazał jej redakcję „Yoguea”, gdzie poznała Alison Settle naczelną pisma, a także została przedstawiona Madge Garland, redaktorce działy mody, która mimochodem poprosiła, by przypomnieli Cecilowi że ona wciąż czeka na obiecane przez niego szkice.

Potem udali się do British Museum, gdzie - zgodnie z zaleceniami Cecila - Amber miała zwrócić szczególną uwagę na wszystko, co ma jakikolwiek związek ze starożytnym Egiptem. Jednak największe wrażenie na Amber zrobiła wizyta w Królewskim Towarzystwie Sztuk Pięknych przy Strand Street, gdzie z niekończącym się zachwytem dziewczyna przyglądała się zażerającym dech w piersiach dziełom architektury i słuchała wykładu lorda Roberta na temat ich pochodzenia. Lord Robert obiecał też, że zabierze ją do West Wycombe - wioski kupionej niedawno przez arystokrację w celu zachowania jej w pierwotnym, nienaruszonym stanie dla przyszłych pokoleń.

Lord Robert zadawał Amber różne „prace domowe”, które polegały na projektowaniu najrozmaitszych rzeczy: „wystroju wnętrza dla złotowłosej bywalczyńi salonów, która ubiera się tylko na niebiesko” albo „nowych zasłon do salonu lorda R., który zażyczył sobie egipsko-napoleoriskiego motywu przewodniego łączącego w sobie trzy różne style”.

Czasem zadaniom tym towarzyszyły niewielkie szkice, podobne do tych, które Cecil rysował dla „Vogue’a”.

Zdarzało się również, że były to

jedynie suche opisy, ale Amber cieszyła się z nich prawie tak samo, jak z obecności lorda Roberta, zwłaszcza kiedy spędzali czas tylko we dwójkę, bez Saville'a, tak jak dzisiaj.

Amber patrzyła niemal z uwielbieniem na swojego „profesora”, ubranego jak zwykle w zgodzie z kanonami mody „akademickiej”.

Dni mijały jej teraz błyskawicznie. Oprócz wyjść z lordem Robertem Amber uczestniczyła też w lekcjach francuskiego u hrabiny du Brissac, zajęciach z florystyki prowadzonych przez Constance Spry, na które chodziła od niedawna razem z Louise, nie wspominając rzecz jasna o kursie właściwej postawy i poruszania się. Ten jednak nie spędzał już Amber snu z powiek, ponieważ dyganie przychodziło jej bez najmniejszego wysiłku.

Jeśli dodać do tego jeszcze rozmaite spotkania towarzyskie, na które ją zapraszano, nie zostawało już zbyt wiele czasu wolnego w ciągu dnia, na co Amber poskarżyła się w końcu lordowi Robertowi.

- Lady Rutland traktuje cię już znacznie lepiej, nieprawdaż? - spytał.

- Tak, to prawda - potwierdziła Amber.

Nie było sensu tłumaczyć, jak fatalnie czuła się na pretensjonalnych i nadętych do granic możliwości przyjęciach.

Doskonale zdawała sobie sprawę z lodowatych spojrzeń ze strony matek innych debiutantek, rozpoznawała bez trudu znaczące pauzy i zapadające chwile ostentacyjnego milczenia, kiedy próbowała nawiązać jakiś kontakt z innymi pannami z dobrych domów. A Louise również nie robiła nic, żeby jej to ułatwić. Na każdym kroku dawała Amber do zrozumienia, jak bardzo nią gardzi, a jej koleżanki zachowywały się dokładnie tak samo.

Amber nie winiła ich za takie zachowanie. W końcu była w ich gronie kimś zupełnie obcym, można wręcz powiedzieć - outsiderką. I wiedziała, że czułaby się równie niezręcznie nawet bez tych wszystkich nieprzyjemności ze strony Louise.

- Dziś rano otrzymałam list od mojego kuzyna Grega - pochwaliła się lordowi Robertowi, celowo zmieniając temat.

- Píše w nim, że wyjeżdża do Hongkongu. Babcia uważa, że tak będzie dla niego najlepiej. A dla mnie to szok, biorąc pod uwagę, że Greg miał zostać członkiem parlamentu. Tymczasem on sam uważa, że w Hongkongu będzie się doskonale bawić.

Ton, w jakim Greg napisał jej o tym wyjeździe, był bardzo entuzjastyczny, ale Amber nie podzielała jego radości. Wiedziała, że będzie za nim tęsknić, gdy kuzyn znajdzie się na drugim końcu świata. W miejscu, w którym, w przeciwieństwie do Macclesfield, nie potrafiła go sobie wyobrazić.

- Moim zdaniem pani kuzyn ma rację - zgodził się lord Robert.

Amber wydawała mu się taka niewinna. Czasem go to przerażało. Bycie z nią przypominało mu picie czystej wody ze szklanki. Z początku organizm, przyzwyczajony do szkodliwych substancji, buntował się, by po chwili jednak docenić prostotę i inne zalety

- Z jednej strony cieszę się wraz z nim, ale z drugiej... Miałam nadzieję, że Greg będzie obecny na balu, który lady Rutland ma zamiar zorganizować po zakończeniu oficjalnej prezentacji. Przynajmniej byłabym spokojna, że będę miała partnera do tańca.

- Bez wątplenia znajdzie się ktoś, kto chętnie z panią zatańczy - zapewnił ją lord Robert.

Amber spojrzała na niego z otwartymi ustami.

- Chce pan powiedzieć, że też tam będzie? - W jej oczach zalśniły iskierki.

- Za nic w świecie nie darowałbym sobie takiej okazji - odparł szybko lord Robert, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że w jego słowach nie było ani cienia kurtuazji. Tylko szczerą prawdą.

Byli w Selfridges i zbierali się właśnie do wyjścia, ponieważ Amber musiała jeszcze zdążyć na przymiarke sukni uszytej dla niej specjalnie na prezentację. Ale jak zwykle starała się zyskać jeszcze kilka cennych minut ze spotkania z lordem Robertem, dlatego za wszelką cenę próbowała go ubłagać:

- Proszę opowiedzieć mi o tym przyjęciu, na którym zorganizowano pogoń za skarbem i wszyscy rzucili się do Selfridges, przeskakując w pośpiechu nad ladami sklepowymi.

Pokręcił głową i roześmiał się.

- To były szczeniackie wygłupy. Nigdy nie powinienem był o nich wspominać.

- Ależ to musiała być wspaniała zabawa.

- Chodźmy, już najwyższy czas, żebyśmy wracali do Cadogan Place - uciał stanowczo dalszą dyskusję.

\*\*

Jeszcze nie jesteś gotowa? - zwróciła się Louise do Amber ze złością w głosie. - Bo jeśli nie, to nie zamierzam dłużej na ciebie czekać. Mamusi prosiła, by ci przekazać, że później idziemy na popołudniową herbatkę.

Amber nie zależało wcale na przymiarce żadnej głupiej sukienki, ale oddałaby wiele, żeby nie iść na wspomnianą herbatkę.

Suknie były szyte w zakładzie krawieckim Reville przy Hanover Square. Był to ten sam krawiec, który nie tylko szył suknię dla lady Rutland kilkadziesiąt lat wcześniej, ale także cieszył się specjalnymi względami samej królowej Marii. Babka Amber zaakceptowała ten wybór, nalegała jednak, by to ona mogła wybrać materiał na suknię wnuczki. Przyjęło się, że de-biutantki występowały podczas prezentacji wyłącznie w kreacjach w kolorze białym lub w najjaśniejszych odcieniach pastel. Blanche wybrała jedwab w kolorze ni to białym, ni to kremowym. Spód sukienki miał zostać obszyty setkami małych perełek, które sprawiały wrażenie, jak gdyby materiał został w całości wykonany z macicy perłowej. Aby podkreślić wyjątkowość tej wspaniałej tkaniny, Blanche zażyczyła sobie, żeby właściwa suknia została uszyta w sposób możliwie najprostszy - wąska, lecz luźna, sięgająca z przodu do samej ziemi, z tyłu zaś, na wysokości dolnego odcinka kręgosłupa, z rozcięciem z prostymi satynowymi plisami, które miały imitować niewielki tren.

Podczas pierwszej przymiarki Louise nie szczędziła Amber drwin, obracając się przy tym w swojej znacznie wytworniejszej i bijącej w oczy przepychem sukni, której spód w wyzywającym kolorze brzoskwiniowym przebijał spod grubej warstwy koronek. Gdy jednak obie dziewczyny przyjrzały się sobie i Louise dostrzegła niezaprzeczalną elegancję sukni Amber, która wyszła spod zgrabnych palców krawcowej, jej kpiny ustąpiły miejsca grymasowi niezadowolenia.

Suknie uszyte specjalnie z myślą o prezentacji nie były jedynymi nowymi elementami ich garderoby. Listy od babki zawierały precyzyjne instrukcje dotyczące tego, które sklepy należy odwiedzić. Amber miała się zaopatrzyć we wszystko, co zaplanowała dla niej Blanche, uzgadniając wcześniej szczegóły z kierownikami tych sklepów. Przy okazji babka zapłaciła też za stroje Louise, dając jej jednak pełną swobodę wyboru.

Amber zaczynała przekonywać się na własne oczy, że Blanche ma dobry gust, czego nie można było powiedzieć o Louise.

Teraz, kiedy Amber dała sobie uczesać włosy i podziękowała pokojówce za pomoc, doszła do wniosku, że nie ma to dla niej znaczenia, czy Louise zaczeka na nią, czy nie.

Tego ranka spędziła kilka cudownych chwil w towarzystwie lorda Roberta. Przyjęła to szczęście z otwartymi ramionami i pozwoliła mu zawładnąć sobą. Cóż znaczyły te wszystkie nieprzyjemności ze strony Louise wobec wspaniałego przyjaciela, jakim był dla niej lord Robert?

Przymiarka nie trwała zbyt długo, chociaż Louise narzekała, że jej suknia została obszyta nie tą koronką, którą wybrała. W drodze powrotnej Amber zaproponowała, żeby poszły do Hatchardsa i zamówiły egzemplarz nowej książki Evelyn Waugh.

Dopiero kiedy Amber skończyła składać zamówienie w księgarni, zorientowała się, że Louise rozmawia z jakimś nieznanym mężczyzną, który musiał wejść do środka za nimi. W sposobie, w jaki zachowywała się Louise, było coś niepokojącego i krępującego zarazem. Gdy okazało się, że ta nie zamierza przedstawiać jej swojego znajomego, Amber odetchnęła z ulgą.

Louise wydawała się czerpać tak dużą przyjemność z tego spotkania, że ostatecznie Amber wyszła ze sklepu sama. Louise dogoniła ją na ulicy, kilkadziesiąt metrów dalej. Z trudem łapała oddech, ale wyglądała na usatysfakcjonowaną.

Spotkanie przy herbacie, zorganizowane przez lady Wyesnaith, miało się odbyć w jej posiadłości Carlton Terrace. Louise włożyła na tę okazję bardzo obcisłą satynową sukienkę - bez rękawów i z głębokim dekoltem - w kolorze jasnoniebieskim, która pasowała niemal idealnie do koloru jej oczu. Lady Rutland ubrała się jak zwykle w trumienną czarną suknię i futra

Amber, której nie miał kto doradzić, zapytała nieśmiało swoją służącą: „Jak myślisz, co powinnam włożyć?”.

Sądząc z zadowolenia na twarzy Louise, która obrzuciła pogardliwym spojrzeniem jej prostą, delikatnie udrapowaną sukienkę w kolorze bardzo jasnego bursztynu, z pasującym do niej jedwabnoatłasowym żakietem

ozdobionym bursztynowymi dżetami, uważała ona swój strój za znacznie wytworniejszy. Ponieważ lady Wyessaith także prezentowała swoją córkę na dworze, przyjęcie było zorganizowane nie tylko dla debutantek, które w ten sposób miały okazję bliżej się poznać, ale również dla ich matek, tak żeby mogły porównać swoje terminarze i sprawdzić, czy nie ominie ich żaden ważny bal, a przede wszystkim podpatrzeć, z jaką konkurencją przyjdzie im się zmierzyć - i w rezultacie ułożyć listę gości na swoje przyjęcie.

Amber, która wzięła sobie do serca uwagi hrabiny du Brissac o znaczeniu z pozoru niewinnych konwersacji towarzyskich, starała się jak mogła, kiedy lady Rutland zostawiła ją przy stole, nie przedstawiając innym dziewczynom. Ale po ciszy, jaka zapadła, szybko zorientowała się, że jest traktowana jak intruz. W pewnym momencie jednak poczuła na ramieniu czyjaś rękę i usłyszała znajomy głos swojej najlepszej przyjaciółki ze szkoły, która zawołała radośnie:

- Amber, nie mogę uwierzyć, że to ty! Jak cudownie wyglądasz! Amber i Beth uzgodniły w ostatniej klasie, że nie będą do siebie pisywać.

To była inicjatywa Amber, która uważała, że ich drogi zbiegają w zupełnie przeciwnych kierunkach i - znając konserwatywne wychowanie Beth oraz jej podejście do życia - nie chciała zawstydząć jej swoją przyjaźnią, biorąc pod uwagę, że dzieliła ich przepaść społeczna. Ale teraz wszystko się zmieniło i Amber obracała się w tych samych kręgach towarzyskich co Beth.

Po chwili Amber została niepostrzeżenie odciągnięta od stolika i przedstawiona matce Beth, która przywitała ją z taką serdecznością, że dziewczyna prawie się popłakała.

Hrabina Levington była starszą i bardziej kosmopolityczną wersją swojej córki. Obie, bardzo podobne do siebie, miały tę samą nieskazitelną angielską karnację. Beth miała tylko nieco rzadsze włosy. Przyglądając się jej matce, Amber bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, jak Beth będzie wyglądać i zachowywać się za kilkanaście lat. Widać było, że hrabina jest kochającą i troskliwą matką.

Gdy Beth spytała matkę, czy pamięta, jak opowiadała jej o Amber, swojej koleżance ze szkoły, hrabina skinęła głową.

- Twój ojciec pochodził z Rosji, prawda? - spytała grzecznie.

- Co ty tu robisz? - To było pierwsze pytanie, które Beth zadała Amber, gdy znalazły się na osobności. - Myślałam, że chcesz iść do szkoły artystycznej!

- Chciałam. Ale babcia się nie zgodziła i zapłaciła matce Louise, żeby zaprezentowała mnie na dworze.

Amber zebrała się na odwagę i powiedziała to, trzymając głowę uniesioną wysoko, chociaż obawiała się trochę, co Beth może sobie pomyśleć.

Jednak ku jej uldze jedyny komentarz, jaki padł z ust Beth, wyrażał współczucie:

- To musi być dla ciebie koszmar mieszkać pod jednym dachem z Louise.

Amber westchnęła głęboko.

- To prawda.

Beth ścisnęła ją delikatnie za ramię.

- Nieważne. Poproszę mamusię, żeby dopilnowała, by zapraszali nas na te same przyjęcia. Szkoła w Paryżu była okropna, dużo gorsza niż nasza szkoła z internatem. A teraz jeszcze muszę chodzić do Vacani na zajęcia z dygania. Wiesz przecież, jaka jestem niezdarna.

- Mamu to już za sobą - powiedziała Amber. - Z początku też nie wierzyłam w siebie.

- Naprawdę? Zawsze to lepiej niż skompromitować się przy pierwszej sposobności.

Gdy Amber spojrzała na nią pytająco, Beth wyjaśniła:

- Mamusia mówi, że to właśnie te dziewczyny, które już od pierwszej klasy uczą się poruszania z gracją i dygania, popełniają potem największe gafy podczas prezentacji. Uważaj, nadchodzi Louise - ostrzegła ją w porę.

- O czym rozmawiacie? - spytała podejrzliwie Louise.

- Właśnie mówiłam Amber, jak to cudownie, że się tu spotkałyśmy.

- Amber jest tutaj tylko dzięki mojej matce i jej litości dla tej biednej dziewczyny - prychnęła Louise pogardliwie.

Amber i Beth wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

Cała trójka, mimo iż nie zdawała sobie z tego sprawy, stanowiła bardzo atrakcyjny widok. Beth z delikatnymi jasnobrązowymi włosami i słodkim wyrazem twarzy. Louise, najwyższa z całej trójki i najbardziej „dojrzała”,



z krótkimi, spiętymi w kok kruczoczarnymi włosami i niebieskimi oczami o długich ciemnych rzęsach. Ale to Amber - jej piękne rudoblond włosy, ciemnozłote oczy i idealna struktura kości - podnosiła wizualną poprzeczkę całego tria, ze zwykłej urody czyniąc autentyczne piękno.

- Spodziewam się, że i ty zorganizujesz bal? - spytała Louise Beth.

- Tak - odparła tamta. - Mamusia już się martwi, że nie uda jej się znaleźć i zaprosić wystarczającej liczby młodych kawalerów. Tym bardziej że tego samego wieczoru odbywają się także inne bale. To byłoby coś strasznego, gdyby okazało się, że nie mamy z kim tańczyć.

- Bawidamki debutantek, powiadasz? - Louise pogardliwie wydeła usta. - A kto by chciał z nimi tańczyć? Ja na pewno nie. Ja chcę zatańczyć /, prawdziwym mężczyzną. Kimś podniecającym i... niebezpiecznym.

- Zważywszy na to, że hrabina ostrzegała nas, by nie wsiadać do taksówek z żadnymi bawidamkami, można by wywnioskować, że i oni potrafią być niebezpieczni - zauważyła Amber.

- Dlaczego? Bo chcieliby skraść ci całusa? - Louise odrzuciła do tyłu głowę. - Jeśli chodzi o mnie, to nie miałabym nic przeciw temu.

Beth wyglądała na nieco zszokowaną tą odpowiedzią, ale Amber zachowała pełną przytomność.

- To zależy, kim byłby ten całujący

- No tak, oczywiście. Powinien być przystojny i bogaty, chociaż w twoim wypadku, Amber, liczy się tylko, żeby miał tytuł.

- Ale z niej suka - powiedziała z furią Beth, kiedy Louise się oddaliła. - Nie zmieniła się ani trochę.

Amber nie odezwała się. Właściwie Louise miała rację. Przynajmniej jeśli chodzi o to, czego oczekiwała Blanche.

- Tak się cieszę, że razem weźmiemy udział w prezentacji - powiedziała Beth ciepło. - Bałam się tego trochę, ale teraz już wiem, że będzie świetna zabawa. Och, spójrz, mamusia nas woła.

Ale Amber nie ruszyła się z miejsca.

- Co się stało? - spytała Beth.

Amber wyjaśniła jej niechętnie, że była w tym gronie ignorowana i uważana za intruza, dodając przy tym, iż nie chciałyby stawiać Beth w niezręcznej sytuacji, przebywając u jej boku.

- Nie dziwiłabym się wcale, gdyby się okazało, że ludzie unikają nie ciebie, lecz lady Rutland - zapewniła ją Beth. - Ona nie jest zbyt lubiana w towarzystwie.

Jak się wkrótce okazało, lady Rutland nie miała także takich potężnych wpływów jak matka Beth. Amber zdała sobie z tego sprawę, gdy tylko dała się zaciągnąć przed jej oblicze.

Ludzie, którzy ignorowali Amber, kiedy przedstawiała ją lady Rutland, teraz byli dla niej zaskakująco uprzejmi i mili. Dziewczyny, które wcześniej odwracały się do niej plecami, uśmiechały się i robiły im razem z Beth miejsce przy stole.

Pogrążona w rozmowie Amber zauważyła w pewnym momencie, że Louise, która stała przy drzwiach w towarzystwie swoich najwierniejszych przyjaciółek, rzuciła jej gniewne i pełne wyrzutu spojrzenie. Widząc to, jedna z debiutantek siedząca obok Amber nachyliła się i szepnęła jej na ucho konspiracyjnie:

- To Louise Montford. Jest szybka jak błyskawica. Mój brat poznał ją na pewnym przyjęciu wigilijnym.

- Co masz na myśli? - zainteresowała się Amber.

Dziewczyna spłonęła się lekko, a potem wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Któregoś wieczoru, kiedy bawili się w chowanego, nikt nie mógł znaleźć Louise. A gdy w końcu ktoś odkrył ją w jednej z szaf na buty, zarzekała się, że była tam sama, chociaż ktoś ponoć widział, jak chwilę wcześniej z szafy wymykał się jakiś chłopak. Kiedy indziej Louise poszła z chłopakami do sali bilardowej, chociaż była tam jedyną dziewczyną. Jeden z nich, Edward Fearton, powiedział mojemu bratu, że Louise dała mu się pocałować, a potem usiadła mu na kolanach i pozwoliła nawet złapać się za kolano! Jeżeli Louise nie będzie uważać, prędzej czy później wpakuje się w nie lada kłopoty.

Amber przetrwała te rewelacje w milczeniu. To prawda, że takie zachowanie, o jakim mówiła ta dziewczyna, było nie do zaakceptowania w wypadku młodej, niezamężnej kobiety Amber zauważyła, że od czasu do czasu w Louise budziła się bestia, jakby sprawiało jej satysfakcję podejmowanie ryzyka i łamanie zasad. Ale prawda była taka, że Louise nie

mogła sobie pozwolić na lekceważenie konwenansów, jeśli chciała zawrzeć małżeństwo, jakiego oczekiwała od niej matka, aby podreperować budżet rodziny. Louise miała wyjść za kogoś o przynajmniej takim samym statusie społecznym i z wyjątkowo grubym portfelem - za mężczyznę, o którym każda matka marzyła dla swojej córki i który mógł przebierać wśród dobrze urodzonych panien. A taki mężczyzna z pewnością nie wybrałby dziewczyny o fatalnej reputacji.

Pewnie ci się wydaje, że jesteś kimś wyjątkowym, bo Beth wzięła cię pod swoje skrzydła - zaatakowała ją Louise tego samego dnia wieczorem, po powrocie do Cadogan Place. - Ale to nieprawda. Wciąż jesteś tylko córką handlarza tekstyliami z Macclesfield. Co mówiła ci o mnie Julia Smethington-Blythe? Nie zaprzeczaj, że nic, bo wiem doskonale, że plotkowałyście na mój temat. Widać to było wyraźnie po sposobie, w jaki szeptała ci na ucho.

- Wspomniała tylko, że jej brat poznał cię na jakimś domowym przyjęciu - odparła dyplomatycznie Amber.

- Ach, tak. To kompletny dureń. Nie potrafi nawet tańczyć. I te jego wystające zęby.

Louise zmarszczyła brwi. Nienawidziła Amber prawie tak samo, jak życia w nędzy. Pragnęła przepychu i bogactwa. Chciała bywać w najmodniejszych miejscach, nosić najdroższe stroje i biżuterię, uwieszona na ramieniu przystojnego mężczyzny i tak piękna, że wszyscy ludzie na ulicy oglądaliby się za nią.

Louise nie pamiętała, by kiedykolwiek temat pieniędzy nie dominował w jej życiu. Matka rzadko mówiła o czymkolwiek innym niż tylko o ich braku. Louise mogła uczęszczać do szkoły dla bogatych panien jedynie dlatego, że chesne opłacał jej pewien daleki krewniak.

Mamusia była tak zaabsorbowana znajomością ze swoim „kuzynem Hugh”, że Louise zastanawiała się czasem, czy nie są oni kochankami.

Louise interesowała się życiem seksualnym otaczających ich ludzi, zwłaszcza jeśli nosiło ono znamiona czynów niedozwolonych. Szczerze mówiąc, seks wydawał jej się taki pociągający Często myślała nawet, że kiedyś zostanie kochanką jakiegoś obrzydliwie bogatego mężczyzny, który

obsypywałby ją ubraniami i klejnotami. Ale najpierw rzecz jasna musiała wyjść za mąż. Mieć bogatego męża, a potem jeszcze bogatszego kochanka. Żałowała, że ma dopiero siedemnaście lat, i nienawidziła ludzi, którzy traktowali ją jeszcze jak dziecko. Nie mogła się doczekać, aż osiągnie pełnoletność i będzie mogła robić wszystko, na co tylko przyjdzie jej ochota.

Zaproszenia na kolejne przyjęcia i spotkania towarzyskie wieszano w salonie na kominku. Amber miała wrażenie, że odkąd trafiła pod skrzydła matki Beth, tych zaproszeń rzeczywiście było coraz więcej.

Niektóre matki ograniczały koszty i oszczędzały, ale dzięki hojności babki Amber nie było mowy o skąpieniu pieniędzy na bal, który lady Rutland miała wydać na cześć Louise i Amber po zakończeniu oficjalnej części prezentacji.

Lord Cadogan wydał pozwolenie, aby przyjęcie odbyło się w prywatnych ogrodach, w specjalnie do tego celu rozstawionym wielkim namiocie. Dekoratorom wewnątrz polecono także zmienić wystrój i umeblować na nowo wszystkie salony

Niektóre rodziny praktykowały również organizowanie prywatnych obiadów przed samym bale, ale - ku zadowoleniu i uldze Amber - lady Rutland nie zdecydowała się na podobną rozrzutność.

W czasie swojego tygodniowego pobytu w Londynie babka Amber zorganizowała całe mnóstwo rzeczy, w tym kwiaty na bal i menu na kolację - będące kopią tego, które przygotował książę Westminsteru na bal wydany dla rodziny królewskiej w Eaton Hall - mimo iż nie zamierzała uczestniczyć w tym przyjęciu.

Do Cadogan Place napływały liczne zaproszenia, wśród nich od pani Guinness, która organizowała przyjęcie w swoim domu przy Buckingham Street 10. Amber, gdy się o tym dowiedziała, wpadła w lekki popłoch. Bała się, że lady Rutland zacznie się zastanawiać, za co spotkał ją ten zaszczyt, i w rezultacie wyjdzie na jaw, że pani Guinness poznała ją w Ri-tzu. Na szczęście lady Rutland wyjaśniła, że pomiędzy jej matką a rodziną Mitfordów, z której wywodziła się Diana, istniało dalekie powinowactwo.

- My też zostałyśmy zaproszone - powiedziała Beth, kiedy Amber poinformowała ją o tym wydarzeniu. - Rodzina mojej matki jest spokrewnio-

na z Guinnessami, choć mamusia nie jest wcale zachwycona tym zaproszeniem. - Beth zrobiła w tym miejscu śmieszny minę. - Mamusia chyba nie do końca akceptuje fakt, że Diana jest nowoczesna i wyzwolona, ale mnie to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Chrześniak mojej mamy był wcześniej na jednym z przyjęć organizowanych przez panią Guinness i twierdzi, że nigdy się tak dobrze nie bawił. - Beth zachichotała. - Prawdę mówiąc, jego mamusia też nie akceptuje, ale ponieważ Teddy zaoferował się, że będzie nam towarzyszyć, nie mogła mu odmówić. Już nie mogę się doczekać.

- Ja też - przytaknęła z zapalem Amber.

Minął już prawie tydzień, odkąd po raz ostatni widziała się z lordem Robertem, i bardzo za nim tęskniła, chociaż uprzedzał ją, że musi wyjechać na kilka dni.

Mimo iż Amber powiedziała Beth, że nie może się doczekać przyjęcia u Guinnessów, gdy tuż przed wyjściem stała przed lustrem w sypialni, a Renton kończyła zapinać guziki u jej rękawiczek z kozłej skóry, z żalem zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zdenerwowana.

Bładozielona suknia, zaprojektowana przez samego Normana Hartnella, była wykończona lamówką ozdobioną małymi kryształkami, które świeciły w słońcu. Miała też skromny dekolty, za to sama suknia była szlachetnie przycięta po skosie. Na wierzchu Amber włożyła bolero z drapowanej satyny, kilka odcieni ciemniejsze od sukni, ale uszyte z tego samego zielonkawego materiału. Na głowie miała delikatne loki, spięte tu i ówdzie szpilkami z kryształowymi główkami pasującymi do kryształów z lamów -ki. W idealnie dopasowanej do całości satynowej torebce znalazło się miejsce na bilecik taneczny, chusteczkę i małe flakoniki perfum. Lady Rutland nie akceptowała makijażu, lecz Amber wiedziała, że Louise wbrew swojej matce pomalowała usta szminką.

- Renton, czy na pewno wyglądam tak jak trzeba? - spytała Amber pokojówkę z niepokojem w głosie.

Służąca z początku wydawała jej się nieco sztywna i surowa, ale z czasem Amber zaczęła cenić jej opinię i dobry smak. Wkrótce radziła się Renton we wszystkich sprawach związanych z etykietą w wyższych sferach, którą to - w odróżnieniu od lady Rutland - znała na wylot. Renton, jak się okazało, dorastała w posiadłości hrabiego Radsbury w Norfolk,

gdzie od czternastego roku życia usługiwała hrabinie, konsekwentnie pnąc się po szczeblach domowej hierarchia. Później otrzymała posadę pokojówki jednej z przyjaciółek hrabiny w Londynie. Aż w końcu, po śmierci swojej mocodawczyni, trafiła do Cadogan Place. Miała właśnie wrócić do Norfolk, gdzie czekała na nią emerytowana siostra, z którą miały razem prowadzić dom, ale zgodziła się porozmawiać z babką Amber

- Od razu zorientowałam się, że pani Pickford wie, czego chce - powiedziała Renton, zaskakując Amber swoją aprobatą dla poczynań Blanche - i że potrafi zadbać o ludzi.

Amber pomyślała, że dobrze się stało, iż to właśnie ona została jej pokojówką.

- Wygląda panią dokładnie tak, jak powinna

Renton obdarzyła Amber jednym ze swoich rzadkich uśmiechów - dziewczyna stwierdziła, że służąca w pewnym stopniu przypomina jej

Ulica przed domem Guinnessów była pełna samochodów z szoferami którzy wieźli swoich gości na przyjęcie.

Louise była tak niecierpliwa że najchętniej wysiadłaby już z auta. Z kolei Amber wystarczyło, że mogła obserwować szeroko otwartymi oczami postaci, które znała z gazet i magazynów towarzyskich. Takie jak Emerald Cunard, która

- Amber rozpoznała to od razu - rwała na sobie suknię od Schiaparelli, z białej satyny z czarną satynową pelerynką.

W końcu ich samochód znalazł się wystarczająco blisko bramy głównej, by Louise z matką : Amber mogły wysiąść i przejść resztę drogi na piechotę. Suknia lady Rutland z fioletowobrazowej satyny szeleściła z każdym krokiem, kiedy wspinały się po stopniach do drzwi wejściowych.

W środku uśmiechnięta służąca odebrała od nich okrycia wierzchnie Amber otworzyła oczy ze zdumienia na widok wyzywająco krótkiej różowej sukni Louise, która kończyła się niewiele poniżej podwiązek

Elegancki salon na pierwszym piętrze był wypełniony tak wieloma ludźmi, że hałas, jaki towarzyszył ich rozmowom, zagłuszał muzykę graną przez kwartet w przedpokoju.

Podszedł do nich kelner niosący tacę ze szklankami.

- Życzą sobie panie koktajl?

Amber zawahała się przez moment, widząc jasnozielony płyn, ale Louise już sięgała po szklanę, korzystając z okazji, że jej matka - zajęta rozmową z inną przyzwoitką - stała odwrócona do niej plecami. Zanim lady Rutland odwróciła się z powrotem, Louise odstawiła pustą szklanę i sięgnęła po następną.

Amber poczuła ulgę, kiedy zobaczyła Beth, ale prawdziwe zdumienie wywołał w niej widok mężczyzny stojącego u boku hrabiny

To był lord Robert!

Znalazła się w dość niezręcznej sytuacji, kiedy hrabina poprosiła lady Rutland o możliwość przedstawienia „swojego chrześniaka”. Nie wiedziała, co powiedzieć, kiedy znajoma dłoń, teraz w białej rękawiczce, ucisnęła jej rękę.

- Amber, moja droga. Pozwól, że ci przedstawię mojego chrześniaka, lorda Roberta Devenisha, hrabiego Montclare. Teddy, to jest panna Amber Vrontsky.

Amber na chwilę wstrzymała oddech, modląc się w duchu, żeby lady Rutland nie rozpoznała w lordzie Robercie Devenishu profesora, który odwiedził ją w Cadogan Place. Jej samej kręciło się w głowie na samą myśl o tym, że lord Robert i Teddy to ta sama osoba.

Lord Robert uśmiechnął się do niej.

- Panno Vrontsky, mam nadzieję, że uczyni mi pani ten zaszczyt i pozwoli się później zaprosić do tańca?

Powiedział to z tak dobrze jej znanym figlarnym uśmiechem, że serce Amber zabiło z zawrotną szybkością.

Zanim jednak zdążyła mu odpowiedzieć, hrabina wtrąciła się:

- Możesz tańczyć z Amber, Teddy, ale nie waż się jej przedstawiać swoich przyjaciół spod ciemnej gwiazdy.

- Cecilowi pękłoby serce, gdyby dowiedział się, że uważasz go za typa spod ciemnej gwiazdy, ciociu Phoebe. On nazwałby to raczej aktywną rozwiązłością - odparł lord Robert, wybuchając śmiechem.

Hrabina zmierzyła go pełnym dezaprobaty wzrokiem.

- No cóż, ośmielę się stwierdzić, że twój dziadek mógłby się z nim zgodzić.

Nagle wyraz twarzy lorda Roberta zmienił się diametralnie. Wesoły blask w jego oczach zniknął bezpowrotnie, ustępując miejsca wielkiej konsternacji, co sprawiło, że przystojne rysy jego twarzy wydawały się teraz niczym wykute z granitu. Amber była w szoku. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie - zachmurzonego i zamkniętego w sobie.

- Sukienka Louise jest niewiarygodnie krótka, nie uważasz? - szepnęła Beth do Amber, wykorzystując chwilę nieuwagi, kiedy oczy wszystkich były skierowane na hrabinę i lorda Roberta. - Dziwię się, że matka pozwoliła jej włożyć coś takiego.

- Kiedy byliśmy na ostatniej przymiarce, sukienka z pewnością tak nie wyglądała - odszepnęła Amber.

- Wydaje się, że Louise kuje żelazo, póki gorące. Zobacz, nic dziwnego, że George Ponsonby ostrzy sobie na nią zęby.

Amber spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła Louise rozmawiającą z jakimś brunetem średniego wzrostu. Tak jak wcześniej w zachowaniu Louise było coś napawającego Amber niepokojem.

- Patrz, jak blisko niego stoi. - Beth sprawiała wrażenie zbulwersowanej. - Mamusia opowiadała mi w ubiegłym tygodniu o tym Ponsonbym. Ponoć to łowca fortun i przygód, nie należy mu ufać. Kilka lat temu wybuchł okropny skandal, kiedy pewna nieszczęśliwa młoda dama obwieściła wszystkim, że się z nim zaręczyła, a potem on najzwyczajniej w świecie ją rzucił. Rodzina musiała wysłać ją za granicę. Mówiło się nawet... no wiesz.

- Co takiego? - Amber nie rozumiała, o co chodziło jej przyjaciółce. Beth nachyliła się bliżej.

- Ludzie mówili, że zaszła z nim w ciążę i dlatego musiała opuścić kraj.

Beth i Amber spojrzały na Louise, która tańczyła z Georgeem Ponsonbym. Może i był przystojny, ale z przyklepionym do ust wiecznym uśmiechem i włosami obficie natłuszczonymi brylantyną sprawiał wrażenie cukierkowatego gogusia. Trzymał Louise bardzo blisko siebie, ona zaś wydawała się upajać zainteresowaniem, jakie jej okazywał.

- Mamusia mówiła też, że maniery i zachowanie Louise są zbyt bezpośrednie - żeby nie powiedzieć bezczelne - i że wywołuje to już komentarze w towarzystwie - dodała Beth.



\*

\*\*

Nieco później, kiedy Louise tańczyła po raz kolejny z Georgeem Ponsonbym, lord Robert także poprosił Amber do tańca i zaprowadził na parkiet.

- Dlaczego matka Beth mówi do pana Teddy? - spytała Amber.

Tak nazywała mnie moja matka, kiedy byłem dzieckiem. Umarła, gdy miałem dwa lata. A ponieważ ciocia Phoebe była jej najlepszą przyjaciółką, nadal tak do mnie mówi.

Amber spojrzała na niego ze współczuciem.

- To musiało być straszne uczucie dorastać bez matki.

- Tak rzeczywiście było.

Głos lekko mu zadrżał i Amber zorientowała się, że powinna zmienić temat.

- Poczulałam wielką ulgę, kiedy okazało się, że lady Rutland nie rozpoznała pana.

- Lady Rutland jest typem kobiety, która widzi tylko to, co chce zobaczyć.

Lord Robert był fantastycznym tancerzem. Amber zakreśliło się w głowie od łatwości, z jaką prowadził ją w tańcu, kiedy wirowali po parkiecie. W pewnym momencie po którymś obrocie lord Robert powiedział:

- Cecil jest tam z Dianą i Ralphem Seaforde em. Będę miał jednak nie lada kłopoty, jeśli zaprowadzę panią do nich.

Amber spojrzała we wskazaną przez niego stronę. Ralph Seaforde był wysoki i szczupły, miał ciemne włosy i lekko oliwkową karnację. Obrócił się właśnie ku nim i Amber jakby wzdrygnęła się na jego widok. Było to dość dziwne, biorąc pod uwagę, że Ralph nawet na nią nie spojrzał. Spoglądał raczej - nie, gapił się! - na lorda Roberta...

Bal dobiegł końca i goście rozjechali się do domów. Amber była tak zmęczona, że z trudem utrzymywała otwarte oczy, a nogi bolały ją niemiłosiernie od tańca.

Mimo iż przyjęcie było bardzo udane, a do tego miała okazję potańczyć z lordem Robertem, czuła się po tym wieczorze nieco skonsternowana i nie tak szczęśliwa, jak mogłaby się spodziewać. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale wiedziała, że taki stan ma wiele wspólnego z lordem

Robertem , tym, że nagle wydał jej się jakiś obcy Nie był już tym dowcipnym, figlarnym Robertem, którego znała i tak bardzo lubiła, lecz kimś zupełnie innym, jakby nieobecnym. Za nic na świecie nie chciała się jednak przyznać do tego, że ten wieczór - i lord Robert - sprawił, iż poczuła się jakby nieco opuszczona i lekko przybita.

Natomiast Louise w ogóle nie okazywała oznak zmęczenia Była pijana z podniecenia i kłębiącej się w niej energii. George Ponsonby był dokładnie w jej typie. Szalenie przystojny i niebezpieczny, a do tego jeszcze miał spojrzenie, które mówiło, że jest w stanie pokazać jej najbardziej interesujące i ekscytujące rzeczy Na samą myśl o nim Louise poczuła nagły przyływ podniecenia. Miała już dosyć całowania się z nieznajomymi po kątach w pokoju do bilardu i bawienia się ich kosztem, obiecując im najróżniejsze rzeczy, których absolutnie nie miała zamiaru spełnić Teraz wydawało jej się to takie szkolne czy wręcz dziecinne. A ona nie była już dziewczynką ze szkoły Była kobietą.

## Rozdział 9

Amber, zastanawiałaś się kiedyś, jak będzie wyglądać nasza przyszłość? Siedziały na popołudniowej herbatce w Savoyu, dzień po uroczystym lunchu, w czasie którego zabawiał je i straszył wynajęty przez gospodynię przyjęcia wróżbita. Jak można się było spodziewać, pierwsza w kolejce do jego kolorowego namiotu, rozstawionego naprędce w salonie, ustawiła się Louise.

- Nie - odpowiedziała Amber, trochę się z Beth przy tym drocząc -ponieważ ja już wiem, jaka czeka cię przyszłość. Jeszcze przed końcem tego roku zaręczysz się z pięknym i wytwornym mężczyzną, mającym tytuł i fortunę. Ten mężczyzna będzie miał wielką posiadłość na wsi, a także elegancki dom w Londynie. A gdy się już pobierzecie, urodzisz mu całą gromadkę ślicznych małych dziewczynek i przystojnych małych chłopców.

- Ja też znam twoją przyszłość. - Beth zrewanżowała się Amber. - Poznasz cudownie przystojnego i szalenie niebezpiecznego artystę, który zakocha się w tobie bez pamięci, a ty w nim. Tenże właśnie artysta odda ci swoje serce, a w zamian poprosi o twoją rękę. Na początku mu odmówisz, ale kiedy pozwolisz mu się wykazać, zmienisz zdanie i przyjmiesz jego ofertę. Razem zaprojektujecie najpiękniejsze jedwabie w całej Anglii. Ciekawa jestem natomiast, jaką przyszłość wróżbita przepowiedział Louise. Zniknęła w tym jego namiocie na wieki!

- Nie mam pojęcia - odparła Amber - ale cokolwiek to było, musiało ją zadowolić, bo od tamtej pory uśmiech nie schodzi jej z ust.

- Teraz dopiero zaczynam się poważnie denerwować tą naszą prezentacją na dworze. Chciałabym już mieć to z głowy. Ale z drugiej strony, cieszę się, że zostałyśmy zaproszone na jedno z pierwszych przyjęć i nie będziemy musiały czekać aż do czerwca. Zgodzisz się ze mną?

Prezentacja miała się odbyć nazajutrz. Amber przytaknęła, chociaż w duszy ona także bardzo się bała.

- Lady Rotherford, moja matka chrzestna, przyjęła zaproszenie mamy na mój bal. - Beth lekko się zaczerwieniła. - Przyjdzie w towarzystwie swojego syna Alistaira. Nie mieliśmy ze sobą kontaktu od wielu lat, lecz kiedyś był bardzo zabawny. Ale najpierw odbędzie się twój bal. Czy mówiłam ci już, że Teddy chce koniecznie wybrać się na niego razem z mamusią? - Beth puściła porozumiewawczo oko do Amber. - Wiesz, co sobie myślę? Myślę, że Teddy mógłby się w tobie zakochać. Kiedy jego dziadek umrze, on zostanie księciem. A do tego jest niewyobrażalnie bogaty.

Amber roześmiała się.

- Nie pleć głupstw. To niemożliwe.

Prawda była taka, że Amber pomyślała, iż to raczej ona może się w nim zakochać. Oczywiście nie miała zamiaru mówić o tym Beth, tak jak nie przyznała się jej, że знаła lorda Roberta, zanim matka Beth oficjalnie ich sobie przedstawiła. To był jej sekret i Amber robiło się cieplej pod sercem, gdy tylko o tym pomyślała.

- Świetnie się razem bawiliśmy, nieprawdaż? Amber przytaknęła głową.

Siedzieli w kawiarni na dachu Selfridges. Lord Robert, jak zwykle, był przebrany w strój profesorski.

- Nie wiedziałem, że ty i Beth jesteście tak dobrymi przyjaciółkami. Amber nagle poczuła się rozdrażniona.

- To chyba nie ma żadnego znaczenia, prawda?

- Oczywiście, że nie. Jesteś teraz tak rozchwytywana, że niedługo nie będziesz mieć już czasu dla swojego starego profesora.

Amber chciała zaprotestować, ale on ciągnął:

- Mnie to nie przeszkadza. Podejrzewam, że prędzej czy później nasz sekret zostałby ujawniony, i chociaż uważam, że była to rozkoszna i w gruncie rzeczy niewinna gra, ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, jest wystawienie na szwank twojej reputacji.

Kiedy Amber odstawiała filiżankę z herbatą, zadrżała jej ręka.

- Tak, to prawda. Zdaję sobie z tego sprawę.

I rzeczywiście tak było. W trakcie krótkiego pobytu w Londynie Amber zdążyła się dowiedzieć bardzo dużo o życiu. Beth była zbulwersowa-

na i zszokowana tym, że Louise tańczy z Georgeem Ponsonbym, co zatem powiedziała, gdyby dowiedziała się, że Amber wychodzi sama z lordem Robertem? Londyńska śmietanka towarzyska uwielbiała plotkować. A plotki te potrafiły być okrutne. Reputacja młodej niezamężnej kobiety nie może zostać nadwreżona żadnymi oznakami skandalu.

Łagodność, jaką okazywali sobie jej rodzice, i ich małżeństwo wydawały się Amber czymś tak odległym w porównaniu z tym, czego doświadczała w Londynie. Ludzie mówili otwarcie o księciu Walii i jego kochance, która oczywiście była mężatką. Tutaj obowiązywały zupełnie inne reguły i kodeksy wartości, które należało sobie przyswoić. Amber doznała szoku, kiedy dowiedziała się, że Diana Guinness, którą stawiała na piedestale i uważała za prawdziwą bohaterkę, nie kryje swojej fascynacji dla Evelyn Waugh. Co więcej, pozwoliła pisarzowi, który dochodził do siebie po niedawnym rozwodzie, zamieszkać razem z nią i Bryanem.

Amber dowiedziała się również, że kiedy kobieta wyjdzie za mąż i urodzi mężowi potomka, nikt nie będzie miał jej za złe, jeżeli znajdzie sobie kochanka. Nawet Beth, która była taka pruderyjna, mówiła otwarcie o związkach łączących niezamężne pary

Mężczyzna wywodzący się z arystokracji mógł przyprowadzać ze sobą kochankę - a nawet oczekiwał, że będzie ona zapraszana - na różne wydarzenia towarzyskie, pod warunkiem że jej rodowód i pochodzenie nie będą tutaj przeszkodą. Zapraszano ich nawet na przyjęcia domowe, dając im do dyspozycji osobne pokoje, pilnując jednak, żeby były one odpowiednio blisko siebie. Księżę Walii zawsze pokazywał się w towarzystwie swojej kochanki w otoczeniu swoich najbliższych przyjaciół, a nierzadko także jej męża.

Była także grupa kochanek, które mężczyźni umieszczali w dyskretnych drogich posiadłościach w St John's Wood, gdzie mogli je odwiedzać, nie wzbudzając sensacji. Tancerki rewiowe i ekskluzywne prostytutki towarzyszyły swoim arystokratycznym kochankom w Cannes i Monte Carlo, uczestniczyły w wyścigach Grand Prix i nieoficjalnych przyjęciach. Nie mogły jedynie brać udziału w formalnych spotkaniach towarzyskich, na których bywały oficjalne arystokratyczne kochanki.

Także kilka arystokratycznych żon było wcześniej kochankami, ale należały one do wyjątków.

Jedna kwestia nie podlegała żadnej dyskusji. Młoda niezamężna kobieta musiała za wszelką cenę dbać o swoją reputację.

Amber była bliska płaczu i bała się, że zrobi z siebie pośmiewisko na oczach ludzi, a nie chciała zawstydząć lorda Roberta swoim niestosownym zachowaniem. Na pewno będzie za nim tęsknić - był przecież dla niej taki dobry - ale w końcu była jedynie niedoświadczoną młodą dziewczyną, a on przystojnym bywalcem światowych salonów, który mógł mieć każdą kobietę, o jakiej tylko zamarzył. Nie mogą oczekiwać, że lord Robert zakocha się we mnie - pomyślała z goryczą, patrząc, jak nad Oxford Street powoli zapada zmierzch. Takie rzeczy zdarzają się w bajkach, a ona jest zbyt rozsądna, żeby w nie wierzyć.

Czekając w drzwiach sklepu Harveya Nicholasa, Louise drżała z podniecenia i niecierpliwości. Wybrali to miejsce schadzki nieprzypadkowo, ponieważ - jak stwierdził George - gdyby ktoś ich nakrył, ona mogłaby powiedzieć, że robiła tu zakupy i wpadli na siebie przypadkowo.

Od chwili, w której George spojrział na nią znacząco na balu u Guin-nessów, Louise wiedziała, że musi się z nim znowu zobaczyć. Gdyby on sam tego nie zaproponował, i tak wymyśliłaby jakiś sposób, żeby ich drogi znów się przecięły.

Louise zadrżała raz jeszcze, tym razem wyłącznie z podniecenia. Poczula się ważna i wyróżniona, kiedy George okazał jej zainteresowanie. Wiedziała rzecz jasna, z kim ma do czynienia, ale to czyniło go w jej oczach jeszcze bardziej atrakcyjnym.

George sądził, że uda mu się ją uwieść, ale ona liczyła na coś więcej i chciała sprawić, że się w niej zakocha. Louise bardzo wcześnie odkryła, jak manipulować mężczyznami - i jak wielką satysfakcję jej to sprawia. Było w niej ogromne pragnienie korzystania z życia.

Nie mogła się już doczekać dnia, w którym stanie się jedną z tych uwielbianych kobiet, które spędzają życie w luksusie i przepychu, mając u swojego boku mężczyznę spełniającego każdą ich zachciankę. Ale nie takiego życia chciała dla niej matka. Lady Rutland wymyśliła sobie, że wyda córkę za jakiegoś nudnego i bezbarwnego mężczyznę z jej warstwy społecznej, któremu Louise powinna okazać wdzięczność, że zde-

c ydował się ją poślubić, mimo że nie miała posagu. Tymczasem Louise pragnęła życia jednej z tych pięknych młodych kobiet, którym towarzyszyli bogaci, często dużo starsi kochankowie. Życia pozwalającego na pławienie się w przepychu, strojenie się i noszenie drogiej biżuterii. Życia, które upływa szybko i beztrudnie, na samych przyjemnościach - od wizyt w kasynach na Riwierze Francuskiej po nocne kluby Londynu. Życia, które pozwala na jazdę szybkimi samochodami i rejsy luksusowymi jachtami, spanie w najdroższych hotelach oraz kolacje w ekskluzywnych restauracjach. A przede wszystkim pragnęła być kobietą, która wywołuje pożądanie u mężczyzn i zazdrość u innych kobiet, pozostając zawsze w centrum uwagi świata niedostępnego zwykłemu śmiertelnikom. Jej kochanek będzie ją adorował i obsypywał prezentami - koniem wyścigowym (albo i dwoma), biżuterią, piękną rezydencją w centrum miasta i willą na południu Francji. Nigdy nie będzie miała dość. Każde jej życzenie zostanie spełnione. Oczywiście wokół niej zawsze będą się kręcić także inni mężczyźni, równie przystojni, którzy będą ją adorować i zabiegać o jej względy.

Louise pragnęła tego wszystkiego. I obiecywała sobie w duchu, że dopnie swego bez względu na konsekwencje. Związek z Georgeem Ponsonbym wydawał się jej całkiem niezłą perspektywą, przynajmniej na początek. Rzecz jasna, nie mogła za niego wyjść. Ale wcale nie miała takiego zamiaru. Przede wszystkim George nie był wystarczająco bogaty. Przyjemnie jednak było uważać się za jego zdobycz, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego mroczną reputację. Louise miała okazję przejść do historii jako kobieta, która usidliła i okręciła sobie wokół małego palca Georgea Ponsonby ego.

Przy trotuarze zatrzymała się taksówka i wysiadł z niej George, uśmiechając się od ucha do ucha. Ale Louise nie odwzajemniła uśmiechu.

- Spóźniłeś się - powiedziała karcącym tonem. - Właśnie miałam wracać do domu.

- Kłamczucha. - W jego głosie było coś takiego, co sprawiło, że Louise zabłysły oczy. - Ty i ja jesteśmy tacy sami.

Wiemy, czego chcemy, i nie wypuszczamy okazji z ręki, gdy już nam się trafi. A teraz powiedz, czy naprawdę masz ochotę na zakupy u Harveya Nicholasa, czy raczej

powinniśmy poszukać bardziej prywatnego miejsca? Znam tu niedaleko pewien klub, w którym robią prawdziwie zabójcze koktajle. - To głupie.

Louise wydeła usta, starając się stłumić gorejący w niej płomień. To takie ekscytujące i niebezpieczne zarazem.

Igrała z ogniem i miała tego świadomość.

George pachniał jak zwykle wodą kolońską o zapachu drzewa sandałowego, zbyt intensywnym jak na angielskiego dżentelmena. Miał na sobie ciemnoszary garnitur w różowe prążki, białą koszulę i rdzawoczerwo-ny jedwabny krawat. Wyglądał na bardzo pewnego siebie. Zdradzał to nie tylko jego nienagannie dopasowany ubiór i zawadiacko przekrzywiony kapelusz, ale także sposób, w jaki się poruszał i zachowywał.

- Jak koktajl może być zabójczy? - spytała.

- Chodź ze mną, to ci pokażę.



## Rozdział 10

Na pewno nie byłaś taka przerażona jak ja. Dosłownie zamarłam ze strachu i nie byłam w stanie się ruszyć.

- Ja byłam przestraszona...

- Masz szczęście. Ja cała się trzęsłam i byłam pewna, że lada moment wypadną mi wszystkie grzebyki i popsuje sobie fryzurę.

- Nawet nie pamiętam, czy w ogóle dygałam, taka byłam przerażona... Długo wyczekiwana ceremonia prezentacji wreszcie dobiegła końca.

Amber, Beth i Louise razem z innymi debiutantkami weszły do sali. Lokaj w liberii anonsował głośno nazwiska każdej z nich, a one skłoniły się formalnie przed parą królewską. Fotografowie uwiecznili ten moment na zdjęciu, a potem powietrze dosłownie wypełniło się zapachem ulgi uderzającej do głowy jak młode wino.

Dziewczyny jedna przez drugą piszczwały, opowiadając sobie, jak bardzo były przerażone w czasie prezentacji.

Amber również zakręciło się w głowie, tym bardziej że miała świadomość, jaką drogę musiała pokonać - dużo dłuższą i bardziej wyboistą niż pozostałe dziewczyny. One dorastały, mając już świadomość głównej roli, jaką im przypisano, a ta prezentacja była tylko jednym z epizodów. W jej wypadku było inaczej. Amber czuła się nadal zagubiona i zawstydzona, choć już nie tak bardzo jak na początku. Przede wszystkim bała się ambicji swojej babki i tego, jaką przyszłość dla niej wybrała. Mimo to nie chciała jej zawieść. Teraz na szczęście ten koszmar już minął i nie musiała obawiać się Blanche, gdyż wszystko poszło zgodnie z jej oczekiwaniami.

Amber nie miała pojęcia, co przyniesie jej los, ale przynajmniej miała już za sobą tę okropną prezentację. Nie chciała zresztą zamartwiać się przyszłością ani robić sobie nadziei na cokolwiek. I tak zostały stłamszo-ne i obrócone w pył przez ambicje babki. Teraz tylko cud mógł sprawić, że spełni się marzenie Amber o przyszłości, jaką sama sobie wybrała, pełną

takiej miłości, jaką obdarzali się jej rodzice, oraz wielkiej pasji do jedwabiu - każdego jego wątku i osnowy. Zmęczone przyzwoitki poganiały swoje podopieczne w stronę czekających samochodów, myśląc już tylko o tym, by położyć się do łóżka, zamiast brać udział w jednym z licznych przyjęć organizowanych z tej okazji. Tak naprawdę liczył się tylko jeden bal, który miał przyćmić pozostałe, stać się dla nich wzorem i wyznaczyć nowe kanony. Lady Rutland - tak jak wszystkie inne matki - miała nadzieję, że to będzie właśnie jej bal. Ostateczny werdykt należał jednak do dziennikarzy kronik towarzyskich.

Kiedy lady Rutland czekała razem z dziewczętami na prezentację na dworze, armia czarodziejów uwijała się w Cadogan Place, przygotowując wszystko na zbliżający się wielkimi krokami bal. Tak przynajmniej wydawało się Amber, kiedy obserwowała z okna samochodu małe lampki ozdabiające drzewa i rozstawione namioty.

Lady Rutland nie marnowała jednak czasu i natychmiast powierzyła swoje debiutantki troskliwej opiece Renton, ostrzegając przy tym służącą, że goście zjawiają się na balu w ciągu zaledwie godziny.

- Proszę się nie martwić, wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Kucharz wysłał już na górę kolację dla pańienek, żeby zdążyły coś przekąsić, zanim przebiorą się w suknie balowe.

Przez okno w sypialni Amber było widać jak na dłoni cały ogród. Dziewczyna słyszała, jak orkiestra stroi instrumenty. Żołądek miała tak ściśnięty z emocji, że nie była w stanie nic przełknąć, nawet pieczonego dorsza. W domu unosił się zapach świeżej farby. Na zewnątrz był cudowny łagodny wieczór, rzeczywiście idealny na bal.

Renton wpadła jak burza do sypialni i pokręciła z dezaprobatą głową, gdy zobaczyła, że Amber nie zjadła kolacji.

- Przepraszam, Renton - usprawiedliwiła się Amber. - Po prostu nie mogę.

- No to jesteście dwie, bo panna Louise też zostawiła swoją porcję. A teraz trzeba się przebrać w suknię balową.

- Och, Amber, to wszystko jest takie piękne - westchnęła z zachwytem dwie godziny później Beth, kiedy stały obok siebie w jednym z namiotów,

oblane pąsem i wyczerpane tańcem, racząc się koktajlem ze srebrnego i czarnego szampana, przygotowanym specjalnie na tę okazję.

Wnętrze namiotu zostało przystrojone jedwabiem w kolorze macicy perłowej, przewiązanych biało-czarnymi wstążkami i bukietami srebrnych kwiatów, pasującymi do wielkich urn z białymi i srebrnymi kwiatami na zewnątrz. Sklepienie namiotu z czarnej satyny udekorowano chmurami /, białego tiulu, nakrapianego małymi srebrnymi gwiazdkami. Stoły zostały nakryte czarnymi i srebrnymi obrusami, a dyskretne lampy oświetlały miękkim światłem posrebrzane krzesła, również przewiązane identycznymi wstążkami i przystrojone małymi wiązkami białych gardenii z pomalowanymi srebrną farbą liśćmi. W gruncie rzeczy była to dość oszczędna kolorystyka i Amber obawiała się nawet, że bal może sprawiać wrażenie skromnego przy tych buchającymi wszystkimi kolorami tęczy i pełnych egzotycznych kostiumów przyjęć, które odbywały się ostatnio. Ale w tej prostocie zawierał się cały urok. Nawet kreacje Amber i Louise pasowały kolorystycznie do wystroju. Louise miała na sobie suknię ze srebrnej koronki, z podszewką z białej satyny, ze śmiałym wycięciem na plecach ukazującym prześwitującą przez koronkę kremową skórę. Przycięła też odważnie włosy, które teraz bardzo jej pasowały, ale była naburmuszona, ponieważ jej matka nie zaprosiła na bal George'a Ponsonby'ego.

Amber wystąpiła w uszytej z kilkunastocentymetrowych warstw białej satyny sukni w stylu Vionnet, przyciętej na skos i ozdobionej lamówką z małych srebrnych gwiazdek. Ona także obcięła włosy po chłopięcemu, jednak w znacznie bardziej tradycyjny sposób niż Louise, i spięła loki dwiema ładnymi diamentowymi spinkami w kształcie serca.

Nieco później Amber podsłuchiwała przypadkiem Emerald Cunard, która w rozmowie z inną dziewczyną przyznała, że jasne kolory sukienek debutantek i biały wystrój namiotów przypominają jej słynne eleganckie projekty wnętrza Syrie Maugham, i poczuła w sercu taką dumę, że miała wrażenie, iż zaraz spłonie.

Nawet lady Rutland uśmiechała się, z wdzięcznością przyjmując wyrazy uznania, choć Amber nie opuszczało przeświadczenie, że to jej babce

należą się gratulacje, ponieważ to ona wszystko zaplanowała i zorganizowała. Równocześnie doprowadzało ją to do furii i nie mogła zrozumieć dlaczego Blanche - obdarzona dobrym smakiem - z taką wzdargą traktuje jedwab, materiał najdroższy sercu Amber, który jej zdaniem przewyższał wszystkie inne tkaniny i choć bal trwał jeszcze w najlepsze, już okrzyknięto go sukcesem Amber mogłaby zapełnić swój bilecik taneczny dwukrotnie dzięki hojności lorda Cadogana, który nie dość, że wziął udział w zabawie, to jeszcze zaprosił mnóstwo młodych mężczyzn z kręgów arystokracji i rodziny królewskiej. Widać ich było tu i ówdzie w tłumie, wyróżniali się w bowiem ekstrawaganckimi i kolorowymi strojami na tle sukien debutantek i stonowanych smokingów ich gości. Wielu z nich Amber dała się zaprosić do tańca, ale głównie bawiła się na parkiecie z lordem Robertem, który - tak jak obiecał - zjawiał się na balu.

Lord Robert... W sercu Amber wciąż było dla niego miejsce, choć uważała to za niezbyt mądre. Nie przywiązywała też żadnej wagi do słów Beth, która robiła jej nadzieję, że Robert może się w niej zakochać. On na pewno znał tyle dziewczyn - piękniejszych od niej i lepiej urodzonych. Miał w końcu dwadzieścia siedem lat, był dziesięć lat starszy od niej. Ale jakiś cichy głos w głowie Amber podpowiadał jej, że przecież lord Robert nie jest jeszcze żonaty. Dziewczyna zadrżała, a serce zatrzepotało jej w piersi, kiedy podniosła głowę i zobaczyła, że zmierza w jej stronę - Mam nadzieję, że mogę liczyć na jeszcze jeden taniec - powiedział Amber chciała go zapewnić, że może liczyć na wszystkie tańce w jej karneciku.

- Tylko pod warunkiem, że zabierze mnie pan do West Compton. Zorientowała się, że trafiła lorda Roberta w czuły punkt. Oczy zapaliły

mu się tym dobrze znanym ciepłym blaskiem.

- Przed chwilą rozmawiałem z Dianą i kazała przekazać, że ślicznie pani wygląda, że ma nadzieję, iż zostanieie przyjaciółkami.

- Och, to miłe z jej strony

- Cecil z kolei powiedział, że poczuł się dotknięty do żywego faktem iż pan, babka me poprosiła go o wykonanie kilku twoich oficjalnych zdjęć ale on , tak to zrobi. Musi tylko poprosić o zgodę lady Rutland

Amber przyzwyczała się już do nieco ekstrawaganckiego i ekspresyjnego sposobu, w jaki ubierali się i mówili przyjaciele lorda Roberta. Mimo to sposób, w jaki patrzył na niego Ralph Seaforde, wciąż napawał ją jakimś trudnym do zdefiniowania niepokojem.

Zarówno lord Robert, jak i Cecil przysłali Amber bukietki kwiatów, ule ona wybrała ten od Jaya, drocząc się z lordem Robertem, gdy ten wypytywał ją o tajemniczego wielbiciela. Amber była bardzo podekscytowana rano, kiedy otrzymała od Jaya kwiaty razem z krótkim liścikiem. A jeszcze bardziej wzruszyło ją, kiedy Renton przyznała się, że Jay dzwonił do niej, by poradzić się w kwestii wyboru najodpowiedniejszych kwiatów.

Kochany Jay Amber żałowała, że nie ma tutaj jego ani Grega. Lady Rutland i Louise nie były z nimi w żaden sposób spokrewnione. W ostatnich tygodniach Amber zbliżyła się natomiast do matki Beth i to właśnie hrabina sprawdziła dyskretnie, czy Amber trzyma swój bukiet we właściwy sposób, zanim została poproszona przed oblicze rodziny królewskiej. Ona także podała jej i Beth czyste chusteczki, by mogły otrzeć łzy, kiedy prezentacja już się zakończyła. Louise nie bawiła się dobrze. Właściwie była wściekła. Na George'a i na swoją matkę. Zanim dowiedziała się, że George nie zostanie zaproszony na bal i że ona nie będzie w stanie nic zrobić, by wpłynąć na decyzję matki, powiedziała mu, iż oczekuje go na balu, aby dotrzymał jej towarzystwa w tańcu. Ale George odmówił, tłumacząc się, że przyjął już wcześniej zaproszenie od kogo innego.

- W takim razie musisz zapomnieć o tamtym zobowiązaniu - oświadczyła władczym tonem.

- Mógłbym to zrobić, ale musiałoby mi się to w jakiś sposób opłacić - odparł.

Louise wiedziała doskonale, co to oznacza, ale nie była aż tak głupia, żeby dać się w ten sposób wykorzystać.

Kiedy nie odpowiedziała, George posunął się jeszcze dalej.

- Pamiętaj, że obiecałaś mi coś wyjątkowego.

- Wiesz dobrze, że nie mogę tego zrobić.

George uśmiechnął się w sposób, którego Louise nie znosiła i powiedział:

- No cóż, widzę, że mamusia ostrzegła cię już, żebyś nie zadawała się z lowcami fortun. Niezła z mej sztuka, muszę przyznać. I przy tym dość kusząca, nawet bez pieniędzy babki. Zaczynam żałować, że nie mam tytułu

Louise była tak wściekła, że chciała go uderzyć. Ale George był szybszy. Wykręcił jej ramię z tyłu za plecami tak mocno, że syknęła z bólu

Wtedy ją pocałował. Boże, to było takie podniecające. A z drugiej strony, wywołało w niej furję. Louise była na niego wściekła i jednocześnie tak bardzo pragnęła, by dać się znów zaprosić na jeden z tych zabójczych koktajli. A potem przeżył jeszcze jeden taki namiętny pocałunek.

Kiedy jej partner podziękował za wspólny taniec i uklonił się, Amber pomyślała, że ostatnie tygodnie spędzone w Londynie otworzyły jej oczy na wiele rzeczy. Wciąż idealizowała uczucie łączące jej rodziców, ale wiedziała już, że dla dziewczyn takich jak Louise czy Beth ważniejszy od miłości był odpowiedni mąż. A już na pewno było to ważniejsze dla ich rodzin. Właściwie, dobre małżeństwo stanowiło konieczność, jeśli chciały się cieszyć wysoką pozycją w społecznej i towarzyskiej hierarchii sfery, w której przyszło im żyć.

Diana Guinness na przykład nigdy nie ukrywała, jak bardzo ceni pieniądze swojego męża Bryana. Gdyby nie majątek, w jaki sposób ona, jej podobne kobiety miały zapewnić przyszłość swoim dzieciom, a sobie spokojną starość? Gdyby nie było to takie ważne, wiele matek córek z klasy średniej, nie starałoby się aż tak bardzo, żeby znaleźć im męża o dużo wyższej pozycji, choć reszta towarzystwa naśmiewała się i drwiła z ich ambicji. Przywileje związane z pozycją społeczną były zaciekle bronionym terytorium, niedostępnym dla przypadkowych ludzi z zewnątrz - takich jak a, którzy teraz stali za żelaznym płotem odgradzającym ogrody lorda Ca-dogana, skąd mogli jedynie obserwować toczącą się zabawę.

Amber nie chciała zaaranżowanego małżeństwa, potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego aż tyle młodych dziewczyn się na nie godziło. Rozmyślała o tym z żalem, kiedy udało jej się na chwilę wymknąć z namiotu, żeby pospacerować po ogrodzie i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza

Nawet Beth przyznała się, że nie chce rozczarować matki i ma nadzieję |irml końcem sezonu otrzymać jakąś sensowną propozycję matrymonialni! od mężczyzny, którego będzie musiała nauczyć się kochać. Miłość. Amber nie chciała o niej myśleć. Wystarczyło jej to cudowne uczucie, kiedy tańczyła z lordem Robertem. Był taki wspaniały i czuła się w jego towarzystwie szczęśliwa. I taka wolna...

Nagle jej uwagę przykuł jakiś ruch między drzewami, a chwilę później z półmroku wyłoniły się dwie postacie. Sztywność, jaka od nich biła, sugerowała, że zaszło między nimi nieporozumienie. Amber zamarła, nie chcąc im przeszkadzać. Z mocno bijącym sercem zdała sobie sprawę, że ma przed sobą lorda Roberta i Ralpa Seaforde a. Seaforde powiedział coś lordowi Robertowi, a potem zostawił go i ruszył przed siebie. Lord Robert pobiegł za nim i złapał go za ramię. Seaforde zrzucił z siebie jego dłoń. Wtedy lord Robert zaszedł Ralpowi drogę. Widać było wyraźnie, że ci dwaj mężczyźni o coś się kłóca, chociaż Amber nie słyszała ich rozmowy. Wtedy stało się coś, co zdjęło Amber grozą i wprawiło w ogromne osłupienie. Lord Robert nachylił się, objął Kalpha i pocałował go w usta. Tak jak całuje się kobietę, a nie innego mężczyznę...

Amber wzdrygnęła się z obrzydzenia, nie wierząc własnym oczom. Chciała odwrócić wzrok, ale nie potrafiła. Czy to, co widziała, mogło być prawdą? Ale to niemożliwe! Musiała się pomylić albo czegoś nie zrozumieć. Niestety wiedziała, że to jednak prawda. Zamrugła oczami, które piekły ją, jakby wypaliła je suchość. Żołądek ścisnął się jej ze zdenerwowania. Chciała zapomnieć o tym, co przed chwilą zobaczyła, i uciec stąd jak najdalej. Lecz gdy tylko się odwróciła, usłyszała, jak lord Robert woła ją po imieniu. Musiał ją zobaczyć!

Amber wpadła w panikę. Nie mogła tu zostać i z nim rozmawiać. Nie po tym, czego przed chwilą była świadkiem. Ruszyła więc przed siebie, w ciemność, z ogłuszająco bijącym sercem.

Lord Robert dopadł ją po kilku metrach, chwycił za ramię i zatrzymał w miejscu.

- Amber, posłuchaj. Tak mi przykro. To, co widziałaś... Nie zrozumiesz tego.

- Mylisz się. Rozumiem doskonale - odparła z wściekłością, po czym uwolniła się z jego uścisku i pobiegła w stronę światła namiotu.

Tym razem lord Robert nie rzucił się za nią w pogoń i Amber była mu za to wdzięczna.

Oczywiście, że rozumiała. Nie była idiotką, wbrew temu, co mu się zdawało. Greg opowiedział jej o „tym” - w taki sposób, w jaki starsi chłopcy chwalą się przed swoimi młodszymi kuzynkami dojrzałością i wiedzą o „tych” sprawach. Chciał ją zaskoczyć, a przy okazji pochwalić się nowo zdobytą wiedzą. Udało mu się. Wtedy Amber była zszokowana, a teraz rozumiała. Robert był jednym z tych mężczyzn, których pociągali inni mężczyźni.

Ależ ona była głupia. Mało brakowało, a zakochałaby się w nim Mało - na szczęście tylko tyle i aż tyle. Ale do niczego między nimi nie doszło. Nie powinna więc czuć się odrzucona ani upokorzona tak jak jej babka kiedy Barrant de Vries wzgardził jej względami. Lecz ku swojemu zaskoczeniu Amber stwierdziła, że do oczu napływają jej łzy. Nie sądziła, że kiedyś pomyśli, o babce jako o młodej, skrzywdzonej, wrażliwej dziewczynie. Czy Blanche tak właśnie się czuła? Jeśli tak, to przez lata nauczyła się idealnie maskować swoją wrażliwość.

Po chwili jednak Amber doszła do wniosku, że nie ma sensu przypisywać babce uczuć, których może mgdy nie doświadczyła, ani się z nią porównywać. Lord Robert nie odrzucił względów Amber. Był dla niej dobry. Głupstwem byłoby więc pielęgnowanie poczucia straty.

Orkiestra wciąż grała ten sam utwór, który rozbrzmiewał w namiocie kiedy Amber go opuszczała. Lampiony z kolorowego papieru dalej emanowały miękkim światłem, a dziewczyny nadal chichotały i flirtowały ze swoimi partnerami do tańca. Z pozoru nic się nie zmieniło, ale w głębi serca Amber wiedziała, że nic już nie będzie takie samo.

Nie tylko dlatego, że tak łatwo mogła stracić głowę dla lorda Roberta. Chodziło o coś więcej. Na samą myśl o tym, co widziała, przeszywał ją dreszcz. Nie dało się o tym tak po prostu zapomnieć, tak jak nie można wywabić zafarbowanego kawałka jedwabiu. Dobry i zdolny projektant mógł wykorzystać ten jedwab do stworzenia czegoś zupełnie nowego, w ten sposób ukryć skazę, ale zawsze już będzie o niej pamiętał, bez względu na to, jak głęboko ją ukryje.



Miłość mogła napawać strachem i sprawiać ból. Czasem trudno było to zrozumieć. Ludzie nie zawsze byli tymi, za których się podawali. Biedny lord Robert - wyglądał na udręczonego.

Amber czuła się teraz inaczej - jakby starsza i dojrzała. Musiała być silna dla własnego dobra. Ale jak miała znaleźć w sobie siłę, kiedy czuła się zraniona i zdradzona? Ufała lordowi Robertowi i uważała go za swojego przyjaciela. A jednak wbrew temu, co sądziła, nie udało jej się w ogóle go poznać. Dlatego czuła się taka osamotniona. Lord Robert i przyjaźń, która - jak sądziła Amber - łączyła go z nim, stały się symbolem. Kamieniem milowym w jej życiu i światłem prowadzącym ją w przyszłość. Amber opowiadała mu o swoich planach i marzeniach, zwierzała mu się, bo wierzyła, że łączy ich wyjątkowa więź. Jakże się łudziła, skoro nie wiedziała o nim czegoś tak ważnego. W ogóle go nie znała. Wszystko, co poznała, było tylko fikcją i złudzeniem. Jak mogła jeszcze kiedykolwiek zaufać swojej intuicji?

Czy na tym właśnie polegało dojrzewanie? Na uczeniu się, że nie wolno nikomu ufać ani oceniać ludzi po pozorach? Na zaakceptowaniu faktu, że miłości zawsze towarzyszy ból? Czy ona będzie w stanie to wszystko znieść? Z bólem i ciężkim sercem przyznała, że chyba nie ma innego wyboru.

Obiecała sobie, że już nigdy nie wystawi swoich uczuć na pokaz. Tej Amber już nie było. Nowa Amber, która właśnie się narodziła, będzie inna. Mądrzejsza, mniej wrażliwa i bardziej nieufna.

## Rozdział 11

Maj 1930 roku

Tygodnie mijały teraz tak błyskawicznie, że Amber nie miała nawet czasu wziąć głębszego oddechu. Wraz z Amber i Beth pod surowym i czujnym okiem hrabiny uczestniczyła w przyjęciach i uroczystych lunchach wyścigach konnych i samochodowych, popołudniowych herbatkach i - oczywiście - odbywających się wieczorami balach dla debiutantek

Niektóre debiutantki, w tym Amber i Beth, zostały nawet zabrane do klubu Kit-Cat, gdzie siedziały, podniecone, starając się nie okazywać zbyt-mego zainteresowania obecnym tam księciem Walii i jego świtą

Amber odruchowo rozejrzała się w poszukiwaniu lorda Roberta chociaż wiedziała od Beth, że wybrał się z wizytą do przyjaciół w Yorkshire Nie widziała go od tamtego wieczoru na balu i choć próbowała odpychać od siebie tę myśl, brakowało jej jego obecności. Niemnie, wspomnieniom wspólnie spędzonego czasu nie towarzyszył już lekki trzepot serca

Zobaczyła za to kogoś, kogo razem z Beth spodziewały się spotkać właśnie w takim miejscu. Louise siedziała przy jednym ze stolików obok mężczyzny, którym - jak zarzekała się Beth - był George Ponsonby.

- Louise zrujnuje sobie reputację i nikt już nie zechce się z nią ożenić - wieszczyła Beth.

Chociaż Amber i Louise mieszkały pod jednym dachem, każda z nich była tak zajęta braniem udziału w

najróżniejszych wydarzeniach towarzyskich, na które je zapraszano, że Amber właściwie nie widywała Louise

Amber, Beth miały już za sobą próbę zapalenia papierosa. Beth strasznie się pochorowała, a Amber też nie czuła się dużo lepiej

Trudno uwierzyć, że od mojego balu minął już miesiąc - pomyślała Amber, siadając do śniadania, przywitawszy się uprzednio z lady Rut-

land. Piła właśnie kawę, kiedy do pokoju weszła Louise, usiadła przy stole i bezceremonialnie zapaliła papierosa. Paznokcie miała pomalowane na wściekły odcień czerwieni, a sposób, w jaki zaciągała się papierosem i polem wypuszczała dym, zdradzał duże obycie i doświadczenie w tej materii. Amber poczuła nawet lekką zazdrość.

Lady Rutland na ten widok zmarszczyła gniewnie brwi i powiedziała ostrym tonem:

- Amber, jeżeli skończyłaś już śniadanie, chciałabym pomówić z Louise na osobności.

Mimo iż lady Rutland natychmiast zamknęła za nią drzwi od pokoju śniadaniowego, Amber usłyszała, jak strofuje córkę:

- Louise, natychmiast zgaś tego papierosa. Nie zamierzam tolerować palenia przy stole. Poza tym doszły mnie słuchy, że widziano cię w nocnym klubie z jakimś mężczyzną.

Amber, nie chcąc dłużej podsłuchiwać, pobiegła na górę.

Kilka minut później rozwścieczona Louise wpadła do jej sypialni.

- To ty powiedziałaś mamie, że byłam w Kit-Cat z Georgeem, mała zmiłko?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo Amber. - To nie ja.

Louise nie miała już nad nią żadnej przewagi i Amber nie dawała sobą pomiatać. Od kiedy lord Robert wziął ją pod swoje skrzydła, a Beth po powrocie ze szkoły w Paryżu pielęgnowała ich przyjaźń, Amber nabrała pewności siebie.

- Powiedziałaś jej, bo jesteś zazdrosna - wybuchła Louise, nie zwracając uwagi na jej usprawiedliwienia. - Chcesz go dla siebie. Ale tracisz tylko czas. George nie spojrzełby nawet na kogoś takiego jak ty - córkę kupca.

Amber nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć na tę zniewagę. Sugestia, że mogłaby interesować się George'em Ponsonbyem była śmiesznie nedorzeczna. Amber uważała go za zarozumiałego i wyrachowanego młokosa, w dodatku nie wydawał jej się ani trochę atrakcyjny.

- Mama może sobie mówić, co jej się żywnie podoba. Nie zamierzam przestać się z nim widywać.

Zanim Amber zdążyła cokolwiek powiedzieć, Louise wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

\*

\*\*

- Nie wyobrażam sobie, żebym mogła sprzeciwić się woli mojej mamy - przyznała Beth, gdy Amber opowiedziała jej o tym incydencie jeszcze tego samego dnia.

Siedziały w salonie domu Levingtonow przy Belgrave Square, czekając na hrabinę, która miała im towarzyszyć w drodze na uroczysty obiad w hotelu Savoy

Na biurku hrabiny leżał egzemplarz „Timesa” i Amber zauważyła że główny temat wydania dotyczy rosnącego w kraju bezrobocia. Jay wspomniał Amber w jednym z ostatnich listów, że część zakładów przemysłowych w Macclesfield musiała zwolnić ludzi z powodu nagłego spadku obrotów w handlu, wywołanego ubiegłorocznym krachem na Wall Street

W Londynie na każdym kroku można było spotkać żebraków, a rząd laburzystów nie miał na to lepszej recepty niż poprzedni gabinet konserwatystów.

- Mamusia zaraz przyjdzie - powiedziała Beth. - Wiem, że chce z tobą o czymś porozmawiać, ale nie uprzedzajmy faktów. Och...

Beth zamilkła, gdy do pokoju weszła jej matka i spojrzała na nią karcącym wzrokiem, kręcąc przy tym głową.

- Moja droga - hrabina zwróciła się do Amber - bale debutantek wkrótce się skończą i zastanawiałam się właśnie, czy twoja babcia ma już dla ciebie jakieś plany na lato.

- O ile wiem, nie. W każdym razie nie wspominała o tym w żadnym z ostatnich listów - odpowiedziała nieśmiało Amber, nie mając pojęcia, do czego prowadzi ta rozmowa.

- Doskonale. W takim razie napiszę do niej i poproszę, by wyraziła zgodę na to, żebyś mogła nam towarzyszyć w podróży na południe Francji w przyszłym miesiącu. Oczywiście jeśli masz na to ochotę.

Jeśli miała ochotę? Czy ktokolwiek mógł w to wątpić?

- Och, tak. Bardzo dziękuję! - wykrzyknęła radośnie Amber. Jak mogła nie przypaść jej do gustu perspektywa spędzenia wakacji

w południowej Francji, w dodatku w towarzystwie najlepszej przyjaciółki Amber spojrzała z wdzięcznością na Beth, która odwzajemniła się jej uśmiechem.

Hrabina poinformowała Amber, że podróż do Francji odbędą wraz z hrabią - ojcem Beth, i ich najstarszym synem - wicehrabią Henrym Hallowesem. Jak zdradziła Beth, obaj przebywali obecnie w Australii, gdzie hrabia inwestował pieniądze w hodowlę owiec i w górnictwo. Mieli zabrać ze sobą również gromadkę dzieci - dwóch młodszych braci Beth i najmłodszą córkę Arabelle. Docelowym punktem ich podróży była miejscowość Juan-les-Pins, gdzie hrabia wynajmował letnią rezydencję.

- Tak się cieszę, że jedziesz z nami do Francji - powiedziała podekscytowana Amber do Beth w trakcie lunchu. - Będziemy się świetnie bawić.

- Oczywiście - przytaknęła Amber.

Sama jeszcze nie do końca mogła uwierzyć, że odwiedzi południową Francję - mekkę tylu wspaniałych artystów. Nie mogła się już doczekać, kiedy zobaczy te wszystkie miejsca i barwy, które ich inspirowały. Czuła także ulgę, że nie będzie musiała bez przerwy oglądać się za siebie w nadziei, że zobaczy tam lorda Roberta.

Południe Francji. Ależ to szczęście mieć taką cudowną przyjaciółkę jak Beth. Amber była także dożgonnie wdzięczna hrabinie za to, że ją zaprosiła.

- Mówiłeś, że zabierzesz mnie do jakiegoś ekscytującego miejsca, a nie do obskurnego hoteliku w Brighton - zaprotestowała Louise, zaciągając się nerwowo papierosem.

Znajdowali się w pokoju hotelowym i chociaż Louise wiedziała doskonale, co chodzi po głowie George'owi, dopiero teraz zdała sobie sprawę, w jakiej sytuacji się znalazła. Sprzeciwienie się matce i podjęcie takiego ryzyka nie wydawało jej się już takie ekscytujące ani atrakcyjne. George też jakby gdzieś zgubił swoją wytworność i w niczym nie przypominał eleganckiego dżentelmena z salonów Mayfair i głośnych klubów nocnych.

Louise zamiast podniecenia czuła niesmak. Wzdrygnęła się na wspomnienie znaczącego jadłowitego uśmiechu recepcjonisty w hotelu, który obrzucił ją lubieżnym spojrzeniem, kiedy George zameldował ich jako państwo Smith. Była tak zszokowana całą tą sytuacją, że nawet nie śmiała protestować.

Kiedy George zaproponował, że zawiezie ją do Brighton, gdzie ma dla niej „specjalną niespodziankę w pewnym dyskretnym miejscu”, Louise wyobraziła sobie jakiś luksusowy lokal, w którym wszystkie głowy obracałyby się z uwielbieniem w jej stronę, a przystojni mężczyźni zostawialiby swoje partnerki, przedstawiając się i nie odstępując Louise na krok.

W tym zapierającym dech miejscu Louise i George mieli zjeść lunch -oczywiście z szampanem - a potem wypić kilka koktajli w barze z pianistą.

Louise była do tego stopnia beztroska, że nie pomyślała w ogóle o tym, w jaki sposób usprawiedliwi przed matką tak długą nieobecność.

Teraz, kiedy stała w hotelowej sypialni, mniejszej od tej, którą miała pokojówka w jej domu, z łuszczącą się ze ścian tapetą, tłustymi plamami i wszechobecnym zapachem wilgoci, kwestia prawdopodobnej reakcji lady Rutland stała nagle się żywo istotna.

- Naprawdę nie mogę zostać - powiedziała George owi z udawaną niefrasobliwością. - Nie miałam pojęcia, że dotarcie tutaj zajmie nam tyle czasu. Mama wpadnie w furję, jeśli nie wrócę przed podaniem koktajli w Edales.

- Doprawdy?

Spojrzenie Georgea nie pozostawiało wątpliwości, że nie da się on zbyć, a odmowa nie wchodzi w grę.

Ależ to było podniecające! Louise, widząc, jak bardzo George jej pragnie, poczuła się wyjątkowa i potężna.

- Tak. Chcę, żebyś odwiózł mnie do domu.

- A ja chcę... ciebie - odparł George.

Próbowała go wyminąć, kiedy się do niej zbliżył, ale pokój był mały i wystarczyło, że złapał ją w ramiona i popchnął do tyłu, by upadła na łóżko.

- Nie, George. Nie wolno ci - zaprotestowała Louise, udając gniew. Dokładnie tak to sobie wyobrażała. Cudowne uczucie władczej siły

i wyuzdania, i świadomość, że George aż kipi z pożądania do niej. Jeśli tak łatwo poszło jej z Georgeem, to jeszcze łatwiej poradzi sobie z manipulowaniem kimś innym, starszym i bogatszym. W oczach Louise zaiskrzyła chciwość.

- Już za późno na twoje gierki, Lou - ostrzegł ją George. - Chodzisz za mną od kilku tygodni i dobrze wiesz, do czego zmierzasz. Nie martw

się, spodoba ci się. Takim jak ty zawsze się podoba. Ostrożnie, nie chcesz chyba, żebym rozdarł twoją piękną bluzeczkę. Co powiedziała by na to mamusia?

Louise była już naprawdę wściekła. Nie sądziła, że sprawy zajdą aż tak daleko. Flirtowanie z George'em nie oznaczało pozwolenia, żeby „to” zrobić.

Udało jej się jakoś odepchnąć go i dostać się do drzwi, które okazały się jednak zamknięte, i kiedy Louise szarpała się z nimi, George złapał ją i zaciągnął z powrotem do łóżka.

Na pewno nie tego chciała. Sytuacja wymknęła jej się spod kontroli. George rzucił się na nią i z wprawą zaczął ją rozbierać pomimo jej protestów, aż została tylko w jasnoróżowej jedwabnej halce i koronkowych majtkach tego samego koloru.

Kiedy George puścił ją i wstał, żeby się rozebrać, Louise odruchowo zakryła piersi dłońmi. Nie chciała dać po sobie poznać, że się boi. Mężczyźni tacy jak George nie okazywali współczucia kobietom, które krzyczały i błagały o litość. Wiedziała instynktownie, że on oczekuje od kobiety, by mu dorównała.

Denerwowała się, ale nie zabrakło jej ciekawości, by na niego zerknąć. Nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny całkowicie nagiego, niemniej zdążyła już poznać ten sterczący kawałek ciała, który podnosił się jak na rozkaz.

George pozwolił jej kilkakrotnie dotknąć swojego członka - raz nawet rozpiął spodnie, chwycił jej rękę i włożył pod bieliznę, dając Louise możliwość pomicania tego „czegoś”. Nie spodziewała się jednak, że ten krępujący organ dyndający między jego nogami będzie aż tak brzydki.

- Podoba ci się? - spytał George. - A może powinnaś przyjrzeć mu się jeszcze bliżej?

Louise spróbowała przybrać nonszalancki wyraz twarzy i wzruszyła ramionami. Ale zorientowała się, że traci czas, ponieważ George był bardziej zainteresowany rozpięciem jej stanika. Obnażywszy jej piersi, wziął je w dłonie i zaczął szarpać i ugniatać sutki. Robił to tak mocno, że niemal sprawiał jej ból.

Louise rozluźniła się trochę dopiero wtedy, gdy George zaczął ją całować - w końcu było to już znajome jej terytorium. A kiedy oderwał

się od jej ust i zaczął ssać jej sutki, dziewczyna zamarła i wyprężyła się. Przeszyło ją nieznane dotąd uczucie, tam na dole, przyprowadzając ją o niezbyt przyjemny dreszcz, który rósł z każdą chwilą. Nagle George zacisnął zęby na jednym z jej sutków. Krzyknęła i wyrwała mu się, ale przytrzymał ją, a potem wepchnął dłoń do majtek Louise, dotykając jej brutalnie w miejscu, w którym ona robiła to już wcześniej - delikatnie i zmysłowo, nie tak jak teraz George. Lecz on, nie zważając na protesty, zaczął pocierać to magiczne miejsce, które odkryła podczas samotnych eksploracji. W pewnej chwili Louise przestała myśleć o tym, jak owinie sobie Georgea wokół palca. W ogóle nie była już w stanie myśleć o czymkolwiek. Wygięła ciało w łuk, zaczęła krzyczeć i jęczeć, protestując, gdy George wyjął rękę z jej majtek, a potem wsunął poduszkę pod jej biodra. Wdrapał się na Louise, uniósł jej kolana i powoli wszedł w nią, ignorując nagłe zeszywnienie ciała dziewczyny, które było wyrazem niemego protestu.

George nie zamierzał jednak przestać i po jakimś czasie ból w cudowny sposób minął. Louise czuła, jak on porusza się w niej coraz głębiej, szybciej, i nagle zapragnęła dotrzymać mu kroku, a po chwili krzyczała już z rozkoszy.

Kiedy George jęknął i wyprężył się, zastanawiała się, co się dzieje. Bała się, że może coś poszło nie tak jak trzeba, że w niej utknął. Zanim jednak zdążyła wpaść w panikę, George znowu jęknął, a potem wytrysnął w nią z całych sił.

Chwilę później odetchnął głęboko z satysfakcją i zsunął się z niej.

Louise wyobrażała to sobie zupełnie inaczej. George był taki obcesowy, wręcz brutalny A do tego pot, wysiłek i ta lepka ciecz, która z niej wypłynęła.

- No widzisz, mówiłem, że ci się spodoba.

Siedziała na łóżku, zakrywając biust prześcieradłem, i paliła papierosa, którym ją poczęstował. On leżał obok, podpierając głowę dłońmi, i patrzył na nią zadowolony z siebie.

- Nie, wcale mi się nie podobało - odparła obcesowo, wciąż wściekła, że wziął ją przemocą.

Roześmiał się.



Nie? W takim razie po co było to: „Och, George, proszę, och, George. Och, och...”?  
Louise musiała przyznać, że podobało jej się to, ale nadal była wściekła na Georgea. Nie spodziewała się, że straci cnotę akurat w takim miejscu. Zasługiwała na coś lepszego. Ale jeszcze mu się odpłaci...

## Rozdział 12

Lady Rutland, delikatnie mówiąc, nie była zachwycona faktem, że Amber została zaproszona na wydawany przez rodziców Beth prywatny obiad, który poprzedzał oficjalny bal ich córki, podczas gdy Louise nie spotkał ten zaszczyt, Ale od czasu, gdy babka napisała w liście, że bardzo się cieszy z wakacyjnego wyjazdu na południe Francji, a potem jeszcze zadzwoniła, Amber przestała się przejmować humorami lady Rutland.

Posiadłość lorda i lady Levingtonow przy Belgrave Square była dużo okazalsza niż dom lady Rutland w Cadogan Place. Kwiaty do udekorowania sali balowej zostały przysłane ze szklarni w Chevenely - posiadłości ziemskiej Levingtonow - gdzie wyhodowano je specjalnie na tę okazję.

Amber jak dotąd nie poznała hrabiego Levingtona, dlatego obawiała się, że może nie zyskać aprobaty w oczach ojca Beth, a wtedy zaproszenie na wakacje na południu Francji stanie pod znakiem zapytania. Na szczęście, ku jej wielkiej uldze, hrabia Levington potraktował ją bardzo uprzejmie, sprawiając, że strach i niepokój Amber rozwiały się w okamgnieniu.

Podczas obiadu Amber towarzyszył starszy brat Beth, wicehrabia Henry Hollowes. Był to młodzieniec o tych samych co Beth delikatnie brązowych włosach i orzechowych oczach, które odziedziczył po ojcu; reagował dość emocjonalnie, co momentami mogło się wydawać wręcz krępujące. Przez większość czasu z ogniem w oczach opowiadał Amber o Australii.

- Henry nie ma doświadczenia w kontaktach z dziewczynami - wyznała Beth swojej przyjaciółce. - Mamusia uważała, że powinien zostać ze mną w Londynie, kiedy przygotowywałam się do prezentacji, ale tatuś postanowił, że Henry przyda mu się bardziej w Australii.

Beth wręcz promieniała radością. Amber domyśliła się, że tak zbawienny wpływ mogła mieć na nią obecność syna jej matki chrzestnej, Alistaira, w którego ramionach Beth przetańczyła niemal cały wieczór. Dobrze zbudowany, o miedzianozłotych włosach i błękitnych oczach, Alistair McCrea

nie wyglądał może tak atrakcyjnie, jak niektórzy chłopcy debiutantek, ale było w nim coś dodającego otuchy. Widać było, że Alistair to typ młodego mężczyzny, który bardzo poważnie traktuje swoje zobowiązania i zapewne iuk samo będzie się odnosił do swojej przyszłej żony. Jak zdradziła Beth, Alistair miał odziedziczyć nie tylko tytuł swojego ojca i ziemię w Szkocji, ale także małą posiadłość Hertfordshire, która przypadła mu w spadku po ciotecznym dziadku. Amber podejrzewała, że jej przyjaciółka jest w nim już prawie zakochana.

Szczęściara z tej Beth - pomyślała. Trafiła jej się od razu taka świetna partia. Ale to nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że Beth chciała sprawić radość swoim rodzicom, zwłaszcza matce, z którą była bardzo blisko związana.

Perspektywa wyjazdu na południe Francji napawała Amber takim podnieceniem, że zdążyła już prawie zapomnieć o gorszącej scenie, której była świadkiem na swoim balu, i o tym, jaką radość sprawiało jej przebywanie w towarzystwie lorda Roberta. Prawie, co nie znaczy, że w zupełności.

Beth nie wspominała ostatnio o lordzie Robercie i Amber też nie chciała o nim rozmawiać, obawiając się, że Beth wyciągnie z niej całą prawdę. Diana i Bryan Guinnessowie byli obecni na balu, razem z grupą krewnych i przyjaciół, wśród których znaleźli się: brat Diany - Tom Mitford, Jim Lees-Milne, Oswald Mosley z żoną, a także pisarz Evelyn Waugh. Amber rozpoznała ich wszystkich, ponieważ niektórych z nich miała okazję spotkać już wcześniej, nazwiska pozostałych zaś padały przy okazji różnych rozmów w towarzystwie.

Zobaczyła ich, kiedy tańczyła z Henrym, starając się nie przykładać większej wagi do tego, w jaki sposób przyglądał jej się w milczeniu. Cała grupka tłoczyła się wokół Oswalda Mosleya, niezwykle przystojnego mężczyzny w typie Rudolfa Valentino. Był on na ustach całej prasy z powodu swojej rezygnacji z udziału w rządzie Ramsaya MacDonalda, po tym jak odrzucone zostało tak zwane Memorandum Mosleya - dokument, w którym znalazły się plany zorganizowania robót publicznych na dużą skalę, mających pomóc ludziom ubogim i bezrobotnym. Amber uważała, że każda inicjatywa, która może nieco ulżyć ciężkiej sytuacji tych, którzy nie mają możliwości utrzymania swoich rodzin, jest mile widziana

i należy wcielić ją w życie jak najszybciej. Ale jej wiedza na temat świata wielkiej polityki była, rzecz jasna, mocno ograniczona.

Amber i Henry tańczyli teraz blisko stojącej obok Mosleya Diany, która nagle krzyknęła, a potem roześmiała się, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Jesteś potworem, Mosley. - Odwróciła się do męża i powiedziała: -Bryanie, Oswald przed chwilą wrzucił mi coś lodowatego za suknię z tyłu.

- Och, biedactwo - powiedziała brunetka uwieszona na ramieniu Toma Mitforda, gdy Oswald Mosley otworzył dłoni i pokazał im kilka małych różowych purchawek, którymi udekorowane były stoły z jedzeniem.

- To tylko jeden z tych małych grzybków schłodzonych szampanem -powiedział Mosley, w charakterystyczny sposób przeciągając samogłoski, wyraźnie ubawiony własnym żartem. - Diano, tak zapaliłaś się w obronie mojego memorandum, że poczułem się w obowiązku schłodzić cię nieco, zanim spalisz biednego Ramsaya i jego reputację na popiół.

Taniec się skończył i Amber z ulgą uwolniła się z kurczowego uścisku Henry'ego.

- Teraz powinieneś znaleźć sobie inną partnerkę - poradziła mu uprzejmie, widząc, że Henry nie zamierza odstąpić jej nawet na krok.

- Wolałbym zatańczyć jeszcze raz z tobą - wyrwało się wicehrabiemu, czym wprowadził ją w nie lada zakłopotanie.

W tym momencie w uszach Amber zadźwięczał znajomy głos.

- Henry, obawiam się, że panna Vrontsky obiecała ten taniec mnie. Amber nagle poczuła tak wielką ulgę, że zapomniała o wstydzie i zażenowaniu. Odwróciła się i zobaczyła przed sobą lorda Roberta.

- Czy mi się wydaje, czy nie miałaś już ochoty z nim tańczyć? - spytał, kiedy Henry znalazł się w bezpiecznej odległości.

- Rzeczywiście, niespecjalnie - przyznała Amber - ale nie musiałeś wybawiać mnie z tej opresji, jeśli nie... - zamilkła, zaplątawszy się nieco.

- Ależ ja bardzo chcę z tobą zatańczyć. Zdenerwowana Amber poczuła, że się czerwieni.

- Jednak po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że zamiast tańczyć, powinniśmy się przespacerować - zaproponował lord Robert, podając Amber ramię. - Będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Amber zdała sobie sprawę, że lord Robert świetnie zna rozkład pomieszczeń w domu, ponieważ szybko znalazł niewielki przedpokój, tuż „bok sali balowej, z otwartymi drzwiami na balkon, wystarczająco szeroki, by zmieściły się na nim dwie osoby i mogły zaczerpnąć świeżego wieczornego powietrza.

- Przepraszam za tamten wieczór. Zachowałam się bardzo głupio, ale nic wiedziałam, jak postąpić w tej... sytuacji - zaczęła.

- Nie zachowałaś się głupio. Wątpię, byś kiedykolwiek mogła postąpić głupio.

Kiedy Amber spojrzała na niego z niepewnością, lord Robert kontynuował:

- To ja nie powinienem się tak zachować. Lepiej, żeby niektóre rzeczy pozostały z dala od widoku publicznego. Nie powinno się z nimi ujawniać ani o nich rozmawiać.

- Niech mi wolno powiedzieć, że czasem łatwo jest zranić czyjeś uczucia, zwłaszcza jeśli są silne.

Amber patrzyła w rozpościerającą się przed nią ciemność, nie mogąc spojrzeć lordowi Robertowi w oczy.

- Jesteś nie tylko dobra, ale i pełna współczucia. Zakochałem się nieroztropnie i teraz płacę za to cenę.

Słowa lorda Roberta sprawiły, że Amber zrobiło się go żal.

- Zawsze myślałam, że osoba, którą się kocha, jest tak szczęśliwa, jak byli moi rodzice - powiedziała. - Ale miłość nie zawsze tak wygląda, prawda?

- Nie, nie zawsze. Miłość może oznaczać bardzo wiele rzeczy, także piekielnie bolesnych. Mam nadzieję, że gdy ty odnajdziesz miłość, będzie ona tak czysta, jak uczucie, które łączyło twoich rodziców.

Lord Robert zamilkł na chwilę, po czym przyznał nagle:

- Brakowało mi ciebie i naszych wspólnych wyjść.

- Naprawdę? - Amber spojrzała na niego. - Mnie też ciebie bardzo brakowało. Myślałam, że gniewasz się na mnie z powodu..

- Nie. Jeśli byłem zły, to tylko na siebie. - To mówiąc, lord Robert wyciągnął dłoń i chwycił delikatnie Amber za rękę. - Możemy dalej być przyjaciółmi?

- Och, tak. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

- Cecil będzie uradowany. Uważa, że drzemie w tobie wielki potencjał, i chciałby chyba zrobić z ciebie kolejną Syrię Maugham.

Usłyszawszy ten komplement, Amber otworzyła szeroko oczy. Syrię Maugham, była żoną sławnego dramaturga, uważano za najmodniejszą dekoratorkę wewnątrz.

- Babcia nigdy nie pozwoliłaby mi założyć własnego interesu - powiedziała smutno Amber.

- Babcia może nie, ale mąż tak. Pod warunkiem że starannie go wybierzesz i będzie wystarczająco bogaty - odparł lord Robert.

Amber roześmiała się.

- Czyli teraz muszę znaleźć już nie tylko męża z tytułem, żeby zadowolić babcię, ale też wystarczająco zamożnego, żeby sprostać oczekiwaniom Cecila.

- Ufam, że pójdziesz za głosem serca. Jeżeli ktokolwiek na to zasługuje, to na pewno ty.

Dobroć lorda Roberta doprowadziła Amber prawie do łez. Jej przyjaciel zauważył to i drocząc się z nią, powiedział:

- Wracajmy lepiej na salę, zanim Henry wyśle ekipę poszukiwawczą, a ty zostaniesz oskarżona o nadszarpnięcie mojej reputacji przez zwabienie mnie na ten balkon.

Amber znowu się zaśmiała. Była szczęśliwa, że pozostali przyjaciółmi. A nawet jeszcze szczęśliwsza. Zdała sobie bowiem w pełni sprawę, że lord Robert jest tylko jej przyjacielem i nikim więcej. Wcześniejsze uczucia wygasły. Amber pogodziła się z faktem, że były one tylko pierwszym miłosnym zauroczeniem. Nikt nie mógł jej za to obwiniać, biorąc pod uwagę, że lord Robert był atrakcyjnym i fascynującym mężczyzną. Ale Amber wiedziała już, że kiedy spotka na swojej drodze prawdziwą miłość, na pewno rozpozna ją po pierwszym uderzeniu serca.

## Rozdział 13

Za niecały tydzień Levingtonowie mieli wyjechać na południe Francji i w posiadłości przy Belgrave Square trwały gorączkowe przygotowania do podróży

- Słuchajcie, moje drogie - powiedziała hrabina do Beth i Amber - najmłodsze dzieci udadzą się prosto do Juan-les-Pins z nianią i służącymi. Nasza trójka natomiast zatrzyma się na jakiś czas w Paryżu, zanim do nich dołączymy. Będziecie potrzebowały strojów, które przydadzą się wam na południu Francji, a te najlepiej kupić w Paryżu.

Paryż! Dziewczętom aż zaświeciły się oczy.

- Och, Amber, jestem taka podekscytowana! - rozgorączkowała się Heth, kiedy tylko hrabina wyszła z pokoju, wezwana do jakiegoś pilnego telefonu. - Będzie wspaniała zabawa! Musimy kupić nowe stroje do tenisa i kostiumy kąpielowe. Mam nadzieję, że mama pozwoli nam też sprawić sobie te nowe pizamy, o których piszą w „Vogue'u”, że noszą je już wszyscy.

Pół godziny później, wchodząc po schodach do domu lady Rutland w Cadogan Place, Amber wciąż myślała o wakacjach we Francji. Wiedziała, że Louise i lady Rutland nie ma w domu, bo wybrały się z wizytą do starszego kuzyna lady Rutland, który mieszkał w Richmond.

- Ma pani gościa, panienko - poinformował ją kamerdyner, który otworzył jej drzwi. - Niejaki pan Fulshawe. Prosił, by pani przekazać, że przybył w imieniu pani babki. Czeka w bibliotece.

Jay przyjechał w imieniu babki? Zabrzmiało to dość złowieszczo. Amber szybkim krokiem przeszła przez hol i otworzyła drzwi do biblioteki, chcąc jak najszybciej zaspokoić ciekawość.

Jay stał przed nierozpalonym kominkiem. Miał na sobie wyjściowe ubranie i Amber uświadomiła sobie, nie bez zaskoczenia, że nie wygląda w nim źle. Wręcz przeciwnie, stał przed nią bardzo przystojny, elegancki mężczyzna.

- Twoja babka prosiła, żebym cię odwiedził - powiedział. - Obawiam się, że mam dla ciebie złe wieści. Złe wieści? Amber zamarła na moment. Cóż to mogło oznaczać? Spojrzała na twarz Jaya, ale niczego z niej nie wyczytała.

- Co się stało? Czy chodzi o fabrykę? Potrząsnął przecząco głową.

- A więc dotyczy to Grega, tak? - Głos Amber zabrzmiał nieco ostrzej. - Powiedz, że mam rację. - Zauważyła u Jaya delikatne poruszenie. - Czy coś mu się stało? Co z nim? Proszę, powiedz mi.

- Nie chodzi o Grega, choć pośrednio ta sprawa go dotyczy. Mam na myśli Caroline Fitton Legh.

- Caroline? - powtórzyła za nim jak echo.

Jay przebył taki szmat drogi do Londynu tylko po to, żeby przekazać jej jakąś informację dotyczącą Caroline? Jej niepokój o Grega nieco zmalął, ustępując miejsca zaskoczeniu.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Amber. Caroline nie żyje.

Takiej nowiny Amber nie spodziewała się usłyszeć. To wydawało się niemożliwe. Caroline była młoda i pełna życia. Amber przypomniała sobie, jak pięknie Caroline wyglądała tego popołudnia, kiedy odwiedzili ją z Gregiem w Fitton Hall. Była taka dobra, serdeczna i ciepła. Amber nie mogła uwierzyć w jej śmierć. Jak mogło do tego dojść? Wtedy przypomniała sobie, co powiedziała jej Cassandra - że Greg i lady Fitton Legh łączy romans. Ale Greg wyśmiał Amber, gdy go o to spytała.

Serce zabiło jej nieprzyjemnie i nagle poczuła, jak ogarnia ją strach.

- Ale co się stało?

- Zdarzył się wypadek - odparł zdawkowo Jay.

- Czy babcia chce, żebym przyjechała do domu na pogrzeb? Po to tutaj jesteś?

Jay pokręcił przecząco głową.

- Lord Fitton Legh ogłosił, że odbędzie się tylko skromna rodzinna ceremonia.

- Nie mogę w to uwierzyć - przyznała Amber. - Zapewne wszyscy są pogrążeni w szoku. Zwłaszcza biedna Cassandra.

Oczy Jaya przesłonił cień, a na jego twarzy zagościła nagle pustka.



- Amber... - przerwał na chwilę, żeby wziąć głębszy oddech. - Twoja babcia poprosiła mnie, żebym... jak by to ująć... żebym ci coś powiedział. Podejdz i usiądź.

Amber posłusznie usiadła w fotelu, który jej podsunął, i zaczęła, aż Jay zajmie miejsce naprzeciwko. Kominiek był wygaszony i w pokoju panował nieprzyjemny chłód. Do tej części domu rzadko zaglądało słońce.

- Pewnie już wiesz, że Greg jest w drodze do Hongkongu.

- Tak, oczywiście - przytaknęła. - Wydawał się tym pomysłem zachwycony Tak przynajmniej wynikało z listu, który mi przysłał. Chociaż nie mam pojęcia, co miałby tam... - zamilkła, gdy Jay podniósł rękę i uciszył ją gestem.

- Trudno mi o tym mówić i wolałbym, żeby tę informację przekazał ci ktoś inny. Ale twoja babka uważa, że powinnaś o czymś wiedzieć, a ja zgadzam się z nią. Tak czy inaczej dowiedziałabyś się o tym po powrocie do Macclesfield, i to w taki sposób, że nie byłabyś już w stanie oddzielić prawdy od fikcji.

Amber poczuła, jak z nerwów ssie ją w żołądku. Nie miała pojęcia, do czego zmierza Jay, ale wiedziała, że to coś niezbyt dobrego.

Jay spojrzął na Amber. Podczas podróży pociągiem na południe -pierwszą klasą, na co wyraźnie nalegała jego mocodawczyni - nie było ani jednej chwili, w której nie rozmyślałby o tym spotkaniu, a przede wszystkim o tym, co i w jaki sposób ma jej przekazać.

To, jak bardzo Amber dojrzała w tak krótkim czasie, wprawiło Jaya w zdumienie. Sposób, w jaki go przyjęła, jej zachowanie i opanowanie świadczyły, że dziewczyna, którą znał, zniknęła, a jej miejsce zajęła młoda, spokojna i pewna siebie młoda kobieta.

Wziął głębszy oddech.

- Twoja babka wysłała Grega do Hongkongu z powodu jego związku z lady Fitton Legh.

Amber wysłuchała tych dyplomatycznych słów, po czym spytała:

- Chcesz powiedzieć, że Greg i Caroline mieli romans?

- Tak.

- Babcia wysłała Grega na drugi koniec świata, ponieważ dowiedziała się, że on kocha się w lady Fitton Legh?

- Nie. To znaczy, nie do końca. Zrobiła to raczej nie z powodu łączącego ich uczucia, lecz po to, by nie mieli okazji do kontynuowania romansu.

- No tak, rzeczywiście - zreflektowała się Amber.

Jay był wyraźnie zaskoczony jej spokojem. Wydawała się nieporuszona tym, czego przed chwilą się dowiedziała. Boże, jak bardzo różniła się od tej dziewczyny, którą znał tak dobrze.

- Niestety, to lord Fitton Legh, a nie twoja babka, dowiedział się o tym związku pierwszy. Co więcej, pojawiły się już plotki, zanim Blanche zdołała go nakłonić, by utrzymał tę sprawę w jak największej tajemnicy. Lord Fitton Legh zażądał, żeby Greg został wydalony z Cheshire. Odniosłem wrażenie, że zarówno twoja babka, jak i twój kuzyn byli mu za to wdzięczni. Zwłaszcza Greg, który chciał się znaleźć jak najdalej od miejsca tych wydarzeń.

Greg cieszył się z wyjazdu do Hongkongu - przynajmniej tak wynikało z jego listu - a więc najwyraźniej nie kochał Caroline. Amber przypomniała sobie, jaki niepokój emanował z niego podczas ich popołudniowej wizyty w Fitton Hall, a także to, że zachowanie Caroline wobec Grega wydało jej się wtedy znacznie bardziej poufale, niż to było zwyczajowo przyjęte. Może Caroline zależało na Gregu bardziej niż jemu na niej?

- Mimo wszystko nie rozumiem. Co ma wspólnego wyjazd Grega do Hongkongu ze śmiercią lady Fitton Legh?

Jay westchnął. Wiedział, że prędzej czy później takie pytanie padnie.

- Lady Fitton Legh była w ciąży.

Amber momentalnie dopowiedziała sobie w myślach resztę.

- Z Gregiem?

- Nie wiadomo.

- Ale możliwe, że było to dziecko Grega?

- Tak - przyznał Jay.

Co innego mógł zrobić? Całe Cheshire kipiało od przypuszczeń i plotek, Cassandra zaś zarzekała się, że Caroline zwierzyła jej się, iż to dziecko Grega, i oskarżyła go o porzucenie jej.

- Czy lord Fitton Legh wie, że to mogło być dziecko Grega?

- Myślę, że tak.

Och, biedna Caroline.

Rzeczywiście, znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia -/godził się Jay, chociaż wiedział, że powinien użyć raczej słowa „beznadziejnej”.

I co się stało?

Caroline utopiła się w jeziorze. Cassandra znalazła ją i wszczęła alarm, ale było już za późno. Podejrzewa się, że Caroline zeszła ze ścieżki na trawę, poślizgnęła się i nie udało jej się już wydostać. Padał wtedy deszcz i zarówno ścieżka, jak i brzeg były rozmokłe i śliskie od błota.

Amber przełknęła głucho ślinę. Czy rzeczywiście był to tragiczny wypadek? A może lady Fitton Legh, nie będąc w stanie stawić czoła plotkom i upokorzeniu, jakie wiązało się z urodzeniem dziecka, którego oj-u-m nie musiał być jej mąż, sama odebrała sobie życie? Może wciąż kochała Grega, choć nią wzgardził? Jak musi się czuć kobieta, która kocha mężczyznę i zostaje przez niego porzucona w takiej sytuacji? Amber wzdrygnęła się. Jay zauważył to i przestraszył się, że być może powiedział zbyt dużo.

- Wiem, że ta wiadomość cię zszokowała - próbował ją uspokoić. - Ale lepiej, żebyś poznała prawdę, niż słuchała potem tych wszystkich szalonych opowieści. Wiem, jak wiele znaczy dla ciebie Greg.

- Ale jaka jest prawda? - spytała. - Skąd możesz wiedzieć? Caroline musiała czuć się tak zdesperowana i samotna, że zabiła siebie i dziecko.

Jay złapał Amber za rękę i przytrzymał ją. Caroline Fitton Legh była zarozumiała i płytką, przypominała w dużym stopniu Grega. Amber z kolei przejmowała się wszystkim - w tym losem swoim i innych ludzi - bardzo głęboko.

- Musimy przyjąć, że to był tylko wypadek, Amber. Dla dobra lady Fitton Legh i wszystkich pozostałych.

Skinęła głową. Wszyscy wiedzieli, że samobójstwo jest czynem zabronionym przez prawo i osoba, która odbiera sobie życie w ten sposób, nie może liczyć na pochówek w poświęconej ziemi ani nawet na oznaczony grób.

- Jay, cieszę się, że to ty przekazałeś mi tę tragiczną wiadomość.

- Powinniśmy porozmawiać o czymś weselszym. Przywiozłem ci coś, co powinno cię uradować i podnieść trochę na duchu. - Uśmiechnął

się. - Twoja babka poleciła mi, abym posegregował i skatalogował różne przedmioty i dokumenty. Zobacz, co znalazłem wśród nich.

fay sięgnął do dyplomatki, którą położył na obitym skórą mahoniowym biurku, i wyjął z niej coś, co wyglądało jak gruby szkicownik.

Kiedy podał go Amber, zadrżały jej dłonie.

- Myślę, że należał do twojego ojca.

Zmysły Amber zdążyły już zarejestrować znajomy zapach tytoniu i lawendowej wody kolońskiej, zmieszany z zapachem grafitu i papieru, zanim jeszcze zobaczyła podpis ojca na okładce szkicownika. Przycisnęła go mocno do piersi i spojrzała na Jaya oczami pełnymi łez.

- Dziękuję ci, och, tak bardzo ci dziękuję - wyszeptała, po czym odłożyła notes i rzuciła mu się w ramiona.

Tym razem Jay nie odtrącił Amber, tylko przytulił ją mocno, pocieszając, kiedy zalała się łzami.

- Nigdy nie zrezygnuję z marzenia o kontynuowaniu dzieła mojego ojca - powiedziała przepełnionym emocjami głosem, gdy on puścił ją w końcu i podał jej czystą chusteczkę.

- A więc żaden przystojny młody mężczyzna nie zdążył ci jeszcze zawrócić w głowie podczas pobytu w Londynie? - zażartował.

- Nie.

- Na pewno? W listach często wspominasz o jakimś lordzie Robercie. Amber zmięła chusteczkę w palcach.

- Lubię go i jesteśmy przyjaciółmi, ale nic poza tym. Widziałam, jak całował innego mężczyznę, i wiem, co to znaczy. Czasem miłość potrafi być przerażająca.

Słowa wypłynęły jej z ust, zanim Amber zdążyła nad nimi zapanować, i teraz oblała się rumieńcem.

- Zgadza się - odparł trzeźwo Jay - Potrafi. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Miłość taka, jaką praktykuje lord Robert, jest, przynajmniej w tym kraju, zabroniona i karana więzieniem. Dlatego tak rzadko się o niej mówi.

- Nie powiedziałam o tym nikomu innemu, tylko tobie. - Amber zreflektowała się, że Jay ją ostrzega. - Mam wrażenie, że zawsze mogę powiedzieć ci o wszystkim.

Mam nadzieję, że to się nigdy nie zmieni. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, aż wreszcie przerwała je Amber.

Jak długo zostaniesz w Londynie? Jeszcze dzisiaj wracam do Macclesfield.

- Tak szybko? - Amber jakby nagle straciła zapał.

- Tak. Prawdę mówiąc, powinienem już się zbierać, jeśli mam zdążyć **na** pociąg.

**Jay** podniósł się z fotela, gotów do wyjścia, a Amber, powodowana impulsem, odwróciła się do niego.

- Będiesz do mnie dalej pisać, prawda? Kiedy nie odpowiedział, złożyła błagalnie dłonie.

- Proszę, Jay. Musisz do mnie pisać. Nie mam tutaj nikogo, komu mogłabym zaufać. Jesteś jedyną osobą, która rozumie, co czuję... na temat różnych rzeczy.

**Jay** wiedział, że Amber ma na myśli swoich rodziców i to, w jaki sposób pozbawiono ją marzeń. Jego serce tęskniło za nią. I nie tylko serce. Zamknął oczy **Dla** ich wspólnego dobra powinien jej odmówić. Amber nie była już dzieckiem i **Jay** nie wiedział, jak bardzo może ufać swojej silnej woli, która pozwoliłaby mu podtrzymać wiążące ich relacje na takiej samej stopie, jak do tej pory

Jeszcze zanim Amber wyjechała z Denham do Londynu, jego ciało podpowiadało mu to, czego nie chciał zaakceptować jego umysł. Jay poczuł to, kiedy trzymał ją wówczas w ramionach i nie chciał puścić. Teraz najchętniej zrobiłby to samo i pragnął, żeby ta chwila trwała bez końca.

- Chyba lepiej będzie, jeśli ograniczymy naszą korespondencję - powiedział cicho.

- Lepiej? Dla kogo? - zareagowała emocjonalnie. - Nie dla mnie, Jay. Wystarczy już, że babcia zabrania mi robić to, na co mam ochotę. I że nie wiem, co dzieje się w domu ani w fabryce. Czy robotnicy pracują w pełnym wymiarze godzin? Czy mamy dużo zamówień? Wiem, że babci nie zależy na tej fabryce, ale mnie tak. I myślałam, że tobie także.

Amber była jeszcze zbyt młoda i niewinna, by zdawać sobie sprawę z tego, jaki ból sprawia Jayowi i jaki skutek odniosła jej pełna emocji reakcja, spotęgowana sprzecznymi potrzebami i ciężarem jego winy

Gdyby się zgodził, wierzyłaby, że on robi to z bezinteresownej potrzeby serca. Tymczasem Jay miał świadomość, że w ten sposób zaspokajałby tylko chęć posiadania jej jak najbliżej i wzmacniania łączącej ich więzi, zamykając Amber w swoim sercu, do czego nie mógł rościć sobie prawa.

- Proszę, Jay - błagała go.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak desperacko trzyma się tej formy kontaktu, ale wiedziała, że perspektywa jej utraty - i pozbycia się Jaya ze swego życia - byłaby ponad jej siły. Oczywiście wciąż piekły ją od łez, ale nie dała tego po sobie poznać i powstrzymała się od płaczu. Nie była już dzieckiem. Pomyliła się w ocenie swojej przyjaźni z lordem Robertem, ale nie zniosłaby, gdyby teraz okazało się, że popełniła ten sam błąd wobec Jaya. Musiała być pewna, że wiążąca ich przyjaźń jest silna i może polegać zarówno na niej, jak i na samym Jayu.

- Zależy mi, żebyś do mnie pisał. Potrzebuję tego - powiedziała. - Jeśli okaże się, że nie mogę na tobie polegać, wątpię, bym komukolwiek zdołała jeszcze zaufać. Proszę, obiecaj mi, że nie zerwiesz ze mną kontaktu.

Jak mógłby jej odmówić?

- Jeśli właśnie tego sobie życzysz - powiedział.

- Tak, tak, właśnie tego.

- W takim razie dobrze.

Wymienili spojrzenia i Amber, wiedzona nagłym impulsem, rzuciła się w jego stronę, znów szukając schronienia w jego ramionach.

Dopiero kiedy Jay się odsunął, uświadomiła sobie, co robi, i zatrzymała się w miejscu, oblewając się rumieńcem.

Biedny Jay. Potwornie by go zawstydziła, gdyby uwiesiła mu się na szyi jak dziecko.

Wyciągnęła więc tylko rękę i dotknęła delikatnie jego rękawa, szepcząc po cichu:

- Dziękuję, Jay.

- Słyszałeś pewnie, że lord Fitton Legh uprosił mnie, żebym została w Fitton i zaopiekowała się dzieckiem - obwieściła z namaszczeniem Cassandra, schodząc po szerokich kamiennych stopniach prowadzących do głównego wejścia do domu ich dziadka.

Późnowiosenne słońce barwiło jej włosy na kolor żywego ognia. Jay, który naprawiał schody, nie wiedział, czy Cassandra zwraca się do niego irlowo, czy przypadkiem.

- Tak, Cassandro, słyszałem - przytaknął.

- Lord Fitton Legh poprosił też swoją drugą kuzynkę, Elaine Fitton, żeby przyjechała i dotrzymała mi towarzystwa. Ale ona jest oczywiście za stara, aby zajmować się dzieckiem.

Jay posmutniał. Cassandra z wyraźną satysfakcją przechwalała się swoją nową rolą, chociaż ani jedno jej słowo nie wskazywało na to, że darzy syna Caroline matczynymi uczuciami, wręcz przeciwnie.

- Szkoda, że lady Fitton Legh nie żyje i nie może sama zaopiekować się swoim synem - powiedział, nie mogąc zapanować nad emocjami w głosie.

Jay nigdy nie przepadał za Cassandrą. W jej zachowaniu było coś takiego, co drażniło go, chociaż nie potrafił tego sprecyzować. Cassandra wydawała się blisko związana z Caroline, a mimo to nic nie świadczyło o tym, by przejęła się jej śmiercią. Tym bardziej że to właśnie ona ją znalazła, co już samo w sobie powinno się odcisnąć głębokim piętnem na jej psychice. Można by pomyśleć, że taka obojętność była tylko maską, która miała chronić ją przed bólem. Ale Cassandra taka nie była. W dużym stopniu padała ofiarą własnych uczuć i nigdy ich nie ukrywała.

- Sama była sobie winna - stwierdziła z przekonaniem. - Próbowałam jej pomóc. Ostrzegałam, co się stanie, gdy lord Fitton Legh dowie się, że Caroline urodzi dziecko innego mężczyzny

Samozadowolenie Cassandry napawało Jaya obrzydzeniem. Gdzie jest współczucie, które powinna okazać Caroline?

- To tylko przypuszczenie - przypomniał jej.

- Nie, to nie przypuszczenie. Caroline powiedziała mi, że to dziecko prawie na pewno nie jest jej męża. Była niemądra. - W głosie Cassandry zabrzmiał gniew. - Wystarczyło tylko pozbyć się dziecka. Są do tego wyspecjalizowani lekarze, wszyscy o tym wiedzą, a Caroline byłoby na to stać, nawet pomimo tego, że jej ojciec stracił tyle pieniędzy. Mogła na przykład sprzedać trochę tej okropnej biżuterii, którą dostała od rodziców, gdy wychodziła za męża. I tak już by jej nie założyła, bo lord Fitton

Legh zabroniłby jej pokazywać się w towarzystwie po tym, jaką hańbą go okryła.

W głosie Cassandry była autentyczna mściwość. A może coś jeszcze? Jay nie wiedział dlaczego, ale stopniowo, słuchając wynurzeń swojej kuzynki, zaczął odczuwać coraz większy niepokój.

- Powinna była mnie posłuchać - perorowała dalej gniewnie Cassandra. - Mówiłam jej, co się stanie, jeśli nie usunie ciąży Ostrzegałam, że okryje się hańbą i lord Fitton Legh nie uzna tego dziecka za swoje, kiedy już pozna prawdę. Że wszyscy będą uważać ją za puszczałką dziwkę, która złamała śluby małżeńskie.

Niemal triumfalna, chępliwa satysfakcja Cassandry budziła w Jayu odrazę. Nie chciał jej słuchać i miał ochotę odejść. W jej zachowaniu było coś niepokojącego i niesmacznego zarazem.

- Ale Caroline postanowiła zignorować moje ostrzeżenia. Pomogłabym jej, posłałabym z nią do lekarza. Wiedziała o tym. To była wyłącznie jej wina. To nie musiało tak się skończyć. Lecz Caroline dokonała wyboru.

W głosie Cassandry było poczucie wyższości, ale też nieszczerą cnotliwość, które wzmagają jeszcze niepokój Jaya. Tak nie zachowywał się ktoś, kto uważał się za przyjaciółkę zmarłej kobiety Cassandra grzmiąca raczej jak sędzia, w dodatku nie ukrywała urazy do swojej przyjaciółki. Jay zmarszczył brwi. Nie miał najmniejszej ochoty ciągnąć tej rozmowy, a z drugiej strony czuł się do niej moralnie zobligowany przez wzgląd na pamięć Caroline.

Sama była sobie winna. Te bezdusznie brzmiące słowa wyzwoliły w nim coś, czego Jay dotąd nie znał i o czym nie chciał nawet myśleć. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że okrutne zachowanie Cassandry i jej odmowa pomocy Caroline w rzeczywistości mogły przyczynić się do jej śmierci.

- Jeśli Caroline zdradziła ci, że to dziecko może nie być jej męża - zaczął groźnie - to...

- To co? - zjeżyła się Cassandra. - Miałam kłamać, tak jak tego ode mnie oczekiwała, i udawać, że przysięgała, iż dziecko jest lorda Fittona Legh? Dlaczego? Po co miałabym to robić? Powiedziałam jej, że nie może na to liczyć.

A więc jego podejrzenia nie były bezpodstawne. Jay był zszokowany



Cassandro, jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, powinnaś zdawać sobie sprawę, że być może przyczyniłaś się do śmierci Caroline.

Na twarzy jego kuzynki pojawił się szczególny grymas. Nie był to triumf, ale też nie poczucie winy. Ten wyraz napawał Jaya potworną pewnością, że Cassandra nie tylko jest świadoma tego, o co ją oskarżył, lecz TEŻ usprawiedliwiła samą siebie za takie zachowanie.

Ta świadomość po chwili ustąpiła miejsca kolejnej, równie niechcianej i przerażającej.

Cassandra twierdziła, że nie mogła i nie zamierzała kryć Caroline, a jednak zrobiła to, zrzucając całą winę za romans na Grega i oskarżając Ko o fizyczną agresję wobec Caroline?

Było w tym wszystkim coś, co bardzo się nie podobało Jayowi. Coś niezdrowego, pachnącego na kilometr oszustwem i urazą. Jay nie chciał w to brnąć, ale czuł, że jednak powinien. Amber była taka wstrząśnięta tym, co się stało. Naturalnie jej lojalność w stosunku do Grega zawsze była godna podziwu, podobnie jak do Caroline i jej dziecka, choć, w odróżnieniu od Cassandry, nie była z nią związana intymnymi stosunkami. Jay odruchowo wzdrygnął się na słowo „intymne” i jego niesmaczne skojarzenia. Jednym z powodów, dla których matka Cassandry z taką wdzięcznością przyjęła w jej imieniu zaproszenie lorda Fittona Legha, była - jeśli wierzyć matce Jaya - obawa o intensywność przyjaźni Cassandry z kobietą, która zamieszkała w pobliżu i która, jak to dyplomatycznie ujęła matka Jaya, „ceniła twórczość Safony”.

Wziął głęboki oddech.

- Powiedziałaś, że nie zamierzasz kłamać w obronie Caroline... Zanim zdążył dokończyć, Cassandra wybuchła:

- Jak mogłabym kłamać? To moralnie niedopuszczalne!

- A mimo to skłamałaś, kiedy powiedziałaś lordowi Fittonowi Legh, że pospieszyłaś Caroline na pomoc i widziałaś, jak Greg się na nią rzucił.

Cassandra zacisnęła usta. Widać było wyraźnie, że nie spodobało jej się to, co przed chwilą usłyszała.

- To co innego. Greg zasługiwał na karę - usprawiedliwiła się. - Caroline chciała mu odpłacić pięknym za nadobne.

Chciała zobaczyć, jak okrywa się hańbą i wstydem. I tak by się stało, gdyby nie jego babka. Nie

potrafię zrozumieć, dlaczego pozwalasz jej się tak poniżać. Ty, Jay, z rodu de Vries! Dziadek uważa tak samo. Mówi, że nie masz w sobie dumy ani szacunku dla samego siebie. Uważa, że przynosisz hańbę jego nazwisku i więcej myślisz o Blanche Pickford niż o własnej rodzinie.

- Nazywam się Fulshawe, nie de Vries - zaprotestował stanowczo. - A jeśli chodzi o moją dumę i szacunek dla samego siebie, to wydaje mi się, że nie brakuje mi ani jednego, ani drugiego. Zarabiam na własne utrzymanie, chociaż takie życie może wydać ci się skromne.

Jay wiedział dobrze, iż dziadek ma mu za złe, że nie przedyskutował z nim kwestii pracy u Blanche Pickford ani też nie zgodził się gromadzić informacji na jej temat, które ukazałyby Blanche w niekorzystnym świetle, co z pewnością uradowałoby Barranta.

- Należysz do rodziny de Vries, Jay i zgadzam się z dziadkiem, że to wstyd, że pozwalasz Blanche Pickford tak sobą pomiatać.

- Nie ma nic niestosownego w uczciwej pracy, Cassandro. I nie powinnaś rozbudzać w dziadku jego animozji do Blanche.

- On nie potrzebuje do tego mojej zachęty Nienawidzi jej.

- Tak jak ty nienawidzisz Grega Pickforda? - spytał szyderczo Jay.

Twarz Cassandry zapłonęła gniewnym rumieńcem. Nigdy nie potrafiła ukryć swoich uczuć. Zawsze zdradzał ją ten pąsowy rumieniec. Jay przyjrzał się Cassandrze.

- Caroline mnie do tego namówiła. Nic nie rozumiesz. Ja ją kochałam. Jej głos był teraz przepelniony emocjami - mieszaniną bólu i goryczy,

które, czego Jay był niemal pewien, odzwierciedlały jej prawdziwe uczucia do Caroline.

- Caroline zapewniała, że też mnie kocha. - Cassandra zaczęła szlochać, a na jej twarzy pojawiły się szkarłatne plamy. - Powiedziała, że Greg zasłużył sobie na to i że żałuje, że mnie skrzywdziła. To mnie kochała, dopóki między nami nie stanął Greg Pickford. Musiałam jej to uświadomić, Jay - W głosie Cassandry znów pojawiła się złość. -

Musiałam sprawić, żeby zrozumiała, jak dużo mi zawdzięcza. Musiała mi za to zapłacić i sama ponieść karę. Wiesz, o czym mówię, prawda? Caroline to rozumiała, kiedy wszystko jej wyjaśniłam. Ale i tak w końcu zdradziła mnie i naszą miłość. Pozwoliła, żeby Greg wsadził jej swojego kutasa i zostawił w niej

to przeklęte nasienie. Należało je zniszczyć. Caroline nie mogła pozwolić, żeby wydało owoc. Mówiłam jej to i obiecała, że mnie posłucha. Ale kłamala. Chciała mnie oszukać, najpierw udając, że pozbyła się dziecka, a potem twierdząc, że było już za późno.

Jay przysłuchiwał się temu w szoku i z odrazą. Podejrzewał, że Cassandra może zakochać się w Caroline, ale nigdy nie przypuszczał, iż w głowie tego kuzynki kłębią się tak potworne myśli i plany.

- Chciałam, żeby Caroline kochała tylko mnie, z całym sobą, i ona o tym wiedziała - kontynuowała swoją spowiedź Cassandra, nie zwracając uwagi na pełen obrzydzenia wyraz twarzy Jaya. - Przysięgała, że Greg Pickford nic dla niej nie znaczy, a jednak nie pozbyła się jego dziecka. Lepiej, że umarła, Jay. Dla jej dobra. Nie byłaby w stanie znieść tej hańby.

Lepiej? Jay ze zgrozą uświadomił sobie, że Cassandra naprawdę w to wierzy. Ale żeby posunąć się aż do grózb wobec Caroline i odmówić jej pomocy, celowo doprowadzając tę nieszczęsną kobietę do śmierci? To było coś przerażającego i niewiarygodnego. Mimo to Jay nie potrafił odgonić najczarniejszych myśli.

- Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz? - spytał. - Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? W moim przekonaniu to ty jesteś odpowiedzialna za śmierć Caroline. To tak, jakbyś własnymi rękami wepchnęła ją do wody, a potem patrzyła, jak tonie. Zrobiłaś to z zazdrości, ponieważ Caroline wybrała Grega, a nie ciebie. Nie twierdzę, że Caroline była bez winy. Ale żeby zabić ją z zawiści i urazy tylko dlatego, że nie odwzajemniła twoich uczuć...

- Nie mów tak, Jay. Caroline mnie kochała, naprawdę. Obiecała mi, że pozbędzie się tego dziecka i będziemy razem. Po tych słowach Cassandra rzuciła się na Jaya, okładając go pięściami po twarzy i starając się go podrapać paznokciami. Furia, w którą wpadła, napędzała ją taką siłą, że minęło dobrych kilkanaście sekund, zanim Jay zdołał ją odepchnąć. Cassandra dyszała, na jej twarzy malowały się wściekłość i ból.

- Caroline oszukała mnie, bo wiedziała, że kocham ją tak mocno, że odpuszczę. Ale ja nie mam w zwyczaju odpuszczać.

- Doprowadziłaś do jej śmierci - powiedział Jay.

- Nie. Nie wolno ci tak mówić. To kłamstwo. Pożałujesz, że coś takiego powiedziałeś - ostrzegła go. - Jeszcze nie wiem jak, ale już ja o to zadbam.

Minęła Jaya, wsiadła na rower, który zostawiła oparty o schody, i odjechała, pochylając się nad kierownicą i pedałując wściekle w dół podjazdu. Zniesmaczony Jay został na miejscu, pogrążony w szoku i przerażeniu.

Caroline Fitton Legh mimo zła, jakie wyrządziła, nie zasługiwała na los, jaki - wszystko na to wskazywało - zgotowała jej Cassandra. Jego kuzynka mogła twierdzić, że nieszczęśliwa miłość usprawiedliwiała jej czyny i pozbawiała ją wyrzutów sumienia, ale Jay uważał inaczej.

Oczywiście nic już nie można było zrobić. Cassandra nie zabiła Caroline Fitton Legh własnymi rękami, ale jej zachowanie wstrząsnęło Jayem i napawało go odrazą.

## Rozdział 14

Paryż. Amber nie mogła wprost uwierzyć, że naprawdę się tu znalazła. Zatrzymały się w hotelu George V - otwartym dla gości zaledwie dwa lata temu i zbudowanym w celu uhonorowania króla - zanim ruszyły dalej, na południe Francji, Le Train Bleu, luksusowym nocnym pociągiem relacji Paryż-Marsylia, który miał je zawieźć na Lazurowe Wybrzeże.

Ponieważ podróżowały same, bez opieki mężczyzn, lady Levington postanowiła, że wynajmą w hotelu cały apartament zamiast trzech oddzielnych pokoi.

Mimo iż Amber przywykła już do wielkiego bogactwa w Ritzu i Savoyu, nie mogła się nadziwić przepychowi hotelu George V. Siedziała przed oknem w swoim pokoju, ze szkicownikiem otwartym na kolanach. Heth i jej matka odpoczywały po podróży, ale ona była zbyt podekscytowana, żeby zasnąć.

Pierwszą rzeczą, jaką wypakowała, był szkicownik jej ojca, który zdążyła już poznać od pierwszej do ostatniej strony i pokochać. Amber była pewna, że Paryż zachwyciłby ojca; matkę również. Jakie obrazy chciałby uwiecznić w pierwszej kolejności? Wieżę Eiffla? A może francuskie kobiety w letnich strojach? Amber najchętniej wyszłaby już z hotelu i zaczęła zwiedzać Paryż. Czy to było z jej strony samolubne, że chciała to zrobić w pojedynkę, w swoim tempie, zatrzymać się, kiedy zechce, żeby móc chłonąć wszystko?

Cecil wysłał jej krótki list, w którym polecił „rozglądać się za czymś więcej niż to, co oczywiste”, a później „porównać z tym, co oczywiste -dopiero wówczas uzyskasz choćby namiastkę tego, co sprawia, że Paryż jest taką uczcią dla zmysłów”.

Amber nie była pewna, czy dobrze zrozumiała Cecila. Kiedy zwierzyła się z tego lordowi Robertowi, ten roześmiał się i powiedział, że nie ma się czym martwić, bo czasem nawet sam Cecil nie wie, co ma na myśli.

Co na miejscu Amber chciałby uwiecznić jej ojciec, którego szkiców -nik zawierał tak szczegółowe motywy greckie i egipskie? Czy to głupie, że córka miała ochotę ozdobić starożytne kolumny jedwabiem z nadrukowanymi greckimi urnami i egipskimi hieroglifami?

Amber postanowiła, że jeżeli kiedykolwiek zostanie dekoratorem wnętrz, przystroi witrynę jednym meblem - krzesłem lub małym biurkiem - wykonanym nie z polerowanego drewna, lecz pomalowanym na kolor odpowiadający narzuconemu nań materiałowi. To właśnie ten materiał stanowiłby główny punkt odniesienia, cała reszta byłaby dla niego tłem. Ludzie stawaliby i podziwiali, nie będąc w stanie ruszyć się z miejsca, urzeczeni czarem tkaniny

Amber zaśmiała się pod nosem. Była w Paryżu, który oferował wszystko dosłownie na wyciągnięcie dłoni. Nie powinna marnować czasu na snucie snów na jawie. Ale tak bardzo chciała wyjść. Miała nawet ze sobą przewodnik, lecz przypomniała sobie, że lady Levington stanowczo zabroniła im opuszczać hotel bez niej. Nie chciała zostać odesłana z powrotem do domu za nieposłuszeństwo już pierwszego dnia. Znienacka ziewnęła -raz, a potem drugi. Nie czuła wprawdzie zmęczenia, ale może też powinna się zdrzemnąć. Lady Levington ostrzegła, że nie zabawią w Paryżu długo, a mają tu bardzo dużo do zrobienia.

- Mam nadzieję, że Alistair odwiedzi nas w Juan-les-Pins - szepnęła Beth do Amber z ekscytacją, kiedy czekały razem z lady Levington, aż odźwierny wezwie im taksówkę.

Alistair napisał do lady Levington przed wyjazdem z Londynu, informując, że będzie przejeżdżał przez Juan-les-Pins w drodze do Florencji, i prosząc o pozwolenie na złożenie im wizyty.

- Nie żebym nie była zachwycona twoją obecnością, najdroższa Amber - zapewniła Beth, kiedy wsiadały do taksówki, a kamerdyner polecił kierowcy, żeby zawiózł je pod wskazany adres: Rue Cambon 31. - Bardzo się cieszę, że jesteś z nami.

Ale Amber zdawała sobie sprawę, że nie jest Alistairem, i nie miała już najmniejszych wątpliwości, że Beth zakochała się w swoim towarzyszu zabaw z dzieciństwa.

Pod numerem 31 przy Rue Cambon mieścił się salon Chanel. Tylko rzucimy okiem - ostrzegła dziewczyny lady Levington, kiedy wysiadały z auta na zalany porannym słońcem trotuar, wzdychając na widok słynnego butiku. Lady Levington wytłumaczyła im już wcześniej, że planuje zamówić trochę strojów wakacyjnych - niezbędnych na południu - w małych dyskretnych sklepach rozrzuconych przy wąskich uliczkach. Właściciele tych sklepików wiedzieli, jakie stroje są *comme Ufaul* dla tak młodych dam: pastelowe sukienki z chłodnych muślinów, starannie dobrane dyskretne kostiumy kąpielowe i nowe stroje tenisowe.

Amber wiedziała, że zapamięta tę charakterystyczną woń Paryża do końca życia, gdy stały na chodniku przed salonem Chanel. Zapach ten różnił się diametralnie od tego znanego z Londynu - był jednocześnie wyjątkowy i nieco pikantny, a przy tym elegancki i wytworny. Mieszanka perfum, chleba, kawy, cygar i czegoś jeszcze, czego Amber nie była w stanie zidentyfikować, ale instynktownie wiedziała, że nie znajdzie tej woni nigdzie indziej, tylko w Paryżu.

Francuskie kobiety, ubrane tak szykownie, że można je było obserwować wyłącznie z podziwem, przechadzały się w towarzystwie miniaturowych piesków prowadzonych na wysadzanych drogimi kamieniami smyczach. Już sam dźwięk dobiegającej zewsząd francuskiej mowy przyprawiał Amber o dreszcz podniecenia. Dzięki hrabinie poprawiła znajomość tego języka i teraz przysłuchiwanie się rozmowom, które toczyły się wokół, oraz świadomość, że wiele z nich potrafi zrozumieć, sprawiały jej cichą satysfakcję.

Amber równie dobrze mogła zostać na zewnątrz i chłonać to wszystko, co rozgrywało się na ulicach, ale kiedy już znalazła się w środku, wszystko zniknęło w blasku, jaki roztaczała wokół siebie marka Chanel. Niezliczone lustra nadawały salonowi niesamowitą przestrzeń, wypełnioną nieograniczonymi możliwościami. Tu i tam wisiały różne stroje, które wyglądały, jakby ktoś porzucił je bez troski, a mimo to przykuwały uwagę. Amber miała wielką ochotę przyjrzeć im się z bliska.

Niestety lady Levington nie podzielała tego entuzjazmu i nie zamierzała zabawić tu dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Zgarnęła

obydwie dziewczyny i popchnęła je w stronę schodów, na których szczytce czekały już usługowe *vendeuses*. Wystarczyło kilka słów wypowiedzianych szeptem przez lady Levington oraz głośne klasnięcie w dłoń jednej z ekspedientek, by kilka sekund później - tak przynajmniej wydawało się Amber - zaczęto im pokazywać jeden strój za drugim.

Amber od razu przypadły do gustu jedwabne spodnie plażowe w kolorze turkusowym z rozszerzanymi nogawkami, obszyte morskimi muszelkami, w komplecie z bluzką bez rękawów, cienką kamizelką i kapeluszem od słońca z szerokim rondem.

W salonie można było także kupić stroje żeglarskie, tenisowe i sportowe, jak również piękne, eleganckie suknie wieczorowe w charakterystycznym dla Chanel kolorze czarnym, które w opinii lady Levington nie nadawały się zupełnie dla tak młodych dam.

Mimo to Amber nie mogła oderwać od nich wzroku. Proste, z lejącego się dżerseju i ze żłobkowanymi, figlarnymi rękawkami, rozcięte tak, by każda nosząca je kobieta czuła się jak najlepiej.

Białe i czarne buty do chodzenia na co dzień, na niskich obcasach i z ładnymi paskami typu T-bar, stały na podłodze pod takim kątem jakby przed chwilą ktoś je zdjął. Za to na specjalnie zaaranżowanym podium wyeksponowano buty wieczorowe z czarnej koźlęcej skóry, lśniące od pereł i diamentów, zestawione z pasującymi do nich kopertówkami, w których mieściły się tylko chusteczka do nosa i szminka do ust.

Ale Amber marzyła o czymś innym - o pikowanej skórzanej torebce Chanel - i nie była w stanie się powstrzymać od pogładzenia mięciutkiej skóry. Natychmiast przykuła tym uwagę jednej ze sprzedawczyń, która nienaganną francuszczyzną wytłumaczyła, że to idealna torebka dla młodej dziewczyny - pamiątka, która pozostanie jej na całe życie.

Lady Levington pokręciła głową, gdy zobaczyła cenę, ale Amber nie potrafiła odłożyć torebki na półkę. W końcu powzięła najbardziej dojrzałą decyzję w życiu, chociaż wiedziała, że lady Levington nie pochwała jej, i zdecydowała, że kupi tę torebkę z własnych oszczędności.

Czekając na zapakowanie torebki - Amber nie zgodziła się, aby sklep dostarczył ją do hotelu, jakby jeszcze nie wierzyła, że torebka należy do niej, i nie chciała spuścić jej z oczu, bojąc się, czy nie zniknie - najpierw



w fabryczny pokrowiec z materiału, później w kilka warstw bibuły, a na koncu w piękne pudełko Chanel, które zostało przewiązane białą-czarną wstążką (także Chanel), a następnie włożone do papierowej torby, Amber czuła, że jej serce zaraz eksploduje, tak bardzo się cieszyła z posiadania czegoś równie pięknego.

Zanim wyszły ze sklepu, lady Levington pozwoliła jeszcze dziewczętom wybrać po jednej, charakterystycznej dla tej projektantki, kamelii, którą można nosić jako broszkę na płaszczu lub sukni albo jako ozdobę we włosach.

Beth wybrała kamelię w pastelowym kolorze różowym, Amber zaś -po krótkim namyśle - zdecydowała się na kremową.

Kiedy w końcu opuściły salon Chanel, Amber czuła się tak, jakby unosiła się ponad chodnikiem, kurczowo trzymając się myśli, że bez względu na to, co przydarzyło jej się w życiu, nikt już nie odbierze jej tej przyjemności zakupu torebki od Chanel.

Lady Levington, Amber i Beth przeszły się wzdłuż Rue de la Paix, zatrzymując się na moment przed witryną sklepu jubilerskiego Cartier, gdzie uwagę Amber zwróciły proste zegarki z linii Tank Américaine.

Jeden ze sklepów, mieszczący się przy tej samej ulicy co Cartier, oferował wyłącznie jedwabne szale. Kiedy weszły do środka, nawet lady Levington nie mogła sobie odmówić eleganckiej wieczorowej apaszki w zielonkawym kolorze, ozdobionej ręcznie malowanymi kwiatami lotosu. Amber natomiast dała się skusić na plisowany szal w stylu Fortuny, w rozmaitych odcieniach kremowego i złotego.

W salonie Jeanne Lanvin pokazano im stroje golfowe z dżerseju, u Vionnet zaś Amber i Beth spoglądały pożądliwie na wieczorowe suknie z lejącego się jedwabiu, ze skośnymi rozcięciami.

W końcu lady Levington odnalazła poszukiwane niepozorne sklepiki mało znanych krawców, którym powierzyła uszywanie właściwych ubrań dla Amber i Beth, tłumacząc, że obie są jeszcze za młode, by nosić stroje od projektantów z pierwszych stron gazet.

Pozwoliła jednak Amber naszkicować jedną z sukien Chanel, w której ta zakochała się od pierwszego wejrzenia i którą pokazała na wzór innemu krawcowi. Ten zaś zobowiązał się, że uszyje jej coś podobnego.

Kiedy dziewczęta przymierzyły uszyte dla nich proste stroje, Amber musiała przyznać, że były one równie eleganckie i piękne jak te, które można było zobaczyć w firmowych salonach mody

Dla Amber lady Levington zamówiła kremową spódnicę z jedwabiu przetykanego lnem, w komplecie z bluzką z dekoltem obszytym kontrastującą lamówką w kolorze morskim. Jako dodatek Amber otrzymała również żakiet w niebieskie, czerwone i białe pasy, a także uroczy sweterek w ślicznym odcieniu zieleni z naszytymi kokardkami z kremowego jedwabiu oraz jeszcze jeden sweterek w kolorze cytrynowym z aplikacjami w postaci jedwabnych kokardek koloru morskiego. Beth otrzymała podobny zestaw, z tym że jej spódnica była granatowa. Lady Levington uznała, że takie stroje będą pasowały na każde wyjście.

Znacznie bardziej formalny charakter miały jedwabne i lniane sukienki popołudniowe w pięknych pastelowych barwach, których dziewczyna otrzymała po trzy sztuki.

Amber, zainteresowana pochodzeniem materiałów, z których krawcy szyli im stroje, zapytała po francusku, gdzie je zakupili i na jakiej podstawie wybrali.

- Myślałaś o swojej fabryce jedwabiu, prawda? - spytała Beth, kiedy wydostały się w końcu z wąskich uliczek i wróciły na Rue de Faubourg St-Honore.

- Oni kupują jedwab w Lyonie, nie w Anglii - odpowiedziała Amber.

Później przyszła kolej na zakup nowych sukni wieczorowych. Wprawdzie różniły się one od tych dla dorosłych, ale miały w sobie charakterystyczny francuski *élan*, na co Amber i Beth aż zaświeciły się oczy.

Jedwabny szyfon, pod spodem satyna, a całość przycięta na skos, w kolorze migdałów w cukrze - perspektywa włożenia czegoś tak modnego napawała dziewczyny zachwytem, choć nie było łatwo przekonać lady Levington, że suknie przedłużane z tyłu są odpowiednie dla tak młodych panien.

- Ale proszę zobaczyć, jak szyfon zakrywa wszystkie odsłonięte miejsca - podkreśliła ekspedientka, delikatnie zachęcając hrabinę.

Po lekkim lunchu w zarekomendowanej lady Levington kawiarni gdzie znajdowała się wydzielona sala dla kobiet, do której nie można było

zajrzeć z ulicy, hrabina zabrała dziewczęta do Galeries Lafayette. Tam kupiła im jeszcze jedwabne halki i majtki obszyte delikatną koronką, a także pończochy, pasy do pończoch oraz chustki, po czym obwieściła, że mogą wracać do hotelu.

Amber najbardziej cieszyła się z torebki Chanel. To był jej pierwszy samodzielny modny zakup.

Czas w Paryżu mijał błyskawicznie na zakupach i odbieraniu gustownie zapakowanych i nienagannie prezentujących się pudeł z ubraniami, butami oraz kapeluszami. Aby pomieścić nowe zakupy, zamówiono dodatkowe walizki u Louisa Vuittona, a wraz ze zbliżającym się dniem wyjazdu na południe pokojówki uwijały się jak w ukropie, pakując do nich nowe ubrania.

Czasu było tak mało, że z trudem wystarczyło go na krótką przejażdżkę powozem do Lasku Bulońskiego, a później do Wersalu, gdzie hrabinę i jej podopieczne oprowadzono po pałacu, który stanowił obecnie zaledwie cień dawnej chwały i nie sprostął zupełnie oczekiwaniom Amber. W trakcie Rewolucji Francuskiej Wersal został splądrowany, a teraz panowała w nim aura opuszczenia i zaniedbania.

Przy odrobinie wyobraźni można było jednak zobaczyć, jak kiedyś wyglądała Sala Lustrzana, rozświetlona setkami świec, których blask odbijał się niezliczenie wiele razy. Tańczących dworzan i tych, którzy nie łańczę, obserwując z boku i plotkując. Ale nawet na tak wspaniałej wizji cieniem kładła się świadomość, jaki los czekał biedną Marię Antoninę, która - gdy dowiedziała się, że lud jej męża głoduje i obywateli nie stać na chleb - stwierdziła, iż w takim razie powinni jeść ciasteczka.

Wspomnienie o Marii Antoninie przypomniało Amber o ciężkiej doli biedoty w jej rodzinnym Macclesfield i sprawiło, że poczuła wyrzuty sumienia, porównując ich los z własnym. Jej babka zawsze powtarzała, że powinno się czuć odpowiedzialność za tych, do których nie uśmiechnęło się szczęście, i teraz, gdy Amber sobie o tym przypomniała, postanowiła, iż tak właśnie robi.

W noc poprzedzającą wyjazd z Paryża do Juan-les-Pins Amber była tak podekscytowana, że nie potrafiła zmrużyć oka. Po raz kolejny otworzyła

szkicownik ojca i poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Na tych stronach, które otworzyła, były nie tylko projekty, ale także portrety Amber i jej matki. Naszkicowane na szybko węglem - zaledwie kilka kresek, nie więcej - ale to wystarczyło, by oddać wiernie ich podobizny.

Amber była zachwycona wszystkimi tkaninami, które widziała, od kiedy przyjechała do Paryża, ale projekty jej ojca wciąż tchnęły wyjątkową świeżością. Jej ulubionymi szkicami były te przedstawiające rzymskie monety i greckie głowy - klasyczne motywy w żywych kolorach, a także skrzydlate konie z rozwichrzonymi grzywami i symbole heraldyczne. Ojciec notował różne pomysły, które później zamieniał w eleganckie projekty

Jej szkice - Łuk Triumfalny i wieża Eiffla, eleganckie kobiety w idealnie skrojonych strojach i wielkich kapeluszach spacerujące z miniaturowymi pudłami, sprzedawcy wyrobów tytoniowych z nabłyszczonymi wąsami i nieskazitelnie białymi fartuchami, pod którymi skrywali opasłe brzuchy, co Amber wydawało się takie dowcipne i wesołe, kiedy podpisała rysunek „Rozrywki Paryża” - w porównaniu z tymi, które sporządził ojciec, sprawiały wrażenie dość przeciętnych. Uświadomiwszy to sobie, Amber zamknęła szkicownik, nieco przygnębiona.

Jak można się było spodziewać, w tym popularnym okresie wypoczynkowym znaczną część pasażerów Le Train Bleu stanowili Anglicy. Podczas kolacji w wagonie restauracyjnym Amber zdała sobie sprawę, że większość kobiet korzysta z okazji, by pochwalić się nowymi strojami. Nawet lady Levington uległa tej pokusie i włożyła suknię w komplecie z żakietem od Jeanne Lanvin, którą kupiła w tym tygodniu.

Siadając do stołu i obserwując eleganckich współbiedniaków, Amber była wdzięczna lady Levington, która nalegała, aby ona i Beth włożyły jeden z nowych strojów. Wybrały wieczorowe suknie z jedwabiu od jednego ze „zdolnych krawców”, których nazwiska i adresy były pilnie strzeżone przez zamknięte grono wtajemniczonych szczęśliwców. Lady Levington przyznała, że udało jej się wejść w posiadanie takiej listy za pośrednictwem żony brytyjskiego ambasadora, z którą była daleko spokrewniona.

Ponieważ przebywały we Francji, hrabina pozwoliła dziewczętom wypić do kolacji po lampce białego wina. Nie wyraziła jednak zgody na konwersację pewnemu jowialnemu francuskiemu dżentelmenowi, który pró-

bowal zabawiać panie rozmową, dając mu jasno do zrozumienia, że jego „mizgi nie są miłe widziane. Amber w tym czasie spuściła wzrok, bojąc się spojrzeć na Beth, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Mężczyzna, który dosiadł się do ich stolika, był niewiarygodnie otyły, i udy zgiął się w ukłonie, by ucałować dłoń hrabiny, dało się słyszeć złowieszcze skrzypienie, jakby skrywał pod ubraniem specjalny gorset.

Po kolacji, kiedy część mężczyzn udała się do wagonu dla pałących, lady Levington zasugerowała Amber i Beth, że powinny położyć się spać.

W przedziale Amber wyjęła notatnik, zbyt podekscytowana, żeby zasnąć. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jedzie na południe Francji. Wydawało jej się to zbyt wspaniałe, żeby było prawdą. Tak bardzo pragnęła, by był tutaj ktoś, z kim mogłaby się podzielić tą ekscytacją i kto rozumiałby w pełni jej uczucia. Beth była kochana, ale nie dzieliła z Amber pasji artystycznej. Lord Robert rozumiałby ją na pewno, tak jak i Jay.

Jay! Amber zdecydowała, że zaraz do niego napisze. To da jej namiastkę podzielenia się wrażeniami z kimś, kto potrafi ją zrozumieć.

Pisała tak długo, aż rozbolała ją ręka. Zwierzyła się Jayowi, ze jedynym rozczarowaniem, jakiego doznała, było to, iż nie zobaczyła, Lyonu, przez który przejeżdżali w nocy. A byłoby to dla niej wielce interesujące, biorąc pod uwagę historyczne związki tego miasta z jedwabiem.

Drogi Jay W przeciwieństwie do Louise, która tak jak on była szlachetnie urodzona, lecz nie miała pieniędzy, nigdy nie okazywał z tego powodu goryczy. W trakcie pobytu w Londynie Amber przekonała się, że wielu członków rodzin z wyższych sfer, którzy stracili oszczędność! po wojnie, głównie wskutek podatków spadkowych, uważało pracę i zarabianie na życie za coś niegodnego ich statusu społecznego. Czy Jay kiedykolwiek uskarżał się na swoją sytuację materialną? Amber nie takiego sobie nie przypominała. Przynajmniej mógł wybrać swoją drogę życiową. W tym także poślubić, kogo tylko zechce i pokocha.

Amber żałowała, że sama nie ma takiego wyboru. Gdyby Blanche nie była tak bogata, pewnie sprawy potoczyłyby się inaczej. Ale w cenę, którą Amber przyszło zapłacić za posiadanie zamożnej babki, było wliczone wyjście za mąż za mężczyznę, którego kupi jej Blanche. Wraz z tytułem, którego jej samej odmówiono. Nawet jeśli było to wbrew woli wnuczki.

## Rozdział 15

- Jeszcze pracujesz?

Jay podniósł wzrok znad ksiąg rachunkowych, które studiował w swoim biurze, w tak zwanym pokoju zarządcy w Denham Place. Czuł się w tym obszernym, wygodnym gabinecie jak u siebie i doceniał fakt, iż Blanche pozwoliła mu mieć tutaj własne terytorium. Okna zasłonięte były ciepłymi, ciemnozielonymi kotarami, a oprócz wielkiego biurka i fotela w pokoju znajdowało się jeszcze jedno wygodne miejsce do siedzenia przy kominku oraz komfortowa sofa marki Knole, obita zielonym aksamitem, w której można było wygodnie się rozsiąść.

- Tak, pani Pickford. Przeglądałem właśnie księgi rachunkowe z danymi dotyczącymi wydajności gruntów rolnych należących do Denham.

Blanche rzadko fatygowała się do Jaya osobiście. Kiedy chciała omówić z nim jakąś sprawę, najczęściej posyłała po niego albo wyznaczała mu spotkanie w swoim gabinecie.

- Mam nadzieję, że ziemia przynosi dochody? Jay uśmiechnął się.

- Tak, ubiegłoroczne plony były wyższe niż przed dwoma laty. W tym roku mamy nadzieję na jeszcze większy wzrost. Zastanawiałem się także nad tym, czy nie powinniśmy pomyśleć nad zwiększeniem inwentarza rozplodowego bydła. Zakup byka czempiona jest drogą inwestycją, ale opłacalną w dalszej perspektywie.

- Przygotuj mi stosowne zestawienie kosztów, a na pewno mu się przyjrzę - odparła Blanche.

W gabinecie Jaya panował nienaganny porządek. Blanche zamilkła na chwilę, a potem schyliła się, żeby pogłaskać wiekowego spaniela, który spał w swoim koszyku.

- Widzę, że mamy nowego domownika.

- To stary pies myśliwski mojego dziadka - powiedział spokojnym tonem Jay. - Jest już za stary na polowania i rozleniwiał się. Dziadek chciał

go zastrzelić, ale zaniósłem psa do weterynarza, który stwierdził, że nic mu nie dolega poza lekkim reumatyzmem. Myślę, że warto pozwolić dożyć temu psu końca swoich dni.

Blanche wiedziała o bezdusznym poleceniu Barranta, a także o tym, że Jay zapłacił za wizytę u weterynarza z własnych pieniędzy, łożył na utrzymanie psa i kupił mu ciepłą owczą skórę, którą wyłożył jego nowy kosz.

- Jeżeli mówimy o psie, zgoda. Ale nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zamiast niego dałoby się odstrzelić twojego dziadka - odparła szyderczo Blanche. - Od przyszłego miesiąca podnoszę ci pensję, Jay. Nie, nie dziękuj mi - powstrzymała go. - Mój ojciec wierzył w starą maksymę, zgodnie z którą dobry pracownik jest wart swoich pieniędzy. Ja też tak uważam. Wiesz, że wiele zakładów produkcyjnych w Macclesfield zwalnia ludzi?

- Tak.

- Ja też nie przepadam za moją fabryką i wiem, że zdajesz sobie sprawę z tego. Z radością bym ją zamknęła. Ale uważam, że mam pewne zobowiązania wobec jej pracowników. Dlatego chcę, żebyś jutro tam pojechał i powiedział dyrektorowi fabryki, że żaden z pracowników nie zostanie zwolniony. Co więcej, ich wynagrodzenia będą nieco zwiększone.

Jay nie był tak zaskoczony decyzją Blanche, jak wielu innych byłoby na jego miejscu. Znał dobrze swoją pracodawczynię, a przynajmniej do tego stopnia, na jaki ona sama mu pozwalała. I wiedział, że dla Blanche Pickford działalność charytatywna nie ogranicza się wyłącznie do zasiadania w Komitecie.

Jayowi było przykro, że Amber nigdy nie miała szansy zajrzeć za tę chłodną maskę, którą jej babka często wkładała, kontaktując się ze światem zewnętrznym. Zastanawiał się nieraz, czy to, że on dostąpił tego zaszczytu, nie wynikało czasem z faktu, iż był podwładnym Blanche i nie mógł sobie pozwolić na krytykowanie jej. Miał jednak nadzieję, że jej postawa wynika raczej z zaufania, którym go obdarza, szacunku dla jego samodzielności i chęci stanowienia o własnym losie.

Z początku uważał, że otrzymał tę pracę raczej ze względu na to, kim był, aniżeli z powodu jego kwalifikacji. Ale z czasem dał dyskretnie do zrozumienia zarówno Blanche, jak i swojemu dziadkowi, że pracuje

wyłącznie na własny rachunek i nie zamierza dać się wykorzystywać do podgrzewania ich wzajemnych animozji. Barrant był jego dziadkiem i Jay kochał go, ale to nie znaczyło, że nie zauważał jego wad. Z kolei Blanche była jego pracodawczynią, co nie przeszkadzało Jayowi podziwiać jej i szanować ją, zwłaszcza że wiedział, jaka krzywda spotkała ją ze strony jego dziadka.

Blanche miała już wyjść, lecz nagle odwróciła się i spytała niespodziewanie:

- Nie pochwalasz moich planów dotyczących mojej wnuczki, prawda?

- Amber jest jeszcze bardzo młoda i w dodatku idealistycznie nastawiona do świata. Wyobrażam sobie, że perspektywa małżeństwa z pobudek czysto praktycznych musi być dla niej niezbyt zachęcająca - odpowie dział Jay tak taktownie, jak tylko potrafił.

Blanche skinęła głową, zgadzając się ze słowami swojego zarządcy

- Robię to zarówno dla dobra jej, jak i mojego - powiedziała powściągliwie.

Amber nie miała pojęcia, na czym polega prawdziwe życie. Była marzycielką i upartą idealistką. Dzięki właściwie zaaranżowanemu małżeństwu kobieta mogła osiągnąć bardzo dużo i wypłynąć na szerokie wody, pod warunkiem że jej mąż miał wystarczającą władzę i wpływy oraz był gotów się nimi podzielić. Blanche odmówiono tej szansy i nie mogła pozwolić, by to samo spotkało jej wnuczkę.

Zmieniając temat, Blanche powiedziała:

- Słyszałam, że twoja kuzynka Cassandra zostaje w Fitton Hall. Jay wstał.

- Zgadza się.

- A więc w końcu doczekamy się kolejnego związku małżeńskiego między rodami de Vries i Fitton Legh. To powinno uszczęśliwić twojego dziadka. Historia kołem się toczy. On też wziął sobie za żonę kobietę z rodziny Fitton Legh.

Kiedy Blanche wyszła z gabinetu, zostawiając Jaya samego, pomyślała, że Barrant de Yries musi być głupcem, skoro nie docenia bardziej rodzonego wnuka. Ale Barrant nigdy nie szanował tych, których powinien - skwitowała z goryczą. Mogła dać mu tak wiele, a on ją odrzucił. Amber



nie będzie cierpieć z tego samego powodu ani ponosić z tego powodu żadnych konsekwencji. Będzie wieść życie, którego jej samej odmówiono.

Blanche wiązała spore nadzieje z synem Levingtonów. Poczyniła nawet pewne dyskretne kroki, po tym jak hrabina Levington zabrała Amber na wakacje we Francji. Dwoje młodych ludzi w środku lata - trudno było się spodziewać, że nie nawiąże się między nimi romans.

## Rozdział 16

Jeszcze zanim pociąg zatrzymał się na stacji w Juan-les-Pins, Amber wiedziała, że nigdy nie zapomni widoków ani zapachów południa. Z każdym kilometrem, który zbliżał je do celu podróży, popadała w coraz większe odurzenie. Miejscowość Aix-en-Provence, mimo iż widziała ją jedynie przez okno przedziału, dosłownie podbiła jej serce i - jak podejrzewała - skradła je na dobre. Amber była urzeczona i oczarowana magią południa Francji, w głowie kłębiły jej się setki barw, które widziała po drodze. Czuła, jak wszystkie jej zmysły otwierają się i chłoną to piękno, i upajała się nim do tego stopnia, że kręciło jej się w głowie.

Lord Levington i Henry wyjechali po nie na dworzec. Henry, dumny jak paw, siedział za kierownicą nowiutkiego bugatti, które dostał od ojca na osiemnaste urodziny.

Ojciec i syn prowadzili po drodze ożywioną dyskusję, głównie na temat wyścigu Le Mans, którą przerywały jedynie przepełnione troską pytania lady Levington o zdrowie młodszych dzieci. Amber nie brała w ogóle udziału w tej rozmowie, szczęśliwa, że może zanurzyć się w ciszy i delektować się obecnością w tym przepięknym miejscu.

Jednym uchem słyszała, jak lady Levington wypytuje męża o willę i wszelkie wygody, jakie uważała za niezbędne. - Pierwsza klasa w każdym calu - zapewnił ją lord Levington. - Pamiętasz, jak się martwiłem, kiedy Benson poinformował mnie, że w domku dla gości w ogrodzie zatrzymał się syn chrzestny właścicielki willi? Otóż okazało się, że agent zapomniał mi powiedzieć, iż ten Jean-Philippe mieszka tam na stałe. Sprawia jednak wrażenie przyzwoitego człowieka. No i dobrze sytuowanego, biorąc pod uwagę, że dom należy do jego matki chrzestnej. Tak czy inaczej nie musimy się nim przejmować. W ogóle nie rzuca się w oczy. Całymi dniami bawi się farbami. - W tym miejscu lord Levington westchnął głębiej. - Już lepsze to niż poezja. Zdaje się, że przygotowuje wystawę dla którejś Akademii Sztuk Pięknych. Poprosiłem

go, żeby zjadł z nami dzisiaj kolację i opowiedział nam o sobie trochę, byś mogła sama go ocenić.

- Rzeczywiście to dobry pomysł. Powinien się nam przedstawić. - Lady Levington zgodziła się bez entuzjazmu, niespecjalnie zachwycona wizją obecności ich nowego sąsiada.

Z kolei perspektywa mieszkania po sąsiedzku z młodym mężczyzną, który wydawał się artystyczną duszą, poruszyła serce Amber, napawając ją radością i zachwytem, co jednak postanowiła zachować dla siebie.

Służący wyładowali bagaże podróżnych na peron, pocąc się w rozgrzanym, stojącym, popołudniowym powietrzu. Henry chciał się popisać nowym samochodem i jego możliwościami, lecz hrabina Levington nalegała, żeby Amber i Beth pojechały razem z nią Bentleyem.

- Phoebe, obawiam się, że może nie wystarczyć tam miejsca dla nas wszystkich - ostrzegł ją lord Levington. - Jedna z dziewcząt będzie musiała pojechać z Henrym.

- Ty jedź, Amber - zaproponowała Beth. - Henry jeździ tak szybko, że robi mi się od tego niedobrze.

Bugatti było w kolorze ciemnoniebieskim. Słońce odbijało się w jego wypolerowanej masce i w błyszczących felgach. Pałace słońce intensyfikowało zapachy skóry, lakieru i paliwa, mieszając je z wonią kurzu i sosen.

Ponieważ droga ze stacji była kręta i prowadziła przez całe miasteczko, wspinając się następnie na okoliczne wzgórza, Henry musiał dostosować prędkość do licznych zakrętów i pozostałych uczestników ruchu drogowego: osłów, wózków i innych samochodów. Dzięki temu Amber mogła co jakiś czas dostrzec morze wyłaniające się zza ocieniających wzgórza pinii. Mijali wysokie, pomalowane na biało mury oraz kute z żelaza bramy, przystrojone szkarłatnymi kwiatami geranium, które wily się, sięgając aż zakurzonej drogi.

- Jesteśmy na miejscu - zawołał Henry, przekrzykując ryk silnika i podmuchy wiatru, kiedy skręcili i przejechali przez podwójną bramę, wjeżdżając na podjazd zasypyany kwiatami róż. Amber wstrzymała oddech z zachwytem.

Villa Florentine z ozdobionymi sztukaterią ścianami pomalowanymi na biało była tak piękna i tak kwieciście włoska, jak sugerowała jej nazwa. Przypominała ilustrację z książki przedstawiającą dom z wieżami i wieżyczkami, wysokimi oknami i balkonikami kutymi z żelaza. Chłodna czystość białych ścian podkreślała gorącą czerwień kwiatów hibiskusa i purpurę bugenwilli.

Kamienne schody wiodące do portyku z kolumnami, z których zwieszały się pnącza jasnoczerwonego geranium, udekorowane były terakotowymi dzbanami wielkości małego dziecka. Formalność i nieformalność tworzyły tutaj parę tak zgraną, że rozbudzała wszystkie zmysły

Dla kontrastu klatka schodowa znajdująca się za ozdobnymi drzwiami wejściowymi oferowała przyjemny chłód. Na imitującej szachownicę posadzce z biało-czarnego marmuru głośnym echem odbijał się każdy krok i odgłos.

W sklepionych łukami niszach wykutych w alabastrowych ścianach stały rzeźby z czarnego marmuru. Wiodące na piętro kręte schody z kutą poręczą wiły się w górę, a całości dopełniały okna stylizowane na średniowieczne.

Po chwili zjawiała się pokojówka Amber i Beth i zaprowadziła je do sąsiadujących ze sobą sypialni na piętrze, z których roztaczał się widok na ptękny, szeroki taras. Za nim znajdował się basen, a jeszcze dalej - wyszukane ogrody w stylu włoskim, które opadały łagodnie w stronę morza. Amber wyjrzała przez okno w poszukiwaniu domku, w którym mieszkał wspomniany przez lorda Levingtona Jean-Philippe, lecz ku swojemu rozczarowaniu nic takiego nie zobaczyła.

Amber spotkała ponownie swoich gospodarzy dopiero wczesnym wieczorem. Lady Levington zasugerowała wcześniej, że Amber może chcieć spędzić popołudnie na rozpakowywaniu się, odpoczynku i napisaniu do babci, by poinformować ją, iż bezpiecznie dotarła na miejsce.

Ponieważ kolacja odbywała się wyłącznie w gronie rodzinnym, hrabina Levington zdecydowała, że Amber i Beth nie muszą wkładać sukni wieczorowych. Jednak trudy podróży i panujący na dworze upał wymagały odświeżenia się i przebrania w czyste, proste stroje. Amber wybra-

la jedwabną sukienkę w kolorze bładoniebieskim, ozdobioną małymi kwiatkami z perłowych koralików - takimi samymi jak te, które zdobiły obrębione krawędzie spódniczki. Na sukienkę narzuciła białe bolerko na podszewce z jedwabiu w tym samym kolorze. Włosy upięła śliczną, wysadzaną perłami spinką, wcześniej jednak musiała mozolnie rozczesywać niesforne loki, które splątały się w trakcie jazdy kabrioletem Henry'ego.

Rodzice Beth i Henry sączyli martini na tarasie, na który Amber weszła przez otwarte drzwi balkonowe. Ich rozmowie towarzyszyło cykanie świerszczy.

Lord Levington zaproponował Amber jeden ze swoich legendarnych drinków - Białą Damę.

- Nie jestem przekonana, czy dziewczyny powinny pić koktajle - zaprotestowała lady Levington.

- Dopilnuję, aby drink nie był zbyt mocny - zapewnił ją hrabia, uśmiechając się przy tym szeroko.

Amber pociągnęła niepewnie pierwszy łyk, ale na szczęście koktajl był tak dobry, jak obiecał lord Levington.

Szybko nauczyła się, że niektórzy z towarzyszących debiutantkom młodych bawidamków mieli skłonność do przyrządzania zdecydowanie za mocnych drinków, wyciągając dziewczyny do zacienionych oranżerii lub skrytych w mroku ogrodów, pod pretekstem wypicia lemoniady i zaczerpnięcia odrobiny świeżego powietrza po wyjściu z gorącej sali tanecznej. Kiedy taka nieszczęsna dziewczyna wypija swoją „lemoniade”, nie była już w stanie się bronić. W szklance znajdowało się bowiem coś znacznie mocniejszego - najczęściej gin -a kompan ochoczo wykorzystywał stan upojenia.

- Nigdy nie przyjmuj od nikogo drinka, chyba że widziałaś, jak go nalewano, lub sama wybrałaś go sobie z tacy przyniesionej przez kelnera. -Tego rodzaju rady bardziej światowe młode damy przekazywały swoim mniej obytym koleżankom.

Beth w pośpiechu ostatnia zbiegła na taras, a tuż po niej zjawił się kamerdyner, który obwieścił przybycie specjalnego gościa Levingtonów.

Amber zacisnęła kurczowo palce na szklance, czując tremę w żołądku. Oczami wyobraźni widziała Jeana-Philippea pozującego do portretu

jej ojcu i nadającego jego szkicom szczypty francuskiej elegancji Wyobra zała sobte mężczyznę o wielkim uroku, ciemnookiego bruneta z długimi wąskimi dłońmi artysty .

Ale mężczyzna, który stał właśnie przed nią i rozmawiał z hrabią i jego małżonką, w niczym nie przypominał człowieka z tej wizji Owszem był wysoki, ale niezwykle barczysty i z szeroką klatką piersiową, której zarysy prześwitywały wyraźnie pod koszuli. Podczas gdy lord Levington i Henry byli gładko ogoleni, Jean-Philippe miał spiczastą bródkę Jego skóra była śniada, a gęste, ciemne włosy opadały kaskadą loków na ramiona, jak u jakiegoś rycerza. Nie. Amber poprawiła samą siebie, kiedy mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią. Wtedy ujrzała w jednym z jego uszu złoty kolczyk. To nie był żaden rycerz, tylko Cygan, a może przetrat Bezwzględny, nieznający litości i niebezpieczny Odruchowo odwróciła się do niego plecami, ale zanim to zrobiła, zdążyła jeszcze zobaczyć nieskazitelną biel jego zębów, kiedy Jean-Philippe uśmiechnął się do niej kąś Zadrzała i oblała ją fala gorąca, mimo ,z czuła dreszcze. Nigdy wcześniej nie widziała tak ciemnych, niemal czarnych oczu. I te dłonie - bardziej przypominające dłonie rzemieślnika niż artysty: szerokie, kwadratowe i potężne. Amber uznała, że stojący przed nią mężczyzna musi malować drogocnymi pociągnięciami pędzla. Nie bladymi farbami wodnymi ani nawet olejnymi lecz krzykliwymi, zmysłowymi kolorami, które upajały zmysły i odbierały rozsądek.

Beth pociągnęła ją za rękaw. Oczy miała szeroko otwarte z podziwu i podniecenia.

- Spójrz tylko, Amber - błagała. - Czyż on nie jest przystojny? Przystojnym Z tymi wylupianymi oczami i twarzą Cygana albo pirata?

Uo tego jeszcze ten śmieszny kolczyk.

- Nie - odparła stanowczo Amber. - Nie wydaje mi się ani trochę przystojny ^

Amber słyszała, jak lady Levington reaguje śmiechem na coś, co właśnie powiedział Jean-Philippe. Jego głos był jak ciepły syrop z melasy, który kucharz Blanche podgrzewał zimą i dodawał Amber do owsianki Ten syrop był tak bardzo kaloryczny, że na samą myśl o nim Amber przewracało się w żołądku, a jednocześnie bardzo jej go brakowało

było już późno, minęła północ, a Amber rozboleła głowa. Jean-Philippe upuścił towarzystwo ponad godzinę temu, jeszcze raz usprawiedliwiając się i przeprasząc za swoją obecność w domku letniskowym. A mimo to jego postać zdominowała rozmowę przez resztę wieczoru, tak jakby nigdy ich nie opuścił.

Amber nie potrafiła znaleźć racjonalnego wytłumaczenia, co takiego było w tym człowieku, że poczuła do niego olbrzymią niechęć, a potem wielką ulgę, kiedy sobie poszedł. Wiedziała tylko, że było w nim coś niezmiernie irytującego, aż napawało ją to lękiem.

Jean-Philippe zapewnił lady Levington, że nie będzie im wcale przeszkadzać. Miał do skończenia ważną pracę, nad którą śleczął całymi dniami i nocami.

Dzień i noc. Amber zadrzała. W ciemnych oczach Jeana-Philippe a i jedwabistym, ciepłym mroku śródziemnomorskiej nocy było coś, co wywoływało u niej gęsią skórę.

Lord Levington, a zwłaszcza jego żona, pozostawali za to pod jego wrażeniem, nie wspominając już o Beth, która dała się nabrać na jego galijski urok. Natomiast Henry zdawał się nie podzielać zachwyty swojej rodziny nad Jeanem-Philippe'em. Amber dostrzegła to i ucieszyła się, że nie jest w tym uczuciu niechęci odosobniona. Chwała Bogu!

- Spóźniłeś się.

- Ale czekałaś - roześmiał się Jean-Philippe, przesuając dłońmi po gładkich nagich ramionach Marianne, a potem nachylił się, żeby pocałować ją w nadąsane czerwone usta.

- Mój mąż wkrótce wróci. Lepiej już idź, jeśli nie chcesz, żeby cię tu zobaczył.

- Jak mógłbym odejść, kiedy sprawiasz moim zmysłom taką ucztę? -przekomarzał się z nią, wsuwając dłoń pod odsłonięty dekolt jej bluzki.

Marianne miała pełne i krągłe piersi, delikatne w dotyku i opalone przez słońce, z ciemnymi, poobgryzаныmi przez jej czwarte dziecko sutkami. Minęło zaledwie sześć tygodni, odkąd odstawiła je od piersi, i jej biust wciąż pachniał mlekiem i płodnością.

Kiedy pierwszy raz się spotkali, Mariannę właśnie karmiła i celowo pozwoliła opaść niezapiętemu ramiączku z sukienki, tak by Jean-Philippe mógł zobaczyć niemowlę chciwie ssące jej pierś, a potem ociągając się, zapięła sukienkę, żeby mógł jeszcze nacieszyć się tym apetycznym widokiem.

Jej mąż był miejscowym piekarzem, który wstawał skoro świt i spędzał wieczory, popijając w pobliskim barze i zostawiając rozochoczoną Mariannę w towarzystwie Jeana-Philippea, zawsze skorego do figli.

Jean-Philippe puścił Mariannę, przysunął sobie krzesło i usiadł na nim. Mariannę stała i obserwowała go z rękami opartymi na biodrach. Potem przyciągnął ją do siebie i ściągnął jej bluzkę, obnażając całkiem piersi, które zaczęła lizać, ścisnąć językiem i ustami, nie zaniebując żadnej z nich i robiąc to coraz szybciej, aż poczuł, jak jego kochanka drży z rozkoszy

Jedyną oznaką jego podniecenia było krótkie, urywane stęknienie, po którym Jean-Philippe błyskawicznie przesunął dłonie z piersi w stronę ciężkich gorących ud i czekającego już na niego wilgotnego miejsca między nimi.

Potem zjechał dłońmi w dół, ścisnął Mariannę za pośladki i zaczął mocno ugniatać.

- Myślisz, że twój mąż da mi jakąś posadę? - spytał kpiąco. - A co my tutaj mamy?

Mariannę nie odpowiedziała. Napawała się tą rozkoszą tak łapczywie i egoistycznie, jakby była mężczyzną.

Zamknęła oczy, wydając z siebie gardłowe dźwięki i ponaglając swojego kochanka. Jean-Philippe z wprawą włożył palec w jej mokrą szparę, bez problemu znajdując miejsce, które sprawiło, że ciało Mariannę wyprężyło się w łuk, a potem kobieta szarpnęła się dziko w objęciach orgazmu.

Wtedy Jean-Philippe puścił ją, wstał i rozpiął spodnie. Mariannę bez słowa pochyliła się, chwytając się oparcia krzesła, z którego przed chwilą wstał jej kochanek, i rozchyliła nogi.

Stanął za nią i podciągnął jej spódnicę. Miała miękkie i pełne pośladki. Ukazywała mu rowek między nimi, a za nim nabrzmiące wargi sromowe, skryte w gęstwinie wilgotnych kręconych włosów łonowych.

Jean-Philippe dogadzał jej wolnymi pchnięciami, napawając się rozkoszą i widokiem pulsującej ciemnymi żyłami główki swojego członka, który wślizgiwał się i wyslizgiwał z jej wnętrza, najpierw płytko drażniąc



łechtaczkę, a potem wchodząc coraz głębiej, gwałtownie i do samego końca, sprawiając, że Marianne krzyczała w uniesieniu, protestując, kiedy wy chodził z niej i drażnił jej wargi sromowe.

Między tabakiem a kuchnią znajdowała się jeszcze piekarnia z pieca mi i witryną, które ciągnęły się przez całą długość budynku. Kiedy Jean-Philippe pieścił łechtaczkę Marianne, usłyszał dźwięk dzwonka do drzwi piekarni.

- To mój mąż - ostrzegła go Marianne, jęcząc znów z rozkoszy, gdy Jean-Philippe wchodził w nią gwałtownie, i dotrzymując mu rytmu.

On nachylił się w jej stronę i wyszeptał:

- Naprawdę chcesz, żebym przestał? Potrafiłabyś to znieść? Nie mogłabyś, prawda?

Marianne jęczała, choć starała się zagryzać wargi wraz z każdym, coraz mocniejszym i głębszym pchnięciem.

Jean-Philippe poczuł, jak tak że jego ogarnia fala pożądania, i wbił się w Marianne jeszcze gwałtowniej, a jej mięśnie zacisnęły się wokół jego członka, zwiastując serię potężnych spazmów. Po drugiej stronie ściany usłyszał kroki zbliżającego się męża Marianne. Przyspieszył, osiągnął orgazm, delektując się tą eksplozją i uczuciem ulgi, które zaraz nastąpiło.

Wtedy zagrzechotała klamka do drzwi mieszkania. Jean-Philippe poklepał Marianne po pośladkach i opuścił jej spódnicę dokładnie w chwili, w której drzwi zaczęły się otwierać. Kiedy mąż Marianne wszedł do kuchni, jej kochanek siedział już na krześle przy stole.

- Ach, monsieur du Breveonet, cieszę się, że pana widzę - mruknął piekarz.

- Witaj, Jacques. Twoja dobra żona obiecała poczęstować mnie swoimi wspaniałymi konfiturami. Uważam, że zapach jej perfum i te konfitury nie mają sobie równych - powiedział Jean-Philippe miękko, spoglądając na Marianne.

Wciąż miał na dłoniach jej zapach. Wydało mu się to zabawne, że ona stoi jak wmurowana w ziemię, bojąc się, że przy najmniejszym ruchu to, co w niej zostawił, wypłynie i zdradzi ją.

Jean-Philippe wciąż uśmiechał się pod nosem, kiedy pół godziny później wracał do swojego domku dla gości w ogrodzie na tyłach willi.

## Rozdział 17

Greg używał sobie do woli w Hongkongu, zwłaszcza od czasu gdy spotkał Lionela Sheptona, znajomego z Oksfordu. Rodzice Lionela byli misjonarzami. Po ich śmierci w Afryce Kościół opłacił osieroconemu synowi naukę, wychodząc zapewne z założenia, że Lionel pójdzie w ich ślady. Ale on miał inne plany. Nie zgadzał się, że warto być uczciwym i biednym. Lionel widział, jak żyją niektórzy jego rówieśnicy w Oksfordzie, i szybko doszedł do wniosku, że bardziej odpowiada mu ich afirmacja życia i zabawy niż praca w służbie Kościoła.

Na początku przyjechał do Hongkongu w towarzystwie zamożnego przyjaciela, ale szybko się usamodzielił. Miał powodzenie wśród kobiet, był dobrze wychowany, przystojny i czarujący, a do tego wystarczająco sprytny, żeby nie wspominać w towarzystwie związanym z ekskluzywnym Peak Clubem, do którego wprowadził go ów bogaty przyjaciel), czym się trudni i zarabia na życie. A zajmował się wprowadzaniem młodych bogatych mężczyzn, takich jak Greg, w ciemne strony życia w Hongkongu: prostytutkę, narkotyki i hazard, które znajdowały się pod kontrolą owianych złą sławą gangów, nazywanych tutaj triadami.

Blanche kochała Grega, dlatego dopilnowała, by na wygnaniu nie zabrakło mu niczego, a zwłaszcza pieniędzy. Były to znacznie większe sumy od tych, które otrzymywał za pracę w firmie spedycyjnej Henry ego Jardine'a. Jardine i jego żona Jane mieli w dzielnicy Peak wielki dom, a obok mały jednopokojowy domek gościnny, w którym mieszkał teraz Greg.

Greg i Lionel odświeżyli znajomość w trakcie jednego z koktajli wydawanych przez gubernatora Hongkongu.

Gregowi takie przyjęcie wydawało się nudne i sztywne, dopóki nie wpadł - dosłownie - na Lionela.

Kiedy już opowiedzieli sobie, jak potoczyły się ich losy po ukończeniu studiów w Oksfordzie - dla własnego dobra wprowadzając do swoich historii autocenzurę - uznali, że to, co do tej pory było tylko niezobowiązującą znajomością, powinno przerodzić się w prawdziwą przyjaźń.

Jardine nie wiedział, co począć ze znudzonym młodym człowiekiem, kliny dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie potrzebuje ani nie chce pracować, dlatego odczuł ulgę, kiedy dowiedział się, iż Greg znalazł godnego siebie kompana.

Życie towarzyskie w brytyjskim Hongkongu kręciło się w dużej mierze wokół Peak Clubu, który weryfikował każdego, kto ubiegał się o członkostwo, nie ukrywając, że pewne rasy - w tym Kantończycy - nigdy nie otrzymają doń prawa wstępu. Tańce przy herbatce i partyjki brydża, po których podawano kolację, należały do codziennych rytuałów klubu. Z początku to wystarczało Gregowi, ale już tydzień po pierwszym spotkaniu Lionel zdradził mu, że w Hongkongu są znacznie lepsze rozrywki dla samotnego młodego mężczyzny

Gregowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

- Przydałaby mi się kobieta - wyznał przyjacielowi. - Ale nie taka, która liczy, że na swoim palcu zobaczy pierścionek, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Lionel rozumiał to doskonale. Złożony system licencjonowanych hongkońskich burdeli, spełniających każdą możliwą zachciankę, został wprawdzie zdelegalizowany, co nie znaczyło jednak, że tego typu przybytki zniknęły z ulic miasta.

Prostytucja, jak wszystkie pozostałe formy działalności przestępczej, pozostawała pod kontrolą triad. Do Hongkongu sprowadzano biedne chińskie dziewczyny z prowincji. Część z nich trafiała za granicę, inne zostawały na miejscu. Wszystkie jednak kupowano za śmieszne pieniądze. I wszystkie musiały spłacić swój dług z wielokrotną nawiązką wobec tych, którzy byli „panami” dziewczyn w trakcie ich krótkiej kariery zawodowej.

Kiedy Greg dowiedział się, że może sprecyzować swoje oczekiwania i wymagania, tak jakby kupował każdy inny towar, jego początkowe wahanie ustąpiło miejsca bezkrytycznej pewności siebie. Dlaczego miałby się ograniczać do jednego zakazanego owocu, skoro na wyciągnięcie ręki było teraz tak wiele różnych smaków, i to za niewygórowaną cenę?

Wkrótce był wdzięczny Lionelowi za uświadomienie mu tego faktu i z przyjemnością korzystał z usług oferowanych przez łaszące się do niego hongkońskie burdelmamy.

Jednym z ulubionych miejsc Grega stał się ekskluzywny lokal o nazwie Rezydencja Shangri La, dostępny jedynie najzamożniejszej klienteli. Dla niewtajemniczonych wyglądał z zewnątrz jak przytulny, nierzucający się w oczy dyskretny hotelik. Na straży rzeźbionych w żółtodrzewie podwójnych drzwi stało dwóch potężnych, muskularnych strażników w nie-biesko-złoty liberiach, którzy otwierali je tylko temu, kto znał aktualne tajne hasło. Nowi klienci po znalezieniu się w bogato zdobionym holu musieli poprosić o spotkanie z Madame S. W środku piękna recepcjonistka w tradycyjnej chińskiej sukni *cheongsam*, tak obcisłej, że musiała zostać uszyta chyba na jej ciele, kłaniała się grzecznie i pytała klienta o specjalne wymagania.

Burdel mieścił się na wszystkich pięciu piętrach wysokiego wąskiego budynku. Na każdym piętrze oferował inny rodzaj seksu, zaczynając od piwnicy, którą upodobał sobie miłośnicy sodomii; jak Lionel z uśmiechem wytłumaczył Gregowi, na najniższym poziomie łatwiej było trzymać zwierzęta.

Wśród mężczyzn regularnie odwiedzających Shangri La krążył makabryczny dowcip o tym, że zapach pieczonego mięsa dochodzący z pobliskich sklepów spożywczych oznaczał, iż jakiś klient upodobał sobie szczególnie brutalną formę zwierzęcej zabawy i pieczone właśnie zwierzę pochodziło z jednego z pokoiów burdelu, znajdujących się w piwnicy.

Każde piętro burdelu zostało urządzone tak samo i składało się z małych pokoików, z których część miała wielkie „okna”, wychodzące na „widownię” - z myślą o klientach, którzy lubili podglądać, oraz jedną dużą salę komunalną przeznaczoną na „rozrywki grupowe”.

Greg najczęściej płacił dwóm, a czasem nawet trzem dziewczynom, by mu dogadzały, równocześnie zabawiając się ze sobą.

W burdelu pracowała wysoka, dobrze zbudowana skandynawska blondynka o wielkich sterczących piersiach i sutkach wielkości guzików, która ze szczególnym entuzjazmem wsadzała innym dziewczynom przypięty do pasa sztuczny penis.

Znajdujące się również w podziemiach komnaty tortur nigdy nie pociągały Grega, chociaż nie stronił on od odrobiny przemocy w trakcie zabaw z prostytutkami. Nic wielkiego, kilka klapsów, by dać im odczuć, kto

tutaj jest panem. Nie ma to jak mała chłosta za karę dla kobiety, która nie wie, jak porządnie dogodzić mężczyźnie ustami i językiem - zwłaszcza że to przecież on płacił za tę przyjemność.

Kiedy Henry Jardine dowiedział się pocztą pantoflową o ekscesach (irega, wziął go na stronę i pouczył, że młody mężczyzna o jego pozycji powinien raczej kupić sobie na własność czystą dziewczynę i uczynić /, niej osobistą kurtyzanę.

- Wiele dziewczyn w burdelach ma syfilis - wyjaśnił z zażenowaniem. Czuję się w obowiązku poinformować cię o tym fakcie. Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, że nie powiedział ci o tym młody Shepton. Poza tym ludzie naszego pokroju nie pokazują się w tej dzielnicy. Jak by to powiedzieć... To nam nie przystoi. Hongkong jest niewielki i ludzie szybko zaczynają plotkować.

Rada, której Jardine udzielił mu w dobrej wierze, tylko rozwścieczyła Grega. Za kogo miał go ten stary kutas? Naprawdę myślał, że Greg jest tępy i nie wie, o co w tym wszystkim chodzi?

Z kolei Lionela drażniła głupota i niefrasobliwość Grega, który nie potrafił zachować dyskrecji i stosować się do reguł. Lionel dokładał wszelkich starań, żeby rozdzielać dwa światy, w których się obracał - nie mógł przecież pozwolić sobie na wykluczenie z kręgów towarzyskich, wśród których wyszukiwał swoje ofiary. Zazwyczaj ci, którzy korzystali z jego usług, potrafili trzymać język za zębami i nie rozpowiadali o swoich upodobaniach, zwłaszcza w obecności ludzi, którzy na pewno by tego nie pochwalali.

Aby więc ukarać Grega, że naraził na szwank jego reputację, zabrał go do jednej z jaskiń hazardu kontrolowanych przez triadę, które specjalizowały się w żerowaniu na młodych i nieroztropnych cudzoziemcach.

Upojony pierwszymi sukcesami i krążącą w jego żyłach, typową dla hazardzisty adrenaliną, Greg nie zauważył, jak stojący w cieniu Chińczyk wymienia z Lionelem porozumiewawcze spojrzenia, ani przekazywanych z rąk do rąk pieniędzy. Był zbyt zajęty gratulowaniem sobie dobrej passy i umiejętności.

Gdy jednak Greg w końcu opuścił klub, był kompletnie zrezygnowany i zwiślał bezwładnie na ramieniu Lionela, który go pocieszał:

- Nie przejmuj się, szczęście jeszcze się do ciebie uśmiechnie. Pamiętasz, jak świetnie radziłeś sobie na początku? Na dworze switało. Greg zamrugał piekącymi oczami i poczuł, jak cięży mu głowa. Stracił już rachubę, ile skryptów dłużnych musiał wypisać na rzecz Lionela, który zapewniał go, że to przecież niewielkie kwoty i przy następnym rozdaniu bez wątpienia się odegra.

- I nie martw się o Chung Haia. To porządny chłop i na pewno otworzy ci rachunek. Zapłacisz mu, kiedy dostaniesz pieniądze od babki. Masz ochotę na fajeczkę przed powrotem do domu?

Greg potrząsnął głową. Nie potrafił zebrać myśli już teraz, a co dopiero po wizycie w palarni opium.

## Rozdział 18

Dni upływały im na wszelkiego rodzaju atrakcjach towarzyskich. Lady I, Evington dała Amber i Beth więcej swobody, niż miały w Londynie, prosząc jedynie, by trzymały się Henrygo. W ciągu tygodnia dziewczyny zaprzyjaźniły się z innymi młodymi ludźmi mieszkającymi w eleganckich willach rozrzuconych po całym Juan-les-Pins, którym zależało tylko na jednym - na świetnej zabawie.

Zazwyczaj Henry wiozł Amber i Beth nadmorską Promenadę des Anglais, gdzie następnie skręcali na Promenadę Croisette wiodącą do Cannes. Na miejscu spotykali się z nowo poznanymi przyjaciółmi na lunchu w secesyjnym hotelu Carlton albo wzniesionym w stylu art deco hotelu Martinez. Później przenosili się do samego Croisette, albo - jeśli akurat mieli taką ochotę - jechali do Antibes na koktajle w hotelu du Cap /, przestronnym ogrodem i wspaniałym basenem kąpielowym.

Życie na południu Francji było tak hedonistyczne i uderzające do głowy jak koktajle, które Amber nauczyła się pić, oraz komplementy francuskich chłopaków, którzy mówili po angielsku ze słodkim akcentem. Ale nawet na chwilę nie potrafiła zapomnieć o tragedii, która skończyła się wyjazdem Grega do Hongkongu, ani o oczekiwaniach jej babki wobec niej.

Amber wiedziała doskonale, jak powinny się zachowywać dziewczyny z jej warstwy społecznej. Nauczyła się tego już podczas pobytu w szkole z internatem. Jednakże wiedzieć, jak się zachować, to jedno, a czuć się z tym komfortowo, to coś zupełnie innego.

Sztywny formalizm, jaki towarzyszył na każdym kroku w życiu klasy wyższej, z całą swoją sztucznością i regułami, wydawał się Amber fałszywy i nienaturalny, szczególnie w porównaniu z jej dawnym życiem w domu z rodzicami. Czuła się tak, jak gdyby cały czas musiała odgrywać narzuconą jej rolę, by zadowolić innych, zamiast po prostu być sobą. Nienawidziła tej sztuczności. Drażniła ją i sprawiała, że Amber czuła się jak outsiderka niepasująca do otoczenia.

Na szczęście towarzyszył jej stale szkicownik ojca. Otwarcie go oznaczało ucieczkę do własnego, prywatnego świata.

Amber zabierała szkicownik ze sobą, gdziekolwiek się udawała, próbując zatrzymać obrazy, które kołatały się w jej głowie i rozpały wyobraźnię: niebieski jedwab przetykany turkusowym - kolorem Morza Śródziemnego, wiązanki bugenwilli oraz geranium na tle białej terakotowej ściany, a potem - dla kontrastu - stare budynki średniowiecznych miasteczek, takich jak St-Paul-de-Vence czy Mougins; kolory drogich kamieni kontra wytarte kamienie, delikatna miękkość jedwabiu na nagiej skale, wzory i barwy natury zakłete w tkaninach, które oddawały esencję południa Francji.

Pewnego dnia Amber i Beth namówiły Henry'ego, by wstał rano i zawiózł je do Grasse, gdzie odwiedziły słynny targ kwiatów, a potem zrobiły zakupy w małej perfumerii, chichocząc pod nosem z pasji sprzedawcy, który z wyolbrzymioną zmysłowością opowiadał o tym, że nie udało mu się dotąd uchwycić nieosiągalnego zapachu kobiecej skóry.

Skóra Amber opaliła się na ciepły złoty kolor, wywołując zachwyt piegowatej Beth. A komplementy francuskich chłopców stały się jeszcze bardziej namiętne.

Pewnego wieczoru hrabia i hrabina Levingtonowie zabrali dziewczęta do kasyna w Monte Carlo, gdzie - jak na debiutantkę przystało - Amber wygrała pięćdziesiąt funtów w *chemin defer*.

Wśród wielu innych atrakcji były również imprezy i pikniki na jachtach, wieczorne przyjęcia i towarzyszące im naprędce zaimprovizowane tance, które odbywały się na tarasach luksusowych willi. Działo się tak dużo, że Amber nie potrafiłaby opisać tego wszystkiego w listach, które wysyłała do domu - do babci i Jaya. Te adresowane do babci były bardziej oficjalnymi, pisanymi z kronikarskiego obowiązku relacjami, w których wymieniała to, co uważała za stosowne - głównie nazwiska i tytuły ludzi, którym była przedstawiana. Z kolei w listach do Jaya mogła dać upust swojej radości, którą sprawiało jej oszałamiające piękno nowego otoczenia. Stronę po stronie zapisywała pełnymi uniesieniami, szczegółowymi relacjami z miejsc, które odwiedzała i - w znacznie mniejszym stopniu - opisami poznanych przy okazji ludzi. Chociaż wszyscy byli dla niej mili, ich



wpływ na zmysłowe postrzeganie świata przez Amber był nieporównywalny z piętnem, jakie odciskało na niej samo południe Francji.

Amber ani razu nie wspomniała o Caroline. To, co powiedział jej Jay, wyparła z siebie jako zbyt szokujące i bolesne, by w ogóle o tym myśleć.

Ku swojemu zdumieniu czuła pewną ulgę, graniczącą niemalże z satysfakcją, że jak dotąd otrzymała tylko jeden, bardzo zdawkowy list od (irega, który przesłano jej z Macclesfield. Również Greg nie zająknął się nawet słowem na temat Caroline, a jedynie poinformował, że szczęśliwie dotarł do Hongkongu. Teraz, wiedząc już, co się stało, Amber uświadomiła sobie, że ciężko jest jej pisać do kuzyna o zmianach, jakie zaszły w jej życiu - czuła się prawie tak, jak gdyby kontaktowała się z kimś obcym.

Lady Levington jeszcze dwukrotnie zaprosiła na kolację Jeana-Philip-pe a i za każdym razem Amber czuła do niego tę samą gwałtowną antypatię. W jego ciemnych oczach było widać wyraźną nonszalancję i arogancję. Wyglądał idiotycznie z tą burzą gęstych loków i biła od niego zuchwałość. Był to typ człowieka, którego jedyny artyzm przejawiał się w grubych kreskach jego szkiców. Przynosił ujmę prawdziwej sztuce. Był drapieżnym pozerem, który podlizywał się lady Levington i flirtował z nią, próbując wkupić się w jej łaski. Ale na Amber to nie działało.

- Jak możesz go nie lubić? - spytała po jednej z takich kolacji Beth. -Przecież on jest taki przystojny, a do tego artysta.

- Po prostu mi się nie podoba.

To było wszystko, co Amber miała na jego temat do powiedzenia.

Pod koniec drugiego tygodnia pobytu w Juan-les-Pins przyjechał Ali-stair z rodzicami, którzy zmierzali właśnie do Florencji. Szybko stało się jasne, że nadzieje rodziców na romans pomiędzy Alistairem i Beth są w pełni uzasadnione. Beth pozostawała pod wielkim wpływem Alistaira, który też nie odstępował jej na krok. Amber nie była zaskoczona, kiedy okazało się, że Alistair - zamiast podróżować dalej z rodzicami do Florencji - zdecydował się skorzystać z zaproszenia Levingtonów i pozostać w Juan-les-Pins. Teraz przy okazji każdej wycieczki Beth wybierała towarzystwo Alistaira, tak by mogli spędzić jak najwięcej czasu na osobności. Amber z kolei była skazana na obecność Henry ego. Nie chciała się

skarżyć, w końcu był on synem Levingtonów i bratem Beth. Ale z czasem w jego stosunku do niej pojawiło się coś takiego, co sprawiało, że czuła się niekomfortowo. Bardzo często, gdy Amber była sama, Henry pojawiał się nagle, zupełnie niespodziewanie, jakby ją śledził. A kiedy przebywali razem, trzymał się zawsze niezręcznie blisko, wbijając w nią uporczywe spojrzenie.

Pewnego wieczoru, po zakończonym przyjęciu w hotelu du Cap, Henry - zamiast pozwolić Amber wejść do domu - złapał ją za rękę i nalegał, by przespacerowała się z nim po okalającym willę ogrodzie i jeszcze dalej, w zupełnej ciemności, gdzie znajdowały się schody wiodące na plażę. Henry przez cały wieczór był w bardzo dziwnym nastroju. Marszczył brwi i dąsał się, kiedy jeden z francuskich młodzieńców flirtował z Amber. Ona wolała wejść od razu do domu, tym bardziej że Henry wypił na przyjęciu kilka drinków Blood and Sand, składających się z whisky, soku pomarańczowego, wiśniówki i wermutu. A do tego jeszcze w drodze powrotnej prowadził samochód z mrozzącą krew w żyłach szybkością.

- Naprawdę uważam, że powinniśmy pójść prosto do domu - powiedziała.

- Jeszcze nie.

Henry wciąż trzymał ją za rękę i zanim Amber zorientowała się, jakie są jego zamiary, przyparł ją do niskiego murku i spróbował pocałować. Zdążyła w porę odwrócić głowę, tak iż jego usta musnęły zaledwie jej policzek.

Wystraszona i rozzłoszczona zachowaniem Henryego, odepchnęła go. Poczwała ulgę, kiedy puścił ją i pozwolił jej pobiec do domu.

Nie zauważyła Jeana-Philippea, który w pewnym momencie zastąpił jej drogę. Wtedy było już za późno.

- A co to? Czyżby nieskalana dziewica uciekała przed swoim niedoszłym kochankiem zbyt przestraszona, by dać mu się pocałować? - zadrwił z niej. - Biedny Henry. Cały płonie z pożądania do ciebie, a ty nawet tego nie zauważyłaś.

- Zejdź mi z drogi.

W jakiś sposób Amber udało się go wyminąć. Serce waliło jej jak młotem, gdy biegła w stronę willi. Powoli zaczęło do niej docierać, że nie wszyscy mężczyźni - wbrew temu, co sądziła w swojej naiwności - są ta-

cy jak jej ojciec. Nawet Greg dał się omotać pożądaniu. Siła i gniew, które iowarzystyły uściskowi Henryego, przeraziły ją. A teraz jeszcze drwiny lenna-Philippe a sprawiły, że Amber stwierdziła, iż na jakiś czas nie chce mieć w ogóle do czynienia z mężczyznami.

Następnego dnia rano przy śniadaniu Henry siedział naprzeciwko Amber i nie spuszczał z niej wzroku, choć nie odezwał się ani słowem. Amber czuła się niezręcznie. Trochę nawet się bała. Czy Henry powie coś rodzicom na jej temat? Być może poprosi z czystej złośliwości, by odesłali ją do domu? Miała nadzieję, że nic takiego się nie stanie. Nie /niosłaby tego.

Jakiś czas później spacerowała po ogrodzie, kiedy zobaczyła, że w jej stronę zmierza lady Levington.

- Amber, moja droga, cieszę się, że cię tu znalazłam - powitała ją gospodyni domu. - Chodź i usiądź przy mnie na chwilę. Chcę z tobą porozmawiać.

Amber posłusznie usiadła u boku matki Beth na ogrodowej ławce.

- Lord Levington i ja obawiamy się trochę, czy Henry przypadkiem nie za bardzo ci się narzuca. Młodym mężczyznom z jego charakterem często wydaje się, że wpadli w sidła miłości. A ty jesteś wyjątkowo śliczną dziewczyną.

W tym miejscu lady Levington lekko westchnęła i Amber poczuła nagle wyrzuty sumienia, jakby zrobiła coś złego.

- Trochę żałuję, że naraz zważyło ci się na głowę tyle różnych doznań kontynuowała lady Levington. - Powinnam zdać sobie z tego sprawę

wcześniej. Jesteś uroczą dziewczyną i na pewno zrozumiesz, że ja i mój mąż wiążemy określone nadzieje z przyszłością Henryego.

Amber wiedziała doskonale, co ma na myśli lady Levington: odpowiednią pannę z dobrego domu. Nie taką jak ona.

Twarz Amber zapłonęła z poniżenia.

- I wiem też, że nie dasz się nabrać na szczeniacką miłość młodego chłopca. To samo powiedziałam lordowi Levingtonowi.

- Nigdy nie traktowałam Henry ego inaczej, jak tylko brata Beth - powiedziała spokojnie Amber. - Tak o nim myślę.

- No tak, oczywiście. - Lady Levington jakby trochę ulżyło, poklepała Amber po ręce i uśmiechnęła się do niej. - Chciałam tylko, żebyś wiedziała, dlaczego lord Levington i ja uważamy, że lepiej będzie, jeśli przestaniecie utrzymywać ze sobą kontakty

Amber poczuła nieprzyjemny ścisk w żołądku.

- Odsyłacie mnie do domu? - spytała.

- Och, moja droga, skądże znowu - zapewniła ją natychmiast lady Levington. - Nic z tych rzeczy. Jak już powiedziałam, nie widzimy w tym twojej winy. Chodziło nam tylko o zduszenie potencjalnego zagrożenia w zarodku i uniknięcie sytuacji, która mogłaby być dla nas wszystkich trudna. Za kilka dni lord Levington dołączy do przyjaciół, którzy zaprosili go na rejs jachtem. Henry będzie mu towarzyszyć. A kiedy wrócą, Henry odwiezie swoją siostrę do Florencji, gdzie Beth zostanie z Alistairem i jego rodzicami. - Hrabina po raz kolejny poklepała Amber po ręce. - Chętnie dotrzymam ci towarzystwa pod nieobecność Beth i mojego męża. Ale chcę cię jeszcze przed czymś ostrzec. Henry być może zaproponuje ci, żebyś z nim korespondowała w tym czasie.

- Powiem mu, że to nie jest najlepszy pomysł - odparła cicho Amber.

- Wiedziałaś, że mnie zrozumiesz. Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Cóż za wspaniały poranek. - Hrabina rozpląwała się w uśmiechu.

- To prawda.

Amber czuła się tak, jakby język przywarł jej do podniebienia. Ale przecież nie powinna się smucić. Wprawdzie lord i lady Levingtonowie nie chcieli jej jako synowej, ale i ona nigdy nie widziała siebie w tej roli. Nawet przez chwilę. Mimo to hrabina przypominała jej, kim jest, i zrobiła to w taki sposób, że musiało zboleć. Amber zawsze uważała, że matka Beth ją lubi i troszczy się o nią. I że różniący ich klasa społeczna w ogóle nie ma żadnego znaczenia. Ale przez cały czas się oszukiwała i teraz czuła się poniżona i zdradzona. Przez samą siebie - za to, że nie zdawała sobie sprawy z prawdy. Matka Beth była taka jak lady Rutland i jej przyjaciółki, żyjące w świecie, w którym liczą się wyłącznie powierzchowność i konwenanse.

Lady Levington wróciła już do willi, ale Amber nie potrafiła ruszyć się z miejsca. Jeszcze nie teraz. Wstała z ławki, na której siedziała, i po-

woli przeszła przez ogród. Schodziła po kamiennych stopniach na prywatną plażę, uginając się pod ciężarem własnych myśli. Tam przynajmniej mogła być sama. Było jeszcze za wcześnie, żeby nianie zniosły tu na dół dzieci do zabawy.

Pogrążona w rozpacz Amber wędrowała po piasku ze zwieszoną głową, czując na plecach ciepłe promienie porannego słońca. Niebawem miała pojechać z Henrym do Antibes. Ale w tej sytuacji to oczywiście niemożliwe.

Podniosła wzrok, odpędzając łzy napływające jej do oczu, i wtedy znieruchomiała, patrząc na morze. Najpierw zobaczyła jedno ramię, śniade i muskularne, które przecinało spienione fale, a potem drugie ramię, głowę pokrytą gęstą ciemną czupryną i barki - szerokie i lśniące w miejscu, gdzie promienie słońca przeglądały się w mokrej skórze. Nie namyślając się długo, wycofała się w cień wielkiego głazu, który oderwał się od klifu.

W morzu pływał Jean-Philippe. Amber przypomniała sobie, jak mówił hrabinie Levington, że jego domek ma bezpośredni dostęp do plaży Teraz wstał, ociekając wodą, i otrzepywał się. Klatkę piersiową miał pokrytą gęstym ciemnym owłosieniem. Włosy biegły w dół po idealnie płaskim brzuchu, kiedy nagi wychodził z wody. Nagi... Amber chciała odwrócić się na pięcie i uciec, ale nie mogła się ruszyć. Stała jak wryta, drżąc z szoku i tego, co zobaczyła, a czego widzieć nie powinna. Męskie posagi tak nie wyglądały. Nie miały ciemnego owłosienia ani tak potężnych mięśni ud, poniżej których - połowicznie zakryta gęstymi włosami łonowymi - kołysała się imponująca męskość. Amber nie mogła nie zwrócić uwagi na tę prymitywną seksualność, chociaż desperacko pragnęła odwrócić wzrok.

Jean-Philippe wyszedł z wody na piasek i odwrócił się do niej plecami, bez wątplenia kierując się w stronę schodów wiodących do jego domku. Szedł po piasku, jego pośladki były napięte i jędrne - ich kontury różniły się od kształtu miękkich pośladków Amber. Jej serce waliło szybko i niespokojnie, napędzane gniewem, że Jean-Philippe śmiało obnażać się tak bezwstydnie o poranku i zakłócać tym samym jej prywatność. Jego zachowanie było obrazą dla wszystkich porządnych ludzi. Mogły go przecież

zobaczyć dzieci, tak jak ona teraz - i czuła się z tego powodu potwornie zawstydzona. Jean-Philippe wciąż był odwrócony do niej plecami. Dotarł już do schodów pnących się w górę, dając Amber możliwość ucieczki z powrotem w stronę willi.

Gdy Amber stała w cieniu, słońce wzniosło się wyżej na nieboskłonie. Jego blask oślepił ją, kiedy opuściła swoją kryjówkę. W pewnym momencie poślizgnęła się na luźnych kamkach, które potoczyły się z głośnym rumorem. Przerażona zamarła i zerknęła przez ramię.

Jean-Philippe odwrócił się i spojrzał w jej stronę. Amber zaczęła uciekać, nie wiedząc nawet dlaczego. Po prostu chciała zapaść się pod ziemię. Ale jej delikatne buciki nie były stworzone do biegania. Po chwili cień Jean-Philippe'a zakrył jej cień, a on sam dogonił i złapał Amber z takim impetem, że oboje upadli na miękki piasek. Przygwoździł ją swoim ciałem i czuła jego urywany oddech na swoim uchu. Jej samej oddech uwiązł w gardle, a serce galopowało jak szalone. Miała do czynienia z barbarzyńcą, korsarzem i zbrojnym, który nie kierował się w życiu żadnymi zasadami oprócz własnych.

- *Mon Dieu*, czy to nie nasza mała cnotka? - zaśmiał się jej wprost do ucha.

- Puszczaj mnie, bestio.

- Bestio? *Vraiment*, przyznaję, że jest we mnie coś z bestii. Może dlatego, że bestia kieruje się w życiu raczej instynktami niż intelektem. Dlaczego mnie szpiegowałaś?

- To nieprawda. Nic takiego nie robiłam - zaprzeczyła. - A tobie nie wolno...

- Czego mi nie wolno? Pływać, owi?

Amber czuła na twarzy jego oddech. Wiedziała, że Jean-Philippe natrząsa się z niej. Jego pokryte kryształkami soli włosy zwinęły się w grube splecione loki. Czy gdyby dotknęła ich ręką, oplotłyby ją i zniewoliły? Zauważyła, że oczy Jean-Philippe'a nie są czarne, lecz ciemnobrązowe. Pachniał solą, morzem i jeszcze czymś - obcym i wyjątkowo niebezpiecznym. Jego zapach obezwładniał Amber, pozbawiając ją silnej woli, i zmysłów, a bliskość, w jakiej się znajdował, kazała jej wdychać ten zapach.

Ciało mężczyzny, które z początku wydawało się tylko bezwładną iuisą, zaczęło przybierać realne kształty Amber czuła, jak kość biodrowia Jeana-Philippe a wbija się w jej delikatne ciało, jak umięśnione grube udo, szorstkie od soli, piasku i bujnego owłosienia, przyciska ją do piasku, a pulsujący gorący członek dotyka jej uda. Zadrzała i wzdrygnęła się, z trudem łapiąc powietrze. Wtedy Jean-Philippe sturlał się z niej. Amber natychmiast zerwała się na równe nogi i uciekła, nie zwracając uwagi na szyderczy śmiech, który słyszała za plecami. Błyskawicznie dotarła do schodów i wbiegła na górę.

Jej skóra była szorstka i oblepiona piaskiem, a letnia sukienka wilgotna od morskiej wody. Kiedy biegła, pęd powietrza zburzył jej włosy. Ledwo oddychała, tłumiąc płacz.

Co za potwór! Bestia! Jak ona go nienawidziła. Ku wielkiej uldze Amber nikt jej nie widział, kiedy wpadła do domu i pobiegła prosto do swojego pokoju.

Tego wieczoru prawie cała rodzina zgromadziła się na tarasie i popijała przedobiednie drinki, które przygotował im lord Levington. Tylko Henry, juk dowiedziała się Amber, wyszedł gdzieś z przyjaciółmi. Wyszedł, a może raczej został wysłany z jej powodu?

- Zaprosiłam Jeana-Philippe a na kolację. Żal mi go. Biedny chłopak, mieszka tam sam jak palec.

Amber prawie zakrztusiła się drinkiem. Myśl o tym, że ma spędzić czas przy kolacji na niezobowiązującej rozmowie z tym „artystą”, pamiętając o tym, co wydarzyło się rano, napawała ją przerażeniem. W uszach wciąż dźwięczał jej szyderczy śmiech Jeana-Philippea. Ale nie mogła nic zrobić.

Gdy Amber pomyślała, że mogłaby wykpić się od kolacji udawanym bólem głowy, było już za późno. Na taras wkroczył Jean-Philippe. Jego ciemne kręcone loki i złoty kolczyk w uchu błyszcząły w miękkim wieczornym świetle.

Siedząca obok Amber Beth westchnęła cicho i szepnęła:

- On jest taki romantyczny Jak lord Byron albo...

- Lord Byron nie był romantykiem. Znęcał się nad żoną i złamał przysięgę małżeńską - odparła wyzywająco Amber.

- Nie masz pojęcia, co powiedział mi Alistair - zmieniła nagle temat.
- Ze cię kocha? - zadrwiła Amber.
- Nie. - Beth przybrała konspiracyjny wyraz twarzy. - Chodzi o Louise. Amber, ona zrobiła coś naprawdę szokującego. Widziano ją, jak wychodziła z hotelowego pokoju, który wynajął George Ponsonby - W tym miejscu Beth przerwała na moment, po czym dodała znacząco: - Rano! Z początku Alistair nie chciał mi o tym powiedzieć, ale podobno trąbi już o tym cały Londyn i wiedzą o tym wszyscy Louise zrujnowała sobie reputację i nikt już jej nie zechce. Czy to nie straszne?
- Owszem - zgodziła się Amber, ale prawdę mówiąc, w tej chwili zupełnie jej to nie obchodziło. Lady Levington wybuchnęła perlistym śmiechem z jakiegoś żartu, który opowiedział Jean-Philippe.
- Chciałbym panią prosić o pewną przysługę, hrabino Levington. Amber zorientowała się, że Jean-Philippe patrzy w jej stronę. Serce zatrzepotało jej w piersi, objając się boleśnie o żebra. Jean-Philippe wciąż wbijał w nią wzrok, rozmawiając z matką Beth.
- Chciałbym poprosić panią o zgodę na to, aby panna Vrontsky została moją modelką. Amber zadrżała dłoń i poczuła, jak oblewa sobie rękę drinkiem. Lady Levington zachmurzyła się.
- Wszystko będzie *comme U faut*, zapewniam panią. Chciałbym namalować jedynie twarz panny Vrontsky, nic więcej. *Et natureliement*, otoczę ją jak najlepszą opieką. Na twarzy lady Levington pojawił się znów uśmiech.
- Ach tak, oczywiście, decyzja należy w takim razie do Amber.
- Och, Amber, to musi być cudowne przeżycie zostać muzą artysty! - zachwyciła się Beth, po czym, zanim Amber zdążyła ją powstrzymać, zwróciła się do Jeana-Philippea:
- Tata Amber też był artystą. Prawda, Amber?
- Projektantem graficznym - poprawiła ją Amber, podnosząc dumnie głowę i patrząc w szydercze brązowe oczy Jeana-Philippea. - Domeną mojej rodziny jest branża tekstylna. Babcia jest właścicielką fabryki jedwabiu.



Proszę bardzo, niech Jean-Philippe - i oni wszyscy - myślą o niej, co tylko zechcą.

Amber chce pójść w ślady ojca, ale jej babka zabroniła jej pobierać naukę w szkole artystycznej. Być może Jean-Philippe mógłby jakoś ci pomóc.. . nauczyć cię czegoś, Amber...

- *Bien sûr*, z przyjemnością podzielę się z panną Vrontsky całą moją wiedzą. - Głos Jeana-Philippea ociekał uprzejmością, ale Amber była pewna, że to tylko gra pozorów.

Chciała odmówić, ale wciąż bolała ją zraniona duma po porannej rozmowie z lady Leyington. Hrabina chętnie zgodziła się, żeby Amber pozowała Jeanowi-Philippe'owi, gdyż jej obecność sprawiała problemy, których elektem było odsunięcie od niej Henry'ego. Matka Beth nie chciała mieć za synową córki kupca i prawdopodobnie nigdy nie zgodziłaby się, aby to Beth została modelką Jeana-Philippe'a.

- A więc postanowione. Proszę przyjść do mojej pracowni jutro rano. Lubie zaczynać pracę wcześnie, kiedy jest najkorzystniejsze światło. Proszę więc być o siódmej. Zorganizuję przyzwoitkę. *Certainement* madame Brun znajdzie kogoś stosownego.

## Rozdział 19

Amber obudziła się przed świtem. Właściwie prawie nie spała tej nocy Zrywała się kilka razy i spacerowała po pokoju, a potem siadała na łóżku, ściskając w dłoniach szkicownik ojca, jakby miał ją uchronić przed złem.

Amber wiedziała, że Jean-Philippe celowo poniżył ją, wybierając na modelkę.

O szóstej pokojówka przyniosła *cafe au lait* z croissantem i zaproponowała pomoc w ubraniu się. Ale Amber potrząsnęła głową. Nie chciała, by służąca była świadkiem jej niepokoju, więc odesłała ją z powrotem do jadalni dla służby. Intensywny zapach kawy zemdlił ją do tego stopnia, że nie była w stanie nic zjeść, skubnęła tylko rogalika. Potem włożyła prostą plisowaną spódnicę i pasujący do niej bliźniak z dzianiny Nie miała pojęcia, jak będzie wyglądać to pozowanie ani ile czasu jej zajmie.

Na lekcjach rysunku z natury u pana Lafitte'a modelami były dzieci, które nie potrafiły usiedzieć w miejscu i uciekały przy najbliższej nadarzającej się sposobności.

Było wpół do siódmej. Amber nie mogła już dłużej zwlekać. W innych warunkach byłaby wręcz szczęśliwa, mogąc wstać tak wcześnie - doskonałość niczym niezmałconego poranka stanowiła bowiem wspaniały widok. Słońce już wstało, zalewając blaskiem ogród i oświetlając majaczącą w oddali spokojną toń morza. Powietrze wypełniał cierpki zapach sosen i drzew cytrynowych, które rosły w ogrodzie. Nieco później pod wpływem promieni słonecznych i gorąca otwierały się nie mniej aromatyczne róże.

Na ścieżce pierzchła w popłochu jaszczurka, rozrzucając przy tym małe kamyczki. Amber zatrzymała się na chwilę i obejrzała do tyłu, w stronę willi. Potem niechętnie ruszyła dalej, w kierunku otoczonego ogrodem małego domku na skraju klifu. Jego białe ściany porastała kwitnąca bugenwilla, a słońce ogrzewało terakotowe dachówki na spadzistym dachu. Domek letni znajdował się na północ od głównej posiadłości, blisko nie-

co dzikszej części sosnowego zagajnika. Okiennice były zamknięte i dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Słońce rzuciło teraz lśniąca refleksy na grzbiety fal. Osłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem, Amber skierowała się w stronę wejścia, niemal zakrytego przez pnące się róże. Trudno było sobie wyobrazić mężczyznę pokroju Jeana-Philippe'a mieszkającego w takim miejscu.

Drzwi były otwarte. Amber zapukała z wahaniem, spodziewając się, że otworzy jej służba - zapewne przyzwoitka, którą zobowiązał się dla niej zorganizować Jean-Philippe. Tymczasem w drzwiach pojawił się sam gospodarz, który zaprosił ją do środka.

Domek musiał być starszy od willi. Miał zwykłą kamienną posadzkę i niedbale otynkowane ściany. Bezpośrednio za drzwiami znajdowała się duża, nisko sklepiona kuchnia. Z belek u powały zwisały pęki zasuszonych ziół.

Pomieszczenie wypełniał ostry zapach farby i terpentyny, tak intensywny, że Amber musiała na chwilę wstrzymać oddech.

Jean-Philippe miał na sobie luźną białą koszulę i spodnie z nogawkami uciętymi na wysokości kolan, które odsłaniały muskularne i opalone na brąz łydki oraz zakurzone białe stopy. Kiedy zobaczył, że Amber rozgląda się po kuchni, uśmiechnął się.

- Nie znajdziesz tu raczej splendoru, jaki panuje w willi, ale ten dom ma coś, czego tam nie uświadczysz. Między nim a północnym cyplem nie znajduje się już nic, a moje studio wychodzi właśnie na tamtą stronę. Nigdy nie widziałem równie czystszej światła jak to o poranku. Pragnienie uchwycenia go może doprowadzić człowieka do szaleństwa. Miałem właśnie zrobić sobie kawę. Chcesz też? - Jean-Philippe wskazał na czajnik i filiżanki.

Pokręciła przecząco głową, patrząc, jak on nalewa sobie kawy do jednej z filiżanek. Jego dłonie, wielkie i kwadratowe, były zaskakująco wprawne i gibkie.

Jean-Philippe podniósł filiżankę do ust i upił kilka szybkich łyków.

- A więc postanowili pozbyć się twojego usychającego z miłości wielbiciela, *n est-ce pas?*

- Kazałeś mi przyjść wcześniej, żeby nie stracić tego wyjątkowego światła - przypomniała mu, ignorując jego pytanie.

Opróżnił filiżankę i odstawił ją na stół.

- Chodź - powiedział i sam ruszył przodem przez wąski korytarz bez okien, który prowadził do pokoju za nim. Amber widziała już pracownie w Londynie, zaprojektowane specjalnie z myślą o jak najlepszym wykorzystaniu światła przez pracujących tam artystów. Ale światło, które wpadało do tego pokoju, było tak intensywne, że dosłownie zapierało dech w piersiach.

- *Ah, oui*. Czujesz to tutaj, prawda? - Jean-Philippe popukał się palcem w pierś. - To światło chwyta za serce, obezwładnia i rozkazuje ci. A gdy nie uda ci się go wiernie odtworzyć, szydzi z ciebie i wyśmiewa się.

Pod ścianą leżało kilkanaście zasłoniętych i zwiniętych płócien. W pokoju pachniało farbą i potem, terpentyną i kurzem, barwnikami i werniksem. Pachniało, Amber musiała to z bólem przyznać, jej ojcem. Spojrzała w stronę okna, nie chcąc, by Jean-Philippe zauważył tę chwilę słabości.

Na środku pracowni stała rozstawiona sztaluga z rozwieszonym wielkim płótnem przykrytym tkaniną. Wokół niej znajdowały się różnego rodzaju akcesoria malarskie i krzesło - jak się domyśliła Amber - przygotowane dla niej. Całości wystroju wnętrza dopełniało stojące w kącie łóżko.

- Beth powiedziała mi, że przygotujesz obrazy na wernisaż w akademii. - Amber uznała, że lepiej będzie poprowadzić niezobowiązującą rozmowę niż dać się zdominować panującemu w tym miejscu nastrojowi lub jego gospodarzowi.

- Tylko głupiec wystawia swój geniusz na widok pospólstwa i komentarze tych, którzy mienią się krytykami sztuki. Skąd oni mogą wiedzieć, co to znaczy być prawdziwym artystą? Ich postrzeganie sztuki nie wykracza poza szukanie sponsorów i pieniędzy. A jednak zmuszają artystę, by się podporządkował ich ocenie. Jednak warto od czasu do czasu się pokazać, choćby po to, by być rozpoznawanym na rynku. Usiądź na krześle. Zaraz ci powiem, jak chciałbym, żebyś pozowała.

To mówiąc, Jean-Philippe ściągnął przez głowę miękką jedwabną koszulę. Słońce odbijało się na jego wyrzeźbionym torsie tak intensywnie, jak oddychała teraz Amber.

- Powiedziałeś lady Levington, że wystarasz się o przyzwoitkę - przypomniała.

Wzruszył ramionami i niedbale cisnął zwiniętą koszulę w kąt. Nie widzę takiej potrzeby - odparł z typową dla siebie arogancją. -Jakaś głupia gadająca baba tylko by mnie rozpraszała. Jest w twoim wyglądzie coś, co mnie intryguje. Nie są to cechy rodem ze średniowiecza, u mimo to noszą w sobie podobne świadectwo, być może nawet pogańskie. Może to efekt twoich rosyjskich korzeni. Czystość sprzymierzona z namiętnością, niewinność ze zmysłowością. Dezaprobata, z którą na mnie patrzysz, nie jest w stanie ukryć przede mną faktu, że ty też tego pragniesz, mademoiselle Amber Vrontsky.

Jean-Philippe zbliżył się do niej. Amber chciała uciec, po prostu wstać i wyjść. Póki jeszcze mogła.

- Zamierzałem cię namalować na tle tych prostych ścian - taka niewinność ożeniona z prostotą - ale ubiegłej nocy zdałem sobie sprawę, że przeoczyłem coś naprawdę ważnego. Ta twoja niewinność to tylko maska, którą nałożyło na ciebie społeczeństwo... Na czym to ja skończyłem? *Ah, nui*, jest tutaj.

Sięgnął do starej skrzyni za krzesłem, na którym siedziała Amber, i wyciągnął stamtąd zwój materiału.

- *Maintenant...*

Stał teraz zdecydowanie zbyt blisko. Gorący zapach jego ciała odrzucał ją i jednocześnie przyprawiał o zawrót głowy, kiedy Jean-Philippe odwijał belę materiału, a potem rzucił ją na niski stolik znajdujący się przed Amber, gdzie tkanina ułożyła się sama w grube fałdy.

To był jedwab. I to taki, jakiego Amber nie widziała nigdy wcześniej. Spojrzała na błyszczące fale ciemnego, niebieskozielonego materiału ozdobionego ziejącymi ogniem szkarłatnymi smokami. Ich wysadzone drogimi kamieniami oczy lśniły w świetle słonecznych promieni.

Nie mogąc się powstrzymać, wyciągnęła rękę i dotknęła materiału. Poczuła pod palcami jego ciepło. Ten jedwab żył i oddychał - tak prezentowały się jedynie tkaniny najwyższej jakości. Gdyby zamknęła teraz oczy, bez wątpienia usłyszałyby głos swojego ojca, który opowiadał jej o takim jedwabiu - rzekomo tkany wyłącznie dla chińskich cesarzy - bezcennym i obecnie wyjątkowo rzadko spotykanym poza prywatnymi zbiorami niezwykle bogatych kolekcjonerów.

A może się myliła? Może był to jedwab gorszego gatunku, nie cesarski. Ale nie. W chwili, w której go dotknęła, wiedziała, że nie może się mylić.

- Nie ruszaj się.

Amber była tak pochłonięta jedwabiem, że zapomniała zupełnie o obecności Jeana-Philippea, który sięgnął po szkicownik i teraz klęczał przed nią, przesuwał wprawnymi ruchami ręką po papierze.

- To spojrzenie, pełne hołdu i tęsknoty, jest idealne.

Amber wzdrygnęła się. Jedwab przelał się przez jej palce, kiedy go puściła. Słowa Jeana-Philippea sprawiły, że poczuła się tak, jakby odsłoniła przed nim intymną część swojej natury.

- Jest nawet lepiej, niż oczekiwałem. Nazwę ten obraz *Córka handlarza jedwabiem* i wtedy zobaczymy, czy ci tępi krytycy będą w stanie powiązać słowo „handlarz” z tą tęsknotą w twoich oczach. Tylko ci, którzy znają prawdziwą wartość jakiejś rzeczy, potrafią poczuć najsilniejsze pożądanie, by tę rzecz posiadać.

- Skąd pochodzi ten jedwab? - zignorowała jego komentarz.

- Należy do mojej... mojej matki chrzestnej. Wczoraj, gdy wspomniałaś, że w posiadaniu twojej rodziny znajduje się fabryka tekstyliów, wiedziałem, że muszę cię namalować na tle tego jedwabiu.

Amber usiadła sztywno, nie chcąc nawet na niego spojrzeć. Rozgniewało ją, że Jean-Philippe celowo bawi się i manipuluje jej uczuciami. Nienawidziła go za to, że potrafi czytać z niej jak z otwartej księgi. Uważała to za swoją słabość.

- A więc nie tęsknisz za tym bawidamkiem, który nie wie nawet, jak powinno się całować kobietę?

Nieoczekiwany zwrot akcji zaskoczył Amber.

- A może chcesz, żebym pokazał ci, jak to się robi?

Głos Jeana-Philippea był teraz delikatniejszy, ale w dalszym ciągu szyderczy. Twarz Amber oblała się rumieńcem, kiedy Jean-Philippe odłożył szkicownik i podszedł do niej. Była uwięziona w krześle. Nie potrafiła się ruszyć, uciec ani zrobić cokolwiek, gdy nachylił się i chwycił jej twarz jedną ze swoich wielkich kwadratowych dłoni, zaciskając jej palce na gardle niczym płonące żagwie.

Jego głowa przesłoniła światło, a usta przywarły do jej ust, nic sobie nie icibiąc z jej nieświadomości. Amber zrozumiała, że Jean-Philippe zawarł w tym geście całą swoją męskość i samczą dumę. Tak jak dzień wcześniej, gdy nagi wyszedł z wody Jego szybko poruszający się język po chwili wdarł się do zamkniętych ust Amber. Jean-Philippe smakował solą i przyprawami. Serce Amber tłukło się jak oszalałe. Wolną dłoń oparł na jej ramieniu, gładząc delikatnie kciukiem obnażony obojczyk Amber. Jego ciało wydawało się takie silne, a jednocześnie jakby pozbawione całkowicie wagi.

Nagle Jean-Philippe odsunął się i puścił ją.

- Czy twoja ciekawość została zaspokojona? Czujesz się usatysfakcjonowana?

- Wcale nie byłam ciekawa - odparła rozzłoszczona Amber.

- Oczywiście, że byłaś. Widziałem to w twoich oczach. Tak jak wczoraj na plaży.

- Nie - zaprzeczyła raz jeszcze, ale on puścił to mimo uszu i wrócił do sztalugi, po czym poprosił, żeby wzięła raz jeszcze jedwab do rąk.

Przez kolejne trzy godziny Jean-Philippe pracował w milczeniu, nie licząc upominania Amber od czasu do czasu, by się nie ruszała, gdy próbowała opanować drżenie zdrętwiałej ręki. W pewnym momencie, widząc, że nie potrafi ona zapanować nad drżeniem ramienia, niezadowolony i podenerwowany, odłożył pędzel i podszedł, by ustawić ją z powrotem w pożądaną pozycję. Tym razem jego ruchy były chirurgicznie precyzyjne, lecz niecierpliwe.

Wrócił do przerwanej pracy i dalej malował w ciszy. Słońce wzniosło się wysoko ponad horyzont. Powietrze w pracowni stało się ciężkie i wyspane z tlenu. Potęgował to twórczy amok Jeana-Philippe a i napięcie Amber, której zaczęło kręcić się w głowie od upału panującego w pracowni. Ilowały ją wszystkie mięśnie, ale nie odważyła się poruszyć.

W końcu Jean-Philippe odłożył pędzel i powiedział jej, że może się odprężyć.

- Jutro musisz spisać się lepiej i wytrzymać w jednej pozycji bez ruchu. Amber popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Czy on naprawdę

śmiał przypuszczać, że ona wróci tu jeszcze po tym, w jaki sposób ją potraktował?

Drżąc na całym ciele, minęła go i wyszła, nie odezwawszy się.

\*\*

Była piąta rano. Sen opuścił ją przez większą część nocy. Równie dobrze mogła wstać z łóżka, ponieważ i tak nie była w stanie zasnąć.

Wczoraj Amber wróciła do domu z przekonaniem, że nie będzie więcej pozować do obrazu Jeana-Philippea. Ale on ją przechytrzył. Pojawił się wieczorem, tuż przed kolacją, by jak zwykle oczarować lady Levington i doprowadzić do furii Henry ego, zanim Amber miała w ogóle szansę poinformować go o swojej decyzji.

Z jaką łatwością i płynnością przychodziły mu te wszystkie kłamstwa, kiedy twierdził, że Amber stała się dla niego natchnieniem, którego tak bardzo potrzebował, i że teraz nie wyobraża sobie skończenia dzieła bez jej udziału. W jak delikatny i kunsztowny sposób przekonywał lady Leving-ton, że Amber także chętnie korzystała z jego pomocy i rad - jak podkreślał - wyłącznie o charakterze czysto intelektualnym, obrzucając Amber ukradkowymi sugestywnymi spojrzeniami. W rzeczywistości Jean-Philippe był jej nienawistny i wstrętny i to właśnie dlatego Amber była na niego tak wściekła. Z tej złości serce kołatało jej się w piersi i prawie nie zmrużyła oka.

Teraz nie mogła już powiedzieć lady Levington, że nie chce więcej pozować Jeanowi-Philippeowi. A w każdym razie nie bez podania ważnego powodu. A tego nie zrobi. Stawką w tej grze była jej reputacja, która ległaby w gruzach, gdyby hrabina dowiedziała się, że Jean-Philippe ją pocałował. Powinna była opuścić jego dom, gdy tylko zorientowała się, że nie ma na miejscu przyzwoitki. Fakt, że tego nie zrobiła, stawiał ją w bardzo niezręcznej sytuacji. Teraz było już za późno na narzekanie i Jean-Philippe doskonale o tym wiedział.

Otworzył jej drzwi zaraz po tym, jak zapukała. Wiedziała, że świdruje ją wzrokiem, ale nie odwzajemniła jego spojrzenia.

- Jadłaś śniadanie?

- Nie byłam głodna - odpowiedziała przez zaciśnięte usta. Jean-Philippe wydał z siebie odgłos, który wyrażał jednocześnie kpinę i poirytowanie.

- Musisz jeść. Siadaj.



Nic nie chcę - zaprotestowała Amber, ale na próżno. Jean-Philippe posadził ją przy stole w kuchni i nalał jej wielki kubek kawy z gorącym mlekiem stojącym na starodawnej kuchence.

- Wypij to - powiedział, stawiając przed nią kubek i przysuwając bliżej koszyk z croissantami. - Nie zacznę pracy, dopóki nie zjesz - ostrzegł ją. - A jeśli stracę przez to poranne światło, będę naprawdę zły.

Już po kilku pierwszych łykach mocnej kawy Amber poczuła, jak wracają jej siły i budzi się z powrotem do życia.

- *Maintenant* zabieramy się do pracy - powiedział, gdy przełknęła ostatni kęs.

Przez noc krzesło zniknęło, natomiast jedwab pozostał na swoim miejscu, rozłożony na stoliku.

- Chciałbym, żebyś ukłękła tutaj, na podłodze - poinstruował Amber i sięgnęła po ten jedwab, o tak, a potem z pasją przycisnęła go do piersi.

Zrobiła tak, jak jej polecił, lecz zamarła na chwilę, kiedy zobaczyła, że Jean-Philippe marszczy brwi z niezadowoleniem.

- *Non!* Tak niedobrze. Musisz sobie wyobrazić, że przyszedłeś tu pod nieobecność ojca i odkryłeś najpiękniejszy z jego materiałów, który przed tobą ukrywał. Wiesz, że nie pozwoli ci go zatrzymać i rozgniewa się z powodu twojej chęci posiadania go. Ale nie możesz na to nic poradzić. Gdy tylko go dotkniesz, zapragniesz tego jedwabiu. Obejmiesz go i przyciśniesz do ciała, jakby był twoim kochankiem. Twoje pożądanie tej tkaniny jest silniejsze niż cokolwiek innego.

Amber sięgnęła po jedwab. Był piękny i taki rzadki. Taki okaz trafiał się raz na całe życie. Ale nigdy nie znajdzie się w jej posiadaniu, bez względu na to, jak bardzo go pragnęła.

Zatopiona w emocjach, upuściła z wrażenia jedwab na podłogę, kiedy Jean-Philippe rozpiął górę sukienki bez rękawów, który miała na sobie, po czym opuścił go, odsłaniając jej nagie ramiona i szyję.

Amber chciała się wyrwać, ale on pokręcił głową i powiedział szorstko:

- Tak musi być. Jedwab dotyka twojej nagiej skóry, kiedy ulegasz pożądaniu, a twoje zmysły w pełni pozostają pod jego kontrolą.

Czy to nie jej ojciec powtarzał, że jedwabiu należy doświadczać więcej niż jednym zmysłem? Amber zadrżała, kiedy poczuła na skórze jego

chłodny dotyk. Jedwab ułożył się w taki sposób, że jeden z wyhaftowanych smoków owinał się wokół krągłości jej piersi; gdyby Jean-Philippe chciał wytyczyć palcem jego kontury, musiałby dotknąć jej biustu. Jak zniosłaby taką zmysłowość - miękkość jedwabiu pod dotykiem twardej ręki artysty? Na twarzy i szyi Amber wykwitł gorący rumieniec. Jej pierś unosiła się gwałtownie z każdym urywanym oddechem, a oczy zapłonęły ciemnym blaskiem budzącego się pożądania. Amber przytuliła policzek do chłodnego materiału i zatopiła się w myślach.

- *Oui*. Dokładnie o to mi chodziło.

Triumfalne słowa Jeana-Philippe'a wyrwały Amber z zamyślenia. Wystraszyła się tego, co się dzieje, i uczuć, których doświadcza. Upuściła jedwab, odpychając go od siebie i podciągnęła górę sukienki.

W dwóch szybkich krokach Jean-Philippe znalazł się przed nią i złapał ją za ramiona.

- Rób tak, jak poprzednio. Było idealnie.

- Nie chcę tego robić. Chcę odejść.

- Nie możesz. Nie pozwolę ci.

Amber spojrzała mu prosto w oczy. To, co w nich zobaczyła, sprawiło, że potrząsnęła odmownie głową. Ale było już za późno. Jean-Philippe zaczął całować ją namiętnie.

Amber cała drżała. Była za słaba, żeby się ruszyć. Pozwoliła mu podnieść się z ziemi i zanurzyć dłonie w swoich włosach, gdy obsypywał jej twarz gorącymi pocałunkami.

- Widzisz, co ze mną zrobiłaś? Jaki urok na mnie rzuciłaś? Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem.

Niewinną uwodzicielką, która skradła mi serce i odebrała zdolność racjonalnego myślenia. Odkąd cię ujrzałem, myślę wyłącznie o tobie. Opętujesz mnie w nocy i kradniesz mi dni. Nie potrafię bez ciebie funkcjonować. Jesteś moim jedzeniem i piciem, całym moim życiem. Zobacz, jak z artysty stałem się przez ciebie zwykłym człowiekiem.

Jean-Philippe wziął Amber za rękę i dotknął ją miejsca, które widziała po raz pierwszy, gdy wychodził nagi z wody. Czowała, jak tętni życiową energią, a jej ciało odpowiada w ten sam instynktowny sposób. Z każdym nierównym oddechem towarzyszył jej niemal ból.

Nie wolno ci mówić takich rzeczy.

- Ach, co za szkoda, że namiętność, którą tak hojnie obdarzyła cię na-lura, musi kryć się za maską czegoś tak potwornego jak konwenanse. Jak mum cię uwolnić z tych okrutnych i bolesnych kajdan i jak sprawić, byś i ty czerpała z tego radość, moja najdroższa. Widzę, że drzysz i patrzysz nu mnie z niedowierzaniem, ale zapewniam cię, że to prawda. Zobacz...

Zanim zdążyła zareagować, Jean-Philippe zsunął górę jej sukienki, obnażając górną część jej piersi. Amber zdawało się, że kątem oka dostrzeg-łu jakiś ruch za oknem, ale gdy przyjrzała się bliżej, nikogo tam nie było.

Odwróciła się z powrotem do Jeana-Philippea, prosząc, żeby ją puścił, ule było już za późno. Schylił się i zaczął pieścić językiem jej ciało, przyprowadzając ją o dreszcz. Amber czuła, że traci nad sobą kontrolę i zaczyna mu się poddawać. Ogarnęła ją dzikość, której wcześniej nie знаła, a która teraz zawładnęła nią, pozwalając jej upajać się delikatnymi pociągnięciami jego zębów, kiedy Jean-Philippe bawił się materiałem przykrywającym biust Amber. W końcu ściągnął jej sukienkę i obnażył piersi w świetle poranka - perłowe ciało, uwieńczone różowymi sutkami, które zmarszczyły się i stwardniały pod jego dotykiem.

- Tak długo czekałem na ciebie, *ma chene*.

Jego słodkie słowa przesiąkły przez skórę Amber i wniknęły do jej samotnego serca.

- Pragnienie ciebie i czekanie, aż i ty mnie zapragniesz, doprowadzały mnie do obłędu.

- Nie wiedziałam.

- Nie wierzę. Musiałaś to zauważyć. Nie byłbym w stanie ukryć swoich uczuć, nawet gdybym chciał.

- Przerazałeś mnie.

- To obawy dziewicy, które w rzeczywistości bardziej wynikają z podniecenia niż z prawdziwego strachu. Śniłaś o mnie w nocy, *n'est-ce pas? Oui?* Śniłem ci się? Czy zabierałaś mnie do twego sekretnego miejsca, tu na dole, w swoich myślach i snach? Czy odgadłaś, jak bardzo pragnąłem, żebyś mnie zechciała, i wysyłałem ci pełne pożądania sygnały, leżąc samotnie w łóżku? Czy je odbierałaś? Czy śniłaś o mnie, leżącym w ciemności u twojego boku?

Może rzeczywiście tak było, lecz Amber nie chciała się do tego przyznać? Teraz, gdy jej ciało śpiewało i pragnęło jego dotyku, wydawało jej się niemożliwe, by o nim nie myślała. Nie wtedy, kiedy zwracał się do niej w ten sposób, jakby już łączyła ich miłość.

- *Vraiment*. Jesteś idealna. Moja wieczna muza, perfekcyjna w każdym calu. Chociaż ja, zwykły śmiertelnik, nigdy nie będę w stanie uchwycić tego ideału w taki sposób, w jaki teraz czyni to światło.

Amber zadrżała, kiedy jego dłonie błędziły po jej skąpanym w porannym świetle ciele, uwalniając je po kolei ze wszystkich ograniczających ruchy części garderoby.

Jean-Philippe posiadał wszystkie jej zmysły, zalewając je falą omdlewającej rozkoszy. A potem wziął ją w ramiona i zaniósł do łóżka.

Amber leżała na jedwabiu, zasłaniając nagie piersi. Materiał pieścił leniwie jej rozwarte uda. Przez na wpół zamknięte oczy widziała, jak Jean-Philippe pracuje przy sztaludze, szybko machając pędzlem. Był niemal całkiem nagi, nie licząc obciętych spodni, które miał na sobie także wczoraj. Słodko rozmarzona Amber przeciągnęła się niespokojnie na łóżku.

Jean-Philippe odłożył pędzel i podszedł do niej. - Jeśli nie możesz mnie posłuchać i musisz się ruszać, będziesz musiała za to zapłacić.

Jego głos zabrzmiał szorstko i nieco ochryple, sprawiając, że Amber zadrżała z rozkoszy, jeszcze zanim jego usta zacisnęły się wokół jej sutka, a dłoń potarła jedwab, który skrywał miękkie włosy porastające jej łono.

Jak mogła przypuszczać, że te palce są niezdarne i nieforemne? Ciało Amber uniosło się w nagłym przypiływie emocji, a z ust wydobył się krzyk, który przerwał dopiero pocałunek Jeana-Philippea, tak błyskawiczny, że Amber ledwie zdążyła go poczuć.

Jean-Philippe nalał Amber kieliszek czerwonego wina i patrzył, jak trunek plami jej usta i napętnia ciemne oczy zmysłowością. A potem powiedział, że musi wracać do pracy i że nie powinna go dłużej kusić.

Ale przecież to on kusił ją. Amber zaprotestowała zdyszonym głosem, kiedy Jean-Philippe odszedł znów od sztalugi, żeby poprawnie ułożyć jej

kończyny, po czym zatrzymał się na moment, by trochę się z nią podrażnić, wprawiając ją znów w tęskne drzenie.

- Dziś będziesz o mnie śniła, a jutro sprawię, że twój sen stanie się jawą - powiedział, zabierając jej wino i pomagając się ubrać.

Amber doszła do miejsca na krętej ścieżce, z którego nie było już widać ani domku Jeana-Philippe'a, ani jeszcze willi, gdy nagle z zarośli wyszedł Henry i zastąpił jej drogę.

- Henry! Byłam przekonana, że wyjechaliście razem z lordem Levingtonem dziś rano.

Zignorował jej słowa i odezwał się zachrypniętym głosem:

- Widziałem cię z nim. Widziałem, jak cię pieścił, a ty mu na to pozwalałaś. Dziwka!

Kiedy wykrzyczał jej to słowo prosto w twarz, na jego ustach pojawiła się ślina, a do oczu napłynęły łzy

Amber była przerażona. Próbowwała go wyminąć, ale Henry był szybszy. Złapał ją, powalił na ziemię i zaczął zdierać z niej ubranie, zasypując mokrymi pocałunkami odkryte części jej ciała. Zatrzęsła się z obrzydzenia.

- Henry, nie wolno ci tego robić.

Wiedziała, że musi przemówić mu do rozsądku. Jeśli tego nie zrobi, będzie zgubiona.

- Dlaczego? Jemu pozwoliłaś. Jesteś moja. Kochałem cię, a ty wszystko zniszczyłaś. Ty dziwko, dziwko!

Henry potrząsał Amber, uderzając jej głową o piaszczystą ścieżkę tak mocno, że zaczęła tracić świadomość.

- Powiem wszystko Jeanowi-Philippe'owi - ostrzegła go.

Henry puścił ją równie niespodziewanie i zataczając się, pobiegł ścieżką z powrotem w kierunku domu.

Zszokowana i zamroczona Amber łapczywie chwyciła ustami świeże powietrze, próbując doprowadzić do ładu włosy i ubranie. Nie mogła powiedzieć o tym incydencie matce Henry'ego. Nie uwierzyłaby jej. Nikt by jej nie uwierzył. Spojrzała w stronę domku i nie namyślając się długo, pobiegła w tamtą stronę. Ale na miejscu nie było śladu Jeana-Philippe'a.

Henry przyznał, że ich widział. Żołądek Amber wywrócił się na drugą stronę i zrobiło jej się niedobrze. Miała rację, kiedy zdawało jej się, że zauważyła poruszenie w oknie.

Na szczęście gdy wróciła do willi, udało jej się wśliznąć niepostrzeżenie bocznymi drzwiami. W swoim pokoju zdjęła ubranie i wzięła kąpiel, zanurzając się w gorącej wodzie i szorując dokładnie całe ciało.

Chciała być teraz w towarzystwie Jeana-Philippea, opowiedzieć mu, co zrobił Henry, i poczuć się znów bezpieczna.

Na szczęście kiedy Amber pozbierała się i zeszła na dół, Henry ego i jego ojca już nie było.

Po południu niania opiekująca się dziećmi przybiegła, żeby poinformować lady Levington, która siedziała razem z Amber, że mała Arabella poważnie zachorowała.

W ciągu godziny wezwano doktora. Arabella miała wysoką gorączkę i musiała zostać w łóżku. Amber dowiedziała się od pokojówki, że Arabella nieustannie płacze za matką i lady Levington nie chce jej opuszczać. Oznaczało to, że Amber jest skazana na siebie do czasu, aż dziewczynka wyzdrowieje.

Amber zapewniła służącą, że rozumie i że lady Levington nie powinna w ogóle się nią przejmować.

Lady Levington powiedziała później Amber, kiedy zeszła na dół, by ją przeprosić, a przy okazji wydać instrukcje służbie w kuchni odnośnie do specjalnej diety dla chorej, że dobrze się złożyło, iż Jean-Philippe zaproponował jej pozowanie do tego portretu. W przeciwnym razie byłaby bowiem samotna i znudzona.

Amber milczała. Cóż miała powiedzieć?

W jej głowie, tak jak w sercu, panowała zawierucha. Amber z trudem mogła uwierzyć w to, co się stało. W to, co czuła i czego pragnęła. W emocje, których teraz doświadczała. Wszystko było dla niej tak nowe i nieoczekiwane, że pozostawała cały czas w gorączkowym otumanieniu - w jednej chwili wznosząc się na wyżyny, by po chwili runąć w najczarniejszą otchłań. To, co zrobił Jean-Philippe, w oczach świata było niewątpliwie złe. Amber wiedziała o tym, lecz nie żałowała tego, co się stało. Zdarzenia, któ-

re rozegrały się w domku nad plażą, przechowywała w najgłębszym sanktuarium swoich myśli i uczuć. Dość niespodziewanie potrafiła teraz zrozumieć postępowanie Caroline i lekkomyślność Louise. Oczywiście jej sytuacja była inna. Kochała Jeana-Philippea, a on kochał ją. I nikt nie mógł im zabronić tego uczucia. Oni tylko uświadamiali sobie to, co i tak okazałoby się nieuchronne, ponieważ ich uczucie było zbyt silne.

Zona piekarza odrzuciła głowę do tyłu, udając, że nie wie, po co przyszedł Jean-Philippe. Ale on wiedział, że nie będzie się go zbyt długo wypierać, i miał rację.

Dziewica i płodna matka - będzie miał je obydwie i zadowoli każdą z nich. Jean-Philippe wszedł za Marianne do małej spiżarni za kuchnią, gdzie gospodyni trzymała różnego rodzaju własnoręcznie przygotowane ziołowe specyfiki lecznicze. Jedną ręką podciągnął jej spódnicę, a drugą zdjął bluzkę, jednocześnie pieszcząc ją energicznie i z wprawą palcami i wsadzając język do gorących i wilgotnych ust - dokładnie tak, jak za kilku chwil wetknie swój członek do jej szpary. I przez cały czas będzie myślał o Amber.

## Rozdział 20

Pozostawiona samej sobie, Amber spacerowała po skąpanym w słońcu ogrodzie wokół willi. Uśmiechała się, a jej ciało ogarniały fale szczęścia

A więc to jest miłość? Jeśli tak wygląda, to diametralnie różniła się od tego, czego Amber się spodziewała.

Oczekiwała czegoś zupełnie innego. Czy tak czuli się jej rodzice? Nigdy sobie tego nie wyobrażała ani nie próbowała odgadnąć. Namiętność, która ich łączyła, utrzymywali w sekrecie wyłącznie dla siebie. Amber nie sądziła, by kiedykolwiek jej się to udało. Miłość do Jeana-Philippea zawładnęła nią, stała się jej obsesją. Przejawiała się we wszystkim, co Amber robiła, i w tym, kim była, niczym moc płynąca ze słońca na nieboskłonie, docierająca w każdy kąt, rozświetlająca wszystko i zmieniająca cały krajobraz. Ta moc była tak wielka, że nie dało się przed nią uciec ani uniknąć jej uderzenia.

Gdy Amber zakochała się w Jeanie-Philippie, jej świat zmienił się z dnia na dzień. Wyobrażała już sobie ich wspólną przyszłość i łączącą ich miłość, która była w stanie pokonać wszelkie przeciwności losu, jakie bez wątpienia zgotowałyby im jej babcia. Zamieszkaliby w Paryżu, w apartamencie z widokiem na Sekwanę i wielkimi, wychodzącymi na północ oknami pracowni, gdzie oboje tworzyliby - on obrazy, a ona projekty tkanin.

Latem przyjeżdżaliby do Juan-les-Pins, by spędzić trochę czasu w domku, który pierwszy był świadkiem ich miłości. Amber z wielką dumą przedstawiłaby Jeana-Philippea lordowi Robertów, i Cecilowi. A co z Jayem? Nagle Amber zachmurzyła się. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić spotkania tych dwóch mężczyzn. Obaj pochodzili z zupełnie różnych światów. Jay był godny zaufania, lojalny i wiarygodny, a Jean-Philippe - dziki, temperamentny i nieprzewidywalny.

Jay należał do Macclesfield. Jean-Philippe - do słońca i Francji. Jay mógłby go nie zrozumieć ani nie docenić. Ale Amber szybko powtórzyła sobie w myślach, że Jay będzie zawsze jej przyjacielem. Nic tego nie zmieni. Nic.



Spacer po ogrodzie i rozmyślanie o Jeanie-Philippie sprawiały Amber ogromną przyjemność, choć tak naprawdę tęskniła za jego fizyczną obecnością. Teraz i na zawsze. Najchętniej rzuciłaby wszystko, by być teraz z nim. Każda chwila spędzona bez niego była dla niej czasem zmarnowanym. Ależ musiała być głupia, nie poznawszy się z początku na nim. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem z tego powodu.

Amber i Jean-Philippe musieli być razem. To było ich przeznaczenie. Przecież właśnie dlatego los zetknął ich w tak niezwykle sposób. Na samą myśl o tym, jak niewiele zabrakło, by nigdy się nie poznali, Amber przeszył dreszcz. Jean-Philippe, Jean-Philippe, Jean-Philippe. Nawet jego imię, szeptane skrycie, miało wielką moc - otwierało bramy jej serca i napawało zachwytem. Wypowiedziała je po raz kolejny, tym razem dodając jeszcze nazwisko, a potem swoje imię. Pani du Breveonet. Pani Amber du Breveonet, małżonka pana Jeana-Philippe a du Breveonet. Serce zatrzepotało radośnie w jej piersi.

Amber desperacko pragnęła oddać Jeanowi-Philippe owi całą siebie, swoją miłość, szczęście, przyszłość i oczywiście ciało.

Powiedziała mu to nazajutrz, popijając w ciemnej kuchni kawę, którą jej zrobił po skończonej pracy. A potem pocałował ją, błędząc w półmroku dłońmi po jej ciele.

- *Bien*, chodź ze mną - powiedział, biorąc ją za rękę. Zachwycona Amber dała się zaprowadzić po wąskich schodach na górę,

do sypialni. Pokój pachniał swoim lokatorem i snem. Ten zapach odurzał ją i osłabiał. Amber nie była już w stanie mu się oprzeć, nawet gdyby chciała.

Łóżko było wysokie i starodawne, a okna z pokoju wychodziły wprost na morze.

- Myślałem o tobie całą noc - wyszeptał jej do ucha, zdejmując z niej powoli ubranie. - Zaprzątasz moje myśli do tego stopnia, że nie mogę pracować. Liczysz się tylko ty i to.

Kiedy ją pocałował, dla Amber też nie liczyło się nic więcej.

Sposób, w jaki Jean-Philippe jej dotykał, przyprawiał Amber o zawrót głowy. Najbardziej elektryzujące doznania sływały falami w dół jej ciała, wynosząc ją na wyżyny rozkoszy niemal nie do zniesienia. Jego usta na jej

szyi, język muskający miękkie ciało za uchem i dłoń zakrywająca jej nagą pierś, a potem kciuk i palec wskazujący, które szarpały sutek - to wszystko wzbudzało w niej tak intensywne doznania, że Amber zdawało się że może je wszystkie w sobie pomieścić.

W dolnej partii jej ciała pojawił się ból - przewlekłe, silne uczucie które narastało z każdym dotykaniem Jeana-Philippe'a. Już sam jego oddech na jej ciele wystarczył, by Amber się podnieciła, i sprawiał, że miała ochotę wyciągnąć ręce i dotknąć go. Wdychać ciepły i pikantny zapach jego skóry, przycisnąć swoją rozpaloną twarz do jego piersi - z pożądania ale także ze skrepowania, po tym jak krzyczała z rozkoszy, kiedy Jean-Philippe dotykał ustami jej piersi.

- Skosztuj mnie – ponaglił ją delikatnie, po czym podniósł ręce i przycisnął twarz Amber do swej piersi. - To łatwe. Po prostu dotknij ustami mojej skóry

Gdy Amber zrobiła to i zadrżała od słodkawego smaku jego ciała, a włosy na torsie Jeana-Philippe'a połaskotały ją w usta, kochanek powiedział:

- A teraz zrób to samo językiem.

Amber była zdziwiona, kiedy odkryła, jaką przyjemność sprawia jej świadomość, że Jean-Philippe naprężył się i mamrocze:

- *Oui, chérie, oui...* a teraz niżej, aaaachhhh. *Oui... vraiment*, tak dobrze. Podążyła nieśmiało za jego instrukcjami, cały czas czując, jak pożądanie w dolnej partii jej ciała staje się coraz silniejsze i bardziej wymagające

Kiedy Jean-Philippe dotknął jej tam zmysłowo, rozsuwając palcami wargi sromowe, a potem pocierając delikatnie palcem wskazującym, krzyknęła, rozpalona z rozkoszy

- *Bien*, jesteś taka rozgrzana i wilgotna, gotowa na mnie, *ma petite*. Palec wskazujący Jeana-Philippe'a zataczał kręgi wokół miejsca tak

podatnego na jego dotyk i towarzyszącą mu rozkosz, że Amber zadrżała gwałtownie, pragnąc, by ten palec tam pozostał, zamiast wślizgiwać się do środka, choć i to było bardzo przyjemne, zwłaszcza kiedy Jean-Philippe zaczął pieścić ustami jej sutki i jednocześnie nie przestając delikatnie poruszać palcem.

Amber instynktownie zeszytywniała, doprowadzając Jeana-Philippe'a do śmiechu.

*Vraiment*, jeśli przytrzymasz mnie tak mocno, kiedy zamiast palca włożę ci tam mojego kutasa, uczynisz mnie najszcześniejszym mężczyzną pod słońcem. Ale najpierw musimy przygotować na to ten twój mały skarb, *n'est-ce pas?*

Po tych słowach zaczął znowu pieścić ustami jej sutki, jednocześnie wtykając palec coraz głębiej. Amber wypełniło nagłe palące pożądanie. Hol, który narodził się głęboko w niej, pulsował teraz gwałtownie. Z radością powitała doznanie wywołane rytmicznym ruchem palców Jeana-Philippea. Chciała jakoś odpowiedzieć, poddać się temu rytmowi, by rozkoszować się tym uczuciem jeszcze pełniej.

Jean-Philippe uniósł Amber nieznacznie, żeby móc podłożyć poduszkę pod jej biodra. Obserwowała go, drżąc lekko, na wpół otumaniona własnym pożądaniem, ale podniecona i niecierpliwie czekająca, aż dotknie jej znowu.

Zazwyczaj blada skóra na jej piersi oblała się potężnym rumieńcem podniecenia.

Jean-Philippe pocałował ją żarliwie, a potem, powoli i uporczywie, jego dłoń znów zawędrowała między jej nogi, dotykając i pieszcząc to wyjątkowe miejsce, które sprawiało, że ciało Amber wyginało się w łuk z rozkoszy.

Otworzyła szeroko oczy i stłumiła okrzyk, kiedy poczuła, że Jean-Philippe wchodzi w nią pewnie, wypełniając ją i rozciągając od wewnątrz. Całe jej ciało wypełniała rozkosz, kiedy Jean-Philippe poruszał się w niej. Ta rozkosz była jak tęcza - Amber chciała podążyć za nią na drugą stronę, skupić się tylko na tym, nie zważając na nic innego. Wtedy pojawił się fizyczny ból, przeszywający i ostry, lecz zanim Amber krzyknęła i chwyciła Jeana-Philippe'a za ramiona, ból już zniknął, a coraz szybsze pchnięcia zabrały ją w podróż, którą jego ciało już dobrze знаło, a jej ciało miało dopiero poznać.

Uczucie, kiedy Jean-Philippe wyprężył się, a potem zaczął nagle poruszać się coraz szybciej i mocniej, krzycząc przy tym z rozkoszy, zawstydziło Amber i jednocześnie sprawiło jej ból. Nie była już dziewicą, ale nie była też jeszcze kobietą, póki Jean-Philippe nie dotknął jej znowu i nie zaczął pieścić tego magicznego miejsca, przytrzymując ją i obserwując, jak jej podniecenie rośnie, aż wreszcie pęka niczym tama pod naporem wielkiej wody, wyciskając z ust Amber okrzyk podziwu i rozkoszy.

- Kocham cię - powiedziała nieśmiało Amber, gdy Jean-Philippe wziął ją w ramiona, po tym jak osuszył jej łzy z oczu i pocałował ją.

- Moja mała cnotka, która właśnie przestała być cnotką - zażartował z leżącej na poduszkach Amber, kiedy było już po wszystkim. - Teraz możesz się przespać - powiedział, szczerząc do niej w uśmiechu białe zęby, kontrastujące z jego oliwkową skórą. Barbarzyński korsarz, który dopadł i posiadał swoją ofiarę.

Kiedy Amber się obudziła, Jean-Philippe siedział ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i coś rysował.

- Co robisz? - spytała.

- Zachowuję to wspaniałe wspomnienie - odparł beztrąsko. - Nigdy nie zapomnę tego, co stało się dzisiaj.

- Rysujesz mnie w takiej chwili? - Z jakiegoś powodu zachmurzyła się. - Mogę zobaczyć?

- Nie ma co oglądać. To tylko kilka kresek, które mają dla mnie szczególne znaczenie. Lepiej tam zostań i zrób coś, żebym do ciebie wrócił.

To mówiąc, Jean-Philippe odłożył szkicownik i zbliżył się do Amber, która od razu zapomniała, że jeszcze przed chwilą była na niego zła.

Jakże była szczęśliwa - cudownie, magicznie i wyjątkowo. Nigdy nie sądziła, że życie może być tak wspaniałe. Po raz pierwszy od śmierci rodziców czuła się spełniona. Jean-Philippe pozbawił ją tkwiącej w niej pustki. Czasem, po tym jak się kochali, a on zasypiał, Amber kładła się obok niego i obserwowała go, przepelniona miłością. Czuła się wtedy tak szczęśliwa, że jej serce z trudem potrafiło unieść to szczęście.

Jean-Philippe powiedział, że oni są jak dwie połówki jabłka, a ich przeznaczeniem jest być razem. Jego słowa odzwierciedlały jej uczucia. Amber była przekonana, że w jakiś magiczny sposób to jej rodzice sprawili, że poznała Jeana-Philippea. Artystę, takiego jak jej ojciec, i mężczyznę, z którym mogła dzielić najgłębsze pokłady swojej duszy.

Nie rozmawiali jeszcze szczegółowo o swojej przyszłości. Nie było takiej potrzeby, ponieważ Amber była pewna, że są dla siebie stworzeni i nic nie jest w stanie ich rozdzielić. Nawet jej babka.

Jean-Philippe powiedział tylko, że zamieszkają w Paryżu, w apartamencie z widokiem na Sekwanę, i Amber wybuchnęła wówczas śmiechem, gdyż dokładnie o tym samym marzyła.

Planował wystawić *Córkę handlarza jedwabiem*, a krytycy mieli paść z podziwu nad jego kunsztem. Zapewniał Amber, że przyniesie mu ona szczęście, a wszyscy bogaci klienci zapragną kupić ten obraz. Jean-Philippe był taki rozradowany, podniecony i rozbawiony, kiedy przyciągał ją do siebie, całował i powtarzał w kółko, że ją kocha.

- Chciałabym, żebyśmy zawsze byli razem - powiedziała mu uroczyście, gdy leżała w łóżku w jego ramionach.

- I tak właśnie będzie - zapewnił ją wtedy. - Nie ma innej możliwości, ponieważ nie mógłbym bez ciebie żyć.

Dni miały błyskawicznie w oparach miłości i aurze odkryć, a radość przyłgnęła do Amber na stałe jak świecący obłok zachwyty.

Mała Arabella czuła się już lepiej i lady Levington opuściła w końcu jej pokój, nie przestając przeproszać Amber za to zaniechanie, jakiego dopuściła się w stosunku do niej.

Jean-Philippe stał się regularnym gościem na kolacjach w ich domu. Lady Levington traktowała go tak, jakby był jej własnym chrześniakiem.

Jego obecność wywoływała w Amber prawdziwą huśtawkę emocji, jakby przenosiła się stale z nieba wprost do piekła. Była to dla niej najśłodsza forma tortury. Niebiańskiej, ponieważ przebywali w tym samym pokoju.

Piekielnej zaś, gdyż - jak uprzedził ją Jean-Philippe - nieroztropne byłoby zdradzenie się z uczuciami. Gdyby bowiem prawda wyszła na jaw, hrabina Levington musiałaby położyć kres ich potajemnym schadzkom. Tymczasem ona była nadal przekonana, że Amber pozostaje pod opieką nieistniejącej gosposi Jeana-Philippe a, tak jak wymagały tego przyjęte konwenanse.

Amber uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie zaznała prawdziwego szczęścia ani nawet nie rozumiała, czym ono jest. Nie zdawała sobie leż sprawy ze swojej namiętnej natury. Wystarczyło, że od czasu do czasu wspominała w listach do babci i Jaya nazwisko Jeana-Philippe a, ograniczając się jedynie do informacji, iż towarzyszył jej tu i ówdzie, by poczuć, jak ogarnia ją fala niekontrolowanej rozkoszy

\*\*\*

Lord Levington, Henry i Beth mieli niebawem wrócić do Willi, lecz pewnego wieczoru, przed kolacją, Amber, która po skończonej toalecie szykowała się do wyjścia na spotkanie z Jeanem-Philippeem, zastała na tarasie zupełnie innego mężczyznę. Na jego widok z trudem powstrzymała się, żeby podbiec i rzucić mu się na szyję.

- Robert!

Jak wyjaśnił, zatrzymał się u przyjaciół w Cannes i nie mógł odmówić sobie przy okazji wizyty w Juan-les-Pins.

- Cecil nalegał, żebym ci o nim przypomniał.

Kiedy to powiedział, Amber wybuchnęła śmiechem i pokręciła głową.

- Jestem pewna, że nic takiego nie zrobił. Wie przecież, że nigdy bym o nim nie zapomniała. Jestem mu taka wdzięczna za wszystko, co dla mnie uczynił.

Lord Robert zabawiał właśnie Amber swoim opisem *mai de mer*, której doświadczył podczas rejsu z przyjaciółmi, kiedy na kolację przybył Jean-Philippe.

Serce Amber zadrżało z miłości i dumy, gdy hrabina Levington przedstawiła Jeana-Philippea lordowi Robertowi.

Chciała mu powiedzieć, jak bardzo kocha Jeana-Philippea, ale oczywiście nie mogła tego zrobić przy hrabinie.

- Teddy, właścicielką tej Willi jest matka chrzestna Jeana-Philippea - wyjaśniła lady Levington.

Lord Robert nagle zamarł, po czym szybko odwrócił wzrok i skupił się na gaszeniu papierosa.

- Jean-Philippe jest artystą - kontynuowała hrabina.

- Jeśli wolno spytać, który kierunek artystyczny jest panu najbliższy? - odezwał się lord Robert.

- Żaden. Staram się wyrobić sobie indywidualny pogląd i podążam własną ścieżką.

W jego głosie Amber usłyszała podrażnioną dumę. Odruchowo przysunęła się do Jeana-Philippea, obdarzając lorda Roberta dość gniewnym spojrzeniem.

Ku jej rozczarowaniu obecność lorda Roberta sprawiała, że nad kolacją zawisł cień jakiegoś trudnego do sprecyzowania napięcia. Desperacko

pragnęła, żeby lord Robert i Jean-Philippe przypadli sobie do gustu. Gdyby z jakichś względów okazało się to niemożliwe, lojalność nakazywała Amber trzymanie strony Jeana-Philippe a, jej pokrewnej duszy i kochanka. Po skończonej kolacji Jean-Philippe obwieścił, że musi wracać do domu. Zaraz po jego odejściu Amber również przeprosiła zebranych, tłumacząc się bólem głowy, tak żeby jak najszybciej pobiec za nim wąską ścieżką. Jean-Philippe czekał na nią w drzwiach swojego domku. Wciągnął ją do środka i zasypał ognistymi pocałunkami. A ona została z nim dużo dłużej, niż zamierzała.

W drodze powrotnej Amber powtarzała sobie, że to i tak nie ma żadnego znaczenia. Lady Levington na pewno z przyjemnością wykorzystała okazję, żeby mieć lorda Roberta tylko dla siebie, i zrobiła, co w jej mocy, by odmienić jego minorowy nastrój.

Dotarła już prawie do tarasu, kiedy z cienia na ścieżkę wyszedł lord Robert. Zatrzymała się w miejscu jak wryta. Zauważyła, że lord Robert pali papierosa i tak jak wcześniej przy kolacji, zgasił go, nie dokończywszy, jakby palił tylko dla zabicia czasu, czekając na nią. Ale to niemożliwe. Nie mógł przecież wiedzieć, że ona jest poza domem. Amber była zakochana w Jeanie-Philippie, ale doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że dla świata ich spotkania bez obecności przyzwoitek są czymś nieakceptowalnym. Nie mówiąc już o tym, jak grzeszny był ich fizyczny związek. Ale Amber nie żałowała tego nawet przez chwilę. W jej żyłach płynęła pełna namiętności i pasji krew rosyjskich imigrantów. Nie mogła nie okazać Jeanowi-Philippeowi swoich uczuć.

- Przespacerujemy się, Amber? Chcę z tobą porozmawiać. Najlepiej na osobności.

Ogarnęło ją złe przeczucie i chciała odmówić, ale lord Robert wziął ją już pod ramię i skierował się w stronę ścieżki prowadzącej w głąb ogrodu.

- Hrabina powiedziała mi, że pozujesz Jeanowi-Philippeowi do portretu.

- Tak - przytaknęła nerwowo.

- Jak sądzę, w trakcie tego pozowania Jean-Philippe opowiedział ci coś o sobie i swoim życiu.

Amber była zmieszana. Myślała, że lord Robert spyta ją o przyzwoitkę, i wiedziała, że nie będzie w stanie skłamać.

- Wiem, że podobnie jak ja stracił rodziców w młodym wieku i mieszka tutaj razem ze swoją matką chrzestną.

Amber usłyszała, jak lord Robert wypuszcza głośno powietrze z ust.

- Tak ci powiedział? Przedstawił ci panią de Wittier jako swoją matkę chrzestną?

Konsternacja Amber wzrosła.

- Tak. Dlaczego nie miałyby to być prawda? Potwierdził to też lord Levington, zaraz po naszym przyjeździe tutaj.

- Jesteście kochankami?

Pomimo panującego mroku Amber nie była w stanie ukryć przyspieszonego oddechu ani rumieńca, który oblał jej twarz.

- Tak, kochamy się - odparła z dumą.

- Chcesz powiedzieć raczej, że cię uwiódł.

- Chcę powiedzieć, że go kocham, a on kocha mnie.

- Jean-Philippe nie może cię kochać, Amber. A pani de Wittier nie jest jego matką chrzestną. To jego kochanka.

- Nie, to niemożliwe - zaprzeczyła Amber, potrząsając głową. - Jean-Philippe mnie kocha. Poza tym widziałam jej zdjęcie. To dojrzała kobieta, starsza od lady Levington.

- I to dużo starsza - zgodził się lord Robert - a mimo to dzieli z nim łóżko. A on wróci do niego, gdy tylko pani de Wittier przyjedzie z Paryża.

- Nie, to nieprawda. Zmyśliłeś to wszystko. Nie wierzę ci. Nigdy w to nie uwierzę... Jean-Philippe mnie kocha.

- Może i kocha. Jego związek z panią de Wittier ma podłoże wyłącznie ekonomiczne. Ona płaci mu za to, żeby dotrzymywał jej towarzystwa, nie tylko w łóżku. W pewnych warstwach społecznych to głęboko zakorzeniona tradycja. Starsza, bogata kobieta opłaca młodego, przystojnego mężczyznę, który zostaje jej kochankiem. Taki mężczyzna nazywa się żigolo. Ze względów formalnych pani de Wittier przedstawia Jeana-Philippea jako swojego chrześniaka, ale zapewniam cię, że w gronie jej przyjaciół wszyscy znają prawdę. Mówiło się o tym dużo w towarzystwie, z którym mieszkam w Cannes. Wygląda na to, że jedyny powód, dla którego Jean-Philippe jest



tutaj, a nie w Paryżu ze swoją sponsorką, jest taki, iż pani de Wittier bawilam ze swoimi purytańskimi krewnymi z Ameryki. Amber zemdlilo z niedowierzania. To nie może być prawda - powtórzyła. - Na pewno jesteś w błędzie. Twoim znajomym musiało chodzić o kogoś innego. Znam Jeana-Philippea. On nie... - Głos Amber załamał się z emocji.

- Bardzo mi przykro. Wolałbym ci tego oszczędzić.

- To też kłamstwo. Gdyby faktycznie tak było, nie powiedziałabyś mi o tym.

- Moje dziecko, nie miałem wyjścia. Nawet gdybym sam nie zauważył, jak spijasz z jego ust każde słowo i śledzisz każdy jego ruch z zauroczeniem w oczach, domyśliłbym się i tak, po tym jak moja matka chrzestna opowiedziała mi, że pozujesz mu do portretu. Oczywiście hrabina myli się tak jak i ty, gdyż ona również jest święcie przekonana, że Jean-Philippe jest chrześniakiem pani de Wittier.

- Powiedziałaś jej prawdę?

- Najpierw chciałem porozmawiać o tym z tobą.

- W takim razie masz tę rozmowę już za sobą. Ale i tak ci nie wierzę. Kiedy powiem o tym Jeanowi-Philippeowi, na pewno zaprzeczy twoim słowom.

- Nie wątpię. Ale gdy zaprzeczy, zrób coś - dla własnego dobra. Zapytaj go, czy byłby w stanie zaprzeczyć raz jeszcze w mojej obecności. Powiedzieć mi to w twarz. I nie patrz na mnie w ten sposób. Przysięgam, że mam na względzie wyłącznie twoje dobro, choć pewnie trudno ci w to uwierzyć.

Amber zachwiała się na nogach, rzeczywiście wciąż nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Jej świat - pełen obietnic i możliwości - legł w gruzach.

## Rozdział 21

Amber spała niespokojnie, choć tak naprawdę wolałaby nie spać w ogóle. Nawiedzały ją bowiem straszliwe sny, w których na drodze jej miłości z Jeanem-Philippeem stawał lord Robert i jej babka.

To, co powiedział jej lord Robert, było nieprawdą. Nie mogło być prawdą. Jego przyjaciele mylili się.

Była dopiero czwarta rano, ale Amber nie mogła już dłużej czekać. Ubrała się szybko, z trudem radząc sobie z guzikami i zapięciami.

Idąc w dół znajomą ścieżką, zadrżała od niespodziewanie chłodnej bryzy. Słońce dopiero wstawało nad wzgórzami za willą. I na pewno muskało swoim delikatnym złotym dotykiem pogrążone we śnie ciało Jea-na-Philippea.

Jean-Philippe nigdy nie zamykał drzwi do swojego domku. Amber wślizgnęła się do środka i oparła plecami o drzwi, próbując powstrzymać boleśnie galopujące serce. Dlaczego tak biło? Przecież nie miała się czego bać. Jean-Philippe ją kocha. Powtarzał jej to bez przerwy.

Nie snuli wprawdzie jeszcze żadnych konkretnych planów, ale Jean-Philippe mówił o ich przyszłości w sposób otwarty i z ekscytacją. O tym, jak zabierze ją do Paryża. O tym, jak będzie błagać jej babkę, by pozwoliła Amber za niego wyjść. Nie poruszałby tych kwestii, gdyby lord Robert miał rację.

Drewniane schody były stare i skrzypiały nawet pod stopami kogoś tak szczupłego jak Amber, jak gdyby niechętnie akceptowały jej obecność.

Drzwi do sypialni otworzyły się z łatwością. Do środka zaglądały pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Dokładnie tak jak się spodziewała, Jean-Philippe leżał na plecach, pogrążony we śnie, a promienie słońca zdobiły na złoto jego nagi, odkryty tors.

Amber czuła, jak przepelnia ją miłość do tego mężczyzny. Płynęła z każdego zakątka jej ciała - z każdej komórki i zakończenia nerwów - tak że całe było miłością i pulsowało w jej rytm.

Jean-Philippe był dla niej wszystkim. Potwierdzeniem uczucia, które kiedyś łączyło ją i jej rodziców, a także nadzieją na przyszłość.

Najwyraźniej odebrał sygnał, jaki wysłało do niego jej serce, bo uniósł powieki i uśmiechnął się, jak zwykle otwierając szeroko ramiona i czekając, aż Amber w nie wpadnie.

- Wcześniej dziś przyszłaś.

- Nie mogłam spać.

Jean-Philippe zaśmiał się szelmowsko, w sposób, który sprawiał, że serce Amber obijało się o żebra, a palce u stóp zwijały się w przeszywającym oczekiwaniu na rozkosz.

- Moja wrażliwa była cnotko, jesteś taka słodka i przepyszna. Żaden mężczyzna nie znużyłby się takim smakowitym daniem. Chodź do mnie.

- Chcę cię o coś zapytać.

Jean-Philippe ziewnął i przeciągnął się. Serce Amber niecierpliwie zatrzepotało w piersi. Musiała się powstrzymać, by nie podbiec i nie wpaść mu w ramiona, chciała zrobić cokolwiek, by nie pytać go o to, o co powinna.

- O co chodzi? - spytał lekko zaspanym głosem.

- Lord Robert twierdzi, że pani de Wittier nie jest twoją matką chrzestną. A ty jesteś jej żigolo.

Jean-Philippe odrzucił kołdrę, wstał i podszedł do niej.

- Co to ma znaczyć? - zażądał odpowiedzi gniewnym głosem. - Wierzysz w te jego kłamstwa? Myślałem, że mnie kochasz.

- Oczywiście, że cię kocham.

Amber była o krok od łez. Ulga mieszała się w niej z bólem, ponieważ go rozzłościła.

Kiedy Jean-Philippe zobaczył, w jakim stanie jest Amber, jego twarz złagodniała i wziął ją w ramiona.

- Jesteś dla mnie wszystkim. Przysięgam.

- Więc powiesz lordowi Robertowi, że się myli i że pani de Wittier jest twoją matką chrzestną?

Poczuła, jak jego ciało tężeje.

- Dlaczego miałbym z nim o tym rozmawiać? Czy moje słowo ci nie wystarczy?

Amber cofnęła się o krok i spojrzała mu w oczy, szukając w nich jakiejś wskazówki. Serce nadal waliło jej jak opętane.

- Pani de Wittier naprawdę jest tylko twoją matką chrzestną, Jeanie-Philippie?

- Nie muszę się przed nikim tłumaczyć. Jeżeli są na tym świecie ludzie, którzy błędnie postrzegają nasz związek, to jest to wyłącznie ich problem. Ja nic na to nie poradzę.

Amber zauważyła, że unika jej wzroku. Tak jak unikał bezpośredniej odpowiedzi. Do jej ciała zakradł się powoli oślizgły strach.

Jean-Philippe odwrócił się na chwilę, po czym spojrzał na nią.

- Amber, nawet jeśli to, co mówi lord Robert, jest prawdą, to czy ma to dla nas jakieś znaczenie? Pani de Wittier nie ma nade mną żadnej władzy, bez względu na to, co sama na ten temat myśli. Nie jestem jej własnością. Jestem wolnym człowiekiem. To nic między nami nie zmienia. Nikt nie jest w stanie tego zmienić.

To, co słyszała Amber, nie miało dla niej żadnego sensu, a jednocześnie było zupełnie oczywiste. Chciała wykrzyknąć mu prosto w twarz, że nie chce tego słyszeć. Ale nie potrafiła.

A więc to prawda. Lord Robert miał rację, a ona się myliła.

Kiedy zdążyło zrobić się tak zimno, że jej krew wydawała się zamieniać w lód? Lód, który zmroził jej serce i uświadomił straszliwą prawdę. Jean-Philippe, jej bóg w świecie ludzi, którego stawiała na piedestale swojej miłości, okazał się zwykłym śmiertelnikiem.

- Czyli to prawda? - Jej słowa zabrzmiały wyjątkowo spokojnie i łagodnie, w niczym nie przypominały rozhisteryzowanego głosu, który krzyczał i łkał w jej wnętrzu.

- Ona mnie oszukała. Zaproponowała pomoc, udając, że chce tylko, abym namalował jej portret. Potem sprowadziła mnie tutaj i odmówiła obiecanego zapłaty. Nie miałem wyboru. Ale to już skończone.

- Skoro tak, czy zostawisz to wszystko, jeszcze dzisiaj wyjedziesz ze mną do Paryża i zamieszkamy tam razem? - Amber przycisnęła go delikatnie, w jej głosie nie było żadnej namiętności, nadziei ani przekonania, znała już bowiem odpowiedź.

Nie mogę wyjechać, dopóki nie zapłaci mi tego, co jest mi winna. To wiedźma, która zadręcza mnie i każe mi tańczyć tak, jak sama mi zagra. *Mon Dieu*, nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo jej nienawidzę. Ale kocham cię, moja słodka Amber. Przysięgam, że cię kocham.

Amber wróciła tą samą drogą, którą tu przyszła.

Na ścieżce przed nią pojawił się raptem lord Robert. Przyglądał jej się, czekał na nią, a kiedy załamała się, objął ją mocno i przytulił.

- Przykro mi. Tak bardzo mi przykro - powiedział. - Gdybym mógł, oszczędziłbym ci tego. Znam dobrze to uczucie, kiedy miłość oznacza jedynie cierpienie.

- Muszę wracać do domu.

- Zaczekaj chwilę. Chcę z tobą jeszcze o czymś porozmawiać. Mam dla ciebie propozycję, którą chciałbym, żebyś rozważyła.

Wziął ją pod ramię i nie miała wyjścia, jak tylko pójść z nim.

- Chcę, żebyś za mnie wyszła.

## Rozdział 22

- Wyjść za ciebie? Nie rozumiem. Dlaczego miałabym to zrobić? Przecież mnie nie kochasz i nie ma żadnego powodu...

- Otóż jest powód. Muszę się ożenić przed trzydziestymi urodzinami, jeżeli chcę odziedziczyć fortunę mojego dziadka ze strony matki, którą dla mnie zostawił. I chociaż faktycznie cię nie kocham, ponieważ moja natura nie pozwala mi darzyć fizycznym uczuciem jakiegokolwiek kobiety, muszę przyznać, że bardzo mi na tobie zależy, Amber. Nie ukrywam też, że kwestia tego spadku spędza mi ostatnio sen z powiek. Ale dopiero wczoraj wpadłem na taki pomysł. Teraz im więcej o tym myślę, tym sensowniejsze mi się to wydaje. Potrzebuję żony, by odziedziczyć rodzinną fortunę, a ty męża z tytułem, żeby zadowolić swoją babkę i ochronić własną reputację.

Amber zadrżała. Gdy Robert wspomniał o jej reputacji, zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła. Wystarczyło przypomnieć sobie komentarze Beth na temat Louise i śmierć Caroline Fitton Legh, żeby zrozumieć, co ją czeka w sytuacji, gdyby jej romans z Jeanem-Philippeem wyszedł na jaw.

Szczerść kazała jej jednak powiedzieć łamiącym się głosem:

- Ale przecież możesz ożenić się z każdą inną kobietą.

- Nie, Amber. Nie mógłbym. Oczywiście wielu mężczyzn takich jak ja żeni się i wprawdzie niechętnie, ale dochowuje swoich obowiązków małżeńskich. Dla mnie byłoby to nie do zaakceptowania. Czuję fizyczną odrazę. Będę z tobą szczerzy, Amber. Lubię cię i podziwiam, a nawet kocham jak przyjaciółkę, ale nigdy nie będę dla ciebie odpowiednim mężem. Mogę ci to powiedzieć, ponieważ znasz naturę mojego pożądanego. A ponieważ wiem teraz, że oddałaś już swoje serce innemu, jestem pewien, że nie grozi nam to, iż zakochasz się we mnie. Wierz mi, wiem, co czujesz. Sam musiałem stawić czoło takiemu bólowi. Miałem wrażenie, że życie się skończyło i nic już nie ma dla mnie sensu. Pewnie wydaje ci się, że nie

może być już nic gorszego niż rozpacz, którą teraz czujesz. Ale zapewniam cię, że może. Czy zastanawiałaś się nad konsekwencjami ujawnienia twojego romansu z Jeanem-Philippeem? Na przykład gdyby okazało się, że nosisz w sobie jego dziecko? Amber zadrżała.

- Nie możemy sobie pozwolić na zwłokę. Musimy wziąć ślub tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Chcesz powiedzieć, że ożeniłbyś się ze mną nawet wtedy, gdybym była w ciąży z Jeanem-Philippeem?

- Zapewniam cię, że tak.

- Ale jeśli rzeczywiście miałabym urodzić dziecko, i do tego jeszcze chłopca...

- Wtedy zyskałbym spadkobiercę i bardzo bym się z tego cieszył. A już na pewno ucieszyłby się mój dziadek, gdybym mu powiedział, że jesteś brzemienna.

Dopóki lord Robert nie wspomniał o dziecku, Amber nie traktowała jego propozycji poważnie. Wydawało jej się to niemożliwe, że mogłaby go poślubić. Ale teraz do jej serca zakradł się nowy, bardzo realny strach, który nasilił agonię uczuć, jaką wywołała w niej zdrada Jeana-Philippea.

Słońce świeciło nad plażą i było już za późno na wprowadzenie w czyn planu, który zakiełkował w głowie Amber po wyjściu z domu Jeana-Philippe'a. Pod osłoną mroku chciała zejść na plażę, rzucić się w morze i utonąć razem ze swoimi smutkami.

Willa powoli budziła się do życia i Amber wiedziała, że wkrótce zaczną jej szukać. Jak ktoś budzący się ze snu z przerażającą pewnością zdała sobie sprawę z ryzyka, jakie podjęła, i niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła.

- Biedne dziecko - powiedział do niej łagodnie lord Robert. - Życie jest takie okrutne, zwłaszcza dla bohaterkich i niewinnych. Ale nie musi być takie, jak się obawiasz. Poradzimy sobie ze wszystkim. Ty i ja. Małżeństwo ze mną da ci wolność wyboru, co zrobić ze swoim życiem, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku.

- Będę mogła studiować projektowanie graficzne? Lord Robert przytaknął.

- Jeśli tylko zechcesz. W sercu Amber pojawiła się nadzieja, by po chwili jednak zgasnąć.

- Ale przecież nie możemy tak po prostu się pobrać. Nikt się na to nie zgodzi. Lady Levington...

- Zapewniam cię, że gdy poinformuję dyskretnie moją matkę chrzestną, iż zadurzyłem się w tobie podczas pobytu w Londynie i po tak długiej rozłące, ubiegłej nocy, moje uczucie rozgorzało ze zdwojoną mocą, hrabina zrozumie mnie i przychyli się do tego, aby ślub odbył się niezwłocznie. Porozmawiam z ambasadorem w Paryżu. Uważam, że powinniśmy wziąć ślub właśnie tam, na specjalnych zasadach. Jestem pewien, że twoja babka również będzie zachwycona, kiedy dowie się, że wychodzisz za spadkobiercę tytułu książęcego, i nie tylko da nam swoją zgodę, ale i błogosławieństwo. Podejrzewam jedynie, że problemem może okazać się Henry Henry!

- Co się stało? - spytał lord Robert, kiedy ujrzał wyraz jej twarzy. Amber nie chciała mu powiedzieć, ale była zbyt szczerą, by to przed nim ukrywać.

- Skrzywdził cię? Groził ci? Jeśli tak, możesz być pewna, że więcej tego nie zrobi.

Amber zadrżała. Kiedy zdała sobie sprawę z troskliwości lorda Roberta, mało się nie rozplakała. Ale bardzo bolała ją zdrada Jeana-Philippe'a. To on miał ją bronić przed Henrym.

Uświadomiła sobie jednak, jak wielkie szczęście w nieszczęściu ją spotkało. Lord Robert oferował jej bardzo dużo: swój tytuł i nazwisko oraz finansowe bezpieczeństwo - dla niej i dla dziecka, gdyby się pojawiło. Amber pomyślała znowu o Louise i Caroline Fitton Legh, a także o Henrym. Wiedziała już, że powinna podjąć jedynie słuszną decyzję i przystać na propozycję lorda Roberta. Kto inny mógłby jej pomóc? Na pewno nie babka.

Ale część jej duszy nadal rozpaczała za tym, co w tak okrutny sposób wymknęło jej się z rąk. To, że sprawy przybrały taki obrót, wydawało jej się Amber niemożliwe. Jeszcze wczoraj o tej porze wiązała swoją przyszłość tylko z Jeanem-Philippe'em.

Lord Robert, jakby czytając w jej myślach, powiedział łagodnym tonem:



Wszystko będzie dobrze, obiecuję. - Wziął Amber za rękę i uściśnął pocieszająco. - Lepiej wracajmy do domu i ogłośmy naszą decyzję mojej malce chrzestnej.

Manche przeczytała list od lorda Roberta dwukrotnie. Dostała go razem z poranną pocztą, w której znalazły się także listy od Amber i Grega. Nie zdążyła ich jednak jeszcze przeczytać. Wpadający przez otwarte okno lekki wiatr poruszył delikatnie leżącymi na biurku kartkami papieru, mimo że list lorda Roberta był gruby. Blanche odruchowo sięgnęła ręką i dotknęła go. Zamarła, kiedy uświadomiła sobie, że drżą jej palce.

Wiadomość o tym, że lord Robert chce poślubić Amber, zaskoczyła ją kompletnie. To było więcej, niż kiedykolwiek mogła się spodziewać - takie małżeństwo miało same zalety nie tylko dla Amber, ale także dla całej rodziny. Nawet jeśli lord Robert przedstawił jej swoją decyzję, stawiając ją bardziej przed faktem dokonanym aniżeli oficjalnie prosząc o rękę wnuczki.

Każda wątpliwość, jaka mogła się zrodzić w głowie opiekunki prawnej panny młodej, spotkała się ze zrozumieniem i została z góry wyjaśniona. Lord Robert załączył wyciągi z kont bankowych przygotowane przez jego bankierów, tak żeby Blanche mogła sprawdzić jego stabilność finansową. W korespondencji znalazły się także: list uwierzytelniający od brytyjskiego ambasadora, który potwierdzał tożsamość lorda Roberta, dokument prawny dotyczący jego zobowiązań materialnych wobec Amber i zapewnienia jej przyszłości oraz deklaracja lorda Roberta, że Amber wychodzi za niego z własnej woli i o ile mu wiadomo, jest z tego powodu równie szczęśliwa jak on. W liście zabrakło jedynie zaproszenia dla Blanche na wesele.

„Doszliśmy oboje do wniosku, że najistotniejsze jest, abyśmy stali się małżeństwem tak szybko i bez rozgłosu, jak to możliwe. Bez niepotrzebnego zamieszania, a co ważniejsze, bez zwłoki”.

Dla Blanche był tylko jeden możliwy powód takiego pośpiechu: albo wiedzieli już, że Amber jest w ciąży, albo podejrzewali, że może spodziewać się dziecka.

Blanche miała nadzieję, że chodzi o tę drugą możliwość. Oczywiście nie mogła tego napisać i zapytać wprost. Ale jeśli miała rację, a Amber

i Robert zostali już kochankami, to faktycznie pośpiech był jak najbardziej wskazany - dla dobra młodej dziewczyny Duma Blanche, która nie została zaproszona na ślub własnej wnuczki w Paryżu, mogła zostać zraniona. Ale nawet jeśli tak było, to z pewnością nie miała ona zamiaru dać komukolwiek tego po sobie poznać. Sięgnęła po list od Amber, otworzyła go i przeczytała szybko. Amber poinformowała ją, że wychodzi za mąż, i prosiła babkę by przeczytała list od lorda Roberta, w którym znajdują się wszystkie praktyczne szczegóły tego przedsięwzięcia. Dalej Amber pisała:

„Mam nadzieję, że wybaczysz nam pośpiech, z jakim to wszystko musi się odbywać. Ale jestem pewna, że gdy poznasz Roberta, z radością przyjmiesz go do grona naszej rodziny i będziesz tak szczęśliwa z tego małżeństwa jak ja. Kocham i szanuję Roberta. Wierzę, że nam się ułoży. Biorąc pod uwagę tytuł Roberta, ufam, że spełniłam nadzieje, które we mnie pokładałaś”.

Istotnie, nie mogła temu zaprzeczyć. Jej wnuczka miała zostać księżną Blanche wstała zza biurka i podeszła do okna. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie w wieku Amber, szaleńczo zakochaną w Barrancie de Vries. Jaki list napisałaby do swojego ojca, gdyby Barrant nalegał na poślubienie jej w tak krótkim terminie? Na pewno nie tak spokojny i utrzymany niemal w tonie biznesowym.

Przypomniała sobie, że pełna pasji i namiętności miłość do Barranta nie przyniosła jej szczęścia, lecz ból. Zrobiła więc dla Amber to, co uważała za stosowne, żeby uniknęła cierpienia, jakie ją spotkało.

Spojrzała w stronę drzwi swojego gabinetu. Jay wróci lada chwila. W nocy zdechł stary pies myśliwski jego dziadka i pojechał go pochować na cmentarzu dla zwierząt w Denham. Znajdowały się tam kamienie z wyrytym, imionami psów, koni, a nawet papugi, zwierząt, które towarzyszyły mieszkańcom Denham od pokoleń. Blanche coraz częściej zwracała się do Jaya w najróżniejszych sprawach. Nie dlatego, że ceniła sobie jego rady - nigdy nie przyznałaby się do takiej słabości, za jaką uważała prośenie kogokolwiek o radę - lecz dlatego, że Jay miał głowę na karku

i był nieporównywalnie lepiej poukładany niż Greg, zwłaszcza jak na kogoś z. rodu de Vries. Jay bez wątpienia wrodził się w męską część swojej rodziny i to po niej odziedziczył inteligencję.

Blanche nie ukrywała, że na początku zatrudniła Jaya po to, żeby upokorzyć Barranta. Ale z czasem Jay zdobył jej zaufanie swoją pracowitością, wnikliwością i pewnością siebie.

Miała już pójść go poszukać, gdy przypomniała sobie, że nie przeczytała jeszcze listu od Grega.

Był długi i rozwlekły, wypełniony w równej mierze uskarżaniem się na Henry ego Jardine a, jak pochwałami pod adresem „mojego serdecznego przyjaciela Lionela Sheptona”.

Greg, jak pisał, znudził się Hongkongiem. Planował wizytę w Szanghaju, ale nie miał już pieniędzy. Udzielił pożyczki przyjacielowi, który nie otrzymał funduszy w spodziewanym terminie, i teraz sam desperacko potrzebował wsparcia materialnego, więc prosił o nie w liście. Blanche westchnęła. Jej plany wobec Amber wydawały się zmierzać w stronę szczęśliwego finału. Ale w wypadku Grega sytuacja wyglądała zgoła inaczej.

Jay oparł się na łopacie. Zapowiadał się gorący dzień. Słońce już rozganiało rzadką mgłę, która zalegała w dolinie u stóp Denham i Jay czuł na twarzy ciepło jego promieni.

Obudził się w nocy, wiedziony jakimś dziwnym przeczuciem, i poszedł sprawdzić, jak się miewa stary pies. Okazało się, że czeka na niego podniósł łeb i spojrzał ledwie widzącymi oczami, po czym z trudem po raz ostatni zamierdał ogonem, odpływając w objęcia śmierci. Jay głaskał go do samego końca.

Pies nie należał do niego, ale to nie miało znaczenia. Spędzili te ostatnie miesiące razem i pies, który był miłym i dobrze wychowanym zwierzęciem, zaczął, żeby pożegnać się z nim.

Jay mógł mu się zrewanżować jedynie takim samym szacunkiem. Pochował go wśród innych psów, w ustronnym miejscu, oznaczając grób kamieniem, na którym wyrył jego imię. Kiedy wracał do domu, wiedział, że będzie mu brakowało towarzystwa tego psa.

\*\*

Pocztą nadeszła pod jego nieobecność i serce Jaya podskoczyło w nagłym przypływie emocji, kiedy zobaczył odręczne pismo Amber. Już sam jego widok po przykrym obowiązku, jaki musiał spełnić, stanowił dla niego niemal taką samą ulgę, jak słowa pocieszenia, które z pewnością Amber by dla niego znalazła.

Tylko w chwilach słabości Jay pozwalał sobie na emocjonalny luksus myślenia o Amber w tak osobisty sposób - jako o kobiecie, którą kochał i będzie kochać zawsze. Od samego początku wiedział, że to uczucie nie ma szans, i bez względu na to, jakim szacunkiem Blanche darzy go jako zarządcę swojego majątku, nigdy nie pozwoli mu zalecać się do swojej wnuczki. Gdyby odkryła, że on coś czuje do Amber, prawdopodobnie od razu by go zwolniła. Wiedząc o tym, a także mając świadomość, że nie jest w stanie dać Amber tego wszystkiego, na co zasługuje, Jay pilnował się, żeby nie powiedzieć ani nie zrobić nic, co mogłoby sprawić, że pomyślałaby o nim jak o kimś więcej niż tylko przyjacielu.

Jay nie był aż tak próżny, by sądzić, że Amber mogłaby zakochać się w nim tylko dlatego, iż on kochał ją. Ale była młoda, wrażliwa i gotowa zwrócić się do niego po pociechę - i w efekcie dać sobie łatwo wmówić, że to, co do niego czuje, jest miłością. Jednak byłoby to wobec niej nie w porządku, nawet gdyby Blanche dała przyzwolenie. Amber była jeszcze bardzo młoda i niewiele wiedziała o życiu. Jay miał nadzieję, że gdy przyjdzie czas, a ona zakocha się i wyjdzie za mąż, on sam znajdzie w sobie tyle siły, by usunąć się w cień i cieszyć jej radością. Jak na razie musiał zadowolić się słodko-gorzka przyjemnością, jaką sprawiały mu jej listy i zaufanie, jakim go obdarzała. Jego wygłodniałe serce czerpało z nich pożywienie.

Jay otworzył list i usiadł, żeby go przeczytać.

„Drogi Jayu, piszę, żeby cię poinformować, iż wychodzę za mąż za lorda Roberta”.

Szok, jaki wywołały w nim te słowa - tak nieoczekiwane i niemile widziane - był jak cios prosto w serce. Zanim Jay zdał sobie sprawę z tego, co robi, zmiął list w ręce. Dopiero po chwili spojrzał na kulkę papieru, którą trzymał w kurczowo zaciśniętej dłoni, odłożył ją na biurko i drżącymi palcami zaczął rozprostowywać.

Przeczytał list raz, aż w końcu - z potwornym bólem - zrozumiał prawdziwy powód decyzji Amber, mimo iż nie został on wypowiedziany wprost. Zakochała się w kimś innym i została przez niego zdradzona. A lord Robert ratował ją przed konsekwencjami tej nieszczęśliwej miłości. Był jej wybawcą, a ona była mu za to wdzięczna. Jedno zdanie, które odnosiło się do historii lady Fitton Legh, jej poniżenia, a później śmierci, podpowiedziało Jayowi, czego tak naprawdę obawia się Amber. Pisała tak:

,Wiem, że będziesz tym zszokowany Jestem bardzo zawstydzona i zrozumiem, jeśli zasypiesz mnie teraz różnymi zarzutami. Ale mam szczęście, że lord Robert zobowiązał się ratować mnie przed konsekwencjami mojej głupoty. Zrozumiem też, jeżeli nie będziesz chciał mieć ze mną nic wspólnego, gdyż wiem, że zachowałam się niegodnie". Jay poczuł niemal namacalnie jej ból. Jego kochana, najdroższa Amber. Rozumiał doskonale, dlaczego jest wdzięczna lordowi Robertowi. I wiedział też, że oddałby wszystko, by to on mógł zaofiarować jej pomoc w tej sytuacji.

Wstał, podszedł do kominka i rzucił list Amber na pastwę płomieni. Patrzył, jak papier płonie, tak jak płonął w jego sercu ból powodowany miłością do niej.

Kiedy Jay wrócił do biurka, do jego gabinetu wkroczyła Blanche Pickford. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, był brak koszyka dla psa.

- Amber wychodzi za mąż - powiedziała, darując sobie jakikolwiek wstęp.

Jay tylko skinął głową. Nie był w stanie się odezwać.

- Lord Robert napisał do mnie, że chcieliby wziąć ślub jak najszybciej, w brytyjskiej ambasadzie w Paryżu. Nie mam czasu na to, żeby wziąć udział w ich weselu. Chciałabym jednak upewnić się, że referencje lorda Roberta są tak doskonale, jak sam twierdzi.

Czy powinien powiedzieć Blanche o orientacji seksualnej lorda Roberta? Co mógłby w ten sposób osiągnąć? Nie chciał wyrządzić Amber żadnej krzywdy W swoim liście dała mu wyraźnie do zrozumienia, że

potrzebuje teraz ochrony i poważania ze strony swojego męża, więc każ dy krok, który mógłby uniemożliwić lub opóźnić to małżeństwo, nie leżał w jej interesie. W końcu Amber też знаła tajemnicę lorda Roberta, a mi mo to go lubiła.

Jay zdał sobie sprawę, że zabraknie mu nie tylko towarzystwa starego psa, ale także dawnych, niemożliwych do spełnienia marzeń.

Dwa tygodnie po oświadczeniach Amber i lord Robert wzięli ślub na spe cjalnych zasadach w kościele Świętego Michała w Paryżu - oficjalnej świątyni ambasady brytyjskiej. Amber miała na sobie ślubną suknię od Vionnet, wyszywaną perłami i małymi diamentami, oraz tradycyjną koronkową woalkę, którą od wielu pokoleń nosiły panny młode z rodu Deve-nish, a którą teraz przysłano kurierem do ambasady brytyjskiej w Paryżu razem z klejnotami rodzowymi.

Honory ojca panny młodej pełnił lord Levington. Beth, ubrana w nieco skromniejszą wersję sukienki Amber w przyjemnym kolorze lawendowym, wzięła na siebie obowiązki drużny. W rolę drużby pana młodego wcielił się zaś młody dyplomata z ambasady.

Beth, ku uldze Amber, była podniecona faktem, że jej przyjaciółka wychodzi za lorda Roberta. Co więcej, żartowała nawet, że od początku wiedziała, jak to się skończy.

Amber uznała, że łatwiej - i bezpieczniej - będzie nie wyprowadzać jej z błędu.

Wszyscy byli zgodni, że w trakcie ceremonii Amber była zaskakująco spokojna. Tylko ona wiedziała o tym, że mało nie wybuchnęła płaczem, kiedy usłyszała najważniejsze słowa nieśmiertelnej przysięgi małżeńskiej rozbrzmiewające w niesamowitej ciszy kościoła. Był to dla niej niezwykle bolesny moment, w którym za wszelką cenę pragnęła pocieszenia ze strony swoich rodziców.

A może ze strony Jeana-Philippea? Zadała sobie w duchu to pytanie, gdy lord Robert wsunął jej na palec obrączkę. Nie! Jean-Philippe ją okłamał i zdradził. Kochała go, ale to już przeszłość. Mimo to nie potrafiła go nienawidzić tak, jak jej babcia nienawidziła Barranta de Vries.

Nie widziała Jeana-Philippe'a od czasu tej okropnej awantury, gdy zażądała od niego, by potwierdził lub zaprzeczył słowom lorda Roberta. Woląca, żeby tak pozostało. Nie miała ochoty już nigdy go oglądać. Szczerze powiedziawszy, wolałaby zapomnieć, że kiedykolwiek go poznała.

Czy jej babcia była tak samo wdzięczna Henry'emu Pickfordowi, jak ona Robertowi? Amber nie chciała, by cokolwiek w życiu łączyło ją z Manche.

Robert nachylił się i musnął jej usta swoimi łagodnymi ciepłymi wargami. Byli małżeństwem. Dokonało się. Amber była bezpieczna.

Robert prowadził ją od ołtarza główną nawą, podczas gdy cały kościół lozbrzmiewał triumfalnymi dźwiękami organowej muzyki Haendla.

Mimo iż święte miejsce, w którym się znajdowali, nie sprzyjało takim rozmyślaniom, Amber przypomniała sobie nawiedzające ją okropne koszmary z Caroline Fitton Legh w roli głównej. Ależ ona musiała się czuć, opuszczona przez Grega i porzucona przez męża. Jaką potworną cenę przyszło jej zapłacić.

Amber mogła uważać się za prawdziwą szczęściarę. Robert ocalił ją przed wstydem i hańbą, jakich doświadczała obecnie Louise, a być może także przed jeszcze gorszym losem, takim jaki spotkał Caroline Fitton Legh, a który mógł zgotować jej beztronski Jean-Philippe. W takich okolicznościach to zawsze kobieta płaci najwyższą cenę, nie mężczyzna.

Nigdy nie zapomni tego, co zrobił dla niej Robert, i nigdy nie przestanie okazywać mu wdzięczności. Amber przysięgła to sobie solennie i złożyła wobec samej siebie uroczyste śluby, że od teraz jej miłość i lojalność będą wyłącznie do Roberta.

Drzwi kościoła zostały otwarte na oścież, by wpuścić do środka jak najwięcej słońca i utorować drogę nowożeńcom.

Amber, pochłonięta własnymi emocjami, obróciła się i spojrzała na Roberta. Jej serce wypełniała wdzięczność.

Właśnie ten moment uchwycił aparat fotograficzny Cecila. Jak na utalentowanego fotografa przystało, Cecil Beaton wykonał zdjęcie, które obiegło później rubryki towarzyskie brytyjskich gazet rozpisujących się na temat ich ślubu.

Młoda dziewczyna patrząca z zachwytem w twarz swojego świeżo poślubionego męża. Kogo len widok nie byłby w stanie poruszyć?

Po ceremonii w kościele ambasador wydał dla nowożeńców uroczyste śniadanie na terenie ambasady. Mimo iż lord i lady Levingtonowie z pozoru okazywali im wiele życzliwości, Amber podejrzewała, że żadne z nich, a szczególnie hrabina, nie akceptuje tego małżeństwa. Przecież uważała Amber za niegodną własnego syna. A Robert, jako książę, znajdował się znacznie wyżej wśród arystokracji od Henry'ego.

Lady Levington nie dała jednak tego po sobie poznać i zrobiła wszystko, co w jej mocy, by pomóc zorganizować ślub. Mimo to dało się odczuć między nimi wyraźny dystans i Amber przypuszczała, że podobnego chłodnego przyjęcia powinna się spodziewać ze strony innych.

W oczach świata lorda Roberta Amber postąpiła bardzo rozsądnie, wychodząc za niego, mimo iż wiązało się to z zawiścią i odrzuceniem przez matki panien na wydaniu z dobrych domów. Amber była tolerowana, dopóki była tylko „koleżanką Beth ze szkoły”. Teraz jako żona lorda Roberta była stale narażona na różne subtelne formy wrogości ze strony tych, którzy uważali się za lepszych od niej, a których teraz - dzięki temu małżeństwu - przegoniła w wyścigu na szczyt drabiny społecznej hierarchii.

Amber przyznała, że jest to jej najmniejsze zmartwienie. Poczowała ulgę, kiedy Henry zdecydował się zostać z przyjaciółmi, zamiast fatygować się do Paryża. Nie chciała wracać pamięcią do tego, jak się zachował. Robert ostrzegł Henry'ego, by dla swojego dobra nie pisał nawet słówkiem o Amber i Jeanie Philippie, i zapewnił Amber, że - mając na względzie swoje haniebne zachowanie - Henry nie odważy się puścić pary z ust.

Robert poinformował ambasadora, że nie życzy sobie żadnych uroczystych obchodów, lecz i tak nie dało się uniknąć toastów, okolicznościowych kartek i prezentów weselnych.

Wśród kartek z życzeniami Amber znalazła jedną od Jaya, który życzył jej wszelkiej pomyślności.

Kochany Jay Amber bardzo go lubiła. Był dla niej prawdziwym przyjacielem i kimś, komu zawsze mogła ufać. Nie zabrakło także kartki od babci, adresowanej do obojga państwa młodych, wraz z typowo dla niej chłodnym listem, w którym Blanche pisała, że czeka na nich po powrocie i ma nadzieję w końcu poznać Roberta.



Uroczystość trwała dłużej, niż Amber się spodziewała, dlatego poczuła ulgę i wdzięczność, kiedy lord Robert zasugerował dyskretnie, że na nich już czas.

Spędzili w Paryżu tydzień po ślubie. Zatrzymali się w hotelu George V, udzie mieli do dyspozycji apartament tak wielki, że ich sypialnie były oddzielone dwoma salonami. Levingtonowie wrócili do Juan-les-Pins, a Cecil Beaton wyjechał do Londynu.

W trakcie pobytu w Londynie i na Riwierze Francuskiej Amber dowiedziała się, że wśród arystokracji istnieje powszechny zwyczaj, iż małżonkowie mają osobne sypialnie. Nawet Diana Guinness miała własną sypialnię, do której nie miał wstępu jej mąż Bryan, choć bardzo się kochali. Nie było więc powodu, by czuła się skrepowana tym, iż lord Robert i ona mieszkają w osobnych pokojach, ani też martwić się, że ludziom z zewnątrz może wydać się to podejrzane - byli przecież nowożeńcami.

Zona tak wysoko postawionego arystokraty potrzebowała zupełnie innej garderoby niż niezamężna debutantka. Robert poinformował o tym Amber, która zżymała się na jego brak konsekwencji i wypominała mu, że obiecał jej dużo swobody.

Zresztą Robert kupił jej nie tylko ubrania. Następnego ranka po ślubie zabrał Amber do Cartiera, przekonując ją, że powinna mieć własną biżuterię, a nie tylko klejnoty rodzinne, do których noszenia była zobowiązana przy oficjalnych okazjach. Jako prezent ślubny podarował jej parę biało-czarnych diamentowych bransolet w kształcie węży, które wydawały się Amber zbyt krzykliwe, by mogła nie czuć się skrepowana, mając je na rękach.

Domem młodej pary miała być londyńska posiadłość przy Eaton Square, praktycznie niezamieszкана, odkąd dziadek Roberta wyjechał do Osterby, okazałej siedziby rodowej na wsi. Kiedy Robert przekazał Amber tę wiadomość, zaznaczył od razu:

- W tej chwili dom nie nadaje się jeszcze do zamieszkania. Będziemy musieli więc na razie zadowolić się innym lokalem, przy Cheyne Walk, gdzie może nam być bardzo ciasno.

Oczywiście małżeństwo lorda Roberta i Amber odbiło się głośnym echem wśród przedstawicieli angielskiej klasy wyższej, żyjących w Paryżu

i odwiedzających to miasto. Świeżo upieczeni małżonkowie byli zapraszani na wszelkiego rodzaju przyjęcia, na których lord Robert perfekcyjnie odgrywał rolę nowożeńca, troszczącego się o swoją żonę, czulego i zakochanego w niej na zabój.

W noc poprzedzającą wyjazd z Paryża do Londynu Robert i Amber wzięli udział w kolacji na zaproszenie brytyjskiego ambasadora. Amber miała już okazję poznać większość obecnych tam gości. Większość, ale nie wszystkich. Żołądek wywrócił jej się na drugą stronę, kiedy zobaczyła, jak do sali wchodzi Jean-Philippe w towarzystwie kobiety, którą Amber знаła do tej pory tylko ze zdjęcia. To była pani de Wittier.

Amber musiała niechętnie przyznać, że jest to bardzo elegancka kobieta. I wyjątkowo szczupła. Skóra na jej twarzy była tak mocno naciągnięta na kości, że jej oczy przypominały wzrok drapieżnego sępa. Jean-Philippe, na którego twarzy próżno było szukać zażenowania czy wstydu, skłonił się lekko, kiedy zobaczył Amber. Jego kolczyk lśnił w świetle, skryty pod burzą ciemnych loków.

Amber natychmiast poczuła skurcz w żołądku i załało ją uczucie niespełnionej miłości do Jeana-Philippe'a, o którym nie chciała przecież pamiętać. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, żeby na nowo wyważyć zaryglowane drzwi.

Ukryła za nimi wszystkie swoje wspomnienia intymnych chwil, które z nim dzieliła, a o których wolałaby zapomnieć. Fizyczny ból, który zaatakował ją od wewnątrz, był silny, prawie nie do zniesienia. Nawet fakt, że ten człowiek oddaje swoje ciało kobiecie za pieniądze, stanowił marną wymówkę dla jej miłości. Gdyby tylko ją do siebie wezwał, podszedł do niej...

- Amber. - Między nią a Jeanem-Philippe'em stanął Robert, celowo zasłaniając jego postać. - Pamiętaj, gdzie jesteś. I kim teraz jesteś.

Tak bardzo chciała się rozplakać. Ale nie mogła. Była żoną lorda Roberta i winna mu była właściwe zachowanie. Upomniała więc samą siebie.

Czuła na sobie wzrok Jeana-Philippe'a. Widać było, że on pragnie, by odwzajemniła jego spojrzenie, tak żeby czuła się jeszcze bardziej udęczona. Ale Amber oparła się tej pokusie, przerażona, co mogłaby zrobić, gdyby spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich tęsknotę. Jean-Philippe nie kochał jej. Gdyby ją kochał, nie okłamałby jej. Ale także Robert nie mógł być dla niej mężem, jakiego zawsze pragnęła.

Po tym incydencie Amber zdawało się, że ten wieczór nigdy się nie skończy A kiedy wreszcie dobiegł końca, nie posiadała się z radości.

Następnego ranka obudziły ją mdłości. Czuła się fatalnie.

Widok i zapach śniadania, które jadł Robert, sprawiły, że musiała wstać oil stołu i pobiec do łazienki. Kiedy wróciła, Robert wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyraził nadzieję, że dziecko wytrzyma te osiem miesięcy, jakie pozostały mu do przyjścia na świat. Słyszając to, Amber zemdląła.

Gdy doszła do siebie, stanowczo stwierdziła, że osłabiły ją emocje poprzedniego wieczoru, a z powodu ryby, którą zjadła, żołądek odmówił jej posłuszeństwa. Robert nie dał się jednak przekonać. Od tej pory stał się dla niej jeszcze bardziej opiekuńczy i traktował ją, jakby była ulepiona z najdelikatniejszej chińskiej porcelany

Po trzech dniach od powrotu do Londynu udali się oboje do Macclesfield, zęby wziąć udział w spóźnionych poprawinach, które koniecznie chciała zorganizować Blanche, a przy okazji poznać także pana młodego.

Ku rozczarowaniu Amber Jaya nie było w Denham. Wziął zaległy urlop i wyjechał do rodziców, którzy mieszkali w Dorset.

Amber wiedziała, że Blanche zaakceptuje Roberta. Jakże mogło być inaczej, skoro spełniał wszystkie jej kryteria jako mąż jej wnuczki, a przy tym był miły i czarujący? Ale nie przewidziała, że Robertowi w równym stopniu przypadnie do gustu Blanche.

Tuż przed ich powrotem do Londynu babka weszła do ich pokoju, kiedy Amber pisała właśnie list do Beth, natomiast Robert korzystał ochoczo z księgozbioru biblioteki Denham.

- Amber, jestem taka szczęśliwa i cieszę się z waszego małżeństwa -powiedziała Blanche. - Robert jest wszystkim, co tylko mogłam wyśnić dla mojej wnuczki, jako mąż i nie tylko.

- Dlatego, że dzięki niemu zostanę księżną? - Amber nie mogła powstrzymać się od złośliwości.

- Maniery Roberta mówią same za siebie bez względu na to, jaki tytuł nosi - odparła chłodno Blanche. - Nie ujdzie to niczyjej uwagi. Masz wielkie szczęście.

- Czyżby? - Amber za późno zorientowała się, że jej ostry ton mógł zdradzić więcej, niż powinien. - To znaczy naprawdę tak uważasz? - poprawiła się.

Blanche zmarszczyła brwi. W momencie, w którym poznała Roberta, zanim jeszcze zobaczyła to na twarzach gości na przyjęciu, które wydała dla nowożeńców, wiedziała, że nikt, kto poznał Roberta, nie zdołał oprzeć się jego urokowi - nie tylko ze względu na jego tytuł i bogactwo.

Ale Robert przypadł do gustu Blanche także za sprawą uroku osobistego i dobrego charakteru, co dało się poznać już przy pierwszym kontakcie. Było dla niej oczywiste, że on wciąż myśli o Amber i dlatego była pewna, że nie powinna mieć najmniejszych obaw co do przyszłości swojej wnuczki. Równocześnie widziała, że Amber nie jest szczęśliwa. Była zbyt mizerna, zbyt poirytowana i zła, mimo iż starała się ukryć ten gniew i nie wspomniała ani słowem o powodach tak nagłego zamążpójścia.

- Amber, martwię się o ciebie.

- To nieprawda. Nigdy się o mnie nie martwiłaś. Chciałaś tylko, abym poślubiła kogoś z tytułem. Więc zrobiłam tak, jak chciałaś. Możesz teraz zatrzeć ręce, masz mnie z głowy

Zanim Blanche zdążyła odpowiedzieć, do pokoju wszedł Robert, przerywając ku uldze Amber tę gwałtowną wymianę zdań. Amber cieszyła się, że wracają do Londynu, chociaż czuła pewien niedosyt z powodu nieobecności Jaya. Tak bardzo chciała się z nim zobaczyć. Bez niego i bez Grega ten dom wydawał się pusty, chociaż Greg wysłał jej życzenia z okazji ślubu i przeprosił, że nie dołączył żadnego prezentu, tłumacząc się chwilowym brakiem pieniędzy.

- A ty nie masz nic przeciwko temu, że pracujesz dla pani Pickford, kiedy posiadłość twojego dziadka jest na wyciągnięcie ręki? - spytała Lydia.

- Nie, dlaczego miałoby mi to przeszkadzać?

Jay wyciągnął dłoń i pomógł jej przejść przez kładkę.

Babcia Lydii mieszkała w tym samym niewielkim mieście targowym, co rodzice Jaya. Znali się niemal od dziecka, chociaż minęło sporo lat, od kiedy Jay widział Lydię po raz ostatni.

Lydia darzyła Jaya niekłamanym podziwem i był to dla niego leczniczy balsam na jego skołatane serce. Powinien być jej za to wdzięczny. Ale kio, będąc zakochanym, zwraca uwagę na takie rzeczy? Lydia to nie Amber. Poza tym Jay szybko odkrył, że nastrój Lydii potrafił się zmieniać w ułamku sekundy ze skrajności w skrajność - od ożywienia i kipiącego szczęścia do najczarniejszej rozpacz. Trudno było to znieść, niemniej Jay współczuł dziewczynie. Lydia zwierzyła mu się, że powtórne małżeństwo jej ojca po śmierci matki było dla niej ogromnym ciosem, i niechętnie przyznała, jak bardzo boli ją wrogość macochy, która najwyraźniej chciała wbić klin między nią a jej ojca. Jay solidaryzował się z nią w jej cierpieniu.

Dzisiaj spotkali się zupełnie przypadkiem, kiedy Jay wyszedł na spacer. I chociaż chciał spędzić trochę czasu na osobności, był zbyt uprzejmy, by powiedzieć o tym Lydii.

- Muszę już wracać, w przeciwnym razie zanudzę cię na śmierć - powiedziała.

- Nic podobnego - odparł bardziej z przekonania, że właśnie takiej odpowiedzi oczekuje od niego, niż szczerze.

- Odprowadzisz mnie? Nigdy nie czuję się bezpiecznie, idąc sama przez las.

- Oczywiście - zapewnił Lydię, dotrzymując jej kroku.

Pogoda była piękna, chociaż może zbyt upalna na dalekie wędrówki. Kiedy dotarli do domu, Lydia zaproponowała Jayowi szklaneczkę czegoś zimnego do picia. Skwapliwie skorzystał z zaproszenia i z wdzięcznością wszedł za nią do kuchni tego czystego i zadbanego domu.

Trochę zaskoczyło go, kiedy Lydia przystawiła krzesło do jednej z szafek, chcąc wyjąć z niej szklanę. Jay chciał zaproponować, że sam to zrobi, ale nie dała mu dojść do słowa, trajkocząc jak opętana. Jej zbyt entuzjastyczne i gorączkowe zachowanie trochę go już męczyło i pragnął jak najszybciej uciec.

- Potrzyj mi, proszę, krzesło - zachichotała Lydia - tylko obiecaj, że nie będziesz podglądać moich nóg.

- Lydio, pozwól, że ja to zrobię - poprosił Jay, ale było już za późno, bo Lydia zachwiała się na krześle, straciła równowagę i runęła wprost w jego objęcia.

Jay zastanawiał się właśnie, czy ten upadek nie był przypadkiem wyreżyserowany, kiedy Lydia potwierdziła jego przypuszczenia, zarzucając mu ręce na szyję i całując go.

Jay nigdy nie wyobrażał sobie takiej sytuacji i czuł się wyjątkowo niezręcznie. Nie chciał zranić Lydii, ale nie czuł do niej nic romantycznego. Niestety najgorsze miało dopiero nadejść.

- Och, czy to nie cudowne, że znów się spotkaliśmy? - westchnęła z zachwytu Lydia. - Nigdy nie przypuszczałam, będąc dzieckiem, że kiedyś zakochamy się w sobie. A ty?

Zakochamy się w sobie?

- Lydio, wybacz, ale...

- Nie musisz przeproszać. - W jej ściszym głosie zabrzmiała troska. - Ja... och.

Jay usłyszał, jak otwierają się za nim drzwi, i wtedy Lydia zawołała z podnieceniem:

- Babciu, czy to nie wspaniałe? Jay i ja kochamy się i zamierzamy się zaręczyć.

Jay nie mógł nic zrobić. Ani potwierdzić jej słowa, ani im zaprzeczyć. Był w pułapce własnego kodeksu zasad i intensywności uczuć Lydii. Jak to się stało, że jego życie przybrało tak niekorzystny obrót?

## Rozdział 23

Dwa miesiące po powrocie z Paryża, za namową Roberta, Amber odwiedziła znanego położnika przy Harley Street, który potwierdził, że rzeczywiście jest w ciąży.

Wyszła z gabinetu doktora i miała właśnie wsiąść do eleganckiego nowego bentleya z kierowcą, którego kupił jej Robert, gdy zwróciła uwagę na kobiecą postać opuszczającą inny gabinet lekarski, kilka domów dalej. Amber zatrzymała się. Mimo iż kobieta była ubrana w długi płaszcz, a twarz zasłoniła kapeluszem z woalką, zdradził ją charakterystyczny sposób poruszania się.

- Louise. - Amber poczuła, jak dziewczyna sztywnieje, kiedy położyła dłoń na jej ramieniu. - Wiedziałam, że to ty. Twarz Louise, skryta pod woalką, była przeraźliwie blada, a oczy lekko zapadnięte. Jej ramię wydawało się nienaturalnie szczupłe, ale w spojrzeniu płonęła wciąż wrogość, którą Amber tak dobrze zapamiętała.

- Pewnie pomyślałaś, że dobrze byłoby zdrwić ze mnie, wiedząc, w jakiej sytuacji się znalazłam, i że prawdopodobnie żaden mężczyzna mnie już nie zechce, zwłaszcza teraz.

Amber nie wiedziała, co odpowiedzieć. Podeszła do Louise odruchowo, zapominając w ogóle o plotkach, które krążyły na temat jej związku z George'em Ponsonbym. A już na pewno nie zamierzała chwalić się swoim nieoczekiwanym awansem społecznym.

Zanim jednak otworzyła usta, Louise kontynuowała tyradę:

- Jakie to rozsądne z twojej strony wyjść za kogoś tak dobrze sytuowanego. Nie to, co ja, głupia, która zakochałam się tak naiwnie.

Te słowa poruszyły wrażliwą nutę w sercu Amber. Ale ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że jest jej żal Louise. Wydawała się taka pokonana i poniżona, w niczym nie przypominała dawnej aroganckiej, pewnej siebie dziewczyny.

Pod wpływem impulsu Amber zaproponowała:

- Miałam właśnie wracać do domu. Może pojedziesz ze mną? Mogłyśmy spokojnie porozmawiać.

Louise przybrała nagle obronną pozę.

- Porozmawiać? O czym?

- Może nie byłyśmy przyjaciółkami, ale prezentowałyśmy się na dwoje w tym samym czasie, a to już coś znaczy - odpowiedziała cicho Amber.

Ku jej konsternacji oczy Louise wypełniły się łzami.

- Teraz możesz tak mówić, ale kiedy prawda wyjdzie na jaw - a kiedyś w końcu tak się stanie - nie będziesz chciała mieć ze mną do czynienia. Nikt nie będzie chciał mnie znać, nawet moja rodzona matka. Oczywiście mogę wymyślić jakąś wymówkę, zniknąć i zaszyć się na wsi na jakiś czas. Ale na dłuższą metę nikt nie da się na to nabrać i towarzysko będę spalona, czego zresztą wszyscy mi życzą. Miałam nadzieję, że może się mylę i opacznie interpretuję pewne sygnały, ale miałam rację. Pewien dobry lekarz powiedział mi, że paczki, którą noszę, wkrótce nie da się zwrócić. A ponieważ koszt takiego zwrotu, jak to ujął, daleko przekracza moje możliwości, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko pogodzić się z konsekwencjami własnej głupoty

Louise cała się trzęsła i łkała otwarcie. Amber nie mogła jej za to winić. Wiedziała doskonale, jak czułaby się na jej miejscu i jak łatwo wpaść w taką pułapkę. Dawna wrogość i niechęć ustąpiły teraz miejsca poczuciu solidarności.

- Wsiadaj do auta - poleciła jej, nie przyjmując odmowy, a kiedy Louise poddała się i usiadła obok niej w bentleyu, Amber rozkazała szoferowi:

- Do National Gallery Harrisie.

- Dlaczego, u licha, tam jedziemy? - zdziwiła się Louise.

- Zeby móc porozmawiać, nie wzbudzając sensacji - odparła Amber.

Spędziły w muzeum ponad cztery godziny. Ale bez względu na to, jakich argumentów używała Amber, Louise pozostała niewzruszona i twardo obstawała przy swoim, by usunąć ciężę.

- Nie rozumiesz, że to dla mnie jedyna szansa wyjścia z twarzą z tej sprawy i powrotu do społeczeństwa? Bez męża, który uznałby to dziecko za swoje, nie mogę go urodzić.



Amber pomyślała o swoim dziecku i zachciało jej się płakać. Musi być jakieś wyjście... Musi być ktoś...

Nie, nie ma żadnego wyjścia. A jedyną osobą, która może mi pomóc, jest lekarz, który nie kiwnie palcem, dopóki nie zapłacę mu stu funtów. - Louise zaśmiała się smutno. - Nie wiem, jak zgromadzę taką sumę. George Ponsonby, który powinien partycypować w kosztach, polecił swoim służącym nie wpuszczać mnie do domu. Nie odpowiada też na moje listy i telefony. Poza tym mój kochany Georgie zamierza niebawem ogłosić swoje zaręczyny z córką pewnego bogatego kupca.

- Ale przecież ma wobec ciebie zobowiązania - zaprotestowała Amber.

- On ma na ten temat odmienne zdanie. Podejrzewam, że uważa, iż powinnam wybrać wyjście honorowe i odebrać sobie życie razem z dzieckiem.

Amber poczuła, że robi jej się słabo. Nie tyle przez wzgląd na własną historię, ile na tragiczny los Caroline Fitton Legh, która nawiedzała jej myśli jak upiorny duch.

W oczach Louise znowu pojawiły się łzy.

- Zastawiłabym rodzinny diadem, gdyby nie fakt, że poszedł już pod młotek, żeby matka mogła spłacić karciane długi mojego ojca.

Mijały właśnie portret Wawrzyńca Wspaniałego, przed którym Amber poznała Roberta. Odruchowo zatrzymała się, żeby na niego popatrzeć. Czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby mogła cofnąć się w czasie do ich pierwszego spotkania, będąc bogatsza o wszystkie doświadczenia? Czy dałaby mu się namówić na filiżankę herbaty? Nawet gdyby tym razem tego nie zrobiła, i tak nie uchroniłoby jej to przed poznaniem Beth, a co za tym idzie, Jeana-Philippe'a. Robert był jej wybawcą, a nie wrogiem. Bez niego znalazłaby się w takiej samej, jeśli nie gorszej sytuacji, co Louise teraz.

- Nudzę cię, widzę to w twoich oczach - powiedziała Louise z obrazą w głosie.

- Bynajmniej - zaprzeczyła Amber zgodnie z prawdą. - Tak sobie tylko myślałam...

- O czym? W końcu nie masz żadnych podstaw, żeby darzyć mnie współczuciem. Beth na pewno by go dla mnie nie znalazła.

Amber nic nie powiedziała. Nie zaprzeczyła komentarzowi na temat Beth ani też nie wyjaśniła powodów swojego współczucia.

- Musi być jakiś inny sposób.

- Jaki sposób? Ludzie już plotkują za moimi plecami. Gdybym teraz zniknęła - pod warunkiem, że miałabym dokąd wyjechać - byłoby to rów noznaczne z zamieszczeniem anonsu w kronice towarzyskiej „Timesa”.

Louise wyglądała i mówiła jak ostatnia desperatka.

- Dam ci pieniądze.

Louise pobladła jak ściana i złapała się oparcia krzesła, żeby utrzymać równowagę. Na jej twarzy odmalował się autentyczny szok. Amber nie miała żadnych wątpliwości, że Louise nie spodziewała się takiej propozycji. Nawet przez myśl jej to nie przeszło.

- Ty? Ale dlaczego miałabyś zrobić dla mnie coś takiego?

Louise sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała się całkiem rozkleić.

Amber wzięła ją za rękę i Louise pozwoliła jej na to. Jej dłoń wydawała się lodowato zimna. Oczywiście Amber nie mogła wyjaśnić Louise pobudek, dla których podjęła taką decyzję, ani powiedzieć jej, że po tym, jak ją wysłuchała i zobaczyła, w jakiej rozpaczycy się znajduje, uświadomiła sobie własne szczęście. Skoro to, co przytrafiło się Louise, równie dobrze mogło spotkać ją, jak mogłaby nie odłożyć na bok animozji i nie wyciągnąć pomocnej dłoni?

- Robert jest dla mnie bardzo hojny, ale nie noszę przy sobie takich dużych sum pieniędzy. Potrzebuję kilku dni, żeby je zorganizować. Na ten czas może zamieszkas z nami? Możemy zaraz zadzwonić do twojej matki i poproszę ją, by pozwoliła ci dotrzymać mi towarzystwa. Ale najpierw muszę ci powiedzieć, że sama spodziewam się dziecka, więc jeśli to może okazać się dla ciebie za trudne...

- Najtrudniejsza jest dla mnie świadomość, że byłam tak głupia i uwierzyłam, że George Ponsonby mnie kocha. Nie mam instynktu macierzyńskiego, Amber, i nigdy nie będę go mieć. Ty, i pewnie każda inna kobieta w Londynie, możesz z radością oczekiwać tak zwanego szczęśliwego rozwiązania. Ja i tak nie zmienię zdania. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnę uwolnić się od... tej... przeklętej rzeczy, która może zrujnować mi życie.

\*\*

Louise była na górze i odpoczywała w najlepszym pokoju gościnnym. Amber w tym czasie siedziała razem z Robertem w bibliotece na dole. Po-ilsnowiła, że będzie wobec niego całkiem szczerą.

- Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz pomóc komuś, kto w przeszłości traktował cię tak podle?

- Robercie, nie mogę przestać myśleć o tym, że sama z łatwością mogłam się znaleźć w takiej samej sytuacji, gdybyś mnie nie uratował. Chciałabym móc zrobić coś więcej.

Amber przyłożyła rękę do wciąż jeszcze płaskiego brzucha, jak gdyby chciała uchronić rosnące w niej życie. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie pozwolę, byś się tym zamartwiała - powiedział Robert. - I nie porównuj się z Louise. Ona od samego początku wiedziała, kim jest George Kmsnby, i moim zdaniem nieszczęście, jakie ją spotkało, zawdzięcza wyłącznie sobie.

- Muszę jej pomóc, Robercie. Jeśli tego nie zrobię, będzie mnie to dręczyć do końca życia. Chciałabym jakoś sprawić, żeby Louise nie musiała...

- Nie ma innego wyjścia - przerwał jej stanowczo. - Ludzie już plotkują. Każdy wie o ich romansie dzięki niedyskrecji Louise, która bez „porów” o tym rozpowiadała. Choćby z tego powodu nie może liczyć na łagodne traktowanie.

Gdyby teraz zniknęła, tylko potwierdziłaby to, co podejrzewają ludzie. Pokryję wszystkie koszty z tym związane. I dopilnuję, żeby Louise otrzymała możliwie jak najlepszą opiekę medyczną. Istnieje na pewno wielu uzdolnionych chirurgów, którzy zajmują się takimi kobiecymi operacjami prywatnie. A skoro tak bardzo chcesz jej pomóc, sądzę, że powinniście spędzić razem kilka tygodni w Osterby. Louise będzie mogła w spokoju wracać do zdrowia, a i w twoim stanie przyda ci się trochę odpoczynku. Potem jednak Louise musi skupić się na własnych planach i żyć na swój rachunek. To taki typ kobiety, która zawsze sprowadza na siebie kłopoty i ciągnie ją do ciemnej strony życia. Nie pozwolę, by wciągała cię w swoje sprawy. Mam nadzieję, że nie muszę cię ostrzegać przed opowiadaniem Louise własnej historii.

- Nie, oczywiście, że nie. Nikomu o tym nie powiem - Amber zapewniła Roberta.

Była mu wciąż ogromnie wdzięczna, ale z drugiej strony przerażała ją świadomość, jak delikatna i cienka jest nić, której uchwyciła się w poszu kiwaniu bezpieczeństwa.

Zupełnie jak jedwab. Ale jedwab był też niesłychanie mocnym materiałem. I ona też musiała być taka silna, by chronić swoje dziecko. Silna jak jedwab.

I tak mocna, jak dziecko, które w niej dojrzewało. Dziecko Jeana-Philippea. Jeśli to chłopiec, to czy będzie miał takie samo zawadiackie spojrzenie swojego ojca? Jego zmysł artystyczny, urok i okrucieństwo?

Nie wolno jej było tak myśleć. Dziecko, które nosiła w sobie, miało należeć do Roberta i dla jego dobra - nawet bardziej niż dla swojego - mu siała je traktować jak dziecko swojego męża i owoc ich małżeństwa.

Owoc ich małżeństwa? Przecież nie żyli ze sobą jak mąż i żona. Spędzała samotne noce w małżeńskim łóżu, wiedząc, że nigdy nie będzie go dzielić z mężczyzną, który był jej mężem. Ani z żadnym innym. Nie zrobiłaby tego. Już nigdy nie podejmie takiego ryzyka, znając cenę, którą przyszło jej zapłacić. Musi być silna i uregulować dług, którego domagało się od niej życie.

Amber wiedziała, że Robert byłby na nią zły, gdyby dowiedział się, że przyszła tu razem z Louise, wślizgując się bocznym wejściem do gabinetu przy Harley Street. Ale Louise błagała ją o to.

Od dnia, w którym Louise wyznała Amber, w jakim beznadziejnym położeniu się znalazła, minęły trzy tygodnie. Amber czuła, jak Louise drży, wspierając się na jej ramieniu. Wskazano im drzwi, które następnie zostały za mmi zamknięte. Stamtąd weszły po schodach do małego pokoiku, w którym unosił się intensywny zapach fenolu.

Po chwili zjawiała się pielęgniarka i zajęła się Louise, która wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

- Gdybyś chciała jeszcze zmienić zdanie... - zaczęła Amber. Ale Louise potrząsnęła głową.

- Chcę mieć to już za sobą.

- Jak długo potrwa zabieg? - Amber spytała pielęgniarkę.

- Tyle, ile trzeba - kobieta wycodziła z dezaprobatą przez zaciśnięte usta.

Luise nie było już prawie godzinę, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do poczekalni wpadły dwie młode kobiety z wyzywającym makijażem i w obcisłych kolorowych strojach. Minęły zaskoczoną recepcjonistkę, prowadząc pod rękę trzecią kobietę, która ledwie stała na nogach.

- Nie wolno wam tam wchodzić - zaprotestowała recepcjonistka.

- A kto nas powstrzyma, do cholery? Na pewno nie ty. Spójrz, w jakim ona jest stanie. Wykituje, jeśli zaraz nie obejrzy jej lekarz. I lepiej, żeby to zrobił, bo to on ją tak załatwił.

- Co tu się dzieje? - Pojawiła się pielęgniarka z zaciśniętymi kurczowo ustami, która otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. - Co ona tu robi? Miała zostać w łóżku.

- Gdyby została, już by nie żyła. Nieźle ją potraktował ten wasz doktorek, ale teraz musi naprawić to, co spieprzył. Przecież ona krwawi jak zarzynana świnia.

Zza zamkniętych drzwi dobiegł przeraźliwy zwierzęcy wrzask, od którego Amber podniosły się włosy na karku.

- Z tego, co słyszę, oprawia teraz inną. Mam nadzieję, że będzie mieć więcej szczęścia niż nasza biedna Maria. Powiedziano nam, że jest najlepszy w swoim fachu. Ale chyba trzeba było poszukać kogoś w East Endzie, kto zrobiłby to za połowę ceny

- Ona nie może tu zostać. Musicie zabrać ją do lekarza.

- Żeby ją aresztowali za to, co zrobiła? Zostanie tutaj i lepiej, żeby doktorek stamtąd wyszedł i zajął się nią, jeśli nie chce, żeby mu tu zeszła na dywanie.

- Na twoim miejscu, skarbie, wiałabym stąd, zanim przydarzy ci się to samo - druga z dziewczyn ostrzegła Amber.

Z gabinetu wyszła inna pielęgniarka w fartuchu zalanym krwią i zajęła się nieszczęsną dziewczyną. Zapach, który stamtąd dobiegał, przyprawił Amber o mdłości. Przypomniała sobie, jak będąc młodą dziewczyną, musiała przejść przez ubojnię znajdującą się nieopodal ich domu.

- Twoja przyjaciółka jest już po zabiegu. Chodź. Pierwsza z pielęgniarek wskazała Amber, by poszła za nią.

W pokoju za zamkniętymi drzwiami Louise leżała na łóżku przykryta prześcieradłem. W powietrzu unosił się zapach krwi i wymiocin.

- Musi teraz wrócić do domu i odpocząć. Amber skinęła głową. Przy łóżku stało wiadro. W zamyśleniu Amber zajrzała do środka i na widok tego, co tam zobaczyła, zdjęła ją niewysła wioną groza. Poczwała, jak cała się trzęsła, przepelniona strachem i bólem.

- Chodź - pielęgniarzka ponagliła Louise. - Nie mozesz tu zostać. Życie, które zostało wydarte z jej łona, leżało bez ruchu w wiadrze.

Ciało i krew.

Amber chciała odwrócić wzrok, ale nie potrafiła. Przepelniała ją rozpacz i poczucie współwiny za zniszczenie tego życia. Na miejscu Louise nie zniosłaby chyba myśli, że pozwoliła sobie odebrać własne dziecko. Ale gdyby nie pomoc Roberta, mogłoby się okazać, że to nie dziecko Louise, lecz jej własne skończyłoby żywot w tym wiadrze.

Twarz Amber była mokra od łez.

Odruchowo zakryła dłonią brzuch, intuicyjnie chroniąc życie, które w sobie nosiła, i poczuła, jak ogarnia ją przemożna chęć ucieczki z tego przerażającego miejsca.

## Rozdział 24

Kilka tygodni przed upływem dziewięciu miesięcy od daty ślubu Amber wydała na świat zdrowego chłopca, który - jak wszyscy podkreślali - był podobny jak dwie krople wody do swojego ojca. Najwięcej łez podczas porodu uronił Robert, a gdy wziął dziecko na ręce, wydawało się, że nigdy Ho już nie puści. Amber leżała i zauroczona obserwowała tę scenę. Dopiero teraz mogła zapomnieć o potwornym strachu, który towarzyszył jej przez całą ciążę, że na skutek tego, co zrobiła Louise, jej dziecko też będzie w jakiś sposób uszkodzone. Kiedy zobaczyła je, a potem wzięła na ręce i przekonała się, że jej syn jest cały i zdrowy, poczuła nieopisaną radość.

Kiedy Amber została sam na sam z synkiem, mogła mu się lepiej przyjrzeć. Urodził się z bujną czupryną ciemnych kręconych włosów - taką, jaką miał jego biologiczny ojciec, i taką, jaką nosił na głowie Robert. Gdy Amber spojrzała w jego niebieskie oczy, zobaczyła podobieństwo do swojego ojca, nie do Jeana-Philippe'a. Kiedy już ochłonęła, uśmiechnęła się pod nosem, zastanawiając się, czego właściwie się spodziewała. Że jej syn urodzi się z kolczykiem w uchu?

Amber poprzysięgła sobie, że zrobi wszystko, aby jej syn nigdy nie odkrył prawdy o swoim ojcu. Dla jego dobra. Robert obdarzy go miłością; już to robił. Jej syn, prawny następca Roberta, nigdy nie dowie się, że był niechcianym dzieckiem czy jakimś wyrzutkiem. Ale czy nie domyśli się prawdy, gdy podrośnie? Nie, na pewno nie - dlaczego miałoby przyjść mu to do głowy?

- Kocham cię - wyszeptła Amber, kołysząc dziecko. - We wszystkim, co zrobiłam i co zrobię dla ciebie, będzie moja miłość. Zawsze, przysięgam ci.

Szkoda, że Jay tego nie widział. Potrafiła sobie wyobrazić jego uśmiech, kiedy zobaczyłby jej dziecko. Uśmiech, który utwierdziłby ją w przekonaniu, że on rozumie i uważa, iż postąpiła właściwie. Nadal korespondowali ze sobą, choć już w nieco innym tonie. W końcu Amber była mężatką, a Jay się zaręczył.

Na początku Amber była w szoku, kiedy dotarła do niej wiadomość o szalonym romansie Jaya. Ale jak przekonywała samą siebie, jednocześnie nie cieszyła się jego szczęściem.

Jutro miała przyjechać jej babcia, która nalegała, że chce zobaczyć pni wnuka. Co ona sobie o nim pomyśli?

Przez całą drogę do Londynu towarzyszył jej ból, który ścisnął ją w okolicy serca i odbierał oddech. Blanche żałowała, że Jay postanowił jej towarzyszyć. Jego obecność w przedziale pierwszej klasy oznaczała, że Blanche musiała się kryć ze swoimi uczuciami.

Pamiętała doskonale narodziny swojego pierwszego dziecka. To był przeciągający się i bolesny poród, ponieważ dziecko było ułożone pośladkami. Dopiero akuszerce udało się je odwrócić, dzięki czemu syn przy szedł na świat w tak zawrotnym tempie, że Blanche śmiała się z jego niecierpliwości.

Słyszała kiedyś, że w ciągu pierwszych godzin po narodzinach dziecko jest najbardziej podobne do swojego ojca, gdyż w ten sposób natura pilnuje, by je zaakceptował. Oczywiście pod warunkiem, że ojciec ma możliwość zobaczenia dziecka. Kiedy urodził się Marcus, Henrygo nie było w domu. Tak bardzo go kochała. Był jej pierwszym dzieckiem, a do tego jeszcze synem - jak mogłaby go nie kochać?

Nawet teraz ból, który towarzyszył wspomnieniom jego śmierci, był żywy i ostry, dokładnie taki sam, jak tej nocy, kiedy obudziła się ze snu, wiedząc, że Marcus nie żyje. Tej nocy życie stracił cały pluton młodych, walecznych chłopców z Cheshire, na czele z synem Barranta de Vries, który dowodził pechowym natarciem.

Na pogrzebie w kościele parafialnym Barrant płakał rzewnymi łzami. Łzy, które na mszy mogła uronić Blanche, wysuszyła jej nienawiść do Barranta. Modliła się, żeby Amber nigdy nie spotkał taki los. Ale to jej nie groziło.

Amber czekało życie, którego Blanche pragnęła z całych sił, lecz nigdy nie otrzymała takiej szansy. Przed Amber nie będzie zamkniętych drzwi. Jako żona Roberta i księżna mogła zostać - gdyby tylko zechciała - szarą eminencją świata polityki pociągającą za sznurki i wpływającą na wydarzenia w kraju. Blanche wiedziała, że mając właściwego męża, moż-



na było działać bardzo dużo. Pragnęła tych możliwości, które zapewniłoby jej bycie żoną Barranta. Ale on ją wyśmiał i odrzucił.

Teraz role się odwróciły i to ona mogła śmiać się z niego. To jej prawnuk znajdzie się w gronie tych, którzy wprowadzą ten kraj w przyszłość, podczas gdy ród de Vries praktycznie wygaś. Mogła dać Barrantowi tak wiele i właściwie dała mu wiele - ale on odebrał jej równie dużo. Zbyt dużo.

Amber czekała z niecierpliwością, kiedy Blanche przyglądała się dziecku, trzymając je na rękach.

Jest bardzo podobny do ciebie - stwierdziła w końcu, uśmiechając się do Roberta.

Słyszając to, Amber odetchnęła z ulgą. Amber uważa, że dziecko ma oczy jej ojca - odpowiedział Robert, rzucając przy tym szelmowskie spojrzenie swojej żonie.

Tego rosyjskiego imigranta? Nonsens. Widać wyraźnie, że ma twój nos, Robercie. Amber zawsze darzyła swojego ojca nadmiernym sentymentem. Ach, Amber, Jay prosił, żebym przekazała ci od niego najlepsze życzenia.

Zatrzymał się teraz w klubie należącym do jego dziadka. Powiedziałam mu, że nie musi mi towarzyszyć, ale on się uparł.

- Jay jest teraz w Londynie? - zdziwiła się Amber.

Dlaczego poczuła nagle bolesne rozczarowanie, że nie przyszedł do niej ani nie napisał o swoich planach przyjazdu razem z babcią? To było głupie. Miał przecież swoje życie. A ona swoje. Amber myślała o tym, lizy mając z radością swojego syna.

Sześć tygodni po przyjściu na świat syn Amber został ochrzczony w prywatnej kaplicy w Osterby. Otrzymał imiona Lucius Robert Vernon Devenish razem z tytułem honorowym wicehrabiego Audley. Na chrzcie byli obecni jego pradziadek i babcia Amber. Matką chrzestną Luciusa została Beth, a na ojców chrzestnych wybrano Alistaira i sir Charlesa Aftona-Blake'a, przyjaciela Roberta z czasów szkolnych.

Z tej okazji hrabia sprezentował hrabinie diamentowy naszyjnik, a księżę podarował jej ozdobę z rodowej kolekcji, którą Robert opisał jako niewiarygodnie brzydką.

Po powrocie do Londynu hrabia i hrabina wydali przyjęcie, które „Times” i „Vogue” określiły mianem wydarzenia roku. Cecil Beaton sfotografował nową rodzinę, z lordem Robertem na czele, stojącym dumnie obok hrabiny, która trzymała na rękach ich syna.  
Jedwab wytrzymał i byli bezpieczni.

# Część druga

## Rozdział 25

### **Anglia, rok 1935**

Ależ moja najdroższa dziewczynko, oczywiście, że nasz syn pójdzie do prywatnej szkoły podstawowej z internatem, zanim wyślemy go do Eton.

Amber uważała, że w wieku dwudziestu dwóch lat nie zasługuje na to, by nazywać ją „dziewczynką”. Ale nie zamierzała sprzeczać się o to z Robertem. Woląca zachować energię na sprawy dużo większej wagi.

- Robercie, Luc ma dopiero cztery lata. To jeszcze dziecko.

- Jest dzieckiem, bo tak go traktujesz. Tak się nie da, Amber. Takie zwyczaje mogą panować w domu bogatych kupców, ale wśród arystokracji postępujemy inaczej.

Amber uświadomiła sobie, że w dalszym ciągu nie jest „akceptowana”, nawet przez własnego męża. Odwróciła głowę, żeby Robert nie dostrzegł, jak bardzo zaboląły ją jego nierozważne słowa.

Jej pochodzenie czy może zawodowa pasja zaważyły na tym, że stałą się przewrażliwiona na punkcie społeczeństwa, które przyglądało jej się z mieszaniną pogardy i żywego zainteresowania. Była pewna, że tylko czekają, by się przekonać, jak długo utrzyma się w łaskach swojego męża. Z pozoru wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku, chociaż zawsze znaleźli się tacy, którzy pozwalali sobie na złośliwe komentarze, że tytuł Roberta jest w stanie tylko przysłonić prawdziwe pochodzenie Amber i jej kupieckie korzenie. Bardziej jednak frustrowało ją to, że trwała w małżeństwie bez seksu i musiała stać na straży swojej cnoty, jeśli chciała utrzymać się w tym związku.

Robert dał jej to jasno do zrozumienia. Kilkakrotnie powtarzał, że nie zgadza się na żaden romans, bez względu na to, jak bardzo byłby dyskretny, choć takie praktyki były na porządku dziennym wśród przedstawicieli jego warstwy społecznej.

Amber nie ciągnęło do romansów, nic z tych rzeczy. Wciąż była wdzięczna Robertowi za wszystko, co zrobił dla niej, a przede wszystkim dla Luca, którego kochał jak rodzzonego syna. Już to wystarczało jej, żeby cierpieć z powodu seksualnej banicji, na którą skazało ją to białe małżeństwo.

Na szczęście miała Jaya, zaufanego przyjaciela i wiernego korespondenta. Jay ożenił się z Lydią, której Amber nie potrafiła zaakceptować, bez względu na to, jak bardzo się starała. Zawsze sądziła, że będzie kochać żonę Jaya, i teraz ze zgrozą uświadomiła sobie, iż jednak nie potrafi. Jej więź z Jayem, sięgająca ich dzieciństwa, stała się silniejsza; widać to było wyraźnie, kiedy Amber z Robertem przyjeżdżali do Cheshire, żeby odwiedzić Blanche, i przy tej okazji spotykali się z Jayem i jego małżonką. Z kolei więź łącząca Amber i Grega zauważalnie osłabła. Mimo iż nadal ze sobą korespondowali - Amber niestrudzenie pisała sążniste listy, Greg zaś - tradycyjnie - odpowiadał na nie zdawkowo i zrywami, przy okazji prosił często o wsparcie materialne.

Amber była zdumiona, kiedy Greg obwieścił, że zostaje w Hongkongu i nie wraca do domu. Przypuszczała też, że Blanche jest z tego powodu rozczarowana, choć nie dała tego po sobie poznać. Od wyjazdu Grega z Cheshire do Hongkongu minęło już prawie sześć lat i Amber zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek go zobaczy

- Zapewniam cię, że Lucowi spodoba się internat, kiedy już się do mego przyzwyczai. - Roberta nie opuszczał entuzjazm.

Amber miała ochotę wytknąć mężowi, że chwali szkołę z internatem, bo dzięki niej uciekł z piekła, jakie osieroconemu chłopcu zgotował jego dziadek. Była przerażona, kiedy krótko po urodzeniu Luca Robert ostrzegł ją, że nigdy nie zostawi ich syna samego w towarzystwie starego księcia.

- To sadysta. Nie znajduję innego słowa, którym mógłbym go określić - powiedział szorstko. - Zastawiał na mnie pułapki, w które wpadałem, a potem karał mnie za - jak mówił - okłamywanie go. Bił mnie z takim okrucieństwem, jakiego nie potrafisz sobie wyobrazić. Zamykał mnie w wielkim kufrze, który trzymał w swojej sypialni; spędzałem tam czasem cały dzień i noc. Straszyl mnie, że odejdzie, zostawiwszy mnie w tej skrzyni, gdzie nikt mnie nie znajdzie.

- Dlaczego miałby robić takie rzeczy? Przecież jesteś jego wnukiem i spadkobiercą.

- Uważał, że w ten sposób przygotowuje mnie do życia. Ale moim zdaniem jest w nim cień szaleństwa. Może nawet więcej niż cień. Dlatego cieszę się, że w żyłach Luca nie płynie jego krew. Ale tak jak powiedziałem, nie zostawię Luca na pastwę dziadka. Nie może też odwiedzać go bez naszego towarzystwa.

Rewelacje Roberta napawały Amber przerażeniem i wzięła sobie jego ostrzeżenia głęboko do serca.

- Nie kłóćmy się, Amber. - Robert uśmiechnął się porozumiewawczo. - Wiesz, że nie zrobiłbym nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób zaszkodzić Lucowi.

Wiedziała, że mówi prawdę. Ojciec i syn przepadali za sobą i byli nierozłączni.

- Tak czy inaczej miną jeszcze dwa lata, zanim Luc pójdzie do mojej starej szkoły z internatem. Pomyślałem, że może powinniśmy zmienić tegoroczną listę gości na wyjazd do Szkocji - dodał mimochodem Robert.

Stał przed okazałym kominkiem, bawiąc się monetami i kluczami, które trzymał w kieszeni. Starł się nadrabiać miną i sprawiać nonszalanckie wrażenie, by nie dać po sobie poznać wyrzutów sumienia, jakie nim zawładnęły.

Po pięciu latach małżeństwa Amber umiała bezbłędnie rozszyfrowywać takie sygnały. Już od kilku dni podejrzewała, że Robert znów się zakochał. A teraz sugestia, aby zmienić listę gości na tradycyjne polowanie, które organizowali co roku w swojej szkockiej rezydencji, tylko potwierdziła te przypuszczenia.

Zasady dotyczące celibatu i wierności, jakim musiała podporządkować się Amber, nie dotyczyły rzecz jasna Roberta. I Amber wiedziała doskonale, kiedy jej mężem zawładnęła nowa namiętność.

- Jeśli tego sobie życzysz - powiedziała spokojnym tonem, spełniając jego oczekiwania. - Chciałabym wybrać się do Osterby - umiejętnie zmieniła temat. - Próbką materiału do Królewskiej Sypialni jest już gotowa i chciałabym ją zobaczyć, zanim wydam stosowne dyspozycje Maurice owi. Jim obiecał, że spotka się ze mną w fabryce i wyrazi swoją opinię.

Posiadłość w Osterby wraz ze znajdującym się tam domem w stylu pałacowym przypadła w spadku Robertowi, razem z tytułem, w 1933 roku. Ku swemu przerażeniu Amber odkryła, że dom jest strasznie zaniedbany. Później jednak odetchnęła z ulgą, kiedy wyszło na jaw, że te zaniedbania mają raczej kosmetyczny niż konstrukcyjny charakter.

Amber podjęła się więc wyzwania restauracji domu i projekt ten przynosił jej wiele radości.

Na początku Robert nie był zachwycony, kiedy Amber poinformowała go, że chce się zaangażować w projektowanie i produkcję nowych gatunków jedwabiu w Denby Mili. Nie odpowiadało mu, że jego żona będzie się zajmować handlem. Powiedział to zresztą Amber, która pozostała jednak niewzruszona i przekonała go, że musi w jakiś sposób spożytkować swoją energię. Dała mu to wyraźnie do zrozumienia i na szczęście przyjął jej argumenty

Poświęcenie, z jakim Amber zabrała się do przyswajania wiedzy o materiałach i designie, w parze z możliwościami, jakie dawało jej małżeństwo z Robertem, pozwoliły jej działać z pełnym przekonaniem przy odnawianiu posiadłości w Osterby

Na jej polecenie zgromadzono pełną dokumentację dotyczącą oryginalnego wyglądu i umeblowania domu, Amber namówiła także Cecila Beatona, żeby wykonał zdjęcia obecnego stanu wszystkich pomieszczeń, jak również spłowiałych, wytartych tkanin dekoracyjnych.

Amber zależało na tym, aby dom został wyremontowany zgodnie z oryginalnym wystrojem, a zwłaszcza wszystkie apartamenty mieszkalne. Chciała w ten sposób przywrócić mu pierwotną świetność, a przy tym stworzyć również wspianą, ciepły dom.

W swoich prywatnych apartamentach Amber postawiła na połączenie klasycznych linii dekoracyjnych z czymś bardziej nowoczesnym. Inspiracji szukała w projektach ojca, dodając do nich własne pomysły. W ten sposób powstały nowe tkaniny z jedwabiu. Materiał miał oczywiście pochodzić z rodzinnej fabryki w Macclesfield, ale Amber wolała nie wtajemniczać babki w szczegóły swoich projektów. Być może zyskała aprobatę w oczach Blanche - najpierw wychodząc za męża za arystokratę, a potem rodząc syna - ale tak naprawdę nigdy nie miała złudzeń co do prawdziwych uczuć babki do niej.

Teraz Amber miała nowy cel, z którego nie zwierzyła się jeszcze Robertowi, gdyż czekała na odpowiedni moment. To Cecil pierwszy zasugerował, że powinna otworzyć własny sklep. Wtedy go wyśmiała, mówiąc, że Robert nigdy się na to nie zgodzi. Jednak z czasem idea ta zakiełkowała w jej głowie do tego stopnia, że teraz nie przestawała o tym myśleć.

Sprawy nie zaszłyby może aż tak daleko, gdyby jakiś miesiąc temu, idąc Walton Street, Amber nie zauważyła pustego lokalu na sprzedaż. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i oczami wyobraźni natychmiast dostrzegła drzemiący w nim potencjał. Sklep miał dwie witryny, po obu stronach wejścia. Znajdował się w pięknym, a jednocześnie niepozornym budynku, który na pierwszy rzut oka mógł nawet wydawać się odpychający. Co prawda sprawiał wrażenie dosyć zaniedbanego, ale to jeszcze bardziej rozbudziło apetyt Amber, która z każdym dniem coraz silniej pragnęła przywrócić go do życia i nadać mu swój styl. Do jej celów był idealny i wiedziała, że musi go mieć. Musiała tylko przekonać Roberta, że otwarcie i prowadzenie sklepu, który zamierzała nazwać Silks, było świetnym pomysłem. Kusiło ją, żeby zwrócić się z prośbą o wsparcie do Cecila. Ale słynny fotograf nie potrafił trzymać języka za zębami i obawiała się, że Robert mógłby wpaść w gniew, gdyby dowiedział się, iż Amber konsultuje coś z Cecilem, nie pytając męża o zdanie.

Amber miała już wspaniałe plany zagospodarowania dwóch wielkich witryn. Chciała, by wyglądały dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała w Paryżu. Ściany wewnątrz były wyłożone drewnem, które zamierzała pomalować na neutralny jasny kolor, na przykład szary. W jednej witrynie ustawiałyby jedno krzesło, w drugiej zaś wielkie lustro. Oba meble pomalowałyby na kontrastowy kolor, chociażby czarny, a potem rzuciłyby na krzesło i lustro belę jedwabiu, która wyglądałaby tak, jak gdyby ktoś przed chwilą upuścił ją tu przypadkowo. Być może zgodziłyby się też na umieszczenie w witrynach jednego albo dwóch *objectd'art*, a na pulpitych leżałyby otwarte książki widoczne z zewnątrz, a zawierające informacje na temat historii i procesu wytwarzania jedwabiu oraz projekty tradycyjnych wyrobów z jedwabiu.



Amber marzyła o tym, żeby jej sklep stał się mekką wszystkich miłośników najlepszych gatunków tkanin do wystroju wnętrz.

Wiedziała, że nie będzie jej łatwo przekonać Roberta. Jak na mężczyznę o odmiennej orientacji seksualnej, był zaskakująco nieelastyczny, jeśli chodzi o to, które zachowanie swojej żony uważał za właściwe i niewłaściwe. Niemniej Amber i Robertowi układało się całkiem nieźle, chociaż Amber miała często poczucie, że to ona musi się bardziej poświęcać dla dobra ich małżeństwa. Od czasu do czasu zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby wyszła za mąż z miłości. Zdarzało się to niezwykle rzadko, miała bowiem Luca, którym musiała się zajmować, ale też dzięki memu jej małżeństwo nie było pozbawione miłości. Oboje go kochali, a Robert wprost uwielbiał Luca, mimo iż go nie rozpieszczał. Luc był promieniem światła w sercu Amber, które ogrzewał swoim naturalnym entuzjazmem i afirmacją życia. Swoją pełną ekspresji twarzą gotów był rewanżować się tym, którzy go kochali, równie żarliwym uczuciem.

Na początku Amber obserwowała syna z pewnym lękiem. Bała się, że w każdej chwili może on zrobić coś, co upodobni go do jego ojca. Ale kiedy Luc skończył dwa lata, przestała się martwić. Był indywidualistą, bez względu na okoliczności, w jakich pojawił się na świecie. Miał takie słodkie usposobienie, często się śmiał i tryskał humorem. Robert z dumą podkreślał, że Luc jest także bardzo mądry i szybko się uczy.

Robert był dla Luca wspaniałym ojcem i więź, jaka ich łączyła, sprawiała, że Amber czuła się czasem wykluczona. Luc przejął od Roberta niektóre jego maniere. Stał i poruszał się tak jak on. Spoglądał na Roberta i naśladował go we wszystkim, co tamten robił.

Robert z kolei nie tylko pomagał mu i służył radą, której od swojego ojca oczekiwał każdy chłopak. Okazywał mu także fizyczną, ojcowską miłość, dzięki czemu Luc nie przejawiał sztywnego skrepowania ani wręcz strachu, który Amber widziała w oczach wielu młodych synów swoich przyjaciółek.

Roberta i Amber jednoczyła więc rodzicielska miłość do syna, która miała moc nieporównywalną z niczym innym. Jeżeli Amber kiedykolwiek myślała o Jeanie-Philippie, to wyłącznie z niepokojem i strachem, że Luc, kiedy dorośnie, będzie taki jak on i Robert się od niego odwróci.

Nawet jeśli Amber brakowało miłości, która łączyła jej rodziców, to pogodziła się, że jest to cena, jaką przyszło jej zapłacić za bezpieczeństwo i szczęście Luca. I z radością tę cenę płaciła.

Po raz kolejny uświadomiła sobie, jakie spotkało ją szczęście, gdy pewnego wieczoru, przed wizytą w Embassy Clubie razem z Robertem wpadli z przyjaciółmi na koktajl do baru American w hotelu Savoy. W pewnym momencie Amber dostrzegła Louise z mężem, którzy siedzieli przy jednym ze stolików. Louise wyglądała bardzo mizernie i obserwowała gości przy sąsiednich stolikach z niespokojnym i poirytowanym wyrazem twarzy, który zdradzał znudzenie.

Amber nigdy nie zapomniała, że los, który spotkał Louise, równie dobrze mógł być jej historią. Louise pozbyła się dziecka i został jej tylko mąż, co najmniej dwadzieścia lat starszy, który nigdy nie ukrywał, że zeniąc się z nią, oddał jej przysługę. Żyli na peryferiach wyższych sfer, ulrzymując się w towarzystwie tylko dzięki kontaktom rodzinnym Louise i determinacji jej męża, który postanowił wykorzystać je do maksimum. Mówiło się też, że Louise nie jest wierna swojemu małżonkowi i oddaje się starym bogatym kochankom, którzy mogli się przechwalać pójściem do łóżka z kobietą z tytułem.

Robert dał Amber jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby utrzymywała dalsze kontakty z Louise.

- Okryła hańbą siebie i swoją rodzinę - powiedział po tym, jak nazwisko Louise pojawiło się w jednej z gazet, gdzie została przedstawiona jako . bliska przyjaciółka pewnego znanego właściciela sklepu".

Wspomnianym właścicielem sklepu był Harry Selfridge, znany ze słabości do hazardu i romansu z występującymi na scenie bliźniaczkami Dolly Sisters. Zgorszona Beth opowiadała Amber, że widziała Louise w domu towarowym Selfridges, po którym oprowadzał ją sam właściciel.

- Udawałam, że jej nie widzę. Louise miała okropną, wulgarną biżuterię, którą pewnie dostała od niego, i zdecydowanie zbyt intensywny makijaż.

Tymczasem Amber za każdym razem, gdy myślała o Louise, czuła ogromne wyrzuty sumienia. Louise, podobnie jak ona, zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie, oboje zachowały się zbyt lekkomyślnie

z powodu tej miłości i skończyły tak samo. Na szczęście Amber udało się uniknąć konsekwencji dzięki Robertowi, podczas gdy biednej Louise nie miał kto pomóc.

Kiedy zwierzyła się Robertowi ze swoich rozterek, ten bardzo się rozgniewał i zabronił jej kiedykolwiek porównywać się z Louise.

- Jesteś moją żoną. Między wami istnieje ogromna przepaść. Louise to urodzona ladacznica - powiedział ostrym tonem. - Ostrzegano ją przed Ponsonbym, ale ona celowo zignorowała to ostrzeżenie. Wszystkiemu, co ją spotkało, jest sama sobie winna. Nie ukrywa, że każdy mężczyzna, którego na to stać, może wylądować w jej łóżku.

- To nie w porządku - zaprotestowała Amber, ale Robert uciął dyskusję:

- Taka jest prawda i wszyscy o tym wiedzą.

Robert wstał od stolika i zaczął rozmowę z jakimś młodym mężczyzną, który przed chwilą przyjechał, wysokim jasnowłosym młodzieńcem, na oko dziewiętnastoletnim, który miałby piękną twarz, gdyby nie pewien mankament - zbyt ostre spojrzenie blisko osadzonych oczu.

Amber podejrzewała, że młodzieniec ten złamie jej mężowi serce. Mimo swojej mądrości i inteligencji Robert zawsze zatracał się w miłości i to on zawsze angażował się w związek z całym sobą. Wielu spośród jego przyjaciół, których Amber miała okazję poznać, było albo homoseksualnych, albo biseksualnych. Nieobca im była namiętność i nieodwzajemniona miłość, dlatego starali się chronić Roberta przed jego wrażliwością, ale na próżno.

- Problem z Robertem polega na tym - zdradził jej kiedyś Cecil Beaton - że zakochuje się w młodych przystojnych mężczyznach heteroseksualnych, którzy drażnią się z nim, dając mu nadzieję, że są homoseksualni, po czym w ostatniej chwili zmieniają zdanie, zostawiając Roberta na pastwę namiętności, kiedy już złoży swoje serce u ich stóp. Pięć lat małżeństwa otworzyło Amber oczy na świat, z którego istnienia nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Nie była już zaskoczona ani zszokowana, kiedy okazywało się, że pozornie wzorowy mąż albo wprawiony w romansach bawidamek, który adorował kobiety w towarzystwie, w rzeczywistości jest gejem.

Amber słyszała często o „romantycznej miłości”, jednak to, czego doświadczała i co obserwowała w swoim otoczeniu, przekonywało ją, że fi-

zyczna i emocjonalna namiętność przynosi więcej bólu i rozpacz niż szczęścia. Obiecała sobie, że już nigdy nie pozwoli, by podobne uczucia stały się częścią jej życia. Ból, który sprawiła jej miłość do Jeana-Philippea, wypalił ją i zapieczętował jej serce, broniąc je przed kolejnym zauroczeniem.

Teraz Amber popijała White Lady i uśmiechała się ciepło, widząc, jak do stolika zbliża się Beth z mężem.

- Przepraszamy za spóźnienie, ale nasze małe biedactwo ząbkuje i niania nie potrafi sobie z nią poradzić - usprawiedliwiła się Beth, kiedy Alistair zostawił ją i poszedł do baru, gdzie czekali na niego koledzy.

Ubiegłej jesieni Beth urodziła trzecie dziecko; po dwóch synach przyszła kolej na córkę.

- Widzę tam Wallis Simpson - skrzywiła się Beth, siadając obok Amber; nigdy nie zaakceptowała amerykańskiej rozwódki, która stała się bardzo bliską przyjaciółką księcia Walii. - Słyszałaś ostatnie nowiny na temat Diany Guinness?

Z czasem Beth stała się okropną plotkarą i przy całej sympatii dla niej Amber nie podobało się dyskusowanie o prywatnych sprawach innych ludzi. Być może dlatego, że sama nie chciała, by ją obgadywano, i taka perspektywa napawała ją przerażeniem.

Beth nie przestawała mówić o Dianie i jej związku z Oswaldem Mosleyem, który miał w towarzystwie nie najlepszą opinię ze względu na fascynację faszyzmem.

- Nie wiem, co Diana widzi w tym człowieku. Przecież ten faszyzm to coś okropnego.

- To prawda - zgodziła się Amber.

Nie dalej jak kilka dni wcześniej Amber rozmawiała z Robertem o aktualnej sytuacji na świecie i on powiedział jej, że obawia się o przyszłość Europy, jeżeli Hitler będzie kontynuować dotychczasową politykę.

- Moim zdaniem, równie dobrze możemy zacząć rozbudowywać RAF stwierdził. - Społeczeństwo niemieckie jest gotowe hołubić Hitlera za

to, że inwestuje w gospodarkę. Ale kilku moich przyjaciół o żydowskich korzeniach martwi się coraz bardziej o nasilające się nastroje antysemickie w Niemczech.

- Aha, byłabym zapomniała - ciągnęła Beth. - Pamela jest znowu w ciąży. Mama zadzwoniła, żeby mi powiedzieć. Tata i Henry mają na dzieje, że tym razem będzie to syn. Wiesz, ze względu na dziedziczenie  
Dokładnie rok po ślubie Amber i Roberta Henry ożenił się z lady Pamela Mountjoy, córką lorda Noakesa, którego  
ziemia graniczyła z posiadłością ojca Beth. Do tej pory rodziły im się córki. Amber nie dziwiła się wcale, że cała  
rodzina z niecierpliwością oczekiwała dziedzica.

Imię „Henry” wywoływało w niej jednak niemiłe skojarzenia i nic miała ochoty o nim rozmawiać.

- Czy w tym roku też odwiedzisz kontynent? - spytała Beth. Amber zerknęła w stronę Roberta, który nie spuszczał  
rozmarzonego

spojrzenia ze swojego rozmówcy

- Nie podjęliśmy jeszcze decyzji. Robert wspominał coś o kupnie jachtu. W ubiegłym roku bardzo spodobał mu się  
„Daisy Fellowes”.

- Alistair twierdzi, że jachty są bardzo wulgarne - poinformowała ją Beth.

Amber zgasiła na ustach lekki smutny uśmiech. Cztery lata małżeństwa wystarczyły, żeby Beth z łagodnej  
dziewczyny zmieniła się w kobietę, której obce było współczucie. Z całą pewnością nie chciały mieć z Amber nic  
wspólnego, gdyby wiedziała o jej romansie z Jeanem-Philippeem i o tym, z jaką namiętnością mu się oddawała.

Amber była szczęśliwa, że Beth nic nie wie o tym pełnym pasji epizodzie z jej życia ani o jego konsekwencjach.

Amber żałowała, że dała się namówić Robertowi na wyjście do Embassy Clubu. Ale on chciał być na tym przyjęciu,  
Emerald Cunard zaś, którą poznali na jednej z kolacji, namawiała gorąco Amber na przyjęcie. Jednak wraz z  
pojawieniem się księcia Walii w towarzystwie pani Simpson w powietrzu dało się wyczuć pewne napięcie. Wokół  
księcia zgromadzili się ci, których zaakceptowała jego kochanka, tymczasem reszta jego przyjaciół, którzy nie  
zyskali jej przychylności, trzymała się na uboczu.

- Biedak, zadurzył się w niej po uszy.

Amber pokręciła głową z dezaprobatą, słysząc ten komentarz, wypowiedziany przez przystojnego bywalca salonów,  
Maksa Leightona, który przysiadł się do niej.

- Lepiej, żeby nikt nie słyszał tego, co mówisz, Max - ostrzegła go. Lecz on z lekceważeniem wzruszył ramionami, po czym przeciągając

samogłoski w charakterystyczny sposób, dodał:

- Dlaczego? Przecież to prawda. - Po tych słowach nagle zmienił temat rozmowy. - A więc to jest ten nowy obiekt pożądania Roberta, tak? Bardzo aryjski, muszę przyznać. Fihrer dałby im swoje błogosławieństwo.

- To nie jest śmieszne, Max. Antysemicka propaganda, którą rozpowszechnia Hitler, jest ohydna - uniosła się Amber. Max uśmiechnął się do niej cynicznie.

- Moim zdaniem będzie jeszcze gorzej. I nie jestem w tej opinii odosobniony. .. Mój Boże, a cóż to za cudowne stworzenie stoi obok Syrie Maugham? - Max znów zmienił temat. - Wybacz, moja droga, ale muszę lam pójść i spróbować przekonać Syrie, żeby mnie z nią poznała.

Ledwie Max odszedł, Amber usłyszała za sobą ostry głos mówiący z amerykańskim akcentem:

- Cóż za niezwykle bransolety!

Amber odwróciła się i stanęła oko w oko z Wallis Simpson. Amerykańska rozwódka miała na sobie satynową suknię od Schiaparelli w kolorze perłowym, ze szmaragdowozielonym haftem, który poszerzał optycznie jej nienaturalnie szczupłą sylwetkę. Włosy miała przycięte krótko i ładnie zakręcone. W jej uszach błyszczały pasujące do naszyjnika olbrzymie diamentowe i szmaragdowe klipsy.

Amber dostrzegła pazerność w oczach Wallis, która nie odrywała wzroku od jej biało-czarnych bransoletek w kształcie węży z żółtymi diamentowymi ślepiami. Amber rzadko je wkładała. Uważała, że w dobie kryzysu ekonomicznego może to być odebrane jako policzek wobec tych wszystkich biednych ludzi, którzy nie mieli pracy. Ale ponieważ bezrobocie ostatnio trochę spadło, a jej prosta suknia od Chanel była wyjątkowo skromna, postanowiła zrobić wyjątek.

Denby Mili jako jeden z niewielu zakładów przemysłowych nie zwolnił pracowników w szczycie recesji gospodarczej. Amber z początku była zdumiona, a potem zachwycona, gdy rozmawiała o tym z Jayem, który zdradził, że to jej babka wydała instrukcje, aby ani jeden robotnik nie znalazł się na bruku, nawet jeśli miał do wykonania niewiele pracy. Blanche

kazała w tym celu założyć specjalny fundusz socjalny; nie troszczyła się zbyt o samą fabrykę, lecz o pracujących w niej ludzi tak.

- Dziękuję, to prezent ślubny od mojego męża - wyjaśniła Ambei Wallis.

- Od którego jubilera? - nie dała się zbyć amerykańska rozwódka.

- Od Cartiera.

- Davidzie - zawołała władcym tonem Wallis Simpson - podejdź tu tutaj i zobacz te bransolety Są naprawdę wspaniałe.

- Czy wiesz, Robercie, że Wallis Simpson naprawdę wierzy, że księżę Walii ożeni się z nią? - wyznała później Amber mężowi w zaciszu ich biurowca, zdejmując bransolety i deponując je w sejfie.

Robert ziewnął i pokręcił głową.

- Nie poślubi jej - powiedział stanowczo. - Mogę się o to założyć. Rząd nigdy by się na to nie zgodził.

Było już późno w nocy, ale Amber nie potrafiła zasnąć. Tego wieczoru ru obudziło się w niej wiele bolesnych wspomnień. A wraz z nimi powrócił fizyczny ból, który nawiedzał ją z coraz większą regularnością. Amber robiła, co mogła, żeby go stłumić, ale ponieważ jej się to nie udawało, wstydziała się i przejmowała swoją słabością. Jej dotychczasowa wiedza na temat seksualności i kobiecych potrzeb erotycznych przed romanssem z Jeanem-Philippeem ograniczała się do świadomości, iż panienska z dobrego domu nie powinna nawet wiedzieć, że coś takiego jak seks w ogóle istnieje, nie wspominając już o myśleniu o nim czy - Boże uchroni! - próbie poznania go. Z kolei jako mężatka i matka musiała żyć tak, jak gdyby seks i pożądanie, a także chęć zaspokojenia swoich potrzeb w ogóle nie istniały Amber przekonywała samą siebie, że może tak żyć, ale w ciągu kilku ostatnich tygodni ten fizyczny ból - najpierw pojawił się jak delikatny dotyk, po czym minął tak błyskawicznie, że udało jej się przekonać samą siebie, iż go nie odczuła - zaczął powracać i prześladować ją z coraz większą mocą.

Amber leżała w ciemności, zaciskając zęby i broniąc się przed powracającą falą bólu oraz równie kłopotliwym pragnieniem. Pożądanie, które pochwyliło ją w swoje szpony, było jej wstydliwym sekretem, który dzieliła wyłącznie z mrocznymi nocnymi godzinami. W ciągu dnia mogła je ignorować, znajdując różne zajęcia. Ale w nocy...

Spojrzała w stronę zamkniętych drzwi do przedpokoju, który oddzielili jej sypialnię od sypialni Roberta. Jej męża. Poczula w sercu lekkie ukłucie, które na chwilę odebrało jej oddech. Kiedy go poznała, wydawał jej się taki wspaniały i romantyczny. Mało brakowało, a oddałaby mu swoje serce, póki nie dowiedziała się... Marzyła o Robertcie, jak przystało na młodą niewinną dziewczynę - śniła o romantycznych uniesieniach, czułych pocałunkach i delikatnych pieszczotach. Ale teraz o tych samych pocałunkach i pieszczotach marzyła dojrzała kobieta, nie młódka. Iłol i cierpienie nasilały się. A Robert był jej mężem. Inni mężczyźni jeno pokroju mogli się pochwalić normalnymi małżeństwami, czego dowodem były dzieci. Tymczasem Amber czuła się taka samotna, pozbawiona czegoś ważnego, niemalże oszukana. Oszukana? Jak w ogóle mogła tak myśleć po tym wszystkim, co Robert dla niej zrobił? Do oczu napłynęły jej łzy.

Czy to naprawdę takie złe życzyć sobie, aby Robert od czasu do czasu był dla niej mężem z prawdziwego zdarzenia? Drzwi do korytarza zdawały się przyciągać ją do siebie. Wstała i na koszulę nocną narzuciła koronkowy peniuar. Serce waliło jej z podniecenia i obawy, kiedy podeszła do drzwi i otworzyła je.

Sypialnia Roberta była pomalowana i urządzona w kolorach czystej bieli i bladej szarości z domieszką srebra. Była bardzo męska i nowoczesna. Ciemne deski podłogowe przykrywał gruby mięsisty dywan utkany na specjalne zamówienie. Brzegi dywanu zostały wykończone srebrnobiałą nicią, środek zaś był w kolorze gołębim, który połyskiwał w blasku księżyca. Robert uwielbiał światło księżyca i nigdy nie zasuwiał zasłon, kiedy księżyc był widoczny na niebie.

Spał teraz na boku, twarzą w kierunku okna. Jego ciemne włosy i czarna jedwabna piżama kontrastowały z białą poduszką, pod którą włożył rękę.

Amber poczuła, że ogarnia ją słodycz miłości, lecz stłumiła na chwilę płonący w niej ogień. Czy faktycznie byli w stanie ofiarować sobie trochę li/.ycznej radości? Amber nie pragnęła Roberta tak jak kiedyś Jeana-Philippe'a, ale w końcu byli mężem i żoną. Do kogo miała się zwrócić z próbą, jeśli nie do niego, aby ugasił gorejący w jej wnętrzu pożar, który nie dawał jej spać? Przecież lubili się i szanowali - wiele innych małżeństw,



które nie darzyły się takimi dobrymi uczuciami, utrzymywało kontakty intymne. Czy oni naprawdę nie mogli pozwolić sobie na to samo?

Obeszła łóżko z drugiej strony, spojrzała na pogrążoną we śnie twarz Roberta, a potem dotknęła jej, gładząc go po policzku i szepcząc jego imię.

Robert natychmiast się ocknął i zrzucił z siebie jej rękę, po czym usiadł na łóżku i spytał ostrym tonem:

- Amber, co ty tutaj robisz?

- Nie mogłam spać - odparła zgodnie z prawdą i zanim straciła resztki odwagi, wyrzuciła z siebie: - Robercie, cierpię tak bardzo, że wręcz sprawia mi to fizyczny ból. To przez niego nie mogę zasnąć i...

- Źle się czujesz? Mam wezwać doktora? - Robert odrzucił kołdrę na bok i wstał. Zapalił lampkę nocną i przyjrzał się Amber, marszcząc brwi.

- Nie - natychmiast zaprzeczyła. - To nie taki ból, o jakim myślisz. Och, Robercie, czasem czuję się taka samotna. - Zarzuciła mu ramiona na szyję i wtuliła się w jego ciało, kładąc mu głowę na piersi. - Chcę być z tobą tak jak żona ze swoim mężem. Proszę... - Podniosła głowę i pocałowała Roberta w usta.

Natychmiast poczuła, jak jego ciało sztywnieje i przesywa je nagły dreszcz. Chwilę później Robert złapał ją za ramiona i odepchnął z taką siłą, że prawie upadła.

- Musiałś chyba wypić dzisiaj za dużo szampana. To jedyne, co przychodzi mi do głowy na usprawiedliwienie twojego zachowania.

- Robercie - błagała go - pragnę cię. Jesteś moim mężem.

- Nie chcę tego słuchać, Amber. Proszę, ani słowa więcej. - Na chwilę odwrócił się do niej plecami, po czym znowu spojrzał na nią rozzłoszczony. - Przecież wiesz, kim jestem.

- Ale inni mężczyźni, tacy jak ty, potrafią być także mężami dla swoich żon - zaprotestowała. - I...

- Nie, oni nie są tacy jak ja. Nie rozumiesz tego?

Kiedy Amber potrząsnęła głową, Robert zaklął pod nosem i powiedział wprost:

- Dobrze, w takim razie postaram się, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Dla mężczyzn mojej orientacji sama myśl o dotknięciu kobiecego ciała w taki sposób, jakiego ty pragniesz, jest czymś, co budzi w nas odrazę i napa-

wa fizycznym obrzydzeniem. Wystarczy już, że słyszę o twoim pożądaniu, o tym, że mnie pragniesz i potrzebujesz... Skreca mnie od tego w żołądku.

Przez chwilę Amber nie była w stanie wykrztusić słowa z szoku i poniżenia. Na szczęście na ratunek przyszła jej duma.

- Skoro nie potrafisz być dla mnie mężem, cóż mam począć? Znosić w milczeniu ból, wiedząc, że ty możesz zaspokajać swoją żądzę, kiedy tylko zechcesz i z kim zechcesz?

- Przyjęte jest, że kobieta może sobie wziąć kochanka, pod warunkiem że nie będzie się z tym obnosić ani nie urodzi swojemu mężowi kilkorga bękartów. - W głosie Roberta słychać było suchą formalność. - Jeśli potrzebujesz mojej rekomendacji...

- Nie! - Tym razem to twarz Amber wykrzywił grymas obrzydzenia. Wolę cierpieć w milczeniu i zachować szacunek dla samej siebie niż pozwolić, żeby mój mąż kupczył mną jak jakąś ladacznicą... Nie wystarczy ci to, co już mi uczyniłeś? Naprawdę aż tak bardzo mnie nienawidzisz, Robercie? - Zamilkła, a gorzkie łzy, które połykała, odebrały jej mowę.

- Tu nie ma mowy o żadnej nienawiści. Jesteś moją żoną. Sam cię wybrałem.

Amber roześmiała mu się w twarz.

- Twoją żoną? Którą wolałbyś oddać innym mężczyznom niż dzielić z nią łóżko? Mam się dla ciebie kurwić?

- Tego już za wiele, Amber. Mogę zrozumieć histerię, ale nie będę tolerować takiej wulgarności. Przykro mi, że cię zasmuciłem, ale nie powinnaś tu przychodzić. To moja wina, jak sądzę. Powinienem dopilnować, aby drzwi do korytarza były w nocy zamknięte na klucz. Musisz nauczyć się żyć ze swoimi... potrzebami, Amber, albo znaleźć sobie jakiś dyskretny sposób ich zaspokajania. Niektóre kobiety - te szlachetnie urodzone, bez wątpienia - potrafią znaleźć wyjście z tej sytuacji. Wybór należy do ciebie. Ale nie chcę już więcej słyszeć ani słowa na ten temat. Proszę, żebyś wróciła teraz do swojej sypialni.

Amber poczuła ulgę, mogąc uciec i schronić się w swoim pokoju. Jak mogła się tak poniżyć?

Ból i pragnienie, które przywiodły ją do sypialni Roberta, zniknęły. I nie powinny już nigdy wrócić. Myśl o tym, że mogłaby bez skrpułów

znaleźć sobie sekretne kochanka, napawała ją jeszcze większym wstrętem niż upokorzenie, którego doznała od swojego męża. Nie, od tej pory będzie żyć inaczej - jako żona mężczyzny, który jej nie chciał. Ani nie weźmie sobie kochanka, ani też nie poprosi męża po raz drugi, by spełnił jej pragnienia.

Roztrzęsiona wróciła do łóżka. Chciała zamknąć oczy i zapomnieć o tym, co zdarzyło się tej nocy, jak gdyby był to tylko zły sen.

- Amber, tak sobie pomyślałem...

Zamarła. Minęły dwa dni od rozpaczliwej próby uwiedzenia własnego męża i jak do tej pory Robert nie wspominał o tym zajściu ani słowem.

- Ponieważ wybierasz się do Macclesfield, a potem do Osterby - kon tynuował z ostrożną lekkością - pomyślałem, że mógłbym w tym czasie wyskoczyć na kilka dni do Paryża.

Czy to ulga, a może i wstyd sprawiły, że Amber czuła się tak beztrosko? I czy w ogóle miało to jakieś znaczenie?

Robert odezwał się znowu, a ona zmusiła się do tego, żeby skupić się na tym, co on mówi.

- Biedaczek Otto nigdy nie był w Paryżu. Wyobrażasz sobie? Pomyślałem, że mogło by mu się tam spodobać.

Amber chciała ostrzec Roberta, żeby nie oddawał mu swojego serca tak szybko i bez granic. W lodowatym i wyrachowanym spojrzeniu nowego chłopaka jej męża, kiedy patrzył na niego z takim uwielbieniem, było coś, co sprawiało, że Amber przeszywał dreszcz.

## Rozdział 26

Jay, co za cudowna niespodzianka! - Amber nie kryła, jaką radość sprawił jej widok Jaya czekającego na nią na peronie kolejowym stacji Macclesfield.

- Twoja babcia miała spotkanie w komisji charytatywnej i poprosiła, żebym cię odebrał, ponieważ sama potrzebowała Horacea z samochodem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Amber roześmiała się.

- Dużo większą przyjemność sprawia mi widok ciebie niż Horace'a. Podobnie jak jazda w twoim towarzystwie. Babcia naprawdę powinna go z wolnić. Nie wiem, czy może się czuć przy nim bezpiecznie.

- Pewnie nie. Ale znają go wszyscy w okolicy i zawsze przepuszczają jego Bentleya, więc chyba jednak nic jej nie grozi. A ty przyjechałaś zobaczyć jedwab, prawda? - Jay uśmiechnął się, otwierając Amber drzwi solidnie wyglądającego Morrisa Oxforda.

- Tak. Widziałeś go już? - zapytała wyraźnie podniecona.

- Jeszcze nie. Maurice Westley chciał, żebym rzucił na niego okiem, ule pomyślałem, że będziesz chciała zrobić to pierwsza. Maurice strasznie się nim ekscytuje - przynajmniej jak na człowieka z Yorkshire - i uważa, że spisali się na medal.

Maurice Westley był nowym dyrektorem fabryki, którego Jay znalazł po tym, jak Amber zwierzyła mu się, że brak zainteresowania ze strony Blanche w połączeniu ze starym dyrektorem w podeszłym wieku doprowadzą zakład do dalszych strat finansowych.

Jay potrafił sobie radzić z jej babką w sobie tylko znany sposób i wychodziło mu to lepiej niż Amber. Dlatego ona nie posiadała się ze szczęścia, kiedy Jay poznał ją z Westleyem, który wprawdzie nigdy nie ukrywał, że większą estymą od jedwabiu darzy wełnę i bawełnę, ale szybko zaaklimatyzował się w fabryce, a robotnicy szanowali go.

Radom Cecila Beatona i własnemu dyskretnemu lobbingowi Amber zawdzięczała kilka lukratywnych zleceń dla fabryki, między innymi

zamówienia od Jamesa Leesa-Milnea, którego kontakty w Narodowym Funduszu na rzecz Renowacji Zabytków zaowocowały tym, że z czasem stał się kimś w rodzaju eksperta w dziedzinie odnawiania największych posiadłości w kraju.

W Macclesfield produkowano białe jedwabie do wnętrz Syrie Maug ham, realizowano też nadal kilka kościelnych kontraktów, które wiele lat temu zawarł jeszcze ojciec Amber. Ale to głównie dzięki Robertowi Denby Mili otrzymał zamówienie na ogromne ilości jedwabiu wykorzystywanego do produkcji spadochronów. To on wyczuł koniunkturę, kiedy rząd brytyjski ogłosił wiosną 1935 roku, że w ciągu dwóch lat zamierza potroić liczebność sił zbrojnych RAF w odpowiedzi na rosnący potencjał zbrojeniowy Niemiec. I to Robert, wykorzystując swoje kontakty i znajomości, sprawił, że zakład został zaproszony do przetargu na nowe kontrakty

Po wygraniu rządowego przetargu na dostarczenie jedwabiu do spadochronów sytuacja finansowa fabryki zmieniła się diametralnie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ten jedwab - przyznała Amber. - Umówiłam się już w Denby Mili jutro przed południem. Jeśli uda ci się znaleźć trochę czasu, byłabym szczęśliwa, gdybyś zechciał mi towarzyszyć, Jay

- Powinno mi się udać.

Kiedy Jay uśmiechnął się do niej, Amber uświadomiła sobie, że równie dobrze wygląda on w eleganckim ubraniu wizytowym, jak w wygodnej marynarce, którą wkładał na co dzień. Być może wina leżała po jej stronie, ale znudziło już ją towarzystwo zbyt wygadanych, dowcipnych mężczyzn i kobiet i ich powierzchownego poczucia humoru.

Esencję pozbawionego głębszego sensu życia, które wiedli, stanowiły wyłącznie eleganckie przyjęcia i bycie na bieżąco z najnowszymi ploteczkami towarzyskimi.

- Jak się czuje Lydia? - spytała Amber.

- Trochę lepiej. Doktor Brookes zabronił jej mieć więcej dzieci. Podejrzewa, że to ciąża i poród są odpowiedzialne za stan jej zdrowia.

Lydia bardzo cierpiała po urodzeniu dwóch córek. Chociaż Jay był bardzo lojalny wobec swojej żony i nie wspomniał słowem o jej zachowaniu, Amber dowiedziała się od babci, że po przyjściu na świat ich drugiego dziecka, tuż przed Bożym Narodzeniem, stan Lydii pogorszył się do tego stopnia, iż obawiano się nie tylko o jej zdrowie psychiczne, ale także

O bezpieczeństwo maleństwa. Amber było bardzo żal Jaya i Lydii, ale po wyrazie jego twarzy wiedziała, że jakakolwiek oznaka współczucia jeszcze bardziej urazi jego dumę.

Wiedziała również, że mężczyźni takim jak Jay, który kochał swoją żonę, trudno było pogodzić się z całkowitą wstrzeźliwością seksualną w małżeństwie, która okazała się jedyną metodą zapobiegania ciąży, i oczywiście mógł sobie znaleźć kochankę, ale Macclesfield różniło się od kosmopolitycznej społeczności Londynu, gdzie takie sytuacje nie były niczym zdrożnym.

- A co z twoim dziadkiem? - zagadnęła, kiedy mijali Dower House. Po tym, jak Jay ożenił się z Lydią, Amber namówiła dyskretnie babcię,

żeby pozwoliła Jayowi wprowadzić się do pustej posiadłości i uczynić Dower House swoim domem. Był bowiem wystarczająco duży, żeby pomieścić całą rodzinę, a do tego jeszcze miał ogród.

- Właściwie bez zmian - odparł. - Twoja babcia wciąż naciska na niego, żeby sprzedał dom i ziemię, ponieważ tylko w ten sposób uchroni się przed kompletną ruiną. A on jest równie zdeterminowany, żeby nie rozstawać się z ani jednym aren. Uparł się, że dom może zostać sprzedany wyłącznie po jego śmierci, żeby zapłacić podatek spadkowy.

- To musi być dla niego trudne - wyraziła swoje współczucie, ale w duchu pomyślała o nim: Stary, uparty głupiec. Dotarli już do domu i Jay zaparkował samochód przed drzwiami frontowymi, po czym wysiadł i pomógł Amber wyjść z auta.

- Miałaś ostatnio jakieś wieści od Grega? - spytał, kiedy zbliżali się do drzwi.

- Tydzień temu.

Amber bardzo martwiła się o swojego kuzyna. Nie widziała go już od lat, a listy zdradzały coraz większe rozchwianie emocjonalne Grega.

- Jay, on wydaje się taki nieszczęśliwy i poprosił mnie o pożyczkę. Oczywiście mogę to zrobić, ale martwi mnie, że potrzebuje tak dużych sum.

- Bałem się, że może to zrobić - odpowiedział Jay. - Posłuchaj, nie chcę mówić o nim za jego plecami, ale wygląda na to, że Greg napisał sobie biedy.

- To znaczy?

- Zaciągnął spore długi, które twoja babka musiała spłacić. Podobno zadaje się też z chińskimi prostytutkami.

Przynajmniej tak wynika z rek. cji Henry ego Jardine a. Blanche pokazała mi list od niego.

- Chciałabym, żeby Greg wrócił do domu. Nic chyba nie stoi na przeszkodzie, żeby to zrobił, prawda? Przecież lord Fitton Legh ożenił się po wtórnie.

Lord Fitton Legh poślubił Cassandrę zaledwie rok po śmierci Caro lme. Amber była tym zaskoczona, ale babcia wyjaśniła jej, że to stara tradycja, w myśl której rody Fitton i de Vries zawsze wiążą się ze sobą.

- Greg chyba nie chce wracać. Tak przynajmniej twierdzi twoja babka. Uważa, że on obawia się ostracyzmu ze strony tutejszej społeczności.

- A może Greg ma wciąż wyrzuty sumienia z powodu Caroline? - po myślała na głos Amber. - To, co jej się przytrafiło, musiało odcisnąć s,ę ogromnym piętnem na jego psychice.

Jay powątpiewał w to, ale nie chciał martwić Amber, więc odpowiedział grzecznie:

- Myślę, że jego wspomnienia rzeczywiście mogą odgrywać jakąś rolę w tym, że nie chce wracać.

- Z jego listów można wywnioskować, że prowadzi bardzo bogate życie towarzyskie w Hongkongu. Zawsze przeprosza, że nie może napisać więcej - kontynuowała Amber. - Ale kiedyś będzie musiał wrócić. Jest spadkobiercą babci i wiem, że ona za nim tęskni. Na pewno chciałaby, żeby się ożenił i ustatkował.

- O której jutro mam po ciebie przyjechać? - Jay taktownie zmienił temat.

- Może być o jedenastej?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem i pożegnał się z Amber, kiedy kamerdyner Wilson otworzył jej drzwi.

Greg odczekał chwilę, po czym celowo ściągnął na siebie spojrzenie Chińczyka, który stał jakby nigdy nic, przy niepozornie wyglądających drzwiach, wciśniętych w cień, tuż obok szulerni, tak że łatwo dało się je przegapić, jeśli było się tu pierwszy raz.

Greg miał za sobą paskudny dzień. Pieniądze, które miał dzisiaj dostać od babci, nie dotarły, a rumiany menedżer w banku miał czelność odmó-

wic mu zaliczki, twierdząc, że ma ważne spotkanie, kiedy Greg próbował się z nim umówić. A na domiar złego ten cholerny krawiec, który szył dla mego garnitury, ośmielił się pojawić w biurze, domagając się zwrotu pieniędzy, które Greg był mu winien.

Greg miał nadzieję, że szczęście uśmiechnie się do niego przy stole do Ht y. Tłumaczył sobie, że kiedyś przecież musi nadejść jakaś zmiana, a dzisiaj jest na to równie dobry dzień jak każdy inny.

Wyglądało na to, że miał rację, bo udało mu się za jednym rozdaniem wygrać prawie sto funtów, ale później fortuna opuściła go i przegrał drugie tyle.

Mężczyzna strzegący drzwi skinął na niego głową i Greg ruszył w jego stronę.

Z początku był sceptycznie nastawiony do wizyty w palarni opium, ale kiedy Lionel go wyśmiał, przełknął dumę i udał się tam w towarzystwie kogoś innego.

Kiedy Greg wślizgnął się do środka przez uchylone drzwi, pokręcił głową z żalem. Ależ był naiwny, wyobrażając sobie, że to miejsce będzie przypominać cieszące się złą sławą slumsy Limehouse w Londynie, o których rozpisywały się angielskie brukowce.

Tutejsza palarnia opium wyglądała zupełnie inaczej. Co prawda wąskie schody, które prowadziły na górę z jaskini hazardu, były stare i zniszczone, ale kiedy Greg dotarł na górny podest i wręczył strażnikowi żeton, który otrzymał, uściwszy opłatę za wstęp na parterze, otworzyły się przed nim drzwi, jeśli nie do raj, jak utrzymywali miejscowi *aficionados*, to na pewno do bardzo eleganckiego salonu, gdzie same akcesoria do palenia opium były dziełami sztukami. Na wypolerowanej drewnianej podłodze stały wielkie niskie łoża, a na nich leżeli goście w jedwabnych szlafrokach, w które przebierali się za parawanem.

Szlafrok, który dostał Greg, był czerwony i ozdobiony wizerunkami złotych smoków. Włożywszy go, uśmiechnął się. Wyrażenie „pogoń za smokiem” było metaforą, którą Chińczycy określali palenie opium.

Wskazano mu łoże, na którym spoczywał tylko jeden mężczyzna; Europejczyk, jak wszyscy pozostali klienci. Na ścianach wisiały zwoje z wykaligrafowanymi wróżbami i grube jedwabne kotary. W powietrzu unosił



się słodki zapach opium, zbyt cenny, żeby dać mu uciec przez otwarte okna czy włączone wentylatory.

Po chwili Gregowi podano także emaliowaną tacę ze wszystkimi niezbędnymi akcesoriami i lampę z wąskim kominem, którego wylot skierowany był na zbiornik fajki z opium.

Wszystkie lampy były wykonane ręcznie i misternie zdobione, podobnie jak fajki z niewielkimi grudkami cennego narkotyku, umieszczone na delikatnie rzeźbionym srebrnym siodełku.

W tym gustownie urządzonej sypialni wszystko zostało zorganizowane tak, aby ci, których było stać na luksus palenia opium, mogli poczuć się naprawdę wyjątkowo. Miejsce to w niczym nie przypominało obskurnych i nędznych spelun, w których paliło się opium w najbiedniejszych dzielnicach Hongkongu.

Greg zaciągnął się dymem i pozwolił, by opuściły go wszystkie troski z całego dnia, ustępując stopniowo uczuciu euforii. To nie był pościg za smokiem, lecz dosiadanie go, rozkazywanie mu i czerpanie z tego przyjemności.

- No cóż, Amber. Myślałam, że jesteś na tyle rozsądna, by towarzyszyć swojemu mężowi w drodze do Paryża, zamiast przyjeżdżać tutaj i zamawiać jedwab do salonów jak żona jakiegoś sklepikarza.

Amber z żalem stwierdziła, że jej babka nic się nie zmieniła. Ubrała się do śniadania jak na bal. Jak zwykle miała na sobie sznur pereł, a gołębice włosy spięła z wielką elegancją.

- Robert ma swoje sprawy w Paryżu - odcięła się Amber. - Co się zaś tyczy jedwabiu, to ty nauczyłaś mnie pilnować swoich interesów.

- Nie rozumiem tej fascynacji dekorowaniem wnętrz zdającej się ogarniać ludzi, którzy powinni wiedzieć, że są na tym świecie ważniejsze sprawy. Za każdym razem, gdy otworzę „Vogue'a”, widzę te bzdury o przestawianiu mebli. Myślałam, że ty też masz ważniejsze rzeczy na głowie. Na przykład dziecko i dbanie o przyszłość swojej rodziny. Gdyby cokolwiek stało się Lucowi...

- Nic mu się nie stanie. - Amber ze złością przerwała babce w pół zdania.

Na samą myśl o tym, że jej synowi mogłaby przytrafić się jakaś krzywda, Amber czuła ogromną potrzebę chronienia go, a z drugiej strony niesłychanie się o niego bała.

Nie jesteś Bogiem, Amber. Jeśli wybuchnie kolejna wojna, a wiele na to wskazuje, biorąc pod uwagę zbrojące się Niemcy... - Blanche zrobiła wymowną pauzę.

Oczywiście jej babka nie mogła wiedzieć, że nie było mowy o kolejnym synu.

- Jestem zaskoczona, że Cassandra nie urodziła jeszcze lordowi Fittonowi Legh dziecka - ciągnęła Blanche. -

Wprawdzie on ma już potomka, z którego powinien się cieszyć, zważywszy na to, że zarówno Fittonowie, jak i de Vriesowie mają problem z wydawaniem na świat męskich potomków, zwłaszcza jeśli zawierają małżeństwa między sobą.

- Żona lorda de Vries pochodziła z rodu Fitton i mieli syna - nie omieszkała wytknąć jej Amber.

Chyba po raz pierwszy w życiu ujrzała na twarzy swojej babki bolesny smutek, który przyćmił jej wzrok.

- To prawda, lord de Vries miał syna. Ale syn nie zawsze może być spadkobiercą. Dlatego sugerowałabym ci, żebyś więcej czasu spędzała z mężem, starając się o drugie dziecko, a mniej uwagi poświęcała nowym zasłonom w domu.

Amber uświadomiła sobie z żalem, że babka zawsze musiała mieć ostatnie zdanie. Godzinę później zatelefonowała do Jaya, by mu powiedzieć, że spotka się z nim na miejscu, a nie w domu.

Poranek był tak cudowny, że szkoda byłoby nie skorzystać z promieni słońca, które zalewały szosę biegnącą wzdłuż plaży i rzucały roztańczone cienie na żwirowej nawierzchni.

Gustowne, pomalowane na czarno barieryki odgradzały drogę od pobocza, z którego na szosę mogły wyskoczyć żyjące w pobliskim parku jelenie. Amber widziała, jak pasą się na trawie po obu stronach szosy. Blanche zauważyła też jelenia w Lyme Park w Disley i namawiała Jaya, żeby sprowadził te zwierzęta do Denham.

Samce bażantów, które uciekły z ziemi lorda de Vries, gdzie były kiedyś trzymane do polowań, zamarły w bezruchu, kiedy Amber je mijała,

udając, że nie istnieją, po czym nagle z trudem poderwały do lotu swoje ciężkie ciała, młócąc powietrze skrzydłami. Jay śmiał się, że bażanty bardziej przypominają mu udomowione zwierzęta niż dzikie ptaki, więc Blanche wydała polecenie, by do nich nic strzelać. Amber z kolei podejrzewała, że jej babci mniej niż na ochronie ptactwa zależało na tym, by rozdrażnić lorda de Vries, któremu często zdarzało się naruszać granicę jej włości.

Małżeństwo z Robertem i odpowiedzialność za własny dom nauczyły Amber, jak należy dbać o ziemię. Z czasem zaczęła więc doceniać wartość ciężkiej pracy i pieniędzy wkładanych w utrzymanie włości wokół Denham Place w tak doskonałym stanie.

Jay wspomniał jej kiedyś, że są bardzo zadowoleni z tegorocznych dochodów, jakie przynosiła wydzierżawiona farmerom ziemia. A kiedy Amber zwróciła mu delikatnie uwagę, że pewnie jest mu przykro, kiedy widzi, jak posiadłości ziemskie wokół Denham Place rozkwitają pod jego nadzorem, podczas gdy ziemia jego dziadka leży odłogiem z powodu braku należytych inwestycji i dobrego zarządzania, pokręcił głową.

- Nigdy nie interesowała mnie ta ziemia i szczerze mówiąc, łatwiejsza wydaje mi się praca dla twojej babki niż dla mojego dziadka. Ta ziemia ma dla niego wyłącznie wartość sentymentalną, natomiast twoja babka ceni ją za to, że przynosi wymierne dochody.

- A mimo to nienawidzi fabryki i trzeba ją nakłaniać, a czasem wręcz zmuszać, żeby zainwestowała w nią choćby najmniejszą sumę. Być może dlatego, że ziemia jest dla niej inwestycją arystokratyczną, a zakład tekstylny - kupiecką. A ponieważ jest wielką snobką, nie chce mieć nic wspólnego z handlem - podsumowała Amber.

Kiedy dotarła do Dower House i otworzyła bramę prowadzącą do ładnego ogrodu, zobaczyła nianię, która szła przez trawnik i jedną ręką pchała dziecięcy wózek, drugą ręką zaś trzymała małą dziewczynkę.

Dzieci Jaya. Amber uśmiechnęła się ciepło do starszej córki, zastanawiając się, czy mała Ella będzie ją pamiętać, po czym roześmiała się serdecznie, widząc, jak dziewczynka puszcza rękę opiekunki, biegnie przez trawnik i rzuca się jej na szyję.

Skóra małego dziecka ma taki piękny czysty zapach - pomyślała, otwierając szeroko ramiona i tuląc do siebie Elle. Dopóki sama nie urodziła Luca, nie zdawała sobie sprawy, jak silny był jej instynkt macierzyński. Bardzo chciałaby mieć więcej dzieci i kiedy tak trzymała w ramionach małe, wijące się ciało Elb, która obsypywała ją pocałunkami, poczuła skurcz bólu w łonie.

Ale, ale, panno Ello, dosyć już tych ekscytacji - upomniała dziewczynkę niania.

Mnie też to dotyczy - z goryczą pomyślała Amber.

- Jeśli się spoci i przeziębi, to będzie moja wina. - Amber uśmiechnęła się do niani. - Ale widzę, że obydwie dziewczynki bardzo podrosły. To pewnie także pani zasługa.

Opiekunka dała się udobruchać.

- Nie twierdzę, że zawsze jest nam łatwo, łaskawa pani. Młodsza dziewczynka nie daje nam ostatnio spać, to pewnie przez ząbkowanie.

Amber postawiła Elle na ziemi, ale nie wypuściła jej dłoni z ręki, kiedy zaglądała do wózka.

Dziecko było łudząco podobne do swojej starszej siostry, kiedy ta też była taka mała, i miało te same, wielkie i szeroko rozstawione szare oczy czy Jaya. Kiedy dziewczynka się uśmiechnęła, odsłoniła załączki dwóch pierwszych ząbków, a gdy wyciągnęła rączki, żeby ją wziąć na ręce, Amber wiedziała już, że lada moment straci dla niej głowę.

- Och, ależ ty jesteś wspaniała.

Miała ochotę wyjąć ją z wózka, ale wiedziała doskonale, że niania nie życzy sobie, aby zakłócać ustalony przez nią porządek dnia. Widać było wyraźnie, że trzyma wózek stanowczo, dlatego Amber nie odważyła się wyciągnąć z niego dziewczynki, tylko uklękła i znowu przytuliła Elle, zastanawiając się, czy uda się wysłać dla niej trochę ładnych ubrań z Londynu, nie narażając przy tym na szwank dumy Jaya.

- Czy pani Fulshawe jest w domu i przyjmuje gości? - spytała opiekunkę. Byłoby to z jej strony niegrzeczne, gdyby nie odwiedziła Lydii, mimo

iż poranek nie był zwyczajowo przyjętą porą na składanie wizyt.

- Przykro mi, łaskawa pani, ale pani Fitton Legh zabrała ją dziś rano do Manchesteru.

W tym momencie zjawił się Jay. Widać było, że bardzo kocha swoje córki - gdy Ella domagała się pieśczoć, próbował udawać surowego, ale szybko się poddał i wziął ją na ręce.

- Chciałam przywitać się z Lydią, ale niania powiedziała, że wyjechała z Cassandrą do Manchesteru - odezwała się Amber, kiedy dzieci oddaliły się razem z opiekunką.

- Tak. Cassandrą uznała, że taki wyjazd dobrze zrobi Lydii.

- Jestem pewna, że wkrótce poczuje się lepiej - odpowiedziała z troską w głosie.

- Mam nadzieję - odparł pośpiesznie Jay - dla dobra dzieci i własnego. Amber zauważyła, że Jay jak zwykle myśli tylko o innych, a nigdy o sobie.

- Ella jest niesamowicie przejęta tym, że o niej pamiętałaś - rzekł Jay, kiedy byli już w aucie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - roześmiała się Amber.

- Luc ma wielkie szczęście, że jesteś jego matką.

Czy Jay myślał w tej chwili o swoich dzieciach i o biednej Lydii?

- Nie, to ja mam szczęście - odpowiedziała cicho Amber. - I to większe, niż na to zasługuję. Pod różnymi względami. Ale przede wszystkim dlatego, że Robert się ze mną ożenił.

Spojrzeli po sobie i Amber wiedziała, że Jay doskonale rozumie, o co jej chodzi.

- Kiedy Robert mi się oświadczył, powiedział, że to małżeństwo otworzy mi drzwi do mojej przyszłości. I miał rację. Jay... - Amber zamilkła na chwilę. Nie chciała rozmawiać o Robertcie za jego plecami, ale Jay był jej przyjacielem, ufała mu i ceniła jego rady - Widziałam pewien sklep, który chciałabym kupić, żeby sprzedawać w nim mój jedwab. Mieści się przy Walton Street i jest idealny pod każdym względem. To był pomysł Cecila, który zasugerował, że powinnam otworzyć sklep, i muszę przyznać, że bardzo mi się to spodobało. Ale nie rozmawiałam o tym jeszcze z Robertem i...

Jay zerknął ukradkiem na jej pochyloną głowę.

Dziś rano Lydia była ogromnie rozemocjonowana wyjazdem z Cassandrą i jak zwykle, będąc w takim nastroju, mówiła Jayowi, jak bardzo go nienawidzi i żałuje, że za niego wyszła. Potem, kiedy jej nastrój diametral-

nie się zmieni, będzie oczywiście błagać go o przebaczenie i zapewniać, że kocha jego i dzieci najbardziej na świecie. Będzie wieszać mu się na szyi, płakać i błagać, aż w końcu osłabnie pod wpływem emocji.

- Brzmi naprawdę nieźle - powiedział ostrożnie Jay.

- Ale uważasz, że Robert nie będzie zachwycony tym pomysłem -Zgadła Amber.

- Znasz go lepiej niż ja. Ale mężczyźni rzadko chcą, by ich żony prowadziły własne interesy. Zwłaszcza przy takiej pozycji, jaką ma Robert.

- Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć, i sama też o tym myślałam. Ale zrozum, Jay, potrzebuję czegoś własnego, czegoś..

.. dla czego warto będzie żyć - dokończyła już w myślach Amber.

- Pewnie uważasz mnie za strasznie samolubną. Mam dobrego męża i wspaniałego syna.

- Nic takiego nie pomyślałem - zapewnił ją Jay. - Wręcz przeciwnie. Myślę, że to świetny pomysł. Nie jestem tylko pewien, jak zareaguje Robert. Nie chciałbym rozbudzać twoich nadziei, jeśli okaże się, że przeżyjesz rozczarowanie.

- Pomyślałam, że przy okazji dzisiejszego spotkania poradzę się w tej sprawie Jamesa Leesa-Milnea. W końcu należy do tych samych kręgów społecznych co Robert, a poza tym działa w Narodowym Funduszu na rzecz Renowacji Zabytków, co oznacza, że Robert będzie bardziej liczyć się z jego opinią.

Jay i Amber dojechali do fabryki. Z Jayem zawsze tak łatwo się rozmawiało i Amber nawet nie zauważyła, kiedy minęła jej droga.

- Jesteś dla mnie takim dobrym przyjacielem - powiedziała, ściskając go za rękę.

Wysiedli z samochodu i skierowali się do wejścia.

Jay uśmiechnął się. Amber nigdy się nie dowie, jak ważne miejsce zajmowała w jego sercu i jak bardzo chciał być z nią. Ożenił się z Lydią, wiedząc, że nie ma wyboru. Przekonał sam siebie, że lepiej będzie mieć żonę niż pozostać samotnym. Postanowił też, że zrobi co tylko w jego mocy, żeby być dla niej dobrym mężem.

To wszystko nie wystarczyło jednak, by zapomnieć o miłości do Amber, chociaż schował to uczucie głęboko w sercu, wiedząc, że nigdy nie

uda mu się jej go okazać. Miał zobowiązania wobec Lydii, która była jego żoną, i nie zamierzał obciążać Amber swoją miłością. Jednakże choć cza sem było to dla niego niezwykle bolesne, wolał mieć ją za przyjaciółkę ni/ nie mieć jej wcale. Oczywiście nigdy nie zaryzykuje i nie wyjawia jej tego, co czuje, przede wszystkim dla jej dobra. Nie chciał jej zasmucić.

To, co czuł do Amber, nie mogło zagrozić jego małżeństwu z Lydią. W końcu Amber pokochał pierwszą. Kochał też swoje córki, do szaleństwa i bezwarunkowo, ale kiedy Lydia oskarżyła go, że jej nie kocha, Jay poczuł wyrzuty sumienia. Chciał ją kochać, ale natura Lydii sprawiła, że życie z nią było bardzo trudne. Tak naprawdę nic ich nie łączyło. Lydia bez przerwy narzekała, że Jay, który pochodził ze znamienitego rodu de Vries, jest tylko zarządcą majątku. A on podejrzewał, że ma w tym swój udział także Cassandra. Lydia zawsze sprawiała wrażenie wyjątkowo poirytowanej i pobudzonej, kiedy przebywała w towarzystwie jego kuzynki.

Jay nie akceptował do końca przyjaźni Lydii z Cassandrą. Nie chciał być mężem, który narzuca swojej żonie, z kim ma się przyjaźnić, ale nie potrafił zapomnieć o tym, co Cassandra czuła do Caroline Fitton Legh, ani też nie umiał szczerze porozmawiać o tym z Lydią. Po prostu nie łączyła ich zażyłość na tyle bliska, że pozwalałaby na takie zwierzenia.

Z pozoru przyjaźń Cassandry i Lydii nie była niczym innym, jak tylko znajomością dwóch mężatek. Jay nie mógł sprawdzić, czy Cassandra przesadzała, mówiąc o swoich uczuciach do Caroline, czy był to tylko wytwór jej wyobraźni. Cassandra od kilku lat była żoną lorda Fittona Legha, lecz może pod płaszczykiem jej znajomości z Lydią kryło się coś więcej... Jay nie mógł jej jednak spytać o to wprost.

Mógł mieć tylko nadzieję, że kondycja psychiczna Lydii się poprawi.

Jedwab spełniał wszystkie nadzieje, jakie pokładała w nim Amber. Połyskujące żywymi kolorami wzory, nad którymi spędziła długie godziny, pieczołowicie nanosząc je na projekt: złote granaty z książęcego herbu rodziny Roberta i pawie wachlujące się ogonami. Kolor pawi przetykał się z zielonkawym, a w tle były jeszcze intensywny szkarłatny i błady perłowy. Materiał był tak piękny, że Amber napłynęły łzy do oczu.

Jest idealny - powiedziała Mauriceowi Westleyowi, kiedy odzyskała kontrolę nad głosem. - Wykorzystamy go w Sypialni Królewskiej w naszych apartamentach. Nakrycie na łóżce będzie wyściełane, a pawie zostaną wyszyte wypukłym złotym ścięciem. Zasłony do łóżka zostaną wykończone złotą lamówką, tę zaś, która znajduje się za wezłowiec, dodatkowo ozdobimy wizerunkami rodowych zbroi.

Mówiłem już pani, że Jay został fanem futbolu? - zwrócił się Maurice Westley do Amber, po tym jak uzgodnili wielkość zamówienia. Uśmiechnął się przy tym do Jaya, który także się roześmiał i wyjaśnił Amber:

- Pamiętasz Geoffa Stanleya z Alderley Edge? Jego dziadek inwestował pieniądze w kolej.

- Oczywiście - przytaknęła Amber. - Studiowaliście razem w Eton.

- Otóż ten sam dziadek miał także udziały w jednym z manchesterskich klubów piłkarskich, które po jego śmierci oddziedziczył kuzyn Geoffa, Ronald. Geoff namówił mnie, żebym wybrał się z nim na mecz. Marzy mu się, żeby drużyna awansowała do piłkarskiej ekstraklasy. Zmienił już jej nazwę na Hermes Stanley. Uważa, że doda ona piłkarzom skrzydeł i będą biegać szybciej, niż gdyby nazywali się, na przykład, Rovers.

Amber wybuchnęła śmiechem.

- A mają już skrzydełka na piętach?

- Z tego, co zdążyłem się zorientować, jeszcze nie, choć fani nazywają ich już ponoć Stanley Wingers\*.

Amber zapomniała, z jaką łatwością rozmawiało się z Jayem i jak swobodnie się czuła w jego towarzystwie. Być może Louise miała kiedyś rację, gdy szydziła z niej, nazywając ją „córka handlarza z Macclesfield”. Kiedy Amber tu przyjeżdżała, oddychała pełną piersią, zupełnie inaczej niż w szaleńczym, niemalże kazirodczym społeczeństwie Londynu.

Asystent Maurice'a Westleya zapukał do otwartych drzwi i obwieścił:

- Przybył pan Lees-Milne.

' Gra słów. grecki bóg Hermes był przedstawiany w sandałach ze skrzydłami, a *winger* znaczy po ang. „skrzydłowy” (przyp. tłum.).



- Jim, miło cię znów zobaczyć. - Amber przywitała się z gościem - Gratuluję objęcia nowej posady. Sekretarz do spraw Budynków Hi starycznych w Narodowym Funduszu na rzecz Renowacji Zabytków to brzmi bardzo dostojnie. - Nominacja nie została jeszcze oficjalnie ogłoszona. - Lees-Milne uśmiechnął się pod nosem. - I prawdę mówiąc, z dostojnością ma to niewiele wspólnego - dodał, ale wyglądał na zadowolonego.

- Oto wspomniany jedwab - powiedziała Amber. - Co o nim myślisz? Dyrektor fabryki przyglądał mu się tak długo, że zaczęła już się martwić. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, знаła odpowiedź. Widziała ją w jego oczach.

- Myślę, że jest perfekcyjny. Będziesz miała coś przeciwko, jeśli pojadę do Osterby i zrobię kilka zdjęć pokoju przed przystrojeniem go jedwabiem i po? Zaczęłam prowadzić nieoficjalny katalog najpiękniejszych posiadłości ziemskich w kraju. Cecil narzeka, że moje fotografie są fatalne, ale myślę, że w głębi ducha cieszy się, bo nie ma we mnie konkurencji.

Amber roześmiała się.

- Oczywiście, że możesz zrobić te zdjęcia.

- W ubiegłym miesiącu widziałem jeden z twoich materiałów w Charlton. Żółty jedwab, którego użyłaś w Pokoju Marmurowym.

- Tak, idzie jak ciepłe bułeczki, po tym jak pokazali go w „Vogue'u” - poinformował ich z radością Maurice Westley

- Muszę przyznać, że to jeden z moich ulubionych materiałów - przytaknęła Amber. - Wykorzystałam projekt mojego ojca, z rzymską monetą, i na jego podstawie zaprojektowałam lamówkę biegnącą wzdłuż krawędzi jedwabiu. Pomysł się przyjął.

- Zgadza się. Słyszałem też, że twój styl płaszcza i togi robi się równie modny i rozchwytywany, jak białe pokoje Syrie Maugham.

Amber zaśmiała się znowu.

- Wątpię w to, Jim.

W Osterby był jeden prostokątny pokój, w którym znajdowało się kilka marmurowych popiersi przywiezionych z Włoch przez jednego z przodków Roberta. Pokój przemalowano na ciepły żółty kolor, a wyso-

kie okna zostały przystrojone żółtym jedwabiem z motywem rzymskiej monety na lamówce. Pod spodem znajdowały się proste jedwabne story w kolorze purpurowym, dlatego Amber nazwała ten styl żartobliwie „cesarski płaszcz i toga”. Taka kombinacja była niezwykle stylowa i efektowna. Nadawała pokojowi splendor, a jednocześnie nie odrywała uwagi od lamych popiersi.

- Jim, znajdziesz czas, żeby wrócić z nami do Denham i zjeść lunch? - zapytała Amber, gdy wyszli z gabinetu dyrektora fabryki.

- Chciałbym bardzo, ale nie mogę. Jestem już umówiony z Dolly Heiherrington, u której jest piekielnie zimno przez cały rok i gdzie będę zmuszony jeść gotowaną kapustę z baraniną.

- Biedactwo...

- Oto cena i ofiara, jaką muszę ponieść, gdyż Dolly zastanawia się nad przekazaniem posiadłości oraz kolekcji swoich obrazów na rzecz Narodowego Funduszu.

- Chciałabym poznać twoje zdanie na temat sklepu w Londynie, w którym mam zamiar sprzedawać nasz jedwab.

- Od razu mogę ci powiedzieć, że uważam to za doskonały pomysł. Na pewno nie będziesz mieć problemu ze znalezieniem klientów.

- A czy będziesz tak uprzejmy i powtórzysz to raz jeszcze, tym razem w obecności Roberta?

Ku wielkiej uldze Amber Jim roześmiał się i powiedział:

- Oczywiście, z przyjemnością.

- Naprawdę chcesz otworzyć sklep? - zapytał Jay, kiedy wracali do Denham.

- Tak. Im więcej o tym myślę, tym bardziej chcę to zrobić. Luc wkrótce pójdzie do szkoły, a ponieważ... - A ponieważ nie będziemy mieć więcej dzieci, chciała powiedzieć, ale się powstrzymała. - A ponieważ będę mieć wtedy więcej czasu dla siebie, wydaje mi się to sensowne.

Amber nie chciała się z tym zdradzić - wydało jej się to nielojalne wobec Roberta, który tyle dla niej zrobił - ale nagle poczuła desperacką chęć wypełnienia czymś pustki, która powstanie w momencie, kiedy Luc pójdzie do szkoły. Niekończące się spotkania towarzyskie, w których nie odnajdywała żadnego sensu, a które były nieodłącznym elementem życia

wyższych sfer, sprawiały, że czuła się samotna. Zdawała sobie sprawę, że na palcach jednej ręki może policzyć bliskich sobie ludzi. Jednym z nich był Cecil i grono jego przyjaciół, lecz prowadził on taki tryb życia i pracy, że rzadko był uchwytany. A poza tym przebywanie w towarzystwie Ceci la jeszcze bardziej rozbudzało artystyczną pasję Amber, zamiast ją tłumić.

Z czasem uświadomiła sobie, że pustka w jej sercu i w jej małżeństwie pewnego dnia stanie się tak nieznośna, iż zrobi ona coś, czego poprzysięgła nigdy nie zrobić. Inne arystokratyczne żony mniej lub bardziej dyskretnie znajdowały sobie kochanków, co spotykało się z powszechną akceptacją. Ale Amber nie była arystokratką i bała się, że mogłaby się zakochać w kochanku, a na to nie mogła sobie pozwolić. Uznała więc, że to sklep będzie jej inspiracją i ekscytacją, czymś, co pozwoli jej wypełnić długie samotne godziny. A równie samotne noce w wielkim łóżu - czy uda jej się zapomnieć także o nich? Postanowiła, że tak, ponieważ będzie pracować ciężko i dzięki temu zasypiać natychmiast po tym, jak przyłoży głowę do poduszki zamiast... Zamiast leżeć sama i wspominać, jak to jest wtulić się w ramiona kochanka, dzielić z nim namiętność i czuć się zaspokojoną?

Amber nie odpowiedziała sobie na to pytanie.

## Rozdział 27

Nie, Amber. To wykluczone.

- Ale, Robercie...

- Powiedziałem, nie ma mowy. Nie rozumiem w ogóle, po co ci sklep.

- Dla zabicia czasu - odparła szczerze.

- Masz dziecko, przyjaciół, Osterby i jeszcze ten dom na głowie. To więcej, niż trzeba, żeby zabić czas. Tak przynajmniej myślałem.

Znajdowali się w bibliotece domu przy Eaton Square. Amber wiedziała, że trudno jej będzie przekonać Roberta do swojego pomysłu ze sklepem przy Walton Street, ale nie spodziewała się tak stanowczej odmowy.

- Luc wkrótce pójdzie do szkoły i nie będzie mnie już potrzebować w takim stopniu jak teraz. W przeciwieństwie do Beth nie mam innych małych dzieci, którymi mogłabym się zająć. - Amber nie chciała rozgniewać Roberta, wytykając mu, że nie mogą mieć więcej dzieci, ale nie zamierzała też tak zwyczajnie się poddać. - Jeśli zaś chodzi o moich przyjaciół - wzruszyła lekko ramionami - to wiesz dobrze, że tolerują mnie w twoich kręgach tylko dlatego, że jestem twoją żoną. Przyjaźń z tymi ludźmi jest tak naprawdę niemożliwa. Kiedy sobie tego życzysz, chodzę na te wszystkie przyjęcia jako twoja dama do towarzystwa, ale oboje wiemy, że w wielu wypadkach moja obecność jest zbędna ani nawet mile widziana.

Amber widziała, że Robertowi nie spodobało się to, co powiedziała. Ale musiała to zrobić, żeby przekonać go do zmiany zdania.

- Wiele par z naszych kręgów prowadzi odrębne życie, a żona potrafi znaleźć sobie zajęcie bez konieczności otwierania sklepu. Tak nie postępują ludzie naszego pokroju.

Amber uniosła głowę.

- Robercie, chciałeś chyba powiedzieć - twojego pokroju. Moje korzenie są w handlu i...

- Jesteś moją żoną i oczekuję, że będziesz się zachowywać właściwie.

Amber zrozumiała, że Robert nie ustąpi. Na jego twarzy pojawił się tak dobrze jej znany uparty i wyniosły wyraz, który oznaczał, że nic nie odwiedzie go od raz podjętej decyzji.

- Robertcie, nie chcę się z tobą kłócić, ale to dla mnie naprawdę wiele znaczy.

Amber podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Starła się nie zauważyć, jak mięśnie Roberta stężały pod wpływem jej dotyku. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy Robert rzeczywiście zmienił się od czasu, kiedy zaprzyjaźnił się z pewnym młodym Niemcem o nazwisku Otto von Brecht?

- Proszę, postaraj się na to spojrzeć z mojej perspektywy. Potrzebuję jakiegoś zajęcia. Czegoś, co będzie moją pasją i miłością. Czegoś, co zastąpi mi to wszystko, czego brakuje mi w życiu.

W końcu wyrzuciła to z siebie. I była to prawda. Czowała pustkę i potrzebę wypełnienia jej czymś, co wypływało prosto z serca. Czymś, co pozwoliłoby jej spożytkować energię, która czasem nie dawała jej zasnąć w nocy i sprawiała, że Amber obserwowała z zazdrością pary wiodące normalne małżeńskie życie.

- Proszę, powiedz chociaż, że się nad tym zastanowisz - błagała Roberta.

- Dobrze, zastanowię się nad tym. Na początek dobre i to.

Zazwyczaj Greg nie znosił formalnych przyjęć w Peak Clubie i unikał ich jak ognia. Ale dzisiaj, wkładając czystą koszulę w małej sypialni kawalerskiego domku Henry'ego Jardine'a, kipiał z niecierpliwości i podniecenia.

Henry wielokrotnie sugerował, że skoro Greg postanowił zostać w Hongkongu na stałe, może powinien poszukać wygodniejszego lokum. Ale Greg nie zamierzał się stąd wyprowadzać - miał darmowy dach nad głową, a o wszystkie jego potrzeby dbała służba fardine ow. Poza tym musiał opłacać mieszkanie swojej chińskiej kochance i nie stać go było na większe wydatki.

Greg zamarł na chwilę, gdyż jego dobry nastrój przysłonił cię irytacji. Chia Yung zaczęła mu się nudzić, zanim jeszcze poznał Lucy Cabot-

James. Wmawiał sobie, że problem polega na tym, iż jest dla niej zbyt szczodry i dobroduszny. Zapewnił jej lokum i dawał pieniądze przez całą ciążę, a także po porodzie, choć w ostatniej fazie ciąży i po narodzinach dziecka, które - jak utrzymywała Chia Yung - było jego, nie miał z niej żadnego pożytku w łóżku.

Nie zaprzeczysz chyba, że to twoja kochanka - powiedział mu Lionel bez cienia współczucia, kiedy Greg poskarżył mu się, że Chia jest w ciąży - Powinieneś był się jej pozbyć, kiedy był jeszcze na to czas. Ale im twoim miejscu nie przejmowałbym się tym za bardzo - dodał Lionel, puszczając do niego oko. - Zawsze możesz ją nakłonić, by wysłała dziecko na wieś do jakichś krewnych, i jest szansa, że przy odrobinie szczęścia dziecko zniknie.

Teraz Greg oddałby wiele, żeby i kochanka, i ich dziecko zniknęli na zawsze. Szkoda, że przegrał tyle pieniędzy w kasynach, w przeciwnym razie mógłby dać Chii Yung okrągłą sumkę i kazać jej zniknąć razem z bękartem. Żałował też, że nie poprosił Lionela, aby wskazał mu kogoś, kto sprawiłby, że Chia zniknęłaby na dobre.

Musiał poprosić babkę o więcej pieniędzy. Był pewien, że gdy Blanche dowie się, dlaczego on ich potrzebuje, bez wątpienia okaże mu swoją hojność. Na pewno wolałaby, żeby jej wnuk się ustatkował, a na to nie zanosilo się, dopóki nie poznał Lucy

Lucy... Greg uświadomił sobie, że zadurzył się w niej po uszy, gdy tylko zobaczył ją trzy tygodnie temu na przyjęciu u gubernatora. Lucy dopiero co przyleciała z Ameryki razem ze swoją ciotką i wujem. Miała tylko osiemnaście lat i była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. Nie mógł oderwać wzroku od jej wielkich brązowych oczu, ciemnych loków i ust, miękkich i różowych.

Oczywiście natychmiast zaczął się do niej przymilać i czynić podchody, które zdawały się przynosić pożądany skutek, bo ciotka i wuj Lucy byli pod wrażeniem. Greg oczywiście przesadzał, wspominając, niby mimochodem, o swojej kuzynce i jej tytule, a także o babci i jej majątku.

Lionel również starał się zdobyć względy Lucy, ale tylko marnował czas. Greg nie uważał się za przesadnie próżnego, ale nie miał wątpliwości, który z nich dwóch jest lepszą partią dla Lucy jako kandydat na męża.

I z pewnością nie był to Lionel. Ciotce i wujowi bardziej imponował Greg, a ponieważ Lucy miała odziedziczyć wielki majątek, chcieli mieć pewność, że dziewczyna nie wpadnie w sidła łowcy fortun.

Nazajutrz po przyjęciu u gubernatora Greg zadzwonił do wujostwa Lucy, a następnie wysłał ciotce kwiaty. Przy okazji dowiedział się, w jakich spotkaniach towarzyskich mają zamiar wziąć udział, tak żeby rówież znaleźć się we właściwym miejscu.

Trudne do zniesienia letnie upały już się skończyły, ale Greg nadal po cił się obficie, przygotowując się na wieczorek taneczny w Peak Clubie.

Był zakochany po uszy i wcale się tego nie wypierał. Dzisiaj miał za miar poprosić wuja Lucy, by pozwolił mu się z nią oficjalnie spotykać. Był pewien, że Horace Cabot-James wyrazi zgodę.

Mogliby się zaręczyć teraz, a ślub wziąć przed świętami Bożego Narodzenia. Potem Greg zamierzał zabrać Lucy do Anglii. Wszyscy już na pewno zapomnieli o przykrym incydencie z Caroline, a poza tym lord Fitton Legh miał już nową żonę, więc nie powinien rozgrzebywać starych urazów.

Greg opowiedział już Lucy o Denham i chociaż z początku była nieco rozczarowana, że nie ma on tytułu, wzruszył lekko ramionami i zdradził jej, jakie plany ma wobec niego babcia.

- A więc pewnego dnia odziedziczysz tytuł? - spytała podniecona.

- Tak - potwierdził z dumą.

Boże, ależ on ją kochał. Lucy była idealna pod każdym względem. I taka cudowna. Zaręczą się, potem pobiorą, zapewne tutaj, w Hongkongu, a wtedy zabierze ją z powrotem do Macclesfield. Greg pogwizdywał pod nosem, uśmiechając się sam do siebie na myśl o tym, jak babcia będzie zachwycona i z jakimi honorami powita go w domu. Pewnie uda mu się ją namówić, by zasponsorowała mu kilkumiesięczny pobyt w Londynie. Mógł jej powiedzieć na przykład, że jego zdaniem Lucy powinna zostać zaprezentowana na dworze, na pewno by jej się ten pomysł spodobał. Oczywiście mogła to zrobić Amber. Kto by pomyślał, że mała Amber wyjdzie za księcia? Greg zazdrościł jej życia w Londynie. Może nawet uda mu się przekonać Blanche, żeby kupiła mu tam dom. W końcu było ją na to stać.

\*\*

A gdzie twój przyjaciel Lionel? - spytała Lucy. - Jesteście przecież nie-mzłączeni. Poza tym wspominał, że też tu dzisiaj będzie.

Greg stłumił poczucie zazdrości. Mógł sobie na to pozwolić, bo Lionel nic miał żadnych szans, zwłaszcza od momentu, w którym Greg ostrzegł życzliwie Horacea Cabota-Jamesa o jego sytuacji finansowej.

Pewnie przyjdzie później - odpowiedział. - Może chcesz posłuchać jeszcze o Denham?

- O tak, chętnie - ucieszyła się ciotka Lucy. - Denham wydaje się wspaniałym miejscem, prawda, Lucy?

- Wspominałeś, że twoim sąsiadem jest jakiś lord - zagadnęła Lucy, ignorując ciotkę.

- Barrant de Vries? Tak, to prawda - przytaknął Greg jakby od niechcienia. - Ale jego tytuł nie może się równać z tym, który posiada moja kuzynka.

W tym momencie Greg zobaczył, jak Lucy otwiera szeroko oczy ze zdumienia i obrzydzenia, wpatrując się w jakiś punkt za jego plecami. Odwrócił się i zamarł z przerażenia.

W ich stronę zmierzał Lionel. W towarzystwie Chii Yung.

Grega ogarnęła panika. Próbował przeciąć im drogę, ale było już za późno. Wszyscy się na nich gapili. Chińczycy nie mieli wstępu do Peak Clubu. Jak więc temu przekłębemu Lionelowi udało się przemycić tutaj ( hie? Nie miał pojęcia.

- Czy panu Sheptonowi nie towarzyszy przypadkiem Chinka? - spytała Lucy.

- Lucy, kochanie... - Ciotka wyglądała na zakłopotaną, a Horace ( abot-James stanął przed żoną i bratanicą; na jego twarzy malowała się wściekłość.

- Oto i on. Mówiłem ci, że tu będzie - powiedział do Chii Yung Lionel, po czym zwrócił się do Grega: - Wybacz, nie chciałem robić ci scen, ale Chia Yung wszędzie cię szuka. Zdaje się, że chodzi o dziecko. Podobno nie jest z nim najlepiej. Oczywiście mówiłem jej, że nie powinna tu przychodzić, ale upierała się. - To mówiąc, Lionel puścił Chię i zwrócił się do Horacea Cabota-Jamesa: - Proszę mi wybaczyć. Te chińskie kobiety powinny znać swoje miejsce, ale czasami się zapominają. Ostrzegałem



Greg, żeby nie brał sobie tej utrzymanki, ale nie posłuchał mnie. Greg, stary chłopie, powinieneś chyba odprowadzić swoją Chię Yung do domu, i to raczej szybciej niż później, zanim was stąd wyrzucą.

Greg nie mógł nic zrobić. Chia Yung padła do jego stóp i błagała o li tość. Lucy patrzyła na nią z wrogością, a Lionel uśmiechał się szeroko, napawając się tą żalosalną sceną. Greg brutalnie postawił Chię na nogi, po czym popchnął ją w kierunku wyjścia, gdzie ponad pół godziny zajęło mu pozbycie się jej.

Chia szlochała, że Lionel ją oszukał. Powiedział, że Greg koniecznie chce się z nią zobaczyć.

- To kłamca! - Greg był tak wściekły, że uderzył swoją kochankę. - Wiesz doskonale, że takim jak ty nie wolno tu przychodzić.

- Powiedział, że muszę to zrobić. Zagroził, że przyśle kogoś, by odebrał mi dziecko.

Chia próbowała przytulić się do niego, ale Greg odepchnął ją z taką siłą, że upadła na podłogę.

- Wstawaj, do cholery! - wrzasnął, wymierzając jej kopniaka. - Wstawaj i wynoś się z mojego życia.

Przeklęty Lionel, próbował zrujnować jego szansę na małżeństwo z Lucy. Ale zaraz im wszystko wyjaśni i załagodzi całą sprawę. Cholera, przecież wszyscy mężczyźni mają kochanki. Ciotka Lucy na pewno jej to wyjaśni. A on opowie Lucy o Amber i o prezentacji na dworze.

Spocony jak mysz kościelna Greg obrócił się z powrotem w stronę klubu. Ale wejście zagroził mu nieumundurowany strażnik.

- Co, do diabła...? - burknął Greg, tracąc do reszty cierpliwość. - Jestem członkiem tego klubu, proszę mnie wpuścić.

Nie został jednak wpuszczony, więc zażądał spotkania z kimś z kierownictwa klubu. Czekał przez kolejne pół godziny, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, aż w końcu zjawił się jakiś rozwścieczony emerytowany generał o rumianej twarzy, który w opryskliwy sposób dał Gregowi do zrozumienia, że jego członkostwo w klubie zostało anulowane w trybie natychmiastowym.

- Niby z jakiej racji?! - wykrzyknął Greg. - Nie jestem jedynym cholernym facetem w Hongkongu, który ma chińską kochankę.

Zna pan reguły obowiązujące w tym klubie. Zakaz wstępu dla Chińczyków. Na Boga, człowieku, czy zdajesz sobie sprawę, że swoim zachowaniem uraziłeś głęboko nasze kobiety?

Po tych słowach generał oddalił się. Wściekły Greg z furią kopnął tłuwi i wybiegł na ulicę, a odprowadzał go tylko wzrok milczącego ochroniarza.

Amber uśmiechnęła się z czułością do Luca, kiedy bawili się razem. Był takim uroczym chłopcem i wiedziała, że będzie za nim bardzo tęsknić, kiedy pójdzie do szkoły. Ale przynajmniej, miała taką nadzieję, będzie mieć swój sklep.

Dziś rano poszła z Lukiem na Walton Street, słuchając jednym uchem n-tto radosnych opowieści i jednocześnie śniąc na jawie.

Robert wyjechał z Ottonem na nieplanowaną wycieczkę do Paryża, ponieważ - jak twierdził - młodzieńcowi tak się tam podobało, że zaprag-ni! raz jeszcze odwiedzić stolicę Francji. Nie zdążył więc przed wyjazdem udzielić Amber odpowiedzi.

Agent nieruchomości przy Walton Street dał jej do zrozumienia, że nie będzie mógł trzymać dla niej tego lokalu w nieskończoność, więc wczoraj podjęła decyzję, że go kupi, nie chcąc stracić takiej szansy. Nieruchomość to zawsze inwestycja, zapewniała samą siebie, tłumiąc w ten sposób wyrzuty sumienia, że kupiła sklep bez zgody męża.

Na szczęście miała wystarczająco dużo własnych pieniędzy, by to zrobić. Robert płacił jej co trzy miesiące bardzo hojne uposażenie. Były to lask pokaźne kwoty, że Amber nie była w stanie ich wydać, dlatego udało jej się odłożyć odpowiednią sumę, aby kupić sklep od ręki.

Wszystkie kwestie prawne Amber powierzyła notariuszowi Roberta. I'owiadomiła też bank o swoich zamiarach, chociaż, jak twierdził jej prawnik, agent sprzedający nieruchomość cieszył się nienaganną reputacją, dlatego wszystko powinno pójść jak z płatka.

- Mamusiu, chcę mieć pieska - poprosił Luc, uśmiechając się do Amber błagalnie.

Roześmiała się i odgarnęła mu włosy z twarzy. Luc dopominał się o psa, odkąd zobaczył jakieś dziecko z psem na smyczy w Hyde Parku.

- Zobaczymy, co na to powie tata - powiedziała, tuląc syna, po czym postanowiła, że zamieni w tej sprawie słowo z leśniczym w Osterby i poprosi go, by rozejrzał się za jakimś odpowiednim szczeniakiem dla Luca  
Luc mówił już jak duży chłopiec, ale wciąż był jeszcze małym dzieckiem. Amber zdała sobie z tego sprawę, tuląc go mocno do siebie i ca łując w czubek głowy. Miał takie same jak Robert ciemne włosy, które kręciły mu się jeszcze w dziecięcy sposób. Zachowywał się również tak jak Robert do tego stopnia, że nikt, kto na niego patrzył, nie byłby w sta nie stwierdzić, że Robert nie jest biologicznym ojcem Luca. Lecz Amber wiedziała i ta świadomość, w parze z wyrzutami sumienia, napawała ją czasem lękiem.

- A kiedy tata wróci? - spytał Luc.

- Wkrótce.

Zazwyczaj, kiedy Robert wyjeżdżał, przysyłał jej codziennie gawędziarskie i zabawne listy, w których nie brakowało nawet skandalicznych ploteczek. Ale tym razem prawie nie miała z nim kontaktu, a kiedy już pi sał, wiadomości były bardzo lakoniczne.

Nie znaczyło to jednak, że nie miała pojęcia, co się z nim dzieje. Doszły ją bowiem pewne słuchy.

Amber puściła Luca i podeszła do okna. Wróciła z Lukiem z Osterby na Eaton Square na początku tego tygodnia, a już odwiedziło ją kilkoro gości, którzy nie omieszkali wspomnieć o przywiązaniu Roberta do swojego „młodego przyjaciela”.

- Znasz przecież Roberta - odparła z uśmiechem jednemu z jego naj bliższych przyjaciół, Piersowi Whitethorne owi.

- Wydawało mi się, że go znam - przytaknął - ale obawiam się, że przyjaźń z tym młodym Niemcem bardzo go zmieniła.

A kiedy Amber nic nie odpowiedziała. Piers dodał szorstko:

- Wiem, co sobie teraz myślisz.

Piers był o kilkanaście lat starszy od Roberta. Kiedyś łączył ich romans i Amber podejrzewała, że Piers wciąż kocha i pożąda jej męża.

- Masz rację co do moich uczuć do Roberta, choć zawsze wiedziałem, że jest typem mężczyzny, który wciąż potrzebuje emocji, jakie towarzyszą nowym romansom. Jednak tym razem jest inaczej.

To znaczy? - spytała Amber z rosnącą troską w głosie.

Chodzi o niego, nie o mnie. W pewnym sensie Robert przestał być sobą. Unika wszystkich starych przyjaciół i wygląda na to, że znalazł sobie zupełnie nowe towarzystwo. Dużo też pije. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nie wróży to nic dobrego. Może powinnaś pojechać za nim do Paryża.

Nie mogę pojawić się w Paryżu ot tak sobie, bez żadnego racjonalnego powodu - uświadomiła mu Amber.

Ubrania - odparł zwięźle Pierś. - Kobieta zawsze potrzebuje nowych ubrań. - A gdy ujrzał na twarzy Amber zaskoczenie, dodał ze smutkiem: - Uważam, że Robert ma wielkie szczęście, że jesteś jego żoną.

Pierś nie był jedyną osobą, która martwiła się o Roberta. Kilku innych jego przyjaciół, którzy niedawno wrócili z Londynu, poufnie ostrzegało Amber i przekazywało jej swoje uwagi. Począwszy od dyskretnych uwag, że Robert jest wciąż zajęty i nie ma już czasu dla starych kumpli, a skończywszy na znacznie bardziej bezpośrednich uwagach, których nie szczędzili zaufani przyjaciele Roberta, tacy jak Cecil Beaton czy James Leers-Milne, którzy zgodnie podkreślali, że ich zdaniem związek Roberta z Ottonem odmienił go, i to z pewnością nie na lepsze. Dawni przyjaciele Roberta byli zgodni, że zadurzył się bez pamięci w Ottonie i nie chciał już znać nikogo poza nim.

Wszystkie te uwagi martwiły Amber, a teraz jeszcze Pierś zasugerował, że powinna pojechać do Paryża i przypomnieć swojemu mężowi o obowiązkach, jakie miał wobec niej i Luca.

Amber nie chciała mieć poczucia, że kimkolwiek manipuluje, zwłaszcza Robertem, ale w końcu okazało się, iż nie musi wymyślać żadnego pretekstu do wyjazdu do Paryża, ponieważ następnego ranka dostała list ml Ikth, która błagała ją, by przyjęła jej zaproszenie i odwiedziła ją w stolicy Francji.

„Zatrzymamy się w domu rodziców Alistaira przy Rue de Poitiers, „,dzie spędzimy całą zimę. Alistair został nieoficjalnie poproszony przez brytyjskiego ambasadora, aby towarzyszył mu w różnych sprawach. Dom jest olbrzymi, a ponieważ mój mąż spędza tyle czasu w ambasadzie, przydałoby mi się bardzo towarzystwo mojej najlepszej przyjaciółki”.

Beth miała skłonność do kwiecistych fraz, ale jej zaproszenie nadeszło w tak stosownym momencie, że Amber odpisała jej natychmiast, zgadza jąc się bez wahania. Luc był zachwycony, kiedy dowiedział się, że spędzi trochę czasu z dziećmi Beth, które były mu tak bliskie jak rodzeni kuzyni

Amber napisała także do Roberta, który zatrzymał się w hotelu George V, informując go o swoich planach oraz o zakupie nieruchomości przy Walton Street. Jednak zwlekała z wysłaniem tego listu do dnia, w który rym wsiadła do pociągu jadącego do portu, skąd odpływały statki do Paryża.

- Amber, nie uwierzysz, ilu Amerykanów jest tutaj, w Paryżu. Wszyscy oni narzekają, ile pieniędzy stracili w wyniku krachu na Wall Street, a jed nocześnie bawią się i urządzają ekstrawaganckie przyjęcia.

Rozbawiona Amber przemilczała ten komentarz, słysząc w głosie Beth dezaprobatę pomieszaną z zazdrością. Siedziały w eleganckim salonie na pierwszym piętrze domu przy Rue de Poitiers, z dekoracjami w stylu Ludwika XIV oraz pomalowaną i złoczoną boazerią. Amber przyjechała zaledwie godzinę temu i upewniwszy się, że Luc znalazł się w dziecięcym pokoju razem z dziećmi Beth, słuchała teraz najświeższych ploteczek towarzyskich z Paryża, które referowała jej najlepsza przyjaciółka.

- A skoro o przyjęciach mowa, to dziś wieczorem jesteśmy zaproszone na obiad w ambasadzie, jutro na bal maskowy, również w ambasada dzie, a potem na imprezę u Daisy Fellowes. Och, byłabym zapomniała. Pamiętasz Jeana-Philippea, który mieszkał w domu dla gości nieopodal wilh, gdzie spędzałyśmy wakacje z moją mamą, zanim jeszcze wyszłam za mąż?

Amber za wszelką cenę starała się zachować kamienną twarz. Przytaknęła więc tylko głową, nie odezwała się jednak, bojąc się, że zmiana w głosie może ją zdradzić.

- Jego obrazy są teraz na ustach całego Paryża. Alistair wspomniał mi, że spotkał go na kilku męskich kolacjach. Z kolei ja w ten weekend widziałam Roberta z tym jego uroczym młodym protegowanym w towarzystwie niemieckiego ambasadora. Jak myślisz, wybieriecie się w przyszłym roku na olimpiadę w Niemczech? Alistair uważa, że powinniśmy pojechać, ale

z drugiej strony nie akceptuje faktu, że odbywać się będzie w Niemczech, gdzie panują w tej chwili antyżydowskie nastroje.

Prawdę mówiąc, nie myślałam o olimpiadzie - przyznała Amber, ciesząc się w duchu, że Beth nie wspomniała już więcej o Jeanie-Philippie.

Na samą myśl o tym, że on jest tutaj, w Paryżu, serce zabiło jej z niepokoju. Nie dlatego, że chciała się z nim zobaczyć, przeciwnie, była to dla niej rzecz, jakiej pragnęła. Po prostu nie chciała, by cokolwiek przypominało jej o przeszłości i o nieszczęściu, jakie ją spotkało. Poza tym miała teraz na głowie ważniejsze rzeczy niż głupie romanse z młodzieńcych lat. Wiedziała, że nie uspokoi się, dopóki nie zobaczy się z Robertem i nie przekona się, w jakim jest stanie. Mąż i syn znaczyli dla niej teraz znacznie więcej niż Jean-Philippe.

Wybacz, Amber, ale szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś nie przyjeżdżała do Paryża.

Spojrzała na swojego męża ze zdumieniem. Siedzieli w barze w hotelu George V i popijali koktajle. A właściwie to Robert wypijał jednego drinka za drugim w rekordowym tempie, Amber zaś tylko mieszała swój, ponieważ była zbyt zdenerwowana, żeby go wypić.

Z przykrością i niepokojem obserwowała, jak bardzo jej mąż się zmienił i jak źle wygląda. Na policzku miał wielkiego sińca, który - jak twierdził - powstał w wyniku zderzenia z na wpół otwartymi drzwiami. Ale najbardziej przeraził ją sposób, w jaki Robert odnosił się do niej, z wrogim nastawieniem i urazą.

Z początku Amber nie chciała wspominać o tym, co na jego temat mówili przyjaciele, ale teraz, doświadczając złości Roberta, nie miała wyboru.

- Dlaczego tak mówisz? - postawiła mu się w łagodny sposób. - Przecież nie ma żadnego powodu, dla którego nie powinnam tu przyjeżdżać, prawda? Pomijając inne sprawy, Luc za tobą tęskni. Nigdy wcześniej nie zostawiałeś nas samych na tak długo. - Nachyliła się i powiedziała spokojnym tonem: - Robertcie, twoi przyjaciele martwią się o ciebie. Pierś odwiedził mnie w Londynie specjalnie po to, żeby mi powiedzieć, jak bardzo niepokoi go twoje zachowanie.

Robert zamówił kolejnego drinka. Amber zauważyła, że drży mu ręka kiedy podnosił szklankę do ust.

- Pierś. Oczywiście mogłem się tego po nim spodziewać, fest o mni. zazdrosny. Nie może znieść tego, że jestem szczęśliwy z Ottonem.

- Nie wyglądasz na szczęśliwego.

- Ale jestem szczęśliwy I to bezgranicznie. Kocham Ottona bardziej, niż sądziłem, że jestem w stanie kogokolwiek pokochać. Amber, on jest dla mnie wszystkim. Wszystkim. Nigdy wcześniej tak się nie czułem. Miłość do niego jest dla mnie najczystsza formą ekstazy, a jednocześnie najczarniejszą torturą. - W oczach Roberta pojawiły się łzy - Biedny chłopak, czuje ciężar mojej miłości i czasem z trudem to znosi. Nie powie mi tego w oczy, ale wiem, że tak jest. Buntuje się przeciwko temu uczuciu i wtedy staje się dla mnie niemiły On jest jeszcze taki młody Pragnę być tylko z nim, lecz on po trzebuje towarzystwa innych ludzi. Rozumiem to i akceptuję. Ale muszę być przy nim, kiedy będzie gotów zwrócić się do mnie. Zrozum to.

Niepokój Amber rósł z każdym słowem, które wypowiadał Robert. Nie martwiła się jednak o siebie ani nawet o swoje małżeństwo, lecz o niego. Bolało ją to, że zatracą się w beznadziejnej miłości do młodego mężczyzny, który prawdopodobnie nie odwzajemnia jego uczuć ani nie czuje tej samej namiętności.

- Wciąż jesteś moim mężem, Robercie - przypomniała mu. - I ojcem Luca.

- Chcę, żebyś wróciła do domu, Amber. Nie chcę cię tu widzieć. Ani Luca.

- Nie możemy jeszcze wyjechać. Po pierwsze, wywołałoby to niepotrzebne plotki. A po drugie, sprawiłabym zawód Beth, która uwzględniła mnie w swoich planach towarzyskich.

- Dobrze, w takim razie zostań, jeśli musisz. Ale wiedz, że jest to wbrew mojej woli. Najwyraźniej jednak weszło ci w nawyk ignorowanie moich próśb i życzeń.

Amber zamarła.

- Jeżeli masz na myśli tę nieruchomość przy Wal ton Street, to...

- Tak, właśnie to mam na myśli. Zachowałam się nieuczciwie, stawiając mnie przed faktem dokonanym.

Nie, Robertcie. Przyznaję, że kupiłam ten sklep bez konsultacji z tobą, ale nie miałam innego wyjścia. Byłeś w tym czasie w Paryżu. - Jego kry ty kii była nieusprawiedliwiona i bardzo ją zabolala. - Ze swoim kochankiem. Zawsze wiedziałaś, jaki jestem - przypomniał jej. A ty zawsze wiedziałeś, ile dla mnie znaczy rodzinny interes. Kiedy poprosiłeś mnie o rękę, powiedziałeś, że to małżeństwo będzie kluczem do mojej przyszłości. A teraz chcesz mnie tej przyszłości pozbawić.

Co to za przyszłość być sklepikarką? Naprawdę sądzisz, że Luc będzie dumny z tego, kim jest jego matka? A czy ty chcesz, by wiedział, że jego ojciec ma kochankę? - chciała mu mię odciąć, ale powstrzymała się. Nie z tchórzostwa, gdyż była gotowa na wszystko, żeby wygrać tę batalię, ale nie poprzez obrzucanie się inwektywami. To było poniżej poziomu ich obojga.

Jesteś niesprawiedliwy - zarzuciła Robertowi. - Wiem, że myślisz o swojej pozycji i... o tym wszystkim, co zawdzięczasz swojemu nazwisku, jako twoja żona zdaję sobie też sprawę z moich obowiązków.

Z trudem przychodziło jej mówienie podobnych rzeczy, chowanie dumy do kieszeni za cenę tego, czym gardziła. Tytuły i wpływy nic dla niej nie znaczyły i to się nigdy nie zmieni. Amber miała inne potrzeby i ceniła inne wartości. Nie mogła ich poświęcić za żadne skarby, ale z drugiej strony musiała być ostrożna dla dobra Luca. Jeżeli zrazi do siebie Roberta, on może się na niej zemścić, wyrzekając się jej i jej syna.

Och, tak bardzo pragnęła, żeby Robert do nich wrócił. Ale nie był niż tym samym szlachetnym i wyrozumiałym człowiekiem, którego znała wcześniej. Amber wiedziała, że miłość bywa okrutna i bezwzględna w stosunku do ludzi, którym potrafi zabrać wszystko. Zmieniała ich, czasem wypaczając im charakter.

- Są ludzie o odpowiednim... pochodzeniu, którzy zrobili to, co ja zamierzam zrobić. Na przykład Syrie Maugham. To da mi jakieś zajęcie, Robertcie - powiedziała w desperacji. - Ty masz swoje... zainteresowania, a ja czuję się bardzo samotna.

Coś - może smutek, a może wstyd, Amber nie była tego pewna - przysłoniło na moment jego wzrok. Ale gdy przemówił, jego głos był oschły, a słowa bezkompromisowe.



- Zrobisz, co zechcesz. Bez względu na to, co ja będę miał do powiedzenia w tej sprawie. Dlatego nie widzę sensu w kontynuowaniu tej dyskusji.

A więc w pewnym sensie Robert się zgodził, choć nie było w tym krzyku szczodrości ani miłości.

- Robercie, proszę, nie bądź taki. Chcę, żebyśmy nadal byli przyjaciółmi, tak jak do tej pory - starała się go udobruchać, ale wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że go to nie wzrusza.

Amber westchnęła w duszy i zmieniła temat:

- Luc za tobą tęskni, odkąd wyjechałeś do Paryża. Jeśli będziesz mógł, odwiedź go, proszę, korzystając z okazji, że tu jesteśmy.

- Nie wiem, czy znajdę czas.

Po raz pierwszy, od kiedy byli małżeństwem, Robert okazał jej taką wrogość. Amber była przerażona.

Czuła się zraniona i bardzo samotna. Poza tym martwiła się o Roberta. Przyznała to sama przed sobą w drodze powrotnej do domu przy Rue de Poitiers. Miała nadzieję, że Robert jej nie zostawi. Nie zrobi tego, prawda?

Sprawy nie wyglądały dobrze. Szczęście definitywnie odwróciło się ode mnie - pomyślał z goryczą Greg.

Wyrzucono go z klubu, Lucy przestała się do niego odzywać i pokazywała się teraz w towarzystwie triumfującego Lionela, a ubiegłej nocy Greg przegrał więcej, niż był w stanie przewidzieć. Spojrzał na dziewczynę leżącą obok na łóżku. Chuda, z rozczochranymi włosami i nieobecny spojrzeniem, drapała się po ramieniu.

Greg nie miał pojęcia, w jakich okolicznościach znalazł się w tym miejscu, które bez wątpienia było jednym z gorszych burdeli w Hongkongu. Nie pamiętał, co się działo, po tym jak postawił jedną czwartą swoich pieniędzy na następny kwartał i przegrał. Smród dochodzący przez otwarte okno ze ścieku płynącego ulicą jeszcze bardziej zatruwał i tak już nieznośnie duszne powietrze w niewielkim pokoju. Dwóch małych chłopców, nie zważając na potworną woń i jej źródło, bawiło się w otwartych drzwiach domu po drugiej stronie ulicy. W pewnym momencie Greg zauważył mężczyznę - Europejczyka o czerwonej twarzy i strużkach potu spływających spod pach jego tropikalnego garnituru. Nadszedł z góry ulicy, obejrzał się przez ramię, po czym skierował się w stronę otwartych

drzwi. W drzwiach pojawiła się kobieta, która wskazała chłopców i podniosła kilka palców, określając w ten sposób kwotę. Mężczyzna skinął głową, a potem zniknął w budynku. Kobieta udała się za nim, ciągnąc za rękę i liłopca, którego sobie wybrał.

Znudzony Greg odwrócił wzrok. Przywykł już do wszelkiego zepsucia, a poza tym miał na głowie własne problemy, o których właśnie pomyślał, rozczulając się nad sobą.

Znalazł się w cholernych tarapatkach, i to wszystko z winy Lionela.

Dziewczyna wyciągnęła w jego stronę brudną rękę z obgryzionymi paznokciami. Gdy go dotknęła, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Greg odepchnął ją z przekleństwem na ustach.

- Daj mi pieniądze - jęknęła. - Obiecałeś.

Cały pokój, nie wyłączając dziewczyny, miał taki zapach, że Greg z trudem hamował się, żebym nie zwymiotować. Jak się tu znalazł?

- Najpierw musisz na nie zapracować - powiedział brutalnie, obracanie się na plecy i rozpinając spodnie.

Otto kupił mi specjalne cukierki, ale tata powiedział, żebym nie zjadł ich wszystkich naraz, bo zachoruję.

Była ósma wieczorem i za pół godziny Amber miała wyjść na przyjęcie wydawane przez francuską wdowę po pewnym hinduskim maharadży, na które został zaproszony *le tout Paris*, jak zwykła mawiać Beth. Ale Luc był wciąż taki podekscytowany porankiem, który spędził z Robertem, że chciał opowiedzieć Amber o wszystkim, a potem powtórzyć to jeszcze raz.

Radość i ulga, które poczuła Amber, kiedy Robert zadzwonił i powiedział, że chce spędzić trochę czasu z Lukiem, ustąpiły miejsca konsternacji i obawie, gdy pojawił się w towarzystwie Ottona. Miała nadzieję, że i ona pójdzie razem z nimi, tak żeby móc naprawić trochę stosunki z mężem. Pełne satysfakcji spojrzenie Ottona kazało jej jednak sądzić, że odgadł zamiary Amber i drwił z niej, gdyż udało mu się pokrzyżować jej plany. Ale Amber uznała, że to tylko wytwór jej wyobraźni. Otto nie musiał przecież rywalizować z nią o względy Roberta ani udowadniać swojej roli w życiu jej męża.

Amber nie była zazdrosna o tego młodzieńca i jego miejsce w sercu Roberta, ale nie była także zachwycona, kiedy Luc opowiadał jej z takim entuzjazmem, że Otto grał z nim w piłkę i kupił mu cukierki. A tym bardziej gdy po ich wspólnym wyjściu Otto wkroczył do holu z Lukiem na rękach.

- Najdroższy Robertcie, szkoda, że Luc ma twoją karnację, a nie jaś niejszą cerę swojej matki - powiedział Otto, przeciągając samogłoski. Ale przynajmniej dzięki twojemu rodowodowi nikt nie posądzi go o żydowskie korzenie. Amber zamarła, słysząc taką obelżywą uwagę w ustach Ottona. Za smuciło ją, że Robert nie zareagował od razu, tym bardziej że Otto już kilka razy odwoływał się do Toma Mosleya, jak w gronie przyjaciół był nazywany Oswald, od którego polityki Robert stanowczo się odżegnywał. Nie chciało jej się wierzyć, że jej mąż mógł zmienić poglądy polityczne pod wpływem uczucia, jakim darzył Ottona.

- Pora do łóżka, kochanie - powiedziała stanowczo do Luca. Przyjęcie u maharani miało się odbyć na wyspie na jeziorze w Lasku

Bulońskim. Goście zostali poproszeni o przybycie w strojach z epoki napoleońskiej.

Amber włożyła jasnozieloną sukienkę w stylu imperialnym, z podwyższoną talią, ozdobioną wstążkami ze srebrnej koronki i małutkimi diamentkami wszytymi w jedwab. Te same srebrne wstążki miała wpięte we włosy, a szyję owinęła etolą z lisiego futra, wyszywaną srebrną nicią.

Z kolei Beth miała na sobie różową sukienkę wyszywaną łabędzim puchem. Obie zażyczyły sobie, aby ich suknie zostały uszyte z najlepszego jedwabiu. Kilka innych kobiet również zdecydowało się na ten materiał, który podkreślał ich kształty.

- Oczywiście nie ma znaczenia, jaką długość sukni wybierzemy, i tak nie przebijemy mężczyzn - skomentowała Daisy Fellowes, kiedy czekały w kolejce do łodzi, które miały je zabrać na wyspę. - Nigdy nie widziałam tylu różnych kostiumów.

Amber musiała przyznać, że mężczyźni rzeczywiście prezentowali się wyjątkowo w swoich kolorowych strojach. Maharani, przebrana za cesarżową Józefinę, wynajęła francuskiego dekoratora wnętrz, monsieur le Barona, aby przygotował na przyjęcie znaj-

dującą się na wyspie restaurację o nazwie le Pavillon des Iles. Amber nie omieszkała oczywiście skorzystać z okazji i przyrzec się jego pracy.

Ścieżka prowadząca z przystani do pawilonu została przykryta aksamitnym białym dywanem. Po obydwu jego stronach stały wysokie świece. Keszta wyspy również została podświetlona świecami i latarniami. W samej zaś restauracji ściany i krzesła osłonięto udrapowanym białym atłasem ozdobionym złotymi i srebrnymi lambrekinami. Orkiestra grała walca.

Wśród gości Amber dojrzała księcia Mikołaja z Grecji wraz z żoną wielką księżną Rosji, Heleną. Amber poznała w Londynie ich córkę, księżniczkę Marinę, która przebywała tam w towarzystwie męża - Jerzego, księcia Kentu. Lady Diana Cooper, która przyszła na przyjęcie ze swoją przyjaciółką Elszą Maxwell, miała na sobie wspaniałą suknię z jedwabiu w kolorze ametystu.

- Jest i biedna Mimi Pecci-Blunt - zauważyła Beth, kiedy czekały na Alistaira, który zatrzymał się na chwilę, by uciąć sobie krótką pogawędkę z brytyjskim ambasadorem. - Jej mąż zadurzył się w lokaju, z którym się zaprzyjaźnił. Amber nic nie powiedziała. Słyszała, że hrabia, który był znajomym Koberta, umieścił swojego nowego kochanka w willi pod Monte Carlo. Iednak hrabina, która dysponowała własnym wielkim majątkiem, bardziej przejmowała się działalnością charytatywną, z której słynęła, niż zachowaniem męża.

Amber jednocześnie bawiło i zadziwiało, że Beth pozostawała naiwna, jeśli chodzi o realia życia, kiedy jej to odpowiadało, a jednocześnie nie przestawała z zapalem plotkować o ludziach, gdy miała na to ochotę.

- Szkoda, że Robert umówił się już wcześniej i nie będzie go dzisiaj z nami - ciągnęła Beth, dodając znacząco: - Żałuję też, że nie macie więcej dzieci.

Amber westchnęła pod nosem. Beth nie po raz pierwszy wytykała jej, że mają tylko Luca. Amber nie mogła zaufać Beth i wyznać jej prawdy, więc musiała zbyć ją jak najbardziej taktownie, ale zarazem stanowczo, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

- Byłoby wspaniale - zgodziła się niezobowiązująco.

- Oczywiście macie jeszcze na to czas - powiedziała Beth. - Chociaż ty i Robert prowadzicie tak bogate życie towarzyskie. W przeciwieństwie do mnie i Alistaira. Przy was jesteśmy prawdziwymi nudziarzami.

Amber uśmiechnęła się. W pełnym satysfakcji tonie Beth kryła się sugestia, że choć są takimi nudziarzami, znaleźli czas na czwórkę dzieci, a więc i Amber powinna postarać się być nudniejsza.

Amber dostrzegła Roberta nieco później tego wieczoru. Stał z grupką ludzi, którzy otaczali niemieckiego ambasadora. Oczywiście wśród nich był również Otto. Musiała przyznać, że młody Niemiec wygląda wyjątkowo sztywnie w mundurze pruskiego oficera z epoki napoleońskiej. A przy tym był idealnie aryjski - miał blond włosy i promieniował aurą pewno ści siebie; sprawiał też wrażenie, jakby dobrze mu się powodziło. Z kolei Robert, przebrany za fircyka z czasów regencji, wyglądał dość mizernie. Stał z boku grupki, podczas gdy Otto znajdował się w samym centrum uwagi. Amber chciała podejść do Roberta, by przekonać się, że nic mu nie jest. Nigdy wcześniej nie widziała go do tego stopnia pochłoniętego jakimś romanssem, tak jak teraz w wypadku Ottona, i bała się, że młody kochanek złamie mu serce. Otto wydawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na czujność i skupienie, z jakim obserwował go Robert, a także na to, że ten stał z boku, podczas gdy on brylował w towarzystwie ambasadora. Zanim jednak Amber zdecydowała się podejść do męża, znalazła się w pułapce - z jednej strony, dobrych manier, z drugiej zaś ryzykowała pojawienie się plotek, gdyby go zupełnie zignorowała. W tym momencie podszedł do niej Henry

Małżeństwo z córką bogatego markiza sprawiło, że stał się arogancki i pewny siebie, dając sobie prawo do krytykowania innych. Nie dało mu jednak, jak dotąd, syna.

Od tamtej nocy, kiedy próbował wziąć ją przemocą, Amber miała z nim niewiele do czynienia i cieszyła się, że spotykają się sporadycznie, zawsze w towarzystwie jego żony lub osób postronnych.

Henry, co Beth zawsze podkreślała z dumą, był oddanym mężem. Według Roberta zaś Henry nie stronił od licznych zdrad małżeńskich i przy-

padkowych kontaktów seksualnych. Jego kochanką, choć bardzo krótko, była też podobno Louise.

Proszę, proszę. Cóż cię sprowadza do Paryża? Czy w ogóle powinienem o to pytać, wiedząc, że na miejscu jest także pan du Breveonet? Podobno kobieta nigdy nie zapomina swojego pierwszego kochanka. Śmiem twierdzić, że w twoim życiu musiało ich być bardzo wielu, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak by to powiedzieć, skłonności Roberta. - To mówiąc, Henry skinął głową w kierunku grupki otaczającej niemieckiego ambasadora. - Nie żebyś nie była dyskretna. Dyskrecja to bardzo pożądana cecha w wypadku kobiety o twojej pozycji.

Amber chciała odejść, zniesmaczona jego uwagami i nim samym, lecz Henry złapał ją za ramię.

- Mam nadzieję, że cię nie uraziłem? - zadrwił z niej. - Nie miałem takiego zamiaru. Zawsze cię podziwiałem, Amber, wiesz o tym. Jesteś nie tylko piękną, ale też bardzo sprytną kobietą. Kto by pomyślał, że taka niepozorna dziewczyna, córka handlarza tekstyliami z małego miasteczka, zostanie księżną?

W chwili, w której Henry jej dotknął, Amber poczuła oburzenie i lęk. Stała teraz pod ścianą i nie miała możliwości wymknąć się Henry'emu i uciec. Po obu stronach stali ludzie zajęci rozmową. Byli jednak wystarczająco blisko, żeby słyszeć ich dialog, zwłaszcza gdyby któreś z nich podniosło głos. Na szczęście Henry mówił cicho, chociaż i tak brzmiało to groźnie.

- Musiałeś za dużo wypić - odcięła mu się stanowczo. - Gdzie twoja żona? Myślę, że powinieneś do niej wrócić, zanim całkiem się skompromitujesz. Nie sądzisz?

- Och, na pewno nie dojdzie do żadnej kompromitacji. Nie ma przecież nic zdrożnego w tym, że mężczyzna zabawia kobietę niezobowiązującą rozmową, nieprawdaż? Wiesz o tym dobrze, Amber. Ilu mężczyzn miałaś w łóżku od czasu du Breveoneta? - spytał beztrąsko, szczerząc zęby w uśmiechu, a kiedy nie odpowiedziała, kontynuował: - Jestem przekonany, że nauczyli cię kilku ciekawych sztuczek. W przyszłym miesiącu przyjeżdżam do Londynu na kilka dni, może wpadnę do ciebie, żeby powspominać stare dzieje?

- Tam stoi Robert. Może podejdziesz teraz do niego i powiesz mu to, co przed chwilą powiedziałeś mnie? - zasugerowała lodowatym tonem.

Przestał się uśmiechać.

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego powinnaś traktować mnie tak obcesowo i z góry Pamiętaj, że znam twoją tajemnicę. Widziałem cię wtedy - podkreślił znacząco. - Czy Robert wie, co robiłaś z du Breveonetem?

Amber nie odpowiedziała. Beth dostrzegła ich i zmierzała w tę stronę. Wkrótce Amber będzie miała okazję uciec.

- Bo jeśli tego nie wie, może ktoś powinien mu powiedzieć? Niezły ogier z tego du Breveoneta. Czy wiesz, że w tym samym czasie, kiedy zabawiał się z tobą, posuwał także tę ladacznicę, żonę piekarza? A może nawet robiliście to we trójkę? - Henry uśmiechnął się lubieżnie, podczas gdy Amber próbowała zapanować nad szokiem, którego właśnie doznała.

- Tu jesteś, Henry - Beth wzięła brata pod ramię. Henry natychmiast puścił Amber i odsunął się od niej.

- Pamela wszędzie cię szuka. Nie czuje się najlepiej i chce wrócić do domu. Amber, biedna Pamela znów jest w ciąży.

- Ostrzegalem Amber, że nie chcę zostawiać Pam zbyt długo samej, ale powiedziała, że szuka kogoś, z kim koniecznie chciałaby zatańczyć - skłamał Henry

Zanim Beth zdążyła otworzyć usta, Amber zwróciła się do Henryego beznamiętnym tonem:

- Mam nadzieję, że tym razem to będzie chłopiec. To przecież bardzo ważne, żeby mieć spadkobiercę, nieprawdaż?

Henry spojrzał na nią morderczym wzrokiem, ale Amber nie przejęła się tym wcale. Serce biło jej mocno, jednocześnie z gniewu i ulgi. Gniew i ulga? A co z innymi emocjami? Na przykład tymi, które ogarnęły ją, gdy Henry wspomniał o Jeanie-Philippie?

Jakie inne emocje? Przecież Amber nic nie poczuła. Niby z jakiej racji?

Henry mógł oczywiście skłamać, ale Amber miała przekonanie graniczące z pewnością, że miał rację.

Greg miał ogromne kłopoty i był przerażony. Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy Chung Hai przestał patrzeć pobłażliwie na jego rosnące długie ha-

zardowe i stał się wobec mego bardzo niechętny. Oczywiście Greg zwrócił się do Lionela o pomoc w kontaktach z Chińczykami, ale ten stał się nagle dziwnie nieuchwytny, być może dlatego, że dużo czasu poświęcał na towarzyszenie Lucy w różnych przyjęciach organizowanych przez Peak Club, do którego Greg nie miał teraz wstępu.

Napisał do babki list, w którym opisał wyssaną z palca historię, jakoby skradziono mu pieniądze z konta, i prosił o dodatkowe wsparcie finansowe. Ale to zajmie trochę czasu, a Chung Ha, nie dał mu go zbyt wiele.

Najpierw były żądania, potem groźby, aż wreszcie pewne wydarzenia, które nosiły już znamiona wypadków. Tydzień temu Greg znalazł martwego kurczaka ze świeżo poderżniętym gardłem na czystych rzeczach, które pokojówka Jardine'ów przyniosła z pralni, położyła mu na łóżku w jego domku. Chung Hai nie przebierał w środkach, by zmanifestować swoje niezadowolowanie.

W końcu wysłał emisariusza, wraz z dwoma mężczyznami uzbrojonymi w noże, którzy odstawili Grega do biura Chung Haia - obskurnego pokoiku w jednym z budynków mieszczących się w gęstym skupisku hongkońskich slumsów. Nie sposób było trafić tu z ulicy, a jeszcze trudniej wydostać się stąd bez zgody Chung Haia. Na samą myśl o tym Greg pocił się obficie.

Chung Hai miał dla niego propozycję. Teoretycznie rzecz biorąc, Greg pracował dla Henryego Jardine'a, ale w praktyce mijały całe dni, jeśli nie tygodnie, podczas których nie zbliżył się nawet do biura Jardine'a i Nephew. Miał się zajmować robotą papierkową towarzyszącą załadunków, towarów z Szanghaju i innych wschodnich portów na statki, które zabierały je dalej do Europy i Ameryk. Oczywiście nie postawił też nigdy stopy na żadnym z tych statków, jak to miał w zwyczaju robić Henry Jardine, by osobiście dopilnować wysyłki. Na samym początku, kiedy Henry Jardine łudził się jeszcze, że Greg rzeczywiście chce się czegoś nauczyć na temat prowadzenia interesów oraz importu jedwabiu do Denby Mili powiedział mu, że pewną część ładunku należy spisać na straty, i jest ogólnie przyjętą normą którą. Działo się tak na skutek pobierania „podatku” przez triady, które monitorowały interesy zachodnich przedsiębiorców z równą



drobiazgowością, z jaką oni sami sprawdzali swoje transporty. Gdy ktoś okradł triady, w najlepszym razie tracił dłoń lub całą rękę, w najgorszym zaś - życie.

Greg w dalszym ciągu pocił się jak mysz kościelna, siedząc na jedynym krześle w niewielkiej sypialni mieszkania, które kiedyś wynajmował dla swojej kochanki. Przyszedł tu, bo nie miał żadnego innego miejsca, w którym mógłby się schronić. Nie mógł wrócić do Jardine ów, w każdym razie jeszcze nie teraz, dopóki nie upewni się, że to, co zrobił, ujdzie mu na sucho.

Zmusił go do tego Chung Hai, podobnie jak wcześniej Lionel, którego Greg obarczał odpowiedzialnością za wszystkie swoje pozostałe problemy. W końcu to on przedstawił go Chung Haiowi i to on ukradł mu Lucy. Greg obiecał sobie, że jak tylko wykaraska się z tych wszystkich kłopotów, odpłaci Lionelowi pięknym za nadobne. Był nawet gotów założyć się o własne życie, że tak właśnie zrobi.

Ale najpierw musi znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Greg zaczął pocić się jeszcze obficie. Pokój miał niski strop i tylko jedno małe okno, przez które do środka napływały obrzydliwe smrody z ulicy poniżej, tak jak ścieki zatruwały deszczówkę, która płynęła tą samą ulicą po każdych opadach. Kiedy mieszkała tutaj Chia Yung, włączała wentylator. Ale zniknęła, zabierając ze sobą dziecko, po tym jak Greg zagroził, że roztrzaska mu głowę o ścianę, jeśli zaraz nie przestanie płakać.

Czego tak się bał? Przecież zrobił wszystko, co kazał mu Chung Hai. Ukradł czeki z firmowej książeczki czekowej Henryego Jardinea, a później podrobił jego odręczne pismo i podpis - to akurat było bardzo łatwe. Posłużył się nawet piórem Henry ego, „pożyczając” je pod nieobecność właściciela i jego żony. Następnie przekazał czeki Chung Haiowi, tak jak tamten zażądał, z późniejszą datą, wystawione na rachunek w bankach Hongkongu i Szanghaju. Greg domyślił się, że Chung Hai celowo zażyczył sobie wypisania na czekach kilku mniejszych sum niż jednej większej, żeby nie wzbudzić podejrzeń urzędników w bankach, którzy mogli zweryfikować czeki przed ich zrealizowaniem. Mimo to trudno było nie zauważyć utraty prawie stu tysięcy funtów, sumy, na jaką opiewały wystawione czeki w dolarach obowiązujących

w Hongkongu. Jednak Greg przekonywał sam siebie, że gdy Henry Jardine odkryje, że z jego konta zniknęła taka kwota, nie będzie przecież podejrzewać jego.  
Dla Grega najważniejsze było to, że udało mu się spłacić wszystkie długi hazardowe.

## Rozdział 28

- Spójrz, mamusiu!

Amber uśmiechnęła się, kiedy Luc popatrzył pożądliwie w stronę lśniącego rowerka. Byli na zakupach w Harrodsie, w którym nie brakowało wszelkich możliwych zabawek, jakie Święty Mikołaj przynosił „grzecznym” dzieciom w Wigilię.

Miała nadzieję, że Robert wybierze się z Lukiem, wiedziała bowiem, że miał na to ochotę. Ale wtedy zjawił się Otto, który miał jakiś irytujący nawyk wtrącania się w ich życie akurat wtedy, gdy Amber chciała mieć Roberta i Luca tylko dla siebie, chociaż przez jakiś czas. Skończyło się więc na tym, że poszła do Harrodsa sama z Lukiem.

Luc był już tutaj wcześniej i widział Świętego Mikołaja. Amber zastanawiała się, ile jest w tym rzeczywistej wiary w niego, kiedy syn poinformował ją, że zdradził Świętemu Mikołajowi, iż bardzo chciałby mieć własnego pieska.

Szczenie czekało na niego w Osterby. Amber już je widziała podczas krótkiego wyjazdu z Robertem po ich powrocie z Paryża. To była bardzo radosna wizyta, tym bardziej że Robert w końcu pozwolił Amber otworzyć sklep. Czy tę zmianę wywołały wyrzuty sumienia, że nie mógł być dla niej prawdziwym mężem? Spłatą długu, jaki miał wobec niej, chociaż nie chciał się do niego oficjalnie przyznać? A może zabawką, która pozwoli jej się czymś zająć i sprawić, że już nigdy nie powtórzy się ten żalony epizod, jaki miał miejsce w nocy w jego sypialni, kiedy Amber błagała go, by zachował się, jak na męża przystało? Postanowiła nigdy nie wracać pamięcią do tego wydarzenia.

Rozdzierający ból upokorzenia, jakiego wówczas doznała, wypalił w niej głęboką bliznę i, podobnie jak Robert, Amber nie miała już ochoty rozmawiać na temat ich pozbawionego namiętności małżeństwa. Łatwiej - dla niej i dla niego - było udawać, że nigdy nie doszło do tego incydentu.

Łatwiej i bezpieczniej było jej wytłumaczyć sobie, że zgoda Roberta była symbolicznym gestem jego sumienia, ponieważ Robert miał Ottona, kłosego mógł kochać i pożądać, Amber zaś nie miała nikogo. Iakikolwiek powód krył się za zmianą decyzji Roberta, Amber uznało to za cudowny prezent świąteczny. Nienawidziła konfliktów, a wrogie nastawienie męża do jej planów przyćmiło entuzjazm, z jakim je snuła, odebrało przyjemność i sprawiło, że czuła się przygnębiona. Tak bardzo pragnęła, by Robert dzielił z nią radość z tego pomysłu, ale musiała zaakceptować, że jego to nie interesuje i z trudem to toleruje, nie mówiąc już o jakimkolwiek współuczestnictwie. To bardzo smuciło Amber, zwłaszcza /e jej rodzice dzielili się wszystkim w małżeństwie. Ale jej małżeństwo było inne. Nie było sensu zastanawiać się nad tym, czego w nim brakowało. Zamiast tego wołała skupić się na korzyściach, które z niego płynęły.

Później miała pojechać na Walton Street, gdzie umówiła się z Cecilem i Jamesem Leesem-Milneem, o których dobre rady bezwstydnie zabiegała. Każdy z nich, w zupełnie innej roli, mógł przyczynić się do sukcesu tego przedsięwzięcia, dlatego Amber chciała skorzystać z ich doświadczenia.

Musiała porozmawiać z Robertem i wypytać go, co sądzi o zakupie roweru dla Luca, który uczył się już jeździć na - łagodnym na szczęście -kucyku pod okiem głównego stajennego w Osterby.

Jej syn dawał im obojgu dużo radości. Robert starał się być dla niego surowym ojcem, ale prawda była taka, że Luc potrafił owinać go sobie wokół małego palca.

- Rozpuścisz go - protestowała często Amber, kiedy Robert spełniał różne zachcianki Luca, ale on za każdym razem powtarzał, że Luc ma tak dobrą naturę, iż nie da się go rozpieścić.

To akurat była prawda. Wielokrotnie Luc prosił o coś Roberta, po czym okazywało się, że robi to z dobrego serca dla innych. Był bardzo spostrzegawczym chłopcem, któremu nieobcy był los tych, którzy mieli w życiu mniej szczęścia niż on. Kiedy Amber wychodziła gdzieś z synem, Luc często prosił ją, żeby „dała temu biednemu sprzedawcy zapalek parę groszy” albo „wspomogła tego nieszczęsnego chłopca, którego nie stać na nowe buty”.

Luc odziedziczył chęć niesienia bezinteresownej pomocy innym po jej ojcu i Amber miała cichą nadzieję, że kiedy dorośnie na tyle, by samemu

decydować o swoim losie, wykaże większe zainteresowanie polityką niż Robert. Człowiek z jego pozycją i inteligencją mógł zrobić tak wiele i tak wiele należało zrobić - dla kraju. Wystarczyło poczytać w gazetach, ilu ludzi traciło codziennie pracę i lądowało na bruku. Gdyby babka Amber umiała czytać w jej myślach, z pewnością oskarżyłaby ją o próbę zamienienia jej wnuka w socjalistę. Lecz Amber zależało po prostu na tym, by Luc pielęgnował zdolność empatii.

Służący uwielbiali go. Luc wiedział wszystko o ich rodzinach oraz -w wypadku służących w podeszłym wieku - o ich schorzeniach i dolegliwościach. Siadał ze starą nianią Roberta i cierpliwie trzymał jej włóczkę między wyciągniętymi dłońmi, kiedy ona nawijała wełnę. Ale wciąż był jeszcze małym chłopcem, który chciał się bawić i figlować, chociaż zdawał sobie sprawę z obowiązków, które będzie musiał kiedyś wziąć na swoje barki.

Wzruszenie chwyciło Amber za gardło, kiedy obserwowała, jak Luc mężnie drecze u boku Roberta, naśladując jego chód i mimikę, gdy ten oprowadzał go po posiadłości.

Otwarcie sklepu oznaczało dla Amber, że nie będzie mogła poświęcać się w takim stopniu życiu towarzyskiemu, jak wcześniej. Z czasem znajomi zaczęli narzekać, że zamienia się w pustelnicę. Ale spotkania i przyjęcia nigdy jej nie pociągały - większość z nich zdawała jej się płytka i pozbawiona sensu. Istniały jednak chlubne wyjątki od tej reguły, mężczyźni i kobiety, których mądrość i inteligencję wysoko ceniła.

Na przykład Emerald Cunard, przy całej jej miłości do zabaw i plotek, była kobietą, na której opinii można było polegać, potrafiła bowiem bezbłędnie rozpoznać, co kryło się pod drogimi ubraniami i biżuterią. Amber przyjaźniła się też z członkami rodzin Duff Cooper i Channon, których towarzystwo zawsze sprawiało jej radość. Chips Channon miał poczucie humoru, które bardzo odpowiadało Amber, Duff Cooper zaś dzieliła z nią te same sympatie i antypatie polityczne, zwłaszcza jeśli chodziło o Hitlera i jego otoczenie. Obydwa małżeństwa były bardzo dobrze poinformowane i aktywne politycznie.

Kiedyś podziwiała również Dianę Mitford. Na pewnym etapie ich znajomości były nawet przyjaciółkami. Ale ta sytuacja diametralnie się

zmieniła, kiedy na jaw wyszedł romans Diany z Oswaldem Mosleyem. Amber była niemal zdruzgotana. Skrajnie prawicowe ugrupowanie Oswal-ilii Mosleya i jego poglądy polityczne, które udzieliły się także Dianie, reprezentowały to wszystko, czym Amber szczerze gardziła. Ich poglądy były zbliżone do tych, które prezentował Hitler, na czele z antyżydowską irloryką, i to sprawiło, że Amber rzuciła na Dianę Mitford anatemę. Wiedziała jednak, że w Anglii nie brakuje ludzi podobnie myślących i to przerazało ją najbardziej.

W trakcie przyjęć i kolacji często wybuchały gwałtowne spory na temat olimpiady w Monachium\*. Niektórzy uważali, że te igrzyska w ogóle nie powinny się odbyć, a branie w nich udziału jest dowodem relatywizmu moralnego. Inni zaś uparcie twierdzili, że nie należy mieszać polityki ze sportem i nie ma powodu, by nie pojechać do Monachium. Była także trzecia grupa - tych, którzy nie ukrywali swojej fascynacji potęgą faszystowskich Niemiec i wykorzystywali igrzyska olimpijskie jako pretekst do dyskusji o Hitlerze i jego wspaniałości.

Kiedyś Amber potrafiła rozmawiać z Robertem otwarcie na temat jej obaw związanych z Hitlerem, Mosleyem oraz ich zwolennikami. Ale teraz, wpływ Ottona na życie Roberta był tak duży, że nie miała ochoty nawet rozpoczynać takiej dyskusji. Być może bała się, że Robert już nie podziela jej poglądów. Wiedziała, ile dla niego znaczy Otto, ale nie oznaczało to chyba, że jej mąż zrezygnuje dla niego ze swojej postawy politycznej?

Właśc. w Garmisch Partenkirchen, zimowa olimpiada trwająca od 6-16 lutego 1936 r. W tym samym roku w Berlinie odbyły się letnie igrzyska olimpijskie (przyp. red.).

## Rozdział 29

### Styczeń 1936 roku

- Pan Fulshawe czeka na dole i prosi o spotkanie z panią. Twarz Amber rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Wpuść go, proszę, Chivera - poleciła kamerdynerowi - i przekaz ku charce, że zmieniłam zdanie i napiję się popołudniowej herbaty. Jestem pewna, że pan Fulshawe chętnie zje też coś bardziej pożywnego, chociażby jeden z jej niemieckich frykasów i ciasto ze śliwkami.

- Jay - Amber z radością powitała przyjaciela. - Wspaniała niespodzianka. Tak rzadko przyjeżdżasz do Londynu. Zwłaszcza w taką pogodę. Śnieg i mgła. Beth i Alistair byli w weekend na polowaniu w Windsorze, a potem książe Walii zaprosił ich na lunch w Fort Belvedere. Powrót do Londynu zajął im godzinę i piętnaście minut zamiast czterdziestu pięciu minut, jak zazwyczaj.

Jay miał tak grobowy wyraz twarzy, że uśmiech na ustach Amber stop niowo gasł, ustępując miejsca grymasowi zmartwienia. Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, został wniesiony podwieczorek.

- Napijesz się, prawda? - spytała Jaya, dając znak służbie, żeby zostawiła wózek z herbatą. - Dziękuję, Chivera. Sama się obsłuży.

Kiedy siedzieli znów sami, Amber powiedziała cicho:

- Widzę, że coś cię trapi.

- To prawda. - Jay wyglądał na zrozpaczonego.

- O co chodzi? Co się stało? Widziała, że Jayowi trudno jest o tym mówić. - Chodzi o Lydię czy o dziewczynki? A może o moją babcię?

Od ostatniego listu od Blanche minął już prawie tydzień, a babka pisała do niej regularnie co tydzień - także wtedy gdy Amber chodziła jeszcze do szkoły - i Amber zawsze jej odpisywała. A ponieważ wizyta Jaya była tak niespodziewana, od razu pomyślała, że stało się coś złego.

Lydia jak zwykle, a dziewczynki mają się świetnie.

Prawdę mówiąc, stan zdrowia Lydii był daleki od poprawnego. W święta miał miejsce pewien incydent, w wyniku którego Jay został poturbowany, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Lydia rzuciła się na niego bez powodu, kopiąc go i okładając pięściami. Na szczęście byli wtedy sami w domu. Jay nie chciał, żeby dzieci były świadkami, jak ich matka traci nad sobą kontrolę, gdyż bardzo by się wystraszyły, widząc ją w tym stanie. Lydia nie chciała podać powodu swojego wybuchu. Krzyczała tylko, że Jay więzi ją w domu, a ona nienawidzi go i znajdzie jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. Kiedy w końcu padła na łóżko, zanosząc się histerycznym szlochem, musiał wezwać lekarza, żeby podał jej środki na uspokojenie. Tym samym ominęła go wieczera wigilijna.

- Chodzi o Grega, Amber. Wiem, że bardzo ci na nim zależy, dlatego nie lubię być posłańcem złych wieści.

- Czy coś mu się stało? Wydarzył się jakiś wypadek?

Obawa o kuzyna wytrąciła Amber z równowagi. Odłożyła dzbanek z herbatą. Za bardzo trzęsły jej się ręce i bała się, że upuści dzbanek, który ścisnęła kurczowo.

- Nie, nic z tych rzeczy - zapewnił ją natychmiast Jay. - Dwa dni temu twoja babcia otrzymała list od Henry ego Jardine a. Wygląda na to, że Greg zniknął, pozostawiając po sobie... jak by to powiedzieć... pewne nieprawidłowości w księgach finansowych... Z rachunku bankowego zniknęła duża suma pieniędzy.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Greg ukradł te pieniądze? - przeraziła się Amber.

Wiedziała, że Greg ma na sumieniu wiele rzeczy, w tym także bardzo złych, ale przecież nie był złodziejem. Nie mogła uwierzyć w coś takiego.

- Zdaję sobie sprawę, że musi to być dla ciebie nieprzyjemna nowina powiedział Jay. - Sami też nie znamy jeszcze prawdy i nie poznamy jej

oczywiście, dopóki Greg się nie odnajdzie.

- Ale przecież Henry Jardine nie oskarżyłby Grega, gdyby nie był pewny jego winy.

- To prawda - zgodził się Jay. - Jednakże jak wynika z listu, Greg znajdował się pod pewną presją.



Amber wiedziała, że Jay stara się być delikatny. Wiedziała też, że bez względu na presję on nie ośmieliłby się nikogo okraść. Ale Jay miał siłę której brakowało jej kuzynowi. Greg był słaby Amber miała tego świadomość. Zawsze czuła to w głębi serca.

- Henry Jardine uważa, że Greg miał długie, których nie potrafił spłacać. Chińczycy to urodzeni hazardziści, nie mówiąc już o bezwzględnych gangsterach z triad, którzy kontrolują nielegalny biznes hazardowy i nie znają litości ani granic, grożąc tym, którzy są im winni pieniądze. Henry podejrzewa, że Greg musiał być przez nich zastraszony i dlatego wziął te pieniądze.

- To potworne. Biedny Greg. Wiem, że to, co zrobił, jest złe, ale na pewno obawiał się o swoje życie.

- W rzeczy samej.

Spojrzeni po sobie. Amber odłożyła filiżankę z herbatą i spodek, po czym wstała i podeszła do okna. Resztki porannej mgły wciąż otulały bezlistne drzewa na placu.

- Jay, a jeśli ci Chińczycy już dopadli Grega?

Kiedy odwróciła się, zobaczyła, że Jay wstał z krzesła i idzie w jej stronę.

- Och, Jay

Chwycił jej wyciągniętą dłoń i zacisnął mocno w swojej.

Amber czuła ciepło jego dotyku, które promieniowało w górę jej ramienia, jak gdyby podgrzewało krew w żyłach. Jay miał takie mocne palce, a jego skóra była taka inna - bardziej szorstka. Amber wstrzymała oddech, poczuła suchość w gardle i przyspieszone bicie serca. Minęło już tyle czasu, od kiedy jej ciało zaznało męskiego dotyku; odkąd wiedziała, co to znaczy znaleźć się w objęciach mężczyzny

Jej potrzeba fizycznego spełnienia była jak rwąca rzeka wylewająca z brzegów, spieniona, tryskająca, rozbijająca się z hukiem i pustosząca te części jej ciała, które do tej pory wydawały się jej bezpieczną przystanią. Ta dzikość, która powinna być jej zupełnie obca, wydała się tak dziwnie znajoma, jakby żyła z nią w intymnych stosunkach na co dzień. Amber próbowała usprawiedliwić się sama przed sobą, że nie zdawała sobie z tego sprawy. Była przekonana, że nic takiego jej nie grozi Jay!

A co by się stało, gdyby teraz wzięła go za rękę, powiodła za sobą i wtajemniczyła go w swoje pragnienia? Jay był jej przyjacielem. Na pewno rozumiałby jej potrzeby i powody, dla których pozostawały niezaspokojone. Nie musiałaby mu nic tłumaczyć ani przepraszać za cokolwiek.

Jay był mężczyzną, w dodatku dobrze zbudowanym. Na samą myśl u tym puls Amber przyspieszył, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz, który wypływał głęboko z jej wnętrza. Nie było potrzeby flirtowania, miejsca na dyskusję ani czasu do marnowania na grę wstępną, której opierała się jej paląca i gwałtowna potrzeba. Amber знаła Jaya. Nie miała się czego lękać ani obawiać. Wiedziała, że zrobiłby wszystko, by ją zaspokoić i zapewnić jej bezpieczeństwo. Pokusa wysysała z niej silną wolę z siłą morskiego przyływu, biorąc Amber w swoje objęcia i trzymając w nich mocno, jednocześnie bawiąc się z nią, pieszcząc i prowokując. Drwiąc z niej. Żywiąc się jej potrzebą.

Jay mógł ugasić w niej ten pożar, wypełnić pustkę, którą odczuwała. Nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Wciąż ścisnął jej rękę. Musiało minąć zaledwie kilka sekund, ale Amber ten czas wydawał się dużo dłuższy - wystarczająco długi, by zabłądzić w miejscu, które było dla niej zakazane i musiało takie pozostać. Jej myśli powędrowały tam, gdzie nie powinny. Już dawno Amber nie czuła tak uspokajającego, czułego i troskliwego wsparcia, jakie dawał jej teraz Jay. Po i aż ostatni otrzymała je od Roberta... W tym momencie Amber upomniała samą siebie, że przecież Robert jest jej mężem. Błyskawicznie cofnęła i ękę i odsunęła się od Jaya.

- Musimy mieć nadzieję, że nic takiego się nie wydarzyło - odpowiedział na jej pytanie. Na chwilę zamilkł, po czym dodał cicho: - Oczywiście twoja babka jest przygnębiona, choć robi wszystko, żeby to ukryć.

- Trudno jej będzie znieść taką hańbę - odparła Amber.

- To prawda. Ale wiesz dobrze, że Blanche kocha Grega. Ciebie też kocha, Amber. Wiem, jaką radość sprawiła jej wizyta u ciebie w Boże Narodzenie.

Amber musiała przyznać, że święta były cudowne. Blanche bez przerwy adorowała Roberta i Luca. Za tę miłość do jej syna Amber była skłonna wybaczyć Blanche bardzo dużo. Prababkę i prawnuka łączyła

wyjatkowa więź, która - Amber jako matka nie miała co do tego żadnych wątpliwości - wpływała korzystnie na Luca. Dla jej syna, jedynaka, więzy rodzinne były bardzo ważne. Blanche mogła podchodzić lekceważąco do panującego w rodzinie Roberta zwyczaju wyprawiania dorocznego balu świątecznego dla służby i najemców, a także przyjęcia dla rodzin tych drugich - zarówno rolników, jak i pracowników Roberta - ale Amber podejrzewała, że w skrytości babce imponuje ta pompa i tradycja, która wiązała się z książęcą pozycją Roberta. Blanche była traktowana z takim szacunkiem, jakiego społeczność Cheshire odmawiała jej, kiedy była „tylko” panią Pickford. Amber wiedziała też, że jej babka uwielbia nosić się jak prawdziwa *grandę dame*. Na przyjęciu dla służby Blanche miała na sobie suknię od Chanel ze srebrnoszarego jedwabnego dżerseju, ozdobioną na jednym biodrze wyszywaną koralikami kamelią - znakiem rozpoznawczym Chanel - i nieodłączne perły. Kiedy zjawiała się w tej sukni na obiedzie, Robert spojrzał na nią, po czym wstał od stołu, wyszedł i wrócił piętnaście minut później, rezygnując ze szklaneczki martini tylko po to, żeby podarować Blanche rodzinny klejnot - tiarę zdobioną perłami i diamentami, która idealnie pasowała do jej stroju.

Amber nie wyobrażała sobie założenia tiary na taką okazję - w ogóle nie miała ochoty na taką ozdobę - ale na głowie Blanche tiara wyglądała tak, jak gdyby była dla niej stworzona. Amber podejrzewała, że dla ich gości - którzy mogliby pomyśleć, że Blanche chce się w ten sposób wywyżżyć i pokazać im właściwe miejsce - jej elegancja była raczej komplementem.

Święta to jednak nie tylko tiary i suknie balowe. Któregoś popołudnia Amber weszła do „żłobka”, jak nazywali wielki, wygodny pokój sąsiadujący z sypialnią Luca, i zastała swojego syna razem z jej babką klęczących na podłodze i bawiących się kolejką Hornbyego.

Amber doszła do wniosku, że te wspomnienia wystarczą, by zapomnieć o wrogości, jaką czuła do Blanche.

- Ona uwielbia Roberta i Luca - przyznała.

- A jak idą sprawy ze sklepem?

Amber poczuła ukłucie w sercu. Sklep! Projekt, jak powiedziała Robertowi, był jej potrzebny, aby wypełnić czymś czas i pustkę w sercu bę-

dacą wynikiem małżeństwa z nim. Czymś, co miało powstrzymać ją przed rzuceniem się w wir namiętności. To dopiero początki. Załatwiliśmy już wszystkie formalności. Teraz pi uczuję nad wystrojem witryn i urządzam pomieszczenie, które docelowo będzie biurem. Na pozostałych dwóch poziomach zamierzam wyeksponować jedwabie z Denby Mili, prezentując je tak, jak wyglądałyby w autentycznych pokojach. Chcę postawić na prostotę - wielkie sofy przykryte matei nitami, które można zmieniać w zależności od pory roku, nakrycia, zasłony na wszystko, co wygląda stylowo, z czym jednocześnie da się żyć na co dzień. Później chciałabym zatrudnić artystę, który będzie potrafił rozrysować klientowi plan pokoju. Mam też nadzieję, że uda mi się nakłonić Cecila, by zrobił kilka fotografii na potrzeby reklamy, a także naszej „księgi pomysłów”.

- Wygląda na to, że włożyłaś w to już bardzo dużo pracy

- Czasem budzę się w nocy i martwię się kosztem tego przedsięwzięciu i tym, czy spotka się z zainteresowaniem, czy raczej ludzie potraktują mnie jak rozpuszczoną żonę bogacza, która bawi się w urządzenie wnętrz.

- festem przekonany, że odniesiesz sukces - zapewnił ją Jay - Twoja pusja do jedwabiu jest tego wystarczającą gwarancją, nawet bez talentu do projektowania i stylu, który odziedziczyłaś po ojcu, a także żyłki do interesów, jaką miał twój pradziadek. Masz to we krwi.

- Nazwij rzecz po imieniu. To krew kupiecka, której tak nienawidzi moja babka. - Amber uśmiechnęła się, a potem zachmurzyła się lekko. - W szkole bez przerwy wytykano mi moje handlowe korzenie. Nigdy wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób, ale może nadszedł czas, aby zrobić z tego jakiś użytek.

- Ty i twoja miłość do jedwabiu, a także dar dzielenia się tą miłością i entuzjazmem z innymi odegrają kluczową rolę w sukcesie twojego przedsięwzięcia - zapewnił ją dalej Jay - Tylko ty. Nikt i nic innego. Będziesz na pogrzebie króla? - zapytał nagle, zmieniając temat.

- Tak. Robert jako księżę ma obowiązek uczestniczyć w ceremonii, a ja jako jego żona mam mu towarzyszyć.

Oczywiście nie zamierzam wykorzystywać tej okazji do promowania mojego sklepu jak jakaś uliczna przekupka, chociaż nie mogę wykluczyć, że będą tam ludzie, którzy chętnie by mnie w takiej roli widzieli. - Amber znów zrobiła smutną minę.

- Co prawda wyszłam za księcia, ale wciąż nie brakuje ludzi, którzy nic chcą mnie zaakceptować, ponieważ nie jestem jedną z nich.

- To zwykli głupcy - powiedział łagodnym tonem Jay

- Robert też nienawidzi tego snobizmu. Mam nadzieję, że uda mu się zdażyć na pogrzeb. Jest w tej chwili w Paryżu, ale dzwonił do mnie i zapewnił, że przybędzie w porę. - Amber odwróciła wzrok, czerwieniąc się na samą myśl o uczuciach, które ogarnęły ją kilka chwil wcześniej, a których teraz bardzo się wstydziła. - Gdyby był tutaj, zaproponowałabym ci nocleg, ale...

Jay potrząsnął głową.

- Nie, w porządku. Zatrzymałem się w klubie mojego dziadka, teraz jest to również mój klub, odkąd dziadek mnie do niego wprowadził.

- Jak on się czuje?

- Bardzo dobrze. Czasem wydaje mi się, że to właśnie upór by nie sprzedać ziemi twojej babce, utrzymuje go przy życiu. Podejrzewam, że postawił sobie za cel przeżyć ją. I *viceversa*.

Amber zadrżała.

- Jak można żywić do siebie taką urazę przez tyle lat?

- Twoja babka zawsze była dla mnie bardzo dobra i nie ukrywam że podziwiam wiele jej cech. Na przykład niewyczerpane pokłady silnej woli. Ty jesteś taka sama. Nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego jeszcze sprawy Amber pokręciła głową.

- Daj mi znać, jeśli dowiesz się czegoś więcej o Gregu.

- Niezwłocznie - zapewnił.

Po wyjściu Jaya Amber bardzo długo stała, wyglądając przez wielkie okno w salonie na szary półmrok towarzyszący zapadającemu powoli styczniowemu wieczorowi. Czowała się tak, jakby ta mgła, pełna żalu i rozpacz, która zawisła nad miastem, zaatakowała także ją, wlewając się do jej wnętrza i spowijając myśli.

Śmierć króla Jerzego V zasmuciła wszystkich i była kiepskim początkiem nowego roku. Tym bardziej że w mieście huczało od plotek na temat romansu księcia Walii z Wallis Simpson.

Coraz większym niepokojem napawała także sytuacja w Niemczech Emerald Cunard mogła wprawdzie flirtować z niemieckim dyplomatą von

Ribbentropem i żartować sobie, że się w nim zadurzyła, ale w kręgach brytyjskich polityków narastała coraz większa wrogość do Adolfa Hitlera, choć w swoim kraju był on postrzegany niemal jak zbawca, który walczył skutecznie z kryzysem ekonomicznym i bezrobociem. Robert, podobnie jak wielu innych właścicieli ziemskich, robił co w jego mocy, by znaleźć jakieś zajęcie dla tych, którzy stracili pracę. Na terenie posiadłości kazał wykopać wielkie jezioro, zatrudniając przy jego budowie wielu miejscowych bezrobotnych.

Robert, który nigdy nie ukrywał swojej ogromnej niechęci do polityki faszystowskiej, konsekwentnie milczał na ten temat, odkąd zakochał się w Ottonie.

Niemcy były w tym roku gospodarzem letnich igrzysk olimpijskich. Amber słyszała, że w pewnych kręgach zaczęły pojawiać się głosy, iż przyznanie organizacji olimpiady w tym kraju było błędem i nie powinno w ogóle do tego dojść. A teraz jeszcze te straszne i smutne informacje dotyczące Grega. Niektóre wydarzenia na świecie, a także w jej życiu prywatnym położyły się tak mrocznym i niebezpiecznym cieniem na życiu Amber, że nie mogła przestać się nimi przejmować.

Manche wyglądała przez okno w gęstniejącą ciemność.

Jay na pewno spotkał się już z Amber i przekazał jej wiadomość

o Gregu. Na pewno bardzo ją to zasmuci. Amber miała taką naturę, że przejmowała się niepowodzeniami swoich bliskich bardziej niż oni sami.

Oczywiście Blanche też była „zasmucona” faktem, że jej wnuk, którego kochała i z którym wiązała tyle nadziei, okazał się nietrafioną inwestycją. Greg roztaczał wokół siebie aurę człowieka honoru i siły. Ale była to tylko iluzja. Mało co potrafiło wstrząsnąć Blanche, ale nawet na niej zrobiło duże wrażenie, kiedy rozmawiając z Jayem na temat tego, co zrobił jej wnuk, dowiedziała się, że Greg zapewne wiedział o dziecku Caroline Fitton Legh i nie zająknął się na ten temat. Ale właściwie dlaczego miałyby ją to szokować? W tej sytuacji powinna raczej spodziewać się po nim takiej postawy

Blanche miała nadzieję na więcej. Liczyła na to, iż sam fakt, że Greg jest jej wnukiem, wystarczy, by był kimś lepszym. Jak bardzo się myliła.

List od Henryego Jardinea ukazał jej taki obraz Grega, jakiego nie chciała znać - słabego, tchórzliwego młodzieńca pozbawionego dumy i szacunku dla siebie i innych, który złamałby serce swojemu ojcu, gdyby żył. Ojciec Grega - zarówno wyglądem, jak i charakterem - uosabiał wszystkie cechy, jakimi powinien odznaczać się mężczyzna.

Za jego śmierć odpowiedzialny był Barrant de Vries. To jego pogania sprawiła, że jej syn zaciągnął się do wojska, choć Blanche robiła, co mogła, by zatrzymać go jak najdalej od wojny. Barrant celowo doprowadził do konfrontacji, nazywając go tchórzem i domagając się publicznej odpowiedzi, dlatego jej syn nie zaciągnął się do brygady miejscowych, odważnych mężczyzn, w której pierwsze skrzypce grał jego syn.

Blanche błagała Marcusa, żeby go nie słuchał, i prosiła, by nie jechał na front. Miał małego syna, a jego żona była w ciąży z drugim dzieckiem. Miał też słabszą jedną nogę na skutek wypadku, którego doznał w dzieciństwie, dlatego nie mógł opierać na niej dużego ciężaru. To zwolniłoby go od obowiązku służby wojskowej. Ale nie, on nie mógł pozwolić na to, by młodsi od niego szli do boju, podczas gdy on siedział w domu. Musiał być z nimi. To był jego obowiązek.

Obowiązek. Dobry Boże. Jego obowiązkiem było zostać przy matce, która urodziła go w takich bólach, a także przy żonie i synu. Nie miał żadnych zobowiązań wobec grupki młodych lekkomyślnych chłopców, w których Barrant wywołał patriotyczną histerię. Gdyby Barrant miał choć odrobinę rozsądku w głowie, trzymałby własnego syna z dala od tego szaleństwa, zamiast przechwalać się jego męstwem i zachęcać go jeszcze bardziej do walki. Kobiety pragnęły mieć żywych synów, kochanków i braci, a nie martwych bohaterów.

Blanche była świadoma tego, że miejscowa społeczność uważała, iż nienawidzi ona Barranta, ponieważ odtrącił jej względy i nie chciał się z nią ożenić. Ale to uczucie było niczym w porównaniu z gorzką nienawiścią, którą czuła do niego po śmierci Marcusa. Barrant zabił jej syna z taką premedytacją, jak gdyby sam zatopił mu nóż w piersi.

Amber musi dać Robertowi drugiego syna. Jeden syn to za mało. To igranie z losem, a los potrafi być okrutny, gdy rzuci mu się wyzwanie. Blanche postanowiła, że musi znowu przypomnieć o tym swojej wnuczce.

## Rozdział 30

Mamusi, mamusi... , Cichutko, kochanie - Amber uciszyła Luca, który nie potrafił ukryć podniecenia.

Tego ranka, pod wpływem jakiegoś impulsu, Amber zabrała go do pałacu Świętego Jakuba, żeby mógł zobaczyć i usłyszeć królewską proklamację, która zgodnie ze zwyczajem ogłaszała Anglii nowego króla.

Doskonale rozumiała ekscytację Luca, który nigdy wcześniej, nie był świadkiem takiej gali. Na początku miał miejsce przemarsz Kawalerii Królewskiej Oczywiście Luc widział już kawalerię jak każde dziecko w Londynie - umundurowanych mężczyzn jadących na nienagannie wyszczotkowanych i wytresowanych koniach. Następnie defilowali członkowie eskorty w herbowych kostiumach w kolorze szkarłatu, złota i bieli, ozdobionych królewskimi symbolami i orężem Korony. W charakterystycznych średniowiecznych kapeluszach z pluszu i jedwabiu - Amber miała nadzieję, że to ledwab z Macclesfield- eskortowali królewskie powozy.

Obserwując ukradkiem Luca, Amber widziała, jak jego małą pierś rozpięła duma z tego, że jest Brytyjczykiem. Ona także musiała przyznać, że to uczucie jest jej nieobce, kiedy patrzyła, jak powozy toczą się leniwie, przez uroczy pomost między teraźniejszością i przeszłością kraju.

Wszystkie te powozy i karoce były jednak niczym w porównaniu z widokiem samej pary królewskiej, odzianej w szkarłat i złoto.

Trębacze podnieśli swoje instrumenty i zagrali triumfalnie, ogłaszając wstąpienie na tron Anglii króla Edwarda VIII. Wtedy Amber pomyślała o tym, ilu tutejszych poddanych zastanawia się, czy nowy władca poradzi sobie z problemami rozdartego wewnętrznie mocarstwa. Był on bowiem na śmierć zakochany w Wallis Simpson, tymczasem po objęciu władzy ten związek nie miał szans dalszego powodzenia, przynajmniej nie w takiej, otwartej formie jak dotychczas. Wallis była rozwódką, a żadnemu królowi Anglii nie wolno poślubić rozwiedzionej kobiety.



Amber uświadomiła sobie ze smutkiem, że romantyczna miłość nic się ze sobą wiele problemów. Była jednak szczęśliwa, że nie pozwoliła takiemu uczuciu wkroczyć znów do swojego życia. Z jakiegoś powodu w jej głowie pojawił się obraz Jaya. Wyobraziła go sobie tak wyraźnie, idącego do pracy w zwykłym roboczym ubraniu i z odkrytymi ciemnymi włosami, zmierzwionymi przez silny wiatr w Macclesfield. W życiu Jaya nie było miejsca na pompę, bogactwo. Pozycja społeczna i finansowa nic dla niego nie znaczący i nie szukał ich wcale. Myśląc o nim, Amber jeszcze dobitnie, uświadomiła sobie, że jej obecne życie nie ma nic wspólnego z młodzieńczymi marzeniami. Zaciśnęła kurczowo rękę na dłoni Luca, który zaprotestował głośno, sycząc z bólu.

Kiedy wrócili do domu przy Eaton Square, okazało się, że Robert przyjechał zaledwie kilka minut przed nimi. Prawie oniemiały z radości Luc rzucił mu się w ramiona, dając Amber wystarczająco dużo czasu, żeby ukryć szok, jakiego doznała na widok meza. Twarz Roberta była pokryta ranami, miał rozciętą wargę i podbite oko.

- Co się stało z twoją biedną twarzą? - zawołała przerażona.

- Miałem wypadek. Nic poważnego. Wygląda dużo gorzej, niż jest w rzeczywistości - odparł opryskliwie.

Znajdował się w kiepskim stanie. Amber podejrzewała, że celowo unika z nią kontaktu wzrokowego, tuląc do siebie Luca. Planowała spędzić popołudnie w swoim sklepie, ale powrót Roberta, a przede wszystkim jego widok, sprawiły, że zdecydowała się zostać w domu.

Może uda jej się namówić Roberta, by się przed nią otworzył. Wyglądał na strasznie nieszczęśliwego, chociaż robił wszystko, by to ukryć. Wciąż był dobrym mężem, mimo iż ten dowcipny i zabawny lord Robert, którego poznała przed laty w National Gallery i którego towarzystwo, a przede wszystkim przyjaźń, tak ceniła, zniknął gdzieś bezpowrotnie odkąd w jego życiu pojawił się Otto.

- Luc to dobry chłopiec - powiedział do Amber po obiedzie, po czym nagle zmienił temat: - Widziałem się z Chipsem Channonem. Przed

powrotem do domu wpadłem na chwilę do Westminsteru, żeby dowiedzieć się, jak wyglądają przygotowania do wystawienia trumny króla Jerzego na widok publiczny. Chips jest w siódmym niebie z powodu narodzin syna. Boże, Amber, jak ja mu zazdroszczę.

Robert powiedział to z taką gwałtownością i goryczą w głosie, że Amber poczuła od razu niepokój o Luca.

Wydaje mi się, że wszyscy mężczyźni reagują w ten sposób na przyjście na świat swojego dziecka. - Tylko tyle była w stanie powiedzieć.

Nie, źle mnie zrozumiałaś - poprawił się szybko Robert. - Nie chodzi mi o to, że chciałbym mieć innego syna niż Luc. Chodzi o mnie, Amber, i o to, w jaki sposób zdradzam wszystkie ideały, którym powinienem być wierny. Nie wiesz, ile bym dał, żeby nie cierpieć z powodu swojej słabości i głupoty. I abym mógł być na tyle silnym mężczyzną, by nie ulec...

Robert wstał i powiedział drżącym głosem: - Kiedy w związku pojawia się okrucieństwo, należy ten związek zakończyć. Ale wtedy okazuje się, że to niemożliwe, i ból staje się nie do zniesienia.

Robert osunął się z powrotem na fotel i skrył twarz w dłoniach. Jego wychudzonymi ramionami wstrząsały spazmy Amber poczuła niemal matczyne współczucie dla niego. Podeszła do Roberta i wzięła jego kościstą dłoń.

- Nie możesz się z nim rozstać dla własnego dobra, Robercie? - spytała go smutno.

- Nie mogę - załkał. - Bardzo bym chciał, ale nie potrafię. Wierz mi, Amber, próbowałem. - W jego spojrzeniu było tyle rozpacz i bólu.

Objęła go i przytuliła tak troskliwie i czule, jakby to był Luc. Chciała szlochać razem z nim - dla niego - lecz wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Wiedziała, że musi być silna - dla Roberta, dla siebie i dla ich małżeństwa.

Mimo iż Robert rozmawiał z nią szczerze o swoim cierpieniu, Amber nie chciała przy nim wspominać imienia Ottona ani zadawać zbyt wielu pytań, by go nie zniechęcić. Była pewna, że ślady przemocy widoczne na jego twarzy były robotą kochanka. A jeśli tak wyglądała jego twarz, to co z resztą ciała, które ukrywał przed światem?

Robert, jak gdyby czytając w jej myślach, podniósł głowę i powiedział:

- Nie wiń za to... nikogo. To moja wina. Pomyliłem się... to znaczy postąpiłem źle, obarczając go swoją miłością. Myślałem... miałem nadzieję... wymienialiśmy słowa i spojrzenia... Nie chciałem go urazić. Wierzyłem, że on też... Nie powinienem ci o tym mówić.

Amber czuła, jak Robert toczy ze sobą wewnętrzną walkę.

- Jeżeli... ktoś obecny w twoim życiu sprawia, że jesteś taki nieszczęśliwy - odparła łagodnym tonem - być może lepiej byłoby, gdyby ten ktoś przestał w nim istnieć.

Robert zadrżał, po czym wstał i podszedł do okna.

- Nieszczęśliwy! - zaniósł się szaleńczym śmiechem. - Nie jesteś w stanie pojąć różnicy między zwykłym nieszczęściem a tym uczuciem, które objęło we władanie moje serce. Czasem wydaje mi się, że ogarnę ło mnie jakieś szaleństwo. A jeśli to nie szaleństwo, być może to ten ból przyprawia mnie o obłąd. Jest nie do zniesienia, niemierzalny, a jednak nie oddałbym ani jednej sekundy z tego czasu, który spędziliśmy razem.

- Ale on cię skrzywdził, Robercie. Nie wierzę, że to był zwykły wypadek. - Amber nie potrafiła już zapanować nad słowami.

- To nie jego wina - od razu zaprzeczył. - Zasmuciłem go i rozgniewałem. To moja wina, że stracił nad sobą kontrolę. Doprowadziłem go do tego swoim egoizmem... i swoim pragnieniem bycia z nim.

- Och, Robercie. - Żal i współczucie złapały Amber za gardło i przepełniły jej serce.

- Ja tak bardzo go kocham, Amber. O Boże, to mnie zniszczy Nie mogę bez niego żyć, a jednak dla własnego cholernego dobra muszę! On jest jeszcze taki młody. Zbyt młody, by obciążać go brzemieniem moich uczuć.

Oskarża mnie o to, że próbuję związać go ze sobą, i ze wstydem muszę przyznać, że to prawda. A jednocześnie chcę być wystarczająco silny, żeby dać mu wolność, której pragnie, kosztem mojej miłości.

Amber kłuł w uszy nieskrywany ból, jaki słyszała w głosie Roberta. Otto najwyraźniej traktował go okrutnie i źle.

Serce Amber ugięło się pod ciężarem smutku i świadomości, że nie może mu w żaden sposób pomóc. Żadne słowa nie są w stanie ukoić jego cierpienia.

Dopiero wieczorem, kiedy Amber usiadła przy toalecie, czekając, aż służąca pościeli jej łóżko, zdała sobie sprawę, że nie powiedziała Roberto-

wi o Gregu. Nie mogła już na to nic poradzić. Biedny Robert, nie mogła od niego wymagać, żeby przejmował się jej kłopotami, skoro sam znajdował się w opłakanym stanie z powodu Ottona.

## Rozdział 31

- Muszę wracać na Eaton Square, Richardzie - powiedziała Amber młodemu dekoratorowi, którego polecił jej Cecil Beaton do pomocy w sklepie.

Nie zamierzała zaglądać na Walton Street, ale nie potrafiła oprzeć się pokusie i tak naprawdę nie chciała się zatrzymywać teraz, kiedy wszystko, co sobie zaplanowała, wreszcie nabierało realnych kształtów.

W fabryce Amber wydała stosowne polecenia i kazała sobie przygotować starannie wybrane gatunki jedwabiu, które miały podkreślać nastrój stworzony przez odpowiednią dekorację okien. Spędziła wiele pracowitych godzin za biurkiem, zmagając się z liczbami i terminami, tak aby fabryka wyrobiła się z zamówieniem. Poczyniono również odpowiednie ustalenia z farbiarzami, upewniając się, że mają oni dostęp do niezbędnych kolorów, by sprostać wymaganiom i zamówieniom klientów. Rozpoczęto produkcję pokazowych sztuk jedwabiu, każda w czterech różnych wersjach kolorystycznych - był to autorski pomysł Amber, który przyszedł jej do głowy po obejrzeniu heroldów podczas ceremonii królewskiej.

Aby upewnić się, że dostępne są wszystkie surowce niezbędne do produkcji jedwabiu w pożądanej ilości i w odpowiednim terminie, Amber pieczołowicie skalkulowała wszystko, w tym także wagę jedwabnej nici do produkcji materiałów dekoracyjnych. Żaden, nawet najmniejszy detal nie uszedł jej uwagi. Spędziła cały dzień z przedstawicielem firmy Coats zajmującej się produkcją nici do szycia, zanim upewniła się, że nici, które wybrała, będą dokładnie w tym kolorze, jakiego potrzebowała - i w odpowiedniej cenie. Podejrzała, że przedstawiciel - rodowity mieszkaniec Yorkshire - był zaskoczony jej determinacją, aby obniżyć cenę, którą jej zaoferował, i jej zdolnościami negocjacyjnymi. Amber także była zaskoczona. Nie wiedziała, że ma taką żyłkę do handlu, i nie spodziewała się po sobie takiej konsekwencji.

Rozejrzała się wokół. Delikatny odcień szarości, jakim zostały pomalowane ściany, wyglądał cudownie. Amber nie miała ochoty stąd wycho-

dzic. Podobała jej się oszczędność i prostota pomalowanej stolarki, która będzie stanowić idealną przeciwwagę dla bogactwa jedwabiu. Z ociąganiem zebrała się do wyjścia. Robert był teraz taki wrażliwy i bezbronny Biedactwo.

Potrzebował azyłu i pociechy, takiej, jaką Amber odnalazła w swoim sklepie i w jedwabiu.

O Boże, Amber, byłbym na śmierć zapomniał. Wczoraj wpadłem na lorda Beaverbrooka. Był z nim Chips Channon, który zaprosił nas na kolację. Wydaje ją na cześć nowego króla.

Robert starał się mówić i wyglądać radośnie, ale skąpe słoneczne światło wpadające przez okna do salonu zdradzało prawdę. Wciąż był przeraźliwie blady i mizerny, mimo iż od jego powrotu z Francji upłynął już ponad miesiąc.

- Jak się czuje Max? - spytała Amber o zdrowie lorda Beaverbrooka. - Kiedy go widziałam ostatnim razem, narzekał, że zimowa aura źle wpływa na jego astmę.

- Znasz Maksa. Uwielbia robić z siebie męczennika. A tak przy okazji, prosił, żebym ci powiedział, że jest bardzo zadowolony z próbek, które mu wysłałaś.

- Chce zakryć srebrnym jedwabiem ekran w swojej prywatnej sali kinowej - wyjaśniła.

Oczy otwierały jej się szeroko za każdym razem, kiedy uświadamiała sobie, jakie pieniądze są skłonni zapłacić i jakie ilości jedwabiu zamówić możni tego świata, żeby tylko zaspokoić swoje kaprysy. Jedną z jej klientek, znaną w towarzystwie dama, zażyczyła sobie na przykład, żeby jej buduar miał dokładnie ten sam odcień niebieskiego, co jej oczy. Innym razem pewna tancerka kabaretowa, która wyszła za obłądnie bogatego mężczyznę, zamówiła całkowitą przebudowę swoich prywatnych apartamentów, tak aby zmieściło się tam łóżko z baldachimem oraz kozetka dla jej pekińczyka.

Amber uczyła się przyjmować takie zamówienia bez mrugnięcia okiem.

Po powrocie Roberta z Paryża oboje prowadzili bardzo bogate życie towarzyskie. Amber podejrzewała, że Robert rzucił się w wir spotkań i przyjęć, żeby uniknąć pokusy pogodzenia się z Ottonem. Spędzał też mnóstwo

czasu z Lukiem, umacniając na nowo łączącą ich więź. Przebywanie w towarzystwie syna wydawało się jedyną rzeczą, jaka rozganiała chmury spowijające pełne cierpienia oblicze Roberta.

Wciąż nie było żadnych wieści o losie Grega ani o aktualnym miejscu jego pobytu. Amber celowo starała się unikać słowa „los”, nawet we własnych myślach, chociaż Robert twierdził, że jeżeli Greg faktycznie zadłużył się u chińskich triad, było mało prawdopodobne, że uda mu się ujść z życiem. To przerażało Amber. Nie potrafiła nawet myśleć o tym, co teraz przeżywa Greg, i mogła jedynie modlić się o to, by uniknął niebezpieczeństwa i szczęśliwie wrócił z Hongkongu do domu.

## Rozdział 32

Ku uldze Amber kolacja, którą dla króla wydali Henry i Honor Channo-nowie, okazała się pełna radości i zaskakująco beztraska.

Amber i Robert zostali posadzeni obok Duffa Coopersa, który podobnie jak Chips, był politykiem. Robert znał ich obu od wielu lat. Zdradził Amber, że choć byli przyjaciółmi, podzielał opinię Chipsa, iż odkąd Duff został mianowany sekretarzem stanu do spraw wojny, stał się jakby nieco bardziej buńczuczny w swoich przekonaniach politycznych. Nie było to zbyt rozliowne, biorąc pod uwagę rosnącego w polityczną siłę Adolfa Hitlera.

Książę i księżna Kentu przybyli niedługo po Amber i Robertcie, którzy razem z innymi gośćmi zostali im oficjalnie przedstawieni przez gospodarzy

Amber poznała już wcześniej w Paryżu księżniczkę Marinę i roześmiała się, gdy księżniczka - która miała w uszach modne ostatnio, wielkie perłowe kolczyki - nachyliła się w jej stronę i szepnęła konspiracyjnie:

- Czy ty także musiałaś przekłuć sobie uszy?

- Owszem - przytaknęła Amber.

W rubrykach towarzyskich gazety donosiły, że nawet młode damy z towarzystwa uległy modzie i gremialnie poddawały się mało komfortowej procedurze, bojąc się, że zgubią swoje wielkie perłowe kolczyki, jeśli będą one jedynie przypięte do małżowin usznych. Zabieg przekłucia uszu był bolesny i musiało minąć sześć tygodni, zanim rana się zagoiła i można było włożyć kolczyki. Jednak od czasu do czasu uszy krwawiły i kobiety odczuwały dyskomfort.

Król zjawił się kilkanaście minut po księciu i księżnej Kentu, uśmiechając się ciepło i witając serdecznym pocałunkiem księżniczkę Marinę, która dygnęła przed nim uprzejmie. W tym właśnie momencie ogłoszono rozpoczęcie kolacji.

Kiedy otworzyły się drzwi do jadalni, ci spośród gości, którzy, w przeciwieństwie do Amber, nie widzieli jeszcze nowego wystroju wnętrza



w domu Channonów, zareagowali - jak by to z pewnością określił Chips przyjemnie niemym zachwytem.

Nowa jadalnia była bez wątpienia inna i imponująca, chociaż - jak stwierdził cierpko Robert, gdy zobaczył ją po raz pierwszy - mało brytyjska.

Channonowie urządzili ją w tym samym stylu rokoko, co Pawilon Myś liwski Amalienburg na terenie pałacu Nymphenburg w Monachium - z lustrami i bladoniebieskimi ścianami. Amber uważała, że jest bardzo ładna, choć może zbyt ozdobna.

Kiedy wszyscy goście weszli do jadalni, Honor Channon przemknęła obok Amber i wyjaśniła, że Emerald Cunard, która miała siedzieć obok króla, nie przyjechała.

- Biedna Honor - powiedziała ze współczuciem Diana Cooper do Amber. - Te pozornie nieformalne kolacje królewskie muszą być strasznie wyczerpujące.

Wszyscy byli ubrani na czarno dla uczczenia pamięci zmarłego króla i przez wzgląd na obecność Edwarda.

Mężczyźni włożyli czarne kamizelki i białe krawaty, kobiety zaś czarne suknie. Edward miał na sobie czarną kamizelkę ze wspaniałymi kwadratowymi diamentowymi spinkami do mankietów, które przy każdym ruchu rzucały świetlne refleksy.

Wallis Simpson zdecydowała się na dyskretną, prostą czarną sukienkę, za to jej biżuteria nie miała nic wspólnego z umiarem.

- Król nie szczędzi Wallis klejnotów - skomentowała Diana Cooper, szepcząc do Amber. - Nie wiem, czy wiesz, ale sam projektuje dla niej biżuterię. O, jest tutaj także Philip Sassoon! - zawołała Diana, zmieniając temat. - Miałaś okazję go już poznać? Jest naprawdę czarujący

- Nie, nie miałam. Ale poznałam jego siostrę, markizę Cholmondeley.

- Och, ona też jest urocza, nieprawdaż? - ucieszyła się Diana. - Często towarzyszy Philipowi, gdy on bawi się w Lympe. Oczywiście jako Żyd Philip jest wrogo nastawiony do Hitlera i trudno mu się dziwić. Duff twierdzi, że z Niemiec docierają straszne historie na temat tego, jak traktuje się tam Żydów. Uważam, że rząd powinien coś zrobić z Oswaldem Mosleyem i jego czarnymi koszulami.

Amber przytaknęła. Miały z Dianą takie same poglądy polityczne.

Kolacja była przepyszna, chociaż Amber zauważyła, że Robert nie jadł zbyt dużo.

Jedząc wołowinę, Amber spytała znad talerza Duffa, czy jego zdaniem może dojść do wojny z Niemcami.

Wszyscy mamy nadzieję, że nie, ale nie można wykluczyć takiej ewentualności. Niemcy robią dużo szumu wokół tego, co się u nich teraz dzieje, bo chcą odzyskać swoje dawne kolonie. Ale nawet gdybyśmy im je oddali, raczej nie zatrzymamy już tej rozpędzonej maszyny

Amber zadrżała lekko.

- To takie straszne, że w grę wchodzi kolejna wojna.

- W rzeczy samej - przytaknął posepnie Duff.

Każda rodzina mogła opowiedzieć jakąś straszliwą tragedię o młodych ludziach, którzy stracili lub zmarnowali życie na skutek potworności wielkiej wojny z 1914 roku. Amber wiedziała, że te dramaty rzuciły na nich wszystkich złowrogi cień. Jej babka i dziadek Jaya stracili jedynych ukochanych synów, co było raczej normą niż wyjątkiem.

Biorąc pod uwagę te osobiste tragedie, trudno było sobie wyobrazić, że może wybuchnąć kolejna wojna. Ale czasem trzeba stawić czoło temu, co z pozoru wydaje się niewiarygodne.

Kolacja dobiegła końca. Damy wstały od stołu, ukłoniły się przed królem, po czym zostawiły swoich mężów samych.

W salonie na piętrze Amber przysłuchiwała się prowadzonej przez panie rozmowie. Ponieważ Diana Cooper, Honor Channon i księżniczka Marina miały młodych synów, Amber chętnie się przyłączyła. Ku jej zaskoczeniu księżniczka Marina stwierdziła w pewnym momencie, że słyszała chwalebne opinie o pięknych jedwabnych dekoracjach Amber i chętnie zasięgnęłaby jej porad.

Amber uśmiechnęła się i powiedziała, że z przyjemnością jej pomoże, w duchu jednak postanowiła, że zachowa ostrożność. Z jednej strony posiadanie takiej klientki jak Marina niewątpliwie nadałoby splendor jej sklepowi, z drugiej jednak księżniczka mogła oczekiwać, że otrzyma dekoracje w prezencie w zamian za patronat i firmowanie sklepu swoim nazwiskiem. Amber nie była pewna, czy tego właśnie chce. Wolałaby tę kwestię przedyskutować z Jayem. Ale on był w Macclesfield, a ona tutaj.

\* \*\*

Do końca wieczoru Amber i Robert otrzymali kilka weekendowych zaproszeń, w tym od Philipa Sassoon, który nalegał, by odwiedzili go w Lympne, oraz od Emerald Cunard na wystawną kolację.

Była już prawie trzecia nad ranem, kiedy odzwrotny wpuścił ich do domu przy Eaton Square.

- Był do pani telefon - poinformował Amber. - Od pana Fulshawea Prosił, jeżeli to możliwe, o pilny kontakt. Amber spojrzała z niepokojem na Roberta. Do głowy przyszedł jej tylko jeden powód, dla którego Jay mógł dzwonić.

- Myślisz, że są jakieś nowe wieści na temat Grega?

- Całkiem możliwe. Ale jest już zbyt późno, żeby do niego oddzwaniać.

Po niespokojnej nocy, podczas której Amber nie była w stanie zmrużyć oka na dłużej niż kilka minut, a jej wyobraźnia szalała, podpowiadając jak najgorsze scenariusze, w których Grega spotykały same okropieństwa, odczekała, He tylko się dało, ale dłużej już nie mogła. Zaciskając dłonie na słuchawce telefonu i nasłuchując, kiedy po drugiej stronie usłyszy głos Jaya, uspokajała samą siebie, że jako mieszkaniec wsi on na pewno wstaje wcześniej.

Kiedy w końcu odebrał telefon, była już tak roztrzęsiona, że minęło dobrych kilkanaście sekund, zanim wykrztusiła:

- Jay, tu Amber. Mam nadzieję, że nie dzwonię za wcześnie.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Zadzwońabym jeszcze wczoraj, ale wróciliśmy do domu bardzo późno.

- Tak, wasz kamerdyner powiedział, że jesteście na obiedzie z królem Amber zdobyła się na słaby uśmiech.

- Chivers jest znacznie bardziej przejęty naszym życiem towarzyskim niż my sami.

Amber chwyciła słuchawkę jeszcze mocniej.

- Jay, o co chodzi? Co się stało?

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Mogę tylko powiedzieć, że dotyczy to Grega. Byłoby dobrze, gdybyś mogła przyjechać. Im szybciej, tym lepiej.

- Co z Gregiem? Czy on...?

- Greg żyje, Amber. Wybacz, ale to wszystko, co mogę ci teraz powiedzieć. Dasz radę przyjechać do domu? Do domu. Jej dom był teraz tutaj, z Robertem i Lukiem, ale z jakiegoś powodu to proste słowo sprawiło, że do oczu napłynęły jej łzy.

Amber zastanowiła się szybko. Mieli zobowiązania towarzyskie, a większość lata chcieli spędzić w Osterby, zamiast wyjeżdżać za granicę. Podejrzała, że Robert nie zaproponował Francji, a zwłaszcza Paryża, żeby uniknąć wspomnień łączących go z tym miastem. Choć przybrał na wadze i sprawiał wrażenie człowieka, który odzyskał dawny wigor, zdarzało się, że zdejmował na chwilę tę maskę i wtedy Amber widziała w jego twarzy znajomy ból.

- Muszę zapytać Roberta, co on na to - powiedziała.

- Oczywiście. Ale, proszę, postaraj się przyjechać - nalegał Jay.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecała.

Ale wiedziała, że nic jej nie powstrzyma przed wyjazdem.

Oczywiście, że powinna pojechać do Macclesfield - uznał Robert, kiedy Amber przekazała mu słowa Jaya. -

Wygląda na to, że babcia bardzo cię teraz potrzebuje.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek mnie potrzebowała, a jeśli nawet, to w życiu by się do tego nie przyznała - zaprotestowała Amber, dodając: - Myślałam, że może moglibyśmy pojechać we trójkę.

Robert pokręcił głową.

- Nie. Wybacz, Amber, ale w tym stanie, w którym znajduję się teraz, byłbym dla ciebie większym ciężarem niż wsparciem.

- Och, Robercie... Zabiorę ze sobą Luca - zaproponowała Amber, ale Robert znów potrząsnął głową.

- Nie ma takiej potrzeby. Myślę, że dużo lepiej będzie, jeśli pojedę z Lukiem do Osterby, tak jak planowaliśmy.

Spędzimy trochę czasu jak mężczyzna z mężczyzną. On już ogrywa mnie w krykieta. Zapowiada się na pierwszorzędnego serwującego.

- Jesteś taki dobry i troskliwy - powiedziała z wdzięcznością Amber.
  - Naprawdę? To dlatego, że dzięki wam mam za co być wdzięczny Bez ciebie i Luca nie przetrwałbym tych ostatnich piekielnych miesięcy. Daliście mi wystarczająco dużo powodów do odwdzięczenia się. Ból bycia odrzuconym... - Głos Roberta zadrżał i Amber ujrzała w jego oczach nie-wysłowioną rozpacz.
  - Robertcie, jesteś kochany Nie tylko przez nas, ale także przez twoich przyjaciół i tych, którym na tobie zależy
  - Ale nie przez tego, którego będę zawsze pragnął.
- Amber obrzuciła męża zatroskanym spojrzeniem. Miała nadzieję, że wyleczył się już z miłości do Ottona, ale najwyraźniej myliła się.
- Czy mówiłem ci już, że dostaliśmy zaproszenie na olimpiadę od von Ribbentropa? Mamy być jego osobistymi gośćmi, razem z Channonami. - Celowo zmienił temat.
- Niemiecki ambasador i jego żona byli gośćmi na przyjęciu u Channonów, ale Amber nie zamieniła z nimi ani jednego słowa.
- Wielu ludzi twierdzi, że ich zdaniem nie wypada tam jechać - przypomniała Robertowi.
  - Król rozważa wyjazd - stwierdził - i nie widzę powodu, by i my nie mielibyśmy jechać. Mówi się, że będzie wspaniała zabawa.
  - I jeszcze jedna okazja dla Niemiec, żeby zademonstrować światu swoją rosnącą potęgę militarną - zauważyła przytomnie Amber.
  - Masz rację. Ale czy to znaczy, że należy odwracać się do nich plecami i udawać, że nic się nie dzieje, czy może raczej trzeba stanąć z tym twarzą w twarz i wyrobić sobie własne zdanie? Hitler ma wielu sprzymierzeńców, także w naszym kraju.
  - Wszyscy to wiemy
- Amber martwiło to, że Robert, niegdyś otwarcie wyrażający antyhitlerowskie poglądy, teraz jakby spuścił z tonu. Tym bardziej że wojownicza postawa Niemiec mogła prowadzić do kolejnej wojny.
- Luc był trochę zawiedziony, że Amber jedzie do Denham bez niego, ale rozchmurzył się, kiedy powiedziała mu, iż ojciec zabierze go do Osterby.
- Zobaczę się z Brunonem - odparł radośnie.

Luc chciał koniecznie przywieźć po świętach szczenię do Londynu, ale Robert był nieubłagany i przekonał go, że Bruno będzie szczęśliwszy w Osterby.

Napiszę do ciebie, mamusiu, i opowiem, jakich nowych sztuczek nauczył się Bruno - obwieścił z wielką powagą Luc.

Amber przytuliła go z całych sił, przyciskając policzek do jego ,iemnych włosów. Był dla niej taki bezcenny, a ją przepęłniał zachwyty, szczęście że urodziła tak cudowne dziecko. Z początku martwiła się, kiedy zobaczyła, że w zabawie rysuje karykatury przedstawiające różne postacie z bajek. Były one dziecięce i rysowane niewprawną ręką, jednak miały w sobie pewien przeblask talentu. Amber natychmiast pomyślała o Jeanie-Phillppie, ale zaraz potem porzuciła takie myśli tłumacząc sobie, że Luc odziedziczył talent do rysowania po niej, tak jak ona po swoim ojcu.

Za każdym razem, kiedy wspominała Caroline Fitton Legh albo Louise - z jej usług mógł skorzystać każdy mężczyzna, którego było na nią stać - czuła ból ostry jak dźgnięcie nożem. Ją samą przed takim losem uchronił Robert i jego potrzeba posiadania żony, która zrozumie i zaakceptuje go takim, jaki jest. Każda osobista strata poczucia szczęścia, z którą musiała się zmierzyć, była niczym w porównaniu z radością, jaką dawał jej Luc. Kiedy Amber wsiadała do samochodu, który miał ją odwieźć na dworzec kolejowy, spojrzała na dom i w okno na piętrze, gdzie stał Luc, i machał jej na pożegnanie.

Jay, chcę, żebyś ze mną został.

- Lydio, wiesz, że nie mogę.

- Gdybyś mnie kochał, zostałbyś. Ale ty wolisz być w Denham niż w domu ze mną.

Znajdowali się w sypialni, którą Lydia rzadko ostatnio opuszczała, chyba że w towarzystwie Cassandry. Jay chciałby, żeby jego żona spędzała więcej czasu na dole. Nienawidził tego zatroskanego wyrazu na twarzach swoich córek, które chodziły na paluszkach, „bo niania powiedziała że mamusia nie czuje się dobrze”. Ale co mógł zrobić? Doktor podkreślał, że dla Lydii najważniejszy jest teraz spokój.

- Już mnie nie kochasz, prawda? - podniosła głos. - Bo jeśli byś mnie kochał, to zostałbyś ze mną, tak jak cię proszę.

- Lydio, muszę iść. To jest moja praca. Wiesz o tym.

- Należysz do rodu de Vries. Dlaczego zniżasz się do pracy dla Blanche Pickford? Lydia z minuty na minutę coraz bardziej traciła nad sobą kontrolę, chodząc tam i z powrotem i wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. - Cassandra uważa, że powinieneś mieć więcej honoru.

Jay poczuł ukłucie w sercu. Cassandra twierdziła, że próbuje pomóc Lydii, ta zaś podkreślała, że Cassie jest jej najlepszą przyjaciółką. Ale Jay wiedział, że stan zdrowia jego żony pogarszał się po każdym spotkaniu z Cassandra i stawała się wtedy trudna do zniesienia.

- Muszę już iść - powtórzył. - Przyślę na górę opiekunkę ze śniadaniem, dobrze?

- Nie! - Jej odmowa zabrzmiała niemal jak skowyt.

W innych okolicznościach Jay zostałby i spróbował uspokoić żonę, ale dzisiaj nie mógł tego zrobić. Obiecał Blanche, że wyjedzie po Amber na stację. I tak już czuł wyrzuty sumienia, że nie powiedział Amber, co przytrafiło się Gregowi, choć wiedział, jak bardzo ona się o niego martwi. Ale Blanche nalegała, by zaczekał z tym do spotkania, twierdząc, że cokolwiek zostanie powiedziane przez telefon, zaraz roznosi się lotem błyskawicy wśród wszystkich znajomych miejscowego operatora telefonicznego.

Jay poczuł ulgę, kiedy zadzwonił telefon. Mimo iż to była tylko Cassandra, która prosiła o rozmowę z Lydią, pozwoliło mu to wymknąć się z domu.

Pomimo jak najlepszych nadziei i wysiłków lekarza stan zdrowia Lydii pogarszał się. Jayowi pękało serce, kiedy po świętach szlochała w jego ramionach, przyznając się do swojej choroby. Ale takie okresy normalności zdarzały się bardzo rzadko.

Zatrudnił dwie opiekunki do dziewczynek, po tym jak któregoś dnia zastał je skulone w kącie i stojącą nad nimi Lydię, która groziła, że je pobije. Dziewczynki podbiegły do niego przerażone, by schronić się z ulgą w jego ramionach, płacząc i trzęsąc się ze strachu. Jay robił wszystko, żeby je uspokoić i pocieszyć, ale wiedział, że nikt nie zastąpi im matki. Miał

z tego powodu ogromne poczucie winy i współczuł swoim córkom trudnego położenia.

Najlepsze, co mógł zrobić, to wydać nianiom dyspozycje, aby nigdy nie zostawiały Lydii samej z dziewczynkami. Kiedy Lydia się o tym dowiedziała, oszalała z rozpaczy. Płakała i błagała [aya, żeby zmienił zdanie, przysięgając, że nigdy nie skrzywdziłaby dziewczynek i to Jay był teraz dla nich okrutny. Ale nie ugiał się. Powtarzał sobie, że dla dobra dzieci musi być niezłomny.

Pociąg ruszył ze stacji, zostawiając samotną Amber stojącą na pustym peronie. Jay obiecał, że odbierze ją z dworca, i niepokoiła się, że jeszcze go nie ma. To do niego niepodobne. Jej obawy jeszcze wzrosły. Jay twierdził, że Greg żyje, ale może nie chciał powiedzieć jej prawdy?

- Amber, wybacz mi spóźnienie.

Nie dotknęli się na powitanie. W słońcu włosy Jaya błyszcząły jak skrzydła sroki. Opadały mu na kołnierz burzą niesfornych loków, jak gdyby ich właściciel nie miał czasu ich uczesać albo nie był wystarczająco próżny, by to uczynić.

- Zaczynałam już się martwić.

Powietrze pachniało charakterystyczną dla Macclesfield wilgocią. Jay podniósł walizę Amber i uśmiechnął się. Zauważyła na jego twarzy zmęczenie i linie rozchodzące się promieniście od jego oczu, których nie było ostatnim razem, gdy się widzieli.

Jay wziął Amber pod ramię, zaprowadził do samochodu i pomógł wsiąść do środka. Potem sam usadowił się w fotelu kierowcy i dopiero wtedy, upewniając się, że nikt ich nie słyszy, powiedział:

- Mogę cię od razu uspokoić. Greg jest cały i bezpieczny, tutaj w Denham.

- W Denham?

Amber poczuła, jak ogarnia ją lawina uczuć - ulga, zaskoczenie i ciekawość. Wreszcie mogła wyzbyć się obaw przepełniających jej serce ogromnym niepokojem.

- Obawiam się, że to dosyć skomplikowana historia i jest o czym opowiadać. Pewnie dlatego twoja babcia chciała, żebyś przyjechała do domu,



a mnie zabroniła zdradzać przez telefon cokolwiek poza tym, że Greg jest bezpieczny.

- Jest o czym opowiadać? - Amber poczuła się lekko zirytowana. O czym tu mówić, skoro Greg jest cały i bezpieczny?

- No cóż, skoro pytasz, twoja babcia prosiła mnie, żebym przekazał ci pewne nowiny. Najważniejsza z nich jest taka, że Greg nie wrócił do do mu sam.

## Rozdział 33

Co to znaczy że nie wrócił do domu sam?

- W Hongkongu dość powszechnie akceptowanym zwyczajem jest to, że europejscy kawalerowie, którzy wyrażają taką chęć, utrzymują chińskie kochanki.

Jay nie patrzył na Amber, ale skupiał wzrok na drodze przed nimi. Nie znaczyło to jednak, że ona nie mogła go obserwować. Na twarzy Jaya widać było zaledwie ślad lekkiego rumieńca, jakby chciał ją ochronić przed c/.ymś, co sam uważał za nieprzyjemne. Ogarnęła ją nieoczekiwana czułość. Żyła u boku Roberta, świadoma tego, na co się zdecydowała, więc teraz troska Jaya wydała się jej jeszcze bardziej ujmująca.

- Chcesz powiedzieć, że Greg przywiózł ze sobą chińską kochankę? Amber usiłowała sobie wyobrazić reakcję ich babki, która pokładała

w Gregu tyle nadziei, widząc go w roli członka parlamentu i filaru społeczności Cheshire. Bez wątpienia w towarzystwie żony, która wprowadziłaby go na sam szczyt.

- Nie. - Jay zamilkł na chwilę, po czym powiedział cichym głosem: -Niestety ta kobieta nie przeżyła podróży Z tego, co mi wiadomo, podróż nie upływała w komfortowych warunkach. Nie, to nie swoją kochankę tu przywiózł, lecz córkę będącą owocem ich związku.

Amber otworzyła usta, po czym zamknęła je znowu. Cóż bowiem mogła powiedzieć? Greg ojcem?

- Jak się pewnie domyślasz, sytuacja jest dość trudna - kontynuował Jay. - Greg nie czuje się najlepiej. Babcia już doszła do siebie, ale oczywiście jest na niego bardzo zła i zasmucona. A do tego jeszcze to dziecko. Dziewczynka jest bardzo słaba i w złym stanie. Doktor Brookes twierdzi nawet, że w bardzo złym - zakończył znacząco.

- Greg musi być zrozpaczony, zwłaszcza po śmierci matki dziecka. Kiedy Jay nie skomentował tego w żaden sposób, Amber zmarszczyła brwi.

- Musiało mu na nich zależeć, skoro zadał sobie trud, żeby zabrać je ze sobą do Anglii.
  - Trudno mi mówić o uczuciach Grega. Ale muszę cię ostrzec, że bardzo się zmienił.
  - Zmienił? W jakim sensie?
  - Sama zobaczysz i ocenisz. Chociaż w Macclesfield nic mu już nie grozi, wciąż jest podenerwowany i co chwila ogląda się za siebie, jakby obawiał się jakiegoś pościgu. Wasza babcia bardzo się o niego martwi.
  - Chcesz chyba powiedzieć, że martwi się o siebie i o to, jak śmietanka towarzyska w Cheshire zareaguje na powrót Grega bez żony, za to z dzieckiem - skwitowała gorzko Amber.
  - To niesprawiedliwy osąd. I z całą pewnością niegodny twojej osoby. - Jay skarcił ją łagodnie. - Greg przysporzył waszej babci wiele powodów do niepokoju.
- Oczywiście Jay miał rację.
- Przy tobie czuję się jak... bezmyślne dziecko.
  - Nie to było moim zamiarem. Nikogo nie podziwiam bardziej niż ciebie, Amber.
- Minęło kilkanaście sekund, zanim przetrawiła ten komplement. Kiedy już to zrobiła, zażartowała sobie z Jaya:
- Nawet bardziej niż moją babcie?
  - Nawet bardziej niż twoją babcie.
- Jay musiał zwolnić, bo na drogę przed nimi wyjechał traktor. Spojrzał na Amber i uśmiechnął się tak słodko i ciepło, że serce w jej piersi zrobiło małego fikołka. Zadrzała. Czy słońce nagle zaczęło świecić jaśniej?
- To nie może się udać - Amber ostrzegła w myślach samą siebie. Absolutnie.
- Opowiedz mi coś więcej o córce Grega - poprosiła, zmieniając temat.
  - Cóż, jak już mówiłem, jest w bardzo złym stanie. Wygląda na to, że jej matka zmarła na skutek jakiejś gorączki, której nabawiła się w trakcie rejsu. Greg nie podał żadnych szczegółów. Chyba nie jest jeszcze w stanie o tym mówić. Kapitan statku, na którego pokładzie opuścili Hongkong, wysadził ich w najbliższym porcie, kiedy zorientował się, że Greg zabrał

ze sobą kochankę z dzieckiem, nie płacąc za ich podróż. Ta kobieta zmarła krotko potem.

Och, to straszne.

Zgadza się. Ta mała dziewczynka, która nie ma jeszcze dwóch lat, zaraziła się tą samą chorobą co jej matka. Jest bardzo osłabiona. Doktor Hrookes nie jest pewny, czy przeżyje.

- Biedactwo. Grega też mi żal.

- W rzeczy samej.

Traktor wjechał przez otwartą bramę na pole i Jay mógł ruszyć dalej.

- Greg zapewne odchodzi od zmysłów.

- Podejrzewam, że tak - odparł Jay wymijająco.

Amber natychmiast pomyślała, że Jayowi też nie jest łatwo z powodu niepokoju i żalu, jaki wywoływał w nim stan Lydii. Ale Jay był nieporównywalnie silniejszy psychicznie od jej kuzyna.

- Czy lord Fitton Legh skomentował jego powrót? - spytała Jaya, kiedy wjechali na podjazd. - Nie powinien chyba jakoś specjalnie się tym przejmować, biorąc pod uwagę, że ożenił się z Cassandrą.

- Nic jeszcze nie powiedział na ten temat.

- Przynajmniej z tego powodu babcia musi być zadowolona.

- Na pewno ucieszy się z twojego powrotu do domu, Amber. Nawet jeśli tego nie okaże. Jest z ciebie niesłuchanie dumna, wiesz?

- Jeżeli tak jest rzeczywiście, to tylko dlatego, że wyszłam za Roberta i stałam się tym, kim się stałam. - Amber przerwała na chwilę, po czym spytała: - A jak mają się dziewczynki i Lydia?

- Dziewczynki czują się dobrze i przesyłają ci moc uścisków. To bardzo miło z twojej strony, że wysłałaś im tyle ślicznych ubranek. Szczególnie Ella jest teraz w takim wieku, że bardzo dużą wagę przykładają do tego, co nosi.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Kocham Luca, ale muszę przyznać, że bardzo chciałabym mieć też córkę. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć czas, żeby wpaść i zobaczyć się z dziewczynkami, zanim wrócę do Londynu.

Oczywiście jeśli Lydia nie będzie miała nic przeciwko.

- Na pewno się zgodzi. - Jay odwrócił wzrok, a potem powiedział pełnym napięcia głosem: - Doktor Brookes twierdzi, że Lydia nigdy w pełni nie wyzdrowieje.

- Och, Jay - Amber wyczuwała jego cierpienie i było jej bardzo żal, zarówno Jaya, jak i Lydii.
- Czuję, że to ja jestem odpowiedzialny za to, co się z nią stało. Gdy by Lydia za mnie nie wyszła i nie urodziła dzieci, być może zachowała by pełnię zdrowia psychicznego. Każdy chce mi współczuć. Tymczasem to Lydia potrzebuje i zasługuje na współczucie. Macocha Lydii, która od wiedziła nas razem z mężem w święta, powiedziała, że matka Lydii miała ciotkę, która cierpiała na to samo.
- To wszystko jest rzeczywiście straszne - odparła Amber - ale nie wolno ci obwiniać siebie. Nie mogłeś przewidzieć tego, co się wydarzy. Nikt z was nie mógł. To samo mogło przytrafić się Lydii, gdyby za ciebie nie wyszła. Nie zastanawiając się, co robi, Amber objęła Jaya w geście współczucia i natychmiast pożałowała tego, kiedy poczuła ciepło bijące od jego ciała i mięśni pod tweedową marynarką. Jay miał muskularne ramiona, ta kie, które dają kobiecie wrażenie bezpieczeństwa i którymi każda kobieta chętnie dałaby się objąć. W poczuciu winy szybko cofnęła rękę.
- Masz rację - przyznał Jay, wiedząc, że to prawda. Wiedział też, że nie może zdradzić innej prawdy - że ożenił się z Lydią, ponieważ czuł się do tego moralnie zobligowany, chociaż tak naprawdę kochał Amber. Zatrzymał samochód przed domem, obrócił się na siedzeniu i spojrzął na nią. Ciepłe słońce wpadające do środka przez otwarte okna nagrzewało skórzane siedzenia. Ten zapach skóry, słońca i mydła, którym umył się Jay, tworzył razem mieszankę, która odcisnęła ślad na zmysłach Amber. Wiedziała, że nigdy jej nie zapomni. Nie powinna tak tu siedzieć. Musi wejść do domu i pozwolić Jayowi odjechać.
- Jak idą sprawy ze sklepem? - Też wiedział, że nie powinien przedłużać czasu, jaki spędzali razem. Ale przecież nikt nie znał jego sekretu.
- Naprawdę nieźle. Obawiałam się, że to, co sobie wymyśliłam, nie uda się, ale tak się na szczęście nie stało. Przed nami mnóstwo pracy, powinniśmy być gotowi na otwarcie późną jesienią. Wykupiłam bardzo kosztowną reklamę w „Vogue'u" za prawie pięćdziesiąt funtów, mimo iż Cecil szep-

nal im kilka ciepłych słów na mój temat. Na potrzeby tej reklamy Cecil ma zsiobić parę zdjęć, wystarczy kilka ujęć witryn z zewnątrz. Namówiłam też Koberta, który zgodził się, choć niechętnie, żeby Cecil sfotografował także salon w Osterby dla bożonarodzeniowej kampanii reklamowej.

Jay pomyślał, że Amber w całym tym podnieceniu i ekscytacji przypomina mu małą dziewczynkę. Policzki jej płonęły, a oczy błyszczały tym samym blaskiem, który zapamiętał z dzieciństwa. Tyle tylko że Amber nie była już dziewczynką, lecz dojrzałą kobietą - żoną i matką.

- Tęsknisz za nim? - Kolejne jego pytanie wstrząsnęło w równym stopniu nim samym, co Amber.

Amber rozchyliła lekko usta, a oczy przesłonił jej pełen niepokoju cień.

- Za kim?

Było już za późno, by udawać, że to pytanie było przypadkowe i bezsensowne.

- Za ojcem Luca - odparł cicho Jay Amber sąsowiała.

- Nie. Ojcem dla Luca jest Robert. I to pod każdym możliwym względem. A nie Jean-Philippe. Jay, ja...

- Przepraszam. Nie powinienem był o to pytać. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

To było kłamstwo. Jay wiedział, dlaczego zadał to pytanie. Z zazdrości o mężczyznę, któremu Amber oddała swoje serce i ciało.

- Kiedy Luc był młodszy, martwiłam się, że ktoś może na niego spojrzeć i domyślić się, że nie jest dzieckiem Roberta. Ale z wiekiem Luc coraz bardziej przypomina Roberta. Mają takie same maniery i gestykulują w ten sam sposób... Bardzo się kochają.

- A ty, Amber?

Nie zamierzała udawać, że nie wie, o co mu chodzi.

- Mam Luca i... wkrótce będę też miała sklep. To wystarczy. Na więcej nie zasługuję. Kiedy pomyślę o Louise, okrytej hańbą i przeskakującą z jednego łóżka do drugiego...

- To był jej wybór. Nikt jej tego nie narzucił.

- A Caroline? - Amber nie dawała za wygraną. - Można powiedzieć, że i ona miała wybór. Ale uważam, że w pewnym stopniu ten wybór został

im narzucony. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym nie mieć Luca. Życie dziecka to bezcenny dar, fay Na pewno czujesz to samo, mając dwie wspa niałe dziewczynki. Ale wiedz, że społeczeństwo sprawia, iż my, kobiety, płacimy straszną cenę za złamanie obowiązujących w nim reguł. Nie tyl ko nas karze. Jest takie powiedzenie: „Dzieci odpowiadają za grzechy oj ców”. Ale ja zmieniłabym je na: „Dzieci odpowiadają za grzechy matek! Nie wypieram się, że kiedyś marzyłam o takiej miłości, jaką darzyli się moi rodzice. Ale teraz już wiem, jaka to rzadkość. Nawet ci, którzy żenią się i wychodzą za mąż z miłości, nie zawsze potrafią jej dochować.

Amber wiedziała, że nie może - nie wolno jej - opowiedzieć Jayowi o tych samotnych nocach, podczas których leżała, marząc o tym, by ktoś ją przytulił. Poczuć, jak jej ciało budzi się do życia, i znów doświadczyć tego, co tak przelotnie poznała jako młoda dziewczyna w objęciach Jeana-Philippea.

- Amber... - Jay nachylał się coraz bardziej w jej stronę.

- Powinnam już iść.

Czy w jej głosie było słyhać zdenerwowanie, które czuła? Czy fay potrafił odgadnąć jej myśli?

Odsunął się i powiedział cicho:

- Pójdę z tobą. Może twoja babcia będzie miała dla mnie jakieś zadania. Niewiele brakowało, a fay powiedziałby Amber, co czuje. Ale uznał,

że nie wolno mu obciążać jej swoimi uczuciami w sytuacji, gdy miała tyle swoich zmartwień.

Oczywiście to niemożliwe, aby cegły i beton potrafiły oddać nastrój panu jący w domu. Ale Amber była niemal pewna, że czuje posępność unoszącą się w powietrzu, gdy tylko weszła do holu.

- Witamy w domu, wasza księżęca mość.

- Dziękuję, Wilsonie. - Amber uśmiechnęła się do kamerdynera, po czym spytała: - Czy babcia jest w domu?

- Prosiła, by pani zajrzała na górę do biblioteki zaraz po przyjeździe - poinformował ją oficjalnie kamerdyner.

- Wilsonie, a czy pani Pickford zostawiła dla mnie jakieś instrukcje? - spytał Jay.

Nic, proszę pana. Miałem tylko przekazać, że doktor Brookes przy. In idzi o czwartej. W porządku. W takim razie będę w swoim biurze, gdyby ktoś mnie wiikał.

Jay był już w połowie drogi do drzwi, gdy nagle zatrzymał się i powieli/ia Ido Amber: Byłbym zapomniiał. Widziałem się wczoraj z Mauriceem. Jest bardzo zadowolony z zysków, jakie przyniesie fabryce ten kontrakt na produkcję jedwabiu dla wojska. Prosił także, bym ci przekazał, że świetnie idzie sprzedaż jedwabnych chusteczek wyprodukowanych z okazji niedawnego pogrzebu króla. Planuje produkcję kolejnej partii, tym razem na potrzeby koronacji nowego króla... Co się stało? - spytał Jay, kiedy zobaczył wyraz twarzy Amber. - Nic. Sądzę jednak, że należy z tym trochę poczekać. Powinno się też poinformować inne zakłady, zachowując jednakże dyskrecję i nie wchodząc w szczegóły.

Amber poczuła na sobie spojrzenie Jaya.

- Chcesz powiedzieć, że masz wątpliwości, czy Edward zostanie koronowany?

- Nie wiem, Jay. Edward jest przywiązany do pani Simpson. I to bardzo - podkreśliła znacząco. - Robert twierdzi, że rząd nigdy nie pozwoli mu ożenić się z rozwódką i zasiąść na tronie. Będzie więc musiał z czegoś zrezygnować. Jego bliscy przyjaciele uważają, że raczej nie z Wallis.

- W gazetach nic nie było na ten temat.

- Wiem. Dziennikarzy poproszono, żeby o tej sprawie nie pisali. Ale kiedy widzi się ich razem... Ona ma nad nim władzę, Jay. A do tego wielu zwolenników, którzy uważają, że jest idealną partią dla Edwarda. Bronią jej równie zażarcie, co przeciwnicy, którzy ją atakują. Pośrodku nie ma praktycznie nikogo.

- A co ty o tym sądzisz?

- Nie wiem. Można by rozwiązać ten problem, zmieniając prawo. Wtedy Edward mógłby poślubić rozwódkę. Ale Robert jest przekonany, że do tego nie dojdzie.



- Dopilnuję zatem, aby Maurice nie podejmował żadnych pochopnych decyzji. Będę w swoim biurze, gdybyś mnie potrzebowała.

Amber przyznała z lekkim wyrzutem sumienia, że bardziej skupiła się na sprawie Edwarda i Wallis niż na niepokoju o Grega. Ale ponieważ w grę mogła wchodzić także przyszłość rodzinnego biznesu i los jego pracowników, nie mogła się tym nie przejmować.

Zawahała się przez chwilę, stojąc w holu. Być może spodziewała się, że lada moment ujrzy Grega schodzącego po schodach i gotowego uściskać ją serdecznie, tak jak to robił, gdy byli młodszy.

- Greg jest pewnie ze swoją małą córeczką, czy tak, Wilsonie? - spytała służącego.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, wasza książęca mość. Wiem tylko, że wziął samochód, bo miał coś do załatwienia w Macclesfield.

O Boże - Amber pomyślała z żalem. Najwyraźniej Greg obraził służbę, zabierając samochód babci.

- Pani Clements przygotowała dla pani ten sam pokój co zwykle - poinformował ją kamerdyner, zmierzając powolnym i sztywnym krokiem w kierunku schodów. Starzeje się - pomyślała z lekkim ukłuciem w sercu Amber.

- Nie ma potrzeby mnie anonsować, Wilsonie - zatrzymała go delikatnie. - Babcia na pewno słyszała, jak podjeżdżaliśmy, i już na mnie czeka.

- Jak pani sobie życzy, wasza książęca mość. Pójdę i powiem pani Clements, że już pani przyjechała. Przygotowała tartę Bakewell, tę, którą pani i panicz Luc tak lubicie.

- Przekaż jej, że już nie mogę się doczekać.

Amber pomyślała, że to musi być tylko jakieś złudzenie optyczne, bo przecież jej babcia nie mogła się skurczyć od ostatniego razu, kiedy się widziały. Blanche wstała i podeszła, żeby się przywitać. Przytrzymała ją na odległość wyciągniętej ręki i złożyła na jej policzku oficjalny pocałunek.

Ale na pewno w żaden sposób nie ucierpiała jej charakterystyczna elegancja. Wygląda wręcz królewsko - pomyślała gorzko Amber. Skóra Blanche była niemal pozbawiona zmarszczek, choć wyglądała blado. Diamenty w jej pierścionku zaręczynowym lśniły w promieniach popołud-

niowego słońca, które wpadały przez okno. Babka miała zawsze perfekcyjnie wypielegnowane dłonie z długimi smukłymi palcami i pozbawioną plam białą skórą.

Amber zdawała sobie sprawę z tego, że w przeciwieństwie do swojej buliki wygląda na brudną i zaniedbaną po podróży. Powstrzymała się jednak przed dotknięciem włosów, co zazwyczaj robiła, by się upewnić, że zaden z jej niesfornych loków nie wydostał się na wolność.

Jechała pociągiem do Macclesfield, mając na sobie jeden ze strojów, które zamówiła w Paryżu. Nie była zaskoczona, kiedy Blanche obrzuciła ją wzrokiem i powiedziała:

- Lanvin. Bez wątplenia niezła, ale dość nudna. I niepraktyczna. Czerń trudno się nosi w letnim słońcu.
- Braliśmy udział w tylu imprezach towarzyskich, na których obecny był król, że przywykłam do żałoby - wyjaśniła Amber. - A poza tym trzeba wziąć pod uwagę brud i kurz w pociągu.
- Niektóre kobiety rzeczywiście się tym przejmują. Ale kobieta z twoją pozycją, Amber, powinna raczej myśleć o tym, czy jej wygląd koresponduje z pozycją społeczną jej męża. Jak się miewa drogi Robert?
- Bardzo dobrze, babciu. Obaj z Lukiem przesyłają ci serdeczne pozdrowienia. - Na myśl o synu, na ustach Amber zagościł na chwilę pełen czułości uśmiech. - Po drodze tutaj Jay opowiedział mi o małej córeczce Grega. Biedne maleństwo.
- Zawsze byłaś przesadnie sentymentalna, Amber. Tymczasem prawda jest taka, że to dziecko powinno było umrzeć razem ze swoją przeklętą matką.

- To straszne, co mówisz.

Blanche spojrzała na nią z gniewem i pogardą.

- Zatem nie miałabyś nic przeciwko, żeby kobieta tego pokroju wyszła za Luca, tak? Bądź rozsądna, Amber. To nie miejsce dla takiego dziecka.

- Tak jak nie było w nim miejsca dla Caroline Fitton Legh i jej dziecka? Było już za późno, żeby odwołać słowa, które padły, choć Amber wcale

nie miała na to ochoty. Coś, może poczucie winy albo świadomość własnego bezpieczeństwa, w porównaniu z okropnym losem Caroline, kazało jej wyrzucić to z siebie.

Blanche spuściła wzrok, widząc oskarżenie w oczach Amber. Wnuczka i tak nie uwierzyłaby jej, gdyby powiedziała prawdę, że nie wiedział o dziecku, którego spodziewała się Caroline Fitton Legh. Bo gdyby tak było, to dając pieniądze lordowi Fittonowi Leghowi, Blanche wymusiłaby na nim, by uznał to dziecko za swoje. Ale wtedy Amber nie miałaby powodu żeby zrozumieć i przyjąć tę prawdę.

- Wołałabym nie rozmawiać z tobą o tak nieprzyjemnych sprawach ale skoro już podjęłaś ten temat... - Głos Blanche przyjął teraz lodowa ty ton. - Ponieważ Cassandra jest teraz żoną byłego męża Caroline, uwa żarn za zasadne podejrzewać, że Cassandra miała powody, aby rozpusz czać plotki o rzekomym ojcostwie Grega. Greg nie miał nic wspólnego z tym dzieckiem. Pamiętaj, że to Caroline Fitton Legh wplątała go w tę aferę. Jako mężatka musiała wiedzieć, jakie ryzyko podejmuje. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie powiedziała Cassandrze, że Greg jest ojcem te go dziecka.

W głosie jej babci sły chać było teraz irytację i pogardę.

- Jeżeli Caroline kochała Grega, to z pewnością chciała, żeby o tym wiedział.

Blanche gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Caroline nie kochała Grega ani on jej. Była rozpuszczoną i zbyt emocjonalnie podchodzącą do życia młodą kobietą, która sama sprowadziła na siebie zagładę.

- Nie tylko na siebie - zauważyła Amber, mając na myśli nienarodzone dziecko.

- Co się stało, to się nie odstanie, Amber. Co się zaś tyczy tego bachora mieszańca, to wyraziłam już swoje zdanie na jego temat. Kiedy Greg odkrył, że podróżuje razem z matką na gapę tym samym statkiem, powinien był poprosić kapitana, aby wysadził je w najbliższym porcie, nie czekając, aż kapitan sam to odkryje. I opłacić im powrót do Hongkongu, gdzie jest ich miejsce. W ten sposób uwolniłby się od wszelkiej odpowiedzialności za nich, a kapitan nie usunąłby go z pokładu razem z nimi.

- Biedny Greg - wymamrotała Amber.

- Greg nie potrzebuje twojej litości. Sam powinien sobie współczuć. Bardzo mnie rozczarował. W niczym nie przypomina swojego ojca.

Rzadko zdarzało się, żeby babcia wspominała swojego dawno zmarłego syna Amber poczuła nagły przypływ współczucia dla niej. Sama była teraz matką syna i potrafiła sobie wyobrazić, jak trudno jej babce było znieść stratę dziecka. .

Szkoda że Jay wezwał doktora Brookesa, zanim zdążyłam właściwie ocenić sytuację - ciągnęła Blanche. - Brookes jest tak szlachetnym starym głupcem, że nie ma nawet sensu sugerować mu, iż najlepiej byłoby oddać dziecko w ręce natury, zamiast próbować je ratować.

Jak możesz mówić tak potworne rzeczy! - zaprotestowała Amber, w jednej chwili tracąc całe współczucie dla swojej bezdusznej babki.

- Wręcz przeciwnie. To akurat wyjątkowo roztropne rozumowanie -poprawiła ją Blanche. - Załóżmy, że dziecko przeżyje. Jakie życie jest mu pisane, kiedy dorośnie? Ma cerę i wygląd swojej matki.

- Jest córką Grega i twoją prawnuczką - upierała się Amber.

- Nie. Jest bękartem, którego głupi Greg miał nieszczęście spłodzić z jakąś Chinką. Blanche nagle pobladła na twarzy i przycisnęła rękę do piersi.

- Co się stało, babciu? - Amber spytała z troską. - Źle się czujesz?

- Oczywiście, że czuję się dobrze. Ja zawsze czuję się dobrze. Wiesz przecież o tym. Nie mam czasu, żeby narzekać na swoje zdrowie ,ak inne kobiety - poinformowała ją Blanche zjadliwym tonem.

Być może udało się przekonać wnuczkę, że z jej zdrowiem wszystko jest w porządku. Ale w środku Blanche była wstrząśnięta i osłabiona. Nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy ze swojej starości. Aż do teraz. Powrót Grega i kłopoty, które ze sobą przywiózł, sprawiły, że zaczęła zdawać sobie sprawę ze swojej śmiertelności. Oczywiście nie miała zamiaru komukolwiek o tym wspominać. Ból, który zaatakował ją tak ostro i nagle, na szczęście już zniknął. W przeciwieństwie do problemów Grega Blanche wiedziała, że ich nie da się tak łatwo zbagatelizować. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę zachowanie Amber i jej sentymenty względem dziecka Grega.

Po ponad godzinie wypytywania o Roberta, Luca, Osterby i sklep w końcu puściła Amber, która natychmiast pobiegła do pokoju dziecięcego, żeby zobaczyć córeczkę Grega.

Niania potrząsnęła głową i cmoknęła z niezadowoleniem, kiedy Amber przedstawiła jej swój zamiar, jak gdyby wciąż była dzieckiem pod jej opieką. Za to pielęgniarka, którą Jay znalazł do opieki nad małą dziewczynką, była młodsza, o ujmującym uśmiechu i łagodnym usposobieniu.

- Betsy, jak nazywa się ta kruszynka? - spytała ją Amber.

- Pan Greg powiedział, że nazywa się Lin Hua, wasza książęca mość. Po chińsku to znaczy Piękny Zielony Kwiat. Ale pani Pickford zastrzegła, że nie wolno nam się zwracać do niej w żadnym barbarzyńskim języku. Więc pan Greg powiedział, żeby nazywać ją Rose.

Dziewczynka była tak malutka, że Amber wydała stłumiony okrzyk, kiedy zobaczyła ją leżącą pod falbankami i prześcieradłami w ozdobnym staromodnym łóżeczku dzieciennym.

- Ma prawie dwa lata, a wygląda na znacznie młodszą - pożaliła się Betsy.

Skóra dziecka wydawała się tak żółta, że nazywanie jej Rose zakrawało na złośliwość. Ciemne oczy miała otwarte, ale spojrzenie było apatyczne i puste. Jej ciężki los wywołał u Amber lawinę uczuć macierzyńskich. Schyliła się i podniosła ją z łóżeczka. Wstrząsnęło nią to, jaka jest lekka. W tym samym wieku Luc był krzepkim, zdrowym małym chłopcem, który już chodził i mówił od wielu miesięcy. Ten malutki strzęp człowieczeństwa wyglądał bardziej jak woskowa lalka niż ludzkie dziecko.

- Wydaje się taka zimna - powiedziała Amber pielęgniarce.

- Tak, wasza książęca mość. Doktor twierdzi, że to z osłabienia. Co cztery godziny mam jej wkładać do łóżeczka butelki z gorącą wodą. Pan Jay zatrudnił jeszcze jedną nianię, która ma siedzieć z nią w nocy.

- Czy malutka je normalnie?

- Nie powiedziałabym - odrzekła Betsy - Dajemy jej trochę przegotowanej wody i odrobinę mieszanki dla niemowląt. Doktor Brookes uważa, że jej żołądek nic innego nie przyjmie. Ale ona zjada tej mieszanki tyle co kot napłakał, po czym i tak większość zwraca.

- Biedna maleńka duszyczka. Musi czuć się taka samotna bez matki i w nieznanym miejscu.

Kiedy Amber miała już odłożyć dziewczynkę do łóżeczka, ta wydała z siebie cichutki jęk bólu i cierpienia.

Spodobała jej się pani, wasza książęca mość. - Betsy uśmiechnęła „v Chyba nie chce, żeby odkładać ją do łóżeczka. Po raz pierwszy widzę, żeby robiła coś takiego.

Zanim Amber zdołała to jakoś skomentować, zjawił się doktor Brookes. Pełnił on funkcję lekarza rodzinnego Pickfordów, odkąd Amber sięgała pamięcią. Kiedy ją ujrzał, uśmiechnął się ciepło.

- Jest taka chudziutka i malutka - westchnęła Amber, kiedy doktor przygotowywał się do ważenia córki Grega.

- To prawda. Ciężko zniosła żółtaczkę poporodową, dlatego jej skóra ma taki żółty odcień. Przez to czuje się tak źle i jest w opłakanym stanie. Hardzo dobrze, Betsy - doktor pochwalił pielęgniarkę. - Przybrała na wadze osiemdziesiąt pięć gramów...

Wyjdzie z tego? - Amber spytała doktora Brookesa, odprowadzając go po schodach na dół.

- Za wcześnie jeszcze, żeby móc to stwierdzić. Muszę przyznać, że dzielnie walczy. I na pewno nie mogła się znaleźć w lepszych rękach.

Amber wróciła do pokoju dziecięcego przed kolacją i ignorując wymowne spojrzenie niani, wyjęła Rose z łóżeczka i wzięła na ręce. Gdy ją trzymała, jej ciałem wstrząsały spazmy miłości. Czowała też ucisk w łonie. Tak wiele oddałaby, żeby mieć więcej dzieci, zwłaszcza dziewczynkę.

Kiedyś tak dobrze jej znany zapach dziecięcej skóry, mleka i pudru przepelniał Amber nostalgią. Luc był takim dobrym dzieckiem, zdrowym i pełnym życia - i uwielbianym przez Roberta. Jak szybko mijał czas. Zbyt szybko. Amber uświadomiła to sobie z lekkim żalem. Pragnęła mieć więcej dzieci, więcej niemowląt, ale to nie wchodziło w rachubę.

- Nianiu, o której pan Greg zazwyczaj przychodzi do pokoju dziecięcego? - spytała, chcąc się z nim jak najszybciej zobaczyć.

- Och, pan Greg tutaj nie zagląda, wasza książęca mość - pospieszyła z odpowiedzią Betsy.

- I nie powinien tego robić. To nie miejsce dla mężczyzn - zawyrokowała ostro niania.

- Tak naprawdę nie chce mieć nic wspólnego z małą Rose - zdradziła Betsy
- Małe dzieci nie powinny zajmować mężczyzn - odparła ponuro niania. - Właściwie to kobiet również - dodała, spoglądając ostro na Amber -zwłaszcza wtedy gdy powinny przebrać się do kolacji.
- Dobrze, nianiu - Amber przeprosiła ją, niechętnie oddając Rose Betsy

## Rozdział 34

Dobrze się czujesz, Greg? - Amber musiała zadać to pytanie członkowi swojej najbliższej rodziny po raz drugi w ciągu ostatnich dwunastu godzin, ryzykując zarzut bycia nudną. Ale nawet przypadkowy obserwator przyznałby, że miała po temu powód.

Greg pił alkohol do kolacji i Amber podejrzewała, że robił to także wcześniej, zanim zszedł na dół - spóźniony. Teraz byli sami w ich ulubionym miejscu spotkań, w pokoju bilardowym, a Greg nadal pił, co chwila napełniając sobie szklanekę ginem z karafki, którą przyniósł ze sobą.

- Oczywiście, że czuję się cholernie źle, a nie dobrze - odparł gorzko. - Boże, Amber, nie masz przy sobie papierosów? Mnie się skończyły, a potwornie chce mi się palić.

- Wybacz, nie mam.

Amber nigdy nie była zwolenniczką papierosów i sama rzuciła palenie w zimie po urodzeniu Luca, kiedy ona i jej syn okropnie się przeziębili.

Greg z taką siłą cisnął na sukno stołu kij bilardowy, który wziął ze stojaka, że Amber wzdrygnęła się.

Wybuchowy temperament, który okazywał - i to nieraz - podczas kolacji, przerażał ją niemal tak samo, jak zmiana w jego wyglądzie. Jej pogodny, przystojny kuzyn gdzieś zniknął, a jego miejsce zajął ktoś zupełnie obcy.

Ten sam żółty odcień, który zabarwił skórę Rose, nadał także cerze Grega ziemisty i niezdrowy wygląd. Oczy miał przekrwione i trzęsły mu się ręce. Kiedy się odzywał, robił to tym samym płaczliwym, użalającym się nad sobą głosem, od którego zaciskały się usta Blanche.

- Każda normalna babcia ucieszyłaby się i odczuła ulgę, widząc, że jej jedyny wnuk wrócił szczęśliwie do domu.

Ale, jak oboje wiemy, nasza babcia nie jest ani trochę normalna. Boże, ależ ona jest nieczuła, Amber. W końcu czyja to wina, że w ogóle znalazłem się w tym przeklętym Hongkongu? Nie moja. To ona uparła się, żebym wyjechał i żył na wygnaniu.



- Wydawało mi się, że chciałeś tam jechać - zaprotestowała Amber. -I wydawałeś się taki szczęśliwy. Zwłaszcza po tym jak poznałeś Lionela. Tak przynajmniej wynikało z twoich listów.

- To było, jeszcze zanim ten podstępny drań zszargał mi opinię. Gdyby nie on, byłbym teraz mężem Lucy i...

- Lucy? Tak nazywała się matka Rose?

- Miałbym ożenić się z tą suką? Żałuję, że w ogóle ją poznałem. To ona, razem z tym cholernym Lionelem, zrujnowała mi życie.

Amber wzdrygnęła się, słysząc w głosie Grega taką wrogość.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Co się stało?

Kiedy Greg skończył jej opowiadać swoją historię - o tym, jak poznał, co to hazard i hongkońskie burdele, a potem spotkał Lucy i zakochał się w niej - Amber czuła zarówno szok, jak i wstręt. Do Grega i do jego zdradzieckiego przyjaciela.

Jak doszło do tego, że jej kuzyn, którego podziwiała i kochała, stał się człowiekiem pozbawionym moralności i zupełnie nieświadomym swoich błędów, nie wspominając już o zwykłym poczuciu wstydu za to, czego się dopuścił.

- Jeśli rzeczywiście tak kochasz Lucy, może trzeba było zostać w Hongkongu i paść jej do stóp - zasugerowała z wahaniem Amber.

- Wyszłaby za mnie, gdyby Lionel nie nastawił jej przeciwko mnie - ciągnął Greg, puszczając mimo uszu jej komentarz. - Opowiadałem jej o naszej babci, jej planach względem mnie i o tytule, który bym prawdopodobnie otrzymał. No cóż, Lucy już nigdy nie będzie mogła nazywać siebie damą, po tym jak związała się z tym łajdakiem Lionelem, który nie dorasta mi do pięt.

Greg nie przestawał użalać się nad swoim losem, Amber zaś słuchała go z rosnącym smutkiem.

- A teraz babcia ma jeszcze do mnie pretensje, że spłodziłem to dziecko. A czego, u licha, się spodziewała? Że będę żyć jak mnich w celibacie?

Greg zaczął się pocić. Jego ruchy i mowa stały się nerwowe i nieskoordynowane.

- Greg, myślę, że babcia bardziej przejmowała się twoimi długami -powiedziała łagodnym tonem Amber.

- Ona się przejmowała? - roześmiał się szaleńczo. - A to dobre! Jakoś nie na tyle, żeby przestać wysyłać mi pieniądze na spłatę długów. Chińczycy uwielbiają hazard, ale nienawidzą przegranych. Wiesz, co są w stanie zrobić, jeśli nie oddasz im forsy? Na początek obcinają dłonie - palec po palcu-a potem...

Greg przyniósł ze sobą do pokoju bilardowego karafkę pełną ginu, która teraz była już pusta. W nagłym przypiływie złości podniósł ją i rzucił o ścianę Karafka roztrzaskała się w drobny mak, zasypując parkiet setkami odłamków szkła. Greg zapadł w fotelu, ukrył twarz w dłoniach i zaczął spazmatycznie szlochać.

- Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Lucy za mnie wyszła -łkał. - To Lionel nakłonił Chung Haia, by zażądał ode mnie spłaty całego długu. Lionel wiedział, że nie jestem w stanie zorganizować takich pieniędzy. Musiałem podrobić te czeki, Amber, nie miałem wyboru. A kiedy Chung Hai zażądał kolejnych fałszerstw, wiedziałem, że dale, już tak me można i muszę stamtąd uciec. Podróż tutaj kosztowała mnie ostatnie grosze Ten cholerny kapitan wiedział, w jakiej paskudnej sytuacji się znalazłem, i mógł zażądać ode mnie każdej ceny. Ja z kolei nie wiedziałem, że ta głupia suka śledziła mnie w drodze do portu i wsiadła na ten sam statek razem z bachorem.

- Widocznie za wszelką cenę chciała być z tobą.

- Raczej chciała mieć pewność, że razem ze mną nie odpłyną pieniądze, które łożyłem na jej utrzymanie - warknął złośliwie Greg.

- Przynajmniej przywiozłeś małą Rose bezpiecznie do domu.

- Myślisz, że to był mój wybór? Zawdzięczam to jakimś przeklętym misjonarzom, którzy uwielbiają wsadzać nos w nie swoje sprawy. Ten bachor powinien zdechnąć razem z matką.

- Tak jak dziecko Caroline? - spytała cicho Amber.

Przez minutę panowała taka cisza, że Amber straciła nadzieję, iż Greg cokolwiek powie. Poczzerwieniał na twarzy jak burak, po czym wstał gwałtownie i minął ją, odpychając na bok.

- To nie była moja wina. Ostrzegalem ją, że powinniśmy być ostroz-niejsi A wtedy nam się uda, tak jak za pierwszym razem. - Greg zaniósł się pijackim rechotem. - Babcia byłaby w pełni usatysfakcjonowana, nie

sądzisz? Gdyby wyszło na jaw, że ojcem ukochanego syna Fittona Legha jest Pickford.

Amber znieruchomiała. Greg musiał być tak pijany że sam nie wiedział, co mówi.

- No co? - zakpił z Amber. - Mam ci to powiedzieć wprost?

- Greg, nie wydaje mi się...

- Co ci się nie wydaje? - W jego głosie zabrzmiała teraz złość. - Nie sądzisz chyba, że gadam od rzeczy? Pozwól więc, że coś ci wyjaśnię. Caroline zarzekała się, jeszcze zanim ten bachor przyszedł na świat, że to moje dziecko. Podkreślała, że Fitton Legh nie byłby w stanie go spłodzić. I nie zrobił tego. Nic dziwnego, że Cassandra za niego wyszła, stanowią razem dobraną parę. Ja jestem ojcem tego dziecka.

Przed położeniem się spać Amber poszła jeszcze na górę do pokoju dziecięcego. Przeprosiła za nocne najście opiekunkę, która przedstawiła się jako Sheila, kuzynka Betsy

- Malutkiej udało się nie zwrócić wieczorem jedzenia - powiedziała Sheila uradowanym głosem, prowadząc Amber do pogrążonej w półmroku sypialni, w której córka Grega spała w swoim łóżeczku.

- Betsy opowiedziała mi, jak Rose zareagowała na pani widok, wasza książęca mość. Na pewno brakuje jej matczynego dotyku.

Amber nachyliła się i z czułością dotknęła policzka Rose. Jej skóra wydawała się cieplejsza i jakby mniej woskowa.

Biedne maleństwo. Czy Greg miał rację? Czy jedyny syn i dziedzic lorda Fittona Legha był naprawdę jego dzieckiem? W każdym razie nie wolno mu było rozpowiadać tego, co jej powiedział - dla dobra tego małego chłopca.

Musi porozmawiać o tym z Gregiem, kiedy on wytrzeźwieje, i wymóc na nim obietnicę, że będzie milczał.

Jedynie Amber zeszła rano na dół na śniadanie. Greg pewnie odsypiał wypity wczoraj alkohol. Wilson zaś poinformował, że jej babcię lekko boli głowa i zejdzie nieco później.

Amber zmarszczyła brwi, wychodząc z jadalni. Chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby babcia nie zeszła na śniadanie. Jeśli w ten sposób

chciała okazać swoją dezaprobatę dla Grega, to jej plan nie wypalił - pomyślała z żalem.

Kilka minut spędzonych w pokoju dziecięcym z Rose, która tego ranka wyglądała już dużo lepiej, podniosło Amber na duchu. Dobry nastrój opuścił ją jednak, kiedy zjawił się doktor Brookes i pokazał jej, jak bardzo wykrzywione nóżki ma dziewczynka. Wyjaśnił, że to z powodu krzywicy, i powiedział, iż zniszczone mięśnie i kości mogą nigdy nie odzyskać sprawności.

Ależ fatalny start w życie miało to maleństwo! Straciło matkę w tragicznych okolicznościach, a przy okazji jeszcze samo podupało na zdrowiu. Amber było jej potwornie żal. Wydawało jej się to takie okrutne i niesprawiedliwe. Tym bardziej że status materialny Grega powinien umożliwić jego córeczce lepsze, beztrudne dzieciństwo. Amber pomyślała ze złością, że jej kuzyn powinien się wstydzić za to, że nie traktował lepiej swojej kochanki i ich dziecka. Każde dziecko zasługuje na miłość. Ale Greg nie kochał maleńkiej Rose. Amber musiała przyznać, że trudno jej zaakceptować takie zachowanie kuzyna i wybaczyć mu to, co zrobił.

Stojąc w łazience, Greg trząsł się jak w febrze. Przed chwilą wymiotował i w głowie pulsował mu nieprzyjemny ból. Wiedział z doświadczenia, że jedynie szklanka brandy może przynieść ulgę zarówno jego głowie, jak i żołądkowi. Ale butelka, którą przyniósł na górę ubiegłej nocy, była już pusta.

Spuścił wodę w toalecie i dopiero wtedy przypomniał sobie, że musi opróżnić pęcherz. Oślepiające światło wpadające do środka przez okno drażniło go w oczy, jakby otrzymał cios w twarz. Zaczął mrugać powiekami i spuścił wzrok.

To wciąż tam było. Sączyło się trochę, zaczerwienione i podrażnione, chociaż nie sprawiało mu bólu. Jedno malutkie otarcie. Nic specjalnego. Ale Greg wiedział, że nie należy tego bagatelizować. Nie miał tego, kiedy wyjeżdżał z Hongkongu. Nie widział tego również u dziewczyny, z którą spędził ostatnią noc. Chociaż prawdę mówiąc, nie przyjrzał się jej. Nie był w stanie.

Ale posiadał pewną wiedzę. Zawdzięczał ją przekłętemu Jardine owi, który zaraz po przyjeździe Grega do Hongkongu umówił go z jakimś

konowałem. Ten zaś opow. edział mu ze szczegółami, czego może się nabawić, sypiając z dziewczynami w chińskich burdelach.

Zawsze mógł poprosić doktora Brookesa, żeby rzucił na to okiem. To by go uspokoiło. Na pewno to nic poważnego, jakieś niegroźne otarcie. Ale wtedy wyszedłby na głupca. Poza tym zanim Greg by się obejrzał, ten stary głupiec Brookes zaraz wypaplałby wszystko jego babci. Lepiej, mu nie ufać. Naprawdę nie ma o czym mówić. To tylko zaczerwieniona skóra. To absolutnie me może być... Nie ma możliwości, żeby... Zaraz znowu zwymiotuje.

- Mam ogromne wyrzuty sumienia z powodu Rose - zwierzyła się Jayowi Byli w salonie w Dower House. Amber wpadła tam, żeby zobaczyć się z dziećmi Jaya, które zostały przyproawdzone ze swojego pokoju, po czym opiekunka zaraz zabrała je z powrotem. Amber nie spodziewała się, że zastanie Jaya w domu, ani nie miała pojęcia, jaką sprawi jej to radość.

- Mogłam jeszcze tyle zrobić. Na przykład wysłać Gregowi więcej pieniędzy

- Nawet gdybyś to zrobiła, naprawdę wierzysz, że przeznaczyłby je dla kochanki i dziecka?

- Miałaś rację, ostrzegając mnie, że Greg się zmienił - przyznała ze smutkiem Amber. - Z trudem rozpoznaję w nim tego Grega, którego znałam do te, pory. W jednej chwili jest w jakimś potwornym nastroju, a za chwilę... - westchnęła. - Pije tyle, że zaszkodzi mu to na pewno. O co chodzi? Dlaczego tak mi się przyglądasz? - zaniepokoiła się.

- Amber, nie chcę dokładać ci więcej trosk, ale obawiam się, że hazard to me jedyne uzależnienie, w jakie Greg popadł w Hongkongu.

- Uzależnienie?

- Wilson dowiedział się ponoć od nowego służącego, że Greg może pahć opium. Doktor Brookes tez uważa, że to całkiem prawdopodobne. Nie wspominaliśmy jeszcze o tym twojej babci.

- Opium?

Amber od dawna już nie była naiwną dziewczyną. Siostry Mitford stroiły sobie żarty na temat handlarzy niewolników, którzy podawali niewinnym dziewczynom opium, a potem wywozili je z kraju. Ale nie było żadną tajemnicą, że w społeczeństwie byli zarówno mężczyźni, jak i ko-

biety uzależnieni od kokainy. Plaga ta dotykała zwłaszcza ludzi młodych, żyjących intensywnie.

- Gdyby Greg przestał palić opium i pić alkohol, wyszedłby z dołka, prawda?

- Pewnie tak - zgodził się Jay, choć zrobił to tak ostrożnie, że Amber była niemal pewna, iż nie wierzy on w wyzdrowienie jej kuzyna.

Zycie bywa okrutne. Kto mógłby pomyśleć, że Greg, ze swoim urokiem osobistym i żywiołowością, hołubiony przez babcię i mający przed sobą wspaniałą przyszłość, stoczy się w tak straszliwą otchłań?

- Gdyby nie wyjechał do Hongkongu... - Amber stanęła znów w obronie kuzyna, ale Jay potrząsnął głową.

- Obawiam się, że słabość Grega jest jego cechą wrodzoną, a nie nabytą w Azji.

Amber wiedziała, że przyznając rację Jayowi, nie jest do końca lojalna wobec Grega. Ale wiedziała też, że Jay się nie myli.

- Jeszcze nie jest za późno na zmianę.

- Pod warunkiem że jemu samemu będzie na tym zależeć.

- Nie wierzysz, że z tego wyjdzie, prawda?

- Nie wiem. W tym momencie, kiedy patrzę na Grega, widzę samolubnego mężczyznę, który użala się nad sobą.

Po raz kolejny Amber nie mogła zaprzeczyć.

- Martwię się też o małą Rose - przyznała. - Babcia jej nienawidzi, a Greg nie będzie dla niej dobrym ojcem. Betsy i Sheila są wspaniałe, ale gdyby z jakiegoś powodu musiały ją opuścić, Rose będzie taka bezbronna. Zabrałabym ją do siebie do domu, ale...

- Obiecuję ci, że włos jej z głowy nie spadnie - zapewnił ją Jay. - Będę doglądał jej z taką starannością, jakby była moją córką. I będę cię informował na bieżąco o postępach. Masz moje słowo.

- Och, Jay. Jesteś taki dobry. - Amber poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Zaczęła mrugać, żeby Jay tego nie zauważył. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Zawsze byłeś dla mnie taki dobry i uczynny. - Zamilkła, nie chcąc mówić nic więcej. Zawstydziliby go, a co gorsza, mogłaby zdradzić się ze swoimi uczuciami. - Miałam nadzieję, że zobaczę się z Lydią - szybko zmieniła temat.

- Niestety to niemożliwe. Wczoraj, późno w nocy musiałem wezwać doktora Brookesa. Czasem, kiedy Lydia czuje się gorzej, grozi, że zrobi sobie krzywdę, bo nie widzi już celu w życiu. Próbuję ją przekonać, że to nonsens, ale szczerze mówiąc, mam wrażenie, że moja obecność tyl ko pogarsza sytuację, zamiast ją poprawiać. Doktor Brookes dał jej środek uspokajający i Lydia teraz śpi.

- Jay, tak mi przykro - powiedział Amber, dręczona wyrzutami sumienia, że obciąża go swoimi problemami, podczas gdy on ma tyle na głowie, po czym dotknęła jego ramienia w czułym geście współczucia. - I przepraszam, że dokładam się ze swoimi kłopotami. Masz wystarczająco dużo własnych.

- Nie, cieszę się, że to zrobiłaś. Twoje zrozumienie i życzliwość tak wiele dla mnie znaczą.

Jay prawie nie zmrużył oka ubiegłej nocy Lydia była wyjątkowo agresywna, zanim wpadła na potworny pomysł, żeby ukarać samą siebie, co następowało zazwyczaj po atakach agresji. Wyłobiła mu paznokciami głębokie bruzdy w piersi, które wciąż paliły żywym ogniem. Obecność Amber, która zazwyczaj działała jak balsam na jego rany, dzisiaj sprawiała, że bolały go one jeszcze bardziej.

- Ty znaczysz dla mnie wiele, Amber. Bardzo wiele. Jestem bliski utraty rozumu.

Chciał ugryźć się w język, ale było już za późno. Słowa, które wypowiedział, zdradziły go, a co gorsza, wprawiły w zakłopotanie Amber.

Kiedy patrzyli na siebie w głuchoj ciszy, Amber przyznała, że głos Jaya, zachrypły i pełen napięcia, oddał to, co ona skrywała w głębi serca. Powinna teraz wyjść, bo jeśli nie... Ale widziała w oczach Jaya odbicie swoich uczuć. I ta wspólna świadomość odmieniła panującą w powietrzu ciszę, wypełniając ją tysiącem subtelnych, niewysłowionych nadziei i obietnic.

To wisiało między nimi tak długo, niewypowiedziane i niebezpieczne. A teraz wydostało się na wolność. Raz zasmakowanego pożądanego nie dało się zapomnieć, a wszystkie te lata, podczas których Amber z dziewczyny stała się kobietą, tylko pogłębiły jej zmysłowość. Nie musiała się zastanawiać, co by czuła, gdyby Jay jej dotknął - wiedziała to i pragnęła tego jeszcze bardziej.

Pragnęła go. Pożądała Jaya gwałtownie i namiętnie. Chciała, by ją pieścił, smakował i wypełniał jej zmysły w każdy możliwy sposób. To pragnienie dobiegało z dołu, z wnętrza jej ciała i domagało się zaspokojenia.

Musi wyjść. Zaczęła już odwracać się w stronę drzwi, lecz zawahała się i przekroczyła dzielącą ich linię, której poprzysięgła sobie nigdy nie przekraczać.

Chwilę później znalazła się w ramionach Jaya. Jej serce waliło gwałtownie, a zmysły chwyciły łapczywie wszystko, czym mogły się nasycić w jego objęciach. Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła obsypywać gorącymi pocałunkami, które Jay z zapalem odwzajemniał. To było jak letni upał po srogiej zimie. Nadzieja w miejsce rozpaczy. Życie po śmierci. Cały cel jej stworzenia.

- Tak długo czekałem, żeby wziąć cię w ramiona - powiedział Jay gardłowym głosem.

- A ja pragnęłam ciebie - wyszeptała w odpowiedzi Amber.

Nie mogła się powstrzymać od tego, by go dotknąć i poznać, doświadczyć cudu tej intymności po tylu latach.

Pragnęła więcej, chciała leżeć przy nim w ciemności i poznawać każdy szczegół jego ciała.

- Tak bardzo cię pożadam - powiedziała, nie zważając już na konsekwencje.

- Ja pożadam ciebie bardziej i dłużej - odparł jej Jay.

Amber roześmiała się drżącym głosem i dotknęła palcami jego ust, zamykając oczy pod wpływem kolejnej fali przyjemności, która ją ogarnęła, gdy Jay wziął ją za rękę i zaczął całować po kolei każdy opuszek jej palców.

- Nie powinniśmy... - zaczęła Amber.

- Wiem - przyznał Jay, ale nie puścił jej dłoni.

- Jay, pocałuj mnie jeszcze raz - poprosiła.

Kiedy trzymał ją w ramionach, Amber czuła się wspaniale. Wiedziała, że tak będzie. Bycie z nim oznaczało dla niej w pewnym sensie powrót do domu i...

- No proszę, co my tu mamy? Czy w ogóle powinnam zadać to retoryczne pytanie?



Jay i Amber odskoczyli od siebie w tej samej chwili, kiedy usłyszę li głos Cassandry. Ale oczywiście było już za późno i nakryła ich na gorącym uczynku.

- Jay, jestem trochę zaskoczona, biorąc pod uwagę stan zdrowia biednej Lydii. Ale Pickfordowie zawsze mieli skłonność do podbierania innym partnerów i rozbijania małżeństw.

Amber chciała uchylić się przed słowami Cassandry, jak gdyby to były ciosy na ringu bokserskim, i obronić się przed nimi. Ale jak miała to robić, skoro te słowa były w pełni uzasadnione? Nie miała nic na swoje usprawiedliwienie, zupełnie nic. Ogarnęło ją potworne poczucie wstydu i wyrzuty sumienia. Lydia była taka chora. A ona zachowała się bezwstydnie wobec jej męża, mimo iż zawsze gardziła podobnym zachowaniem i potępiała je u innych.

Do ich raję wślizgnął się wąż, przynosząc ze sobą poczucie winy, które Amber będzie musiała nosić w sercu do końca życia.

Jak mogła do tego dopuścić? Jeśli chodzi o Jaya, sytuacja wyglądała nieco inaczej. Był mężczyzną, którego żona nie potrafiła odegrać właściwej roli w ich małżeństwie. Mężem obarczonym odpowiedzialnością opieki nad chorą żoną, który - jak wszyscy mężczyźni - miał swoje potrzeby

Obowiązkiem i odpowiedzialnością Amber było powstrzymać go, bez względu na własne uczucia. Bez względu na to, jak wzburzone, gwałtowne, zniewalające i nie do odparcia one były. Ale nie zrobiła tego i teraz przyszło jej odpokutować ten straszliwy grzech.

## Rozdział 35

...A co byś powiedziała, gdybyśmy narzucili jedwab na krzesło w taki sposób? - spytał nieco rozdrażniony Cecil Beaton, wyrывая Amber z koszmaru własnych myśli i wyrzutów sumienia.

Cecil przyszedł, żeby zrobić zdjęcia do pierwszej reklamy sklepu w „Vogue'u”. Był tak rozchwytywany zawodowo, że Amber nie udało się go wynająć, gdyby się nie przyjaźnili. A teraz marnowała jego czas, zadreęczając się tym, do czego doszło między nią a Jayem.

- Tak, tak, wygląda idealnie.

Musi przestać myśleć o tym, co się stało. Nie cofnie już czasu i nie naprawi szkód, które zostały wyrządzone.

Poczucie winy parzyło ją niemiłosiernie. Cassandra oskarżyła ich oboje, ale to Amber sprowokowała tę sytuację.

Przeciagnęła pocałunek i chciała więcej...

Cassandra triumfowała po tym odkryciu i Amber bała się, że rozpowie o tym, co widziała, choć - jak sama stwierdziła - „dla dobra biednej, kochanej Lydii” nikomu nie wspomni o tym incydencie. Amber nie miała wątpliwości, że zniszczyłoby to jej reputację, niemniej nie sądziła, aby wyrafinowane towarzystwo, w jakim obracali się z Robertem, przejęło się tym faktem. Dyskretne romanse pozamałżeńskie były bowiem powszechnie akceptowane. Najbardziej martwiło ją to, jak ta wiadomość wpłynęłaby na Lydię, której psychika była bardzo niestabilna. Amber nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby skrzywdzić niewinną osobę. Czy Cassandra zachowa to, co widziała, w tajemnicy, dla dobra Lydii, czy też po prostu bawiła się nimi, czekając na dobry moment ujawnienia tej sensacji przed całym światem? Amber nigdy wcześniej nie sądziła, że może się znaleźć w tak kłopotliwej sytuacji. To było wbrew wszystkiemu, w co wierzyła. Złamała najświętsze zasady moralne, które sobie narzuciła. Co by powiedziała babka, gdyby się okazało, że oboje wnuków ją zawiodło? Czy byłaby bardzo zła? Amber musiałaby upewnić się, że Blanche nie będzie obwiniać za to Jaya.

Musi przestać o tym myśleć. Mleko już się rozlało i nie mogła nic zrobić. Cassandra miała ich w garści. Sklep został wystylizowany na potrzeby sesji Cecila. Na pierwszym planie w witrynie ustawiono krzesło, pomalowane - tak jak Amber zaplanowała - w tym samym odcieniu szarości, co ściany sklepu. Na nim zaś leżał, rzucony jakby od niechcenia, najpiękniejszy czarny jedwab, ozdobiony złotymi wieńcami laurowymi według jednego z projektów jej ojca. W tle znajdowały się dwie półkolumny w stylu korynckim. Na jednej z nich stało popiersie z koroną z wieńca laurowego, na drugiej zaś nieco podniszczony kandelabr z białymi świeczkami, po których Amber puściła pnący się bluszcz. Kropką nad i - to pomysł Cecila - było pulchne złotowłose dziecko, „wypożyczone” na potrzeby sesji od matki, zaprzyjaźnionej szwaczki, która przywiozła materiały dekoracyjne, a teraz siedziała i patrzyła z niepokojem na swojego synka, ubranego na biało i również z wieńcem laurowym na głowie. Dziecko siedziało na podłodze, otoczone jedwabiem, uśmiechając się bezzębnie i radośnie do swojej matki. Amber miała nadzieję, że chłopczyk nie zwymiotuje nagle na jedwab. Musiała jednak przyznać, że całość prezentowała się bardzo atrakcyjnie i przyciągała wzrok.

Stwierdziła, że może jednak powinna się cieszyć, iż Cassandra ich nakryła. Poniżenie i poczucie winy były sprawiedliwą karą. A strata najlepszego przyjaciela - czy to też właściwa kara?

Od powrotu do Londynu Amber nie miała żadnych wieści od Jaya. Nie próbowała się z nim skontaktować. Jak mogłaby to zrobić po tym, co się stało? Jej wina prześladowała ją i zamęczała.

Ale zanim to się stało, Jay obiecał, że będzie do niej pisał i relacjonował stan zdrowia Rose. Wznosząc się ponad własne emocje, Amber czuła, że ma moralny obowiązek interesowania się zdrowiem młodej dziewczynki - był to rodzaj matczynej odpowiedzialności w imieniu innej matki, której zabrakło w życiu dziecka. Nie mogła z tego zrezygnować tylko z powodu swoich rozterek. Ale co z Jayem? Czy, tak jak obiecał, będzie do niej pisał o Rose? Czy raczej uzna, że lepiej zerwać wszelkie kontakty? A jeśli to zrobi, czy ona to zniesie? Jay był jej najbliższym i najlepszym przyjacielem, jedyną osobą, na której mogła polegać. Jak mogła poświęcić to

wszystko dla kilku chwil namiętności? Trwającą całą życie przyjaźń mógł pogrzebać jeden pocałunek.

- Sylwesterze, mój drogi, zasłaniasz mi światło.

Nowy asystent Cecila zrobił nadaśaną minę i odrzucił do tyłu blond loki.

- Tydzień temu byłem w Paryżu - rzekł Cecil do Amber. - Młody przyjaciel Roberta, Otto, był tam bardzo widoczny. Otaczała go gromadka masywnych Brunhild. Rozumiem już, dlaczego Robert tak się w nim zadurzył. Ten chłopak ma niebezpieczny urok, jest taki wyzywający i podniecający. Przez chwilę pomyślałem, że może sam miałbym u niego szansę.

- Och, Cecilu, nie wolno ci! - zaprotestowała Amber. - Zraniłbyś tym Roberta. Wiesz dobrze, jaki okrutny był dla niego Otto.

- Tak, wiem. - Cecil wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Przyjaźń z Robertem znaczy dla mnie więcej niż przypadkowy romans. Tylko żartowałem. Czy Robert nadal chce jechać na olimpiadę?

- Tak. Uważa, że szkoda byłoby, gdyby Luc nie obejrzał igrzysk. Twierdzi, że ta podróż dobrze mu zrobi.

- Najwięcej korzyści olimpiada przyniesie machinie propagandowej Herr Hitlera - przytaknął Cecil. - Jestem przekonany, że ci, którzy wyrazili zgodę na organizację igrzysk w Niemczech, żałują swojej decyzji, biorąc pod uwagę rosnącą siłę Hitlera i jego prawicowego skrzydła politycznego. Lobby żydowskie jest już tym wszystkim oburzone.

- Mają ku temu powody, nie uważasz? - zauważyła Amber.

Poczuła ulgę, że może skierować swoje myśli ku większym problemom niż jej własne. Fatalne położenie Żydów, którzy trafili w tryby hitlerowskiej maszyny antysemitycznej, musiało przerażać każdego, kto miał choćby cień współczucia i ludzkich uczuć. Amber nie potrafiła zrozumieć, że mogą istnieć ludzie obojętni wobec potwornych planów Hitlera, nie mówiąc już o popieraniu ich. Tymczasem, ku jej przerażeniu, w Wielkiej Brytanii nie brakowało ludzi, którzy podsycali nastroje antysemityczne. Amber wiedziała, jak by na to wszystko zareagowali jej rodzice. Byliby wśród pierwszych, którzy zaprotestowaliby i okazali swoje wsparcie wszystkim, którzy byli uciskani i źle traktowani.

- Moim zdaniem opinię publiczną bardziej interesuje romans Unity Mitford i Fiihrera niż lobby żydowskie - powiedział Cecil. - To takie

śmieszne i groteskowe zarazem. Oczywiście Diana i Tom Mosleyowie pojedą na olimpiadę z przyjemnością. Herr von Ribbentrop jest ostatnio wyjątkowo zajęty rozdawaniem zaproszeń każdemu, kogo uważa za osobę wpływową. Wygląda na to, że to on zostanie po raz kolejny ambasadorem Niemiec w Wielkiej Brytanii. No cóż, kiedy ty będziesz śledzić zmagania przystojnych młodych mężczyzn, ja będę pochłonięty pracą. Ale za to gdy wrócisz, czekają cię emocje związane z otwarciem sklepu.

- Nie wiem, czy to takie ekscytujące, Cecilu. Jestem tym strasznie zdenerwowana. A jeśli nikomu się on nie spodoba.

- Moja droga, oczywiście, że im się spodoba. Pokochają twój sklep. Zwłaszcza po tym, jak kupią „Vogue'a”. Moje zdjęcia sprawią, że będą pałać niepohamowaną żądzą udekorowania swoich domów twoimi materiałami.

Amber wybuchnęła śmiechem. Chciałaby mieć tyle pewności siebie co Cecil. Ale on był urodzonym showmanem, którego wielbiły tłumy.

## Rozdział 36

Jay spojrział na list, nad którym spędził cały poranek.

„Prosiłaś, żebym cię informował o stanie zdrowia Rose. Z przyjemnością donoszę, że zdaniem doktora Brookesa wszystko zmierza w dobrym kierunku. Zapewne chciałabyś też wiedzieć o...”

O czym? O tym, jak bardzo za tobą tęsknię? Ze jest mi przykro, iż zostawiłem cię na pastwę Cassandry i jej jadu? Ze trzymanie cię w ramionach, zamiast sprawić mi satysfakcję, wywołało we mnie jeszcze większe pożądanie? Ze byłoby lepiej, gdybyśmy przestali do siebie pisać - dla twojego dobra? Ze nie potrafię zerwać tak cennego dla mnie kontaktu z tobą, chociaż wiem, iż w ten sposób zdradzam cię i swoje zobowiązania małżeńskie, tak jakbym trzymał cię nagą w ramionach?

Jay, który rzadko używał wulgaryzmów, zaklął siarczyście pod nosem, a potem podarł list i wrzucił do kominka. W takich chwilach brakowało mu starego psa dziadka. Był on świetnym powiernikiem w sprawach, których nie powinno słyszeć ludzkie ucho.

Cassandra oczywiście napawała się swoim triumfem. Miała przewagę nad Amber i Jayem i oboje wiedzieli, że wykorzysta ją bez cienia skrupułów przy najbliższej okazji, dla samej przyjemności.

Jay znajdował się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, biorąc po uwagę stan zdrowia Lydii. Ona nie może się o niczym dowiedzieć. To prawda, że nigdy nie powinien był ożenić się z Lydią. Ale zrobił to. I teraz miał moralny obowiązek ją chronić. Była matką jego dzieci. Ale jej psychika była tak bardzo niestabilna.

Czasem wystarczyło, że jedna z dziewczynek nie chciała usiąść jej na kolanach, żeby Lydia wpadała w czarną rozpacz. Kiedy indziej zaś mówiła bez emocji, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Odwracała się do dzieci plecami i udawała, że nie istnieją.

Szlochała i powtarzała, jak bardzo go nienawidzi i że małżeństwo z nim jest dla niej więzieniem. Potem zaś zaklinała się, że kocha go tak

bardzo, iż nie może wyobrazić sobie życia bez niego. Błagała, by powiedział, że ją kocha, i płakała tak długo, aż to zrobił.

Być może najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby oznajmił Amber, że od tej pory to doktor Brookes będzie regularnie informował ją o zdrowiu Rose. Musieli nabrać do siebie większego dystansu - dla dobra Amber, dzieci i Lydii. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, nieprawdaż? Ale bez względu na to, jak długo nie widziałby Amber, Jay wiedział, że je go uczucia do niej nigdy się nie zmieniają, wręcz przeciwnie, staną się jeszcze silniejsze. Jednak to brzemie musi dźwigać sam. Nie miał zamiaru obciążać nim kogokolwiek, a już na pewno nie Amber. Jej szczęście znaczyło dla niego więcej niż jego własne i zasmucało go, że ktoś, kto zasługiwał na miłość i radość z małżeństwa, był tych uczuć pozbawiony

- Naprawdę mnie kochasz?

- Oczywiście, że cię kocham, skarbie. Zwłaszcza w takiej chwili - po wiedziała Cassandra aksamitnym głosem swojej kochance.

Kobieta odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niej, przeciągając się leniwie po chwili wspólnej przyjemności. Jej nasmarowane oliwką gładkie ciało pachniało, tak jak cały pokój, seksem.

Pokój ten był specjalnym miejscem schadzek Cassandry, który urządziła na samym początku małżeństwa z Johnem Fittonem Leghiem. Znajdował się na szczycie gotyckiej wieży, która została dobudowana do holu przez jednego z osiemnastowiecznych przodków. Służący zarzekali się, że wieża jest nawiedzona, i Cassandra jeszcze podsyciała te wierzenia.

Pokój wyglądał tak, jakby został wręcz stworzony do jej celów. Stało w nim wielkie łóżko z baldachimem i wyrzeźbionymi zamaskowanymi postaciami oraz mitologicznymi rogatymi bestiami. Zostało nakryte materiałem, o którym Cassandra dowiedziała się od znajomej utrzymującej kontakty intymne z Violet Trefusis oraz Vitą Sackville-West. Złoty wzór na czerwonym tle przedstawiał legendę o sztucznym fallusie, który Dedal wyrzeźbił dla córki króla Midasa, by mogła zaspokajać swoje żądze.

Cassandra zazdrościła Vicie i Violet. Zanim wyszła za mąż, wielokrotnie wyobrażała sobie siebie w roli podglądaczki ich rozkoszy. Ależ była wtedy niemądra. Nieporównywalnie lepiej jest samej doświadczać takiej

rozkoszy. Niemniej kiedyś czerpała przyjemność z podglądania innych. Na przykład wtedy, gdy przyłapała Johna z jedną ze służących. Nie byli jeszcze wtedy małżeństwem. Biedaczek, tak się starał. Ale jego członek był już zwiotczały. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że Cassandra go podgląda. Był taki nieostrożny, chciał przelecieć tę dziewczynę w miejscu, w którym ktoś mógł go łatwo zaskoczyć. Jak on błagał wtedy Cassandrę, żeby go nie wydała. A ona zgodziła się nie pisnąć ani słówka, pod warunkiem że się z nią ożeni.

John powiedział jej, że nie może być dla niej dobrym mężem, miał bowiem skłonność do służących. Cassandra zapewniła go, że nie ma to dla niej znaczenia. Potrzebowała małżeństwa, a nie męża. John z początku nie chciał się zgodzić, ale szybko go przekonała, a w nagrodę w noc poślubną pokazała mu, jak zadowolić tę samą biedną służącą. Z początku był zszokowany, a potem bardzo podniecony.

Przez lata wielokrotnie organizowali sobie wiele równie przyjemnych przerywników. Naturalnie z dala od domu. Służący mieli długie języki, a tę pierwszą służącą musieli spłacić, dając jej pieniądze na rozpoczęcie kariery scenicznej, na której tak jej zależało.

Lord Fitton Legh nie miał pojęcia, jaką satysfakcję sprawia Cassandrze jego widok, gapiącego się lubieżnie i bezradnie na nagą kobietę, z którą ona się zabawiała, wiedząc, że jej mąż nie jest w stanie się do nich przyłączyć.

Kilka miesięcy, jakie co roku spędzali w Londynie, dawało Cassandrze wiele owocnych kontaktów.

Niezobowiązujące pójście kobiety do łóżka / inną kobietą zaczynało być w tych czasach modne. Cassandra szybko nauczyła się odróżniać te kobiety, które tylko udawały, że jej pragną, od tych, które z namiętnością odwzajemniały jej zainteresowanie.

Londyńskie flirty, które miały miejsce w jej życiu, po tym jak przyjęła zaproszenie do Fitton Hall, stanowiły serię wyjątkowych cielesnych przyjemności. Jednak żadna z nich nie mogła się równać z rozkoszą, na której szczyt zaprowadziła Cassandrę jej najnowsza kochanka. Jakież to było ekscytujące uwodzić ją, wiedząc, kim jest.

Cassandra postanowiła zarzucić na nią swe sieci, chociaż z początku ofiara pozostawała nieznośnie nieczuła na wszelkie aluzje dotyczące lesbijskich rozkoszy.



Jednak Cassandra była gotowa zaczekać. A teraz jej cierpliwość została nagrodzona, przynęta chwyciła i Lydia była jej.

Pogorszenie się stanu psychicznego Lydii uczyniło ją bezbronną i po budliwą. Łatwo ogarniały ją gniew i furia wymierzone w Jaya, które Cassandra po mistrzowsku zamieniała w fizyczną namiętność i poczucie porzucenia. Powoli, ostrożnie i z rosnącą przyjemnością Cassandra wprowadzała Lydię w świat swoich wyjątkowych rozrywek, upajając się mroczną mistyką łączącej je rozpusty.

Jedną z ulubionych przyjemności Cassandry było karanie swoich kochanek za każdy przejaw nieposłuszeństwa. Często przybierało to dość brutalne formy, chociaż w wypadku Lydii Cassandra musiała meco spuścić z tonu, jej kochanka bowiem łatwo wpadała w histerię. Mimo to Cassandrze udało się osiągnąć pewien postęp - od niewinnych klapsów w nagie pośladki Lydii po mocniejsze uderzenia zawiązanymi na supeł miękkimi wstążkami, które nie rozcinały skóry, a mimo to wywoływały błaganie o litość, pobudzając przy tym jeszcze bardziej rozwiązłą Cassandrę.

Pamiętała doskonale, kiedy po raz pierwszy odkryła, że przemoc fizyczna sprawia jej przyjemność. Miała wtedy dwanaście lat i spędzała akurat wakacje. Matka wysłała ją z miodem z własnej pasieki do sióstr Barnett - dwóch starych panien, które prowadziły spokojne i skromne życie w małym domku w pobliskim miasteczku, gdzie zajmowały się dekorowaniem lokalnego kościoła.

Cassandra zapukała do frontowych drzwi, a kiedy nikt jej nie otworzył, obeszła dom z drugiej strony i weszła do środka tylnymi drzwiami, używając do tego celu klucza, o którym wszyscy wiedzieli, że znajduje się pod doniczką z kwiatkiem.

Chciała położyć miód na stole i wyjść, ale zafascynowały ją odgłosy dobiegające z góry. Nie zdołała oprzeć się pokusie i zakradła się po schodach, żeby popatrzeć.

Drzwi do głównej sypialni były otwarte. Cassandra ujrzała starszą z sióstr Barnett, która przykucnęła na łóżku z wypiętymi nagimi pośladkami, podczas gdy jej młodsza siostra okładała je cienką trzcina, zostawiając czerwone pręgi na białej skórze.

Młodsza z panien Barnett nie przestawała bić starszej, każąc jej się przyznać do winy. Ta zaś jęczała i krzyczała, błagając jednocześnie o więcej i o to, by tamta przestała.

Cassandra była zafascynowana - i podniecona. Właśnie to uczucie nawiedzało ją czasem w nocy, gdy leżała w łóżku, lecz sto razy intensywniejsze. Jej zmysły chłoneły łapczywie wszystko, czego była świadkiem, w tym także tę scenę, w której młodsza panna Barnett przestała bić siostrę, wyjęła jakąś dziwnie wyglądającą „rzecz” i z impetem włożyła ją w „to miejsce” poniżej wypiętych pośladków swojej siostry, gdzie widać było kępkę ciemnych włosów porastających mięsiste wargi sromowe. Wpychała to coś i wyjmowała, starsza siostra Barnett zaś jęczała i krzyczała jeszcze głośniejsze, błagając o więcej, aż wreszcie padła na łóżko z przeciągłym jękiem rozkoszy

To, co zobaczyła Cassandra, było dla niej zupełną nowością i początkiem podróży, która doprowadziła ją tu, gdzie znajdowała się teraz. Oczywiście skonfrontowała z pannami Barnett to, czego była świadkiem, i ukarała je obie za ten niecny występki. Na wspomnienie tamtej chwili na ustach Cassandry zagościł lubieżny uśmiech i poczuła tak dobrze znaną wilgoć między udami. Spędziła w towarzystwie sióstr Barnett wiele radosnych i owocnych chwil. Ale to już przeszłość. Liczyło się tu i teraz.

Johna nie było w domu. Wyjechał do Londynu. Ale Cassandra szykowała mu nie lada niespodziankę w postaci specjalnego pokazu. W tym celu uczyła się robić zdjęcia i na jednym ze strychów urządziła nawet ciemnię fotograficzną.

Za pierwszym razem, kiedy pokazała Lydii jedną z fotografii, które jej zrobiła, ta zalała się łzami. Na ten widok Cassandra roześmiała się i uspokoiła ją:

- Przecież nikt się nie dowie, że to ty Celowo nie sfotografowałam twojej twarzy. - W tym miejscu zrobiła znaczącą pauzę i dodała z okrutną satysfakcją: - Podejrzewam natomiast, że Jay mógłby cię rozpoznać.

Lydia wrzasnęła przeraźliwie, po czym rzuciła się na nią, drapiąc paznokciami nagie ciało Cassandry. Ta nie pozostała jej dłużna, drapiąc i gryząc Lydię z całą intensywnością łączącego je wzajemnego

podniecenia. Wtedy Lydia po raz pierwszy pozwoliła Cassandrze zrobić użytek ze sztucznego penisa, którego wcześniej tylko jej pokazała.

Cassandra czuła dziką satysfakcję, wiedząc, jak bardzo zaszkodziła Jayowi. Przysięgła sobie, że kiedyś to zrobi. A teraz dochodził do tego jeszcze jeden ekscytujący fakt, że Jay pragnął Amber. Mógł sobie zaprzeczać, ale Cassandra dobrze go знаła. Nie całowałby Amber w ten sposób, gdyby było inaczej. Biedny Jay Był teraz całkowicie na jej łasce.

Cassandra nachyliła się i położyła dłoń na wzniesieniu łonowym Lydii, uśmiechając się, gdy ta zadrżała lekko. Życie smakowało o wiele lepiej, jeśli przyjemności towarzyszył ból.

- Odwiozę cię do domu - powiedziała Lydii, po czym uśmiechnęła się do niej przekornie. - Och, przecież obiecałem ci małą niespodziankę.

Lydii zaświeciły się oczy Jest jak małe dziecko - pomyślała z pogardą Cassandra - zadowolony się byle ozdóbką i Świecidełkiem.

- Co to takiego? Co masz dla mnie? - spytała Lydia.

Cassandra podeszła do toaletki i otworzyła ją kluczem zawieszonym na łańcuszku na szyi.

- Coś takiego - powiedziała, odwracając się i ukazując Lydii parę kajdanek. Widząc jej zdziwiony wzrok, wyjaśniła:

- Są złote i wysadzane diamentami. Zobacz, kiedy odkręcisz łączący je łańcuszek, możesz je nosić jako bransoletki.

Kajdanki zostały wykonane na specjalne zamówienie i Cassandra była z nich bardzo zadowolona.

- Następnym razem pokażę ci, jak działają i co można z nimi zrobić - obiecała Lydii i zamykając kajdanki z powrotem, uśmiechnęła się do niej szelmowsko.

## Rozdział 37

Tak jak Amber oczekiwała, Berlin był w każdym calu megalomańsko germański. Mundury, żołnierze maszerujący w butach z wysokimi cholewami i salutujący, wszystko to sprawiło, że musiała zacisnąć zęby. Ale jeszcze bardziej było jej znieść ślepy kult, jakim otaczali Hitlera jego brytyjscy pochlebcy, otwarcie popierający ruch faszystowski. Wśród nich byli Unity Mitford i jej siostra Diana. Na szczęście Robert powrócił do dawnych przekonań. Był teraz bardziej sceptyczny wobec Adolfa Hitlera, który nie robił na nim żadnego wrażenia. Amber domyślała się, że przelotny entuzjazm był pokłosiem jego burzliwego związku z Ottonem. Amber wciąż martwiło, że jej mąż, którego zawsze uważała za mężczyznę o jasno ugruntowanych opiniach, tak łatwo dał się omamić przekonaniom swojego młodego kochanka. Wiedziała jednak, że nie ma sensu poruszać tej sprawy w rozmowie z Robertem.

Z pozoru układało im się nadal idealnie, tak jak dotychczas. Ale w rzeczywistości istniały pomiędzy nimi napięcia i tarcia, za które Amber po części czuła się odpowiedzialna. Nie była już naiwną dziewczynką wpatrzoną w Roberta jak w obrazek, szukającą jego opieki i rady, stawiającą go na piedestale. Teraz była kobietą, która prowadziła własny interes i własne życie. Wiedziała, że Robert czasem ma jej to za złe, choć nigdy więcej nie dał jej tego odczuć. Mimo iż zezwolił jej na ten sklep, Amber miała świadomość, że nigdy nie pochwalał tego pomysłu. Posiadanie i prowadzenie sklepu - czy innego interesu - było czymś, co nie przystoi arystokratom. Decydując się na to, Amber sama wyrzuciła się poza nawias tego, co było akceptowane i czego oczekiwano po kobietach o jej pozycji.

Ale ona nie była arystokratką. Była sobą. Córką utalentowanego artysty i praprawnuczką odnoszącego sukcesy zawodowe kupca. I czuła z tego powodu dumę. Oczywiście chciała być dobrą żoną dla Roberta. Lecz pragnęła także pozostać sobą, a nie stać się kimś, kim nie była, w otoczeniu ludzi, którzy nią pogardzali, bez względu na to, jak bardzo starała się ich zadowolić.

Mimo wszystko brakowało jej szczerych rozmów na tematy polityczne. Robert był zawsze dobrze poinformowany, a ona szanowała jego poglądy, pod warunkiem że były jego własne, nie zaś narzucone mu przez jego młodego kochanka. Tak jak w wypadku sióstr Mitford.

- Nie przejmowałbym się tym - powiedział Robert, kiedy Amber wspomniała mu o Mitfordach. - Z tego, co słyszałem, nawet jej ukochany Fuhrer uważa Unity za głupią gęś. A Diana jest zobligowana, by popierać nazistów przez wzgląd na Toma Mosleya.

- Unity może być głupią gęsią, ale nazistom jest to na rękę. Mogą wykorzystywać jej oddanie Hitlerowi do celów propagandowych - ripostowała Amber. - Spójrz chociażby na jej przyjaźń z Goebbelsem. Żałuję, że tu przyjechaliśmy. Czuję się z tym niekomfortowo.

- Ale musisz przyznać, że ceremonia otwarcia igrzysk robiła wrażenie i została przygotowana perfekcyjnie - skomentował Robert, wiedząc doskonale o oporach, jakie Amber miała przed przyjazdem do Monachium.

- Z iście wojskową precyzją - skwitowała kwaśno. - Te wszystkie krzepkie, młode Aryjki...

Wciąż nie mogła pogodzić się z tym, że Robert celowo wykorzystał niewinny entuzjazm Luca, aby zaszantażować Amber emocjonalnie i skłonić ją do wyjazdu. Powiedział jej, że może zostać w domu, a oni pojedą do Niemiec we dwóch. Wiedział jednak doskonale, że Amber nigdy nie pójdzie na taki kompromis.

- Widzę, że ani miasto, ani Fuhrer, ani igrzyska nie są w stanie cię zadowolić - zażartował z Amber.

- Naprawdę spodziewałaś się, że może być inaczej? Wybacz, Robercie, ale nie mogę przestać myśleć, że pod tymi pozorami gościnności i serdeczności kryje się coś złowrogiego. Wystarczy pomyśleć o tym, w jaki sposób naziści traktują Żydów. Niektóre z komentarzy, które słyszałam wczoraj podczas kolacji z ust Herr Goeringa, były niewybaczalne i wstrętne. Gdybym mogła, opuściłabym salę. Słyszałam też, jak Unity przechwala się, że mieszka w apartamencie w Monachium, który wcześniej należał do żydowskiej rodziny.

- Zgadzasz się z tobą, ale nie możemy nic zrobić. I ostrzegam cię, Amber, żebyś nie podejmowała tego tematu w towarzystwie.

Robert nie musiał jej przed niczym ostrzegać. Oprócz poczucia dyskomfortu, jakiego Amber doświadczała w Monachium, odczuwała tutaj także niepokój, a nawet lekki strach. Miała nadzieję, że wkrótce stąd wyjadą mimo otaczającego ją ze wszystkich stron przepychu.

Nie było żadnych wątpliwości, że Niemcy starają się zaimponować światu. Wczoraj wieczorem gości zabawiała grupa baletowa, która tańczyła przed nimi w świetle księżycy, a potem odbyła *siçfâe champêtre*.

Dzisiaj brali udział w przyjęciu wydawanym przez państwo Goebbelsów, które miało się odbyć na wyspie na jeziorze Wann. Amber wiedziała, że znajdą się tam na pewno siostry Mitford. Czuła się wyjątkowo skrepowana perspektywą rozmowy z Dianą, którą z początku tak bardzo szanowała, a która teraz była jej całkiem obca.

- Będę szczęśliwa, kiedy już wrócimy do domu, Robercie. Luc narzekał, że źle się czuje, i naprawdę wołałabym nie iść na to przyjęcie.

- Jeśli Luc źle się czuje, to prawdopodobnie dlatego, że zjadł za dużo lodów. Na pewno mu się poprawi, gdy zajmie się nim Gladys. Wyglądałoby to co najmniej dziwnie, gdybyśmy nie poszli, tym bardziej że umówiliśmy się już przecież z Channonami i brytyjskim ambasadorem.

Amber westchnęła. Oczywiście miał rację. Jak zwykle liczyło się bywanie. Kiedy po raz pierwszy pokłócili się o to przyjęcie, Robert stwierdził, że ich obowiązkiem jest obserwować to, co dzieje się w Monachium, a reakcja Amber była przesadnie emocjonalna.

- Jutro żadnych lodów, kolego - ostrzegł Robert Luca, siląc się na surowy ton.

Poszli razem do jego sypialni, by się z nim pożegnać, zanim wyszli na kolację. Luc był jeszcze blady, ale Gladys, opiekunka, którą zabrali ze sobą z Katon Square, zapewniła ich, że Luc zjadł kolację.

Amber uściskała Luca podwójnie. We wrześniu zaczynał naukę w tej samej prywatnej szkole co Robert, który kazał już sprowadzić z Osterby swój stary kufer. Imię Luca zostało wygrawerowane na jego wieku tuż pod imieniem Roberta. Luc obserwował to, pokraśniały z dumy i podniecenia, które były porównywalne tylko emocjami Roberta. Amber nie potrafiła się pogodzić z faktem, że tak młody chłopiec idzie do szkoły. Jednak Robert przekonał ją, że to normalne i że Lucowi spodoba

się w szkole, tak jak niegdyś jemu. Luc też cieszył się na tę zmianę w swoim życiu, ale Amber wiedziała, że będzie za nim bardzo tęsknić. Bez niego jej życie będzie takie puste.

Chciała napisać do Jaya i podzielić się z nim tym wszystkim, co widziała i czego doświadczyła od przyjazdu do Niemiec. Ale nie potrafiła. Mimo iż nie wracali już do tego, co wydarzyło się między nimi tamtego dnia, ich listy się zmieniły. Były teraz zdawkowe, czuło się w nich niemal skrępowanie, jakby pisało do siebie dwoje zupełnie obcych ludzi, w dodatku dręczonych wyrzutami sumienia i zranionych. Może byłoby lepiej, gdyby nie pisali do siebie wcale, ale przynajmniej w ten sposób Amber mogła udawać, że wszystko jest tak jak dawniej, choć jednocześnie musiała przyznać, iż straciła najcenniejszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miała.

- Chodź, kochanie, w przeciwnym razie spóźnimy się.

- Jest dobrze, mamusiu. Czuję się już dużo lepiej - zapewnił ją solennie Luc.

Robert stał w otwartych drzwiach, niecierpliwie się i sposobnie do wyjścia. Amber niechętnie dołączyła do niego. Nie podobała jej się atmosfera panująca w Niemczech i tęskniła za domem, swoim sklepem, a przede wszystkim za Jayem - to jednak było zakazane pragnienie...

Aby dotrzeć na wyspę, na której odbywało się przyjęcie, goście musieli przejść na drugą stronę po moście pontonowym, rozświetlonym pochodniami trzymanymi przez nazistowskie dziewczęta, jak nazywano członkinie żeńskiego odpowiednika Hitlerjugend.

- To takie przerażające - powiedział Robert, w charakterystyczny sposób przeciągając samogłoski, do Chipsa Channona, z którym stali.

- Chodzi ci o te wzniesione ramiona?

- Nie, o obnażone zęby.

- Robert - sprzeciwiła się Amber, kiedy Henry Channon zachichotał - ktoś może cię usłyszeć.

- To prawda, mój drogi - zgodził się z nią Henry Channon. - Musisz bardziej uważać. Hitler ostro sprzeciwia się dżentelmenom o określonej orientacji seksualnej. Dlatego nasyła na nich tych złotych młodzieńców w skórzanych butach.

\*\*

Wieczór spełnił dokładnie wszystkie wcześniejsze obawy Amber.

Stracili Channonów z oczu gdzieś w tłumie i zostali sami z Ribbentropami, którzy przywitali się z nimi bardzo serdecznie. Byli dosłownie zauroczeni swoim Führerem i swoim krajem i oczekiwali, że wszyscy będą pod takim samym wrażeniem.

Amber miała już znaleźć jakiś dyskretny sposób, żeby się od nich uwolnić, gdy nagle podszedł do nich Joseph Goebbels z żoną, otoczony niewielką grupką groźnie wyglądających esesmanów.

Amber została już wcześniej uprzedzona o słabości Goebbelsa do kobiet. A ponieważ widziała bezczelność w jego oczach i manierę, z jaką się do niej zwracał, przysunęła się bliżej do jego żony Magdy

Słuchała właśnie, jak Magda opowiada o dzieciach, kiedy podniosła wzrok i ku swojemu przerażeniu zobaczyła tuż przed sobą Ottona, który ułał w odległości nie więcej niż półtora metra od niej.

Nie sposób pomylić go z nikim innym. I ta otaczająca go atmosfera urogancji - pomyślała gorzko. Stał w towarzystwie dwóch mężczyzn, lecz żaden nie prezentował się tak niewiarygodnie przystojnie jak on i obaj byli od niego dużo starsi. Amber poczuła, jak jej żołądek szaleje z niepokoju. Chciała za wszelką cenę odciągnąć Roberta jak najdalej, ale nie była w stanie przerwać monologu Magdy, która rozwodziła się nad licznymi zaletami swoich pociech.

Amber wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Roberta, by przekonać się, że on także dostrzegł Ottona. Stał się blady jak papier, nie licząc dwóch ognistych rumieńców na każdym policzku. Było już za późno na ucieczkę. Stanowczo za późno, zważywszy na to, że Joseph Goebbels przedstawiał im już nowo przybyłych gości.

- Księżę i ja mieliśmy już okazję się poznać - poinformował lekceważąco Otto, nie podając Robertowi ręki, po czym ostentacyjnie odwrócił się do niego plecami i kontynuował rozmowę z jednym z mężczyzn.

Był to tak oczywisty i celowy afront, że Amber nie wiedziała, jak ta sytuacja by się skończyła, gdyby nie zamieszanie wywołane nagłym pojawieniem się Unity i jej egzaltacja na temat wspaniałości niemieckich igrzysk.



Joseph Goebbels uśmiechnął się do niej znacząco, poklepując Unity po ramieniu, po czym przedstawił ją Ottonowi, który stuknął szarmancko obcasami i schylił głowę, całując Unity w wyciągniętą dłoń.

- Jak to dobrze poznać Brytyjkę pozbawioną piętna dekadencji, cha rakterystycznego dla tak wielu pani rodaków - powiedział Otto. - Mam nadzieję, że pozwoli się pani kiedyś zaprosić na kolację.

Wciąż trzymał ją za rękę, natomiast Robert zaciskał dłonie tak kurczo wo, że widać było zbiełałe kostki prześwitujące przez jego bladą skórę.

Kiedy Unity roześmiała się i podeszła krok bliżej w stronę Ottona, przez krótką, straszną chwilę Amber myślała, że Robert rozdzieli ich si łą. Wyglądał jak człowiek poddany torturom - oczy płonęły mu w twarzy skrytej za kamienną maską.

- Robercie, naprawdę chciałabym już wrócić do hotelu i zobaczyć, co z Lukiem. - Amber położyła mu rękę na ramieniu, wykorzystując ten pretekst, żeby oddalić się, nie wzbudzając sensacji. - Nasz syn nie czuje się najlepiej - wyjaśniła Magdzie.

- Oczywiście powinnaś być przy nim. Wiem, jak to jest, kiedy choruje któreś z moich dzieci. Zaraz zorganizuję ci samochód, żebyś mogła wrócić do Monachium.

- Dziękuję, to bardzo uprzejme z twojej strony.

Robert nie odezwał się od momentu, w którym zobaczył Ottona. Jego oczy były teraz puste. Nie, nie puste. Wyglądał raczej na człowieka, który otrzymał śmiertelny cios. A mimo to Amber wyczuwała jego niechęć do opuszczenia przyjęcia razem z nią.

Otto odchodził właśnie na bok. Robert odwrócił głowę i podążył za nim wzrokiem. Amber ścisnęła go mocniej za ramię, bojąc się, że Robert pójdzie za nim. Ale na szczęście pozwolił jej zaciągnąć się w kierunku pontonów.

Robert wciąż milczał, także po drodze do hotelu. Zatopił się w swoim bólu, który był tak namacalny, że Amber niemal czuła spowijający go lodowaty całun.

Przynajmniej Luc czuje się lepiej - pomyślała Amber, kładąc głowę na poduszce. Oddaliła pokojówkę i czytała przez pół godziny w łóżku, zanim

zgasila światło. Rzuciła jeszcze okiem na toaletkę i zobaczyła tam biżuterię, którą miała dać Marcie i poprosić ją, żeby przekazała ją Robertowi na przechowanie.

Nie przepadała za wielkimi rubinami i diamentami, które należały do babki Roberta, ale to były jego klejnoty rodowe. Amber wstała z łóżka, narzuciła peniuar z kremowej satyny i postanowiła, że sama zanieśli biżuterię Robertowi, aby już nie zawracać głowy służącej.

Kiedy nikt nie odpowiedział na pukanie do drzwi oddzielających ich sypialnie, Amber otworzyła je. Robert też wysłał swojego pokojowego Hulmea na spoczynek. W pokoju paliły się tylko lampki nocne i światło w otwartej łazience.

Nie chcąc przeszkadzać, Amber zawołała z wahaniem: - Robertcie, to ja. Zapomniałam powiedzieć Marcie, żeby oddała Hulme'owi rubiny, więc przyniosłam ci je sama. Zostawię je na komodzie.

Odłożyła szkatułkę z biżuterią i miała właśnie wyjść, kiedy z łazienki dobiegł ją jakiś odgłos. Jak gdyby coś metalowego upadło na marmurową posadzkę, po czym rozległ się głuchy łoskot, jakby o podłogę uderzyło coś dużo cięższego.

Nie zastanawiając się, pchnęła drzwi i wbiegła do łazienki. Na podłodze leżał Robert. Ze świeżej rany na nadgarstku jego wyprostowanej ręki sączyła się krew. Sączy się, nie tryska - zauważyła z ulgą Amber. Tym razem jej umysł był szybszy od emocji. Błyskawicznie poukładała sobie w głowie fakty i doszła do wniosku, od którego serce podeszło jej do gardła. Chwilę później trzymała w dłoni słuchawkę telefonu.

Nie minęło pół godziny, a Robert leżał już bezpiecznie w łóżku z zabandażowanym nadgarstkiem. Amber wezwała Hulme'a i razem wymyślili historyjkę o tym, że Robert uległ wypadkowi, kalecząc się odwróconą żyletką, kiedy sięgał po mydło w kąpieli. W szoku upadł na podłogę.

Lekarz, który na tyle dobrze mówił po angielsku, żeby poradzić sobie z tą sytuacją, nie zaś na tyle dobrze, by wypytywać Roberta o szczegóły, zdezynfekował i zabandażował ranę. Wyjaśnił Amber, że to tylko lekkie draśnięcie. Podobnie guz, który wyrósł na głowie Roberta od uderzenia o marmurową posadzkę, mógł się skończyć najwyżej okropnym bólem.

Amber odniosła wrażenie, że doktor pomyślał sobie, iż wypadek był spowodowany nieuwagą Roberta i wypitym przez niego wcześniej alkoholem. Nakazał jej mieć męża na oku i dzwonić, gdyby zaczął wymiotować albo wykazywać objawy utraty zmysłów.

Robert, który przez cały czas był przytomny przy tej rozmowie, obwieścił, że jest w pełni zmysłów i zamierza je zachować.

Czy Robert naprawdę zamierzał odebrać sobie życie? - martwiła się później Amber, siedząc na skraju jego łóżka, kiedy spał. Czuwali przy nim na zmianę z Hulme'em, pod pozorem obserwacji, czy nie wystąpił któryś z objawów, o jakich wspominał lekarz. Naprawdę jednak, choć żadne z nich nie przyznało tego otwarcie, oboje wiedzieli, co próbował zrobić Robert, i pilnowali go, by nie przyszło mu to do głowy ponownie.

Dla Amber był to kolejny dowód na to, jaką krzywdę jest w stanie wyrządzić człowiekowi miłość, jakiego spustoszenia dokonać i w jaką rozpacz wpędzić.

Popatrzyła na Roberta. Biedactwo. Ból, który go trawił, musiał być dla niego nie do zniesienia. Sięgnęła przez gładką narzutę, wzięła męża za rękę i z czułością przytrzymała ją w swojej dłoni. Dopilnuje, żeby Otto już nigdy nie znalazł się w pobliżu.

- Robertcie, uważam, że powinniśmy już wracać do domu. - W głosie Amber słychać było determinację, a także nutkę desperacji i strachu, kiedy trzymała jego bladą, wychudzoną dłoń w swojej.

Siedziała obok niego na sofie w niewielkim salonie ich hotelowego apartamentu w Monachium. Minęły już dwa dni, odkąd znalazła Roberta leżącego na podłodze w łazience. Na szczęście lekarz potwierdził, że nie ma już zagrożenia wstrząsu mózgu ani pogorszenia jego stanu zdrowia.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie ma takiej potrzeby Czuję się doskonale. Słyszałaś, co powiedział doktor - odparł cierpko Robert, wyjmując rękę z jej dłoni i odwracając wzrok.

Jego reakcja była dokładnie taka, jakiej Amber się obawiała. O ile było jej wiadomo, Otto nadal przebywał w Monachium. Nie było sensu wy-

dawania dyspozycji, żeby informować ją na bieżąco o jego ewentualnych próbach skontaktowania się z Robertem. Młody Niemiec zapadł się pod ziemię. Mimo to życzliwi i ciekawscy goście, których Amber przyjmowała, zdradzili jej, że informacja o „wypadku” Roberta rozeszła się lotem błyskawicy. Biedny Robert. Amber nie potrafiła zaakceptować faktu, że jej mąż targnął się na życie, ale rozumiała rozpacz, która go do tego popchnęła. Znała go teraz dużo lepiej niż zaraz po ślubie. Wtedy doceniała jego szczodrość i dobre serce, teraz poznała także jego wrażliwą dumę i upór.

- Właściwie powinniśmy to zrobić dla dobra Luca - odwołała się do wymówki, którą przygotowała wcześniej, oczekując teraz reakcji Roberta.

- Luca? Dlaczego? Po co Luc ma wracać do Anglii? - Jak zwykle miłość do syna dało się usłyszeć w jego głosie i wyczytać z jego twarzy.

- Nie je i nie śpi tak, jak powinien. I chociaż się do tego nie przyzna, tęskni za domem. Bardzo chciał przyjechać do Monachium i, tak jak mówiłeś, było to dla niego wspaniałe doświadczenie, które zapamięta do końca życia. Ale kiedy poprosiłam doktora, żeby rzucił na niego okiem, i wyjaśniłam mu, że we wrześniu Luc idzie do szkoły, powiedział, iż jego zdaniem Luc potrzebuje teraz spokoju i poczucia bezpieczeństwa, które będzie mieć tylko w domu.

- No cóż, skoro doktor tak twierdzi, to powinniśmy posłuchać jego rady - zgodził się Robert. - Ale chciałbym, żeby to było jasne: skracamy nasz pobyt tutaj wyłącznie przez wzgląd na Luca, a nie z żadnego innego powodu.

Amber wiedziała, że Robert ma na myśli siebie.

- Oczywiście - przytaknęła natychmiast.

Na zewnątrz starała się zachować spokój, ale w środku czuła ulgę. Bała się, że Robert się uprze i nie zgodzi na wyjazd. Wzięła głęboki uspokajający oddech i spytała:

- Czy mam porozmawiać z obsługą hotelową i poinstruować służących, czy...

Zanim zdążyła dokończyć, odparł cierpko:

- Tak, zajmij się tym. Mam już dosyć ludzi zadających nedorzeczne pytania o stan mojego zdrowia i wiszących nade mną, jakbym stał już nad grobem.

Amber wstała.

- Pójdę i od razu rozmówię się ze wszystkimi.

Nie chciała ryzykować, że Robert się rozmyśli i odmówi wyjazdu z Monachium w nadziei, że Otto jednak do niego zadzwoni.

- Cóż, moja droga, twój sklep bez wątpienia odniósł taki sukces, na jaki zasługiwał.

- Dzięki tobie, Cecilu - uśmiechnęła się Amber.

Od powrotu z Monachium minął już ponad miesiąc. Ku wielkiej uldze Amber Luc, za którym bardzo tęskniła, czuł się w szkole jak ryba w wodzie. Pisał do domu pełne zachwyty listy i w czasie regularnych wypadów do domu - na obiad albo na pół dnia - zarażał rodziców swoim entuzjazmem dotyczącym życia szkolnego. Będąc z natury bardzo otwartym dzieckiem, w szkole szybko znalazł towarzystwo, którego brakowało mu jako jedynakowi. Amber widziała, jak Robert pęcznieje z dumy, kiedy wychowawca w internacie doniósł im, że jego zdaniem Luc ma już zadatki na ucznia reprezentującego szkołę.

- To urodzony przywódca - powiedział. - Inni chłopcy widzą w nim lidera, a my chętnie promujemy takie postawy.

Amber i Cecil musieli rozmawiać podniesionym głosem, żeby usłyszeć się w gwarze gości, którzy przybyli na wczesnojesienne przyjęcie na piętrze sklepu przy Walton Street. Cecil wynalazł pewnego smukłego młodzieńca, którego zarekomendował Amber do codziennej pracy przy prowadzeniu sklepu.

- To arystokrata, moja droga. Nie ma pieniędzy, za to odpowiednią metrykę i jeszcze lepsze kontakty

Rzeczywiście, rzutki chłopak poinformował już Amber, że zostali zasypani prośbami od osób prywatnych o spotkanie w celu omówienia dekoracji wnętrz. Wydawca „Vogue'a” zaś zdradził, że w następnym wydaniu magazynu może się znaleźć artykuł o sklepie Amber.

Robert wpadł na chwilę. Wyglądał tak przystojnie, że Amber mocniej zabiło serce. Przez moment widziała w nim Roberta, którego poznała w National Gallery. Asystenci Cecila prześcigali się w umizgach do niego, ale ona wiedziała, że w sercu Roberta panuje jedynie czarna rozpacz.

Amber, muszę mieć coś z tych nowych projektów do Isleworth.

- James. - Amber uśmiechnęła się ciepło na widok Jamesa Leesa-Milnea, po czym spytała go z niecierpliwością w głosie: - I co o tym sądzisz? I Ida mi się odnieść sukces?

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - zapewnił ją. - Ale śmiem podejrzewać, że Gordon Selfridge będzie próbował ukraść ci zarówno tkaniny, jak i twojego menedżera.

- To się nazywa komplement. To Cecil znalazł dla mnie Percy ego.

- Zupełnie w jego stylu- uśmiechnął się James, po czym dodał z werwą: - Jak znajdziesz chwilkę, chcę z tobą o czymś porozmawiać.

- Och, to nie fair. Nie możesz powiedzieć mi teraz?

- Dobrze. Próbuję przekonać ludzi w Funduszu, że powinniśmy pomyśleć o renowacji kilku posiadłości. Tam, gdzie to będzie możliwe, chciałbym odtworzyć oryginalne materiały i mam zamiar powierzyć to zadanie Denby Mili.

- James!

- Nie ekscytuj się zbyt. Nie otrzymałem jeszcze zgody, a nawet jeśli ją dostanę, marża zysku nie będzie zbyt wysoka.

- Ale to dla nas wspaniała forma promocji.

- Właśnie. Dlatego będę oczekiwał znaczącego upustu.

- Wszystko zależy od wielkości zamówienia - odparła stanowczo Amber.

Cały czas zaskakiwało ją to, jak bardzo lubiła się targować. Podejrzewała, że babka nigdy czegoś takiego by nie zaakceptowała. Miała wprawdzie smykałkę do interesów, ale - o czym Amber doskonale wiedziała pogardzała wszystkim, co ma związek z handlem, w tym także targowaniem się o dobrą cenę.

Goście rozchodzili się już powoli do domów. Pracownicy firmy Kate-i Ingowej sprząтали ze stołów. W jutrzejszych gazetach na pewno znajdą się zdjęcia i newsy na temat lunchu oraz tego, kto się na nim zjawił.

Wszyscy, którzy wzięli udział w przyjęciu i którzy znali się na rzeczy, mówili Amber, że jej sklep na pewno odniesie sukces. Powinna więc być cała w skowronkach i wdzięczna za to, co ją spotyka. Dlaczego więc czuła się taka nieszczęśliwa?

# CZEŚĆ TRZECIA

## Rozdział 38

### **Boże Narodzenie 1936 roku**

Święta powoli dobiegały końca. Jutro ich goście - babka, Greg i malutka Kose - wyjadą z Osterby do Macclesfield. Boże Narodzenie. Jak to możliwe, że minęło bez Jaya? A jednak tak było i Amber w pewnym stopniu pogodziła się z tym. Tak jak z tym, że resztę życia spędzi bez niego i tego cudownego, skrywanego przed światem uczucia, którego trzymała się kurczowo w trudnych chwilach. Mimo iż Jay oddalił się od niej w sensie fizycznym, łączyła ich wyjątkowa więź, dzięki której byli blisko siebie w myślach, i Amber w razie potrzeby zawsze mogła zwrócić się do niego

o pomoc. Teraz nie mogła już sobie pozwolić na taki komfort psychiczny, choćby ze względu na poczucie honoru. Stwierdziła, że powinna cieszyć się tym, co miała, zamiast żałować tego, co ją ominęło.

Wiodła wspaniałe życie, którego wielu ludzi jej zazdrościło. Miała dobrego, bogatego i utytułowanego męża. Miała cudownego syna, który wrócił po pierwszym semestrze w nowej szkole, odkrywając przed Amber chwytający za serce obraz mężczyzny, którym kiedyś się stanie - niezłomnym, lojalnym, troszczącym się o innych, dumnym z tego, kim jest, bez cienia arogancji - a mimo to będącym nadal jej małym chłopcem, kiedy zostawali tylko we dwoje. Wtedy rzucał się jej w ramiona i mówił otwarcie, że chociaż uwielbia szkołę i za nic w życiu nie chciałby z niej zrezygnować, brakuje mu całusów mamusi na dobranoc, ale kiedy zamyka oczy i myśli o niej, czuje się tak, jakby była z nim.

Amber miała jednak świadomość, że gdy Luc dorośnie, będzie łamał kobietom serca, a żadna młoda kobieta, choćby nie wiadomo jak piękna i dobra, nie będzie jej zdaniem odpowiednia dla ukochanego syna.



Tak, miała szczęście. Nie tylko miała Roberta i Luca, piękny dom na prowincji i willę w jednej z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Londynu, ale także swój interes, który szedł tak dobrze, że już na początku listopada musiały zamknąć listę zamówień na Boże Narodzenie.

Wielką radość sprawiała jej także obecność Rose. Luc był zaintrygowany nową kuzynką i taki troskliwy.

Zachowywał się wobec niej jak starszy brat, aż Amber pękało serce z bólu, że nie może mu dać sióstr ani braci.

Na pozór jedynym cieniem, który kładł się na szczęściu rodziny, był Greg, którego coraz bardziej zmienne nastroje i brak samokontroli kończyły się wieloma gwałtownymi wybuchami; Amber musiała przyznać z żalem, że był to efekt jego uzależnienia od alkoholu i opium.

Zal było patrzeć, jak kuzyn się stacza. Od powrotu Grega Amber kilkakrotnie starała się go przekonać do zmiany postępowania, ale on konsekwentnie twierdził, że nie ma żadnego problemu. Za którymś razem wręcz zaprzeczył, że pije za dużo i narkotyzuje się opium.

- Na pewno coś da się dla niego zrobić - zwierzyła się Amber Robertowi.

Ale jej mąż pokręcił tylko głową i odparł:

- Widziałem już mężczyzn w takiej samej sytuacji jak Greg. Nie można im pomóc, dopóki oni sami nie wyrażą takiej woli. A Greg dał wyraźnie do zrozumienia, że nie potrzebuje pomocy.

Nie sposób było przekonać Grega do jakichkolwiek racji, kiedy pił. Amber podejrzewała, że wszyscy traktują go mniej surowo, niż powinni, ponieważ postawili już na nim krzyżyk.

Wymigała się od obowiązków towarzyskich i uciekła do oranżerii pod pozorem spotkania z ogrodnikiem, który przywiózł świeże kwiaty ze szklarni. Jednak kiedy lilie znalazły się już w wazonach, straciła pretekst do dalszego ociągania się. Poza tym uświadomiła sobie, że wkrótce służyła nakryje do obiadu, a ona jeszcze się nie przebrała. Jej babka, która była przewrażliwiona na punkcie formalności i etykiety, w tej chwili pewnie już szykowała się do obiadu z pomocą swojej pokojówki.

Blanche przywiozła ze sobą tiarę, którą podarował jej Robert. Amber uśmiechnęła się, kiedy przypominała sobie, jak jej mąż upierał się, że to prezent i że obrazi się, jeżeli Blanche go nie przyjmie.

Amber postawiła właśnie stopę na pierwszym stopniu schodów, gdy podniosła wzrok, zaalarmowana dźwiękiem biegnących stóp na podeście powyżej. Zza rzeźbionej balustrady wynurzyła się ciemna czupryna Luca, który pędził w dół na złamanie karku, krzycząc:

Mamusiu, chodź szybko! Chodzi o wujka Grega.

Wbiegła po schodach. Ogarnął ją jeszcze większy niepokój, kiedy Luc złapał ją za rękę, szukając u niej schronienia.

- Luc, gdzie jest wujek Greg? - spytała, starając się zachować spokój. Co się stało?

- Jest w swojej sypialni. Przechodziłem obok, a że drzwi były otwarte, zajrzałem do środka i patrzyłem tylko, nic więcej. Nie chciałem zrobić nic złego. Ale wujek Greg zobaczył mnie. Krzyknął na mnie, a potem zerwał się i podbiegł do drzwi, ale po drodze przewrócił się, skaleczył się w głowę i .. - Lucowi zaczął się łamać głos i chłopiec ścisnął mocno matkę za rękę.

Bez względu na to, w jakim stanie znajdował się Greg, Amber wiedziała, że nie chce, aby Luc martwił się jeszcze bardziej. Ale Luc szybko się uczył i łatwo było zranić jego dumę. Robert zawczasu wytłumaczył mu, że zawsze powinien stawać w obronie kobiet. Amber wiedziała, że Luc będzie chciał z nią zostać, tym bardziej że Robert był w podróży. Zanim wyjechał z domu, zdążył jeszcze powiedzieć Lucowi, że pod nieobecność ojca to on jest „panem domu”.

Pokój Grega znajdował się na samym końcu korytarza - sam sobie go wybrał, gdyż, jak twierdził, cierpiał na bezsenność i nie chciał nikomu zakłócać spokoju, gdy obudzi się w środku nocy i zacznie spacerować po swojej sypialni, by spalić nieco niepotrzebnej energii.

Luc, możesz coś dla mnie zrobić? Zejdź na dół i poproś kogoś, by przysłał służącego wujka Grega do jego pokoju. I tym razem bez biegania, proszę. Nie chcę, żebyś sobie coś zrobił na tych schodach.

Nie bój się, mamusiu. Potrafię biegać szybko, nie ślizgając się na schodach - odparł Luc, puszczejąc jej rękę.

Kiedy Amber odwróciła się, odprowadzając Luca wzrokiem, zdała sobie sprawę, jak zimna jest jej dłoń bez jego ciepłego uścisku i jak samotna i żuje się bez niego. Ale wiedziała też, że nie chce ryzykować, aby Luc zobaczył swojego wujka w takim opłakanym stanie, jak się spodziewała.

Otworzyła drzwi, które Luc musiał zamknąć, kiedy pobiegł po pomoc. Greg stał na nogach, zataczając się i mamrocząc coś pod nosem. Pokój był pogrążony w półmroku. Gospodyni już wcześniej skarżyła się, że służąca nie są w stanie dokładnie wysprzątać tej sypialni, ponieważ Greg nie pozwala odsłaniać zasłon. Zapach ginu mieszał się ze słodkim odorem opium.

Na łóżku leżała taca z przygotowanymi akcesoriami do - jak podejrzewała Amber - zaspokajania narkotycznego nałogu. Czy Luc też ją widział? Miała nadzieję, że nie. Na samą myśl, że jej syn mógł być świadkiem odrażającego zachowania jej kuzyna, Amber zjeżyły się włosy na głowie.

- A, to ty, prawda? Zobacz, co narobił ten twój bachor - warknął Greg, zdejmując zakrwawioną chusteczkę, którą przyciskał do czoła, i pokazując Amber niewielkie rozcięcie. - Powinnaś nauczyć go kilku dobrych manier. Na przykład tego, że nie wchodzi się do pokoju mężczyzny bez pukania.

Amber czuła, jak wzbiera w niej gniew. Ale nie zamierzała się spierać z Gregiem ani wyładowywać na nim swojej złości. Wiedziała, że jest pozbawiony resztek zdrowego rozsądku i dawnej serdecznej natury. Zamiast gniewu czuła smutek. Myślała, że to jej kuzyn, którego kiedyś tak kochała i podziwiała, rozdzierała jej serce. Kuzyn, który był dla niej dobry niemal jak starszy brat. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy przypomniła sobie, ile razy Greg stawał po jej stronie, broniąc jej przed gniewem babki, która boczyła się o jakieś nieistotne drobiazgi. Czy nie powinna teraz odwdziaczyć mu się za tę dobroć? Problem polegał na tym, że w wypadku Grega nie były to niewinne grzeszki. A mężczyzna, którego miała przed sobą, w niczym nie przypominał jej Grega, przy którym dorastała i którego kochała. Najstraszniejsze było to, że został zniszczony przez własną słabość, a jego miejsce zajął ktoś zupełnie obcy.

- Przestań tak na mnie patrzeć - powiedział. - To nie moja wina. Nic nie jest moją winą. Ty nie masz takich problemów. Nie masz pojęcia, jak to jest leżeć w nocy i czuć, jak przeszywa cię dreszcz, jak gdyby wędrowały po tobie setki mrówek, które wgrzają się w ciało i pożerają cię żywcem -twoje ciało i mózg. Słyszę, jak przeżuwiają mnie po kawałku. Dlatego muszę pić, bo to je zabija. Muszę to robić.

Greg pocił się i drżał jednocześnie, drapał się po rękach i chodził nerwowo po pokoju.

Amber żałowała, że Robert wyjechał. Nie miała pojęcia, jak sobie poradzić z taką sytuacją. Gdzie jest służący Grega? Proszę, Boże, nie pozwól, żeby Luc wrócił i zobaczył Grega. Jay wiedziałby, co zrobić i jak go uspokoić. Jay - tak bardzo za nim tęskniła, ale nie wolno jej było o nim myśleć. Ani teraz, ani nigdy.

Muszę się napić, do jasnej cholery! - Greg praktycznie już krzyczał.

Ktoś otworzył drzwi do sypialni. To na pewno służący Grega. Amber odwróciła się z ulgą i zamarła. W drzwiach stała Blanche.

- Co tu się dzieje? Usłyszałam jakieś hałasy z drugiego końca korytarza.

- Wszystko w porządku, babciu. Greg i ja tylko rozmawiamy. Amber nie była pewna, kogo starała się chronić, Grega czy babkę. A może oboje.

Blanche przeniosła wzrok z zaniepokojonej i spiętej twarzy Amber na swojego wnuka. Czy Amber naprawdę miała ją za tak beznadziejnie głupią, że chciała oszczędzić jej prawdy w nadziei, że nie połąpie się w tym, co się dzieje z Gregiem? Jeśli tak, to głupia była Amber, nie ona.

- To jej przeklęty syn doprowadził mnie do takiego stanu - żalił się Greg, pokazując zakrwawioną chusteczkę - wpadając tutaj.

Blanche spojrzała na Amber surowym wzrokiem.

- Luc to widział? - spytała.

Amber wiedziała doskonale, co babka ma na myśli, mówiąc „to”.

- Nie wydaje mi się. Mam nadzieję, że nie - przyznała. - Powiedział tylko, że Greg się przewrócił. Wysłałam go po służącego Grega.

Blanche popatrzyła znów na wnuka. Jego widok napawał ją obrzydzeniem i goryczą. Jak mógł być takim głupcem? Jak mógł tak zmarnować swoją szansę? Jak mógł okazać się słabeuszem, w dodatku tak pospolitym, lukiwy wykutym z ordynarnego metalu, mimo iż ona pragnęła, by mienił się blaskiem tego samego złotego kruszcu, co jego ojciec? Zjawił się pokojowy Grega, na szczęście bez Luca.

- Jestem przekonana, że Robert będzie miał coś do powiedzenia na temat twojego niedbalstwa i niedopilnowania, by Luc nie miał styczności z Gregiem i jego obrzydliwym samoupodleniem - powiedziała Blanche lodowatym tonem, kiedy ona i Amber wyszły z pokoju Grega.

- Greg przysiągł, że nie dotykał... niczego, kiedy Luc tam był.

- A ty mu uwierzyłaś? - W głosie Blanche zabrzmiała pogarda.

W jakiś irracjonalny sposób Amber poczuła się zobowiązana, żeby stać w obronie swojego kuzyna.

- On nie ma na to wpływu, babciu. Nie jest w stanie kontrolować swoich popędów.

- To zdemoralizowany słabeusz, niegodny nosić nazwisko swojego ojca. Gdybym wiedziała, co się z nim stanie... -

Blanche ugryzła się w język - To o nas bez przerwy mówi się, że jesteśmy słabszą płcią, Amber. Ale w rzeczywistości jesteśmy silniejsze od mężczyzn. Bo nie mamy wyboru.

Blanche nie miała w zwyczaju rozmawiać z wnuczką tak bezpośrednio ani traktować jej, jakby były sobie równe i potrafiły się zrozumieć. Amber była więc zaskoczona i nie wiedziała, co powiedzieć. Czy był to przejaw wrażliwości babki, czy też wyraz jej uznania dla wnuczki, która z wiekiem stawała się coraz dojrzała?

- Nie mamy wyboru, ponieważ to na nas spoczywa ciężar pogodzenia się z faktem, że dziecko, które wydałyśmy na świat i w którym pokładałyśmy tyle nadziei, rozczarowuje nas.

- Luc jest dla mnie wszystkim i w niczym mnie nie rozczarował - Amber natychmiast stanęła w obronie syna.

- Wystrzegaj się nieposkromionej pychy, Amber. To właśnie za nią przychodzi nam zapłacić największą cenę.

## Rozdział 39

### **Wiosna 1937 roku**

Na pewno nie chcesz, żebyśmy ja i tata poszli razem z tobą? - spytała I .uca.

Ferie wielkanocne dobiegły końca. Amber i Luc stali w holu domu przy Eaton Square. Robert zaś doglądał służących, którzy kończyli pakować rzeczy syna do samochodu czekającego przed domem.

- Wolałbym nie, mamusiu - wyjaśnił Luc miłym, lecz bardzo męskim głosem. - Na wypadek gdybyś zaczęła się mazać.

Amber była rozdarta między łzami a smutnym uśmiechem. Luc uwielbiał szkołę i spędzał długie godziny z Robertem na rozmowach o chłopakach o dziwnie brzmiących nazwiskach i na wymienianiu się uwagami na temat nauczycieli, których Robert uważał za wiekowych już wtedy, gdy mim chodził do szkoły, a którzy teraz uczyli jego syna.

Wyglądało na to, że Robert powoli zapominał o mrocznych dniach, klóre nastąpiły po powrocie z Berlina. Punktem zwrotnym był szok towarzyszący abdykacji Edwarda w grudniu, kiedy król ogłosił, że rezygnuje z tronu, by być nadal z Wallis. Tak przynajmniej zdawało się Amber, która z ulgą doszła do wniosku, że podczas świąt Bożego Narodzenia Robert był już praktycznie sobą.

Z tygodnia na tydzień interesy w sklepie szły coraz lepiej, przewyższając najbardziej optymistyczne szacunki. Zatrudniono drugiego młodego mężczyznę, Brett, który pełnił obowiązki zastępcy kierownika. Trzy razy w tygodniu Amber przyjmowała prywatnych klientów w biurze na piętrze lub - jeśli był to ktoś wyjątkowo wysoko postawiony - składała im wizytę w ich domach w Londynie.

Dekoratorzy, stolarze i inni rzemieślnicy, ubrani w gustowne kombinc zony w barwach sklepu - szarozielone z wyhaftowanym z przodu na **biało** słowem „Jedwab” i numerem telefonu - uwijali się jak w ukropie, przy **go** towując pomieszczenia w domach klientów na przybycie tkanin dekom cyjnych, szytych przez grupę zaufanych szwaczek. Amber usłyszała dobiegający z dołu głos Roberta, który obwieścił, że czas już się zbierać. W zaciszu salonu Luc przytulił Amber równie mocno jak ona jego, choć wiedziała, że gdyby zrobiła to samo w miejscu publicznym, jej syn zalałby się rumieńcem ze wstydu. Była taka dumna z jego co raz większej dojrzałości i zaczynała już w nim dostrzegać mężczyznę. Jednocześnie brakowało jej dawnego małego chłopczyka - jej dziecka. Gdyby pewne sprawy potoczyły się inaczej, z radością wzięłaby pod swoją opiekę maleńką Rose. Ale ponieważ sklep pochłaniał jej dużo czasu, uważała, że byłoby to nie w porządku zabierać maleństwo do obcego domu.

Rose rosła teraz jak na drożdżach, lecz za każdym razem, kiedy Amber chciała jej kupić ubranka i prosiła Jaya, żeby przysłał jej aktualne wymiary dziewczynki, uświadamiała sobie, jak malutka jest córka Grega. Malutka, ale już w dużo lepszej kondycji. Doktor Brookes uważał nawet, że jej nóżki nie będą takie słabe, jak z początku myślał. Dzięki Bogu!

W holu na dole cała służba zebrała się, żeby pożegnać panicza Luca. Amber i Robert nie mogli się powstrzymać od pełnych dumy rodzicielskich uśmiechów, widząc dojrzałość, z jaką ich syn ścisnął rękę służącemu.

- Mamo, ani się obejrzysz, a przyjadę do domu na wakacje - uspokoił Amber, wsiadając do samochodu, po czym z entuzjazmem zwrócił się do Roberta: - Tato, nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę jacht.

Kilka miesięcy wcześniej Robert kupił jacht o nazwie „Seabreeze”, który zacumował na południu Francji. Ustalili, że najbliższe wakacje spędzą na jego pokładzie.

- Przepraszam babcię, że tym razem nie mogłem ci towarzyszyć, dobrze? - Robert poprosił Amber, całując ją przelotnie w policzek, a potem włożył rękawiczki i skierował się w stronę samochodu.

Parę dni temu Blanche przysłała list, w którym prosiła, żeby Amber przyjechała do Macclesfield, ponieważ chciała z nią przedyskutować oso-

biscie pewną ważną sprawę. Robert umówił się już z przyjaciółmi, że kiedy odwiezie Luca do szkoły, wyruszy na południe Francji, aby przetestować jacht. Amber musiała więc wybrać się do domu sama. Wiedziała, że babka będzie rozczarowana. Blanche wciąż lubiła się przechwalać Robertem i zazwyczaj organizowała przynajmniej jedno duże przyjęcie za każdym razem, gdy odwiedzał Denham.

O czym Blanche chciała z nią porozmawiać? Czy Cassandra w końcu wygadała się o jej pocałunku z Jayem? Jeżeli tak, Amber była gotowa wziąć całą winę i karę na siebie, oczyszczając Jaya z ewentualnych zarzutów. A jeśli Blanche postanowi jednak ukarać Jaya i zwolni go z pracy? Na mimą myśl o tym Amber zrobiło się niedobrze i modliła się w duchu, żeby to nie był powód, dla którego babka wezwała ją do Macclesfield.

W końcu Amber uznała, że nie może się martwić na zapas tym, co powie Blanche. Jay na pewno by ją uprzedził, gdyby babka się dowiedziała, co między nimi zaszło. A może nie? Nie, muszę się skupić na czymś innym -pomyślała Amber. Nie miała wprawdzie ochoty na spotkanie z babką, ale stęskniła się za małą Rose, której nie widziała od Bożego Narodzenia.

Na szczęście zachowanie Grega nie wpłynęło w żaden sposób na Luca. chociaż - tak jak ostrzegła ją Blanche - Robert był zły, kiedy Amber opowiedziała mu, co się stało, i zagroził, że nie pozwoli Gregowi na kolejną wizytę w jego domu.

Oczywiście Amber wiedziała, że tym razem Jay nie będzie na nią czekał na stacji w Macclesfield. Nie spodziewała się jednak swojego rozczarowania i przygnębienia, kiedy go tam nie zastała. To uczucie było jak ciemne chmury które tak często przetaczały się nad Macclesfield, schodząc z okolicznych wzgórz Buxton i Derbyshire, sprawiając, że wilgotne powietrze w miasteczku nadawało się idealnie do produkcji jedwabiu. Deszczowe chmury z Derbyshire mogły być przydatne w jej pracy, ale szare obłoki, które przesłoniły jej duszę, bez wątpienia nie mogły przynieść żadnego pożytku. Babcia wysłała po nią swój samochód z szoferem i chociaż Amber starała się uśmiechać i zabawiać szofera rozmową w drodze do domu, cały czas wracała myślami do chwil, kiedy w takich momentach siedziała obok Jaya.



Kiedy mijali główną bramę Dower House, chciała odwrócić wzrok, ale jej uwagę przykuł widok zaparkowanego samochodu Jaya.

Czy był w domu? Czy zobaczył samochód i domyślił się, że Amber jest w środku? A może zostawił swój wóz na podjeździe, bo nie był mu dzisiaj potrzebny? Jego praca wymagała częstego bywania w terenie i Amber wiedziała, że Jay, gdy tylko miał czas, lubił chadzać różnymi ścieżkami, odwiedzając rolników dzierżawiących ziemię od Blanche. Dzięki temu, jak kiedyś powiedział Amber, mógł „przyglądać się ziemi i upewniać się, że jest w dobrym stanie”.

Robert często podkreślał, że jej babcia ma wielkie szczęście, bo za trudnią tak oddanego pracownika jak Jay James Lees-Milne, który dzięki swoim kontaktom w Narodowym Funduszu na rzecz Renowacji Za bytków znał wiele posiadłości, powiedział Amber, że rzadko widuje się majątki tak dobrze i z troską zarządzane, jak Denham.

Słuchając tych pochwał, Amber czuła się dumna, także w imieniu Jaya.

Kiedy Harris parkował dostojnego bentleya przed domem, błyskawicznie nie wyprzedził ich inny samochód, sportowy, w kolorze zielonym, wzbijając w powietrze tumany kurzu i żwiru.

- Harrisie, czy mój kuzyn ma nowe auto? - zapytała Amber.

Greg przez całe święta skarżył się, że babcia nie chce mu kupić samochodu i Amber podejrzewała, iż Blanche w końcu ustąpiła.

- Nie, to pan Stanley odwozi pana Grega - poinformował ją szofer smętnym tonem.

Pan Stanley? Harris pewnie myślał o Geoffie Stanleyu, przyjacielu Grega, który razem ze swoim kuzynem miał udziały w miejscowym popularnym klubie piłkarskim. Amber patrzyła, jak otwierają się drzwi wyścigówki, a ze środka wysiada jej kuzyn i jego kumpel.

Jaskrawe wiosenne światło było bezlitosne dla Grega, odkrywając spułosnienie, jakie dokonało się na jego ciele i nigdy przystojnej twarzy na skutek takiego, a nie innego trybu życia. Geoff Stanley, który był rówieśnikiem Grega, wyglądał przynajmniej o dziesięć lat młodziej. Żaden z nich nie zauważył bentleya, pewnie dlatego, że toczyli zaciekły spór. Amber przyglądała im się z niepokojem. Geoff Stanley zawołał coś do Grega, który puścił to mimo uszu i odszedł, nie odwracając się. Pewnie Geoff

chciał go zatrzymać, a kiedy Greg nie zareagował, wściekle walnął pięścią w dach swojego samochodu, po czym wsiadł do środka i odjechał. Greg zniknął za węglem domu, kierując się w stronę stajni.

Dziękuję, Harrisie - powiedziała Amber, kiedy szofer otworzył jej drzwi. - Proszę przekazać pani Harris, że mam nadzieję, iż reumatyzm wkrótce przestanie jej przeszkadzać.

Dziękuję, wasza książęca mość. Teraz czuje się lepiej, ale narzekała na to przez całą zimę, aż mnie bolało prawie tak samo jak ją.

W domu panował świeży wiosenny zapach, który Amber pamiętała z dzieciństwa. Okna lśniły czystością, tak samo jak odkurzone obrazy i wypolerowane posadzki, świadcząc o tym, w jaki sposób Blanche dba o swoje włości.

Pani Clements czekała na Amber, obrzucając gniewnym spojrzeniem zdenerwowaną nową i bardzo młodą pokojówkę, która rumieniła się i chichotała, kiedy przedstawiała ją Amber.

- Przypuszczam, że babcia jest teraz zajęta - uśmiechnęła się Amber. Nie będę jej przeszkadzać. Pójdę prosto do pokoju dziecięcego zobaczyć

»ię z córką kuzyna.

- Pani Pickford powiedziała, że chce się z panią zobaczyć niezwłocznie, jak tylko pani się odświeży po podróży, wasza książęca mość - poinformowała pani Clements.

- Dobrze, w takim razie pójdę do siebie, żeby zdjąć wierzchnie ubranie.

Zdjęcie płaszcza i kapelusza, a potem przebranie się w popołudniową suknię jednego z ulubionych projektantów księżnej Windsoru, Mainbochera, nie zajęło Amber dużo czasu. To Cecil namówił ją, by wypróbowała lego projektanta, twierdząc, że jego ubrania są skrojone idealnie dla niej.

Suknia uszyta ze szmaragdowozielonego jedwabiu była bardzo elegancka i wydawała się nieco zbyt wytworna jak na wiejskie otoczenie, ale Amber wiedziała, że babcia to doceni. Uśmiechnęła się smutno pod nosem, przypinając do uszu duże, kwadratowe, szmaragdowe kolczyki, które niedawno dostała od Roberta. To śmieszne, że będąc już dojrzałą, zamężną kobietą, wciąż czuła się jak dziewczynka, bojąc się tego, jak babka zareaguje na jej strój.

Spojrzała na drzwi. Chciała iść na górę, do pokoju dziecięcego, ale babcia już wiedziała, że Amber jest w domu. To był prawdziwy cud, ale Blanche opierała się czasowi i kolejnym mijającym latom. Amber zdawała sobie z tego sprawę, chociaż w *Portrecie Donami Graya* Oscar Wilde miał inne, dość makabryczne, wytłumaczenie, dlaczego ktoś się nie starzeje. Ale w wypadku Blanche nie wchodziła w rachubę możliwość, żeby była na tyle słaba i próżna, aby oddała choć część siebie we władanie komuś innemu.

Siedziała w ulubionym fotelu. Jej plecy były wyprostowane jak struna, włosy gęste i doskonale ułożone, a spojrzenie przenikliwe i baczne jak zawsze.

Kiedy Amber nachyliła się, żeby ucałować ją w policzek, babka powie działo sucho:

- Twój nowy zapach, tak jak i nowa suknia, mają więcej stylu niż treści. Obie te rzeczy z pewnością robią furorę w tak zwanych ekskluzywnych londyńskich klubach koktajlowych. Ale mam wrażenie, że nie mają wystarczającej siły, aby zagrześć tam miejsce na dłużej. Kiedy kobieta wybiera nowe perfumy, powinna zadać sobie pytanie, czy chce, żeby była kojarzona z tym zapachem.

Amber uniosła brwi, zaskoczona naganą babci.

- Te perfumy to prezent Świąteczny od Roberta. Zamówił je specjalnie dla mnie. A suknia jest od Mainbochera.

Amber zamilkła na chwilę, czekając, aż babcia chrząknie pod nosem z satysfakcją, po czym powiedziała:

- Mainbocher jest teraz bardzo modny. Nowa królowa mówi, że to jej ulubiony projektant.

- Nowa królowa<sup>1</sup> robi dobre wrażenie w odróżnieniu od tej żalostnej amerykańskiej rozwódki. Ale z tego, co czytałam, rządzi swoim mężem tak samo jak Simpson Edwardem.

Babcia była w drażliwym nastroju, gotowa sprzeciwić się każdej opinii.

---

<sup>1</sup>Elizabeth Bowes-Lyon, żona króla Jerzego VI, matka królowej Elżbiety II (przyp. red.).

Robert przeprasza, że nie mógł przyjechać. Zgodnie z przewidywaniami Amber jej babka natychmiast rozchmurzyła się. Każde napomknięcie o Robercie sprawiało, że łagodniała. Chociaż niż Amber miała świadomość, że nie powinna go wykorzystywać, żeby udobruchać Blanche. Najwyższy czas, by stanęła na własnych nogach.

Widziałaś się już z Gregiem? - spytała babcia.

Tak, chociaż nie rozmawialiśmy. Widziałam, jak przyjechał.

Pewnie po to, żeby się napić. - Głos Blanche był jak lodowaty szpikulce - To z jego powodu cię tu wezwałam, Amber.

- Babcia zrobiła krótką przerwę, po czym kontynuowała: - Zawsze chciałam zostawić większość mojego majątku w spadku Gregowi. Ty dobrze wyszłaś za męża, a on jest jedynym spadkobiercą rodziny w linii męskiej. Ale w świetle jego ostatnich zachowań zmieniłam zdanie i przepisałam wszystko na ciebie. Dom i fabrykę razem z resztą majątku, który mi został. Oczywiście pod pewnymi warunkami, co dotyczy także twojego stosunku do kuzyna. Amber zaniemówiła z wrażenia. Zupełnie się tego nie spodziewała.

- Babciu, nie możesz tego zrobić - zaprotestowała, gdy tylko odzyskała mowę. - Zawsze mówiłaś, że Greg odziedziczy cały majątek. Wszyscy o tym wiedzą.

- A ja wiem, że Greg wszystko by przepił i przehulał albo rozdał majątek swoim nic niewartym znajomym, zanim zdążyłabym zgnieć w ziemi. Jako spadkobierczyni majątku mojego ojca i wuja mam obowiązek zatroszczyć się o niego. A to oznacza również, że przekażę go w ręce kogoś, do kogo mam zaufanie i kto zrobi to samo. Zawsze wydawało mi się, że mężczyźni lepiej radzą sobie z pieniędzmi niż kobiety. Ale w wypadku twojego kuzyna mam pewność, że mój majątek zostałby roztrwoniony. A na to nie mogę pozwolić. Potrafisz sobie wyobrazić, i o stałoby się z tym domem i całą posiadłością, gdyby jej właścicielem został Greg?

To jego prawo przysługujące z urodzenia - odparła Amber. - Greg w to wierzy i ty sama go w tym przekonaniu utwierdzałaś.

- Gdyby mnie posłuchał, to prawo nadal by mu przysługiwało.

Nie mogę przyjąć tego, co należy się jemu - odparła zdecydowanie Amber.

- Czyli z radością będziesz obserwować, jak Greg zamknie fabrykę. Bo przecież to właśnie zrobi.
- W innych okolicznościach Amber rozbawiłyby te słowa, zważywszy na to, że Blanche nie zależało na fabryce i pogardzała nią. A teraz posłużyła się nią jako argumentem dla swoich racji.
- Jeżeli Greg postanowi pozbyć się fabryki, jestem pewna, że Robert z radością ją od niego odkupi.
- A co z posiadłością? Ją też spiszysz na straty i pozwolisz, żeby Jay stracił pracę? Przyznasz, że to kiepska zapłata za jego lojalność i ciężką pracę, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Jay musi się borykać z obłąkaną żoną.
- Amber poczuła, jak jej serce zatrzymuje się na chwilę. Babcia nie wiedziała o tym, co się stało, prawda? Nie, to niemożliwe. To tylko wyrzuty sumienia igrają z jej wyobraźnią.
- Babciu, a czy rozmawiałaś o tym w ogóle z Gregiem? - spytała Amber. - Być może gdybyś podzieliła się z nim swoją troską.
- Twój kuzyn miał mnóstwo czasu na to, żeby wyrazić skruchę i okazać żal za to, co zrobił. Ale jego bardziej interesuje zapijanie się na śmierć niż bycie wnukiem, jakiego pragnęłam, i synem, który byłby prawdziwym dziedzicem swojego ojca. Miałam nadzieję, że będzie miał chociaż część jego siły, ale widzę jedynie słabość i zepsucie. Zachowanie Grega pod czas świąt potwierdziło wszystko, czego się obawiałam. Nawet gdyby jakimś cudem nie zrujnował wszystkiego, co stworzyłam, kto zaświadczy, że Greg nie przyczyni się więcej do narodzin kolejnych niechcianych bękartów? Szkoda, że Bóg nie wysłuchał moich prośb i pozwolił jej przeżyć.
- Babciu! - zaprotestowała głośno Amber. - Jak możesz tak mówić!
- Na Boga, Amber! Choć raz przestań chodzić z głową w chmurach i spójrz na świat taki, jaki jest. Która szanująca się kobieta z dobrego powodu wyjdzie za Grega i urodzi mu synów, poznawszy się na nim i wiedząc o tym dziecku, które śpi na gorze?
- Przecież to ty ukarałaś Grega, wysyłając go do Hongkongu - przypomniała Amber.
- Ty i on możecie to uważać za karę. Ale ja widziałam w tym szansę dla Grega, żeby odkupił swoje winy i stał się tym, kim tak bardzo chciałam, żeby był.

Mam nadzieję, że jednak zmienisz zdanie - powiedziała Amber. Twoja nadzieja jest próżna, bo zapewniam cię, że tak się nie stanie. \uljęłam już decyzję. Poza tym jest już za późno. W ubiegłym tygodniu pan Brocklehurst spisał nowo mój testament, który nabrał już mocy piawnej. Ty, a po tobie Luc, odziedziczysz cały mój majątek.

Kiedy Blanche odwróciła się na chwilę, uwagę Amber przykuł wielki album ze zdjęciami leżący na małym stoliku przy fotelu babci.

Gdy Amber była dzieckiem, błagała, żeby pokazać jej fotografie, zwłaszcza te, na których była jej matka. Ale Blanche zawsze z dumą prezentowała jej zdjęcia swojego syna w wystudiowanej i sztucznej pozie albo grupowe fotografie rodzinne. Amber przypomniła sobie, jak była wtedy zła - przez wzgląd na pamięć swojej matki - i jako mała dziewczynka nie miała ochoty oglądać Marcusa, którego babcia zawsze faworyzowała w przeciwieństwie do jej ukochanej matki. Ta zadra w sercu pozostała jej do dzisiaj, zwłaszcza kiedy babcia wyrażała swoje krytyczne opinie o rozpuszczonych dzieciach i skuteczności diety składającej się z chleba i wody oraz samotnego przebywania niegrzecznych dzieci w zimnej sypialni.

Teraz na ustach Amber zagościł nikły uśmieszek. Jej matka nigdy nie pozwoliła, żeby Blanche wprowadziła swoje groźby w życie, i nie reagowała na faworyzowanie zmarłego brata, przyjmując wszystkie złościwości z promiennym, stoickim spokojem.

- Ona nic na to nie poradzi - odpowiedziała kiedyś matka, kiedy Amber spytała ją, dlaczego babcia tak się zachowuje.

- Był dla niej tak cenny, przez to, kim był, że jego strata była dla niej potężnym i okrutnym ciosem. Kiedy dorośniesz i sama będziesz mieć dzieci, zrozumiesz to.

Amber ukradkiem otarła łzy. Jej rodzice tak bardzo kochaliby Luca. Blanche zorientowała się, że Amber patrzy na album, wzięła go i otworzyła na swoich kolanach.

- Pamiętasz go?

- Oczywiście. Gdy byłam mała, fascynowały mnie zdjęcia mojej matki z dzieciństwa. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie ma tu żadnych fotografii mojego ojca.

- Twoja matka miała bardzo pospolity wygląd. Byłam okropnie rozczarowana, kiedy zobaczyłam, że nie będzie podobna do mnie ani do jej...

Amber podniosła wzrok. Blanche zawahała się przez moment, po czym dokończyła:

- .. .brata. Ojciec Grega był ślicznym dzieckiem.

Babcia przewróciła kilka stron w albumie i pokazała Amber fotografię, na której była ona, jeszcze jako młoda dziewczyna, z niewątpliwie pięknym dzieckiem na ręku.

- To Marcus, a to twoja matka.

Kiedy Blanche przewróciła stronę, uwagę Amber przykuło zdjęcie babci trzymającej za rękę dziewczynkę z lokami.

- O tutaj. Czyż nie jest piękna? - powiedziała.

- To nie jest twoja matka - odparła Blanche, przewracając kartę.

- A kto w takim razie? - spytała z ciekawością Amber.

- Nie mam pojęcia. Pewnie jakaś daleka krewna, która akurat była u nas z wizytą. Proszę, oto twoja matka.

Gdy Amber patrzyła na zdjęcie matki, poczuła nagły przypływ anoci, które chwyciły ją za gardło.

- Nie była wcale pospolita. Była cudowna pod każdym względem. Tak mówił tata.

W tym momencie rozległ się dzwonek sygnalizujący konieczność przebrania się przed kolacją. Babcia zamknęła album, dając do zrozumienia, że uznaje rozmowę za skończoną.

- A więc ta stara wiedźma zmieniła swój testament i zostawia wszystko tobie?

- Greg, na litość boską, puść mnie. Robisz mi krzywdę - zaprotestowała Amber, która wychodziła właśnie z sypialni, ale natknęła się w drzwiach na rozwścieżonego Grega, który czekał na nią.

- Robię ci krzywdę? A jak, do cholery, ja się czuję? - podniósł głos. Greg miał przekrwione oczy. Amber zauważyła też, że mówi z trudem

i chwieje się na nogach.

- Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz się teraz przebrać. Przedyskutujemy tę sprawę przy kolacji - Amber starała się go udobruchać.

- Tak jak przedyskutowałyście ją wcześniej we dwie, kiedy was podsłuchiwałem? - W oczach Grega zapłonął gniew.

Rozumiem, jak się teraz czujesz... - zaczęła Amber. Daj spokój. Nie możesz rozumieć, jak to jest czuć się jak żebrak i błagać o kilka gwinei. Ty na pewno nie musisz prosić męża o pieniądze, tak jak ja muszę błagać o nie naszą kochaną babcię. To nie w porządku. Jak ona mnie traktuje! - Greg zaczął się nad sobą uzalać. Jego oczy napęłniły się łzami, oparł się o ścianę, żeby utrzymać równowagę. - To nie w porządku. Wszyscy to mówią. Mężczyzna powinien mieć przy sobie parę groszy. Nie mogłabyś mi pożyczyć kilkuset gwinei? Tylko do czasu, aż dostanę swoje pieniądze na życie.

Serce Amber ugięło się pod ciężarem rozpacz i wyrzutów sumienia.

- Greg...

- Daj spokój. Nie powiesz chyba, że cię nie stać. Zwłaszcza teraz, kiedy masz już to, co należało się mnie, a do tego jeszcze bogatego męża. Kto by pomyślał? Przypomnij sobie, jak byliśmy młodszy. To ja ci zawsze pomagałem, Amber.

- Nie wzięłam ze sobą tyle gotówki, Greg. Ale kiedy wrócę do domu...

- Jesteś taka jak ona. Wiesz o tym? Nawet gorsza.

Greg odwrócił się do niej plecami i poszedł w kierunku schodów, zataczając się po drodze na dół.

- Greg - zawołała za nim Amber - porozmawiamy o tym po kolacji.

- O czym chcesz rozmawiać? O tym, jaką jesteś zdrajczynią? O tym, tak ukradłaś to, co należało do mnie? Daruj sobie!

To bardzo uprzejmie ze strony Cassandry, że zaprosiła was z Gregiem dzisiaj na kolację w Fitton Hall - skomentowała Blanche przy śniadaniu, które jadła w towarzystwie Amber.

Od przyjazdu Amber do Macclesfield minęły trzy dni. Na szczęście (i Greg prawie się do niej nie odzywał ani nie wspominał więcej o zmianie testamentu). Amber zaś była nadal w szoku po tym, czego się dowiedziała. Żałowała, że nie może podzielić się tym z Jayem.

Amber próbowała przekonać samą siebie, że nie powinna się z nim widywać, ale jej serce uparcie twierdziło co innego i nie dało się zwieść. Ale to samo serce przysporzyło jej wcześniej tylu problemów. Łatwiej i bezpieczniej było się skupić na praktycznej stronie życia zawodowego niż



zastanawiać się nad emocjami. Ale tutaj po raz kolejny Amber przydałoby się ciche wsparcie Jaya. Maurice przyznał, że zignorował jej ostrzeżenie pod presją innych właścicieli fabryk, którzy nie zamierzali brać sobie do serca rad kobiety i podjęli decyzję o wyprodukowaniu chusteczek z okazji koronacji, a teraz oczywiście nie można było ich sprzedać ze względu na abdykację króla. Ten błąd kosztował ich drogo. Jedyną przyjemnością, jaką Amber miała z wizyty w Macclesfield, była możliwość zobaczenia małej Rose, która czuła się już znacznie lepiej i wyglądała na szczęśliwą. Niestety, tę sielską atmosferę zburzyła Cassandra i jej zaproszenie do Fittonów Leghów na kolację.

Cokolwiek skłoniło Cassandrę do podjęcia tej decyzji i zatelefonowania osobiście, aby przekazać zaproszenie, z pewnością nie były to dobre intencje. Amber wiedziała o tym, ale oczywiście nie mogła niczego ujawnić babci.

- Przyszedł pan Stanley, wasza książęca mość, i pyta, czy może zamienić z panią dwa słowa.

Kolega Grega chciał z nią porozmawiać? Amber nie była zachwycona tym pomysłem, ale nie mogła też tak po prostu odmówić.

- Zaprowadź go do biblioteki, Wilsonie, i przekaz, że zejść do niego za kilka minut.

Był środek popołudnia, babcia wyjechała w odwiedzinach do przyjaciółki, a Amber była w pokoju dziecięcym, gdzie bawiła się z Rose.

Dziewczynka była urocza. Amber przeszył dreszcz, gdy Rose poznała ją i wyciągnęła do niej rękę.

- Jest bardzo bystra, wasza książęca mość - poinformowała z dumą Betsy

- A jak jej nóżki? - spytała zaniepokojona Amber.

W odpowiedzi Betsy podniosła sukienkę Rose i pokazała Amber jej pulchne nóżki.

- Proszę zobaczyć, są coraz silniejsze. Ćwiczymy razem z Sheilą dwa razy dziennie, zgodnie z zaleceniami doktora Brookesa, który twierdzi, że Rose będzie stać na nich równie pewnie jak pani.

\*\*\*

Witam, panie Stanley - Amber przywitała się z gościem po wejściu do biblioteki.

Geoff Stanley oblał się rumieńcem, nieco skrepowany całą tą sytuacją.

- Proszę mi wybaczyć to najście, ale pani kuzyn Greg zostawił mnie w nieciekawej sytuacji i nie wiem już, do kogo mógłbym się zgłosić w tej sprawie. Oczywiście to nie pani interes wyciągać go z kłopotów, ale. .

- Przypuszczam, że Greg jest panu winien pieniądze - przerwała mu w pół słowa.

- To był jego pomysł, nie mój. Powiedział, że chce wejść ze mną w spółkę i poprosił o wyłożenie za niego pewnej sumy, tak żebyśmy mogli kupić za te pieniądze udziały. A teraz rozmyślił się i już ich nie chce. Ale już za późno na zmianę decyzji. Ojciec w końcu się połapie, że pożyczyłem Gregowi pieniądze w jego imieniu.

- Myślę, że powinien pan wyjaśnić mi wszystko od początku - zaproponowała Amber, siadając w fotelu.

Pół godziny później spojrzała na Geoffa Stanleya i podsumowała:

- Proszę mnie poprawić, jeśli czegoś nie zrozumiałam. Pan i Greg kupiliście udziały w drużynie piłkarskiej Hermes Stanley, które należały do pana zmarłego wuja. Pan wyłożył pieniądze za Grega dzięki pożyczce, którą wziął pan w imieniu pańskiego ojca. A teraz Greg nie chce panu zwrócić tych pieniędzy?

- Tak, właśnie tak to wygląda. Greg twierdzi, że nie pamięta, aby wchodził ze mną w spółkę. Ale zrobił to, do jasnej cholery! Przepraszam.

Stanley zarumienił się znowu. - Zapomniałem się na moment. Mój ojciec wraca z Londynu w przyszłym tygodniu i kiedy się dowie... Sam sprzedał swoje udziały w drużynie wiele lat temu. Należy do konserwatywnego kościoła nonkonformistycznego i nie akceptuje takich działań.

Amber pokiwała głową. Słyszała, że Stanley senior został konserwatywnym metodystą po tym jak ożenił się po raz drugi, przysparzając problemów swoim dwóm synom z pierwszego małżeństwa.

- Ile dokładnie jest panu winien Greg?

- Pięć tysięcy gwinei.

Zszokowana Amber pomyślała przez chwilę. Mogła spłacić zobowiązanie Grega, ale...

- Dam panu te pieniądze, lecz w zamian wymagam, by przekazał mi pan udziały w drużynie, które miały należeć do Grega - powiedziała spokojnie.

- A na co pani udziały w drużynie piłkarskiej? - Geoff Stanley był za skoczony i, jak Amber się spodziewała, daleki od zachwyty.

- Na nic. Ale śmiem twierdzić, że będą bezpieczniejsze w moich rękach niż w rękach mojego kuzyna. Z jednej strony nie chcę, żeby Greg był coś winien swojemu wieloletniemu przyjacielowi, ale z drugiej nic chciałabym też, żeby został pozbawiony czegoś, co mu się prawnie należy. Zwłaszcza że ma teraz na utrzymaniu małe dziecko. - Amber uśmiechnęła się przyjacielsko, ale chciała, by Geoff Stanley miał świadomość, że nie da się łatwo oszukać. - Jeżeli pan pozwoli, zwrócę się do notariusza babci, że by przygotował stosowne dokumenty.

- Dobra... To znaczy zgadzam się. A pieniądze?

- Otrzyma pan swój czek, kiedy tylko dostanę moje udziały w drużynie Hermes.

Jay skonałby chyba ze śmiechu, gdyby dowiedział się, że jestem współwłaścicielem klubu piłkarskiego - pomyślała Amber po wyjściu Geoffa Stanleya. Ale oczywiście nie mogła mu tego powiedzieć. Niczego już nie mogła mu powiedzieć.

- Musisz nas teraz uważać za wyjątkowych plebejuszy, Amber. Tyle czasu spędziłaś w Londynie, obracając się w tamtejszym społeczeństwie.

Główne danie, składające się z wołowiny wellington, zostało już zjedzone. Po kolacji atmosfera ulegała zazwyczaj wyraźnemu rozluźnieniu, podobnie jak paski u spodni mężczyzn po sutym posiłku. Ale nie tym razem, zwłaszcza po celowo prowokacyjnym komentarzu Cassandry.

Amber niemal czuła w powietrzu różne pokłady emocji, które wypełniały krępującą ciszę za stołem. Okoliczne ziemianstwo czekało z niecierpliwością, w jaki sposób wybrnie ona z tej sytuacji. Czy stanie w obronie swoich korzeni, czy raczej sprzymierzy się z londyńską socjetą, wśród której wiodła obecnie życie?

Amber stłumiła westchnienie. Znacznie trudniej przyszło jej zapanowanie nad pragnieniem wymienienia znaczących spojrzeń z Jayem, który siedział naprzeciw niej.

Jay Dlaczego serce Amber biło głośno na sam dźwięk, a właściwie echo szeptu, z jakim wymówiła jego imię? Była zaskoczona jego widokiem. W eleganckim stroju wyjściowym prezentował się nienagannie. Leżał na mm tak idealnie, jakby się w nim urodził. Wyglądał wytwornie i niesłychanie przystojnie, chociaż posepny wyraz jego twarzy rozdzierał serce Amber na strzępy.

Jakie potworne okrucieństwo musiało kierować Cassandrą, że sprowadziła ich tu oboje, znając prawdę. Ale jaką prawdę właściwie знаła Cassandra? Widziała ich tylko razem obejmujących się potajemnie. Nic więcej. Nie miała pojęcia, jakie uczucia targają Amber. Nie znała jej pragnienia pożerania Jaya wzrokiem ani potrzeby dotknięcia - wystarczyłoby lekkie muśnięcie palcami - jego ramienia czy też wymiany ukradkowych uśmiechów. Lecz Amber miała świadomość, że musi się wyrzec tych pragnień.

Już w momencie, kiedy Amber dostała zaproszenie, wiedziała, że kolacja u Fittonów Leghów będzie drogą przez mękę. Cassandrą dążyła do celu po trupach i miała mściwą naturę, którą teraz zamierzała zaspokoić kosztem Amber. Jak dotąd nie było żadnych plotek na temat Amber i Jaya. Amber nie sądziła jednak, że Cassandrą powie wprost o tym, iż przyłapała ich na pocałunku. Podejrzewała natomiast, że zacznie szydzić z niej i zamęczać ją subtelnymi przytykami, na tyle niebezpiecznymi, by mogły wzbudzić niezdrową ciekawość, a nawet podejrzenia pozostałych gości zgromadzonych przy stole.

Amber pomyślała, że jeśli Cassandrą postanowiła zaszcześcić w niej sn ach na resztę wieczoru, nie mogła tego lepiej zaplanować.

Mimo wszystko jednak Amber nie doceniała przebiegłości i złośliwości Cassandry aż do momentu, w którym, witając się z nią i z Gregiem, ta obwieściła słodkim głosem, że oprócz nich na kolacji będą także Bromie-yowie Davenportowie, Leghowie z Adlington Hall, Masseyowie z Dunham Massey, a także Jay z Lydią.

Lata spędzone u boku księcia Roberta nauczyły Amber chronienia swojej godności, tak ważnej dla kobiety o jej pozycji. Podczas spotkań

towarzyskich przyjmowała spokojną, formalną maskę. Mogła albo silić się na uśmiechy i przyjacielskie gesty, kiedy miała do czynienia z dzierzawca mi Roberta, albo zachowywać lodowaty spokój, który miał przypominać tym, którym trzeba, o jej statusie społecznym. Lecz nigdy wcześniej nic musiała korzystać z tych zdolności w większym stopniu niż dzisiaj.

Zamiast dawać Cassandrze okazję do dalszych złośliwości, po prostu nie zareagowała. Nawet kiedy zjawił się spóźniony Jay, usprawiedliwiając się, że jest sam, ponieważ Lydia dostała ataku okropnej migreny i w efekcie nie mogła wziąć udziału w kolacji.

- Zadzwoń do Cassandry, by jej powiedzieć, że żadne z nas nie przybędzie. - Amber usłyszała, jak Jay tłumaczy się Mary Bromley Davenport - ale ona nie chciała o tym słyszeć, nalegając, żebym przyjechał sam.

Amber wiedziała, dlaczego Cassandrze tak zależało na obecności Jaya. Tylko w ten sposób mogła czerpać pełną radość z towarzyszącego im wspólnego strachu.

Jeszcze nigdy wieczór tak jej się nie dłużył. Mieszkańcy hrabstwa Che shire słynęli ze swojego patriotyzmu, a ich rozmowa koncentrowała się w głównej mierze na szoku, który towarzyszył abdykacji króla Edwarda, ich uwielbieniu dla nowo wybranego króla, a także na sprzeczności wobec zbrojnych cichych się hitlerowskich Niemiec. Jak dotąd Amber udawało się ścierpieć ich zdecydowany konserwatyzm, zmieniając temat rozmowy na nieco lżejszy. Jednak boleśniesz niż zagrożenie ze strony Cassandry, która mogła w każdej chwili ujawnić, co zaszło między nią a Jayem, było to, że Amber siedziała w tym samym pokoju co on. Słuchała jego głosu, mogła nawet na niego spojrzeć, ale nie wolno jej było porozmawiać z nim na osobności ani go dotknąć czy nawet spojrzeć mu w oczy. A tak wiele miała nadzieję w nich zobaczyć.

Zamiast tego musiała odpowiedzieć na pytanie Cassandry i przygotować się na kolejne ciosy, które na pewno padną z jej strony tego wieczoru.

Wzięła więc głęboki oddech i powiedziała beztrasko:

- Cassandro, zapewniam cię, że nie ma nic bardziej plebejskiego od londyńskich wyższych sfer.

Pozostali goście siedzący przy stole wydawali się usatysfakcjonowani tą odpowiedzią, jednak gospodyni wieczoru nie zamierzała tak łatwo się poddać.

Ale ty, Greg, na pewno zazdrościsz swojej kuzynce takiego beztroskiego życia, które prowadzi. - Cassandra odwróciła na chwilę swoją uwagę od Amber i skupiła ją na Gregu.

Nie mogła znać decyzji Blanche w sprawie testamentu, lecz nie powstrzymało jej to od zadania pytania, które wywołało efekt podobny do zapalki wrzuconej do beczki z prochem.

Greg zareagował dokładnie tak, jak się spodziewała Amber, i obwiescił z furją:

- Oczywiście, że jej zazdrościsz. Zwłaszcza teraz, kiedy dowiedziałem się, że nasza babcia mnie wydziedziczyła i przepisała cały majątek na Amber.

Greg pił przez cały wieczór. Zdaniem Amber lokaj Fittonów Leghów napełniał mu kieliszek zbyt często i ochoczo. Jako dziewczyna w podobnych sytuacjach była tak zażenowana, że najchętniej zerwałaby się z krzesła i wybiegła z pokoju. Małżeństwo jednak nauczyło ją, jak panować nad **sobą** i zachowywać się w towarzystwie. Dlatego została na miejscu, choć i aż nie była w stanie wymyślić niczego, co mogłoby zminimalizować elekt wybuchu Grega.

- Masz w życiu nie lada szczęście, Amber - uśmiechnęła się Cassandra. - Ale często bywa tak, że właśnie ci, którzy mają w życiu **najwięcej**, chcą jeszcze więcej. Zgodzisz się ze mną? Weźmy na przykład rozkapryszone dziecko, które domaga się nieustannej uwagi ze strony swojej opiekunki. Albo ludzi będących w stałych związkach, których nie zadowala własne małżeństwo, lecz potrzebują podziwu ze strony innych, nawet tych, którzy sami są żonaci lub zameźni.

Słowa te zostały wypowiedziane pozornie nic nieznaczącym tonem, ale zawarta w nich jadowita aluzja była oczywista. Greg zmarszczył brwi, jakby starał się pojąć, o czym jest mowa, pozostali goście zaś wydawali się zaintrygowani bądź skrepowani, w zależności od ich usposobienia. Amber nie miała cienia wątpliwości, że Cassandra nawiązuje zarówno do przeszłości i romansu Grega z Caroline Fitton Legh, jak i do tego, że przyłapała **ją** w ramionach Jaya. Amber czuła teraz, jak żołądek skręca jej się z nerwów. Tego właśnie obawiała się przez cały wieczór.

Cassandra świetnie się bawiła. Żałowała jedynie, że nie ma z nimi I .ydii, która dąsała się na nią i odmówiła przyjscia, ponieważ Cassandra

naigrawała się z niej poprzedniego dnia i nie chciała powiedzieć, że ja kocha.

Greg, który opróżnił właśnie kolejny kieliszek, odstawił go niezadziwiona na stół, po czym przerwał ciszę panującą przy stole i obwieścił za dzierzycie:

- Amber ma zbyt wielkie szczęście w życiu. To nie w porządku, że do stanie to, co mnie się należy. To nie w porządku, słyszycie?

Greg nagle wstał i uderzył pięścią w stół.

- Stary druhu, może nie tak fortissimo, co? - odezwał się John Broni ley Davenport, kiedy Greg opadł z powrotem na krzesło.

- Może raczej mniej portissimo\* - powiedziała *sotto voce* jedna z ko biet, jednak na tyle głośno, żeby usłyszała to Amber.

- To nie w porządku - powtórzył Greg, czkając przy tym głośno. Potem położył głowę na stole i zaczął głośno szlochać; jego ciałem wstrząsały gwałtowne spazmy.

Amber nie miała pojęcia, jak powinna się zachować w tej sytuacji, do póki Jay nie wstał dyskretnie od stołu, podszedł do Grega, położył mu rękę na ramionach i powiedział do niego łagodnym tonem:

- Chodź, chłopie, wracamy do domu, dobrze?

Oszołomiony i ledwie trzymający się na nogach Greg pozwolił Jayowi wyprowadzić się z pokoju.

- Wybacz, Cassandro, ale ja też już lepiej pójdę - usprawiedliwiła się Amber.

- Tak, oczywiście. Wcale ci się nie dziwię. Na twoim miejscu zrobiłabym to samo.

Słowa Cassandry zabrzmiały z pozoru niewinnie, lecz Amber wiedziała, że zostały użyte celowo. Jakże jeszcze przytyki pod jej adresem planowała? Nie było wątpliwości, że Cassandra nie da jej już spokoju.

Amber umówiła się, że kiedy będą gotowi do drogi powrotnej, Blanche wyśle po nich samochód, ale kiedy wpadła na Jaya i Grega w holu, Jay powiedział stanowczo:

Gra słów: fortissimo (wł.) - bardzo głośno; portissimo - żartobliwie „za dużo porto” (przyp. red.).

Myślę, że lepiej będzie, jeśli zaraz zawiozę Grega do domu. Nie wygląda najlepiej.

Nie chciałem tu przychodzić. To nie w porządku, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już Caroline - wybełkotał Greg w pijackim amoku. Amber poczuła, jak do oczu napływają jej łzy współczucia. Masz rację, staruszk, to nie w porządku - zgodził się Jay Ten chłopiec to mój syn, wiedziałeś o tym? Amber spojrzała na Jaya, który taktownie przemilczał wyznanie Grega, tak pijanego, że nie wiedział, co mówi.

Skoro tak, to ja zostanę i zadzwonię po Harrisa - zreflektowała się Amber.

Jak sobie życzysz, chociaż w aucie mam wystarczająco miejsca dla trzech osób.

Powiedziałam babci, że wołałabym, by nie zmieniała testamentu, i że moim zdaniem to błędna decyzja. - Po co, u diabła, tak się usprawiedliwiała? - Tak mi przykro - dodała bezradnie. - Przepraszam za wszystko.

Amber...

Nie zostanę tu ani chwili dłużej. Wychodzę - obwieścił Greg i zataczając się, ruszył w stronę drzwi.

Trzymaj się, Greg, idziemy z tobą. Jay pospieszył za Gregiem. Amber zawahała się, a potem dołączyła do nich.



## Rozdział 40

### **Lato 1937 roku, południe Francji**

- Moi drodzy, nareszcie jesteście, fak minęła wam podróż?

Kiedy Amber utonęła w objęciach pachnącej różami Beth, uświado miła sobie, jak bardzo przypomina ona swoją matkę. Miała już z Alistairem czworo dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, przytyła i stała się prawdziwą matroną, co nawet jej odpowiadało.

- „Orzeźwiająco” to chyba najlepsze określenie - roześmiała się Amber, kiedy Beth zaprowadziła ją do salonu i zadzwoniła po herbatę.

Robert uparł się, żeby podróżowali z Anglii morzem do Saint-Tropez, i chociaż żadne z nich nie chorowało po drodze, morze było bardziej wzburzone, niż Amber się spodziewała.

Robert zniknął już razem z Alistairem, a niania Beth porwała ze sobą bą Luca do pokoju dla dzieci, aby odnowił znajomość z synami i córkami Beth i Alistaira.

- Ale na szczęście jesteście już na miejscu. Mam ci tyle do opowie dnia - obwieściła Beth, rozlewając herbatę do filiżanek.

Salon w willi miał wielkie drzwi balkonowe, które wychodziły na taras, za którym rozpościerał się cudowny widok na Morze Śródziemne. Delikatna bryza wpadająca do środka niosła ze sobą znajome zapachy morza, słońca i lawendy, które Amber zawsze kojarzyły się z południową Francją. Przynosiły też wiele wspomnień. Zakupy w Paryżu. Podróż pociągiem, podczas której Amber nie była w stanie spać z przejęcia. Pierwszy widok willi i pierwsze spotkanie z Jeanem-Philippeem. Ale dość już wspomnień i rozpamiętywania przeszłości. Amber wygładziła zakładkę w zgięciu swojej białej jedwabno-lnianej spódnicy od Chanel.

Po pierwsze, mamusi udało się namówić Henry'ego, żeby przyjechał i został z nami przez całe lato. Bardzo się o niego martwimy, odkąd okazało się, że jego kolejne dziecko to też dziewczynka.

Amber zeszywniała, słysząc imię brata Beth, ale nic nie powiedziała. Nikomu nigdy nie wspomniała o zachowaniu Henry'ego. Ich ścieżki rzadko przecinały się w ciągu ostatnich lat, a gdy już wpadali na siebie, Amber trzymała się od niego jak najdalej, zwłaszcza po ostatnim wybryku Henry'ego na przyjęciu.

- Musimy być dla niego bardzo mili i rozweselać go, jak tylko się da.

Amber chciała powiedzieć, że nie ma nic przeciwko temu, ale pomyślała o jego żonie. Jak musiała się czuć pod taką presją, kiedy wszyscy oczekiwali od niej, że wyda na świat dziedzica? Ale Amber wiedziała, że nie ma sensu wyrażać swojej krytycznej opinii na temat Henry'ego, którego Beth wręcz uwielbiała.

- W tym roku zjeżdżają się tu wszyscy, zwłaszcza Niemcy - kontynuowała Beth. - Wszędzie ich pełno i urządzają najbardziej spektakularne przyjęcia. Henry uważa, że są zbyt ostentacyjni. Upodobali sobie szczególnie zabawę w basenach, wiesz, oni mają bzika na punkcie tężyzny fizycznej. - Beth skrzywiła się. - Dla mnie to zbyt męczące, ale dzieci dobrze się bawią. Podoba mi się twój strój, Amber. Masz szczęście, że udało jej się zachować taką figurę. Ale po czwórce dzieci...

Amber piła herbatę i słuchała posłusznie. Niełatwo było powstrzymać Beth, kiedy już się rozpędziła. Poza tym Amber mogła wreszcie odetchnąć spokojnie, nie martwiąc się tym, że Luc wypadnie przez burzę albo że Robert zniknął gdzieś na ponad godzinę, co znaczyło, iż dopadł go czarny nastrój, co na szczęście zdarzało się coraz rzadziej. Robert był bardzo cierpliwy i wyrozumiały, kiedy Amber dzieliła się z nim swoimi wątpliwościami na temat decyzji babci o zmianie testamentu, ale podkreślał, że to jej wola i on rozumie w pełni, dlaczego Blanche uważa to za słuszne. Nie zmieniało to jednak faktu, że Greg był nadal wściekły

- Och, prawie zapomniałam. W ubiegłym tygodniu byliśmy w Mougins. Podobno nie wypada tam nie bywać, zwłaszcza teraz, kiedy Picasso spędza w tym miejscu wakacje. Nigdy nie zgadniesz, kogo tam widzieliśmy.

- Samego Picassa? - domyśliła się Amber.
- Jego też. I tej fotografki, która podobno jest jego kochanką. Dora jakaś tam...
- Dora Maar - podpowiedziała Amber.
- No właśnie. Ale do rzeczy Nie o nim chciałam ci powiedzieć, tylko o Jeane-Philippe. Jest wciąż taki przystojny jak dawniej.

Amber bardzo ostrożnie odstawiała na stół filiżankę i spodek.

- Na pewno go pamiętasz - nie dawała za wygraną Beth. - To ten artysta, który mieszkał w chatce nad plażą, kiedy spędzałyśmy tu wakacje z mamusią. Uważałam go wtedy za niezwykle romantycznego i byłam ta ka zazdrosna, kiedy zaproponował ci, żebyś mu pozowała do portretu.
- Oczywiście, że go pamiętam - odparła cicho Amber. Jean-Philippe! Ręce jej się trzęsły, więc złożyła je na udach. Nie powinno jej to aż tak zaskoczyć. W końcu południe Francji to prawdziwa mekka wszelkiego rodzaju artystów. A jednak po plecach przeszedł jej lodowaty dreszcz. Jean-Philippe i Henry w jednym miejscu. Przecież nie miała się czego obawiać. Była teraz mężatką i przyjechała tu razem z Robertem, który znał całą prawdę na temat Jeana-Philippea i Henryego i będzie ją chronił. Poza tym wszyscy byli już kilka lat starsi. Nie czuła do Henryego żadnej sympatii, ale dostrzegała to, że się zmienił i dojrzał. Był teraz żonatym mężczyzną i ojcem rodziny. Raczej nie w głowie mu były nieodwzajemnione umizgi do Amber, jakie czynił jeszcze kilka lat temu. A Jean-Philippe? Czy jego zaloty również pozostałyby bez odpowiedzi, gdyby zdecydował się je powtórzyć? To pytanie owinęło się jak zdradziecki wąż wokół zmysłów Amber, prześladowając ją i pieszcząc jednocześnie, tak jak robił to kiedyś Jean-Philippe.

- Na początku mnie nie poznał, ale w końcu minęło parę lat. Amber postanowiła powrócić uwagą do chwili obecnej.

- Rzeczywiście - zgodziła się.

Kilka lat? Amber wiedziała dokładnie ile, na co dzień miała przecież namacalny dowód upływu czasu w postaci Luca.

- Pamiętam, jaka byłam wstrząśnięta, kiedy dowiedziałam się, że nie jest żadnym chrześniakiem madame, lecz jej kochankiem. Alistair powiedział mi, że jego obecną kochanką jest jakaś Austriaczka z dobrej rodziny.

A tak w ogóle to pytał o ciebie, a kiedy powiedziałam mu, że przyjeżdżasz za kilka dni, wyraził nadzieję, że znów się spotkacie.

Amber zdobyła się na wymuszony uśmiech. Serce biło jej tak mocno, że poczuła się słabo.

Strasznie zbladłaś - zaniepokoiła się Beth. - Czy wszystko w porządku?

- Nie przywykłam jeszcze do stałego lądu po podróży - skłamała Amber. - To jakby choroba morska, tylko na odwrót. Chcesz pójść do pokoju i się położyć?

- Nie, zaraz mi przejdzie. A jak miewają się twoi rodzice, Beth? W styczniu widziałam twoją matkę w Londynie. Mówiła wtedy, że ojciec i horuje na podagrę.

- To prawda. Biedny tatuś, w zimie strasznie cierpi. Ale teraz czuje się dużo lepiej. W sierpniu zobaczymy się z nimi w Szkocji... Mamusia mówiła mi z kolei, że twój mały sklepik jest coraz modniejszy i że jedną z twoich klientek jest księżniczka Marina. Ostatnio nie mam jakoś czasu, żeby wybrać się do Londynu, ale w najbliższym czasie na pewno tam zajrzę. Nie myślę o zmianie wystroju wnętrza. Alistair uważa, że to współczesne szaleństwo na punkcie ciągłych przemeblowań jest wyjątkowo wulgarne.

Zarzut wulgarności pojawiał się na ustach Alistaira bardzo często, najczęściej wtedy, gdy w grę wchodziło wydawanie pieniędzy. Amber pomyślała o tym w duchu, ale nie chciała ranić swojej przyjaciółki, dzieląc się z nią na głos swoimi przemyśleniami.

- Muszę przyznać, że byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że Robert pozwolił ci na coś tak...

- Tak burżuazyjnego? - dokończyła Amber.

Trochę ją rozgniewało to, że jej troska o uczucia Beth nie jest odwzajemniana. Beth wyglądała na tak speszoną, że Amber poczuła wyrzuty sumienia. Wyciągnęła dłoń i wzięła ją za rękę.

- Wiem, że posiadanie własnego sklepu może ci się wydać dość niekonwencjonalnym zajęciem w moim wypadku. Ale to dla mnie bardzo ważne, gdy widzę, że ludzie dostrzegają i doceniają projekty mojego ojca. Robert też to rozumie. James Lees-Milne obiecał mi kilka zamówień. Mam też nadzieję, że Narodowy Fundusz na rzecz Renowacji Zabytków

pozwole mi odtworzyć niektóre ze swoich archiwalnych materiałów w jedwabiu.

Uprzejmy uśmiech Beth był dla Amber wystarczającym sygnałem, że wyczerpało się jej zainteresowanie sklepem, dlatego zmieniła szybko temat.

Miesiące letnie wiązały się z przestojem na rynku. Wielu ludzi wyjeżdżało z Londynu i Amber z radością przekazała interesy w ręce swojego młodego menedżera i jego zastępcy. To będzie dla nich cenne doświadczenie, które pozwoli jej także ocenić, jak sobie dają radę bez niej.

Aby zdążyć ze wszystkimi zamówieniami, w fabryce zatrudniono dodatkowych robotników. Amber myślała także o kilku eksperymentalnych projektach wykorzystujących stare pomysły ojca, które były zaledwie wstępnymi szkicami, a które postanowiła sama odświeżyć i dokończyć.

- ... A Alistair jest przekonany, że trafi do marynarki.

Amber ze wstydem zdała sobie sprawę, że w ogóle nie słucha, co mówi do niej Beth. Pokiwała więc tylko głową ze zrozumieniem, mając nadzieję, że jej przyjaciółka tego nie zauważyła.

- Wybieracie się dzisiaj do Cap Ferrat na bal organizowany przez Daisy Fellowes? - spytała Beth. - Daisy powtarza bez przerwy, że musi zacząć oszczędzać ze względu na kryzys ekonomiczny w Ameryce, ale kto tam wie...

- Tak, wybieramy się - potwierdziła Amber. - Nie mogę się już doczekać.

- Emerald Cunard opowiedziała mi o naszyjniku, który Daisy zamówiła u Cartiera, żeby zrekompensować sobie utratę jachtu, który musiała sprzedać. Nazywa ten naszyjnik tutti frutti, bo jest złożony z różnych kolorowych kamieni. Daisy jest zawsze taka zabawna.

- Mam tylko nadzieję, że nie będzie tam Windsorów - ciągnęła Beth. - To takie niezręczne, kiedy widuje się ich teraz w towarzystwie po tym, co się stało. Mam na myśli to, że Edward był królem, nawet jeśli trwało to bardzo krótko i nie doczekał koronacji.

- To doprawdy bardzo smutne. - Beth mówiła cały czas. - Ale nowy król i królowa zdążyli już podbić serca poddanych, a dwie małe księżniczki są urocze. Szkoda tylko, że nie mają syna. To takie szczęście, Amber, że

twoim jedynym dzieckiem jest Luc. Dla Roberta to byłby pewnie wielki cios nie mieć syna i spadkobiercy. Nie musisz mnie o tym przekonywać.

Nie, nie musiała. Syn i spadkobierca. Bardzo dobrze znane wyrażenie w warstwie społecznej, w której się obracali. Te dwa słowa bardzo łatwo wypadały z ust, a jednocześnie stanowiły nie lada pułapkę dla nieświadomych i skrywały wiele sekretów. Być może to południe Francji wywołało w Amber lawinę wspomnień. Nikt, a zwłaszcza Luc, nie powinien wiedzieć, że nie jest dzieckiem Roberta. To byłby dla niego ciężar nie do zniesienia, który pozbawiłby go wszystkiego, w co wierzył. Żadna matka nie mogła dopuścić, by coś takiego przytrafiło się jej dziecku.

Dobranoc, kochanie. - Amber pocałowała swojego zasypiającego syna i pogładziła jego ciemne włosy.

Robert wynajął elegancką willę niedaleko przystani, w której zacumowany był jacht. Zrobił to za namową Amber, która uważała, że dla dobra Luca powinni mieć wynajęte jakieś miejsce na stałym lądzie na czas ich pobytu we Francji.

Robert pożegnał się z Lukiem wcześniej i teraz czekał na Amber przy drzwiach. Za chwilę mieli wyjść na bal u Daisy Fellowes. Tuż obok czekała posłusznie Gladys, która miała przykryć Luca i dopilnować, żeby zasnął po ich wyjściu.

- Dzisiaj po południu Beth powiedziała mi, że spodziewają się przyjazdu Henry'ego - powiedziała Amber, kiedy Robert prowadził ją po schodach.

Jedwabna tafta wieczorowej sukni w kolorze morskim szeptała zmysłowo przy każdym kroku, ocierając się o ciało Amber. Wolałaby włożyć coś skromniejszego i mniej rzucającego się w oczy, ale Robert wszedł do jej pokoju w momencie, kiedy służąca szykowała inną suknię i stwierdził, że jest nijaka i pozbawiona elegancji. Zasugerował też, by zamiast niej Amber włożyła właśnie tę w kolorze morskim.

Jedwabna kreacja od Mainbochera, z naszytymi malutkimi kryształkami, które przy każdym ruchu odbijały światło, została przycięta pod skosem, podkreślając szczupłość i delikatność figury Amber. Dekolt z przodu był płytki, z tyłu zaś opadał nisko, a przynajmniej sprawiał

takie wrażenie, ponieważ to, co wydawało się nagim ciałem, było w istocie delikatną siateczką, ozdobioną jedwabiem w kolorze morskim i kryształowym węzłem, który wił się w dół jej kręgosłupa. Amber uważała tę suknię za zbyt śmiałą, ale Robert zdołał ją przekonać. Podobnie jak wielu innych mężczyzn o skłonnościach homoseksualnych miał doskonałe oko, jeśli chodzi o styl i wystrój, więc często doradzał Amber w wyborze ubioru.

- Wiem, że za nim nie przepadasz, ale wątpię, byś miała się czego obawiać, biorąc pod uwagę jego obsesję, by spłodzić dziedzica. Alistair wspominał dzisiaj o tym *en passant*. Mam wrażenie, że nie do końca akceptuje zachowanie swojego szwagra.

- Beth nie zdaje sobie z tego sprawy. Powiedziała, że „biedny Henry potrzebuje, żeby go rozweselić”. Ale nie tylko jego obecność mnie martwi, Robercie. - Amber zrobiła krótką pauzę. - Jest tutaj także Jean-Philippe.

- I co w związku z tym tak cię niepokoi?

- Sama nie wiem - odparła nie do końca szczerze. - Wiem, że to irracjonalne, ale obecność ich obu w tym samym miejscu krępuje mnie... i czyni bezbronną.

- Henry już raz próbował cię szantażować i nie udało mu się. Drugi raz nie spróbuje.

- Ale on zna prawdę, Robercie. A jeśli zdecyduje się ją ujawnić...

- Jeżeli to zrobi, powiem po prostu, że się myli, i zaświadczę, że byłaś wtedy ze mną. Jego słowo przeciwko mojemu.

- Żałuję, że tu przyjechaliśmy Gdybym wiedziała o tym przed wyjazdem z Anglii...

- Niepotrzebnie się zamartwiasz, Amber. Henry'emu spędza sen z powiek to, że nie udało mu się jeszcze spłodzić dziedzica, a nie to, co wydarzyło się wiele lat temu.

Przytaknęła, odnosząc wrażenie, że Robert zaczyna powoli tracić cierpliwość. Ale bała się nie tylko o siebie.

Przecież był z nimi także Luc, syn Jeana-Philippea. Amber szukała w pamięci jakichkolwiek oznak podobieństwa między nimi. Na szczęście Robert, tak jak Jean-Philippe, był wysokim brunetem. Co, jeśli Amber zobaczy Jeana-Philippea i dojdzie do wniosku, że jej syn jest do niego łudzaco podobny? I co powiedzą wtedy

inni? Czy też odkryją to podobieństwo? Amber przyzwyczała się już, że wszyscy zaakceptowali Luca jako dziecko Roberta. Ale czy to wystarczy? Modliła się, żeby tak właśnie było.

Hal odbywał się w hotelu Royal-Riviera w Cap Ferrat. Droga do hotelu była już zakorkowana limuzynami z gośćmi. Robert miał rację, namawiając Amber do włożenia wytwornej sukni. Kiedy weszli do foyer, ich oczom ukazał się tłum niezwykle eleganckich i zamożnych ludzi.

Oprócz Daisy, która powitała ich z ciepłym uśmiechem, Amber dostrzegła również Emerald Cunard i Millicent Roberts, córkę barona paliwowego. Obydwie prezentowały się sztywnie, zwłaszcza Emerald, we wspaniałej biżuterii, ciesząca się opinią wyjątkowo szczodrej w swojej gościnności. Na sali byli także francuscy arystokraci - hrabia Etienne de Beaumont i książę de Conde wraz z całą świtą - jak również sir Charles i lady Mendlowie, brytyjski ambasador i jego żona.

- Wygląda na to, że zebrała się tutaj cała europejska śmietanka - mruknęła Amber do Roberta, kiedy weszli do sali balowej.

- Nie tylko europejska - odparł Robert. - Widzę tutaj także Agę Khana i maharadżę Dżajpuru.

- Robertcie, czy tak właśnie wygląda raj, czy może się mylę? - rozległ się obok czyjś znajomy głos.

- Tego nie wiem. Ale z pewnością przypadnie do gustu komuś o tak teatralnym smaku jak twój - zaśmiał się Robert, witając się ze starym przyjacielem, Cecilem Beatonem.

- Daisy obraziła się na mnie, bo nie zgodziłem się sfotografować jej gości *en masse*. Ale powiedziałem jej, że nie jestem fotoreporterem z jakiegoś brukowca i powinna poprosić Toma Driberga, żeby zarekomendował jej kogoś z „Daily Express”, kto spełni jej kaprys.

- Biedna Daisy. Na pewno będzie tym przybita. Jesteś okrutny, Cecilu - powiedziała Amber.

- Wyglądasz cudownie w tej sukni, Amber. Obróć się, niech cię obejrzą. Posłusznie zrobiła to, o co poprosił Cecil, i wtedy zamarła. Głosy jej męża i Cecila dobiegały jakby z oddali. Ze wszystkich gości zgromadzonych



w sali Amber widziała tylko jednego. A on patrzył na nią tak, jakby również nikogo poza nią nie widział. Jego gęsta grzywa była poprzetykana pasemkami siwych włosów. Może to słońce lub życie, a może jedno i drugie, nadały jego twarzy nowe rysy. W uchu nie miał już kolczyka. Ale te zmiany bardziej podkreślały, niż ukrywały, inne charakterystyczne cechy jego wyglądu. Barczyste ramiona wypychały wieczorową marynarkę, a w oczach tlił się ten sam, pełen namiętności, dobrze znajomy blask. Amber przekonywała samą siebie, że przygląda mu się, chłonąc każdy szczegół jego wyglądu, przez wzgląd na Luca. To dla jego dobra szukała teraz gorączkowo choćby najmniejszej oznaki podobieństwa. Łuk brwiowy, lekko zakrzywiony nos, wystające kości policzkowe, szczęka - grubo ciosana i powleczone oliwkową skórą - musiała zapamiętać to wszystko, by na osobności porównać je z cechami fizycznymi swojego syna.

A co z tymi leniwie wydętymi ustami i groźnym, drapieżnym, samczym wzrokiem, którym patrzył na nią? Czy i te szczegóły pochłaniała teraz tak drobiazgowo, gdyż zastanawiała się, czy odnajdzie je kiedyś na twarzy Luca?

On z kolei wpatrywał się w jej usta, uśmiechając się coraz szerzej. Serce Amber biło jak szalone, tłukąc się o żebra niczym młot dwuręczny.

- Jean-Philippe.

Amber nie wiedziała, czy faktycznie wypowiedziała jego imię, czy też jej usta same się złożyły, by to zrobić. Nie miało to już znaczenia. Dostrzegł ruch jej warg i to, co zdradziły

- Amber - odezwał się Robert. - Cecil powiedział mi właśnie, że planuje odwiedzić Mougins, żeby zobaczyć się z Lee Millerem i Man Rayem. Zaproponował, żebyśmy udali się razem z nim.

- Tak, tak, byłoby cudownie - odparła mimowolnie.

Z trudem oddychała, nie mówiąc już o logicznym myśleniu czy mówieniu. Ogarnęła ją panika, strach i podniecenie. Czula się znów jak siedemnastolatka, a nie jak matka i żona. Była teraz kobietą, której ciało przypomniało sobie, że jej pierwszym i jedynym kochankiem był Jean-Philippe.

- Daisy zaprosiła zdecydowanie za dużo ludzi - poskarżył się Cecil.

- Zawsze tak robi.

Amber starała się zachowywać normalnie. Odwróciła się plecami do Jeana-Philippea, wcześniej jednak dostrzegła szczupłą, elegancką kobietę stojącą u jego boku i trzymającą władczo rękę na jego ramieniu.

- O Boże, Ribbentropowie zbliżają się w naszą stronę - jęknął Cecil. - I jest z nimi też Goebbels.

Nie tylko on, ale także cała falanga wysokich rangą oficerów w mundurach SS oraz trzech czy czterech innych mężczyzn w cywilu, wśród których był Otto von Brecht.

Amber pomyślała z sercem w gardle, że Oscar Wilde mógłby napisać zabawną i cyniczną sztukę o zbiegu okoliczności, na skutek których mąż i żona spotykają przypadkowo swoich dawnych kochanków. Odruchowo zbliżyła się do Roberta, by go chronić i osłaniać. Słyszała jego urywany oddech i wiedziała doskonale, co czuje jej mąż. Zapewne dokładnie to samo, co ona, widząc przed chwilą Jeana-Philippe'a.

Życie potrafi być wyjątkowo okrutne. Prowokuje i testuje ludzką determinację i wytrzymałość emocjonalną do granic możliwości, a czasem zmusza, by je przekraczać.

Robert wciąż nie odezwał się ani słowem. Czy, tak jak Amber, przypominał sobie tę okropną noc w Monachium, gdy desperacka miłość do Ottona popchnęła go do tego, by targnąć się na własne życie? Potem już o tym nie rozmawiali, ale Amber wiedziała, że nigdy tego nie zapomni.

Grupka Niemców podeszła do nich. Amber zamarła w napięciu, spodziewając się, że Otto znów w jakiś sposób będzie próbował poniżyć Roberta. Na szczęście Robert odwrócił się do nich plecami. Amber wzięła go pod ramię. Wtedy kątem oka dostrzegła, jak Otto przeprosza na chwilę swoich przyjaciół, a potem odłącza się od nich, błyskawicznie pokonuje dystans dzielący go od Amber i jej męża, po czym z szerokim uśmiechem kładzie dłoń na drugim ramieniu Roberta.

Amber zdała sobie sprawę, że mogłaby w tej chwili w ogóle nie istnieć. To było takie rozdzierające, wręcz żałosne, patrzeć, jak Robert nagle budzi się do życia i staje się znowu tym uroczym, beztróskim i pełnym werwy mężczyzną, jakiego zapamiętała z ich pierwszego spotkania. Tylko że tym razem to nie ona przywróciła go do życia, lecz Otto - swoim

uśmiechem, dotykiem i czymś jeszcze, co mówiło wyraźnie, że szuka pojednania.

- Biedny Robert. Trzeba przyznać, że młody Otto to wyjątkowo smakowity kąsek. Wyobraź sobie tylko, jak to jest stopić ten teutoński lód! Sam poczułem ciarki na plecach, kiedy podał mi dłoń na powitanie. Ale może to zasługa siły wyćwiczonego nazistowskiego uścisku - zażartował Cecil, kiedy pół godziny później Amber i Robert zostali rozdzieleni przez tłum ludzi.

- Cecilu, nie żartuj sobie z niego - poprosiła go Amber. - Ja tak bardzo martwię się o Roberta. Dopiero co znów zaczął być sobą, lecz spotkanie z Ottonem bez wątpienia zahamowało cały proces jego powrotu do zdrowia. Powinnam zasugerować mu, żebyśmy wrócili do willi.

- To nierozsądne, moja droga. I bezcelowe - ocenił Cecil. - Przed chwilą widziałem Roberta razem z panem von Brechtem w jednym z saloników przylegających do sali balowej. Sądząc po intensywności ich *tête-à-tête*, cokolwiek powiesz Robertowi, to będzie jak rzucanie grochem o ścianę.

- Byli sam na sam? Przecież Robert stał tu ze mną do chwili, aż Emerald odciągnęła mnie, żeby pokazać mi naszyjnik Daisy Otto może wydawać się teraz sympatyczny, lecz podczas olimpiady w Monachium zupełnie ignorował Roberta.

- No cóż, wygląda na to, że ten młodzieniec próbuje teraz wskrzesić zmarłego. Kiedy ich widziałem, bardzo się starał, żeby tchnąć nowe życie w ich przyjaźń.

- Och, Cecilu, nie mów takich rzeczy, proszę. Robert tak go kocha i...

- Zagryzła usta. Bardzo lubiła Cecila, ale nie na tyle, żeby mu powiedzieć o samobójczej próbie swojego męża.

- Powtórzę raz jeszcze to, co mówiłem już wielokrotnie. Robert jest prawdziwym szczęściarzem, mając u swojego boku taką żonę. Postaraj się więc nie martwić. Z mojego doświadczenia, o ile jest ono coś warte, wynika, że tego typu namiętność karmi się przede wszystkim odrzuceniem

i przekornie nasyca się nawrotem uczuć jednej ze stron. Fakt, że Otto kokietuje teraz twojego męża, może równie dobrze skończyć się wypaleniem tego uczucia ze strony Roberta. Mogę tylko zgadywać, że ta miłość nie będzie już odwzajemniona, a ich związek nie zostanie skonsumowany. A gdy

lato minie, może być już po wszystkim. Nim sierpień dobiegnie końca, wszyscy będą już tęsknić za ożywczym chłodem jesieni, zamiast lepkiego, letniego upału. Rozchmurz się więc, moja droga. Może sama powinnaś wdać się w jakiś niezobowiązujący romansik?

Niezobowiązujący romansik. Gdyby tylko mogła. Ale kiedy w grę wchodziły uczucia, Amber i Robert dzielili tę samą skłonność do bardzo niebezpiecznej prawdziwej namiętności. Różnica polegała tylko na tym, że Amber bała się tego tak bardzo, że odstraszało ją to od ponownego zaangażowania się w podobny ryzykowny związek.

Potańczyła trochę do muzyki granej przez orkiestrę, którą dyrygował przystojny młody Austriak. Uszczknęła symbolicznie jedzenia z bufetu, w którym stoły uginały się pod wszelkiego rodzaju drogimi specjałami, takimi jak przepiórcze jaja i kawior białugi. Zamieniła kilka zdań z dawnymi znajomymi. W końcu zrobiło się późno i ludzie zaczęli się rozchodzić do domów. Amber niechętnie uświadomiła sobie, że będzie musiała poszukać Roberta, którego nie widziała od dłuższego czasu.

- No proszę, czy to nie jej łaskawość księżna?

- Witaj, Henry.

Amber zdobyła się na wymuszony uśmiech. Rysy twarzy Henryego nabrały z czasem ordynarnego, grubo ciosanego charakteru. Włosy przerzedziły mu się i przybrał na wadze. Stojąc przed nią, chwiał się lekko na nogach, i Amber podejrzewała, że musiał wypić więcej niż kilka drinków.

- Beth powiedziała mi, że zatrzymałaś się u niej. Muszę ją znaleźć. Emerald prosiła, żebyś przekazał Beth wiadomość.

- Nie ma już jej.

- Trochę jak za dawnych lat, nieprawdaż? Daj mi znać, kiedy będziesz się wymykać do du Breveoneta, dobrze? Nie chciałbym przegapić takiego spektaklu.

Henry łypał na Amber teraz łakomym spojrzeniem, ukazując swoje pożółkłe i zepsute zęby. Nie próbowała nawet wdawać się z nim w dyskusję. Po prostu wyminęła go i poszła dalej. Henry próbował ją zatrzymać, ale na szczęście w porę zjawiała się Daisy i kilkoro innych gości, którzy stanęli między nimi, dając Amber możliwość ucieczki.

- Widzę, że wciąż cię prześladowuje.

Amber była tak zaskoczona, że zatrzymała się w pół kroku.

Jean-Philippe. Czy widział ją w towarzystwie Henry'ego? Jak długo ją obserwował? Co się z nią w ogóle działo? Pewnie przed chwilą ją zauważył, to wszystko. Po co miałby ją obserwować?

- Niezupełnie. Powiedział mi tylko, że jego siostra z mężem pojechali już do domu.

Czyjej uśmiech i głos sprawiały takie chłodne i lekceważące wrażenie, na jakim jej zależało? Czy to go przekona i zwiedzie? W końcu Jean-Philippe był artystą przyzwyczajonym do zagładania ludziom pod skórę, by wydobyć na światło dzienne prawdę, która pod nią się skrywała.

- Wybacz, muszę znaleźć męża.

Jean-Philippe podał jej ramię i uśmiechnął się szatańsko.

- Pani pozwoli. Amber cofnęła się o krok.

- Mamy wspólnych znajomych.

Jean-Philippe spojrzał wymownie na przeciwległą stronę sali. Amber podążyła za jego wzrokiem i zamarła, widząc Roberta w grupce ludzi, a wśród nich Ottona, Ribbentropów oraz kobietę, która wcześniej stała obok Jeana-Philippea.

W tej sytuacji nie mogła mu już odmówić. To by go tylko rozbawiło i wzbudziło ciekawość innych.

Amber niechętnie wzięła Jeana-Philippe'a pod ramię, starając się zapomnieć jak najszybciej o tym znajomym uczuciu, jakie wywoływał w niej dotyk jego umięśnionego ciała i energetyczny puls jego życia. Wszystko, co dotyczyło Jeana-Philippe'a, było namalowane w jaskrawych kolorach, energicznymi pociągnięciami pędzla. Trudno było wyobrazić sobie jego portret inaczej niż namalowany dynamicznymi i mocnymi farbami olejnymi; próbując skupić się na dużo bezpieczniejszych, niezobowiązujących sprawach, Amber pomyślała, że Picasso na pewno dostrzegłby w Jeanie-Philippie tę naturę niebieskiego ptaka.

To właśnie Herr Ribbentrop osobiście przedstawił Amber towarzysze Jeana-Philippe'a, hrabinie Irenej.

- Mój ojciec pochodzi z Warszawy - powiedziała Irenej, witając się z Amber i taksując ją szybkim spojrzeniem, w którym po chwili widać

było już tylko lekceważenie, po czym zwróciła się beznamiętnym tonem do Jeana-Philippe a:

- Poczęstuj mnie papierosem, skarbie.

Amber zastanawiała się, czy hrabina celowo zdeprecjonowała swojego kochanka, żeby pokazać wszystkim, kto rządzi w tym związku. Jean-Philippe wyjął z kieszeni paczkę sobranie, podał jej papierosa, a potem ogień. A może hrabina po prostu miała taki styl bycia?

Zaciągnąwszy się głęboko papierosem, Irene mówiła dalej.

- Ale z urodzenia jestem Austriaczką, ponieważ ojciec zmarł przed moim przyjściem na świat, a po jego śmierci moja matka wróciła do rodziny do Austrii. Mój zmarły mąż również był Austriakiem. - Irene wypuściła kłęb dymu.

- I wielkim koneserem sztuki.

- Ty z kolei, moja droga Irene, jesteś koneserką artystów - odparł ktoś i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Wszyscy, z wyjątkiem Amber i Jeana-Philippe a.

Amber najchętniej opuściłaby to towarzystwo, ale Robert zatracił się w rozmowie z Ottonem i stał do niej plecami, tak że nie mogła mu w żaden sposób dać tego do zrozumienia.

Tymczasem Jean-Philippe obserwował zaniepokojenie Amber z dużą ciekawością, zastanawiając się nad jego przyczyną. Wiedział, że za jej maską pozornego spokoju kryją się głębokie emocje. Zawsze zdradzała ją twarz, zwłaszcza oczy. Przynajmniej przed nim.

Był przekonany, że w końcu dojdzie do ich spotkania. Pobudził się i mentalnie, i fizycznie, kiedy Beth zdradziła mu, że Amber i jej mąż są w drodze na południe Francji. Rozmyślał nad tym, jak te lata mogły ją zmienić, i teraz musiał przyznać, że Amber robiła na nim wrażenie. Wiedział, że nadal będzie piękną kobietą, miał tego świadomość jako artysta. Gwarantowała to także struktura jej kości. Ale Amber miała w sobie coś więcej niż tylko pospolite piękno.

Nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy

Jak cudownie podniecające i kuszące było to, że Amber nadal nie była świadoma tego uroku, który Jean-Philippe zapamiętał tak dobrze. Dzięki temu dla części mężczyzn, którzy nie znali jej tak jak on, mogło to

oznaczać pozorny brak namiętności. Dla niego jednak był to rodzaj erotycznego szeptu, który świadczył o tym, że ma on do czynienia z kobietą, której namiętności od dłuższego czasu pozostawały uśpione i niezaspokojone. A już na pewno nie przez tego żalostnego Anglika, który próbował ją zdobyć, a na którego umizgi reagowała w ten sam sposób teraz, co kilka lat temu.

Lato, które zaczynało już irytować i nudzić Jeana-Philippea, podobnie jak kobieta, z którą przyszło mu je spędzić, nagle stało się ponętne i pełne możliwości. Pozwolił Irenę uwierzyć, że to ona jest stroną dominującą w ich związku, ponieważ było mu to na rękę. Artysta o wyrafinowanym guście nie mógł utrzymywać się wyłącznie z prowizji od sprzedaży swoich dzieł, potrzebował bogatego sponsora. A z braku współczesnych Medyceuszy musiał zadowolić się hrabiną Irenę, pragnącą społecznego prestiżu, który dawał jej młody kochanek, ale - ku rozbawieniu Jeana-Phi-lippea - bez potrzeby chodzenia z nim do łóżka.

- Robercie, zdaje mi się, że twoja żona chce już nas opuścić - stwierdził Otto, widząc spojrzenie Amber, które starała się przekazać mężowi.

Otto miał szeroki i czarujący uśmiech młodego człowieka o szczerzej i otwartej naturze, którego jedynym celem w życiu była dobra zabawa. Trudno było sobie wyobrazić, że mógł skrzywdzić Roberta w taki sposób, jak to miało miejsce. Amber pomyślała, że może niepotrzebnie jest wobec niego taka podejrzliwa. Może oceniła go niesprawiedliwie? Przecież ludzie się zmieniają.

- Czy pozwoli pani, że skomplementuję jej wygląd? - zapytał.

- To Robert wybrał mi suknię - odparła beztrąsko Amber - więc może komplement należy się jednak jemu?

- Ma pani rację, należy mu się komplement. - Otto uśmiechnął się ponownie. - Za to, że ma tak piękną żonę.

Po tych słowach Otto skłonił się nisko, ucałował wyciągniętą dłoń Amber i strzelił obcasami. Ten młody Niemiec był całą nadzieją Hitlera i modelowym przykładem jego wizji. Przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

- Widzę, że du Breveonet wciąż pogrywa w te swoje gierki - skomentował Robert, kiedy wyszli z przyjęcia i wsiedli do czekającego na nich samochodu.

By dać znać Robertowi, że rozumie, co on ma na myśli, Amber powiedziała lekko:

- Zmieniła się tylko matka chrzestna.

- Obiecałem Ottonowi, że pokażę mu jacht. - Robert błyskawicznie zmienił temat.

Amber spojrzała na niego, ale szybko odwrócił wzrok i wyglądał przez szybę. Celowo? Chciała go błagać, żeby był ostrożny i nie ryzykował kolejnego zawodu, ale czuła instynktownie, że Robert wycofuje się i oddala od niej, tak jak robił to zawsze, kiedy angażował się w związek.

- Pani Pickford, czy mogę zamienić z panią słówko...?

Blanche spojrzała na doktora, który stał, nieco skrzepowany, przestę-pując z nogi na nogę, w drzwiach jej gabinetu.

Odłożyła wieczne pióro i zamknęła księgę rachunkową, którą właśnie przeglądała.

- Pod warunkiem że nie będziemy rozmawiać o tym chińskim bękarcie...

- Nie, chodzi o Gregoryego.

- Doktorze Brookes, jeśli chce mi pan powiedzieć, że Greg za dużo pije... - zaczęła Blanche, ale lekarz przerwał jej, kręcąc głową.

- Nie. To znaczy zgadza się. Ale nie o tym chciałem z panią rozmawiać. Blanche stłumiła ciche westchnienie. Powrót Grega, zamiast ją uszczęśliwić, oznaczał dla niej same zmartwienia.

- Przejdźmy lepiej do biblioteki. Zadzwoń po herbatę.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie ma takiej potrzeby. A więc to coś poważnego - pomyślała Blanche.

- Wie pani coś na temat życia pani wnuka w Hongkongu? - spytał doktor, kiedy już usiedli po dwóch stronach wysokiego okna. Do środka eleganckiego, dwupiętrowego salonu wpadały promienie słoneczne. Galeria z wypolerowanego drewna dębowego wiodła na drugie piętro, a ogień płonący zimą w olbrzymim kominku ogrzewał przyjemnie cały pokój.

Mimo proporcji pomieszczenia udało się zachować zarówno elegancję, jak i komfort. Był to pokój przeznaczony dla mężczyzny, ale Blanche czuła się w nim równie dobrze.

Oprócz skórzanych foteli z wysokimi oparciami, stojących po obu stronach kominka, w pokoju znajdowała się jeszcze sofa Knole oraz kilka



innych krzeseł i foteli, rozstawionych wokół stołu, które zapewniały wygodę ewentualnym molom książkowym. Jednak Blanche nie przepadała za czytaniem. Dlatego przedkładała fotele stojące koło okna, skąd można było ogarnąć wzrokiem rzeczywistość i teraźniejszość, nad meble na środku pokoju, zatopione bardziej w przeszłości.

- Trudno nie wiedzieć o tym, zwłaszcza jeśli ma się przed sobą dowód w postaci dziecka, które stamtąd przywiózł - odpowiedziała na pytanie doktora.

Ciężkie ciemnoczerwone zasłony, na które namówiła ją Amber a będące repliką oryginalnych zasłon stanowiących część projektu budowniczego domu, Vanbrugha, rzucały charakterystyczny blask, który ocieplał najzimniejsze serca i najchłodniejsze dni. Blanche oparła się pokusie, żeby wyciągnąć dłoń i dotknąć bogatej tkaniny

Ale to Amber, a nie ona, miała w zwyczaju gładzić jedwab, jak gdyby była to skóra ukochanego i najcenniejszego dziecka. Zasłony kosztowały zdecydowanie za dużo i Blanche niedługo miała zapłacić kolejną ratę

- Nie wiem, jak mam to pani powiedzieć... Nie jest to dla mnie łatwe - Lekarz był wyraźnie skrepowany - Ale muszę to zrobić, gdyż bardzo się martwię.

Blanche czekała cierpliwie, aż lekarz stoczy ze sobą wewnętrzną walkę.

- Gregory zaraził się nieuleczalną chorobą natury intymnej

Doktor Brookes poczuł, że lekko się poci. To było niewdzięczne zadanie, ale musiał przestrzec Blanche Pickford przed tym, co ją czekało w przyszłości. Dla dobra Gregory ego i wszystkich pozostałych. Chociażby dlatego, że Blanche chciała, aby Greg znalazł sobie żonę.

Doktor powiedział: nieuleczalna choroba natury intymnej Myśli Blanche jakby nieco zwolniły pod wpływem zarówno szoku, jak i niedowierzania. Przypomniała sobie, że Marcus wspominał otwarcie i ze złością o wielu młodych naiwnych żołnierzach, przywożących do domu różne choroby weneryczne, którymi zarazili się od francuskich prostytuttek.

- Jaka to choroba? - spytała rzeczowo.

- Poważna. Syfilis.

- Syfilis? - Blanche wiedziała, co to oznacza. - Jest pan pewien?

- O tyle, o ile to możliwe na tym etapie. Gregory nie przyjmuje do wiadomości mojej diagnozy. Uważa, że chcę go nastraszyć.

- Zakładając, że ma pan rację, czy jest coś, co możemy zrobić?

Czerwień jedwabiu nie przynosiła już ukojenia. Wręcz przeciwnie, była teraz kolorem gniewu i krwi, straconego życia i zmarnowanych nadziei. Jak zwykle jedwab był jej wrogiem. Złodziejem, który ukradł jej wszystko to, na czym jej zależało. Mężczyznę, którego kochała, ukochanego syna, a teraz Grega - zepsutą gałąź uschniętego drzewa, skazaną razem z nim na zniszczenie.

Dla Blanche był to szok, ale zniosła tę wiadomość mężnie, ku zaskoczeniu doktora Brookesa.

- Obawiam się, że nie. Nie ma lekarstwa na syfilis. - Doktor Brookes chciałby mieć do przekazania lepsze wieści. - Na szczęście pani wnuk zaraził się tą chorobą już po przyjsciu na świat Rose, a nie od jej matki. Dziewczynka jest bezpieczna.

- Mam być za to wdzięczna? Ona nic dla mnie nie znaczy. Jest niechcianym bękartem. A Greg to mój wnuk. - Blanche nie chciała dawać lekarzowi dowodu swojej słabości ani rozklejać się przed nim. - Musi być przecież jakieś lekarstwo.

- Nie, nie ma żadnego i nie będę panią okłamywał, że jest inaczej. Widać już fizyczne oznaki pogarszającego się stanu zdrowia, których należy się spodziewać. Szczerze mówiąc, to właśnie one zwróciły moją uwagę.

Blanche wzięła głęboki oddech i odwróciła się twarzą do lekarza.

- Greg jest także uzależniony od opium - powiedziała. - Czy mógł się pan pomylić? Może to właśnie spowodowało te symptomy?

Kiedy Greg wrócił do domu, Blanche z początku starała się ignorować sygnały jego uzależnienia. Jednak po incydencie, kiedy Luc był świadkiem, jak Greg palił opium, Blanche w końcu postanowiła ten fakt zaakceptować. Wtedy wydawało jej się, że nie może już dowiedzieć się o niczym gorszym, jeśli chodzi o jej wnuka. Ale jeśli doktor Brookes miał rację? Jak to możliwe, że jej ukochany syn spłodził kogoś takiego jak Greg?

- Nie - odparł stanowczo doktor, nieumyślnie przerywając jej rozpaczliwe myśli. - Bardzo mi przykro.

Na pewno nie tak przykro, jak mnie - pomyślała zmęczona tym wszystkim Blanche, kiedy lekarz już wyszedł. Dlaczego Greg zachował się tak głupio i lekkomyślnie? Czy lekcja z Carolme Fitton Legh niczego go nie nauczyła? Czy nie uświadomił sobie wtedy że w życiu trzeba ponosić konsekwencje własnych czynów? Wiązała z nim takie plany, tyle nadziei. Małżeństwo Amber z Robertem mogło otworzyć przed Gregiem tyle różnych drzwi. A mając jeszcze do dyspozycji jej pieniądze, Greg mógł zostać wpływowym politykiem. Może nawet premierem, gdyby tylko zechciał. Ale zamiast tego umrze jako szaleniec, zostawiając po sobie nieślubnego bękarta. Teraz dopiero Barrant będzie miał powód do śmiechu

## Rozdział 41

Mamo, spójrz na mój rysunek. Będzie taki jak ten, który dał mi pan Picasso.

Amber posłusznie zerknęła na szkic, który podał jej Luc. Był czarny od węgla, tak jak jego dłonie. Spędzali razem cudowny dzień w Mougins.

Sławny artysta był w doskonałym nastroju, kiedy przedstawił ich sobie Man Ray, z którym wcześniej spotkał się Cecil, żeby zjeść z nim obiad w swojej ulubionej restauracji.

Ostatecznie Cecil i Amber wybrali się na wycieczkę do małego średniowiecznego miasteczka, nie zabierając ze sobą Roberta. Władze niemieckie nie akceptowały współczesnych artystów, których prace - i sposób życia - uważały za zbyt dekadenski. Z tego powodu Otto nie mógł im towarzyszyć, co w efekcie oznaczało, że Robertowi też na tym nie zależało.

Amber nie chciała zabierać Luca, w obawie przed ewentualną obecnością Jeana-Philippea, ale już wcześniej obiecała mu tę wycieczkę. Teraz czuła ulgę, nigdzie nie widząc żadnego śladu jej byłego kochanka.

Spędzili cudownie leniwy dzień, przynajmniej w opinii Amber, która miała szansę zachłysnąć się rozmowami o sztuce prowadzonymi przy obiedzie w restauracji. Uderzyły jej one do głowy bardziej niż wino.

Man Ray zrobił im wszystkim zdjęcia, a potem Cecil - nie chcąc być gorszy - zaproponował to samo. Amber śmiała się i protestowała, kiedy kazał jej pozować z Lukiem w najróżniejszych ujęciach. Obróceni do siebie bokiem i roześmiani. Luc prowadzący Amber za rękę. Jedzący razem lody i ulubione zdjęcie Amber, na którym Luc siedzi u jej stóp, opiera jej ręce na kolanach i uśmiecha się do niej.

- Kochanie, idź lepiej na górę i poproś nianię, żeby umyła ci ręce. Niedługo jedziemy.

Na dzisiaj zaplanowali z Lukiem, Beth i jej dziećmi wyjazd do Grasse. Amber miała pewien pomysł na przyszłoroczną letnią kolekcję - jedwab

w kolorach letnich kwiatów, które zapamiętała z targu w Grasse podczas Pierwszej wizyty, z powtarzającym się wzorem, przypominającym malarstwo Monet. To miała być lekka letnia tkanina, drukowana na zwiewnym jedwabnym woalu, którą będzie się zestawiać z prostą podszewką w dziesięciu odcieniach niewyszukanego koloru, tak aby letnie pomieszczenie -choćby pracownia albo altana - mogło zostać udekorowane różnymi tonacjami tego samego materiału.

Amber myślała już o wykorzystaniu tej tkaniny w oranżerii w Osterby, w różnych odcieniach, od delikatnego brzoskwińowego do głębokiego terakotowego, i miała zam. ar poprosić Cecila o wykonanie kilku *zdjęć* na potrzeby przyszłorocznej wiosennej kampanii reklamowej

Drzw, do niewielkiego saloniku w willi otworzyły się i młodszy kamerdyner, którego zabrali ze sobą z Anglii, zaanonsował pewnym głosem- Wasza książęca mość, przybyła lady Elizabeth McCrea oraz wicehrabia Hollowes.

- Amber, czy to nie cudowne? Zostawiłam dzieci z nianią i przyprowadziłam zamiast nich Henry ego.

Beth wkroczyła do pokoju i uściskała serdecznie Amber. Przez jej ra mię Amber widziała jadowity uśmiech Henry ego i jej czuła zazwyczaj serce nagle stwardniało.

- Wybacz, Beth, ale muszę chyba odwołać te wizyt? - powiedziała przyjaciółce.

Beth cofnęła się o krok i wykrzyknęła z rozczarowaniem w głosie- Och Amber! Biedny Henry tak bardzo liczył, że uda ci się go rozweselić. Prawda, Henry?

- Widocznie Amber ma w planach jakieś mnie, ważniejsze spotkanie W końcu ma tutaj tylu starych znajomych.

Jestem pewien, że na przykład Jean-Philippe byłby zachwycony, gdyby znów mu pozowała

Amber zignorowała ten złośliwy komentarz i powiedziała- Obawiam się, że Luc nie czuje się dobrze i powinnam raczej zostać przy nim.

- No cóż, oczywiście.

Amber modliła się, żeby tylko Luc nie zszedł na dół, demaskując jej kłamstwo.

- Proszę, wybaczcie mi na chwilę. Muszę sprawdzić, czy kucharka wysłała mu na górę gorące mleko z miodem. W holu natknęła się na młodszego kamerdynera, którego poprosiła dyskretnie, żeby przekazał wiadomość niani, aby Luc nie schodził przez jakiś czas na dół.

- Jeszcze raz przepraszam za tę sytuację. - Amber uśmiechnęła się, kiedy wróciła do salonu. - Żałuję, że nie mogę pojechać z wami do Grasse.

To akurat była prawda.

- Rozumiem, że Robert wypłynął gdzieś swoim jachtem? - zapytała Beth.

Byli na południu Francji już ponad miesiąc, a Robert spędzał coraz więcej czasu z Ottonem, który sprawiał wrażenie zachwyconego wspólnymi rejsami.

- Tak. Zrobił się z niego prawdziwy wilk morski - przytaknęła Amber, mając nadzieję, że Beth i Henry wkrótce wyjdą.

Amber zdecydowała, że odwiedzi Grasse na własną rękę. Może uda jej się nakłonić Cecila, żeby z nią tam pojechał. Zadzwoiła po odźwiernego, żeby odprowadził Henry'ego i Beth do drzwi.

- Ale przyjdiesz dziś wieczorem na przyjęcie u Anstrutherów? - upewniła się Beth.

- Jestem pewien, że Amber nie przegapi takiej okazji. W końcu ona i Jean-Philippe to starzy... znajomi - wtrącił się Henry.

- Nie nazwałabym tego w ten sposób. Pozowałam mu do portretu. To wszystko. Poza tym zrobiłam to na życzenie twojej matki, Henry - wytknęła mu Amber bezceremonialnie.

Beth zachichotała nerwowo pod nosem.

- Henry, ależ z ciebie łobuz, przestań dokuczać Amber!

Beth i Henry wreszcie sobie poszli. Amber była zbyt zdenerwowana, żeby usiąść nad projektem nowego materiału. A Luc oczywiście poczuł się rozczarowany, kiedy poinformowała go o zmianie planów.

Miała wyrzuty sumienia, że trzyma Luca w zamknięciu, więc zaproponowała mu wspólne wyjście na publiczną plażę.

- A będę mógł się popluskać w morzu? - spytał.

- Zobaczymy - powiedział Amber.

Ich wspólne popołudnie dość nieoczekiwanie okazało się przyjemne. Luc był takim inteligentnym dzieckiem. Zadawał mnóstwo pytań i śmiał się, kiedy wędrowali brzegiem morza, a wyższa niż zwykle fala zaskakiwała Amber, mocząc rąbek turkusowej prostej lnianej sukienki, którą miała na sobie.

Ponieważ mieli całą plażę dla siebie, Amber pozwoliła sobie zdjąć sandały i podwinąć sukienkę. Pluskała się w wodzie z synem i oddawała dawno zapomnianej przyjemności zanurzania palców stóp w rozgrzanym od słońca piasku, podczas gdy morze droczyło się z nimi i pieniało wokół nich.

Potem usiadła na skale, by pilnować skarbów, które układał obok niej Luc: błyszczących płaskich kamieni, muszelek, wodorostów oraz - to najcenniejsze trofeum - małej rybki, którą przyniósł w dłoniach i zostawił w małej naturalnej sadzawce otoczonej skałami.

Oto szczęście w najczystszej, najbardziej idealnej postaci - pomyślała leniwie Amber. Ciepłe promienie słońca i hojne dary natury, w tym najcenniejszy z nich - śmiech kochanego dziecka.

- To twój syn?

Głos Jeana-Philippe'a wyrwał Amber z zamyślenia i przestraszył ją. Jeszcze przed chwilą plaża była pusta, a mimo to zdołał się jakoś prześlizgnąć niezauważony

- Tak, to moje dziecko - przytaknęła szybko; wypieranie się Luca nie miało przecież żadnego sensu.

- Nie wyglądasz na zachwyconą moją obecnością - zażartował Jean-Philippe.

- Nic dziwnego. Zakradłeś się za moimi plecami i wystraszyłeś mnie na śmierć - zarzuciła mu Amber.

Czuła się skrepowana świadomością, że Jean-Philippe ich obserwował. Ale on tylko wzruszył lekko ramionami.

- Widziałem was już wcześniej, kiedy moczyliście się w wodzie - powiedział, po czym dodał szybko: - *Certainement* jest do ciebie bardzo podobny

Do mnie? Amber ogarnęło uczucie, które przepełniło ją wdzięcznością i jednocześnie sprawiło, że ugięły się pod nią kolana.

- Większość ludzi uważa, że jest bardziej podobny do Roberta.

- Ma maniery twojego męża i jego karnację, ale budową ciała przypomina ciebie.

Amber spojrzała w kierunku Luca, pragnąc za wszelką cenę, żeby do niej wrócił. Ale Lue był do niej odwrócony plecami i kucając, pokazywał coś małej ładnej dziewczynce w różowym kostiumie kąpielowym, która od pół godziny nie odstępowała go na krok.

- Kochałem cię, wiesz o tym?

Serce zatrzepotało Amber mocno w piersi. W sobie tylko znany sposób Jean-Philippe zdołał wziąć ją za rękę, którą trzymał teraz pewnie, siedząc na piasku obok Amber i chroniąc ją przed widokiem osób postronnych.

- Mówię prawdę. Kochałem cię.

- Nie powinieneś odzywać się do mnie w ten sposób - zaprotestowała Amber, która czuła się teraz jak siedemnastolatka, a nie jak kobieta i matka.

- Dlaczego nie? Czy to komuś zaszkodzi?

Lekko szyderczy ton w głosie Jeana-Philippea ostrzegł Amber, że wie doskonale, jaką krzywdę może wyrządzić takim wyznaniem.

- Muszę już iść. Robert zacznie się zastanawiać, gdzie jesteśmy. Jean-Philippe roześmiał się aksamitnym głosem.

- Ach, *ma pauvre* Amber. Zdaje się, że cię spłoszyłem. Nie miałem takiego zamiaru.

Wciąż trzymał ją za rękę i w pewnym momencie podniósł ją do ust.

Znajoma tęsknota i pragnienie czyniły ją teraz bezbronną, tak jak morski przypływ zabierał wcześniej piasek spod jej stóp. Obydwa te doznania były równie przyjemne. Czy pocałuje po kolei każdy z jej palców, tak jak to robił kiedyś? Czy...

- Mamusiu, zobacz. Złowiłem kolejną rybkę.

Przelotne muśnięcie ustami jej dłoni i na tym koniec. Amber była wolna. Mogła znów poczuć ulgę - i rozczarowanie? Luc przyglądał się Jeanowi-Philippe owi z mieszaniną ciekawości i podejrzliwości. W innych okolicznościach rozbawiłoby to Amber.

Tak spokojnie, jak tylko potrafiła, przedstawiła ich sobie, po czym obserwowała, jak jej syn dał się oczarować, gdy Jean-Philippe zwrócił się do



niego jak równego sobie, a potem pokazał mu magiczną sztuczkę z małą monetą znikającą i pojawiającą się za uchem Luca, którą wykonał jednym wprawnym ruchem dłoni.

Z taką samą wprawą i tymi samymi dłońmi ukradł jej serce lata temu. Amber nie mogła pozwolić, żeby teraz usidlił jej syna. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była jakakolwiek więź łącząca Luca z mężczyzną, który go spłodził. Serce Amber zadrżało z wielkiego niepokoju.

To doznanie - pragnienie - rozkwitło w niej, budząc się do życia i dając o sobie znać tak leniwie, że z początku w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy, lecz boleśnie twardniejące sutki i podniecenie połączone z wyczekiwaniem, które wywoływało uśmiech na jej ustach, zwiastowały jego nadejście. Ale bardzo szybko to pragnienie urosło w siłę i stało się uporczywym zgiełkiem, który wypełniał jej czaszkę niebezpiecznymi obrazami ciemnego pokoju i pary męskich dłoni na jej nagim ciele. Takie wizje jeszcze bardziej wzmagaly pożądanie, torturując Amber pozornie beztroskim dotykiem, tak że marzyła o dogłębnej penetracji, jęczała i wiła się na łóżku, rozkładając nogi i zapraszając tego mężczyznę do środka, marząc, by wszedł w nią z całych sił i wypełnił tę pustkę, która głośno domagała się zaspokojenia.

Własny bolesny krzyk wyrwał Amber ze snu. Była w łóżku, w pogrążonej w ciemności sypialni. Leżała na plecach z głośno bijącym sercem. Rozkopane prześcieradła leżały obok, a jej dłoń zawędrowała między uda i spoczywała na łonie. Spoczywała? Amber paliła się ze wstydu i poczucia winy. Minęło kilka lat od momentu, w którym zdarzyło jej się to po raz ostatni. Od kiedy tłumione pragnienie kobiecości zerwało kajdany, które sama sobie nałożyła, i domagało się spełnienia, ubezwłasnowolniając Amber. Za pierwszym razem nie mogła uwierzyć, że obudził ją pulsujący orgazm, a w głowie wciąż kołatały mgliste obrazy ze snu. A potem, niechętnie i w poczuciu winy, zaklinając się za każdym razem, że więcej tego nie zrobi, Amber nauczyła się łagodzić ten ból i pragnienie płonące wewnątrz jej ciała własnymi palcami. Akt samozaspokojenia. Wstydlivy grzech braku umiaru.

Serce wciąż waliło jej jak młotem, kiedy zszokowana zdała sobie sprawę, co właściwie robi. Jej palce przywarły mocniej do wzgórka łonowego,

a potem zjechały niżej, wślizgując się prędko w to miejsce jak złodziej pod osłoną nocy, który ukradkiem znajduje niestrzeżone i sobie tylko znane wejście. Ruchy, które potem nastąpiły, były jej już dobrze znane: szybkie, ciche i wprawne. Umysł Amber, podobnie jak wszystkie jej zmysły, pozostawał wyostrzony na jakiegokolwiek dźwięki zza drzwi, które mogłyby doprowadzić do zdemaskowania jej. W końcu koniuszek palca wskazującego znalazł to magiczne miejsce. Ach... Tak, co za rozkosz, tak... Amber czuła, jak to uczucie przybiera na sile, trzęsie nią, chwytając ją w żelaznym uścisku i wznosi się razem z nią na wyżyny rozkoszy, by w końcu zabrać ją w otchłań, która leżała za stłumionymi okrzykami i drzeniem całego ciała towarzyszącym orgazmowi.

- Wczoraj była tutaj Cassandra. Mówiła mi, że Greg Pickford pije na umór i jeszcze więcej. Czy to prawda? Jay popatrzył na dziadka.

- Tak - odparł szorstko.

Jay nie miał najmniejszego zamiaru dzielić z dziadkiem jego triumfu nad trudną sytuacją Grega i rozpaczą Blanche. Jednakże kiedy Barrant odezwał się znowu, w jego głosie nie słychać było cienia satysfakcji. Powiedział tylko:

- Jestem pewien, że Blanche bardzo to przeżywa. Wiązała z nim ogromne nadzieje. - Przerwał na chwilę, po czym kontynuował: - Poradziłem Cassandrze, żeby zadbała z mężem o syna, zamiast tracić czas na plotkowanie.

Jay musiał ukryć swoje zdziwienie. Zazwyczaj jego dziadek był zachwycony, kiedy słyszał cokolwiek, co stawiało Pickfordów w niekorzystnym świetle.

- A co z twoją żoną, Jay? Cassandra twierdzi, że odebrało jej rozum.

Jay zdołał pohamować swoje emocje. Nie było sensu tracić nad sobą panowania i przejmować się tym, co mówi dziadek. Takt nigdy nie był mocną stroną Barranta. Nie był on też odpowiedzialny zarówno za stan psychiczny Lydii, jak i plotki Cassandry na jej temat.

\*

\*\*

- Nie, nie chcę już tego więcej robić, Cassandro.

Rozdrażniony głos działał na Cassandrę jak źle naoliwiona piła. W końcu to ona, nie Lydia kontrolowała ten związek. Ale ostatnio Lydia dawała dowód swojego uporu, a czasem wręcz kategorycznie odmawiała tego, czego oczekiwała od niej Cassandra.

Przypominanie o łączącej je „miłości”, które kiedyś w zupełności wystarczyło, żeby Lydia była jej całkiem uległa, przestało już widocznie wystarczać. Ale Cassandra wiedziała, że ma jeszcze w zanadrzu cały arsenał ostrzeżeń i gróźb.

- Kochanie, jesteś niemądra - zaczęła Cassandra, wstając z łóżka, na którym leżała naga przez ostatnie dwadzieścia minut, próbując namówić Lydię, która wciąż jeszcze była ubrana i stała przy drzwiach, przyjmując obronną postawę, by do niej dołączyła. - Chodzi mi o to, że gdyby Jay dowiedział się, oczywiście przypadkiem, jak się tu ze mną zabawiałaś, jak myślisz, co by zrobił? - Cassandra uśmiechnęła się zachęcająco, czekając, aż Lydia sama dojdzie do odpowiedniego wniosku, po czym ulegnie jej.

- Jay mnie kocha.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała Cassandra.

- Naprawdę? A może tylko tak mówi, Lydio?

- Tak, mówi mi to. A kiedy ja mu powiem, do czego mnie zmuszałaś, wtedy dopiero będzie na ciebie wściekły. Cassandra zmarszczyła brwi. Nie tak to sobie wyobrażała. To ona miała wystarczającą moc, żeby grozić Lydii, a nie na odwrót. Jeżeli Lydia sądziła, że Jay stanie w jej obronie i będzie ją chronić, musiała być naprawdę szalona. Ale Lydia była szalona, czemu dawała wystarczający dowód, kiedy zachowywała się jak uparte dziecko. Tak jak teraz, kiedy nie sposób było z nią polemizować, ale też nie dawała się zastraszyć. W tej chwili Jay był dla Lydii wybawcą i autorytetem, niezdolnym zrobić nic złego, w odróżnieniu od „złej i niegrzecznej” Cassandry.

Cassandra przypominała sobie jednak, że już wcześniej miała do czynienia z takimi humorami Lydii. Wiedziała, że szybko jej przejdzie.

Ale po raz pierwszy Lydia zagroziła wprost, że powie Jayowi o ich związku. Gdyby mężem Lydii był ktoś inny, Cassandra zdołałaby go prze-

konać, że jego żona jest w błędzie i nie wie, co mówi. Ale Jay uwierzyłby Lydii. Potrafił też przejrzeć Cassandrę, i to ją przerażało.

- Lydio, kochanie... - zaczęła się przymilać. Lydia odwróciła się i otworzyła drzwi do sypialni.

- Lydio! - Cassandra ostrzegła ją, tym razem mniej grzecznie.

Ale było już za późno. Lydia zniknęła. Klnąc siarczyście pod nosem i czerwieniąc się ze złości, Cassandra zaczęła się ubierać.

To wszystko wina Grega Pickforda. Gdyby nie stanął między nimi, Caroline wciąż by żyła.

Caroline. Jej jedyna prawdziwa miłość.

Cassandra usiadła na łóżku. Tak bardzo kochała Caroline. Dlaczego Caro nie zrobiła tego, o co tak ją błagała? Nadal by żyła.

Czasem w nocy, tuż po zaśnięciu Cassandra słyszała głos Caroline, który nawoływał ją i błagał o pomoc, kiedy błoto wciągało ją coraz głębiej, a ona walczyła rozpaczliwie, by się z niego wydostać.

Aby przeżyć, wystarczyło obiecać, że pozbędzie się tego, co pozostawił w niej Greg Pickford. To wszystko.

Cassandra błagała Caroline, żeby to zrobiła. Powiedziała, że to będzie dla niej dowód łączącej ich miłości. Ale Caroline odmówiła. Teraz nie żyła, a Cassandra była samotna. W swojej naiwności ludziła się, że ktoś taki jak Lydia może zająć miejsce Caroline. Popatrzyła na kajdanki, których Lydia nie chciała założyć. Od tego zaczęła się ich kłótnia.

Niech idzie i doniesie Jayowi. I co on jej zrobi? Nic. Ale Cassandra żałowała, że nie była wystarczająco szybka.

Powinna powiedzieć Lydii, że widziała, jak Jay całował się z Amber, i spytać ją, czy nadal uważa, że Jay ją kocha. A gdyby to nie zadziało, powinna przypomnieć Lydii o zdjęciach, które jej zrobiła. Uśmiechając się pod nosem, Cassandra skończyła się ubierać. Przez okno widziała, jak szofer podstawia samochód, do którego wsiada Lydia.

Mądra Lydia - że też o tym pomyślała. Trzeba ją jakoś za to wynagrodzić - następnym razem.

Cassandra nie miała najmniejszych wątpliwości, że następny raz nastąpi.

## Rozdział 42

Kiedy młodszy kamerdyner wpuścił Amber do domu, od razu usłyszała męski śmiech dobiegający z małego pokoiku na dole, który Robert zaadaptował do swoich potrzeb.

Drzwi otworzyły się i ze środka wyszedł Robert w towarzystwie Ottona. Obejmował go ramieniem. Obaj byli w doskonałym humorze.

Otto, skrupulatny jak zwykle, skłonił się lekko na widok Amber, zwracając się przy tym do Roberta:

- Jesteś naprawdę taki dobry i szczodry.

- Ależ skąd! Dla ciebie nie można być wystarczająco dobrym ani zbyt szczodrym. Wiesz o tym.

Robert trzymał Ottona za rękę. Uśmiechali się do siebie, nie zwracając zupełnie uwagi na Amber.

- Jesteś dla mnie taki dobry.

- Mój najdroższy chłopcze.

Cisza, która zapadła po tych słowach, drażniła Amber jeszcze bardziej niż to, co do siebie mówili. Robert promieniał szczęściem, które rozganiało wszystkie stare cienie, wiszące nad jego głową. Wyglądał znacznie młodziej, choć oczywiście nie tak młodo jak Otto.

Obaj byli bez marynarek i Robert, jak gdyby nie mogąc się powstrzymać, pogłaskał Ottona po rękę w geście bezradnego uwielbienia, zanim położył mu dłoń na ramieniu. Otto podniósł drugą rękę i też ścisnął Roberta za ramię, chociaż w jego geście brakowało zaangażowania i uzależnienia, jakie okazywał mu Robert. Nie było najmniejszej wątpliwości, kto z tej dwójki kocha, a kto jest kochany.

Czy jestem niesprawiedliwa? - zastanowiła się Amber. Robert był pijany ze szczęścia, a Otto był dla niego dobry. Dowodziło tego ich rozbawienie i świetny nastrój.

- Wieczorem zabiorę cię do kasyna, ale będę nalegał, żebyś przegrał - powiedział delikatnym tonem Robert.

- Czy to dlatego, że zgodnie ze starym porzekadłem, kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma szczęście w miłości? - zażartował Otto. - Nie muszę przegrywać przy stołach w kasynie, żeby o tym wiedzieć. Jestem więcej niż szczęśliwy w miłości, Robercie. Jestem nią upojony i mam większe szczęście niż ktokolwiek na świecie. Do zobaczenia wieczorem.

Otto wyszedł, a Robert chodził po salonie z błogim uśmiechem na twarzy, nie słuchając w ogóle, co ma mu do powiedzenia Amber.

Byli we Francji już prawie miesiąc. Po tym jak Amber odmówiła kilku wspólnych wyjść, obawiając się towarzystwa Henry'ego, Beth nabrała do niej chłodnego dystansu. Ale nic nie powiedziała.

Nie było też więcej przypadkowych spotkań z Jeanem-Philippeem, chociaż Amber i Luc spędzali wiele beztrudnych popołudni na plaży. Nie znaczyło to jednak wcale, że Amber nie widywała się z nim czy nie spędzała czasu w jego towarzystwie. Wręcz przeciwnie.

Robert był tak bezgranicznie zadurzony w Ottonie, że na wieczornych przyjęciach nie odstępował na krok tego młodzieńca, otoczonego wianuszkami Niemców i ich zwolenników. Wśród nich była hrabina Irene, jej szwagier, który był wysokim rangą oficerem SS, i oczywiście Jean-Philippe. Amber musiała się więc zadowolić własnym towarzystwem.

Amber wydawało się, że Jean-Philippe zabiega o jej uwagę. Czy robił to dlatego, że lubił się z nią droczyć, czy też naprawdę mu na niej zależało? Na wszelki wypadek wolała przyjąć tę pierwszą ewentualność.

Nie dalej jak wczoraj po kolacji, którą zjedli w willi wynajmowanej przez Irene, Jean-Philippe nachylił się i szepnął jej do ucha.

- Dlaczego tak się mnie boisz, gdy próbuję się do ciebie zbliżyć?

- Nie boję się - zaprzeczyła.

- W takim razie wyjdź teraz ze mną do ogrodu - poprosił Jean-Philippe.

- Nie boję się ciebie - powtórzyła Amber. - Po prostu nie mam ochoty, żebyś się do mnie zbliżał.

- Nie masz ochoty, za to nieodparte pragnienie, om? - wyszeptał. - Tak nieodparte jak to, które ja czuję do ciebie.

Amber przypomniła sobie te słowa, stojąc przed oknem wychodzącym z salonu na port. Wywoływały one w niej mieszaninę wyrzutów sumienia i poczucia wstydu, ponieważ Jean-Philippe miał rację. Wbrew wszelkim racjonalnym przesłankom pożałowała go. I to bardzo.

Może to wina tego leniwego, zmysłowego ciepła, jakie panowało na południu. A może fakt, że gdy ujrzała Jeana-Philippe'a po tak długiej przerwie, wróciły wspomnienia z czasów, gdy Amber była młoda, a jej namiętność spełniona. A może czuła się tak dlatego, że wiedziała, iż Jay, którego kochała bezgranicznie, nigdy nie będzie należał do niej, a już na pewno nie jako kochanek. A może najzwyczajniej chodziło o życie w celibacie, które trwało zbyt długo. Bez względu na to, który z tych powodów przeważał, Amber skrecała się nocami z tęsknoty, a za dnia nie czuła się o wiele lepiej.

Ostatniej nocy Amber robiła wszystko, żeby nie myśleć o Jayu i nie tęsknić za nim; próbowała już wielokrotnie i zawsze przegrywała tę walkę. Teraz jednak, gdy miała Jeana-Philippe'a na wyciągnięcie dłoni i czuła wokół siebie jego zapach, jej ciało zaczęło się poddawać. Ciało któremu tak długo odmawiano prawa do Jaya, przypomniło sobie swoją młodość i Jeana-Philippe'a, z którym tę młodość dzieliło. Na samą myśl o Jeanie-Philippie Amber czuła teraz najbardziej wstydlive pragnienie, podczas gdy ból niespełnionej miłości do Jaya wiódł ją w kierunku nieznanego dotąd stanu lekkomyślności. Z Jeanem-Philippe'em nie groziło jej żadne emocjonalne niebezpieczeństwo. A kto wie może zaspokajając fizyczne pożądanie, które płonęło w niej, od kiedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że kocha Jaya, zdoła wręcz ukoić ból tęsknoty za nim.

Z Jeanem-Philippe'em Amber nie będzie samotna. Czy on był świadomy, jak bardzo ona go pragnie? Amber mało nie roześmiała się na głos zadając sobie to pytanie. Oczywiście, że Jean-Philippe o tym wiedział i karmił się jej pożądaniem, mając nadzieję na owocne żniwa.

Spojrzała na Roberta i poczuła, jak jej egoistyczne uczucia ustępują miejsca trosce o niego.

- Wiem, jak bardzo cenisz sobie towarzystwo Ottona, ale czy naprawdę uważasz, że to roztropne spędzać z nim tak dużo czasu?

- Roztropne? Nie o roztropność tu idzie, lecz o pożądanie, które mną kieruje. Amber, to jest pragnienie miłości. Miłości Ottona. Wiem, co sobie myślisz, ale mylisz się. Widziałas go wcześniej. Zauważyłaś na pewno, jak bardzo się zmienił i jak dobrze nam się teraz układa.

Amber usłyszała w głosie Roberta cień wyzwania. Czy gepard jest w stanie zrzucić swoje cętki? Może nie. Ale miłość to dobrze znany feniks, a jeśli Otto rzeczywiście kochał Roberta, istniała możliwość, że ta miłość faktycznie go odmieniła.

- Błagam, bądź ostrożny - poprosiła.

- Amber, nie jestem Lukiem. Jestem mężczyzną. - Robert tracił cierpliwość. Czy dlatego, że Amber kwestionowała jego opinię na temat Ottona, czy może dlatego, że sam nie miał do niego takiego zaufania, jakiego pragnął ze strony Amber? - Nie chcę więcej dyskutować na ten temat. I nie zamierzam tolerować twojego kwestionowania uczuć Ottona do mnie ani moich do niego.

Teraz Robert był już naprawdę zły, co znaczyło, że przez resztę wieczoru będzie się na nią bocył.

Amber nie wiązała większych nadziei z tym wieczorem. Klimat w kasynach zmieniał ludzi, wywołując u nich najbardziej pierwotne, chciwe instynkty.

Amber rzadko uprawiała hazard. Po prostu nie lubiła go. Wszystko, co się z nim wiązało, przerażało ją i odrzucało. Było jeszcze jednym niebezpiecznym uzależnieniem niszczącym ludzi, tak jak alkohol i narkotyki. A miłość do niewłaściwej osoby?

Ależ rodzaj ludzki jest słaby i wrażliwy - pomyślała ze smutkiem.

Amber i Robert wyszli z domu trochę później, niż planowali. Gdy dotarli do kasyna i znaleźli Ottona przy jednym ze stołów do gry, w środku kłębił się już tłum ludzi.

Niedaleko siedziała Emerald Cunard z diamentowymi bransoletami na rękach. Był tam też Aga Khan i kilka kobiet, które słyneły z zamiłowania do hazardu, a ich zacięte twarze wyrażały jednocześnie podniecenie i strach.

Robert zajął miejsce obok Ottona. Obserwując ukradkowe uśmiechy, jakie wymienili między sobą, Amber westchnęła w duszy. Dzisiaj miała na



sobie nową sukienkę w kolorze, który korespondował idealnie z jej imieniem. Lekka opalenizna podkreślała dodatkowo pełnię tego koloru i Amber widziała w lustrze w sypialni, że sukienka nadaje jej oczom niezwyklego blasku.

- Piękna.

Amber poezuła na swoim odsłoniętym ramieniu i jego oddechu Jean-Philippe stał za jej plecami, a ich odbicia zlewały się w lustrach na przeciwległej ścianie.

- Wyglądasz jak ożywiony posąg, którego zmysłowości nie oprze się żaden mężczyzna. Mam ochotę rozpakować cię jak wyjątkowy prezent Karmiąc tobą wszystkie moje zmysły

Krupier poprosił o rozpoczęcie zakładów. Amber zobaczyła, jak Robert dyskretnie podsuwa Ottonowi żetony Nie powinno jej to obchodzić czy mąż zamierza sponsorować swojego młodego kochanka. Było go na to stać.

- Myślę, że hrabina Irene cię oczekuje - odpowiedziała Amber nie wzruszonym tonem, odwracając się do mego plecami i udając zainteresowanie zakładem Roberta.

W tym momencie podeszła do nich Beth z Ahstairem - i Henrym

- Amber, nie przypomina ci to czasów, kiedy byliśmy dużo młodsze? Pamiętasz, jak wygrałaś, kiedy mamusia i tatuś nas tutaj zabrali? Nie idź proszę - zaprotestowała Beth. - Usiądź z Henrym i daj mu trochę szczęścia - poprosiła, po czym zwróciła się do brata: - Tu jesteś, Henry. Na pewno Amber będzie zachwycona, mogąc pobyć z tobą. A my w tym czasie zjemy kolację.

Amber była w potrzasku, a triumfalne spojrzenie Henry ego świadczyło o tym, że , on zdaje sobie z tego sprawę. Kiedy przy niej siadał, niby mimochodem dotknął jej łydki, po czym przeprosił ją nieszczerze Czuła zapach jego potu - lekko kwaśny i nieprzyjemnie intymny Godzinę później miała ochotę jak najszybciej stąd uciec, mimo iż Henry na szczęście gdzieś sobie poszedł, a w zasadzie został odciągnięty przez Beth.

Ludzie dosiadali się do stolika, a potem odchodzili, zostawiając przy mm tylko najbardziej zagorzałych hazardzistów.

Krupier wezwał do nowych zakładów. Wokół stołu zaczęła się gromadzić niewielka widownia. Śmiejąc się na głos, Emerald Cunard zdjęła jedną ze swoich bransolet i rzuciła ją na środek stołu. Sterta żetonów przed Robertem stale rosła. Aga Khan przyglądał się grze z wielką uwagą, hrabina Irene zaś skupiła swój wzrok na bransolecie.

Robert skinął na kelnera i zamówił więcej szampana. Ładna dziewczyna po drugiej stronie stołu zrobiła kapryśną minę, po czym nachyliła się w stronę Roberta, trzymając w ręce pusty kieliszek. Dekolt w jej satynowej sukni był tak głęboki, że odsłaniał niemal w całości jej piersi. Amber rozpoznała w niej pewną dobrze zapowiadającą się amerykańską aktorkę. Towarzyszący jej wyraźnie starszy muskularny mężczyzna wytrącił kieliszek z szampanem z jej dłoni i odciągnął ją od stołu. Kobieta zaczęła krzyczeć. Desperacja i chciwość chodzą tutaj pod rękę - pomyślała Amber, czując, jak zaczyna ją boleć głowa.

Odwróciła się do Roberta i powiedziała dyskretnie:

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym już wyjść. Nie czuję się najlepiej. Wezmę samochód, a potem przyślę go po ciebie.

Robert skinął głową. Był zbyt pochłonięty towarzystwem Ottona, żeby przejmować się tym, co robi Amber, która widząc to, skierowała się w stronę wyjścia i szatni.

Było jeszcze za wcześnie, by iść spać. Amber poszła więc do salonu, odmawiając, kiedy młodszy kamerdyner zapytał, czy czegoś sobie życzy.

Powinna napisać do babci. A do Jaya? Chciała to zrobić, ale ich listy miały teraz wyłącznie biznesowy charakter. Każde słowo, które do niego pisała, musiało być idealnie wyważone i głęboko przemyślane. Każdy list nosił brzemie cierpienia wywołanego przez to, co się wtedy stało i co Amber naprawdę czuła. Czasami zastanawiała się, czy faktycznie nie byłoby lepiej, gdyby zerwali ze sobą wszelkie kontakty, zamiast wykrwawiać się z wielu małych ran. Ale zawsze wtedy ogarniała ją panika, że już nigdy go nie usłyszy.

To było jej osobiste uzależnienie i prywatna forma piekła. Czasem najbardziej na świecie pragnęła, by móc cofnąć czas do dni swojej młodości i niewinności, kiedy jej relacje z Jayem nie były spowite takim mrocznym

cieniem, a ona mogła mu się ze wszystkiego zwierzać w listach i z drżą Cym sercem oczekiwać od niego odpowiedzi. Ta niewinność gdzieś zniknęła. Amber była teraz mężatką i matką, która nie miała żadnego powodu, żeby tęsknić za czasami młodości i niewinnością małej dziewczynki. A już na pewno nie miała prawa, by to robić. Kiedy drzwi do salonu otworzyły się, Amber była pewna, że to młodszy kamerdyner zajrzał do niej, zaniepokojony jej brakiem apetytu. Tymczasem, ku swemu przerażeniu, ujrzała w drzwiach Henryego, który wyściszył zęby w uśmiechu i powiedział:

- Powiedziałem temu durniowi, że mnie oczekujesz i że nie musi mnie anonsować. Bo przecież to prawda, przyznasz chyba, Amber? Oczekiwałaś mnie, nieprawdaż?

Kiedy Henry mówił, Amber dyskretnie przesuwała się w stronę dzwonka na kominku. Udało już jej się go prawie dosięgnąć, kiedy Henry nagle odkrył jej zamiary i ubiegł ją. Złapał Amber i obrócił tak gwałtownie, że uderzyła plecami o ścianę.

- To bardzo nierozważne z twojej strony, kochanie. Tym bardziej że przecież chcesz być ze mną sam na sam.

Henry pił alkohol. Amber czuła bijący od niego odór.

- Naprawdę uważam, że powinieneś stąd wyjść.

- Naprawdę? Niestety wcale nie mam takiego zamiaru. W każdym razie jeszcze nie teraz. Czy wpuściłaś już do domu du Breveoneta? Zrobiliście to? Obserwowałem was, ale Beth wciąż mi przeszkadzała i ciągała mnie po całej sali. Podobało ci się, tak jak za pierwszym razem? Na pewno, przyznaj się. Te wszystkie małe westchnięcia i jęki, zwłaszcza gdy...

- Przestań natychmiast!

Amber najchętniej zakryłaby sobie uszy dłońmi, gdyby Henry nie trzymał ich w żelaznym uścisku.

- O co ci chodzi? Przecież nikt nas nie usłyszy. Lokaj tu nie wejdzie. Postarałem się o to. Nieźle obrósł w piórka. A może du Breveonet tu nie zagląda? Może to ty wymykasz się do niego?

- Nie spotykam się z Jeanem-Philippeem.

- No cóż, to nie ma żadnego znaczenia. - Henry spowaźniał. - Jesteś mi coś winna. Wiesz co, prawda, Amber? Masz wobec mnie bardzo duży dług, i to z odsetkami. Nećiłaś mnie i kusiłaś. Podniecałaś mnie.

To mówiąc, Henry puścił jej rękę, złapał z przodu za sukienkę i pociągnął mocno w dół. Materiał nie poddał się jednak i Henry musiał użyć większej siły, żeby zdjąć z Amber sukienkę, obnażając jej nagie piersi. Próbowwała się zakryć wolną ręką, ale Henry odepchnął ją, śmiejąc się z jej wstydu.

- W towarzystwie malarza nie byłaś taka cnotliwa. Przestań mnie uwodzić.

Oddychał ciężko i nie spuszczał wzroku z jej obnażonego biustu.

Próbowwała uwolnić się z jego uścisku, lecz zaniemówiła z przerażenia, kiedy Henry uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Siła ciosu była tak duża, że Amber odskoczyła do tyłu szyja.

Poczuła na piersiach jego gorący oddech, kiedy Henry uszczypnął ją w sutek, a potem zatopił usta w jej miękkim ciele.

Wstrząsnęła nią odraza przysłaniająca fizyczny ból. Chciała zamknąć oczy i wyrzucić z pamięci jego obraz, ale instynkt podpowiedział, że nie wolno jej tego zrobić i że musi walczyć. Kopnęła Henryego w kostki, a potem - przypominając sobie lekcję, której udzielił jej kiedyś Greg -podniosła kolano i z całej siły wycelowała w krocze. W odpowiedzi Henry uderzył ją boleśnie w pierś, a potem potrząsnął nią brutalnie. Zaczął wlec ją w stronę sofy, podczas gdy Amber nie przestawała stawiać oporu. W końcu kopniakiem ściał ją z nóg i upadła - częściowo na sofę, częściowo na podłogę. Czowała, jak próbuje rozedrzeć jej suknię, po czym podciąga ją do góry, gdy mu się to nie udało. Starła się mu przeciwstawić, ale Henry uderzył ją kilkakrotnie tak mocno, że Amber aż przygryzła sobie wargi i uderzyła głową w oparcie sofy. W głowie dzwoniło jej od ciosów. Najłatwiej było się poddać i stracić przytomność. Przecież i tak ją zgwałci.

- Nie udawaj, że ci się to nie podoba. Wiem, że to lubisz.

Henry rozpiął spodnie i złapał ją za włosy, a drugą ręką wyjął sztywny członek, który chciał siłą włożyć jej do ust. Amber poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Jeszcze chwila i dotknie nim jej ust.

Szarpnęła się do tyłu po raz ostatni. Chwilę później, w jakiś cudowny sposób była już wolna - Henry leżał na plecach na podłodze, a nad nim stał Jean-Philippe.

Oszołomiona Amber próbowała poprawić sukienkę. Tak bardzo się trzęsła, że nie była w stanie tego zrobić. Henry z trudem zbierał się z podłogi. Jean-Philippe musiał go mocno uderzyć, bo z nosa kapłała mu krew.

- Jest twoja. I tak nigdy nie rozumiałem, co ty w niej widzisz. Obrzydliwa suka!

- Jeszcze dzisiaj powiesz siostrze, że wracasz do Anglii. Wyjedziesz jutro z samego rana. Jeżeli tego nie zrobisz, zapewniam cię, że moi przyjaciele sprawią, iż reszta twojego pobytu tutaj zamieni się w piekło.

Henry pobladł i cała krew odpłynęła mu z twarzy

- Grozisz mi?

- Nie, nie grozę. Składam jedynie obietnicę. A teraz wynoś się. Bo jeśli nie, opuścisz ten dom na noszach.

Henry zniknął. Amber nie miała pojęcia, co Jean-Philippe powiedział młodszemu lokajowi, ale mało ją to obchodziło. Pragnęła tylko znaleźć się w swoim pokoju, lecz była zbyt słaba, żeby się ruszyć. Jean-Philippe wszedł z powrotem do salonu.

- Skąd wiedziałeś? - spytała.

- Widziałem, jak wychodzi z kasyna zaraz po tobie, i domyśliłem się, co zamierza. Byłbym tu wcześniej, ale coś mnie zatrzymało. Mam kogoś wezwać? Twoją pokojówkę czy.

- Nie, nie... I tak ma dzisiaj wychodne. Henry wprawdzie nie podał mi sukni, ale nie mogę jej już normalnie włożyć i nie chcę, żeby ktoś widział mnie w tym stanie. Nie da się podrzeć jedwabiu. Wygląda wprawdzie delikatnie, ale jest niezwykle wytrzymała. Chcę pójść teraz do mojego pokoju...

Jej głos łamał się, kiedy próbowała wypowiedzieć urwane zdania.

Jednak Jean-Philippe zdołał chyba ją zrozumieć, bo skinął głową i obserwował, jak Amber podnosi się i powoli zmierza w stronę drzwi.

Amber zatrzymała się w połowie drogi, nie mogąc zrobić ani jednego kroku dalej.

W świetle świecznika Jean-Philippe ujrzał to, czego nie zauważył wcześniej. Twarz Amber, w miejscu, gdzie Henry ją uderzył, była potłuczona wzdłuż całego policzka; skóra na szyi była otarta.

Jean-Philippe zwał Henry ego z nóg ciosem, który unicestwiłby niedźwiedzia. Ale teraz żałował, że nie uderzył go jeszcze mocniej.

- Zaczekaj - powiedział, po czym wziął ją na ręce.

- Nie - zaprotestowała, ale on, jak zwykle, nie posłuchał jej.

Na szczęście hol był pusty; Amber nie miała pojęcia, co powiedzieliby służący, gdyby zobaczyli ją w ramionach obcego mężczyzny, który wnosił ją po schodach na rękach.

- Który to pokój?

- Postaw mnie tutaj. Dalej pójde już sama.

- Który pokój?

- Ten. - Na wpół przytomna wskazała mu drzwi swojej sypialni. Pokojówka zostawiła pościelone łóżko i wszystkie akcesoria nocne na

wierzchu. Na szczęście Jean-Philippe zaniósł Amber na fotel, zamiast kłaść do łóżka. Był taki taktowny, bardziej, niż się tego po nim spodziewała.

- Henry mnie nienawidzi - powiedziała. - Dlatego... On nas wtedy widział... kiedy byliśmy razem. Powiedział mi to.

- Zaczęła się trząść. -Ale Robert wie. Ja mu powiedziałam, a on zapewnił, że nie mam się czym martwić. Myślisz, że Henry rzeczywiście wyjedzie?

- Jeśli ma choć odrobinę oleju w głowie, to tak. Ja nie rzucam gróźb na wiatr. Znam tutaj ludzi, którzy potrafią zadbać o to, aby Henry pożałował swojej decyzji, gdyby tu został. Czy mam wezwać lekarza?

- Nie!

- *D'accord*. Masz coś, co mogłabyś przyłożyć do twarzy?

- Tak. W łazience jest trochę arniki. Jean-Philippe szybko skinął głową.

- Poczekam, aż się opatrzysz, a potem wyślę wiadomość do kasyna i sprowadzę tutaj twojego męża.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Poradzę sobie. Nic mi nie jest i nie będę przeszkadzać Robertowi.

Amber nie chciała powiedzieć Jeanowi-Philippe owi, że Robert zamierza spędzić noc na jachcie - i jak się domyślała, nie będzie tam sam.

\*

\*\*

Jean-Philippe był w łazience, gdzie po raz drugi moczył w zimnej wodzie materiał, który Amber przykładła do spuchniętej kości policzkowej. Słyszając płynącą wodę z kranu, skorzystała z okazji i zerknęła sobie za dekolt, żeby sprawdzić, w jakim stanie są jej piersi. Bardzo ją bolały w miejscu, gdzie Henry ją uderzył. Widok śladów jego zębów i otarć sprawił, że zrobiło jej się niedobrze i omal nie zasłabła.

Jean-Philippe obserwował ją, stojąc w drzwiach do łazienki. Nie tylko jej jedwab był mocny. Także Amber posiadała wielką moc. Jean-Philippe nie znał drugiej kobiety, która wykazałaby się w podobnej sytuacji takim hartem ducha. Amber drżała, spoglądając na swoje ciało, a po jej policzku stoczyła się łza. Przekleństwo, które wypowiedział na głos Jean-Philippe, uświadomiło jej, że on na nią patrzy. Próbowła się przed nim zasłonić, ale było już za późno. Podszedł do niej, chwycił jej ręce w swoje dłonie - dużo silniejsze niż Henry'ego, a jednocześnie czulsze - i delikatnie je odsunął, po czym spojrzał Amber głęboko w oczy i powoli odciągnął materiał na piersiach.

- To jest konieczność, która nie ma nic wspólnego z seksualnością. Mam nadzieję, że rozumiesz - powiedział cicho. - On cię skrzywdził i ktoś musi to zobaczyć. Jeżeli nie chcesz, żebym wezwał lekarza

- Nie!

- W takim razie ja muszę być twoim lekarzem. W końcu nie jesteśmy sobie zupełnie obcy - zwrócił się do Amber łagodnym tonem, żeby się uspokoiła i pozwoliła mu się obejrzeć.

To prawda. Nie byli sobie całkiem obcy, ale ona nie chciała, żeby widział jej ciało w takim stanie - jakby poszarpała ją jakaś dzika bestia.

Kiedy Jean-Philippe przyglądał się spuchniętemu i okaleczonemu ciału, targały nim wściekłość i współczucie.

Amber drżała gwałtownie, dręczona bólem i wstydem.

Minęło pół godziny, zanim usatysfakcjonowany Jean-Philippe skończył czyścić rany, a potem nasmarował je balsamem z arniki.

- *Ma pauvre* - powiedział zwyczajnie, kiedy skończył, całując Amber w czoło.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś - powiedziała nieśmiało.

- Ja też.

- Bardzo się cieszę. - Pragnienie zerwało krepujące je pęta i zabrzmiało w jej głosie, wylewając się z jej ciała i ogarniając ją.

Amber płakała, sama nie wiedziała, czy z powodu szoku, czy straty Jean-Philippe trzymał ją i Amber wiedziała tylko, że w jego ramionach czuje się wspaniale. A potem pocałował ją - i to było jeszcze piękniejsze.

- Chcesz, żebym został?

Jean-Philippe odgarnął jej włosy z twarzy, dokładnie tak, jak to zapamiętała. Całował ją w skronie, a potem w to miejsce za uchem, w którym ciało łączyło się z kośćmi.

Amber gładziła go palcami po włosach, wciąż bujnych i pełnych wigoru - tak jak on sam. Zapach Jeana-Philippe a otaczał ją ze wszystkich stron, wypierając zapach innego mężczyzny. Amber wdychała go tak głęboko, jak tylko umiała, upajając się nim i zabierając w miejsce, gdzie czuła, jak do życia budzi się głuchy, tępy ból, a wraz z nim rozwija się w niej zmysłowe gorąco.

- Tak - odpowiedziała.

Jean-Philippe był czuły i ostrożny, a potem wprost cudowny, gdy pragnienie Amber nasiliło się i zaśpiewało w niej, zmuszając, by i ona wydała z siebie głos. Wtedy stał się jakby inny, bardziej niefrasobliwy, kiedy zmysły Amber przelewały się w niej, pijane ze szczęścia. To była czysta magia. Jean-Philippe odegnał od niej ból, strach i poczucie winy, które pozostały w niej po ataku Henry ego, razem z mniej znaczącymi barierami skrepowania i sumienia, które spłonęły w ogniu pożądania. W ich miejsce dał jej uczucie intensywnej radości i dumy. Dumy z niego, tego, co ich łączyło, ale przede wszystkim z niej i z życia.

Gdy Jean-Philippe zabierał jej zmysły na karkołomną przejażdżkę, coraz wyżej i głębiej, za zamkniętymi powiekami Amber widziała radosne kolorowe plamy na lawendowoniebieskim jedwabiu. W jakiś cudowny sposób wskrzesiła coś, co - zdała sobie sprawę - straciła, nie wiedząc nawet, że to naprawdę istniało.

Amber znalazła płaskowyż, na którym odpoczęła, dając odetchnąć przyspieszonemu pulsowi, zanim Jean-Philippe wziął ją znów w ramiona



i powiózł dalej. Potem role się odwróciły i to ona wzięła ster w swoje ręce, zabierając ich oboje na stromą i szybką wspinaczkę w kierunku jądra nieskończoności.

Zanim Amber utonęła w przypominającej purpurowy jedwab aksamitnej ciemności snu, zdążyła jeszcze pomyśleć, że wszystko to, co odebrał jej Henry, Jean-Philippe zwrócił jej z dziesięciokrotną nawiązką.

Kiedy Jean-Philippe wyszedł, Amber jeszcze spała.

Poruszał się z iście kocią wprawą - opuszczał w ten sam sposób wiele kobiet i ich łóżka - ale także w pośpiechu spowodowanym czymś, czego nie doświadczył od dawna. W głowie tłukły mu się natarczywe obrazy - kręcący się wir kształtów i kolorów. Ta potrzeba miała go osiąść i wykorzystać, aż sama zostanie zaspokojona.

## Rozdział 43

- Biedny Henry, szkoda, że musi wyjeżdżać w takim pośpiechu. Uważam, że to samolubne ze strony Pameli, która nalegała, aby skrócił swój urlop.

- W głosie Beth słychać było wyraźnie dezaprobatę dla żony Henry ego, lecz Amber nie skomentowała tego ani jednym słowem.

Nie interesowało jej, jakiej wymówki użył Henry, by usprawiedliwić przed siostrą swój niespodziewany wyjazd. Cieszyła się tylko, że nie będzie musiała go więcej oglądać.

- Lepiej już pójdę - powiedziała Beth, wstając od stolika na tarasie ekskluzywnego hotelu w Juan-les-Pins, gdzie spotkały się na lunchu.

Przy stoliku obok nich usiadła grupka mężczyzn - Francuzów i Niemców, sądząc po akcencie - którzy przyglądali się z podziwem Amber.

Miała na sobie sukienkę uszytą ze sztuki jedwabiu, który sama zaprojektowała eksperymentalnie, chcąc wykorzystać go raczej do celów dekoracyjnych. Suknia miała odkryte plecy, zgrabne wcięcie w talii i pełną spódnicę z ręcznie malowanym atramentowym wzorem na jasnoniebieskim tle. Opaska w tym samym kolorze trzymała jej włosy z dala od twarzy, a białe rękawiczki kontrastowały z ciepłą złocistą opalenizną.

Amber wiedziała jednak, że to nie jej suknia ani opalenizna wzbudzały taką sensację wśród mężczyzn. Chodziło o inną część „garderoby”, którą miała na sobie. Niewidoczną dla oka, za to łatwo rozpoznawalną przez inne zmysły To była pewność siebie i czysty zachwyt z bycia sobą, które dał jej Jean-Philippe.

Nie widziała się z nim, odkąd uratował ją przed Henrym cztery dni temu. A teraz - mogło się to wydawać dziwne - nie miała na to specjalnej ochoty. Myślała o nim z sympatią i wdzięcznością, a nawet z pewnym, niemal wyraźnym uczuciem cichej radości. Dzięki niemu odnalazła brakującą część siebie. Swoją seksualność.

Nieważne, co czekało ją w związku z tym w przyszłości. Liczyło się to, że Amber znalazła wewnętrzny spokój i nie musiała już obawiać się swoich potrzeb fizycznych.

Czuła za sobą powłóczyście męskie spojrzenia, kiedy razem z Beth wstały od stolika i wyszły

Przed hotelem ucałowały się na pożegnanie, a potem rozeszły każda w swoją stronę.

Był wyjątkowo gorący dzień. Upał zalegał wszędzie w postaci żywej mgiełki, która osiadała na skórze i przekazywała szeptem swoją zmysłową wiadomość. Nie dało się przed nią uciec. Wdzierała się we wszystkie zmysły i obejmowała we władanie umysł.

Amber udała się do portu. Jacht Roberta stał beczynn timer, przycumowany do nabrzeża. Przypomniała sobie, że zostawiła w swojej kabinie książkę, którą chciała skończyć. Weszła po trapie na opuszczony jacht i udała się głównymi schodami pod pokład. Pamiętała, że Robert wspomniał coś o dniu wolnym dla załogi.

Mieli z Robertem sąsiadujące ze sobą kabiny, połączone otwartymi drzwiami. Właśnie dzięki temu usłyszała odgłosy dobiegające z kajuty Roberta, jakby łkanie i sapanie. Podeszła do otwartych drzwi, zanim jej mózg rozpoznał, co oznaczają te dźwięki.

Na widok nagiego Roberta, który kuczał na łóżku, podczas gdy Otto gwałcił go sztucznym penisem z taką siłą, że Robert prawie krzyczał z bólu, Amber cofnęła się gwałtownie.

Było mało prawdopodobne, że ją usłyszą. Obaj byli tak zajęci sobą, że nie zwracali uwagi na nic, co działo się dookoła. Mimo to Amber odwróciła się i wybiegła z powrotem na pokład. Jak Robert mógł pozwolić, żeby Otto tak się z nim obchodził? Szybko przypomniała sobie, jak to jest wznieść się na wyżyny seksualnej rozkoszy, ale ten spektakl, który rozegrał się na jej oczach, wydawał się zwierzęcy i budzący odrazę, stanowiąc afront dla jej zmysłów. Zawsze wydawało jej się, że mężczy kochankowie pragną tej samej wzajemnej czułości i dbania o swoje zmysłowe potrzeby, które były tak ważne dla niej. To przecież niemożliwe, żeby Robert - uroczy i elegancki, przystojny i z poczuciem humoru - sam z własnej woli zaangażowałby się w związek seksualny, w którym byłby traktowany okrutnie i upokarzany fizycznie. Bolało ją, kiedy myślała o tym, co robił z nim Otto. Mimo iż pod względem fizycznym nic do niego nie czuła, kochała swojego męża i starała się być wobec niego opiekuńcza.

Kiedy Amber błagała Roberta, by uważał na siebie, i przypomniła mu, w jaki sposób Otto już raz się z nim obszedł, Robert upierał się, że Otto się zmienił. I Amber uwierzyła mu. Nie znajdowała żadnej przyjemności w ponizaniu i sprawianiu fizycznego bólu, czego przed chwilą była świadkiem.

Ale Robert nie sprawiał wrażenia człowieka ubezwłasnowolnionego w jakikolwiek sposób, co oznaczało, że oddawał się tym haniebnym praktykom z własnej woli.

Stojąc na zalanym słońcem pokładzie, Amber zadrżała, przypominając sobie brutalny atak Henryego. Oblał ją zimny pot i wzdrygnęła się. Zakręciło jej się w głowie i poczuła się tak, jakby zaraz miała zemdleć. Zeszła po trapie, zataczając się.

- Amber, wszystko w porządku?

- Jean-Philippe.

Dojrzał ją z zacienionego baru, w którym siedział, popijając pernod i odpoczywając po czterech dniach najintensywniejszego malowania, jakie kiedykolwiek pamiętał. Irenę była na niego wściekła, kiedy wrócił po czterodniowej nieobecności - obwieściła nawet, że wyrzuci go z domu. Jean-Philippe wiedział oczywiście, że tego nie zrobi. Ale tym razem w odróżnieniu od innych podobnych incydentów - nie spędził tego czasu w towarzystwie innej kobiety. Po tym, jak wyszedł od Amber, pojechał od razu do Mougins, gdzie wybłagał od jednego ze swoich przyjaciół udostępnienie mu pracowni, a potem pracował, jakby na plecach siedziała mu sama śmierć.

Córka handlarza jedwabiu stała się właścicielką interesu swojego ojca i wielką panią jedwabiu. Ona nie mogła istnieć bez jedwabiu, a ten bez niej - razem stanowili mistyczną mieszankę potężnej zmysłowości. Jean-Philippe namalował Amber na błyszczącym złotym tle, od którego przejęła swoje imię. Światło wpadało do pokoju przez okno za nią, podkreślając jej piękno i rozbijając się o szkatułkę z bursztynu, w której zamknięte było jej serce.

Następnie złote promienie rozpraszają się, magicznie nadając jedwabiowi nowe znaczenie. Podczas gdy Amber z obrazu patrzyła na materiał przez pryzmat swojej czystości i piękna swojego serca, w cieniu za jej plecami czekała ciemna sylwetka. W miejscu, gdzie spoglądała

na jedwab, był on płaski i nijaki, pozbawiony blasku. Jedyne ludzkie serce zdolne do miłości potrafiło rozświetlić jedwab i ożywić go.

To był najlepszy obraz, jaki kiedykolwiek namalował. Lepszy nawet niż jego ulubiona *Córka handlarza jedwabiem*.

- Co się stało? - spytał Jean-Philippe Amber.

- Nic... - zaczęła, lecz zaraz zamilkła. - Robert jest na pokładzie jach tu, razem z Ottonem.

Nie miała pojęcia, dlaczego mu o tym powiedziała, ale wyraz jego twarzy świadczył o tym, że zrozumiał, o co jej chodzi.

- Chodź, zabiorę cię z powrotem do willi.

Jean-Philippe wziął ją delikatnie pod ramię i powiodł w stronę ścieżki prowadzącej do willi.

- Nie miałam pojęcia.

- O swoim mężu?

- Nie. Oczywiście, że wiedziałam o Robercie, ale nie byłam świadoma. .. Nie sądziłam... że zobaczę go w sytuacji, kiedy daje się poniżyć.

Amber drżała tak mocno, że gdy Jean-Philippe objął ją ramieniem, ofiarowując swoje wsparcie, nie była w stanie mu się sprzeciwić.

- Otto go krzywdził. Naprawdę, sprawiał mu ból.

Nie powinna prowadzić tej rozmowy z Jeanem-Philippem ani z kimkolwiek innym. Ale nie potrafiła już powstrzymać słów, które cisnęły się na usta.

- Niektórzy ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, mają takie potrzeby - powiedział cicho Jean-Philippe.

- Ale żeby pozwolić sobie zadawać fizyczny ból...

Wyraz twarzy Jeana-Philippea świadczył dobitnie, że nie podziela jej szoku. Amber pomyślała, że musi być bardziej naiwna, niż jej się zdawało.

- Chodź. - Objął ją znowu. - Poczujesz się lepiej, kiedy znajdziesz się z dala od tego palącego słońca.

W domu panowała cisza i przyjemny chłód. Gladys zabrała Luca na przyjęcie urodzinowe organizowane przez pewną małą Francuzkę, którą Luc poznał na plaży i której wyjątkowo przypadł do gustu.

- *Peut-être* wydaje ci się to jeszcze gorsze po tym, czego doświadczyłaś ze strony Henry ego.

- Pewnie masz rację - przytaknęła i wypła kieliszek rozcieńzonego wodą wina, który podał jej Jean-Philippe. Znajdowali się w salonie. Gdy spytał: „Czy chcesz, żebym został? ”, Amber wiedziała dokładnie, co ma na myśli. Szybko skinęła głową, drząc lekko, kiedy wyjął jej z ręki kieliszek i otworzył drzwi z salonu. Tym razem weszli razem po schodach do jej sypialni. Tym razem Amber rozebrała jego, tak jak on rozbierał ją. Tym razem jej ciało było chętne i gotowe. Tym razem sama czerpała przyjemność, a nie czekała, aż zadba o nią Jean-Philippe.

Tym razem ta przyjemność była mniej szczodra i błoga, a bardziej stłumiona. Amber wiedziała, że ten raz będzie jednocześnie ich ostatnim. Ponieważ przez cały czas myślała wyłącznie o Jayu, od którego dostała rano list, w którym zdradził jej to wszystko, czego do tej pory nie powiedzieli sobie, a co wciąż było bliskie jej sercu.

Amber spojrzała na Jeana-Philippea, który leżał na łóżku obok niej. Popołudniowe słońce pokrywało smugami ich nagie ciała.

Kochał się z nią z wielką czułością i namiętnością. Zaspokajał fizycznie jej ciało, które zapadało w letarg i stawało się ciężkie z nadmiaru rozkoszy. Lecz żadna z tych intymnych chwil, które dzielili, nie zadowalała Amber pod względem emocjonalnym. Nic, co razem robili, nie było wystarczająco silne, żeby uleczyć tęsknotę za Jayem ani głęboką wewnętrzną samotność, z którą żyła, kochając się w Jayu.

Amber była teraz kobietą mającą skomplikowane potrzeby emocjonalne. Dojrzała już na tyle, że nie była w stanie wrócić do niewinnego zauroczenia i dziewczęcego, naiwnego przekonania, iż mężczyzna, którego pożąda, jest jednocześnie tym, którego kocha.

Nie potrafiła też dłużej przekonywać samej siebie, że może zrezygnować z miłości do jednego mężczyzny na rzecz fizycznego pożądania do innego. Gdyby za dotknięciem jakiejś magicznej różdżki mogła się teraz znaleźć w obecności Jaya, wiedziała, że jeden dotyk jego ręki albo uśmiech wywołałby w niej lawinę uczuć znacznie potężniejszych niż te,

których doświadczała w towarzystwie Jeana-Philippea. On mógł zaspokoić jej ciało, ale serce Amber wciąż było głodne tego, czego nie mogło mieć. Wiedziała, że już zawsze tak będzie.

- Amber, muszę ci coś powiedzieć. - Głos Jeana-Philippea a przypomniał jej boleśnie, czego, a właściwie kogo, naprawdę pragnie jej serce. - Twojemu mężowi grozi wielkie niebezpieczeństwo.

Dowiedział się o tym ubiegłej nocy. Był to zupełnie przypadkowy komentarz, który padł z ust szwagra Irene w trakcie rozmowy z jego nie mieckimi kolegami, którą Jean-Philippe podsłuchiwał. Nie planował wprawdzie mówić o tym Amber, ale też nie bez powodu wybrał akurat bar naprzeciwko jachtu jej męża w nadziei, że ją zobaczy, a gdy tak się faktycznie stało, poczuł się moralnie zobligowany, by ją ostrzec.

Słowa Jeana-Philippea, tak niespodziewane i mrożące krew w żyłach, sprawiły, że serce Amber zaczęło bić niespokojnie.

- Widziałam na własne oczy, że...

- *Non!* - przerwał jej ostro. - Nie w tym sensie. A przynajmniej nie tylko... Robert wpadł w pułapkę, którą celowo zastawili na niego Niemcy.

- Niemcy? Nie rozumiem.

- Niemcy rozpętali właśnie wojnę propagandową przeciwko wszystkim, którzy chcą zagrozić ich planom. W twoim kraju również nie brakuje takich ludzi.

- To prawda - zgodziła się. Jean-Philippe mówił dalej:

- Hitler nie toleruje i zaciekle zwalcza homoseksualistów. Uważa ich orientację za najbardziej dekadencją z przywar i jest przekonany, że należy ją surowo karać. Postanowiono więc, że homoseksualizm Roberta zostanie wykorzystany, żeby skompromitować jego, a w efekcie także twój kraj i jego klasy rządzące.

Amber zaniepokoiła się nie na żarty

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Otto nie jest gejem, ale ma odgrywać taką rolę przed Robertem. W ten weekend poinformuje go, że musi wracać do Niemiec. Oczywiście twój mąż będzie go błagać, żeby został. Otto powie, że nie może, ale

zapropnuje Robertowi, by towarzyszył mu w drodze do Berlina. A Robert jest w nim tak zadurzony, że nie będzie się długo zastanawiać.

Amber przełknęła głośno ślinę. Chciała zaprotestować, ale wiedziała, że Jean-Philippe ma rację.

- Kiedy Robert znajdzie się już w Niemczech, zostanie przyłapany w niedwuznacznej sytuacji z Ottonem. Zagrożą mu ujawnieniem tych rewelacji i ukaraniem przez niemiecki sąd, ale otrzyma propozycję oczyszczenia się z zarzutów, pod warunkiem że wróci do Anglii już jako niemiecki szpieg. Jeżeli Robert odmówi, Hitler wykorzysta ujawnienie jego homoseksualizmu do celów propagandowych. A homoseksualizm, jak wiadomo, jest w twoim kraju nielegalny. *Naturellement* jeśli Robert przystanie na jego warunki...

- On nigdy tego nie zrobi.

- Jeżeli Robert zgodzi się szpiegować na rzecz Niemiec, to Hitler i tak będzie mógł zdekonspirować go jako przedstawiciela brytyjskiej klasy rządzącej, który zdecydował się zdradzić swój kraj.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - spytała.

To wszystko wydawało jej się takie naciągane i teatralne, a mimo to wyraz twarzy Jeana-Philippea i jego głos świadczyły o tym, że mówi prawdę.

- Jak już mówiłem, Heinrich, szwagier Irene, gości u siebie w willi kumpli z SS. Oczywiście nie wtajemniczają mnie w swoje prywatne rozmowy, ale Heinrich dużo pije i jest niedyskretny. Twój mąż dał się omamić fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa. Wierzy, że Otto odwzajemnia jego uczucia. Jak powiedziałem, w trakcie pobytu Roberta w Berlinie znajdzie się on w sytuacji intymnej z Ottonem i wtedy do akcji wkroczy SS i lidera, a Robert zostanie aresztowany za swój występki.

- Ryzykujesz własne życie, mówiąc mi to wszystko.

- A ty nie wiesz, czy można mi uwierzyć i zaufać, czy też może opowiadam ci to, by i ciebie wciągnąć w jakąś zasadzkę? - domyślił się Jean-Philippe. - *D'accord* - kontynuował, gdy ujrzał na twarzy Amber skrepowanie - masz pełne prawo wątpić. Ja na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Muszę przyznać, że nie chciałem ci o tym mówić ani angażować się w tę sprawę, ale po tym, co mi dzisiaj powiedziałaś, zmieniłem zdanie. Mimo iż żadnemu z nas nie jest łatwo ani wygodnie się do tego przyznać, wciąż



mi na tobie zależy. A jeśli chodzi o ryzyko, które podejmuję... - Wzruszył ramionami. - Za kilka dni wyjeżdżam do Hiszpanii. Tam przyłączę się do ruchu narodowowyzwoleńczego, o czym myślałem już od dawna.

I z czego zwierzył się wczoraj przy drinku swojemu przyjacielowi, który wynajmował mu pracownię.

- Zamierzasz wziąć udział w wojnie domowej?

- Tak. Mam tam kilku przyjaciół, którzy już walczą, i czuję, że moim obowiązkiem jest ich wesprzeć.

Amber widziała, że Jean-Philippe nie żartuje. Poza tym nie miała żadnego prawa go zatrzymać. Ani ochoty. Teraz musiała zająć się Robertem, który - zgodnie z tym, co powiedział jej Jean-Philippe - znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Robert nigdy mi nie uwierzy, że zakochany w Ottonie do szaleństwa - powiedziała.

- Dlatego niezwłocznie powinnaś go zabrać z powrotem do Anglii, nie wzbudzając przy tym podejrzeń Heinricha, tak by nie domyślił się, że wiesz, co się święci.

- Nie wiem, jak mam to zrobić.

- Twój mąż ma jacht w porcie. Moja rada jest taka: spróbuj zwabić go na pokład pod jakimś pretekstem, a potem każ kapitanowi płynąć do Anglii.

fak, u licha, miałyby to zrobić? Przecież Robert natychmiast odwołałby jej polecenie i kazał kapitanowi zawrócić jacht do Francji.

Może powinna poprosić o pomoc Beth i Alistaira? Tylko czy jej uwierzą? Ryzyko było zbyt wielkie. Poza tym Amber miała wątpliwości, czy może na nich liczyć. Do kogo więc miała się zwrócić? Kto zrozumie niebezpieczeństwo, w jakim znalazł się Robert? I nie tylko zrozumie, ale też będzie w stanie coś zrobić?

Nie mogła ryzykować angażowania kogokolwiek z ambasady czy innych oficjalnych kanałów. Homoseksualizm był zabroniony bez względu na to, ilu ludzi przymykało na niego oko.

- Mogę ci pomóc, jeśli chcesz. Amber zaniemówiła z wrażenia.

- Ty? Ale dlaczego?

- Bo chcę, jeśli taka odpowiedź ci wystarczy.

Popatrzyła na niego. Wyglądało na to, że Jean-Philippe wie, co mówi. Nie mogła odrzucić jego propozycji.

- Dobrze. W takim razie proszę cię o pomoc.

- *Bien*, pomyślmy więc. Musimy działać bezzwłocznie. Będziecie dziś wieczorem na przyjęciu u maharadży Dżajpuru?

Amber skinęła głową.

- Doskonale. *Alors, malheureusement*, w trakcie przyjęcia Robert poczuje zawroty głowy i nudności wywołane przez pewien specyfik, który wsypię mu do drinka.

Widząc wyraz twarzy Amber, Jean-Philippe dodał natychmiast:

- Nie stanie mu się żadna krzywda, zapewniam cię. Po prostu zakręci mu się w głowie i zasłabnie.

- Ale skąd wiesz? Co to...

- Zostaw to mnie. Kiedy ma się do czynienia z ludźmi, w których towarzystwie ja się obracałem, poznajesz życie, jak by to ująć, od podszewki. W każdym razie wezwiesz wtedy doktora. Przypadkowo okaże się, że jest lekarz na sali - to będzie mój zaufany przyjaciel z Mougins. Nie musisz znać szczegółów, poza tym że artyści potrzebują różnych substancji, które wpływają korzystnie na ich kreatywność. A niektórzy lekarze dostarczają im je dyskretnie i za odpowiednią opłatą. Ten sam doktor zadba zresztą o specyfik, pod wpływem którego Robert poczuje się źle.

- To jakiś narkotyk?- zaniepokoiła się Amber. - Czy to nie jest niebezpieczne?

- Nie w rękach doświadczonego lekarza. Zaufaj mi, Amber. Wiem, że potrafisz. Doktor będzie nalegał, aby Robert wrócił do willi i odpoczął. Stwierdzi, że twój mąż doznał udaru słonecznego albo zjadł coś niestrawnego.

- A jeśli Robert się nie zgodzi?

- Zapewniam cię, że tak się nie stanie - odparł stanowczo Jean-Philippe z rozbijającą szczerością. - Doktor odprowadzi was do samochodu, który będzie czekać, by zawieźć was do domu. W rzeczywistości jednak samochód pojedzie wprost do portu. W aucie doktor poda Robertowi środek uspokajający. To też mu nie zaszkodzi, obiecuję ci. Robert zapadnie po

prostu w sen. Kiedy dotrzecie na jacht, poprosisz kogoś o pomoc, i wnieście Roberta na pokład. Powiesz kapitanowi, że lekarz kazał zabrać twojego męża do Anglii. Kiedy załoga będzie się sposobić do rejsu, będziesz mieć wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić do Willi i zabrać Luca.

- Jesteś pewien, że Robertowi nic nie będzie. Nie chciałabym...

- Nie. Obudzi się z potwornym bólem głowy i - jak sądzę - w paskudnym nastroju. Oczywiście możesz zostawić go na pastwę losu i wyjechać sama.

- Nie, nie mogłabym tego zrobić. - Amber nie dopuszczała w ogóle takiej myśli. Nie po tym, co zawdzięczała Robertowi. Poza tym musi też myśleć o Lucu, a on uwielbia ojca. - Niemcy domyślą się prędzej czy później, że nam pomogłeś.

- Mało mnie to obchodzi. Poczyłem już niezbędne przygotowania do wyjazdu do Hiszpanii. - Jean-Philippe przerwał na chwilę, po czym dodał złowieszczo: - Myślę, że Herr Hitler nie da się spacyfikować, a ci którzy podejmą taką próbę, będą tego gorzko żałować.

Czy dam radę to zrobić? Czy zdobędę się na to? Ryzyko jest przecież ogromne - myślała intensywnie Amber. Ale jeśli nic nie zrobi, a Jean-Philippe ma rację, konsekwencje dla Roberta będą straszliwe.

- W porządku - powiedziała. - Będziesz potrzebować pieniędzy na lekarza.

Teraz, kiedy podjęła już decyzję, stała się niesamowicie praktyczna. Musi zadbać o to, by na jachcie znalazło się odpowiednie zaopatrzenie - może powie kapitanowi i Robertowi, że postanowiła zorganizować krótki rejs dla przyjaciół? W ten sposób mogłaby też wydać instrukcje, aby spakowano przynajmniej część ubrań jej i Luca.

Gdy wróci już do Anglii, wyda też pozostałe dyspozycje dla służby, kaze im zamknąć dom we Francji i wracać na Wyspy

- Jesteś pewien tego doktora? - przycisnęła Jeana-Philippe'a.

- Tak. - Złapał ją za złote od opalenizny ramiona swoimi śniadymi dłońmi. Jego uścisk był pewny i dodający otuchy

- Od tej pory musisz mi bezwarunkowo zaufać.

\*

Zmysły Roberta przepelniała mieszanina pożądania i uniesienia. W końcu, po tylu długich godzinach, dniach i tygodniach okazywania Ottonowi swoich uczuć jego młody kochanek dał mu tę przyjemność zaspokojenia swojej żądz

Leżeli razem nadzy na wielkim podwójnym łóżku w kabinie Roberta, podczas gdy zacumowany jacht kołysał się leniwie na wodzie. Wstrzymu-iać oddech, lewą ręką Robert złapał Ottona za nabrzmiałe jądra i przytrzymał je mocno, jednocześnie palcami prawej ręki objął jego wzwiedziony członek. Palcem wskazującym dotykał drażliwego miejsca między jądrami a odbytem, oddychając przy tym nerwowo. Sam znał przyjemność tego dotyku i czuł ją teraz prawie tak samo jak Otto, obserwując jego mimowolną reakcję.

- Tak... - wyszeptał - a kiedy będę cię pieścić językiem, rozkosz będzie prawie nie do zniesienia dla nas obu. Obiecuję ci.

Jego ciało płonęło z pożądania. Poruszał dłońmi coraz szybciej - prawa pieściła główkę nabrzmiałego penisa, lewą zaś wślizgiwał się tam i z powrotem do odbytu Ottona, obracając delikatnie palcem wskazującym.

Urywany oddech Ottona był rozkoszą dla jego uszu. Wreszcie ten, którego tak kochał, oddawał mu się i pozwalał się zadowolić.

Otto wydał z siebie dziki okrzyk, niemal jak na torturach, czym wywołał u Roberta jeszcze większą falę pożądania. Robert puścił jądra Ottona i włożył cały palec do jego odbytu, szukając miejsca największej rozkoszy Po chwili dołożył jeszcze jeden palec.

Otto jęczał i rzucał się pod wpływem tej penetracji. Główka jego penisa, trzymana przez Roberta w kurczowym uścisku, stała się twarda i błyszcząca. Robert poczuł, jak Otto zaczyna sapać, a jego ciało sztywnieje. Nachylił głowę i otworzył usta, czekając na strumień gorącej spermy, wsadzając Ottonowi do odbytu trzeci palec, by pokonać ostatnią barierę na drodze do ostatecznej rozkoszy. Jego kochanek, najdroższy. Teraz i na zawsze. Jeśli trzeba będzie, pójdzie za nim na koniec świata i jeszcze dalej.

A.mber czuła się strasznie. Robert był w takim pogodnym nastroju i najwyraźniej nie sprawiło mu żadnej przykrości to, czego była świadkiem na jachcie. Bez troski, poruszał się sprężystym krokiem, odwrócił się do

niej i uśmiechnął, schodząc na dół. Czy na pewno dobrze postępowała? A jeżeli Jean-Philippe się mylił? Może powinni jeszcze poczekać, tak na wszelki wypadek. A jeśli Jean-Philippe celowo ją okłamał? Czy naprawdę można mu zaufać?

- Kogo masz zamiar zaprosić na rejs jachtem? - spytał Robert, kiedy wyszli z domu.

- Jeszcze nie mam zamkniętej liści gości.

Czy Robert usłyszał w jej głosie niepokój? A może już zaczął coś po dejrzewać? Serce Amber biło fałszywym rytmem. Gdyby tylko miała z kim o tym pomówić. Na przykład z Cecilem. Ale on wyjechał już z Francji.

Był cudowny wieczór, powietrze delikatne i ciepłe. Mimo to gdy tylko wysiedli z samochodu, Amber zaczęła drżeć. Na szczęście Robert niczego nie zauważył.

Uporawszy się ze wszystkimi formalnościami przy wejściu, udał się od razu w stronę tłumu ludzi w towarzystwie von Ribbentropów.

Amber poczuła ogromną ulgę, kiedy zobaczyła Jeana-Philippea, który w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że wie o jej obecności. Cały czas rozmawiał z żoną pracownika niemieckiej ambasady. Wszystko musiało iść zgodnie z planem.

Robert rozglądał się z niepokojem, szukając w tłumie Ottona. Spodziewał się go tu zastać. Cała reprezentacja Niemców była już w sali.

- Szuka pan von Brechta? - spytał Heinrich, szwagier Irene.

- Zazwyczaj jest z państwem - zauważył, pozornie bez troski, Robert.

- To prawda. Prosił jednak dzisiaj, by go usprawiedliwić. - Heinrich mrugnął okiem do Roberta. - Nie podał żadnego powodu, ale jak się domyślam, chodziło o jakąś *Fräulein*. W końcu to jeszcze młody chłopak.

Nadziany na włócznię własnej zazdrości Robert czuł, że im bardziej z tym walczył, tym większy odczuwał ból. W głowie miał obraz nagiego Ottona, leżącego w łóżku z kimś innym. Zaczął go pożądać. Gdzie jest Otto?

Gdziekolwiek się znajduje, musi go odszukać i błagać, by kochał tylko jego.

Odłożył pusty kieliszek i sięgnął po kolejny z tacy, którą trzymał kelner.

- Otto nie przyszedł. Muszę go znaleźć - powiedział szeptem do Amber.

Robert już wychodzi? Rozejrzała się w popłochu, szukając wzrokiem Jeana-Philippea. Wciąż zabawiał rozmową Niemkę. Amber ogarnęła rozpacz i właśnie w tym momencie Jean-Philippe, jak gdyby wyczuwając jej niepokój, podniósł wzrok.

- Proszę, wybaczcie nam - powiedziała to na tyle głośno, aby jej słowa usłyszał także Jean-Philippe - ale Robert i ja musimy wyjść.

Robert wyglądał na wyraźnie niezadowolonego.

- Amber, nie musisz ze mną wychodzić.

Odstawił drinka na stół i chociaż Amber wiedziała, co w tym momencie zrobi Jean-Philippe, ruch jego ręki był tak błyskawiczny, że nie miała pewności, czy faktycznie wsypał do kieliszka jakiś proszek.

Robert zaczął się już odwracać do niej plecami. Wychodził, nie dokończywszy drinka. Amber w pośpiechu złapała kieliszek i podała mu. Robert wziął go bez słowa, wypił duszkiem i odszedł.

Nie zdołał jednak dojść nawet do drzwi, gdy raptem zachwiał się na nogach i obrócił, patrząc nieprzytomnym wzrokiem w jej stronę.

Pierwszy znalazł się przy nim Jean-Philippe.

- Czy na sali jest lekarz?

Robert w tym czasie zgiął się wpół. Poszarzał na twarzy i pocił się obficie, ale cały czas powtarzał, że nic mu nie jest. Natychmiast pojawił się mały korpulentny człowieczek o przeredzonych włosach, ziemistej cerze i ciemnych jak rodzyнки oczach, niczym nieróżniący się od tysięcy innych Francuzów. Podbiegłszy do nich, zaczął kręcić głową i cmokać głośno.

- Czy mąż jadł może owoce morza, *madame*? Tylko w tym tygodniu kilka osób zatrulo się skorupiakami.

- Och. Tak, chyba jadł - potwierdziła Amber, nie zważając na protesty Roberta.

- Sprowadzę państwa samochód - zaofiarował się Jean-Philippe.

- Pójdzie pan z nami, doktorze? - poprosiła Amber, dzielnie odgrywając swoją rolę. - Boję się o męża. Wygląda bardzo źle.

- *Naturellement, madame* - zgodził się lekarz.

- Bardzo mi przykro. - Amber zwróciła się ponownie do von Ribben tropów. - Doktor twierdzi, że to może być jakiś rodzaj zatrucia pokarmu. Odwiozę męża z powrotem do Willi. Na szczęście to chyba nic poważnego. Kilka dni i powinno być po wszystkim.

- Może życzy sobie pani, by ktoś z nas państwu towarzyszył... - zaproponował Heinrich.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy Niemiec zaczął coś podejrzewać?

- To bardzo uprzejmie z pana strony, ale nie ma takiej potrzeby. Doktor pojedzie z nami.

Dość nieoczekiwanie z odsieczą pospieszyła im hrabina Irene, która powiedziała do swojego szwagra zniecierpliwionym tonem:

- Na litość boską, Heinrich. Nie popsuj nam tego wieczoru. Przecież to tylko zatrucie, nic więcej.

Robert nie chciał, by lekarz jechał z nimi. Z tego, co Amber udało się z trudem zrozumieć, chciał, żeby zostawić go w spokoju, bo musi odszukać Ottona.

Zanim pomogli Robertowi wsiąść do samochodu, ktoś zdjął mu marynarkę; Amber uznała, że to na pewno robota Jeana-Philippea. Tymczasem lekarz, nie zważając na protesty Roberta, poprosił Amber, żeby odpięła mężowi spinkę do mankieta, podczas gdy on przytrzymał mu ramię.

Amber bardzo źle się z tym czuła, ale wiedziała, że robi to wszystko dla dobra Roberta.

- A teraz, jeśli pani pozwoli, proszę mi pomóc.

Robert próbował stawiać opór, ale narkotyk, który Jean-Philippe wsypał mu do drinka, sprawił, że osłabł do tego stopnia, iż nie był w stanie już nic zrobić. Lekarz przewiązał mu rękaw i poprosił Amber, żeby przytrzymała mężowi rękę.

- Niestety, proszę pana, obawiam się, że to niemożliwe - doktor uśmiechnął się do niego radośnie, po czym sprawnym ruchem wbił mu w ramię igłę, którą przed chwilą wyjął z torby, i wcisnął tłok strzykawki do samego końca.

- Co do...

- Doskonale - ucieszył się doktor, kiedy Robert stracił przytomność, zanim jeszcze zdolał dokończyć zabieg. - Jesteśmy już przy nadbrzeżu - dodał, zwracając się do Amber.

- Doktorze, czy mężowi nic nie będzie, kiedy już się ocknie?

- Nie, *madame*. Będzie go bolała głowa, ale nic poza tym.

Lekarz zniknął, błyskawicznie roztapiając się w mroku. Amber pobiegła na jacht i poprosiła o spotkanie z kapitanem. Na szczęście był to Brytyjczyk, w dodatku dobrze znający swój fach.

- Kapitanie, obawiam się, że mój mąż bardzo źle się czuje. Musimy wnieść go na pokład i położyć w jego kajucie. Proszę przekazać załodze, że to nic zaraźliwego. Niezbędne jest jednak leczenie w kraju. Wypływamy, jak tylko uda mi się sprowadzić syna.

- Oczywiście, wasza książęca mość.

Luc był zachwycony, kiedy Amber obudziła go w środku nocy i powiedziała, że jadą na jacht. Gladys nie podzielała jego entuzjazmu.

- Jego książęca mość wyglądał na zupełnie zdrowego, kiedy wychodziliście państwo z domu - zauważyła.

- Tak, to nagły atak. Na szczęście na przyjęciu był obecny lekarz, który powiedział jednak, że księżę powinien otrzymać niezwłoczną pomoc lekarską w Wielkiej Brytanii.

- To prawda. Nie ma to jak dobry angielski doktor - zgodziła się udobruchana tym faktem Gladys.

W końcu byli gotowi. Ich kufry podróżne znalazły się razem z nimi na pokładzie, a linia wybrzeża zaczęła się oddalać stopniowo, po tym jak kapitan dał sygnał do wypłynięcia.

Robert leżał nieprzytomny na łóżku w swojej kabinie i oddychał chrapliwie.

Amber usiadła w fotelu obok łóżka. Martwiła się, że Robert zwymiotuje i zakrztusi się pod jej nieobecność.

Modliła się, mając nadzieję, że postąpiła właściwie.



## Rozdział 44

- Wasza książęca mość, co mamy zrobić ze skrzynią, która została przysłana na pokład, zanim wypłynęliśmy z Francji?

- Jaką skrzynią?

- Dostarczył ją jakiś Francuz. Powiedział, że możemy przekazać ją wyłącznie pani. Chce pani, byśmy wnieśli ją do głównego salonu?

Było wcześniej rano i Amber mogła już myśleć trzeźwo o słowach kapitana, zamiast zamartwiać się, jak wyjaśni Robertowi, co i dlaczego zrobiła, kiedy on obudzi się ze snu wywołanego narkotykiem. Pokiwała więc głową.

- Tak, proszę, kapitanie. Chętnie zobaczę, co w niej jest.

Skrzynia była wielka i ciężka, sądząc po tym, w jaki sposób nieśli ją dwaj muskularni członkowie załogi, uginając się pod nią. Postawiwszy ją na dywanie, musieli usunąć wieko, które zostało zabite gwoździami.

Amber poczekała, aż wyjdą, i wtedy dopiero zajrzała do środka.

W skrzyni bez wątpienia znajdowały się płótna malarskie, zawinięte w ochronne arkusze czystego papieru. Na nich zaś leżał list napisany zamaszystym charakterem pisma Jeana-Philippea.

Amber otworzyła go i przeczytała.

„Moja najdroższa eks-dziewico,

Niektóre rzeczy nie są przeznaczone dla wszystkich oczu i chociaż na malowałem te obrazy z myślą, że je wystawię, ostatecznie nie zrobiłem tego. Być może powinienem był je zniszczyć, ale jak mógłbym to zrobić, skoro jest to jedyna rzecz, jaka mi po tobie została, a ja w tak arogancki sposób zniszczyłem już naszą miłość.

Zatrzymałem więc te obrazy dla siebie i znajdowałem w nich wielką pociechę. Teraz jednak przekazuję je Tobie razem z tym obrazem, który uważam za swoje największe dzieło w całym moim życiu.

Na zawsze twój,

Jean-Philippe"

Powoli i ostrożnie Amber odpakowała pierwsze płótno. Kiedy je zobaczyła, jej oddech przyspieszył, a na policzkach pojawił się rumieniec.

Potem drżącymi rękami wyjęła wszystkie sześć płócien ze skrzyni i położyła jedno obok drugiego. Dopiero tak zestawione opowiadały historię przebudzenia jej emocjonalnego i cielesnego pożądania. Jeszcze bardziej szokujące od nagości jej ciała była dla niej obnażona wrażliwość uwieczniona przez oko i pędzel Jeana-Philippe'a. Odkrył przed nią intymne uczucia, które dosłownie wylewały się z obrazów, dominując nad jej opalizującym ciałem skąpanym w słońcu południa Francji sprzed lat. Te obrazy były dla Amber darem i przekleństwem jednocześnie. Jean-Philippe był bez wątpienia niezrównanym artystą i być może gdyby namalował inną dziewczynę, Amber mogłaby bez emocji podziwiać jego dzieło. Ale namalował ją, odkrywając przy tym tak intymne uczucia, że nie mogła patrzeć na to, co miała przed sobą. Ta dziewczyna już nie istniała. Amber porzuciła ją, kiedy uciekła przed Jeanem-Philippe'em i jego kłamstwami. Ta dziewczyna z czasem stała się matką Luca i żoną Roberta. Kobieta, która tego lata, leżąc w ramionach Jeana-Philippe'a, uświadomiła sobie, czym jest prawdziwa miłość i kto jest jej adresatem. Z pewnością nie był to francuski artysta.

Amber kochała Luca jako matka. Kochała też Roberta jako żona. Ale jej miłość jako kobiety zawsze będzie należeć do jednego mężczyzny. Tym mężczyzną był Jay

Pod spodem leżały jeszcze dwa obrazy. Pierwszy z nich - *Córka handlarza jedwabiu* - był jej dobrze znany. W przeciwieństwie do drugiego. Zauroczona jego pięknem, dotknęła ręką fałd jedwabiu, tak autentycznych, jakby były prawdziwe. Do oczu napłynęły jej łzy. Oba obrazy robiły niesamowite wrażenie, ale ten drugi był z całą pewnością prawdziwym dziełem sztuki.

Amber miała właśnie odłożyć obrazy z powrotem do skrzyni, kiedy dostrzegła, że było w niej jeszcze coś, zapakowane starannie w mocny brązowy papier. To coś przelewało jej się przez palce i było tak lekkie, że nie mógł to być kolejny obraz. Kiedy otwierała paczuszkę, trzęsły jej się ręce. Wewnątrz znalazła sztukę bezcennego antycznego jedwabiu, z którym Jean-Philippe namalował ją za pierwszym razem, a także karteczkę ze

słowami: „To dla ciebie ode mnie. Jedwab został spleciony - nie pytaj jednak, w jakiej walucie”.

- Coś ty narobiła! - W głosie Roberta zabrzmiała dzikość i niezmierny ból.

Narkotyk, który podał mu lekarz, sprawił, że Robert przespał cały dzień. Teraz był już jednak zupełnie przytomny i wezwał Amber do swojej kajuty, domagając się wyjaśnień.

Lecz gdy opowiedziała mu wszystko od początku do końca, wyśmiał ją i nie chciał przyjąć do wiadomości, że działała w jego dobrym interesie. Tego właśnie się bała.

- Zrobiłam to, bo uważałam, że to dla ciebie najlepsze - próbowała go przekonać.

- Zniszczyłaś mnie. Zrujnowałaś mi życie. Bez Ottona jestem nikim. Nie chcę żyć bez niego - odparł Robert, a potem odepchnął Amber i ruszył w kierunku drzwi.

- Dokąd się wybierasz? - spytała z troską.

- Muszę powiedzieć kapitanowi, żeby zawrócił jacht.

- Nie, Robertcie, nie wolno ci tego zrobić - zaprotestowała. - Musisz przyjąć do wiadomości, jak to się dla ciebie skończy, jeśli to zrobisz.

- Nie, to ty musisz zrozumieć, co się stanie, jeśli tego nie zrobię. Nie sądziłem, że mogę kogokolwiek tak nienawidzić, jak teraz ciebie.

Jego słowa, podobnie jak ruchy, były dzikie i gorączkowe. Amber знаła ich powód, a mimo to i tak ją zraniły

- Zrobiłam to dla twojego dobra, Robertcie. Wiem, że nie potrafisz tego zaakceptować w tej chwili, ale z czasem...

- Nie! Nigdy nie zaakceptuję tego, co zrobiłaś, ani twojej obecności w moim życiu.

- Robertcie...

- Mówię poważnie, Amber. To koniec naszego małżeństwa. Gdyby nie Luc... Ale nie pozwolę mu cierpieć z żadnego powodu. Oczywiście ustalimy szczegóły prawnej separacji, ale dopiero wtedy, gdy będę mieć pewność, że Luc zostanie odpowiednio przygotowany na to, co się z tym wiąże, i zrozumie, że nie będzie to mieć żadnego wpływu na nasze relacje ani

na moją miłość do niego. A teraz, jeśli pozwolisz, muszę wydać instrukcje kapitanowi. Nic i nikt nie powstrzyma mnie przed byciem z Ottonem. Ja muszę z nim być. Nie zniósłbym, gdyby było inaczej...

Robert nagle zamilkł, na czoło wystąpił mu pot, a twarz zbladła. Odwrócił się i zataczając się, pobiegł do łazienki. W chwili, w której Robert zamknął drzwi do łazienki, Amber niemal wybiegła z kabiny i roztrzęsionymi rękami zamknęła drzwi na klucz, z Robertem uwięzionym w środku.

Potem poszła prosto do kapitana i powiedziała mu, nie tracąc czasu na wyjaśnienia:

- Kapitanie Pierce, obawiam się, że mojemu mężowi ani trochę się nic poprawiło. Musi pozostać w swojej kabinie do czasu, aż dotrzemy do Anglii. Nikomu nie wolno się do niego zbliżać z wyjątkiem jego osobistego służącego i mnie.

- Oczywiście, wasza książęca mość.

- Muszę wysłać telegraf... do Duffa Coopera w admiralicji.

Amber nienawidziła się za to, że praktycznie zdradziła Roberta. Ale sprawa była zbyt poważna, żeby nie zwrócić się o pomoc, której tak desperacko potrzebowała.

- Co mam mu przekazać, wasza książęca mość?

- Proszę mu powiedzieć, że... że to bardzo ważne, aby czekał na nas, kiedy dotrzemy do Anglii. Proszę mu też powiedzieć, że to kwestia bezpieczeństwa narodowego.

Amber nie była w stanie spojrzeć kapitanowi w oczy.

- Oczywiście, wasza książęca mość.

Amber wiedziała, że Robert nigdy jej nie uwierzy, bez względu na to, jak bardzo będzie się starała go o tym przekonać. A jednak nienawidziła **się** za to, co mu robiła.

# Część czwarta



## Rozdział 45

### **Boże Narodzenie 1937 roku**

A więc to prawda. Amber wiedziała, bo oznaki nie pozostawiały żadnych złudzeń, choć z całych sił starała się ich nie zauważać. Teraz jednak miała niepodważalny dowód, a jej taktyka chowania głowy w piasek sprawiła, że było już za późno, żeby cokolwiek zmienić.

Amber położyła rękę na swoim na szczęście wciąż jeszcze płaskim brzuchu. Czy byłaby w stanie zniszczyć życie, które nosiła w sobie? Dlaczego nie? Jeśli nie to życie, to na pewno kilka innych. Życie swojego syna, który udawał, że nie ekscytuje go Boże Narodzenie, ale w rzeczywistości nie potrafił ukryć, jak bardzo mu na tych świętach zależy Życie swojej rodziny, na czele z babcią, która w tym tygodniu przyjechała z Macclesfield razem z wiecznie złym Gregiem i małą Rose. Wreszcie własne życie - działalność charytatywną, dobre uczynki, zaangażowanie w pracę fabryki i oczywiście jej ukochany sklep, który odniósł ogromny sukces. Nie mówiąc już o życiu jej męża, który zaplanował ich formalnoprawną separację, nim jeszcze dowiedział się o dziecku.

Od powrotu z Francji Robert rzadko się do niej odzywał. Zamykał się przed nią, także emocjonalnie. Teraz, kiedy otrzymał rządowy nakaz kontroli swojej korespondencji, a także ostrzeżono go, by pod żadnym pozorem nie próbował kontaktować się z Ottonem ani nie opuszczał kraju, winił Amber za ten stan rzeczy Kiedy musiał się do niej odezwać, jego głos był lodowaty, a słowa ostre jak szpilety Jednak na ogół po prostu jej unikał. To była tylko kwestia czasu, kiedy ogłosi, że skontaktował się już ze swoimi prawnikami i zakończył od strony formalnej przygotowania do separacji. Fakt, że Amber była teraz w ciąży z drugim dzieckiem Jeana-Philippe'a, mógł tylko przyspieszyć ten proces i stanowić kolejny argument usprawiedliwiający taką decyzję.

Amber wiedziała, że w najlepszym razie stanie się przedmiotem niewybrednych plotek, w najgorszym zaś popadnie w całkowitą niełaszkę i ostracyzm. Ale nie to ją najbardziej martwiło, lecz Luc, o którego tak się teraz bała. Luc uwielbiał mężczyznę, którego uważał za swojego ojca. I to właśnie utrata tej ojcowskiej miłości spędzała Amber sen z powiek i napa wała ją rozpaczą w znacznie większym stopniu niż utrata wszystkich ty tułów i bogactwa Roberta. Teraz, kiedy była w ciąży po raz drugi, Robert mógł przecież ogłosić, że nie jest prawdziwym ojcem Luca. Amber miała jednak nadzieję, że bez względu na separację Robert nadal będzie traktował Luca jak własnego syna i obdarzał go tą samą miłością, co do tej pory. Powiedział przecież, że nie pozwoli skrzywdzić Luca. Ale druga ciąża mogła wszystko zmienić.

Z początku Amber trudno było w to uwierzyć, kiedy poczuła pierwsze ranne nudności - czy raczej nie chciała w to uwierzyć. Jednak pewien mądry i bardzo dyskretny londyński lekarz, z którym skonsultowała się w tym miesiącu, potwierdził, że nie ma mowy o pomyłce i Amber rzeczywiście jest w ciąży.

Wstała z taboretu stojącego przed toaletką, gdzie przesiadła ostatnie pół godziny, po tym jak odesłała służącą. Robert przyjechał po południu z Londynu, żeby spędzić święta z rodziną. Pewnie jest teraz w swojej sypialni, gdzie przygotowuje się do kolacji wigilijnej. Amber zdecydowała, że z nim porozmawia - im szybciej, tym lepiej. Dla dobra Luca będzie go błagać, by się jej nie wyrzekał. Czy Robert się na to zgodzi? Czy wzniesie się ponad gorycz, którą czuł do niej, i okaże jej hojność, czy też uzna, że Amber wymaga od niego zbyt wiele, biorąc pod uwagę jego miłość do Ottona?

Co roku w Wigilię kolacja odbywała się godzinę wcześniej, tak by po jej zakończeniu mogli jeszcze rozdać służbie prezenty leżące pod wielką choinką w holu.

Wigilia. Czas radości i dziękczynienia za narodziny dziecka. Ale nietęgo dziecka.

Po policzku Amber stoczyła się łza, która lśniła w świetle jak diament, póki jej nie wytarła. Już za późno na łzy. Za późno na cokolwiek. Trzeba stawić czoło rzeczywistości.



Wstała, podeszła do drzwi w korytarzu łączącym ich sypialnie, zapukała, po czym weszła do pokoju Roberta. Przez ostatnie cztery miesiące na jego twarzy malowała się surowość i gorycz. Amber wiedziała, że im częściej musiał na nią patrzeć, tym bardziej ten grymas się utrwał.

Chciałabym zamienić z tobą słowo przed kolacją - powiedziała. -

Na osobności.

- Dziękuję, Hulme. - Robert odesłał służącego, poczekał, aż ten opuści pokój, i dopiero wtedy zaproponował: - Może usiądziesz?

Amber potrzęsnęła głową. Robert powiedział, że nigdy nie wybaczy jej tego, iż sprowadziła go z powrotem do Anglii wbrew jego woli, a ona wiedziała, że mówi to poważnie. W ciągu tych ostatnich miesięcy Robert wykazał ogromną siłę woli, z której istnienia Amber nie zdawała sobie nawet sprawy. Wydostał się z otchłani rozpacz, w którą wpadł po powrocie z Francji.

W ciągu pierwszych tygodni Amber obawiała się nie tylko o jego życie, ale i o zdrowie psychiczne. Winston Churchill powiedział Robertowi, że skaże go na areszt domowy, jeżeli spróbuje wyjechać do Niemiec. Nie miało znaczenia, że wszyscy działali dla jego dobra. Robert powiedział Amber, że wolałby już śmierć niż to cierpienie, które mu zadali.

To właśnie Winston wyciągnął Roberta z dołka, przypominając mu o jego obowiązku wobec państwa i nalegając, by ten obowiązek postawił na pierwszym planie, przed uczuciami.

Nie jest mi łatwo o tym mówić - zaczęła Amber. - Nie chciałam... Nigdy sobie nie wyobrażałam... Jestem w ciąży. Robert odwrócił się od niej i tak długo milczał, że Amber zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno ją zrozumiał. Aż w końcu powiedział twardym tonem:

Tak, spodziewałem się tego. Wiedziałaś?

Dopiero teraz na nią spojrział, a jego usta wykrzywiły się na kształt uśmiechu, który Amber tak zawsze uwielbiała, a który teraz zmienił się

w cyniczny grymas.

Trudno się nie domyślić, biorąc pod uwagę twoje poranne nudności. Ojcem dziecka jest, jak sądzę, Jean-Philippe?

- Tak - przyznała ze wstydem. - Teraz zapewne przyspieszysz całą procedurę związaną z separacją. Być może nawet będziesz chciał się ze mną rozwieść. Rozumiem to, Robertcie. Proszę cię tylko, żebyś nie angażował w to Luca. On cię uwielbia i gdyby teraz odkrył, że nie jesteś jego ojcem...

- Myślisz, że byłbym zdolny zrobić coś takiego? - W miejsce cyni zmu pojawił się teraz gniew. - Widzę, że masz o mnie naprawdę niskie mniemanie, Amber. Luc jest moim synem, zawsze nim będzie i nic tego nie zmieni. Ja też nie zamierzam tego zmieniać. To właśnie z jego powodu od samego początku podkreślałem, że nasza separacja zostanie przeprowadzona z najwyższą ostrożnością i w taki sposób, aby Luc zaakceptował, że pomimo iż będziemy żyć osobno, nadal będziemy go kochać. Także przez wzgląd na Luca wahałem się, czy podjąć w tej sprawie formalne kroki, dopóki z nim nie porozmawiam. Oczywiście w obecnej sytuacji czas odgrywa jeszcze większą rolę. Innymi słowy rozwód musi nastąpić jak najszybciej.

Amber wydała z siebie stłumiony i drżący oddech ulgi. Robert nie skrzywdzi Luca. Kocha go i nadal uważa za swojego syna. Sam to przed chwilą powiedział, a Amber wiedziała, że Robert nie rzuca słów na wiatr. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Kiedy urodzi się dziecko? - spytał Robert.

- Pod koniec maja.

- W takim razie pewnie tobie też zależy na jak najszybszym rozwodzie, jeśli chcesz poślubić Jeana-Philippea, zanim jeszcze urodzisz to dziecko.

Amber odebrała mowę.

- Nie ma o tym mowy. Jean-Philippe... To było nieplanowane. Błąd. Jednorazowe zdarzenie, a nie wynik jakiegoś długotrwałego romansu.

- Ale kochasz go, a on chciał się z tobą ożenić, więc.

- Nie, nie kocham go - odparła drżącym głosem. - To, co było między nami, należy do przeszłości.

Tylko tyle była w stanie z siebie wykrztusić. Te słowa sprawiały jej niewyobrażalny ból. Tym bardziej że nie mogła powiedzieć Robertowi, iż to widok jego upokorzenia i bólu przyczynił się w znacznej mierze do

poczęcia tego dziecka, którego Amber nie chciała; nie sądziła nawet, że kiedykolwiek będzie w stanie je kochać. Ale jako matka była odpowiedzialna za to poczęte życie.

Mówiłaś jeszcze komuś o tym? - spytał Robert.

Nie. Nie chciałam... To znaczy miałam nadzieję, że może się mylę.

Jak rozumiem, jest już za późno, żeby...

Tak - dokończyła za niego - jest już za późno, żeby przerwać ciążę. W tych okolicznościach najlepiej będzie, jeśli się nie rozwiedziemy, mając na względzie dobro Luca. Nie rozwiedziemy się? Ale...

Powiedziałaś, że nie zamierzasz wychodzić za Jeana-Philippea. W takim razie nie musimy brać udziału w tych wszystkich nieprzyjemnościach, które wiążą się z rozwodem. Musielibyśmy bowiem przyznać, że jedno z nas uprawiało seks pozamałżeński, i dostarczyć tego niezbite dowody

Amber zrobiło się niedobrze, ale nie z powodu ciąży. W myśl obowiązującego prawa rozwód mógł zostać uznany tylko wtedy, gdy jedna ze stron przyznała się do utrzymywania pozamałżeńskich kontaktów seksualnych, biorąc w ten sposób całą winę na siebie. Słyszało się nawet o ludziach, którzy chcieli się rozwieść i w tym celu płacili komuś za spędzenie ze sobą nocy, by w ten sposób mogli dostarczyć wymaganych dowodów. W istocie był to dość kwitujący proceder, w którym brały udział młode kobiety, wynajmowane do ochrony reputacji zarówno żon, jak i kochanek. U Robert naturalnie miał wszelkie podstawy, żeby rozwieść się z Amber, gdyż to ona była „winna”. Jednak bardziej szanowanym i akceptowanym wyjściem była prawna separacja.

- Jeśli jesteś pewien, że nie chcesz się ze mną rozwodzić... - Tylko tyle była w stanie powiedzieć Amber.

- Jestem absolutnie pewny - odparł Robert i dodał: - Myślę też, że nie ma potrzeby zdradzania komukolwiek naszych planów. Musimy zadbać przede wszystkim o Luca. Jeżeli zaś chodzi o dziecko, to jeśli zechcesz, mogę je uznać za swoje, również dla dobra Luca. Nie chcę go martwić ani doprowadzić do tego, że chłopcy w szkole będą się z niego śmiać. Muszę cię jednak ostrzec, że nie chcę widzieć tego dziecka ani mieć z nim nic

wspólnego. Ono nigdy nie będzie moim dzieckiem w taki sposób, w jaki traktuję Luca. Myślę też, że po świętach powinniśmy już zamieszkać od dzielnie. Oczywiście będą się z tym wiązać pewne konsekwencje prawne, ale jestem pewien, że znajdziemy jakiś kompromis. Luc jest i zawsze będzie moim spadkobiercą, natomiast to dziecko...

Robert umilkł, kiedy zobaczył, że Amber zaczyna płakać.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

- Nie uraziłeś.

Prawda była taka, że Amber rozplakała się z powodu ulgi i wyrzutów sumienia. Ulgi, ponieważ Robert nie zamierzał jej zmuszać do ujawniania swojej sytuacji przed całym światem. A wyrzutów sumienia, gdyż tak bardzo żałowała, że w ogóle doszło do poczęcia tego dziecka.

- Podejrzewam, że Luc z trudem zniesie rozłąkę z Brunonem, kiedy będzie musiał wrócić do szkoły - ostrzegła Amber Roberta, kiedy stali oboje przed oknem salonu i patrzyli, jak Luc baraszkuje z młodym labradorem na zamrażonym trawniku.

- Nie wydaje mi się. Luc jest już na tyle duży i mądry, by zrozumieć i zaakceptować fakt, że szkoła to nie miejsce dla psa. I że wiejskie psy po winny żyć na wsi. Jarvis uważa, że ten pies może się świetnie sprawdzić w polowaniach, jeżeli zostanie do tego właściwie przeszkolony. A do tego czasu Luc również podrośnie na tyle, że będzie mógł obchodzić się z bronią.

- Robercie, to jeszcze mały chłopiec.

- ja miałem pięć lat, kiedy wziąłem udział w pierwszym polowaniu. To część jego dziedzictwa, Amber. Luc już poznaje historię tego domostwa i ludzi, którzy w nim mieszkali, a także dobre maniery, których uczy go twoja babcia.

Amber westchnęła z żalem. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia Luc był przez moment na polowaniu i przez resztę dnia opowiadał o tym z wypiekami na twarzy. Wiedziała, że Robert ma rację i że Luc powinien uczyć się tego wszystkiego, co z czasem stanie się jego spuścizną. Ale wciąż był jeszcze jej małym chłopcem. Nawet mimo tego, że zachowywał się w tak słodko opiekuńczy i „dorosły” sposób w stosunku do Rose, która

już chodziła, chociaż jej nóżki nie były jeszcze tak stabilne i proste, jak powinny. Nienawidziła chłodu, który zapanował między nią a Robertem po powrocie z Francji. Brakowało jej ciepła jego żartobliwego uśmiechu i dowcipów. Tęskniła też za jego akceptacją jej ubiorów i zainteresowaniem tym, co robiła. Czuła się tak, jakby ktoś zdjął jej z ramion ciepły koc i zostawił ją na chłodzie, który przenikał w głąb duszy. Czy jej przeznaczeniem było już na zawsze utracić przyjaźń mężczyźni, na których tak bardzo jej zależało - najpierw Jaya, a potem Roberta? Nie kochała Roberta tak jak męża czy kochanka. Ale w końcu miłość ma wiele różnych obliczy. Teraz będą musieli żyć w separacji - Amber w oczekiwaniu na przyjście na świat dziecka i na formalny koniec ich małżeństwa. Tak bardzo brakowało jej Roberta, za którego wyszła. Ten Robert, należący teraz do Ottona, nie był już jej Robertem. Ten Robert, jak sam powiedział, nigdy jej nie wybaczy. Amber wyglądała przez okno w Osterby z Pokoju Abdykującego Króla, Mik został nazwany niewielki przedpokój sąsiadujący z sypialnią w najbardziej reprezentatywnych apartamentach posiadłości. Przed nią roztaczał się widok na wypielegnowane ogrody kończące się niskim ogrodzeniem, za którym jelenie z parku posilały się jedzeniem zostawianym im na śniegu.

Kilka nocy siarczystego mrozu z obfitymi opadami śniegu zamieniło krajobraz w zupełnie inny, kontrastujący ze sobą czerniami i srebrnymi bielami.

Jutro babcia, Greg i Rose wracają do Macclesfield. Dzień później Robert wyjeżdża z Lukiem do Londynu, skąd odwiezie go do szkoły. Amber zostanie zupełnie sama w domu.

Miała mnóstwo rzeczy do zrobienia, poza tym nie była w nastroju do wizyt i spotkań towarzyskich. Wciąż bolała ją głowa po kłótni z Gregiem, który po raz kolejny wypomnił jej zmianę testamentu babci.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy jej kuzyn rzeczywiście podupadł na zdrowiu od ich ostatniego spotkania? Znacznie zeszczuplał, żyły na jego nosie i policzkach popękały, straciły naturalny kolor i stały się dużo bardziej widoczne; odbarwiły się też jego zęby. Amber musiała odwracać

wzrok, widząc, jak bardzo trzęsą mu się ręce i jak w połowie zdania traci wątek i po prostu przestaje mówić. Uznała, że potrzebuje więcej świeżego powietrza. To powinno ukoić ból głowy i rozgonić kwaśny odór rozpaczy oraz poczucia winy, którymi przesiąkł i oddychał cały dom.

Jak wiele innych domów na wsi posiadłość w Osterby miała także pokój, w którym trzymano robocze płaszcze, kapelusze i gumowce. Amber poszła jednak na górę, żeby włożyć ciepły tweedowy płaszcz. Szyję i kapek lusz owinęła chustką, włożyła także solidne turystyczne buty i dopiero tak ubrana wyszła na trzaskający mróz.

Było tak zimno, że powietrze wpadające do płuc, oczu i nosa sprawiało jej ból. Mimo iż miała rękawiczki, musiała wsunąć dłonie do kieszeni płaszcza, żeby powstrzymać nieprzyjemne mrowienie. Przeszła wzdłuż tarasu, a potem po schodach zeszła do ogrodu, i przecinając go, skierowała się w stronę parku.

Jelenie śledziły ją obojętnym wzrokiem, gdy je mijała. Zgryzota ciążyła jej jak ołów w piersi. Robert nigdy nie wybaczy jej tego, że rozdzieliła go z Ottonem, a mimo to była pewna, iż gdyby miała podjąć decyzję jeszcze raz, postąpiłaby dokładnie tak samo.

Usłyszała śmiech i podniosła głowę. Zobaczyła, że Luc i Robert idą w jej stronę. Luc biegł z przodu, razem ze swoim psem.

- Mamusiu, zobacz, jaki Bruno jest inteligentny - zawołał z ekscytacją w głosie, a potem schylił się, podniósł piłkę, którą bawił się pies, i rzucił ją w kierunku Amber.

Obserwowała lot piłki i to uspiło jej czujność. Nie zauważyła labradora, który wbiegł jej pod nogi. Wtedy było już za późno i Amber runęła na śnieg.

Usłyszała własny krzyk i ostrzegawcze wołanie Roberta. Słyszała, jak biegnie w jej stronę. Leżała na ziemi, nie mogąc złapać oddechu pod wpływem ostrego jak nóż bólu.

Robert ukląkł przy niej na śniegu. Luc był tuż obok.

- Nic ci się nie stało? - spytał Robert lakonicznym, suchym tonem.

- Nie wiem. Moje... Czuję ból.

Amber zobaczyła, że Robert domyślił się i pociemniały mu oczy. Odwrócił się do niej plecami i spojrzał w stronę domu. Zostawi mnie tutaj -pomyślała Amber. Ból i poczucie winy toczyły ze sobą wewnętrzną walkę, w której mógł wygrać jedynie ból. Amber usłyszała, jak Robert mówi **do** Luca:

- Biegnij do domu i powiedz Batesowi, żeby zadzwonił po doktora Archera. Prędko! Powiedz, że to pilne.

Ból był tak silny, że Amber z trudem oddychała.

- Jakie to zabawne - zdołała wyszeptać Robertowi, który klęczał teraz na śniegu u jej boku i trzymał ją za rękę. -

Żadne z nas nie chce tego dziecka. Ciekawa jestem, czy ono to wie.

- Nie ruszaj się. - Ścisnął ją mocniej za rękę i podniósł wzrok. - Nadchodzi twoja babcia, a razem z nią, z tego, co widzę, połowa domostwa.

- Przepraszam, Robercie. Tak bardzo mi przykro - zdążyła jesz, ze wyszeptać Amber, po czym ból zawładnął nią bez reszty i odpłynęła w ciemność.

Budziła się bardzo powoli. Pierwszym zmysłem, który odzyskała, było powonienie. Czowała zapach mrozu, ziemi i własnego strachu, który zmieszał się z zapachem perfum babci.

Amber niechętnie otworzyła oczy. Miejsce Roberta zajęła Blanche, która spoglądała na nią z marsową miną.

- Co to za pomysł, żeby urządzać sobie spacer w taką pogodę? -skarciła ją, jakby już domyśliła się ciąży Amber.

- Jest już lekarz - poinformował Robert.

Doktor Archer był typowym wiejskim medykiem o spokojnym usposobieniu i powolnej mowie.

Amber musiała zostać zanieśiona do swojej sypialni na noszach i dopiero tam doktor mógł ją zbadać.

- Na moje oko złamała pani żebro albo nawet dwa - powiedział. Obrócił się do Roberta, który nachylił się i szepnął mu coś do ucha.

- Ach tak, rozumiem. W takim razie możemy mieć tylko nadzieję...

Lekarz wyszedł dopiero po godzinie. Kilka minut później Robert wszedł do sypialni Amber.

- Rozmawiałaś z doktorem Archerem? - spytała bez entuzjazmu.

- Tak. Powiedział, że przez kilka najbliższych dni musisz odpoczywać. Jeśli zaczniesz krwawić, mam go natychmiast wezwać.

- Dobrze - zgodziła się.

Robert podszedł do okna i popatrzył na park, po którym przed upadkiem spacerowała Amber. Kiedy odwrócił się do niej twarzą, miał na niej tak posepnny i zamknięty wyraz, że Amber nie była w stanie odgadnąć, o czym myślał.

W nocy trochę krwawiła, ale nikomu o tym nie powiedziała. Zachowała to tylko dla siebie, mając nadzieję, że straci dziecko, nie zważając na protesty własnego instynktu macierzyńskiego. Nad ranem jednak krwawienie ustało i pod koniec tygodnia doktor Archer powiedział, że może wstać oraz że dziecko jest absolutnie bezpieczne.

Amber była jednak nadal przygnębiona poczuciem winy. W pokoju dziecięcym wzięła na kolana małą Rose i czuła, jak miłość do córki Gre-ga ogrzewa jej znieczulone serce. Skoro mogła kochać niechciane dziecko swojego kuzyna, dlaczego nie była w stanie pokochać własnego dziecka, które nosiła w łonie?

Kochała przecież Luca, więc jeśli to dziecko się urodzi, na pewno je także pokocha. A jeśli nie? Jeśli nie będzie mogła?

Rose wierciła się na jej kolanach, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Amber zareagowała natychmiast, schyliła się i ucałowała czubek jej ciemnej, jedwabiście miękkiej główki. Orientalne spojrzenie oczu Rose, kontrastujące z jej perfekcyjnie angielskimi, różowiutkimi usteczkami, nadawało jej twarzy egzotyczną urodę.

Amber miała nadzieję, że Greg przychyli się do jej sugestii, by zostawić Rose, gdy razem z babcią wrócą do Macclesfield. Ale Greg był wciąż na nią zły i ku rozczarowaniu Amber odmówił jej.

Miała tyle planów na ten rok. Nowe materiały do sklepu i być może także nowe zlecenia z Narodowego Funduszu na rzecz Renowacji Zabytków, stworzenie archiwum wzorów swojego ojca oraz szczegółowych projektów, jakie Vanbrugh wykonał na potrzeby dekoracji wnętrza w Denham Place. Teraz jednak musiała się skupić na potrzebach tej nowej istoty, którą nosiła w sobie. Chociaż sklep też był dla niej bardzo ważny



Ważniejszy niż życie dziecka?

Poczucie winy i uraza toczyły w jej wnętrzu zacięłą walkę. Nie chciała kolejnego dziecka z Jeanem-Philippe'em. Jak spojrzeć w oczy Jayowi? Gdyby to było jego dziecko... A mimo to była wdzięczna Jeanowi-Philipp'owi. Za to, że przywrócił ją światu i samej sobie. Ale nie mogła być mu wdzięczna za życie, które w niej dojrzewało.

## Rozdział 46

### **Kwiecień 1938 roku**

- Babciu, rozumiem, że nie chcesz świętować swoich urodzin, ale ponieważ twoi przyjaciele są innego zdania, obawiam się, że nie masz wyboru - odparła oschle Amber, przysłuchując się narzekaniom Blanche, która uważała za marnotrawstwo pieniędzy urządzenie przyjęcia, na które i tak nie miała ochoty.

To fay uświadomił Amber przez telefon, że jej babcia kończy siedemdziesiąt lat i zasugerował, by ten fakt uczcić.

- Tyle dobrego zrobiła dla lokalnej społeczności, nawet jeśli nie chce się do tego przyznać.

Dźwięk jego głosu wywołał w Amber takie poczucie samotności i bólu, że cieszyła się, iż Jay nie widzi teraz jej twarzy. Nie miała pojęcia, kiedy przyjaźń przerodziła się w miłość. Czy stało się to - a ona to zignorowała

- jeszcze zanim się pocałowali? Zupełnie znikąd, jakby trącone niewidzialnymi skrzydłami, powróciło do niej wspomnienie ich spotkania w ogrodzie przed wyjazdem Amber do Londynu. Czy już wtedy nie miała wrażenia, że stąpa po cienkiej linii, za którą czeka coś naprawdę ważnego? Wówczas była jednak zbyt naiwna, żeby rozpoznać to uczucie i kochać tak, jak kocha prawdziwa kobieta. Ale przecież wiedziała, że fay jest wyjątkowy, czyż nie?

Tak czy inaczej na pewno zdała sobie z tego sprawę w ramionach Jeana-Philippe'a. O tak, wtedy wiedziała na pewno.

- Przyznaję ze wstydem, że nie znałam jej dokładnego wieku. Ale tak, oczywiście, coś trzeba zrobić - zgodziła się z fayem, kiedy była już w stanie rozmawiać z nim, nie zdradzając przy tym swoich uczuć.

- Ja też nie pamiętałem - przyznał Jay - Dopóki nie wspomniał o tym dziadek.

- Lepiej jej tego nie mówmy - wybuchnęła śmiechem. - Bo jeszcze gotowa wykorzystać to przeciw niemu. Poczyniono więc odpowiednie ustalenia, zgodnie z którymi miało się odbyć przyjęcie dla wszystkich pracowników zatrudnionych na terenie posiadłości. Ponadto robotnicy w fabryce otrzymali dodatkowy dzień wolnego. Blanche sprzeciwiała się temu zajadle i ustąpiła dopiero wtedy, kiedy Amber wyjawiała, że poinformowała już lokalną gazetę o jej szczodrości.

Nie była to do końca prawda, ale podstęp się udał. Amber potajemnie zorganizowała także produkcję jedwabnych chusteczek z nadrukowanym wizerunkiem Blanche. Ich nakład był ściśle limitowany i trafił wyłącznie do ludzi pracujących w fabryce i na terenie posiadłości Denham Place.

Maurice napisał w entuzjastycznym tonie, że miał kilka ofert z innych zakładów i przedstawicieli władz miejskich, którzy chcieli zamówić u nich jedwabne chustki.

- Szybko staną się one przedmiotem kolekcjonerskim, cenniejszym ze względu na mocno ograniczoną liczbę - przewidywał Jay, kiedy Amber podzieliła się z nim tą informacją w trakcie jednej z ich cotygodniowych rozmów telefonicznych, podczas których omawiali postęp przygotowań.

Stanleyowie z Aiderley Hall, którzy byli spokrewnieni z Mitfordami, zorganizowali dla Blanche urodzinową herbatę, dygnitarze z Macclesfield zaś - oficjalną kolację.

Cały tydzień, w którym Blanche obchodziła urodziny, obfitował w różnego rodzaju uroczystości. Pierwszą z nich było przyjęcie dla robotników i pracowników, które odbyło się w Tenants Hall.

- Tak sobie myślałam, Amber - obwieściła ostro Blanche - że jeżeli wybuchnie wojna, rząd będzie rekwirować to, co przyda się jako zaopatrzenie dla wojska. Musimy zrobić wszystko, żeby nie zarekwirowali Denham. Porozmawiaj ze znajomymi w Narodowym Funduszu na rzecz Renowacji Zabytków i powiedz im, że znacznie lepiej będzie się do tego celu nadawać posiadłość rodziny de Vries. Sama zresztą szepnęłam już słowo, komu trzeba. To jest posiadłość o charakterze produkcyjnym, a lord de Vries mieszka tam sam, podczas gdy jego ziemia leży odłogiem.

Amber ukryła lekki uśmieszek. Czyżby jej babcia dowiedziała się jakoś, że dziadek Jaya pamięta jej wiek, i była to forma zemsty za dobrą pa mięć Barranta de Vries?

- Pan Chamberlain jest przekonany, że do wojny nie dojdzie - przypomniała Amber.

- Ech, ten Chamberlain. Nie wierzę ani jemu, ani jego przekonaniom. Rozmowa o wojnie przypomniała Amber o toczącym się konflikcie w Hiszpanii. W gazetach można było przeczytać relacje o straszliwych cierpieniach ofiar tej wojny Czy Jean-Philippe przeżył krwawe walki? Amber miała nadzieję, że tak. Wysłała zapieczętowaną skrzynię z jego obrazami do Macclesfield i poprosiła o przechowanie jej w bezpiecznym miejscu.

- Babciu, pojedę teraz do Dower House i odbiorę stamtąd małą Rose.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się rozczulasz nad tym dzieckiem. Niech jedna z niań to zrobi.

- Rozczulam się, jak to ujęłaś, ponieważ jest to córka mojego kuzyna i kocham ją.

- Niedługo będziesz mogła się rozczulać nad własnym dzieckiem.

Amber został już tylko niecały miesiąc do porodu. Dziecko, które nosiła w brzuchu, było bardzo spokojne i nie przypominało o swojej obecności, aż do momentu, kiedy Amber wróciła do Macclesfield. Teraz za każdym razem, gdy brała na kolana Rose, dziecko kopało z taką siłą, jakby chciało zrzucić biedną dziewczynkę na podłogę.

W pierwszych dniach maja rozwinęły się ostatnie tulipany, rozkwitając feerią wspaniałych barw w kamiennych donicach i eleganckich rabatach będących wizytówką Denham.

Jay zdradził Amber, że Harvey, szef ogrodników, od tygodni narzekał na zbliżające się uroczystości, twierdząc, że goście będą chodzić po grządkach i zrujniają wypielęgowane trawniki.

- W duchu jednak jest zachwycony tą perspektywą, albowiem będzie to dla niego okazja, żeby przebić wszystkich ogrodników z sąsiednich posiadłości i pochwalić się swoim talentem przed pokazami na szczelbu okręgowym.

Jay Amber utkała misterną pajęczynę zasad i wymówek, żeby tylko wymigać się od spotkania z nim, a gdyby jednak to się nie udało - żeby się ukarać. Za wszelką cenę chciała się upewnić, że będą przebywać w swoim lowarzystwie tak krótko, jak to tylko możliwe. Poprzysięgła sobie, że wyrzuci go ze swojego umysłu i serca. Dlatego pójście do Dower House, by odebrać Rose, było zupełnie akceptowalne, ponieważ Amber wiedziała, że |aya tam nie będzie. Co więcej, wizyta w Dower House miała być wręcz rodzajem pewnej pokuty, gdyż Amber była niemal pewna, że zostanie tam ( assandrę.

Ponieważ Cassandra i Jay byli kuzynostwem, wydawało się naturalne, że Cassandra i Lydia zaprzyjaźnią się ze sobą. Blanche uważała to za bardzo szlachetne ze strony Cassandry, że spędza tyle czasu z Lydią, choć miała przecież własne określone obowiązki. Ale w Cassandrze było coś takiego, co odrzucało Amber - i na pewno nie było to poczucie winy, po tym jak Cassandra przyłapała ją na całowaniu się z Jayem. Na szczęście Cassandra dotrzymała słowa i nie powiedziała o tym Lydii w trosce o jej bezpieczeństwo. Amber sądziła, że Cassandra nie zrobiła tego, ponieważ rzeczywiście były z Lydią przyjaciółkami.

- Uważam, że Jay już dawno powinien odesłać żonę do szpitala psychiatrycznego. Widać bowiem wyraźnie, że Lydia kompletnie postradała zmysły, chociaż wszyscy nazywają to raczej „słabymi nerwami” - Blanche bez ogródek poinformowała o tym Amber.

- Wydaje mi się, że jesteś dla niej zbyt surowa - odparła Amber. - Lydia faktycznie czasem źle się czuje, ale nie zawsze.

Biedna Lydia - Amber pomyślała ze współczuciem, schodząc z pod-lazdu z odkrytą głową skapaną w majowym słońcu.

Brzozy porastające z obu stron podjazd dopiero wypuściły świeże listowie, za to trawa w parku była już soczyście zielona i bujna.

Amber rozmyślała nad wprowadzeniem do oferty sklepu nowej kolekcji pasujących do siebie jedwabi i tapet. Wzór, który tworzyły gałęzie i liście drzew, pobudzał jej wyobraźnię. Mogła połączyć kolor pergaminu z miękkimi szalwiami i ciemnymi grafitami - tylko pewien zarys, subtelny szkic. Sklep tętnił życiem - wystarczyło, że Amber otworzyła drzwi i weszła do środka, wdychając zapach jedwabiu i napawając zmysły jego

pięknem. Towarzyszyło jej stale uczucie spełnienia. Sukces tak wiele dla niej znaczył. Miała tyle planów, między innymi nawiązanie współpracy z Jamesem Leesem-Milne'em, jego Narodowym Funduszem i coraz bo gatszym archiwum antycznych jedwabi.

Fabryka utrzymywała się głównie dzięki sprzedaży hurtowej towarów w przystępnych cenach, na przykład pamiątkowych jedwabnych chusteczek. Drugim źródłem utrzymania były specjalistyczne kontrakty na jedwabne flagi i przedmioty heraldyczne. Sprzedaż luksusowych jedwabi nigdy nie wystarczyłaby, żeby zakład mógł pracować pełną parą, ale tkaniny te były oczkiem w głowie Amber. Radość, jaką sprawiał jej widok reprodukcji ponadczasowych, antycznych projektów, dostarczanie przepięknych materiałów i obserwowanie, jak dzieła jej ojca budzą się znów do życia, znaczył dla Amber tyle, że nie potrafiła znaleźć właściwych słów, by to opisać. To było szczęście i przywilej, że dzięki swoim korzeniom oraz małżeństwu z Robertem mogła ustanowić pomost, po którym sprowadzała z przeszłości do teraźniejszości nieśmiertelne piękno, dając mu nowe życie. Nigdy nie zapominała o tym, co było głównym źródłem utrzymania fabryki, była też bardzo wdzięczna Ministerstwu Obrony za kontrakt na produkcję jedwabiu do spadochronów, ale jej serce należało do tych cudownych jedwabi, które sprzedawała w sklepie przy Walton Street, i postawiła sobie za cel ciągle poszerzanie swojej kolekcji o nowe projekty. Tak, postawiła. Amber położyła rękę na brzuchu. Z powodu tego plany na przyszłość, jeszcze niedawno będące w zasięgu ręki, teraz przypominały raczej miraż, który nigdy nie przekroczył granic jej wyobraźni.

Daleko na wschodzie wzgórze Derbyshire rzucały na niebo purpurowe cienie. W miasteczku uzdrowiskowym Buxton nie było już śniegu, podobnie jak na krętej drodze, która prowadziła do najwyższej położonego w całej Anglii pubu Cat and Fiddle. W dniu takim jak dzisiaj, kiedy powietrze było przejrzyste, z Alderley Edge roztaczał się widok na całą równinę Cheshire, której bogate pastwiska ciągnęły się daleko na wschód hrabstwa.

Za miesiąc buki będą uginać się pod świeżym listowiem, a dziecko, które Amber nosi w sobie, przyjdzie na świat. Jego narodziny będą ozna-

czać koniec jej małżeństwa. Nie powiedziała babci o tym, co czeka ją w przyszłości. Ma jeszcze dużo czasu. Amber dotarła do bramy prowadzącej do ogrodu, który otaczał Dower House. Zaskoczyło ją, że nie słyhać znajomych głosów bawiących się dzieci. Jeszcze bardziej zaniepokoił ją widok Rose siedzącej samotnie na Irawniku. Córka Grega uśmiechnęła się promiennie, a potem wstała i podbiegła, żeby się z nią przywitać.

- Jak się dzisiaj miewa moja śliczna Rose? - spytała ją Amber z czułością w głosie.

Nie mogła się już schylić ze względu na brzuch, więc tylko poklepała dziewczynkę po głowie, rozglądając się w tym samym czasie za którąś z opiekunek i dwójką dzieci Jaya.

Z jakiegoś powodu martwa cisza panująca w ogrodzie wydała jej się złowieszcza. Amber zaniepokoiło to, że nigdzie nie widać córeczek Jaya, a Rose została zostawiona sama w ogrodzie. Amber wiedziała, że Jay - za namową doktora Brookesa - zabronił zostawiać dziewczynki same z matką. Być może nowa opiekunka, która musiała zostać zatrudniona w trybie pilnym, nie wiedziała o tym.

Amber przyspieszyła kroku. Zdała sobie sprawę, że idzie za szybko jak na swój stan dopiero wtedy, gdy poczuła bolesne ukłucie w boku. Drzwi do kuchni stały otworem. Kucharka zajęta była wałkowaniem ciasta, a marsowy wyraz jej twarzy świadczył dobitnie, że nie chce, aby jej przeszkadzano.

- Pani posłała Alice po pana Jaya - odpowiedziała na pytanie Amber. -Dziewczynki niezbyt dobrze się dziś czują. Moim zdaniem za dużo biegały i dokazywały. Nic dziwnego, że zrobiło im się niedobrze.

- Gdzie mogę je znaleźć?

- Na górze. Pani zeszła na dół i zabrała je, po tym jak wyszła lady de Vries. Po jakimś czasie zeszła po raz drugi i powiedziała, że Alice ma pilnie pójść po pana Jaya, ponieważ jej zdaniem dzieci zachorowały. Hmm... jakoś nic im nie było, kiedy biegały po ogrodzie i zamęczały mnie o ciastka.

- Ciastko - powiedziała z nadzieją w głosie Rose, opierając się o nogę Amber.

- Nie teraz, kochanie.

Nie było żadnego logicznego wytłumaczenia dla lodowatego ostrzeżenia, które pełzło w dół kręgosłupa Amber. Żadnego. Amber spojrzała w stronę drzwi z zielonego sukna, które oddzielały kuchnię od reszty domu.

- Mam wiadomość dla pani Fulshawe od mojej babci. Lepiej pójdę na górę i sama jej przekażę. Będzie pani miała oko na Rose? Obiecuję, że nie zajmie mi to dużo czasu.

- Opiekowanie się dziećmi nie należy do moich obowiązków - odparła stanowczo kucharka.

- Oczywiście. - Amber starała się ją jakoś udobruchać. - Jednakże w moim stanie będzie mi trudno wnieść na górę Rose, która nie radzi sobie jeszcze dobrze ze schodami. Dlatego byłabym pani bardzo wdzięczna. - To mówiąc, Amber otworzyła torebkę, a kucharce zaświeciły się oczy. - Naprawdę, będę pani bardzo wdzięczna - powtórzyła, wciskając jej do ręki dwie półkoronowki.

- No cóż, Rose chyba nie powinna mi przeszkadzać. To bardzo spokojne dziecko.

- Zaczekaj tu na mnie, Rose - poprosiła Amber grzecznie córkę Grega.

Dom za drzwiami z zielonego sukna pachniał pustką pokoi pozbawionych miłości. Przechodząc obok otwartych drzwi salonu, Amber poczuła dym papierosowy. Z tego, co jej było wiadomo, Lydia nie paliła, za to Cassandra tak. Stała u stóp schodów i zawahała się przez moment.

- Lydio, to ja, Amber.

Odpowiedziała jej cisza, po czym ktoś delikatnie zamknął drzwi, jak gdyby nie chciał, żeby go usłyszano.

Amber zaczęła wspinać się po schodach. „Żłobek” dla dzieci był na ostatnim piętrze i podświadomie właśnie tam skierowała swoje kroki. Drzwi do pokoju były otwarte, ale okna zamknięte, a zasłony zaciągnięte.

Obydwie dziewczynki leżały w swoich łóżeczkach. Amber z przerażeniem zobaczyła, że córki Jaya są ubrane, a prześcieradła naciągnięte na ich twarze wyglądają jak pośmiertny całun. Nie ruszały się. Po chwili poczuła jednak lekką ulgę, kiedy wydało jej się, że oddychają.

Na stoliku nocnym stały dwie szklanki i mała szklana butelka.



- Nie powinnaś tu przychodzić.

Amber odwróciła się niezdarnie, zataczając się pod wpływem swojej wagi.

W drzwiach stała Lydia. Weszła do środka, zaryglowała drzwi i wyjęła klucz z zamka.

- Lydio, co podałaś dziewczynkom? - spytała zaniepokojona Amber. - Wiem, że nie czuły się zbyt dobrze i że posłałaś po Jaya.

- Chcę, by wiedział, że przejrzałam jego zamiary. Wiem, że chce mi je odebrać. Dlatego po niego posłałam. Ale teraz już mi ich nie odbierze. Nikt więcej tego nie robi.

Amber spojrzała na nią przerażona.

- Lydio, Jay nigdy nie odebrałby ci dzieci.

- Wręcz przeciwnie. Wiem to od Cassandra. Powiedziała mi, że nie mogę ufać Jayowi i że on chce mi zabrać dzieci z twojego powodu. Z powodu tego. - Lydia wskazała na brzuch Amber. - Z powodu dziecka, które ci spłodził.

Cassandra powiedziała, że Jay kocha ciebie, a nie mnie.

Amber była przerażona, ale czuła, jak litość zaczyna brać górę nad niepokojem.

- Nie, Lydio, to nieprawda. Przysięgam ci, że Jay nie jest ojcem mojego dziecka.

Ależ okrutną manipulatką była Cassandra. Co chciała osiągnąć, zatruwając umysł Lydii i nastawiając ją przeciw Jayowi? Chyba tylko to, że wywoła kłopoty. Znała przecież niezrównoważony stan zdrowia psychicznego Lydii.

- Jesteś żoną Jaya, Lydio. I matką jego dzieci. Nic tego nie zmieni - zapewniła ją Amber, co przecież było prawdą.

- Jay chce mi odebrać dzieci, ale nie pozwolę mu na to. Jestem ich matką. Należą do mnie. - Lydia zaczęła podnosić głos.

- Lydio, wiem, że je kochasz - starała się ją uspokoić.

- Tak, kocham. One niczego się nie dowiedzą. Będą spały. A ja sprawię, że będą bezpieczne.

Lydia opuściła wzdłuż boku rękę, którą do tej pory chowała w połach sukienki. A gdy ją podniosła, Amber ujrzała w jej dłoni połyskujący ciemno nóż. Strach chwycił ją za gardło.

- Wszystko pójdzie błyskawicznie - powiedziała Lydia rzeczowo. - Widziałam, jak mój dziadek robił to z bydłem. Przecinasz gardło w poprzek i gotowe. Oczywiście wszędzie będzie pełno krwi, ale zobacz, przygotowałam już prześcieradła.

Amber oblał lodowaty pot. Dziecko, jak gdyby wyczuwając jej strach, zaczęło kopać z całych sił w jej brzuchu i po raz pierwszy od chwili jego poczęcia Amber poczuła opiekuńczą miłość do tej małej istotki.

Musi wydostać się z pokoju i wezwać pomoc. Ale Lydia zagradzała jej drzwi i miała przy sobie nóż.

- Jay prędko nie wróci. - Lydia zdawała się czytać w jej myślach. - Powiedziałam Alice, że poszedł na farmę, ale wiem, że go tam nie ma.

Jej twarz zdradzała zadowolenie, a w głosie słyhać było niemal dziecięcą radość i satysfakcję.

- To bardzo sprytne, Lydio - powiedziała Amber.

- Tak, jestem sprytne. Cassandra tak mówi.

- I kochasz swoje dzieci.

- Tak.

- Przecież nie krzywdzimy tych, których kochamy, prawda?

- Nie krzywdzę ich. To Jay robi im krzywdę, zabierając mi je. Ale nie pozwolę mu na to. Wyślę je do Boga. On się nimi zaopiekuje. Tam będą bezpieczne. Każdy jest bezpieczny z Bogiem.

Lydia mówiła jak dziecko i Amber zdecydowała, że tak też musi się z nią obchodzić. Była nieprzytomna ze strachu, ale wiedziała, że nie może okazać słabości przed Lydią. Gdzie jest Jay? Dlaczego jeszcze go nie ma? O Boże - Amber modliła się w duchu. Proszę, spraw, żeby Jay wrócił w porę. Niech ktoś przyjdzie i nas ratuje. Ocal moje dziecko. I dzieci Lydii.

Jedna z dziewczynek jęknęła pod prześcieradłem i zaczęła wić się z bólu.

- Zaraz zwymiotuje - ostrzegła Amber Lydię. - Musimy przewrócić ją na bok, inaczej się zadławi.

Odruchowo Amber podeszła do łóżka i wyciągnęła rękę, żeby obrócić Elle, kiedy Lydia wrzasnęła:

- Nie dotykaj jej! Nie wolno ci jej dotykać!

Rzuciła się na Amber z nożem z taką szybkością, że ta zdążyła jedynie odruchowo zasłonić się ramieniem i usunąć z drogi.

Poczuła jak nóż zatapia się w jej ramieniu. Ból był błyskawiczny i gwałtowny.

Dziecko kopnęło z furją, jakby w obawie o swoje życie. Amber poczuła, że słabnie, gdy zobaczyła krew ściekającą po swoim ramieniu. Niezdarne ciężarne ciało nie chciało słuchać poleceń, jakie mózg wydawał w jego obronie.

- Krew - wyszeptała Lydia. - Krew - powtórzyła i znów uniosła rękę z nożem.

Amber znalazła się w potrzasku między łóżkiem i ścianą, ale jej bezpieczeństwo już się nie liczyło. Myślała wyłącznie o dziecku - o życiu, które musi chronić. Nie liczyło się nic innego, a już na pewno nie jej życie.

Usłyszała kroki na schodach, a potem głos Jaya, który wołał ją po imieniu. Ją, nie Lydię. Ostatkiem sił odpowiedziała mu, po czym spróbowała odepchnąć Lydię. Zobaczyła przecinający powietrze nóż wycelowany w kierunku jej bezbronnego dziecka. Wyciągnęła rękę, chcąc je chronić, i poczuła, jak nóż przecina jej dłoń, a potem wbija się w ramię. W nozdrza uderzył ją gorący zapach własnej krwi.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Jay.

Zdołała jedynie wyszeptać jego imię, ale usłyszał ją. Spojrzał w jej kierunku i Amber zobaczyła w jego oczach przerażenie i żal.

Wszedł do pokoju i wyciągnął ręce w stronę Lydii, ale ona wymknęła mu się i uciekła.

Amber ogarnęła ciemność, a zaraz potem nadeszły pierwsze bóle porodowe. Sięgnęła dłońmi w dół i położyła je w obronnym geście na brzuchu.

- Nie - zaprotestowała. - Jeszcze nie. Jest za wcześnie.

Na zewnątrz usłyszała przeraźliwy pisk hamulców zatrzymującego się samochodu.

Ból nadciągał krótkimi, gorącymi falami, które wzbierały i załamywały się nad nią, wciągając ją coraz głębiej w jego otchłań.

Tym razem było zupełnie inaczej niż przy porodzie Luca. Jej ciało i dziecko zdawały się toczyć między sobą walkę. Ciało nie chciało brać udziału w porodzie, dziecko zaś starało się je do tego zmusić.

Kiedy Amber oznajmiła, że nie może urodzić w Dower House, prze transportowano ją z powrotem do Denham, chociaż nie pamiętała zbyt wiele z tej podróży

Dzień miał się ku końcowi, a bóle trwały Momentami były tak silne, że Amber na zmianę traciła i odzyskiwała przytomność.

W pewnym momencie ujrzała stojącą nad sobą babcię. Jej twarz była poważna i zatroskana. Zobaczyła też doktora Brookesa i wyczuła strach, który starał się skrywać za maską spokoju i uprzejmości.

W najczarniejszych ciemnościach nocy, kiedy ból wyczerpał jej ciało, pozostawiając je słabe i wycieńczone, Amber wydawało się, że w cieniu w nogach łóżka zobaczyła mężczyznę. Czowała, jak dosięga ją jego miłość - tkliwa i bezpieczna. Krzyczała wtedy, błagała, żeby nie zostawiał jej samej, lecz zabrał ze sobą. Jej krzyki tonęły w spazmach rozdzierającego bólu, który w niej wzbierał. Widziała wykrzywioną twarz Lydii i nóż w jej zaciśniętej dłoni. Czowała, jak zatapia go w niej, rozorując jej ciało. Nie może pozwolić, żeby Lydia skrzywdziła jej dziecko. Musi zapewnić mu bezpieczeństwo. Ono nie może się jeszcze urodzić. Było jeszcze za wcześnie. Ale nóż Lydii rozrywał jej ciało. Czowała ciepło własnej krwi. Ból wzbierał i ogarniał ją. Słyszała, jak ktoś krzyczy w śmiertelnej agonii.

- Przyj, Amber. Przyj teraz.

Babcia nachylała się nad nią i zaciskała dłoń na jej ramieniu.

- Nie - zaprotestowała Amber.

Ale było za późno. Jej ciało podążyło za głosem natury Nie mogła już zadbać o bezpieczeństwo dziecka. Było za późno.

Położyli dziecko - to była dziewczynka - na jej ciele. Malutkie i o woskowej skórze. Nieruchome.

Amber próbowała po nie sięgnąć, ale z każdym ruchem napływała kolejna fala gorąca bijącego z jej ciała. Czowała krew, gorącą i słoną. Otaczały ją głosy, ale nie słyszała, co mówią, przez szum własnej krwi, która odbierała jej moc i zmysły.

Amber.

Głos brzmiał znajomo i mimo zmęczenia miał sprawczą moc. Rozkazywał jej, rozganiał spowijający ją senny całun. To był głos Roberta. Ale w jaki sposób Robert się tu znalazł, skoro żyli w separacji, a on dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mieć z nią więcej do czynienia?

Amber walczyła z wszechogarniającą słabością, żeby otworzyć zamykające się oczy. To Robert przemówił do niej. Rozpoznała go od razu, a potem dotarło do niej, że znajduje się w jakimś nieznanym pokoju.

- Gdzie jestem? - spytała niepewnie.

- Jesteś w szpitalu. Musieliśmy cię tu przywieźć na transfuzję krwi.

- Transfuzję krwi? - Amber zmarszczyła brwi, jak gdyby nie docierało do niej to, co mówi Robert.

- Jedną z wielu. W końcu doktor Brookes musiał posłać po krew do nowego banku krwi w Ipswich.

Amber nagle uświadomiła sobie, że Robert trzyma ją za rękę. Sprawiał wrażenie zmęczonego i był nieogolony.

Wyglądał też szczupłej i jakby trochę się postarzał.

- A co ty tutaj robisz?

- Twoja babcia posłała po mnie. Jego dłoń zadrżała.

- Byłem takim głupcem. Dopiero kiedy prawie cię straciłem, uświadomiłem sobie, jak ważna jesteś dla mnie i jak pozbawione sensu byłoby moje życie bez ciebie. Myślałem, że wiem, na czym polega miłość. Ale teraz wiem, że znałem tylko jedną gałąź bardzo głęboko ukorzonego drzewa. To ty i moja miłość do ciebie jest najważniejszym korzeniem tego drzewa - i to ona utrzymuje mnie przy życiu. Księżniczko, jesteś moją ukochaną dziewczyną.

Kiedy Robert wypowiedział to pieszczotliwe słowo, którym nazwał ją, gdy spotkali się po raz pierwszy, łzy napłynęły Amber do oczu. Zacisnął dłoń na jej ręce, a ona odwzajemniła ten gest.

- Gdy w malignie wywołanej bólami porodowymi wykrzykiwałeś moje imię, zdałem sobie sprawę, że mogłem kochać setki mężczyzn takich jak Otto, ale tak naprawdę liczysz się dla mnie tylko ty.

- Byłeś tu przy mnie? Wtedy?

- A gdzie indziej miałbym być? Choć muszę przyznać, że twoja babcia nie była tym szczególnie zachwycona. Ale chciałem przekazać ci moją wolę życia - dla Luca i dla mnie - tak bym miał jeszcze okazję do ciebie przemówić. Chciałem otulić cię swoją miłością i chronić cię.

- Czułam to. Nie wiem, w jaki sposób, ale byłam pewna, że ktoś... Myślałam, że to mój ojciec...

- Możliwe, że byliśmy tam obydwaj - odparł łagodnym tonem Robert. - Musisz teraz odpocząć.

Puścił jej dłoń i zaczął podnosić się z łóżka.

Amber nie chciała go puścić. Przez głowę przewijały jej się powoli obrazy: Lydia, nóż, Jay, narodziny dziecka - nieruchomego i pozbawionego życia. Amber położyła rękę na płaskim brzuchu. Łzy wypełniły jej oczy, kiedy spytała Roberta:

- A co z moim dzieckiem?

Wyraz twarzy Roberta zmienił się nagle. Mąż Amber wyraźnie pokraśniał, a w jego oczach widać było autentyczną radość. Cieszył się, bo jej dziecko umarło!

Ból był nie do zniesienia, jeszcze gorszy niż ten, który towarzyszył porodowi. Amber chciała przed nim uciec i powrócić do tej czarnej pustki, z której wyciągnął ją Robert.

Poczuła znów jego uścisk na swojej dłoni, jak gdyby wyczuł jej pragnienie i chciał ją powstrzymać.

- Jest taka piękna, Amber, taka idealna. - Zaśmiał się. - Muszę przyznać, że zupełnie straciłem dla niej głowę. Jest bardzo podobna do Luca, chociaż oczywiście dużo ładniejsza.

Amber patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ona żyje?

- Słucham? Och, moje biedactwo, myślałaś, że...? Tak... tak, twoja córeczka żyje i nie może się doczekać spotkania z tobą. Sam ojciec jej nie wystarczy. Podejrzewam, że twoja babcia jest nią tak samo zachwycona jak ja, chociaż się do tego nie przyznaje. Na pewno nie pozwoli mi zabrać jej do domu. Wszystkich nas owinęła sobie wokół palca, może poza małą Rose, która najgłośniejsz za tobą tęskni.

Amber nie potrafiła poukładać sobie tego w głowie.

- Myślałam, że dziecko nie przeżyło. Była taka blada i nieruchoma.

W ogóle się nie ruszała.

- Poród był traumatycznym przeżyciem dla was obu. Pewnie tego nie pamiętasz, ale po porodzie tak silnie krwawiłaś, że doktor Brookes ostrzegł nas, że możesz tego nie przeżyć. I faktycznie nie przeżyłabyś, gdyby nie transfuzje krwi. Nie wiedziałem nawet, że mamy tę samą grupę krwi.

- Oddałeś dla mnie krew?

Na twarzy Roberta pojawił się zmęczony uśmiech.

- Wszyscy oddaliśmy ci krew. Twoja babcia, Jay i ja. Ale krwotok nie ustępował, aż w końcu doktor Brookes musiał się zgłosić do banku krwi.

- Jak długo... Kiedy to było?

- Minął już prawie miesiąc, odkąd urodziła się Emerald.

- Emerald?

Amber poczuła w sercu ukłucie zazdrości, że to ktoś nadał już imię jej córce.

- To był wybór twojej babki. Szmaragdy to, zdaje się, szczęśliwe kamienie dziecka, a także rodzinna tradycja nadawania córkom imion związanych z nazwami barw. Ja chciałem nazwać ją twoimi imieniem... - Głos Roberta przybrał na sile.

- Robercie, opowiedz mi o Lydii. Co się z nią stało? Gdzie...?

- Lydia nie żyje. Gdy tylko zjawił się doktor Brookes, Lydia wybiegła z domu na drogę, wprost pod nadjeżdżający samochód. Zginęła na miejscu. Biedny kierowca był w potwornym szoku.

- Och, to straszne.

- Tak Gdy jednak odłoży się na bok myśli o tej koszarnej śmierci, wydaje się, że to było najlepsze wyjście. Gdyby Lydia nie zginęła, zostałaaby oskarżona o otrucie własnych dzieci i zaatakowanie ciebie.

- Dzieci! Och, Robercie, co z nimi? - Amber ogarnęło nagle poczucie winy, że nie spytała o to wcześniej.

- Nic im nie jest. Co więcej, twoja babcia uważa - a ja muszę się z nią zgodzić - że bez ich biednej matki będzie im lepiej. Doktor Brookes twierdzi, że Lydia podała im swoje leki, których nie przyjęła.

- Jestem pewna, że nigdy by się nie zdobyła na coś takiego, gdyby nie Cassandra, która wbiła jej do głowy, że Jay chce jej odebrać dzieci... O co chodzi?

Amber zaniepokoiła się nagłą zmianą wyrazu twarzy męża, który nag le sposepniał.

- Nie chciałem ci jeszcze o tym mówić, ale skoro wspomniałaś o Cassandrze, to chyba jednak powinienem to zrobić.

- Robert zrobił krótką pauzę, po czym kontynuował: - Obawiam się, że Cassandra rozpuszcza fałszywe plotki, jakoby Jay chciał zakończyć swoje małżeństwo, i twierdzi, że ma dowody z pierwszej ręki na jego romans z inną kobietą.

Amber zeszywniała i cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Robertcie, ależ ona jest mściwa i niedobra. Przecież Jay to jej kuzyn.

- Tak jak Greg jest twoim kuzynem, a mimo to, spójrz, jak cię potrak tował po tym, gdy dowiedział się o nowym testamentie twojej babci. Jesteś taka troskliwa, masz dobre serce i zakładasz, że inni są tacy sami. Niestety tak nie jest. Muszę o czymś z tobą porozmawiać, Amber, oczywiście jeżeli czujesz się na siłach.

- Chodzi o nasze małżeństwo?

- Tak. Ale najpierw jestem ci winien przeprosiny. Wiadomo już, że Hitler rozprawił się z opozycją w postaci grupy oficerów niemieckiej armii, mianując się głównodowodzącym sił zbrojnych. Wykorzystał swoją machinę propagandową, żeby skompromitować marszałka polnego Wernera von Blomberga, insynuując, że jego żona to była prostytutka. Rozpuszczał też pogłoski, że generał Werner von Fritseh jest homoseksualistą. Miałaś rację we wszystkim, przed czym mnie ostrzegałaś. Po tym, co dla mnie zrobiłaś, mam wobec ciebie olbrzymi dług. I dziękuję ci za to z całego serca. Chcę cię także o coś prosić.

Robert przerwał na moment i uśmiechnął się do niej. Amber dostrzegła w tym uśmiechu Roberta, którego kiedyś znała.

- Amber, chcę, żebyś pozostała nadal moją żoną. Jak już wcześniej mówiłem, gdy twoje życie wisiało na włosku, myślałem tylko o tym, jak bardzo cię kocham i potrzebuję, i o tym, że moje życie bez ciebie byłoby pozbawione sensu. Mamy syna, którego oboje kochamy. A teraz jeszcze przepiękną córkę, którą chciałbym razem z tobą wychowywać. Ani ty, ani



ja nie wspominaliśmy nikomu o separacji, więc nie trzeba niczego prostować, żeby nasze małżeństwo trwało.

Zgodzisz się?

Amber przypomniała sobie spojrzenie Jaya, kiedy wszedł do sypialni dzieci i zobaczył ją na łasce Lydii. Wtedy widziała w jego oczach to, co skrywał w sercu. Widziała i wiedziała, że jego miłość do niej jest równie silna jak jej uczucie do niego. Na pewno zasługiwali na to, by być razem i dzielić tę miłość. Mieli ze sobą tyle wspólnego, mogli tyle razem zrobić dla posiadłości, fabryki i swoich dzieci. Wszystko w niej ciągnęło w stronę Jaya i tej przyszłości. Ale miała inne obowiązki: syna, który kochał mężczyznę, uważając go za swojego ojca, oraz drugie dziecko. Gdyby zrezygnowała z małżeństwa, Hmerald wychowywałaby się bez ojca. Ona sama zaś trafiłaby na języki z piętnem, którym już nazaczyła ją Cassandra, córki Jaya zaś będą być może dorastać w przeświadczeniu, że zajęła pozycję ich matki, i nie zwrócą się do niej w potrzebie.

Dla własnego szczęścia musiałyby dźwigać na barkach ciężar nieszczęścia tak wielu ludzi.

Złota droga do miłości i spełnienia lśniła w jej oczach pełnych łez, kusząc swoim blaskiem. Amber przez chwilę patrzyła na nią z tęsknotą, a potem zamknęła oczy.

- Tak, Robercie - powiedziała. - Pozostanę twoją żoną.

- Och, Amber, poczekaj, aż zobaczysz naszą córkę. - Robert uśmiechnął się szeroko. - Miałem się za kochającego ojca już wtedy, gdy urodził się Luc. Ale teraz wiem, że nie doświadczyłem prawdziwego ojcostwa, dopóki nie oczarowała mnie moja córka. Jest śliczna, Amber. Pod każdym względem urzekająca i cudowna. Przysięgam, że uśmiechnęła się do mnie dziś rano.

Amber słuchała tych peanów z sercem tak ciężkim, jakby przygniótł je wielki kamień. Tak wielki, że miazdzył ją w ogromnym bólu.

Emerald Olga Devenish została ochrzczona cztery miesiące później, zaraz po powrocie do Anglii premiera Chamberlaina, który zadeklarował, że „nasze czasy czeka pokój”. Amber wybrała dla swojej córki drugie imię dla uhonorowania swoich rosyjskich korzeni.

Wszyscy powtarzali, że Emerald jest najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widzieli. Miała ciemne kręcone włosy i wielkie oczy z dłu gimi rzęsami, które wydawały się już zapowiadać kolor jej szczęśliwego kamienia.

Emerald zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie wywołuje na rzeszach adoratorów, i zachowywała się jak prawdziwa cesarzowa. Całym swoim sercem kochała Roberta, natomiast Amber kompletnie ignorowała i od rzucała. Za pierwszym razem, gdy Amber wzięła ją na ręce po powrocie do do mu, Emerald dosłownie zeszywniała w jej ramionach. Amber bała się, że to może być jakiś atak.

- Proszę się nie martwić. To dlatego, że dziecko jeszcze się do pani nie przyzwyczaiło - wprawnie wyjmując jej dziecko z rąk, wyjaśniła rzeczowo kompetentna opiekunka, którą wynajęła Blanche.

Ale Emerald ją znała. Amber była o tym przekonana. Znała i z pełną premedytacją odrzucała. Czy dlatego, że instynktownie wiedziała, iż Amber jej nie chciała? Czy wyczuwała to w ciągu tych wszystkich długich dni i tygodni poprzedzających poród? Ale przecież kochałam ją, kiedy bałam się, że Lydia zrobi jej krzywdę - powtarzała sobie w duchu Amber. Wtedy ją kochała, a jej miłość stała się jeszcze większa po narodzinach dziecka.

W nocy, kiedy Amber powinna spać i odzyskiwać siły, wstawała i szła do pokoju dziecięcego, żeby zajrzeć do kołyski Emerald i popatrzeć, jak śpi. Chciała wziąć ją na ręce, ale za każdym razem, gdy ulegała tej pokusie, Emerald rozbudzała się i płakała w geście protestu, wyrywając się z matczynych ramion. Czy może być coś boleśniejszego dla matki niż odrzucenie przez własne dziecko?

Amber starała się nie okazywać uczuć, kiedy Emerald wyciągała rączki do innych, obdarzając ich uśmiechem, którym nigdy nie zaszczyliła rodzonej matki.

Amber miała wrażenie, że jest jedyną osobą, która nie przypadła do gustu własnej córce, ale był ktoś jeszcze, kogo nie lubiła Emerald. Rose. Biedna mała Rose - wystarczyło, że znalazła się w zasięgu wzroku Emerald, żeby ta wpadła w histerię.

Blanche cmokała na Emerald z niezadowoleniem, ale Amber wyczuwała, że jej babcia ma cichą satysfakcję z tego, iż dziecko faworyzuje ją, a nie swoją matkę. Z upływem tygodni Emerald coraz bardziej przypominała Amber jej babkę. W jej spojrzeniu była ta sama, dobrze znajoma chłodna surowość, którą dorastając, Amber często widziała w oczach Blanche.

Wspólnie z Robertem zdecydowali, że Beth i Diana Cooper zostaną matkami chrzestnymi Emerald, natomiast Robert zasugerował, że ojcem chrzestnym powinien zostać Jay.

- Uratował ci życie - powiedział - a wraz z nim także życie Emerald. Kiedy goście prowadzili ożywione dysputy w trakcie przyjęcia po

chrzcinach, które odbywały się w domu Roberta i Amber przy Eaton Square, Amber uświadomiła sobie, że obecność Jaya - który nie był jej pisany - sprawiała jej zarówno słodką przyjemność, jak i ostry ból.

Jay odwiedził ją jeszcze w szpitalu. Usiadł na brzegu łóżka, tak jak to robił Robert, ale w przeciwieństwie do niego nie wziął jej za rękę. Rozmawiali o jego córkach i wtedy Amber, odwracając wzrok, opowiedziała mu o swoich wyrzutach sumienia i o tym, że na początku nie chciała urodzić Emerald.

- Kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży, byłam zła i przerażona. Byłam wdzięczna Jeanowi-Philippe owi, który pokazał mi prawdziwą wartość mojej kobiecości i sprawił, że uświadomiłam sobie, jak bardzo cię kocham. Ale nienawidziłam się za to, że noszę w łonie jego dziecko.

Łza spłynęła po policzku Amber i kapnęła na prześcieradło. Jay zwiesił głowę i położył rękę na prześcieradle.

Później, kiedy już poszedł, Amber nakryła dłonią to miejsce, które wciąż nosiło ślady jego obecności.

Diana Cooper trzymała na rękach Emerald, która uśmiechała się do niej z zaróżowionymi od podniecenia policzkami, jakby wiedziała, że jest w centrum zainteresowania całego świata i że to jest właśnie jej dzień.

- To taka mała księżniczka - roześmiała się Diana. - Młodzi mężczyźni będą się ustawiać w kolejce, starając się o jej względy

- Młodzi mężczyźni? Nie zostaną nawet dopuszczeni w jej pobliże warknął Robert, udając gniew.

fay stał po drugiej stronie sali w towarzystwie swoich córek i Rose.

Amber niespiesznie podeszła do nich, zatrzymując się po drodze przy innych gościach, trzymając emocje na wodzy i pozwalając, by ta przyjemność narastała w niej stopniowo.

Chciała zabrać Rose na stałe do domu, ale Robert sprzeciwił się temu, argumentując, że Emerald nie przepada za córką Grega.

- To byłoby nie w porządku wobec ich obu. Poza tym Rose jest już przyzwyczajona do towarzystwa córek Jaya. Nie powinniśmy ich rozdzielać

Robert miał rację, ale Amber wiedziała, że będzie tęsknić za Rose Bardzo dobrze się rozumiały, wystarczyło im jedno spojrzenie. Kiedy były w pobliżu Emerald, tych znaczących spojrzeń było jeszcze więcej.

- Emerald bez wątplenia świetnie się bawi na swoich chrzcinach. - Jay uśmiechnął się, kiedy Amber znalazła się w końcu przed nim.

- Bycie *grandę dame* odziedziczyła najwyraźniej po Blanche - odparła gorzko Amber i dodała: - Gazety rozpisują się o porozumieniu, jakie' Chamberlain podpisał z Niemcami, ale Robert i tak jest przekonany, że skończy się to wojną.

- Niestety obawiam się, że może mieć rację.

Amber zadrżała lekko. Napawało ją wielkim smutkiem to, że w jej życiu prywatnym jest tyle miłości i satysfakcji, gdy tymczasem na świecie nie brakowało różnych wstrząsów. Chciała przyciągnąć rodzinę do siebie, żeby chronić ją przed politycznymi zawieruchami, a jednocześnie starała się wyprzeć z głowy odległy dźwięk wojennych werbli, które wygrywały swój przerażający, ostrzegawczy rytm. Czy dlatego doświadczała szczęścia w tak namacalny sposób, że szło ono pod rękę ze strachem? Czy świadomość nieuchronności wojny wyostrzała dodatkowo tak cenną słodycz, jaka towarzyszyła temu wyjątkowemu okresowi w jej życiu?

Wojna!

Nic dziwnego, że w kościołach w całym kraju odprawiano niedzielne msze w intencji pokoju na świecie.

- Jak długo zamierzasz zostać w Londynie? - spytała Jaya, zapominając na moment o sytuacji politycznej.

- Jutro wracamy do Macclesfield.

Kolejny cios przyćmił poczucie szczęścia Amber, ale ten uderzył bliżej jej domu.

- Amber, kochanie, masz najcudowniejszą córeczkę. Jestem taka zazdrosna.

Odwróciła się, żeby zamienić kilka słów z jeszcze jedną wielbicieleką Emerald.

Kiedy obróciła się znowu, Jaya już nie było.

## Rozdział 47

### **Wrzesień 1939 roku**

#### **Wojna!**

Robert i Amber spoglądali na siebie, słuchając przemówienia premiera. Zgromadzili się przy radioodbiorniku w niewielkim salonie domu przy Eaton Square. Luc stał posłusznie u boku ojca, a Emerald - która nie tylko potrafiła już chodzić, ale mówiła też „tata”, a gdy była w szczególnie dobrym nastroju, także „mama” - tym razem nie potrafiła zwrócić na siebie uwagi Roberta, czepiając się jego nóg i wyciągając do niego rękę.

Ta wiadomość nie była dla nich zaskoczeniem. Cały kraj wiedział, że rząd od miesiąca przygotowuje się na ewentualną wojnę. Amber, jako członkini Kobiecej Służby Ochotniczej, spędziła zeszły tydzień w East Endzie, pomagając w ewakuacji dzieci i wróciła wczoraj do domu po spotkaniu KSO, w trakcie zaciemnienia i w przemoczonym do suchej nitki mundurze, po tym jak złapała ją gwałtowna burza, która przetoczyła się nad miastem. Dużą część lata spędziła, przygotowując Osterby, które w razie wybuchu wojny miały być zaadaptowane na szkołę. Zarówno posiadłość w Osterby, jak i dom w Londynie wyposażono w kurtyny zaciemniające, ci zaś spośród pracowników w obu tych miejscach, którzy nie zostali wcieleni do wojska, otrzymali zapewnienie dotyczące ich przyszłości.

- Będziemy was potrzebować bardziej niż kiedykolwiek - uspokoiła ich Amber. - Przyda się nam każda para rąk. Sklep przy Walton Street musiał zostać zamknięty. Obaj pracownicy otrzymali powołanie do wojska i razem z Amber spędzili trzy smutne tygodnie, pakując jedwabie i przygotowując wszystko do przechowania w magazynie, łącznie z dziełami sztuki i drogocennymi meblami z Osterby i Eaton

Square. Amber spędziła mnóstwo czasu nad projektami, które wymyśliła na południu Francji tego lata, kiedy została poczęta Emerald. Tamto lato i natłok związanych z nim emocji wydawały się częścią innego życia, które podobnie jak i te projekty - nie miały obecnie racji bytu.

Nadszedł czas, by zapomnieć o przeszłości. Czekały ich teraz inne, dużo poważniejsze wyzwania. By im sprostać, nie tylko każda rodzina, ale i cały naród musiał zjednoczyć siły i działać razem.

Wojna! To słowo, które przerodziło się w krzyk, nie schodziło z ust wszystkich. Zwłaszcza kobiet, które musiały rozstać się z małymi dziećmi i pożegnać z dorosłymi synami.

Rolnikom polecono zwiększenie upraw, młodzi mężczyźni byli powoływani pod broń, a zakłady tekstylne w Macclesfield pracowały pełną parą w dzień i w nocy, by produkować jeszcze więcej spadochronów.

Robert z kolei został dokooptowany do Ministerstwa Wojny jako oficer łącznikowy zajmujący się sprawami wysoko postawionych uchodźców. W praktyce oznaczało to, że musiał być stale obecny w Londynie, lednocześnie cały czas powtarzał, że w razie wybuchu wojny Amber powinna wyjechać do Macclesfield, zabierając ze sobą Emerald, bo tam jego zdaniem będzie bezpieczniej. Emerald w większym stopniu akceptowała matkę, choć - jak stwierdziła smutno Amber, przyglądając się swojej córce - właściwszym słowem byłoby chyba „tolerowała”. Amber pracowała cierpliwie, by zasłużyć na miłość i zaufanie Emerald, lecz wiedziała, że jej córka nigdy nie pokocha jej tak jak Roberta.

Ledwie przebrzmiały ostatnie słowa przemówienia premiera, kiedy rozległ się dźwięk jakby nie z tej ziemi, który stopniowo przerodził się w przeraźliwe wycie. Słyszając to, Emerald zatkała sobie uszy dłońmi i rozplakała się.

Dźwięk syreny alarmu przeciwlotniczego - wyjaśnił ponuro Robert. - To pewnie tylko próba, ale może lepiej sprowadźmy wszystkich do piwnicy

W wielu londyńskich domostwach piwnice służyły jako schrony prze-i i wlotnicze.

W kuchni jedna z młodych, niedawno zatrudnionych pokojówek wpadła niemal w histerię, krzycząc, że nie może znieść ciemnych miejsc i prędzej pozwoli się zbombardować, niż zejdzie do piwnicy. Nie chciała nawet słuchać ostrzeżeń pozostałych służących.

- Powinnaś być wdzięczna, a nie robić zamieszanie i utrudniać całą sprawę - zbesztła ją kucharka. - Przynajmniej mamy własny schron i w przeciwieństwie do innych nie musimy korzystać z tych cuchnących schronów publicznych.

Surowa reprimenda sprawiła, że dziewczyna wpadła w jeszcze większy szloch.

W tym momencie inicjatywę przejęła Amber, która powiedziała służącej, że jeśli chce, może zostać w kuchni.

Dodała przy tym jednak, że słyszała, iż wielu młodych mężczyzn prosiło swoje wybranki o rękę, jeśli będą mogli na nich polegać, gdy oni w tym czasie będą walczyć za ojczyznę. Wtedy jak za dotknięciem jakiejś magicznej różdżki pokojówka przestała płakać i niemal pobiegła za innymi do piwnicy.

- Co to miało znaczyć? - spytał zdziwiony Robert, który zaczekał razem z Amber, aż ostatni służący zniknie w schronie.

- Ta dziewczyna ma chłopaka, który dostał powołanie do wojska, a za którego, jeśli wierzyć naszej kucharce, bardzo chciałaby wyjść - odparła cierpko Amber.

Piwnice domu były całkiem okazałych rozmiarów. Amber razem z gośpią, panią Evans, postarały się, aby wyposażyć je w to, co mogło okazać się przydatne, zwłaszcza składane łóżka i krzesła dla wszystkich. Panował tu jednak chłód i wilgoć, a gołe żarówki zainstalowane przez Roberta, rzucały na ściany mroczne cienie. Luc zabawiał Emerald, pokazując jej dłoniom zwierzęce kształty, kiedy Robert i kamerdyner Chivers odczytywali na zwisających wszystkich służących, wypisane na liście przyklepionej do świeżo wzmocnionych drzwi wejściowych do piwnicy. Gdy syreny alarmowe ucichły i zapadła cisza, wszyscy z ulgą wyszli z piwnicy i poszli z powrotem schodami na górę.

Kilka minut później odezwał się telefon. Dzwoniący chciał rozmawiać z Robertem, który udał się w tym celu do biblioteki, zostawiając zapłakaną Emerald nieodstępującą go nawet na krok.

Wieści na pewno dotarły już do Macclesfield - pomyślała Amber, wyglądając przez okno na zalany słońcem plac. Jay miał mnóstwo pracy. Po wiedział jej wcześniej, że dręczą go trochę wyrzuty sumienia, ponieważ



wykonywany przez niego zawód uniemożliwiał mu rekrutację do wojska, do którego szło tak wielu jego rówieśników. Robert wrócił do salonu.

- Dzwonili z ARP - wyjaśnił. - Nie ma powodów do niepokoju, to był tylko próbny alarm. Biedny Duff Cooper na pewno to przeżywa - dodał.

Chciał się zaangażować, ale jego konflikt z Chamberlainem i rezygnacja z udziału w rządzie sprawiły, że nagle stał się bezrobotny. Chips jeszcze niedawno mówił mi, że rozumie sytuację, w której znalazł się Duff.

- Ale przecież Duff i Diana wkrótce wyjeżdżają do Ameryki, nieprawdaż?

- Tak, w połowie miesiąca. Wielu naszych znajomych, Amber, robi to samo i wysyła dzieci za granicę. Ja..

- Nie - zaprotestowała stanowczo. - To byłoby nie w porządku wobec tych wszystkich rodzin, które nie mogą wysłać dzieci za ocean. Król i królowa też nie odsyłają swoich księżniczek. Jesteśmy Brytyjkami i jeśli nie staniemy razem, nie pokażemy, że wierzymy w nasz rząd i naszych żołnierzy, jak możemy oczekiwać, że zrobią to zwykli ludzie? W końcu to ich synowie, mężowie i bracia będą za nas walczyć.

- Oczywiście, masz rację. Ale ty i dzieci jesteście dla mnie tak ważne.

- Nie możesz nas zapakować i wysłać gdzieś do czasu, aż wojna się skończy, jakbyśmy byli klejnotami rodzinnymi.

- Ty jesteś moim najcenniejszym klejnotem. Dzięki tobie mam syna, który będzie o wiele lepszym księciem niż ja.

Jestem dumny, wiedząc, że przekażę rodzinną spuściznę tak godnemu następcy

Spojrzeni po sobie ze zrozumieniem.

Po chwili Robert powiedział już bardziej prozaicznie:

- Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść dzisiaj kolację w Ritzu. Będzie tam pewnie tłum ludzi i może uda nam się poznać najświeższe ploteczki. Chcę, żebyś wyjechała z Emerald do Macclesfield tak szybko, jak to będzie możliwe.

Pociągi będą pełne ewakuowanych, więc sam cię odwiozę, a tylko odstawię Luca do szkoły.

- Nie mogę wyjechać do Macclesfield, dopóki nie uporządkuję tutaj wszystkich spraw - stwierdziła Amber. Miała na myśli spakowanie wszystkiego, co jest absolutnie niezbędne do życia, i wysłanie z miasta w bezpieczne miejsce, a także obowiązki związane z Kobięcą Służbą Ochotniczą.

- Trzeba jeszcze ewakuować trochę dzieci z East Endu. Ich biedne matki są zrozpaczone, bo nie wiedzą, czy zobaczą je jeszcze kiedykolwiek.

- Wiesz przecież, że to dla ich bezpieczeństwa.

Oczywiście, że wiedziała, a jej obowiązkiem było przekonanie do tego także tych kobiet.

- Niektóre z nich po prostu nie chcą oddać dzieci.

Na początku Amber była zszokowana i przerażona, kiedy dowiedziała się, że wiele dzieci z ubogich dzielnic ma wszy i różne, dużo groźniejsze choroby. Potem ten szok ustąpił miejsca gniewowi, że jakkolwiek rodzi na może żyć w takiej biedzie. Amber była wściekła głównie na siebie, że o tym wcześniej nie wiedziała.

Gdyby nie to, w Macclesfield również czeka na nią dużo pracy, starała by się przekonać Roberta, iż powinna zostać w Londynie.

A poza tym w Macclesfield był Jay

Nie wolno jej tak myśleć. Czy nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie ma szczęście? Inni mieli tego świadomość, chociażby jej babcia i Beth.

- Jesteś taką szczęściarą, Amber - powiedziała Beth, kiedy spotkały się po raz ostatni.

To była prawda. Amber miała wspaniałego, troskliwego i hojnego męża, który kochał dwójkę jej dzieci, a one odwzajemniały jego miłość.

Mieszkanie w Macclesfield bez Roberta, który musiał pozostać w Londynie, byłoby bardzo niepokojące i destabilizujące. Amber częściej widywałaby Jaya niż jego. Jej serce biło mocno w poczuciu winy.

Rozgrzeszała się, iż nie ma nic złego w tym, że myśli o Jayu w tak intymny sposób. Ale jednocześnie wiedziała, że to nieprawda i że ta tęsknota za Jayem, jej miłość do niego, jest taką samą formą zdrady, jak gdyby byli kochankami. Nie dlatego, że Robert miałby coś przeciwko temu, by Amber znalazła sobie kochanka - wątpiła, żeby tak było - ale dlatego, że bardzo kochała Jaya.

Obowiązki wobec męża i rodziny trzymały ją z dala od Jaya. Teraz wojna sprawiła, że ich drogi znów miały się przeciąć. W sercu Amber narastało jakieś uczucie. Nie było to podniecenie ani nawet radość, lecz coś tęsknego i niebezpiecznego zarazem.

\*

Wiem, że zaciemnianie jest konieczne, ale przez to życie staje się bardzo trudne - powiedziała do męża, gdy dwa samochody z wyłączonymi światłami prawie zderzyły się na Sloane Street, wioząca ich taksówka musiała gwałtownie skręcić, a kierowca zaklął na głos.

- Do jasnej cholery, za przeproszeniem, to już trzeci raz dzisiaj... Jeśli chce pani znać moje zdanie, to powiem, że to cholerne zaciemnianie zabije więcej ludzi, niż do tej pory zrobił to Hitler.

Sądząc po liczbie samochodów i taksówek przed hotelem, nie tylko my zdecydowaliśmy się zjeść dzisiaj kolację w Ritzu - pomyślała Amber, kiedy poprowadzono ich przez ciemne wejście do dobrze znajomego, i na szczęście rozświetlonego, słynnego hotelu.

- Napijemy się czegoś najpierw? - zaproponował Robert. Koktajlbar dosłownie pękał w szwach. Nie sposób było znaleźć wolny

stolik. W pewnej chwili Amber poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Obróciła się i zobaczyła uśmiechniętą Louise.

Louise rozwiodła się z mężem w ostatnie święta Bożego Narodzenia pod pretekstem jego nedorzecznego zachowania. Chociaż zauważyła, że było jej to na rękę, Amber stwierdziła, iż Louise wygląda zbyt mizernie i jest zbyt wychudzona jak na szczęśliwą kobietę. Jej romans z przyjacielem Agi Khana nie trwał zbyt długo, podobnie zresztą jak inne przelotne związki, w które się angażowała.

- Czy to nie ekscytujące? - spytała.

Louise miała na sobie wyjątkowo elegancką wieczorową suknię z granatowej satyny, z prowokująco głębokim dekoltem. Szafiry wokół szyi i w uszach korespondowały z blaskiem w jej oczach.

Kiedy zorientowała się, że Amber na nie patrzy, powiedziała z cynizmem w głosie:

- To prezent od bardzo drogiego mojemu sercu przyjaciela. Niestety jest żonaty. A co gorsza, właśnie uciekł do żony do Ameryki. W pewnych okolicznościach klejnoty przynoszą prawdziwą ulgę.

Rozmawiając, Louise cały czas rozglądała się bacznie po sali. Czyżby szukała kogoś, kto zajmie miejsce jej amerykańskiego kochanka? - pomyślała z żalem Amber. Życie nie rozpieszczało Louise, chociaż ona sama miała na ten temat zapewne inne zdanie.

- Zostaniesz w Londynie? - zapytała Louise.

- Nie. Robert nalega, żebyśmy wyjechały z Emerald. A ty? Louise wzruszyła ramionami.

- Tak, zostanę. Gdzie miałabym się podziąć? Prawdę mówiąc, myślę łąm nawet o zarezerwowaniu pokoju tu, w Ritzu.

Zgodnie z przewidywaniami Roberta spotkali tylu znajomych i przy jaciół, że ta dość surrealistyczna atmosfera w niczym nie odbiegała od tej, którą znali z przyjęć. Mężczyźni stali osobno - na ich twarzach widać było powagę, ale także determinację i odrobinę ekscytacji. Kobiety za to sprawiały wrażenie zaniepokojonych i zmęczonych.

Wszystkie martwiły się o los swoich rodzin i o to, co stanie się z londyńskimi posiadłościami, po tym jak je opuszczą i wyjadą na wieś.

- Widziałam niedawno Sydney Redesdale. - Amber usłyszała czyjś komentarz. - Musi czuć się okropnie, mając dwie córki, które jawnie po pierają Hitlera. Ale naturalnie się do tego nie przyzna.

Diana wyszła w końcu za Toma Mosleya, któremu urodziła już trzecie go syna, a Unity - z tego, co Amber wiedziała - nadal mieszkała w Niemczech. Faktycznie, biedna Sydney.

- Emerald Cunard jest wściekła z powodu wojny i uważa, że zrujnuje to jej przyjęcia. - Louise wypuściła kłęb dymu.

- Zawsze uważałam, że imię Emerald jest takie efektowne. I mało angielskie.

Amber zastanawiała się, czy to zawołowana złośliwość, czy też Louise po prostu zakpiła sobie z niej. Nie miała przecież żadnych podstaw, żeby uważać jej Emerald za „mało angielską”. Amber nie powiedziała nikomu o Jeanie-Philippie. Tylko Robertowi i Jayowi.

Kolejny tydzień był słoneczny i ciepły, jednak nie wszyscy mieli czas, by cieszyć się piękną pogodą. Nie teraz, gdy Wielka Brytania znalazła się oficjalnie w stanie wojny i było jeszcze tyle do zrobienia.

W całym Londynie bogate i utytułowane rodziny zamykały swoje domy na cztery spusty. Niektórzy wydawali nawet skromne towarzyskie pożegnania. Jedynie Joe Kennedy, amerykański ambasador, wciąż organizował spektakularne przyjęcia, rozpowiadając wszystkim, którzy chcieli go słuchać, że Anglia popełnia samobójstwo.

Amber rozmawiała przez telefon z babcią, która wydawała się wręcz zadowolona z rozpoczętej wojny, a nie przerażona nią. Z domu przy Eaton Square zabrano wszystko, co mogło ulec zniszczeniu. Pozostawiono tylko to, co było niezbędne do życia.

Lokaj, jego pomocnik i szofer zostali wcieleni do armii. Wszystkie służące, w tym - o dziwo - także gospodyni, pani Evans, zgłosiły się na ochotnika do pomocy wojsku. W domu pozostali tylko: kamerdyner, kucharka i niania.

Kufer podróżny Luca spakowano już przed jego powrotem do ewakuowanej szkoły, tak samo jak rzeczy Amber i Emerald, które były gotowe do wyjazdu do Macclesfield.

W dzień wyjazdu Luca również była piękna pogoda. Robert zaproponował, żeby Amber i Emerald pojechały razem z nim, ale Emerald cierpiała na chorobę lokomocyjną, a Amber obiecała zastąpić koleżankę z Kobiecej Służby Ochotniczej, której mąż wyjeżdżał rano do Francji, więc odmówiła.

Luc szybko rósł i zapowiadał się na wysokiego mężczyznę - „po ojcu”, jak powtarzało wielu ich znajomych.

Osiągnął już wiek, w którym krępowały go matczyne uściski i pocałunki, choć wciąż pozwalał na nie Amber, tylko trochę się przy tym czerwieniąc.

Bruno, jego pies, okazał się jednak nieprzydatny do polowań, ponieważ bał się huku broni palnej i przewieziono go do Londynu, kiedy dom na wsi został przejęty na potrzeby szkoły. Luc okazywał mu wielką czułość i serdeczność, tuląc go mocno, i przykazał surowo Amber, żeby nie rozpieszczała Brunona przekąskami, kiedy on będzie w szkole. Obiecała, że zastosuje się do tych próśb.

Robert podniósł Emerald, żeby mogła pożegnać się z bratem, potem sam ją pocałował. Cała procedura została powtórzona jeszcze raz, kiedy Robert i Luc pożegnali się oficjalnie z pozostałymi członkami służby. A potem cała czwórka wyszła z domu na skąpany słońcem chodnik.

Jeszcze tylko krótki uścisk Luca i pocałunek w policzek od Roberta, po czym ojciec z synem wsiedli do auta i odjechali.

Amber wzięła Emerald na ręce i patrzyła w ślad za oddalającym się samochodem, aż w końcu zniknął jej z oczu. Dopiero wtedy wróciła do domu.

\*

\*\*

Kilka godzin później Amber szykowała się właśnie do wyjścia z domu do pracy w KSO, gdzie w lodowatym wnętrzu kościoła miała się zająć segregowaniem ubrań przeznaczonych dla uchodźców, kiedy zadzwonił telefon. Spodziewając się, że to może być Robert, podniosła słuchawkę. Przeczucie jej nie myliło. Jak się jednak okazało, nie dzwonił, by powiedzieć, że odstawił Luca do szkoły, lecz by ją poinformować, że mają opóźnienie na drodze z powodu transportu wojskowego i żeby nie spodziewała się go z powrotem wcześniej niż nazajutrz.

- Znajdę jakiś hotel albo gospodę, po tym jak odstawię Luca, i wrócę do domu rano.

- Uściskaj Luca ode mnie - powiedziała Amber - i jedźcie ostrożnie.

- Znasz mnie - roześmiał się w odpowiedzi Robert. - Nigdy nie podejmuję ryzyka.

Amber i jej koleżanki z KSO nie mogły się nadziwić, jak to możliwe, że w kościele jest tak zimno, podczas gdy na dworze przez cały dzień świeci słońce.

- Pierwsze, co zrobię po powrocie do domu, to wezmę gorącą kąpiel - ogłosiła jedna z kobiet.

- W tych starych ubraniach jest coś smutnego, nie uważacie? Są ta kie... niechciane - westchnęła Isabelle Markely.

- Ależ nic podobnego - zareagowała błyskawicznie Amber, która uważyła, że maniery Isabelle były nieco zbyt teatralne, gdy się jej na nie pozwalało. - Przecież po to tu jesteśmy, żeby je posegregować.

Wracając do domu ciemnymi ulicami, przy których stały domy z za ciemnymi oknami, Amber rozmyślała o swoim synu, mając nadzieję, że przyzwyczai się do nowych obowiązków szkolnych. Na pewno tak będzie. Luc był wyjątkowo pragmatycznym chłopcem. Obserwowanie, jak stale upodabnia się do Roberta i naśladuje go, sprawiało Amber wielką radość, zważywszy na prawdziwą historię jego poczęcia. Za to Emerald co raz częściej przypominała jej temperamentem Blanche. Amber nie chciała faworyzować żadnego ze swoich dzieci, ale bez wątpienia lepiej układały jej się stosunki z Lukiem niż z Emerald.

Przeszła przez ulicę i skręciła w Eaton Square. Kamedyner, który otworzył jej drzwi, powiedział z powagą:

- Wasza książęca mość, w bibliotece czeka na panią pewien dżentelmen. Powiedział, że woli zaczekać na pani powrót.

Jay! Któż inny mógłby to być? Amber poczuła rosnącą w jej sercu radość, jakby ktoś rozpałił w nim małe ognisko. Trudno jej było powstrzymać uśmiech, kiedy podziękowała kamerdynerowi i weszła spokojnym krokiem przez podwójne drzwi, które prowadziły do biblioteki na parterze, służącej również jako gabinet Roberta.

Jej gość, zaalarmowany zbliżającymi się krokami Amber na wyłożonej kaflami posadzce, stał zwrócony twarzą do drzwi i plecami do ściany. Z całą pewnością nie był to Jay. Rozczarowanie, które poczuła Amber, było błyskawiczne i dotkliwe. Amber z trudem je przewyciężyła, by móc przyjrzeć się mężczyźnie.

Był średniego wzrostu, lekko łysiał i miał na sobie gruby ciemny płaszcz mimo wysokiej temperatury panującej na zewnątrz i w domu. Był to jeden z tych ludzi, którzy wydawali się zupełnie bezbarwni - można ich spotkać na ulicy dziesiątki razy, a i tak się ich nie zapamięta. Jediną jego charakterystyczną cechą było przenikliwe, badawcze spojrzenie oczu w kolorze torfu.

- Księżna Lenchesteru? - zapytał formalnie, co nieco zbiło Amber z tropu, gdyż nikt jej tak nigdy nie nazwał.

- Tak. Z kim mam przyjemność? - Amber unikała wyniosłości, a mimo to skopiowała ów formalny i apodyktyczny ton.

- Saunders, wasza książęca mość. Inspektor Saunders z policji w West Rutland.

Niczym chmura zasłaniająca niebo w podświadomość Amber wdarło się przeczucie i niepokój, wysysając z niej wcześniejsze szczęście.

- Z policji? Ale...

- Niestety, mam dla pani złe wieści.

- Złe wieści? - Głos Amber nagle przybrał lodowaty, a jednocześnie pełen strachu ton.

- Zdarzył się wypadek z udziałem samochodu pani męża.

W tym miejscu inspektor zamilkł na chwilę, jak gdyby chciał, by Amber zrozumiała znaczenie jego słów. Amber czuła, jak jej serce galopuje, zupełnie jakby przed chwilą biegała.

- To pewnie przez to zaciemnianie. Powoduje ono bardzo dużo wypadków. Mój mąż zawsze tak twierdzi. Mam nadzieję, że samochód nie został poważnie uszkodzony. Teraz, gdy wybuchła wojna, naprawienie go może nie być takie łatwe...

Amber mówiła za szybko, a jej głos wznosił się na coraz wyższe rejestry Trajkotała jak idiotka. Miała wrażenie, że inspektor czeka, aż opadnie z sił i straci energię, jakby słyszał te same słowa już wielokrotnie. To jego milczenie prowadziło nieuchronnie do pytania, którego Amber nie chciała zadać, chociaż wiedziała, że musi. Cisza wyczerpała desperackie próby, by go uniknąć.

- Czy z moim mężem wszystko w porządku?

Amber wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź, zanim jeszcze inspektor otworzył usta. Widać to było po zmianie jego wyrazu twarzy i przeciąga jącym się, wymownym milczeniu. Ten człowiek powinien zostać aktorem. Mógłby przekazać tak wiele samym spojrzeniem, które wydawało się tonąć w niezmierzonej otchłani.

- Przykro mi, ale muszę panią poinformować, że zarówno pani mąż, jak i syn nie żyją.



## Rozdział 48

Nie. Nie... to nie może być prawda. To niemożliwe.

- Bardzo mi przykro, wasza książęca mość, ale niestety to jest prawda.

- Nie żyją? Obydwaj?

- Tak.

Amber trzęsła się jak w febrze. Nie wolno jej było się poddać. Musiała pamiętać o swojej odpowiedzialności za Roberta - i Luca. Zaczęła drżeć jeszcze mocniej, jednak udało jej się wykrztusić:

- Ale jak...? Jak do tego doszło?

Inspektor zamilkł na dobre i Amber wiedziała, że nie chce jej zdradzić szczegółów.

- Proszę mi powiedzieć. Musi pan to zrobić - zażądała.

- Dobrze. Wojskowa ciężarówka stanęła w poprzek drogi, aby uniknąć zderzenia z motocyklem. Kierowca nie zauważył nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu pani męża. - Inspektor Saunders przerwał na chwilę, po czym dodał, jakby ciszej: - Jeśli to dla pani jakaś pociecha, muszę powiedzieć, że sposób, w jaki ułożone były ciała, sugerował wyraźnie, iż pani mąż do ostatniej chwili starał się zasłonić chłopca własnym ciałem.

Pociecha? Jak to mogło przynieść jej jakąkolwiek pociechę?

- Czy jest ktoś, kogo powinniśmy powiadomić o tym tragicznym zdarzeniu? Może członka pani rodziny albo bliskiego przyjaciela?

- Nie. Nikogo. - Głos Amber stał się twardy i beznamiętny.

Jak dużą winę ponosiła za to, co się stało, za to, że nie zachowała Roberta i Luca w swojej pamięci, nie otoczyła ich swoją miłością, tylko myślała w tym czasie o Jayu i nie posiadała się z radości, że powrót do Mac-clesfield da jej możliwość bycia z nim?

- Należy dopełnić określonych formalności.

Amber spojrziała na inspektora, jakby nie miała pojęcia, z kim rozmawia.

- Rozumiem, że jest to dla pani ogromny szok. Musimy jednak za jąć się pewnymi bardzo ważnymi sprawami natury formalnej - powtórzył Saunders. - A może jakiś bliski przyjaciel pani męża...

Amber udało się na chwilę zapomnieć o poczuciu winy i odezwała się gniewnie:

- To ja byłam najbliższym przyjacielem mojego męża. O jakie formalności chodzi?

Inspektor nie odpowiedział od razu, więc Amber czekała cierpliwie.

- Prawo wymaga, aby osoby, które poniosły śmierć wskutek takiego wypadku, zostały oficjalnie zidentyfikowane.

- Zidentyfikowane? Jak? Co? Ja mogę to zrobić. Chcę ich zobaczyć - powiedziała inspektorowi, który coraz mocniej zaciskał usta. - Muszę ich zobaczyć. Proszę mi pozwolić. Nalegam.

- Naturalnie, wasza książęca mość - odparł drewnianym głosem. - Czy mogę skorzystać z pani telefonu? Zamówię samochód z kierowcą. Ale nalegam, żeby pani wyznaczyła kogoś innego.

- To mój obowiązek i odpowiedzialność. Mój mąż by tego ode mnie oczekiwał. - Amber wiedziała, że ma rację. - Proszę mi wybaczyć, inspektorze. Zapomniałam o dobrych manierach. Napije się pan czegoś? A może zamówić panu coś do jedzenia?

- To bardzo uprzejmie z pani strony, ale jestem na służbie. Czy ktoś będzie pani towarzyszyć? Może jakaś zaufana przyjaciółka?

Amber potrząsnęła głową i wezwała kamerdynera.

- Inspektor musi zadzwonić - poinstruowała go. - Kiedy już wskażesz mu drogę do telefonu, będę wdzięczna, jeśli zbierzesz wszystkich i przyprowadzisz do biblioteki. Dziękuję, Chivers.

Amber spodziewała się, że to, co ma im do przekazania, będzie jedynie formalnością. Chivers, jak każdy kamerdyner z prawdziwego zdarzenia, na pewno już znał cel wizyty inspektora.

Przypuszczenia Amber potwierdziły się, kiedy zjawiała się kucharka, tonąc we łzach. Niania, która wyjęła sztuczną szczękę przed położeniem się do łóżka, postarzała się w kilka chwil, służący Roberta zaś miał na twarzy wyjątkowo bolesny wyraz.

- Zostałam właśnie poinformowana, że zdarzył się wypadek, w którym... - Amber słyszała, jak zaczynał jej się łamać głos. Przypomniała sobie, że jest nie tylko żoną Roberta, ale także reprezentowała go i musi zachować się godnie. - W którym jego łaskawość i lord Audley - jak dziwnie zabrzmiało to, w jaki sposób zatytułowała formalnie swojego syna - ponieśli śmierć.

Kucharka wybuchnęła płaczem, niania zaś wydała z siebie stłumiony okrzyk bólu, co uzmysłowiło Amber, że traktowała Luca jak własne dziecko.

Jak gdyby pchana jakąś niewidzialną siłą, Amber podeszła do opiekunki i wzięła jej zimne dłonie w swoje, czując, jak szczupłym ciałem starszej kobiety wstrząsają gwałtowne spazmy.

- Wiem, jak się czujesz, nianiu - powiedziała - ale musimy być dzielne. Tego właśnie oczekiwaliśmy od nas mój mąż. Muszę teraz pojechać z inspektorem, żeby... - Amber nie była w stanie dokończyć zdania. - Proszę cię, żebyś zaopiekowała się Emerald pod moją nieobecność. Wiesz, że jego książęca mość miał o tobie jak najwyższe mniemanie, nianiu.

Opiekunka pokiwała głową.

- Może pani na mnie liczyć, wasza książęca mość.

Amber zaczęła czuć się tak, jakby utraciła kontrolę nad własnym ciałem, i przyglądała mu się z zewnątrz. Nic już nie wydawało jej się rzeczywiste. Miała wrażenie, że odgrywa rolę w teatrze.

Inspektor wrócił do holu.

- Droga pani, samochód będzie za dziesięć minut. Został użyczony ze Scotland Yardu i kierowca odwiezie panią do domu, kiedy będzie już po wszystkim. Sugerowałbym jednak mimo wszystko, żeby pani spakowała lorbę na ewentualność noclegu.

- Pozwoliłem sobie już to za panią zrobić, wasza książęca mość, i jeżeli wyrazi pani zgodę, chciałbym pani towarzyszyć.

Amber spojrzała w stronę schodów i zobaczyła Hulmea - służącego Roberta, który stał na stopniach z dwiema walizkami, po jednej w każdej ręce.

- Spakowałem też trochę rzeczy jego książęcej mości i młodego lorda Audleya. Jego książęca mość zawsze starał się wyglądać nienagannie, a ja opiekowałem się nim przez całe jego dorosłe życie i chcę dopilnować, by wszystko było tak, jak on by sobie tego życzył.

Twarz służącego była mokra od łez, ale stanowcza.

- Tak, oczywiście, musisz pojechać - odparła Amber, ignorując ponu re spojrzenie inspektora.

Popatrzyła w górę schodów, w stronę pokoju dziecięcego. Była rozdarta. Z jednej strony chciała tam pójść, a z drugiej bała się, że może obudzić Emerald, która będzie chciała zobaczyć się z ojcem.

Kiedy policyjny samochód zatrzymał się przed małą, wiejską izbą chorych, nad horyzontem wstawał świt, zwiastując nadejście kolejnego pięknego dnia Dyrektorka szpitala czekała na zewnątrz, by osobiście powitać Amber. Towarzyszył jej dyrektor szkoły Luca, doktor Philpott. Oboje mieli zatroskany, pełen bólu i współczucia wyraz twarzy.

- Myślałem, że uda mi się oszczędzić waszej książęcej mości tej przykrej konieczności - powiedział dr Philpott. -

Niestety policja nie wyraziła zgody, abym to ja zidentyfikował ciała Luca i jego książęcej mości.

- To uprzejme z pana strony, doktorze Philpott - odparła Amber - ale i tak chciałam zobaczyć ich obu na własne oczy. Kątem oka dostrzegła, jak inspektor i dyrektorka wymieniają znaczące spojrzenia, po czym dyrektorka pokręciła lekko głową.

Kostnica była oddzielona od głównego budynku szpitala długim korytarzem, który zaczynał się od zapachu fenolu i skrobi, a kończył podwójnymi drzwiami, które prowadziły do właściwego pomieszczenia kostnicy. Tutaj chłodne powietrze pachniało jeszcze czymś, czego Amber nie potrafiła zidentyfikować.

Towarzysząca im dyrektorka skinieniem głowy kazała otworzyć drzwi portierowi, po czym wzięła Amber za rękę i przytrzymała mocno.

Personel kostnicy dołożył wszelkich starań, żeby zamienić miejsce, w którym przechowuje się zwłoki, w coś, co było łatwiejsze do zniesienia. Dwa starannie zasłane szpitalne łóżka zostały złączone, a na nich widać było wyraźne zarysy dwóch sylwetek - jednej osoby dorosłej i jednego dziecka.

Łóżka i leżące na nich ciała zamigotały i zatańczyły Amber przed pełnymi łez oczami. Chciała podbiec do nich i przytulić je, a jednocześnie wybiec z kostnicy.

Robert i Luc byli zwrócenii do siebie twarzami. Amber zauważyła, że Robert został tak ułożony, że obejmował ramieniem swojego syna.

- Czy może to pani zidentyfikować, Wasza Książęca Mość? - zapytał inspektor, wyjmując niewielkie pudełko i pokazując Amber jego zawartość.

- Tak, to mój... To sygnet rodowy księcia - odparła Amber.

Rozpaczliwie chciała przytulić Luca. To pragnienie sprawiało jej fizyczny ból. Wyjęła dłoń z ręki dyrektorki szpitala i obeszła łóżko, żeby spojrzeć na twarz swojego dziecka. Luc miał zamknięte oczy i kusiło ją, żeby mu je otworzyć, tak by mogła na nie popatrzeć. Luc miał takie piękne i szczere oczy. Na jego czole widać było potężny siniec, ale poza tym jego twarz nie nosiła żadnych innych obrażeń. Równie dobrze mógł po prostu spać.

Amber obróciła się do dyrektorki, która - jakby czytając w jej myślach powiedziała:

- Siła uderzenia złamała mu kręgosłup. Umarł natychmiast i bez świadomości.

Amber skinęła głową i spojrzała znów na Luca. Nachyliła się nad nim i ucałowała jego zimne, nieruchome ciało. Trudno było uwierzyć, że to naprawdę Luc, jej syn. Jej dziecko. Amber nachyliła się jeszcze niżej, jakby chciała go objąć i przycisnąć mocno do piersi, a potem zabrać go z tego miejsca, w którym nie powinny leżeć dzieci, i sprowadzić z powrotem do świata żywych.

- Moja droga, była pani bardzo dzielna. Proszę jeszcze chwilę wytrzymać i pożegnać się z synem. - Głos dyrektorki szpitala był uprzejmy, ale stanowczy, podobnie jak uścisk jej ręki na ramieniu Amber, wyznaczający precyzyjnie granicę między tym, co realne i nierealne.

Robert leżał na drugim łóżku, w takiej samej pozycji jak Luc, z zamkniętymi oczami.

Ależ on był przystojny. Wciąż miał gęste włosy, jedynie lekko przyprószone siwizną. Opadły mu one na czoło, prawie zasłaniając oczy. Robertowi by się to nie podobało. Amber sięgnęła instynktownie dłonią i odgarnęła mu włosy z twarzy.

W jednej chwili inspektor i dyrektorka szpitala rzucili się w jej stronę. Ich ruchy były na tyle błyskawiczne i przemyślane, że przykuło to uwagę

zdmionej Amber. Popatrzyła na nich i w tym momencie zamarła, czując, jak ciało Roberta pod jej palcami się rusza. Od razu przeniosła wzrok z powrotem na męża.

- Wasza książęca mość...

- Nie! - Potworny, gęsty i pierwotny strach złapał Amber za gardło i wdarł się do jej umysłu.

- Już dobrze, wasza książęca mość. Wszystko w porządku. Siostró, proszę przynieść krzesło, szybko...

- Nie... już mi lepiej... naprawdę.

Te słowa nie miały znaczenia. Były tylko wyuczonym sloganem. Jak wszystko mogło być w porządku, kiedy właśnie zorientowała się, że Robert nie ma głowy? Niezupełnie. Teraz widziała miejsce, w którym brakujący fragment czaszki został zasłonięty opadającymi na twarz włosami. Pod tymi włosami, w miejscu, gdzie powinien znajdować się tył jego głowy, ziała wielka dziura.

Amber wiedziała, że nie wolno jej okazać strachu ani zwymiotować. To byłoby obraza dla Roberta, dlatego za wszelką cenę musiała się powstrzymać. Robert zasługiwał na więcej. Już raz od niego uciekła, po tym co wcześniej zobaczyła. Musi okazać mu swoją miłość i szacunek. Za to, kim był. Nie wolno jej myśleć o tym, co znajduje się pod obciętym skalpem jego ciemnych włosów.

- Pani dyrektor, dziękuję, że ułożyliście ich państwo w ten sposób, obok siebie. Taka byłaby na pewno wola mojego męża. On bardzo kochał swojego syna.

- Oto prawdziwy hart ducha - odpowiedziała z uznaniem dyrektorka szpitala.

Amber nie potrafiła oplakiwać zmarłych. Jak mogła oplakiwać kogoś, z kogo odejściem się nie pogodziła?

Oczywiście odbyła rozmowę z pracownikami szpitala i podziękowała im za troskę, jaką otoczyli ciała jej męża i syna. Uzgodniła także z zakładem pogrzebowym, że Hulme, służący Roberta, ubierze do trumny zarówno swojego pana, jak i młodego panicza. Podziękowała też miejscowemu pastorowi i poinformowała go, że Robert i Luc zostaną pochowani w rodzinnej krypcie w Osterby Ale żadna z tych

spraw nie miała znaczenia, bo nie była dla niej realna. Jak Robert i Luc mogli nie żyć? Przecież to niemożliwe.

Kiedy Amber wróciła do Eaton Square, zastała tam czekającego na nią Jaya.

Powiedział, że gdy kamerdyner zadzwonił do niego z tą straszliwą nowiną, od razu wsiadł do pociągu i przyjechał do Londynu z polecenia jej babci, żeby zrobił, co w jego mocy, by pomóc Amber.

- Gdyby Blanche zabroniła mi tu przyjechać, i tak bym jej nie posłuchał - powiedział delikatnie Jay. - Nic by mnie nie powstrzymało przed znalezieniem się tutaj.

Amber spojrzała na niego i powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Nie powinienesz być przyjeżdżać. Nie chcę cię tu, Jay Chcę, żebyś wyjechał. W tej chwili. Nie możesz tu zostać.

- Amber... - zaprotestował.

- Mówię poważnie. Nie chcę cię tu widzieć. Nie chcę być w pobliżu ciebie ani żebyś ty kiedykolwiek znalazł się blisko mnie. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

- Wiem, przez co teraz przechodzisz, ale mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego tak mówisz.

- Nie? W takim razie pozwól, że ci wyjaśnię. Wiesz, co robiłam, kiedy Robert i Luc umierali? Myślałam o tobie. O tym, że cię wkrótce zobaczę. O tym, że cię pragnę. I o tym, w jaki sposób patrzyłeś na mnie, kiedy zaatakowała mnie Lydia, i jak od tamtej pory mi się przyglądałeś. A ja odwzajemniałam twoje spojrzenie.

- Nie zaprzeczam, że cię kocham - odparł Jay szczerze i natychmiast ale nigdy bym nie pozwolił, żeby moja miłość skrzywdziła ciebie albo

łych, których kochasz. Wiesz o tym, prawda?

- Łatwo ci to mówić, ale ja nigdy nie wybaczę sobie tego, co zrobiłam. Oddałam ci swoje myśli, które powinny być z nimi. Zostawiłam ich bez ochrony, bezbronnych. I za karę mi ich odebrano.

- Amber, to jakiś nonsens.

- Nie, to nie jest nonsens. Powinam była myśleć o nich, nie o sobie czy o tobie. Gdybym...

- Niepotrzebnie się obwiniasz.
- Nie obwiniam się, tylko stwierdzam fakt.
- Nie zrobiłaś nic złego. Robert i Luc zginęli wskutek tragicznego wypadku.

Amber potrząsnęła głową.

- Moja miłość powinna ich chronić. A ja zachowałam ją dla ciebie. Gdybym myślała o moim mężu i synu zamiast o tobie, może wciąż by żyli. Nie mogę znieść tu twojej obecności, Jay.

Amber zadzwoniła po kamerdynera.

- Chivers, pan Fulshawe właśnie wychodzi.

Jay nie miał innego wyjścia, jak tylko dać się odprowadzić do drzwi.

Dziesięć dni po śmierci Robert i Luc zostali pochowani w rodzinnej krypcie. Nabożeństwo żałobne odbyło się w wiejskim kościółku niedaleko po siadłości Osterby.

Kościół był do tego stopnia wypełniony ludźmi, że część żałobni ków musiała zostać na zewnątrz. Wszyscy przyjaciele Roberta z Londynu przyjechali, żeby towarzyszyć mu w tej ostatniej drodze. Wszyscy też pod kreślali, że Amber z godnością maskuje rozpacz.

- Oczywiście teraz wrócisz do Macclesfield - powiedziała jej babcia.

- Dobrze.

Amber musiała wrócić. Tego przecież chciał od niej Robert. Zanim jednak opuści Londyn, musi jeszcze dokończyć kilka spraw na miejscu. Najważniejszą z nich było spotkanie z notariuszem Roberta w celu prze dyskutowania jego testamentu.

Pan Melrose przybył na Eaton Square punktualnie o drugiej, dzień po przyjeździe Amber z Osterby.

Ten wysoki, szczupły i lekko zgarbiony mężczyzna pracował dla Roberta tak długo, jak Amber знаła swojego męża.

- Wasza książęca mość, w związku ze śmiercią pani męża, chciałbym przedyskutować z panią dwie sprawy - zwrócił się Melrose do Amber, kiedy już usiedli w bibliotece. - Pierwsza z nich dotyczy tytułu książęcego. Na pewno zdaje sobie pani sprawę, że wszystkie środki, które mają



związek z tytułem książęcym, są dziedziczone i należą się spadkobiercy zmarłego. Inaczej mówiąc, przechodzą bezpośrednio z jednego księcia na drugiego. W normalnych warunkach oznacza to, że majątek po ojcu dziedziczyłby państwa syn. Niestety, jak wiadomo, jest to niemożliwe, biorąc pod uwagę tragiczne okoliczności. Obawiam się, że to rodzi pewne próbie my natury finansowej, jeśli chodzi o podatek spadkowy. Potrzebuję trochę czasu, żeby ocenić tę sytuację. Z tego, co pamiętam, pani świętej pamięci mąż był jedynym spadkobiercą swojego dziadka. Nie było żadnych innych potomków w linii męskiej. Ale temu także muszę się przyjrzeć. Natomiast jeśli chodzi o prywatny majątek księcia, który otrzymał od swoich dziadków ze strony matki, mógł nim oczywiście rozporządzać wedle własnego uznania, gdyż nie wchodzi on w zakres dóbr dziedziczonych w linii męskiej przez potomków księcia. Ale i tu sprawy nieco się komplikują. Pani świętej pamięci mąż zakładał, rzecz jasna, że państwa dzieci przeżyją was oboje, a jego syn odziedziczy po nim majątek związany z tytułem księcia. Dlatego postanowił w testamencie, że większość swojego prywatnego majątku przekazuje pod zarząd powierniczy na rzecz państwa córki, ustanawiając przy tym panią jako jednego z jej powierników. Podobny, choć niniejszy majątek został zapisany w analogiczny sposób Lucowi, a na wypadek jego śmierci jego potomkom lub - gdyby okazało się to niemożliwe - jego siostrze. Osobną pulę zostawił dla pani, ale muszę panią ostrzec, iż nie jest to duża kwota, raczej tak zwane dożywocie wdowy. Plus dodatkowe zobowiązanie ze strony pani syna, który ma pani zapewnić godziwy dach nad głową, tak długo jak pani sobie zażyczy. Zapewniam panią, że tego rodzaju procedura jest czymś zupełnie standardowym i w niczym nie umniejsza miłości i przywiązania pani męża do pani. Amber zdobyła się na przelotny uśmiech.

- W porządku, panie Melrose - powiedziała spokojnym tonem. - Robert omówił ze mną szczegóły swojego testamentu, kiedy dokonał w nim ostatnich zmian po narodzinach Emerald. Obawiam się jedynie tego, że posiadając tak wielki majątek, Emerald może łatwo paść łupem łowców posagów.

- Zgadzam się z panią, wasza książęca mość. Na pani miejscu mnie też spędzałoby to sen z powiek. Musi pani jednak przyznać, że w tych

okolicznościach może się to wydać niezbyt fortunne, że zmarły książe nic pozostawił pani większego majątku. Nie są to oczywiście marne grosze, niemniej...

- Rzeczywiście, śmierć z głodu raczej mi nie grozi - zgodziła się Amber.

- ..nie jest to też żadna znacząca suma pieniędzy, szczególnie...

- Panie Melrose, zapewniam, że w najmniejszym stopniu nie zależy mi na majątku. Wracam z córką do Macclesfield, do domu mojej babki. Takie było życzenie mojego męża, żebyśmy opuściły Londyn i poszukały sobie bezpieczniejszego schronienia.

- Tak, to bardzo roztropna decyzja.

- Jeżeli zaś chodzi o podatek spadkowy...

- Jak już powiedziałem, czeka mnie trochę papierkowej roboty i obliczeń, zanim uda mi się to wszystko ustalić.

Wszystko musi zostać oszacowane, a to potrwa. Obawiam się, że na poczet podatku spadkowego trzeba będzie przeznaczyć pewną część środków pani męża. Ale o tym porozmawiamy później.

Amber skinęła lekko głową z aprobatą. Oddałaby cały majątek Roberta pomnożony tysiąckrotnie, żeby przywrócić życie i zdrowie jemu i ich synowi.

Rozdział 49

### **Grudzień 1939 roku**

To bardzo pomysłowe - przyznał z podziwem Maurice, kiedy oboje z Amber pochylił się nad sztuką jedwabiu, którą ona rozłożyła przed nim na biurku.

- Tak naprawdę to ten zaszczyt nie należy się mnie - zauważyła Amber. - Ja tylko zmodyfikowałam oryginalny projekt Clayтона Huttona. Kiedy mi powiedziałeś, że Walter Ellison pracuje z Claytonem z Brocklehurst Whiston nad drukiem map ucieczki dołączanych do ekwipunku lotników, uznałam, że warto dodać kilka przydatnych zdań w odpowiednich językach. Jak widać w wypadku map europejskich podzieliłam je na niemieckie, francuskie i holenderskie.

To jej babcia wpadła na pomysł, że Amber powinna odgrywać większą rolę w fabryce. Amber, która była pogrążona w rozpacz i toczyła nieustanną walkę z wyrzutami sumienia, z początku nie chciała o tym słyszeć. Ale Blanche była nieustępliwa i bez ogródek strofowała ją:

- Amber, nie jesteś pierwszą ani jedyną kobietą, która straciła męża i syna. Ja również pochowałam... Straciłam twojego dziadka i mojego syna. Opłakuj ich, ale nie zapominaj, że masz też zobowiązania wobec żyjących.

Blanche Pickford z łatwością do przewidzenia determinacją i energią stawiała czoło wyzwaniu, jakie rząd rzucił kobietom Wielkiej Brytanii. Była najważniejszą postacią w lokalnym przedstawicielstwie Kobiecej Służby Ochotniczej.

Wspólnie z Jayem pracowała nad planami zwiększenia produkcji żywności z pól uprawnych należących do Denham, przyjęła też dwanaście nowych dziewczyn do pomocy w naprędce zorganizowanych stajniach. Każda młoda osoba zatrudniona na terenie posiadłości została

skierowana do pomocy przy produkcji zaopatrzenia dla wojska. Blanche pozostawiła sobie jedynie szofera, kamerdynera, kucharkę i nianię Emc rald - wszyscy oni byli w zbyt podeszłym wieku, by pomagać w sprawach wojny. Kilka młodych matek z miasteczka przychodziło codziennie na kilka godzin, żeby sprzątać, a te pomieszczenia w domu, które nie były używane, zostały zamknięte, znajdujące się zaś w nich meble przykryto płódnymi pokrowcami.

Posiłki spożywano teraz w kuchni, nie w jadalni. Niania z początku narzekała, że musi sama schodzić do kuchni po jedzenie, które wcześniej służący wnosili jej do pokoju dla dzieci na górze, z czasem jednak polubiła ten nieformalny charakter i przytulne ciepło panujące w kuchni. Przy pominało jej ono bowiem własne dzieciństwo i czas spędzany z rodzicami.

Nic nie było w stanie pozbawić Amber poczucia winy i wyrzutów sumienia z powodu śmierci Roberta i Luca. Nawet nie próbowała się z tego otrząsnąć. Ale jej babcia miała rację, kiedy mówiła, że Robert byłby dumny, widząc, jak jego żona pomaga swojemu krajowi ogarniętemu wojną. Na szczęście praca w fabryce pochłaniała Amber niemal bez reszty.

Ministerstwo Zaopatrzenia Jedwabiu i Kontroli Rayonu miało teraz swoją siedzibę w Macclesfield. Jedwab został oficjalnie uznany za materiał służący do produkcji spadochronów i map, drukowanych na jego kawałkach. Takie mapy można było złożyć w małą kosteczkę mieszczącą się w torbach ewakuacyjnych pilotów.

Komisja Kontroli zasugerowała dodanie do map kilku prostych zdań i uzyskawszy akceptację Ministerstwa Wojny, zakład w Macclesfield ruszył z produkcją serii pilotażowej.

Właśnie jeden z takich prototypowych projektów leżał teraz przed Amber i Maurice'em. Amber skorzystała z pomocy przyjaciół i kontaktów Roberta w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, żeby jak najwinniej przetłumaczyć podane zdania na różne języki, tak aby można je było w tej formie nadrukować na jedwabiu. Zamieszczono na nich także zapis fonetyczny.

Amber kazała Maurice'owi, który mówił tylko po angielsku, przeczytać je na głos Jamesowi Leesowi-Milneowi, który zajrzał do Denham, będąc w okolicy i wizytując Arley Hall.

Wyśle je do ministerstwa - powiedział Maurice, po czym dodał, niemal beztrosko: - Słyszałaś pewnie, że Jay zaciągnął się do armii?

Amber zeszytywniała, tak jak zawsze, gdy ktoś wspominał przy niej imię Jaya. Nie miała na to wpływu. Jay i jej wyrzuty sumienia były ze sobą związane w sposób nierozdzielny i niewybaczalny.

- Tak, babcia mi o tym wspominała - przytaknęła.

- Jestem przekonany, że będzie jej go brakować.

W istocie, Blanche nie była zachwycona i dała temu wyraz w ostrych słowach. Praca Jaya została sklasyfikowana jako ważna dla kraju, co pozwoliło mu uniknąć poboru. Blanche nie spodobało się, że Jay postanowił to jednak zlekceważyć i znalazł sobie zastępstwo, dzięki czemu sam mógł zgłosić się do wojska. Człowiek, który miał go zastąpić, był emerytowanym zarządcą majątku. Amber poznała go i nawet polubiła, ale jak przyznała sama przed sobą, była gotowa polubić każdego, kto sprawi, że nie będzie musiała oglądać Jaya.

- Nie wiem, co zrobi ze swoimi córkami, tym bardziej że nie mają już przecież matki.

- Już teraz praktycznie mieszkają w Denham, więc nic nie stoi na przeszkodzie, żeby tak było nadal - powiedziała Amber.

Nie spodobało jej się to, kiedy babcia ogłosiła, że Jay przenosi się z Dower House do Denham. Ale decyzja nie należała do niej i jak stwierdziła Blanche, z praktycznego punktu widzenia i ze względu na wojnę lepiej było zamknąć Dower House.

- To prawda - zgodził się Maurice - tym bardziej że mieszka tam już córka Grega i twoja córka.

Amber była zaskoczona ambiwalencją swoich uczuć dotyczących tej sytuacji. Lubiała córki Jaya i współczuła im w tym, przez co musiały przejść. Dziewczynki dorastały razem z Rose i korzystała na tym także malutka Kmerald, coraz bardziej rozpuszczana przez Blanche, która uświadamiała jej na każdym kroku, jaką jest ważną, małą osobką. Towarzystwo trzech starszych dziewczynek mogło wpłynąć na Emerald wyłącznie pozytywnie.

Jednak z drugiej strony, ciągle obecność dziewczynek w Denham miała nieustannie przypominać Amber o Jayu. A tego nie chciała.

\*

Temperatura spadała przez cały tydzień. Niebo nad wzgórzami zrobiło się ciężkie i cały czas groziło opadami śniegu. Przejeżdżając przez miasteczko, Amber widziała na stacji kolejowej młodych mężczyzn w mundurach, którzy zapewne wracali do domu na święta. Wielu z nich towarzyszyły ukochane dziewczyny i całe rodziny. Ból, który nigdy nie opuścił Amber, przypominał teraz o sobie ze zdwojoną siłą. Bolało ją poczucie własnej straty i świadomość, że to samo czeka jeszcze wiele innych kobiet.

Zaparkowała swojego małego austriaka na podwórzu, tuż obok kuchennych drzwi. Mało kto korzystał jeszcze z frontowego wejścia, nawet jej babcia.

Greg kpił z jej nowego samochodu, który kupiła, jak nauczyła się jeździć w zaledwie kilka tygodni. Prowokował ją, mówiąc, że nie rozumie, dlaczego sprawiła sobie takiego gruchota, skoro stać ją na coś dużo bardziej luksusowego. Przy okazji nie omieszkał jej wypomnieć:

- Robert musiał ci przecież zostawić okrągłą sumkę pieniędzy, nie wspominając już o tym, że odziedzicysz wszystko po babci.

Amber wiedziała, że Greg nigdy nie wybaczy jej tego, że babcia zmieniła testament, choć ona ją od tego odwozila. Najwidoczniej nie chciał zaakceptować faktu, że to jego zachowanie doprowadziło do takiej, a nie innej decyzji Blanche, dlatego nie miał wyjścia, jak tylko obwiniać o to Amber. W efekcie stała się jego chłopcem do bicia. Woda w starym kamiennym korycie do pojenia na środku podwórza zamarzła. Mróz chwycił Amber za gardło, gdy biegła w stronę drzwi.

Za drzwiami znajdował się korytarz z wieszakami na ubrania i dwiema wielkimi spiżarniami, oddzielający kuchnię od tylnych drzwi. Amber powiesiła płaszcz obok innych i weszła do kuchni, gdzie przywitał ją Bruno, pies Luca. Labrador nie odstępował jej niemal na krok, Amber zaś nie odrzucała jego względów, ponieważ Bruno przypominał jej o Lucu.

Od samych drzwi do kuchni poczuła bijące z niej ciepło. W 1938 roku babcia kazała wymienić stary piec na większy i teraz cieszyła się, kiedy ludzie zwracali uwagę, że ta decyzja okazała się bardzo rozsądna.

Dzieci siedziały wokół stołu i jadły racuszki. Bruno, gdy już się upewnił, że Amber dotarła bezpiecznie do domu, powędrował do swojego koszyka i ułożył się w nim.

- Mamusia! - zawołała Emerald.

- Witaj, kochanie. Dzień dobry wszystkim.

Amber nachyliła się, żeby ucałować Emerald, starając się nie okazywać uczuć, gdy jej córka odwróciła głowę w przeciwną stronę. Miała świadomość, że Emerald potrafi domagać się uwagi, kiedy miała na to ochotę, natomiast sama nie odwzajemniała uczuć, chyba że jej to odpowiadało. Z pewnością nie miała takiego słodkiego, kochanego usposobienia jak Rose.

- Wkrótce przyjdzie Święty Mikołaj - powiedziała Rose.

Emerald obróciła wysmarowaną dżemem buzię w stronę Amber i wbiła w nią uważne spojrzenie. Amber pomyślała ze smutkiem, że Emerald jest jeszcze za mała, żeby zrozumieć, kim jest Święty Mikołaj, ale potrafiła już zwietrzyć w tym dla siebie interes. Zaakceptowała chyba fakt, że ojca i brata już nie ma. Nie potrafiła zrozumieć, co się stało, więc przez pierwsze tygodnie krzyczała wniebogłosy, domagając się, żeby to tata przeczytał jej bajkę na dobranoc, i wyrywała się Amber, kiedy ta próbowała ją przytulić czy uspokoić.

- Jane i ja napiszemy dzisiaj listy do Świętego Mikołaja i powiemy mu, co chcemy dostać - odezwała się Ella, po czym spytała z troską w głosie: - Ciociu Amber, czy uważasz, że to nie w porządku prosić o prezenty teraz, kiedy mamy wojnę?

Ella była czasem taką poważną i zatroskaną dziewczynką. Marszczyła brwi, sprawiając wrażenie, że przejmuje się losem otaczającego ją świata. Nikt nigdy nie wtajemniczył dziewczynek w szczegóły śmierci Lydii uznano, że tak będzie dla nich lepiej - i one też nigdy o niej nie wspominały. Po prostu pogodziły się z jej śmiercią.

- Nie, nie uważam, by to było coś niestosownego, pod warunkiem że pamiętamy o modlitwie za tych, którzy jej potrzebują.

- Ciociu, wiesz, o co poproszę Świętego Mikołaja? - ożywiła się Jane.

- Miałaś o tym nikomu nie mówić - zganiała ją Ella, ale Jane zignorowała siostrę:

- Poproszę go o nową mamusię.

W kuchni na chwilę zapadła kłępująca cisza. Amber nie była w stanie przemówić. W gardle czuła twardą gulę bólu i smutku.

- Mój Boże, panienko Emerald, proszę spojrzeć na swoją buzię - przerwała w końcu milczenie niania, nachylając się nad dzieckiem.

Amber zamarła. Mówiła niani, że nie życzy sobie, aby zwracać się w taki oficjalny sposób do jej córki, która już uważała się za kogoś wyjątkowego, a Amber nie chciała utwierdzać jej w tym przekonaniu.

- A ty, Rose? - spytała córkę swojego kuzyna. - Co chciałabyś dostać od Świętego Mikołaja?

- Lalkę - odpowiedziała Rose.

Amber uśmiechnęła się. Dzwoniła już do Harrodsa i zamówiła prezen ty dla dzieci. Wszyscy podkreślali, że te święta powinny być wyjątkowe, bo nie wiadomo, co może się zdarzyć w przyszłym roku. Rząd zapowiadał racjonowanie żywności i wszyscy wiedzieli, że zawdzięczają zaopatrzenie dzielnym załogom floty handlowej i wojennej, które z narażeniem życia transportowały tak bardzo potrzebne zapasy na Wyspy.

Później tego samego wieczoru, kiedy dzieci były już w łózkach, a bab cia wyszła na spotkanie komisji charytatywnej, Amber siedziała w kuch ni i cerowała, gdy nagle usłyszała dzwonek do drzwi. Zmarszczyła brwi.

Przecież nikt już nie korzysta z drzwi wejściowych.

Kiedy tylko znalazła się w przeraźliwie wyziębionym holu, zatrzęsła się z zimna.

Otworzyła drzwi i zobaczyła śliczną młodą dziewczynę w mundu rze armii lądowej, która stała na schodach. Ciemne loki okalały jej twarz w kształcie serca. Dziewczyna patrzyła na nią swymi dobrodusznymi, błękitnymi oczami i uśmiechała się.

- O Boże, mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego - powiedziała. -Poradzono mi, żebym skróciła w pierwszą ścieżkę, ale jest tak ciemno, że mogłam pomylić drogę.

- Proszę wejść. - Amber zaprosiła ją do środka, po czym zamknęła drzwi, przez które wpadał do środka lodowaty wiatr. - Kogo pani szuka? Nawet jeśli trafiła pani pod zły adres, na pewno będę mogła jakoś pomóc.

- Och, ależ pani dobra i uprzejma. Szukam Jaya Fulshawea. Zna go pani może? Jestem jedną z dziewczyn przydzielonych do pracy na farmie i pan Jay powiedział, że w razie jakichś kłopotów mam się z nim kontaktować.

- Rozumiem - odparła Amber.



Rzeczywiście rozumiała. I to bardzo dobrze. Ta śliczna dziewczyna może wyglądała i wydawała się bezpośrednia, ale Jay na pewno od razu przypadł jej do gustu. A czy ona spodobała się Jayowi? Na pewno musiał dać jej jakiś dobry powód, żeby go szukała.

- Niestety, Jaya nie ma w tej chwili w domu. Być może jest na farmie, panno...

- Belinda. Belinda Withington. - Dziewczyna przedstawiła się ochotczo i z uśmiechem na twarzy - Ale wszyscy mówią na mnie Bunt

- No cóż, Bunt Przekażę Jayowi, że próbowałaś się z nim skontaktować, ale nie mam pojęcia, kiedy dokładnie wróci. - Amber podejrzewała, że Jay przebywał wieczorami poza domem ze względu na nią i chłód, który między nimi panował.

- To bardzo uprzejmie z pani strony. Bałam się pracy na roli - zwierzyła się Bunt Amber. - To znaczy, każdy chce coś robić, ale prawdę mówiąc, nie myślałam o tego typu zajęciu, dopóki nie zaproponowała mi tego moja ciotka. Na szczęście pan Fulshawe jest wspaniałym pracodawcą.

Pożegnawszy niespodziewanego gościa, Amber pomyślała, że Bunt musiała się bez pamięci zakochać w Jayu. Wróciwszy do kuchni, napisała do niego wiadomość i zostawiła ją obok czajnika, gdzie na pewno znajdzie ją po powrocie do domu.

Czy Jay wiedział, że Jane pragnie nowej mamusi? Czy myślał już o tym, żeby sprawić swoim córkom kochającą macochę, a sobie nową żonę? Uczucie, które nawiedziło Amber, nie było bolesne. Dlaczego miałyby ją boleć?

Przecież Jay nic już dla niej nie znaczył.

Podeszła do pieca, żeby zagrzać mleko na kakao. Równie dobrze mogła się już położyć. Kucharka miała wolne, dzieci były już w łóżkach, babcia wyjechała z domu, a Greg wybrał się - jak to miał ostatnio coraz częściej w zwyczaju - do Manchesteru. Twierdził, że ma tam przyjaciół. Ale zważywszy na to, że w Manchesterze mieszkało dużo Chińczyków, Amber podejrzewała, że Greg zaopatruje się tam w opium, od którego był w coraz większym stopniu uzależniony

Amber zdecydowała się podzielić troską o zdrowie kuzyna z doktorem Brookesem, który jednak nie był w stanie zaofiarować jej żadnego pocieszenia.

- Podejrzewam, że jego uzależnienie jest tak silne, iż wymagałoby na prawdę sporego wysiłku z jego strony, aby przestał. Obawiam się też, że Greg nie jest w stanie zdobyć się na taki wysiłek - powiedział lekarz, do dając dyskretnie: - Biorąc pod uwagę syfilis, który złapał w Hongkongu, a który coraz mocniej daje o sobie znać, muszę przyznać, że opium złago dzi przynajmniej w niewielkim stopniu jego objawy.

- Syfilis? Greg choruje na syfilis?

Doktor Brookes był zdumiony Nie miał pojęcia, że Blanche zachowała tę wiadomość tylko dla siebie. Zapewnił Amber, że gdyby o tym wiedział, nie wspomniałby jej o tym ani słowem.

Uspokoila go, że nie powinien się obwiniać. Właściwie pomogło jej to zrozumieć sytuację, w jakiej znalazł się Greg, i poczuć do niego jeszcze większe współczucie.

Oczywiście kiedy zarzuciła Blanche, że o niczym jej nie powiedziała, babcia pozostała niewzruszona. Jeszcze bardziej rozgniewało Amber, kiedy babcia powiedziała jej, że Jay wie o chorobie jej kuzyna.

Mimo iż Amber współczuła Gregowi, pewnych jego zachowań nie mogła tolerować. Odkryła, że z jej portmonetki zginęły pieniądze, i podejrzewała, że wziął jej Greg, który kilka dni wcześniej wpadł w furję, gdy nie chciała mu „pożyczyć” pięćdziesięciu funtów.

Kiedy wyprowadziła Brunona na ostatni wieczorny spacer, zobaczyła, że zaczął padać śnieg. Luc uwielbiał śnieg i zadreślał Roberta, żeby zabrał go w Alpy, gdzie mógłby nauczyć się jeździć na nartach.

Luc. W niektóre dni słyszała jego głos tak wyraźnie, iż była przekonana, że gdy się odwróci, zobaczy go za plecami. Nie żywego człowieka, z krwi i kości, lecz ducha. Luc cały czas jej towarzyszył w sercu i w myślach - do tego stopnia, że Amber prowadziła z nim wyimaginowane, długie rozmowy. Opowiadała mu różne rzeczy, i dopiero kiedy pochylała głowę, by na niego spojrzeć, uświadamiała sobie, że przecież Luca tam nie ma. Najgorsze było chyba jednak to, że gdy nieświadomie zdarzało jej się wymówić imię Luca, Bruno natychmiast podnosił łeb i spoglądał w stronę drzwi. Amber mogła jedynie sobie powtarzać, że Luc będzie z nią tak długo, jak długo zachowa go w swoim sercu, czyli zawsze. To musiało wystarczyć jej za pociechę.

\*\*\*

Był bożonarodzeniowy poranek. Wszystkie prezenty zostały już rozpakowane i mieszkańcy Denham poszli do kościoła, brnąc po drodze przez zasy, żeby wspólnie odśpiewać kolędy i wymienić się życzeniami ze swoimi sąsiadami. Kościół był pełen ludzi, a w oczy rzucała się wielka liczba umundurowanych mężczyzn.

Ci mężczyźni, którzy wrócili do domu na przepustkę z frontu we Francji, opowiadali, że jest tam teraz równie zimno jak w Anglii. Radowali się z dotychczasowego przebiegu wojny i żartowali między sobą - ich serdeczne koleżeństwo i bez troski śmiech nadawały temu dniu jeszcze bardziej wyjątkowy charakter.

Amber starała się jak mogła, żeby przyłączyć się do świętowania i nie pozwolić, aby jej smutek przesłonił radość innym rodzinom, które witały w domu swoich najbliższych.

Ci młodzi chłopcy, dla których mundur był czymś nowym i którzy wciąż szkolili się przed wyjazdem na front, z chęcią rozmawiali ze swoimi rówieśnikami, którzy zostali na miejscu. Jay też brał w tym wszystkim udział, choć nie miał jeszcze nawet munduru.

Rodzina de Vries mogła się poszczycić bogatymi tradycjami służby wojskowej dla hrabstwa Cheshire. Syn i spadkobierca Barranta de Vries również walczył dla swojego kraju w pierwszej wojnie światowej.

Wkrótce mieli się pożegnać z sąsiadami i wrócić do Denham. Jay wraz z córkami został z Fittonami Leghami i dziadkiem, który mieszkał teraz ze swoją wnuczką Cassandrą, gdyż jego posiadłość została zarekwirowana na potrzeby wojska. Dziewczyny zatrudnione przy pracach rolnych, które dostały przepustki, również wzięły udział w porannej mszy. Amber nie była zaskoczona, kiedy zobaczyła, jak Bunty odłącza się od koleżanek i podchodzi do Jaya, żeby zamienić z nim parę słów. Sądząc po bez troskim śmiechu córek Jaya, Amber uznała, że Bunty jest już z nimi w bardzo dobrych stosunkach.

Amber wzięła Emerald na ręce. Jej córka była w centrum uwagi ludzi wychodzących z kościoła i chętnie wykorzystywała tę sytuację, uśmiechając się słodko i strojąc wesołe minki. Tymczasem biedną Rose wszyscy traktowali jak powietrze. Amber pękało serce z powodu córki swojego

kuzyna, która była takim cudownym, kochanym dzieckiem. Całkiem proste włosy i orientalny wygląd wyróżniały ją na tle innych. Niestety niania która postarzała się już mocno i również była stronnicza w stosunku **do** Emerald, także nie traktowała Rose tak, jak powinna.

- Emerald, nie wierz się, proszę - upomniała Amber córkę, stawiając ją z powrotem na zasypanej śniegiem ziemi, a potem wyciągnęła rękę **do** Rose, która stała na uboczu, wyraźnie skrepowana i zakłopotana. - Rose, kochanie, chodź do mnie - dodała jej otuchy.

Skóra Rose natychmiast zaróżowiła się z radości, a w jej oczach zapały się iskielki i dziewczynka podbiegła do Amber.

- Podoba ci się laleczka, którą przyniósł ci Święty Mikołaj? - spytała Amber.

- Tak. Jej ubranka też mi się podobają. Wygląda w nich tak pięknie. Amber uśmiechnęła się pod nosem. Trzy noce z rzędu szyla ręcznie

kolorowe sukienki z jedwabiu dla lalki, którą kupiła dla Rose, kopiując wzory z fotografii, które Greg przysłał jej w jednym z pierwszych listów z Hongkongu. Kiedy niania to zobaczyła, wpadła w gniew, mówiąc, że sukienki są równie pogańskie jak matka tego dziecka.

- Podobały mi się też książki, puzzle, farbki wodne i pantofelki - wymieniła jednym tchem Rose.

Amber pogładziła ją czule po głowie. Czowała wyjątkową więź z tym dzieckiem, które tak jak ona nie miało matki i nie było faworyzowane w rodzinie.

## Rozdział 50

W końcu było już po wszystkim. Resztki indyka powędrowały do spiżarni, pozmywano też naczynia. Babcia poszła na górę, żeby odpocząć w swojej sypialni. Niania zabrała Emerald i Rose do pokoju dziecięcego, żeby położyć je do łóżek. Amber zaś mogła nareszcie przestać udawać, że ten dzień nie był niczym innym, jak tylko drogą przez mękę i nie miał nic wspólnego z innymi, bardziej radosnymi świętami Bożego Narodzenia.

Za to w Fitton Hall świętowanie trwało. Fittonowie Leghowie podejmowali kilkoro gości i członków swojej licznej rodziny. Na pewno grali w szarady i inne zabawy. Na pewno śmiali się i bawili. Właśnie takie święta organizowała dawniej Amber i miała nadzieję, że tak będzie zawsze. Z jednego z pokoi wynoszono dywany, nastawiano patefon i kto miał ochotę, mógł potańczyć. Amber nigdy nie miała okazji zatańczyć z Jayem.

Obróciła się niezgrabnie, wpadając na jedno z kuchennych krzeseł, oślepiona łzami, których nie powinna była uronić. Jeśli już musi płakać, niech oplakuje zmarłego męża i syna, a nie fakt, że nie tańczyła nigdy z kimś, z kim nie miała prawa tańczyć.

A więc nie wybierzesz się z nami na stację, żeby pożegnać Jaya i życzyć mu wszystkiego dobrego?

- Nie, babciu, nie wybiorę się.

- Ludzie pomyślą, że to dziwne.

- Na pewno nie. Nawet nie zauważą mojej nieobecności. Muszę już iść. Mam jeszcze kilka listów do napisania.

Amber, chcę cię o coś poprosić, zanim wyjadę.

Jay! Przecież pożegnała się z nim już wcześniej. Po co jeszcze jej szukał? Czują, jak płoną jej koniuszki uszu, kiedy odwracała się twarzą do niego.

Oczywiście miał na sobie mundur. Kapitan Jay Fulshawe. Otrzymał stopień kapitana, kiedy zakończył szkolenie.

- Gdyby coś mi się stało, chcę cię prosić, żebyś wzięła dziewczynki pod swoją opiekę - powiedział bez zbędnych wstępów. - Znają cię i kochają.

A co z Bunty, dlaczego nie poprosił jej? Amber chciała już zadać to pytanie, ale na szczęście zdołała nad sobą zapanować. -Ja...

- Tu są wszystkie dokumenty Podpisałem je w obecności świadka. Nie proszę cię o to dla siebie, lecz przez wzgląd na dziewczynki. Nikt nie wie lepiej, co to znaczy być sierotą. Jesteś jedyną osobą, której ufam, i wiem, że zrozumiesz je i pomożesz im. I dasz im miłość.

Amber chciała odmówić, ale jak mogłaby to zrobić? To byłoby mściwe i małostkowe. To, co zaszło między nią a Jayem, nie wydarzyło się przecież z winy dziewczynek.

- Nie zostawiasz mi wielkiego wyboru - powiedziała. - Powinieneś poprosić mnie o to wcześniej.

- To prawda, ale nie miałem zbyt dużo czasu. Wysyłają nas... Wyjeżdżamy wcześniej, niż się spodziewałem.

Jechali na front. To chciał powiedzieć Jay, ale ugryzł się w język. Amber wiedziała o tym. Poczła przeraźliwe zimno, a jednocześnie pulsujące gorąco.

- Jak rozumiem, powinnam to podpisać, tak?

- Tak, tutaj.

Jay położył dokument na jej biurku i nachylił się, żeby pokazać, gdzie ma podpisać.

Pachniał teraz inaczej. Jakby stał przed nią inny Jay, nie ten, którego знаła. Ten Jay pachniał khaki i skórą, wojskowym drylem i wojną.

Amber czuła, że drży. Dlatego, że stał tak blisko? Nie. Dlatego, że przebywając z nim sam na sam, miała wrażenie, że zdradza Roberta i Luca.

- Ja też powinnam mieć chyba świadka - powiedziała.

- Pójdę i przyprowadzę twoją babkę.

- Jay, zaczekaj chwilę.

Amber widziała w jego oczach, że wystraszył się tego, iż ona zmieni zdanie. Ogarnęło ją uczucie strasznego smutku. Ręka zadrżała jej lekko, kiedy otworzyła niewielką szufladę.

- To dla ciebie - powiedziała, wyjmując z szuflady złożony w kwadrat kawałek materiału, który włożyła tam, kiedy dowiedziała się, że wybuchła wojna.

Patrzyła, jak Jay rozwija materiał.

- To jedna z naszych map ewakuacyjnych - wyjaśniła niepotrzebnie. - Oczywiście jeśli masz już jedną...

- Nie, Amber. Nie mam...

- Lepiej podpiszmy już ten dokument, dobrze?

- Oczywiście - odparł cicho. - Poszukam twojej babki.

Zanim Jay wrócił razem z Blanche, Amber zdołała jakoś zebrać się w sobie.

Kiedy podpisywała dokument, po raz kolejny zadrżała jej ręka. Ale było już po wszystkim. Była teraz prawnym opiekunem córek Jaya na wypadek jego śmierci.

Sądząc po spojrzeniu Blanche, babka miała nadzieję, że Amber jednak zmieni zdanie i pojedzie razem z nimi na stację pożegnać Jaya. Ale Amber nie mogła tego zrobić.

- Dopilnuję, żeby dokument trafił do rąk pana Mackenziego - powiedziała Amber, mając na myśli urzędnika w kancelarii notarialnej zajmującej się obsługą prawną Blanche.

Babcia wyszła z pokoju i dołączyła do innych w holu. Amber i Jay zostali znów sami.

- Dziękuję.

Amber wiedziała, że Jay na nią patrzy, jednak nie odwzajemniła jego spojrzenia.

W pokoju zapadło pełne napięcia milczenie. Amber czuła, że Jay się waha i czeka, aż ona się do niego odwróci. Ale nie zrobiła tego. Usłyszała tylko, jak Jay wypuszcza powietrze z płuc w taki sposób, jakby go to bolało, po czym podchodzi do drzwi, otwiera je, wychodzi i zamyka delikatnie drzwi za sobą.

Obserwowała z biblioteki samochody odjeżdżające w kierunku stacji kolejowej. Jego dziadka też tam nie będzie.

Przeziębł się, poza tym z trudem się poruszał. Ale może Cassandra pojedzie na dworzec. I oczywiście Bunty, z tym swoim dobrodusznym uśmiechem i nieskrywanym podziwem.

W głowie Amber pojawił się nagle obraz Roberta, który spoglądał na nią ze smutkiem.

- To przez wzgląd na ciebie i Luca nie jadę z nimi - powiedziała gwałtownie Amber. - Wiesz o tym.

Bruno przybiegł z kuchni, usiadł przy jej boku i wtulił się w nią, jakby wyczuwał cierpienie Amber i chciał ją pocieszyć.



## Rozdział 51

Racjonowanie mięsa? I co jeszcze? Kucharka pociągnęła nosem z dezaprobatą, dając upust swojej frustracji z powodu ostatniej decyzji rządu, która miała na celu zapewnienie sprawiedliwego dostępu do żywności wszystkim potrzebującym.

- Przynajmniej drób nie podlega reglamentacji - zauważyła Amber, ale kucharka nie dała się udobruchać.

- Może to i dobrze - powiedziała - ale w każdej chwili zamieniłabym kurczaka na kawałek wołowiny albo walijskiej jagnięciny

- Pojadę później na rowerze do Macclesfield. Muszę wstąpić do banku i na pocztę. Wpadnę też na chwilę do fabryki, dlatego proszę nie zawracać sobie głowy lunchem dla mnie.

Amber otrzymała list od prawnika Roberta, w którym poinformował ją, że ma dla niej pewne istotne papiery do podpisania. Pytał także, czy Amber da radę przyjechać do Londynu w czwartek przed Wielkim Piątkiem, żeby to załatwić. Zatelefonowała do niego, żeby potwierdzić termin spotkania i zapytać, czy może to być na sam koniec dnia, tak żeby mogła zdążyć. Postanowiła, że w czwartek i piątek przenocuje w Ritzu i wróci do domu w Wielką Sobotę, kiedy pociągi powinny być mniej zatłoczone. Wcześniej musiała jeszcze udać się do banku i wypłacić trochę pieniędzy na pokrycie kosztów podróży.

- Dokąd ten świat zmierza, że kobieta musi teraz sama wszędzie jeździć na rowerze, zamiast dać się zawieźć szoferowi? To niestosowne.

Amber zaśmiała się.

- Ale ja to lubię - powiedziała zgodnie z prawdą kucharce, a potem przypomniała jej: - Wszystko, co trafia do tego kraju, zawdzięczamy naszym dzielnym marynarzom. To od nas wszystkich zależy, aby nie musieli tego robić częściej, niż to jest absolutnie konieczne.

Wszyscy wiedzieli, jakie śmiertelne żniwa zbierały okręty niemieckiej Kriegsmarine, które polowały na statki brytyjskie.

- Pójdę na górę i spytam Grega, czy czegoś nie potrzebuje. Amber martwiła się o kuzyna. Jego zachowanie stawało się coraz bar

dziej nieobliczalne i przybierało najróżniejsze formy - od potwornych wybuchów gniewu, przez euforię, aż po okresy kompletnej apatii, w trakcie których Greg nie chciał nawet opuszczać swojego pokoju.

Doktor Brookes wyjaśnił Amber, że te huśtawki nastrojów są wynikiem nadużywania alkoholu i narkotyków.

- Na pewno nic nie da się zrobić? - spytała Amber.

- Obawiam się, że nie - odparł lekarz. - Przynajmniej do czasu, kiedy Greg sam nie wyrazi zgody na leczenie.

Drzwi do sypialni Grega były otwarte, a on leżał nieogolony i w ubra mu na łóżku. Obok niego poniewierała się pusta butelka po ginie. W powietrzu unosił się nieświeży, kwaśny odór. Młody, przystojny mężczyzna, którym kiedyś był Greg, zniknął bezpowrotnie. Jego miejsce zajął jakiś człowiek o spuchniętej, szorstkiej twarzy, zaczerwienionej skórze i przerzedzonych włosach.

Amber poczuła, jak ogarnia ją fala bezsilnego współczucia dla kuzyna.

Kiedy zawołała go po imieniu, Greg zignorował ją, nie odwracając na wet głowy Amber nie miała innego wyjścia, jak tylko opuścić pokój, nic zamieniwszy z nim ani słowa.

Miasteczko tętniło życiem, szykując się na świąteczny weekend. Mauricc zatrzymał Amber w fabryce dłużej, niż się spodziewała, i kiedy w końcu przyjechała do Denham, było już późne popołudnie.

Dziewczynki w fartuchach nałożonych na sukienki piły właśnie herba tę i jadły jajka. Emerald krzywiła się, mówiąc, że „nie lubi jajeczek”.

- Ależ oczywiście, że lubisz - zwróciła się do niej wesoło Amber - a Phoebe zniosła je specjalnie dla ciebie.

Każde z dzieci miało swoje wybrane kury, które przebywały na małym wybiegu w ogrodzie, i karmiły je co rano.

Amber uważała, że to do brze, aby dzieci miały swoje małe obowiązki, chociaż tak naprawdę to ona każdego wieczoru wychodziła, żeby sprawdzić, czy kury są bezpieczne i zamknięte.

- Skoro pani już wróciła, wstawię czajnik na piec, dobrze? - zaproponowała kucharka.

- O tak, proszę. Umieram z pragnienia. - Amber podziękowała i wyszła z kuchni, żeby zdjąć wierzchnie ubranie.

Teraz wydawało jej się to dziwne jeździć do Londynu w wyjściowych ubraniach, zamiast wkładać prostsze i wygodniejsze stroje noszone na wsi, które w większym stopniu miały ją ogrzewać niż zdobić.

W sypialni na górze Amber przebrała się w stary bliźniak i tweedową spódnicę. Gdy była już gotowa, spojrzała na stojące na stoliku zdjęcie Roberta i Luca. Zostało ono zrobione latem i obaj fotografowani śmiali się. Przypomniała sobie, jaki Luc był niecierpliwy i nie mógł się doczekać, kiedy Amber skończy fotografować, żeby mogli wrócić do przerwanej gry w krykieta. To ich ostatnie wspólne zdjęcie. Zachowała je na pamiątkę z powodu emanującego z ich twarzy szczęścia.

Jak tylko dzieci znajdą się w łóżku, musi spakować swoją walizkę. Wyjedzie wcześniej rano, żeby złapać pierwszy pociąg do Londynu. Umówiła się z nowym zarządcą majątku, że zawiezie ją na stację. Był to bardzo miły i kompetentny człowiek, ale nie był oczywiście Jayem.

A on pisywał regularnie zarówno do babci Amber, jak i do swoich córek. A do Bunty? To przecież nie moja sprawa, czy koresponduje z tą młodą dziewczyną - upomniała się w myślach. Jay nic już dla niej nie znaczył.

- Szkoda, że musisz wyjechać. Amber przytuliła Rose i obiecała jej:

- Nie wyjeżdżam na długo. A kiedy wrócę, pobawimy się w szukanie wielkanocnego jaja, dobrze? Będzie wspaniała zabawa.

Rose skinęła głową, ale Amber wiedziała, że nie usatysfakcjonowało jej to. Przydałoby się obciąć małej włosy - pomyślała. Niania strzygła ją w taki sposób, że głowa Rose przypominała odwróconą do góry dnem miskę, co z pewnością nie podkreślało jej delikatnej urody.

- Jeżeli chcesz, możesz pójść ze mną i pomóc mi się spakować - zaproponowała Amber, chcąc ją jakoś rozweselić.

Malutka twarzyczka Rose natychmiast pokraśniała z radości i dziewczynka wzięła Amber za rękę.

Słuchając po drodze szczebiotu Rose i uśmiechając się pod nosem. Amber otworzyła drzwi do swojej sypialni i zamarała.

Greg stał przy jej łóżku, a na jego twarzy malowała się dzika furia. Szuflada nocnego stolika była otwarta.

W chwili gdy Rose ujrzała swojego ojca, przyłgnęła kurczowo do Amber.

- No dobra, gdzie one są? - zapytał rozwścieczony Greg. - Wiem, że dzisiaj rano byłeś w banku. Gdzie są pieniądze, Amber? Muszą gdzieś tu być.

Torebka! Amber włożyła ją do szafy, kiedy zdejmowała wierzchnie ubranie. Zrobiła to odruchowo, bez żadnego konkretnego powodu. Podejrzewała już od jakiegoś czasu, że Greg podbiera jej ukradkiem pieniądze z portfela, ale tym razem było inaczej. Przystojną niegdyś twarz Grega wykrzywił wściekły, brutalny grymas.

- Lepiej będzie, jeśli wrócisz do swojej sypialni - upomniała go de likatnie.

Greg puścił to mimo uszu i zamiast tego zażądał:

- Daj mi pieniądze, Amber. Potrzebuję pieniędzy.

Jego ciałem wstrząsnęła seria gwałtownych dreszczy. Amber myślała, że Greg zaraz się przewróci. Odruchowo chciała podbiec i pomóc mu, ale ku jej przerażeniu Greg chwycił oprawione zdjęcie Roberta z Lukiem i roztrzaskał je o krawędź łóżka. A potem podniósł kawałek szkła i trzymając go jak nóż, wycelował w jej stronę, nie zwracając uwagi na krew kapiącą mu z rozciętych palców.

- Daj mi te pieniądze, Amber. Dawaj je! - wrzasnął.

Rose zaczęła łkać z przerażenia, a serce Amber waliło jak szalone. Przypomniała sobie inną, podobną sytuację i ciemne, zakrwawione ostrze noża w ręce Lydii.

Może to było jej przeznaczenie. Może powinna rzucić się na Grega i dać się zabić, tak by znaleźć się wreszcie razem z Robertem i Lukiem. Na zawsze.

- Oddaj mi pieniądze! - Twarz Grega ociekała potem.

Rose płakała coraz głośniejsze. Greg obrócił się gwałtownie, złapał ją i ryknął:

- Zamknij się! Zamknij się albo uciszę cię na zawsze!

Te słowa wyrwały Amber z odrętwienia. Odciągnęła Rose od Grega, przycisnęła mocno do siebie, w obronnym geście zakrywając ją ramionami, a potem powiedziała:

- Pieniądze są w torebce w szafie.

Greg upuścił szkło i rzucił się do drzwi szafy. Otworzył je, chwycił torebkę, obrócił do góry dnem i zaczął potrząsać z niecierpliwością, aż wypadła z niej portmonetka. Wyciągnął z niej pięćdziesiąt funtów, które Amber wyplacono rano z banku, brudząc przy tym banknoty własną krwią.

Amber przypomniała sobie, że to jej kuzyn, a nie jakiś szaleniec otępiony narkotykami - kuzyn, którego kochała.

- Greg, proszę. Błagam cię, nie rób tego. Pozwól, żeby doktor Brookes ci pomógł. Wiem, że nie będzie ci łatwo, ale...

- Pomógł mi? - Greg zaśmiał się jak opętaniec. - Jediną rzeczą, która może mi pomóc, jest doktor Opium, a nie cholerny doktor Brookes.

- Greg, proszę.

Amber puściła Rose i stanęła w drzwiach, zagrządzając mu wyjście.

- Zejdź mi z drogi - zakrzyknął.

- Co tu się dzieje?

Babcia! Kiedy Amber odwróciła się, Greg wykorzystał chwilę jej nieuwagi, odepchnął ją i wybiegł z pokoju tak gwałtownie, że Amber uderzyła w drzwi.

- Muszę go powstrzymać - powiedziała do Blanche.

- Nie, puść go, Amber.

Greg stoczył się po schodach. Amber wiedziała, że pojedzie do Manchesteru, żeby spotkać się z człowiekiem, który zaopatruje go w narkotyki. Chciała pobiec za nim i błagać go, żeby został. Zaaapelować do jego zdrowego rozsądku.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe, które po chwili zatrzasnęły się z hukiem. Oczy piekły ją od łez.

Spojrzała w dół na Rose, która kucnęła przy niej i trzymała się jej kurczowo, trzęsąc się od stóp do głów.

Biedna mała dziewczynka. Musiała przeżywać horror, widząc swojego ojca w takim stanie i tak się go bojąc.

- Lepiej posprzątam potłuczone szkło - zwróciła się Amber do babci.

Ale najpierw zaprowadzę Rose na górę.

\*

\*\*

Część rozsypanego szkła powbijała się w dywan. Jeden z kawałków ska leczył Amber w palec, gdy go podniosła. Włożyła palec do ust i wysssał, maleńką ranę, podnosząc fotografię Roberta i Luca, którą wygładziła dcl, katnie drugą ręką. Gdyby tu był Jay, wiedziałby, jak uspokoić Grega. Ogar nęło ją uczucie ogromnej straty i rozpaczy, a po nich wezbrał w niej potężny gniew wymierzony w nią samą. Dlaczego była taka słaba? Nie powinna teraz myśleć o Jayu. Czy zapomniała już, że to właśnie o nim myślała, kiedy zginęli jej ukochani - mąż i syn?

Gdy Amber posprzątała rozbite szkło, poszła na górę do pokoju dziecięce go. Wszystkie dziewczynki były już w łóżkach i niania zacisnęła usta w ge scie dezaprobaty, kiedy Amber powiedziała jej, że chce zajrzeć do Rose.

Tak jak przypuszczała, Rose jeszcze nie spała. Usiadła przy niej na łóżku i wzięła ją za rękę.

- Szkoda, że wyjeżdżasz - powiedziała Rose.

- To nie potrwa długo - odparła Amber - a kiedy wrócę, poszukamy wielkanocnego jaja, pamiętasz?

Rose nie spuszczała z niej spojrzenia swoich ciemnych, skośnych oczu.

- A jeśli tatuś znów się rozgniewa, kiedy ciebie tu nie będzie?

Amber ścisnęła mocniej rękę Rose. Tak właśnie czuje się kobieta, kiedy pęka jej serce. Nie z powodu mężczyzny, lecz okrucieństwa, jakie czło wiek może sprawić bliźniemu, kiedy nie kocha go tak, jak powinien.

- Prababcia dopilnuje, żeby tak się nie stało - zapewniła ją Amber, mając nadzieję, że tak właśnie będzie.

- Dlaczego tatuś mnie nie kocha?

- Nie wiem, Rose. Chyba dlatego, że nie potrafi kochać nikogo, nawet siebie. Ale ja cię kocham. I to bardzo.

- Ja też cię kocham. Ellę i Jane też. I ich tatę. Szkoda, że on nie jest moim tatusiem.

Amber siedziała przy Rose tak długo, aż dziewczynka zamknęła oczy i zasnęła.

W dzieciństwie mogły się zdarzyć jeszcze gorsze rzeczy niż śmierć obojga rodziców. Jedną z nich był z pewnością brak matczynej lub ojcowskiej miłości.

## Rozdział 52

Mój Boże, mam nadzieję, że nie dotrzemy do Euston ze zbyt dużym opóźnieniem.

Amber uśmiechnęła się uprzejmie do młodej ładnej kobiety, która siedziała naprzeciw niej w wagonie kolejowym pierwszej klasy

- Nie powinniśmy, to raczej mało prawdopodobne - zapewniła ją.

- Jestem umówiona z narzeczoną. - Kobieta spłonęła się lekko, bawiąc się nerwowo pierścieniem z diamentami. - Prawdę mówiąc, pobieramy się na mocy specjalnego zezwolenia. Nigdy nic nie wiadomo, prawda? Mam na myśli przyszłość, zwłaszcza teraz, gdy szaleje wojna. Boję się nawet pomyśleć, co by było, gdyby on zginął i nie zaznalibyśmy tego szczęścia, które jest nam pisane. Wie pani, mój naręczony służy w marynarce wojennej i eskortuje statki handlowe pływające po Atlantyku.

W oczach kobiety zalśniły łzy.

- Byłam już zaręczona, zanim jeszcze poznałam Charliego. Dorastaliśmy razem, ja i Frank, a kiedy wybuchła wojna, oświadczył mi się. Prawdę mówiąc, nie byłam do końca przekonana, ale nie mogłam powiedzieć „nie”. Tym bardziej że Frank poszedł do wojska. A potem zginął. Wiem, że nie powinnam tak szybko wychodzić za Charliego i może to zostać odebrane jako brak szacunku dla zmarłego, ale wiem, że Frank by mnie zrozumiał i chciałby, żebym była szczęśliwa. Bo przecież o to chodzi w miłości, chcemy, żeby ta druga osoba była szczęśliwa, prawda?

- Oczywiście - zgodziła się bez wahania Amber.

Pociąg zaczął zwalniać i dziewczyna z niepokojem wyjrzała przez okno.

- Wszystko w porządku - uspokoiła ją Amber. - Po prostu wjeżdżamy do Euston.

Kochać kogoś to znaczy uszczęśliwiać go. Robert bez wątpienia zgodziłby się z tym - pomyślała Amber, wysiadając razem z tłumem pasażerów na peron.

Jeszcze nigdy nie widziała dworca tak pełnego ludzi - mężczyzn w mundurach, rodzin z dziećmi i samotnych kobiet, takich jak ona. Wszyscy wydawali się bardzo zajęci i przejęci wojną. Kiedy Amber opuściła dworzec, zdała sobie sprawę, że złapanie taksówki będzie graniczyć z cudem.

- Pierwszy raz widzę takie tłumy - mruknął jakiś pasażer za jej plecami. - Pewnie to dlatego, że mamy dzisiaj dzień wolny od pracy i wielu rekrutów dostało przepustki.

Amber pomyślała, że będzie musiała pójść do biura notariusza na nogach.

Ulice były niemal tak samo zatłoczone jak dworzec i kiedy dotarła w końcu na Leicester Square, zdumiała ją kolejka przed wejściem do kin. Na Shaftesbury Avenue nie było wcale lepiej - ludzie tłoczyli się przed teatrami i wartkim strumieniem płynęli ulicą. Dominowali wojskowi, którzy stali razem w grupkach lub osobno ze swoimi dziewczynami, ściskając je mocno za ręce.

- Przepraszam za spóźnienie - usprawiedliwiła się Amber przed panem Melrosem, gdy udało jej się wreszcie dotrzeć do jego biura. Po drodze musiała wymijać zarówno ludzi, jak i worki z piaskiem. Zdażyły już zzielenieć i popękały, a piasek wysypywał się na chodniki. - Miasto jest tak zakorkowane, że musiałam iść piechotą z Euston.

- W rzeczy samej. To straszne, prawda? Słyszałem dziś rano, że rząd wysłał specjalne pociągi z Blackpool, żeby przywieźć na Wielkanoc do miasta pracowników ministerstw, które zostały tam przeniesione.

Sekretarka, która odebrała od Amber płaszcz przy wejściu, weszła do gabinetu, niosąc tacę z herbatą. Amber poczekała, aż kobieta rozleje herbatę do filiżanek i wyjdzie, zamykając za sobą drzwi. Dopiero wtedy poprosiła pana Melrosa o dokumenty do podpisania.

- Obawiam się, że zaszły pewne nowe okoliczności - powiedział notariusz. - Niestety stało się to zbyt późno, by skontaktować się z panią i odwołać nasze dzisiejsze spotkanie.

- Jakie okoliczności?

- Po śmierci pani męża uruchomiłem standardową procedurę mającą na celu ustalenie, czy mógł mieć innego prawowitego spadkobiercę do tytułu książęcego.



Oczywiście, rozumiem.

Aż do tego tygodnia nikt taki się nie zgłosił. Jednak dosłownie przed kilkoma dniami otrzymałem informację, że stryjeczny dziadek pani męża, Drogo, lord Iverhulme, który został odesłany do Australii przez swojego ojca, może mieć wnuka, a ten - jeśli rzeczywiście istnieje - w naturalny sposób przejąłby schedę po pani zmarłym mężu.

- Wiedziałam, że Robert miał stryjecznego dziadka, który w niełasce opuścił Anglię i osiadł w Australii. Ale Robert zawsze powtarzał, że ten człowiek zmarł w młodym wieku i nigdy się nie ożenił.

- Tak, to prawda. Dlatego ta sprawa musi zostać bardzo wnikliwie rozpatrzona. Fakt, że jesteśmy w stanie wojny, oczywiście dodatkowo utrudnia całe postępowanie. Do momentu ustalenia stanu faktycznego nie wolno mi doprowadzić do sprzedaży żadnych dóbr należących do księcia w celu spłacenia podatku spadkowego.

Skontaktowałem się z Urzędem Skarbowym i uzgodniliśmy wspólnie, że zostawimy wszystko tak, jak jest, dopóki sytuacja nie zostanie dogłębnie wyjaśniona. Oczywiście fakt istnienia ewentualnego następcy nie ma żadnego wpływu na tę część majątku, która należy się pani i pani córce.

Notariusz chciał ją zapewne uspokoić, mówiąc, że spadek dla Emerald nie podlega żadnej dyskusji. Prawdę mówiąc jednak, Amber miała nadzieję, że jej córka nie odziedziczy zbyt wielkiego majątku... Wiedziała bowiem, że takie bogactwo może na nią sprowadzić mnóstwo kłopotów.

Kiedy dotarła w końcu do hotelu Ritz, była zmęczona, głodna i wycieńczona.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu hotel dosłownie pękał w szwach. Przed recepcją kłębił się tłum ludzi i nie było nigdzie widać nikogo znajomego z obsługi. Amber miała wrażenie, że wróciła do Londynu po dziesięciu latach, a nie po kilku miesiącach. Czy to miasto zawsze było takie zatłoczone i hałaśliwe, czy może raczej ona nabrała manier wiejskiej dziewczyny?

Wreszcie znalazła się na początku kolejki. Musiała podnosić głos, żeby przekrzyczeć grupkę mężczyzn w mundurach stojących tuż obok, którzy rozmawiali i śmiali się głośno. Jeden z żołnierzy musiał mieć wyjątkowo

wysokie mniemanie o sobie, gdyż odwrócił się do niej i obrzucił ją bez czelnym spojrzeniem.

Amber zignorowała go i podała swoje nazwisko udreżonej recepcjo nistce.

- Przykro mi - powiedziała dziewczyna, sprawdzając w zeszytcie - ale niestety nie mamy rezerwacji na to nazwisko. Poza tym nie wynajmujemy pokoi samotnym kobietom. Dostaliśmy polecenie, żeby w pierwszej kolejności kwatrować mundurowych.

Amber usłyszała za plecami zdenerwowane głosy ludzi czekających za nią w kolejce. Poczzerwieniała na twarzy nie tyle ze wstydu, ile z gniewu.

- W takim razie chciałabym się zobaczyć z dyrektorem hotelu - po wiedziała.

- Przykro mi, jest chory na ospę. Jeśli chce pani porozmawiać z jego zastępcą, musi pani zaczekać w kolejce ludzi, którzy chcą zrobić to samo.

- Nie ma już wolnych pokoi w hotelu, skarbie? Nic nie szkodzi. W moim pokoju jest mnóstwo miejsca i wspaniałe podwójne łóżko. Co ty na to?

To był ten sam oficer, który przyglądał jej się wcześniej tak lubieżnie. Teraz nachylał się w jej stronę. Co gorsza, był już pod wpływem alkoholu.

- Daj spokój, czemu tak na mnie patrzysz? Może być tylko jeden powód, dla którego samotna kobieta przychodzi do hotelu i udaje, że zarezerwowała pokój. Wszyscy to wiemy

- Przepraszam. - Głos Amber zadrżał z pogardy i obrzydzenia. Musiała precyzyjnie się obok żołnierza, który wcale nie miał ochoty jej

przepuścić. Wręcz przeciwnie, przysunął się jeszcze bliżej, ocierając się o nią swoim udem. Amber czuła wyraźnie jego erekcję. Żołądek podjechał jej do gardła i pomyślała, że zaraz wybuchnie. Łatwo było mówić tym wszystkim ludziom, którzy tłumaczyli, że żołnierz musi odreagować stres po powrocie z frontu. Ale czy musiało to oznaczać skandaliczne zachowanie? Nie był to przecież młody chłopak, lecz mężczyzna po trzydziestce. W dodatku oficer.

- Moja droga Amber.

Słyszając znajomy głos Emerald Cunard, Amber poczuła ulgę i odwróciła się na pięcie, niemal rzucając się przyjaciółce na szyję.

- Cóż za wspaniała niespodzianka! Jak się masz?

Nie najlepiej. I chyba będę musiała poszukać sobie jakiejś wolnej ławki w parku, na której przyjdzie mi spędzić noc - odparła rozzalona Amber, po czym wyjaśniła Emerald, że nie zarezerwowali jej pokoju w hotelu.

- Możesz przenocować u mnie. Mam cały apartament i wolną sypialnię. Chodź ze mną, zabiorę cię od razu na górę. Amber podziękowała z wdzięcznością i podążyła w ślad za swoją nieoczekiwaną wybawicielką.

...oczywiście wszyscy zapadli się pod ziemię i rzadko już widuje się znajomych. Tęsknię za moim cudownym domem, Amber. Pewnie tak samo jak ty tęsknisz za biednym Robertem.

Amber i Emerald siedziały w barze koktajlowym, do którego udały się przed kolacją. Amber mało się nie zakrztusiła, słysząc, jak Emerald porównuje jej tragicznie zmarłego męża do swojego domu przy Grosvenor Square. Robertowi z pewnością przypadłby do gustu ten komentarz. Zawsze miał ironiczne poczucie humoru.

- Margot Oxford uczepiła się kurczowo swojego domu przy Bedlord Square. Loelia Westminster też jest na miejscu. Podobnie jak Chips Channon.

Kiedy Emerald wymieniała jednym tchem nazwiska swoich znajomych, którzy zostali w Londynie bądź opuścili miasto, Amber myślała tylko o powrocie do Macclesfield. Wśród londyńskiej śmietanki dało się zauważyć wyraźną oschłość, jakby wszystkim nagle przestało zależeć na innych. A może zawsze tak było, lecz ona nigdy wcześniej tego nie zauważyła?

Amber miała rezerwację na bilet powrotny dopiero na sobotę. Wiedziała więc, że nie ma innego wyjścia, jak tylko spędzić piątek w Londynie, przytakując i słuchając paplaniny Emerald Cunard.

Dziś rano przynajmniej nie ma takich tłumów - pocieszała się Amber, idąc w stronę katedry św. Pawła. Nie wiedziała, po co właściwie zmierza w tamtą stronę, poza tym, że był Wielki Piątek. Emerald zapowiedziała już, że w niedzielę wielkanocną wybierze się na mszę do Brompton

Oratory, jednego z najmodniejszych kościołów w Londynie. Ale wtech Amber będzie już z powrotem w Macclesfield.

Oczywiście było jeszcze za wcześnie na nabożeństwo wielkopiątkowe ale katedra była już otwarta i Amber zdała sobie sprawę, że nie jest jedyną osobą, którą coś zawiodło do środka świątyni.

Zawsze stanowiło to dla niej zagadkę, dlaczego tak słynny na całym świecie budynek emanuje takim niesamowitym spokojem i pokorą. Wy dawało jej się to sprzeczne z logiką, ale być może na tym właśnie polegała prawdziwa magia wyjątkowego projektu Christophera Wrena. Bez względu na to, o czym myślał architekt, projektując słynną katedrę, udało mu się dotknąć ludzkiej duszy Amber pomyślała o tym, klękając, żeby się po modlić - na początku za dusze Roberta i Luca, ale później - sama nie wiedziała, dlaczego - również za Jaya, a także za mężczyzn i kobiety, którzy musieli ryzykować życie w walce o wolność.

## Rozdział 53

### **Maj 1940 roku**

Amber i Blanche w pełnej napięcia ciszy słuchały południowego wydania wiadomości radia BBC, poświęconego w głównej mierze blitzkriegowi Hitlera w Niderlandach.

- Kiedy Hitler zajmie Holandię, zwróci się w stronę Francji - powiedziała Blanche grobowym głosem.

- RAF już bombarduje Niemcy Brytyjski Korpus Ekspedycyjny oraz nasi francuscy sprzymierzeńcy na pewno odeprą niemiecką ofensywę. Francuzi pokładają duże nadzieje w Linii Maginota - przypomniała jej Amber.

Znajdowały się w niewielkim salonie. Ponieważ nastał maj, nie było już potrzeby przesiadywania w kuchni i grzania się przy piecu.

- Greg nie wrócił do domu na noc. - Amber zmieniła temat. - Sprawdziłam rano jego pokój i łóżko nie zostało nawet zasłane.

- Nie chcę o nim rozmawiać, Amber. Wiesz, co czuję i myślę o twoim kuzynie.

Amber westchnęła cicho pod nosem. Babcia już całkowicie odwróciła się od Grega. Czasem ich wzajemna wrogość była tak silna, że Amber miała wrażenie, iż przez środek ich domu przebiega linia frontu.

- Dzisiaj po południu mam spotkanie KSO i...

Blanche zamilkła, kiedy rozległo się krótkie pukanie do drzwi. Do salonu wszedł kamerdyner, który zwrócił się do Amber:

- Doktor Brookes prosi o widzenie z waszą księżącą mością.

- A czegoż doktor Brookes może chcieć od Amber? Przyprowadź go, Wilsonie, i poproś w kuchni, żeby przyniesiono nam herbatę.

\*

- Witam, doktorze Brookes - zwróciła się Amber do lekarza z uśmiechem, który zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła zatroskany wyraz jego twarzy.

- Obawiam się, że przynoszę złe wieści.

- Jakież to wieści? - spytała oschle Blanche.

- Chodzi o Gregory ego.

Amber poczuła, że jej babcia zeszywniała, chociaż jej twarz pozostała niewzruszona, kiedy odwróciła się od lekarza.

- Co się stało, doktorze? - zapytała Amber z niepokojem w głosie.

- Niestety Gregory nie żyje. Utonął. Utonął? Amber przyłożyła rękę do gardła.

- Lady Fitton Legh wezwała mnie dziś rano, żebym zbadał lorda de Vries, i kiedy tam byłem, jeden z robotników zatrudnionych w posiadłości poinformował mnie, że znalazł ciało w jeziorze.

- W jeziorze? Przecież Greg nie zbliżał się do niego, po tym jak Caro line... - Amber umilkła, zdając sobie sprawę, że w szoku zapomniała się i powinna zachować dyskrecję. Nie mogła uwierzyć, że Greg stracił życie dokładnie w ten sam sposób co Caroline.

- Ubiegłej nocy Greg pił w miasteczku. Podobno wdał się w jakąś awanturę w pubie i został z niego wyproszony. Mogę jedynie przypuszczać, że postanowił wrócić do domu piechotą, pomylił drogę i wpadł do jeziora.

- Wrócić do domu piechotą? Przecież Fitton Hall znajduje się w przeciwnym kierunku. - Amber potrząsnęła głową.

- Bardzo mi przykro - odparł doktor Brookes. - Oczywiście zidentyfikowałem ciało i wezwałem policję.

Powiedziałbym paniom o tym wczesniej, ale stan zdrowia lorda de Vries pogorszył się nagle, kiedy wnuczka przekazała mu tę straszną wiadomość... Pani Pickford, czy dobrze się pani czuje?

Słyszając niepokój w głosie doktora, Amber odwróciła się i spojrzała na babcie. Twarz Blanche była blada jak kreda, wyprana ze wszystkich kolorów. Gdy Amber i doktor Brookes podeszli do niej, babcia podniosła rękę jakby chciała się od nich opędzić, po czym osunęła się na podłogę.

\*

\*\*

Amber stała w bibliotece i wyglądała przez okno na podjazd. Nie myślała o niczym innym, tylko o tym, że chciałaby bardzo, aby Jay był tu w tej chwili.

Śmierć Grega była dla niej szokiem, podobnie jak odkrycie, że jej babcia miała słabe serce i od wielu lat ukrywała przed nią ten fakt.

- Wiadomość o śmierci wnuka przelała czarę goryczy. To było dla niej zbyt wiele - powiedział doktor Brookes, kiedy położyli Blanche do łóżka, i podał jej środek uspokajający, by choć trochę jej ulżyć. - Dlatego poprosiłem o spotkanie z tobą.

- Babcia nalegała, żeby pana sprowadzić, tak aby mógł pan spotkać się z nami obiema - odpowiedziała Amber. - Czy babcia wyzdrowieje?

Zaskoczyło ją, jak bardzo zależało jej na tym, żeby babcia przeżyła, i jak bardzo myśl o jej śmierci napawała ją przerażeniem.

- Myślę, że tak. To tylko niegroźny atak. Powiedzmy, ostrzeżenie. Ale babcia musi zmienić swoje nastawienie do życia i podchodzić do niego z mniejszym zaangażowaniem. Powtarzałem jej to już wcześniej. Mówiłem też, że powinna ci powiedzieć o stanie swojego zdrowia, ale kategorycznie odmawiała.

- W końcu to moja babcia - odparła Amber.

- Jesteś bardzo dzielną młodą damą - powiedział delikatnie doktor Brookes - i wiem, że sama wiele przeszłaś. Wiele kobiet będzie musiało przejść przez to samo co ja, zanim ta wojna się skończy - zauważyła smutno Amber. Jay, Jay. Ależ była słaba. Jak mogła pragnąć, żeby Jay zdjął jej z barków to brzemie, które należało do niej, nie do niego.

Trzeba zorganizować pogrzeb Grega. Przypilnować, żeby babcia bardziej o siebie dbała. Zająć się posiadłością i fabryką. A do tego jeszcze ta wojna, która spędzała wszystkim sen z powiek niczym wisząca na niebie burzowa chmura.

Biedny Greg. Czy znalazł wreszcie ukojenie? Czy wiedział? Celowo poszedł w tamtą stronę? Czy on...? Nie, nie wolno jej nawet myśleć o tym, że osamotniony Greg celowo postanowił skończyć ze sobą w tym .amym miejscu, w którym zginęła Caroline. Lepiej uznać, że to był wypadek. Że - jak sugerował doktor Brookes - Greg pomylił drogę do domu

pod wpływem alkoholu i narkotyków. Pomylił drogę. Te słowa w jakiś przejmujący sposób brzmiały w jej uszach. Całe dorosłe życie Grega by In w pewnym stopniu skutkiem zejścia z właściwej drogi. Łzy napłynęły jej do oczu i potoczyły się po policzkach. Nie opłakiwała mężczyzny, którym stał się jej kuzyn, lecz tego, którym mógł być Kuzyna, który był jej przyjacielem.



Rozdział 54

**27 maja 1940 roku**

Minał już prawie miesiąc, od kiedy z jeziora wyłowiono martwe ciało Grega, i niecałe trzy tygodnie od jego pogrzebu.

Amber rozplakała się, kiedy dowiedziała się z jego testamentu, że zostawił jej pod opiekę Rose. Płakała też czasem w nocy z powodu kuzyna, którego straciła. Jakoś łatwiej było jej opłakiwać Grega niż Roberta i Luca. Uraz została całkiem sama - z czwórką małych dzieci, nie w pełni zdrową babcią, domem i fabryką.

Tom Mosley został aresztowany - razem z trzydziestoma trzema innymi faszystami - i osadzony w więzieniu w Brixton. Amber pomyślała o Dianie. Wydawało jej się, że upłynęła wieczność, odkąd ćwiczyła przed Robertem dyganie, a potem została przez niego zabrana do hotelu Ritz, gdzie poznała piękną arystokratkę. To był nie tylko zupełnie inny czas, ale także inne życie. Co powiedziałyby tej dziewczynie, gdyby ją teraz spotkała? Jakie rady by jej dała i jakie przestrogi?

Amber przystanąła na chwilę, odwróciła się i popatrzyła na promienie słoneczne prześwitujące przez niedawno rozwinięte liście buków rosnących po obu stronach podjazdu. Czekala na Brunona, który wywachał coś w wiosennej trawie.

W sobotę otrzymała list z ministerstwa informujący, że zaprojektowane przez Roberta książęce bramy w Osterby, z których był taki dumny, razem z ogrodzeniem ich domu w Londynie zostają zarekwirowane przez rząd w celu przetopienia ich na nowe czołgi. Robert uwielbiał te bramy Robert... Czasem Amber miała wrażenie, że Robert i Luc oddalają się od niej. Ich obrazy wciąż tkwiły w jej głowie, ale stawały się jakby rozmazane i przysłonięte przez inne zdarzenia, w których nie brali udziału.

Wojna niosła ze sobą tyle zmian.

Wczoraj w kościele Amber zauważyła, że kilkoro ludzi miało na ramionach czarne opaski symbolizujące utratę kogoś bliskiego. Niemieckie łodzie podwodne zbierały na morzu krwawe żniwo. Gazety przynosiły co raz więcej niepokojących wieści z Francji zaatakowanej niedawno przez Hitlera. Wiele z tych doniesień było zupełnie sprzecznych, tak więc trud no było ocenić, co jest, a co nie jest prawdą. Szkoda, że nie ma tu Jaya.

Amber odwróciła się na pięcie i odeszła tak szybko, jak tylko potrafiła, rozpędzając niewygodne myśli. Bruno, zmuszony porzucić intrygujący za pach królika, pobiegł za nią.

Dzisiaj po południu też wybierali się do kościoła, gdyż dzień ten został ogłoszony Narodowym Dniem Modlitwy za Armię Brytyjską we Francji. Amber zmówiła już własną modlitwę, tak jak robiła to codziennie od wyjazdu Jaya. Z kolei jej wieczorna modlitwa była zarezerwowana dla Roberta i Luca, a teraz także dla Grega.

- Oczywiście trzeba będzie ewakuować wojsko, jeżeli chcemy jeszcze uratować, kogo się da z Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego teraz, kiedy Niemcy zajęli Calais.

W szorstkim głosie babci słychać było zniecierpliwienie. Amber po dejrzała jednak, że wynika ono z obaw, które udzielały się wszystkim. Strachu o to, że nie uda się sprowadzić żołnierzy do domu z Francji z powodu szybkości, z jaką postępowała niemiecka ofensywa.

Amber próbowała przekonać babcię, żeby została w domu, kiedy ona zabierze dzieci do kościoła. Lekarz zalecił Blanche odpoczynek, chociaż nie chciała korzystać z wózka inwalidzkiego, który doktor Brookes załatwił jej w sobie tylko znany sposób. Amber nie była jednak specjalnie za skoczona, kiedy babcia odmówiła i uparła się, ona że też chce się pomodlić z innymi za brytyjskich żołnierzy we Francji.

Amber musiała więc obrócić dwa razy swoim małym austinem, żeby przewieźć wszystkich do kościoła, który znajdował się w pobliskiej wiosce. Dziewczynki, podobnie jak i dorośli, miały ze sobą maski przeciwwgryzowe.

Amber wpadła na pomysł, żeby ozdobić pudełka kawałkami kolo rowego materiału, tak by wyglądały one mniej przerażająco. Maski Rose

otrzymała więc dekorację z różowego jedwabiu, a Emerald - naturalnie -ze szmaragdowego. Pudełka z maskami dla córek Jaya były z kolei jasno-żółte i błękitne. Maski babci, być może nieco przekornie, została zapakowana w pudełko z jedwabiu w kolorze gołębi, natomiast własna Amber z ciemnożółtego, który udało się jej znaleźć jakimś cudem. Te żywe, wesołe kolory wydawały się dzisiaj nie na miejscu, biorąc pod uwagę to, co działo się we Francji.

- Pomodlę się dzisiaj specjalnie za tatusia Elli i Jane - powiedziała uroczyście Rose.

Była taką kochaną małą dziewczynką. Od momentu, w którym Blanche przekonała doktora Brookesa, by pozwolił jej wstać z łóżka, Rose bez słowa i z własnej inicjatywy robiła co mogła, żeby tylko pomóc swojej prababci, przynosząc i odnosząc jej różne rzeczy

- Ciekaw jestem, kto wykarmi tych wszystkich uchodźców, którzy zalewają Wyspy Brytyjskie - zrzędził stary farmer. - Już wystarczająco ciężko jest nam wyżywić siebie.

Rzeczywiście uchodźcy z Niderlandów, a także Polski i Czechosłowacji napływali do Anglii wartkim strumieniem. W miejscach, gdzie było ich szczególnie dużo, oficerowie zajmujący się kwaterunkiem chodzili od domu do domu, szukając dla nich wolnych pokoi.

Amber przejęła obowiązki babci w Kobiecej Służbie Ochotniczej i brała udział w nadzwyczajnych spotkaniach komitetu, podczas których zastanawiano się, w jaki sposób lokalna społeczność może jeszcze pomóc swojemu krajowi.

Zmówiono oficjalne modlitwy i Amber odwiozła już nianię i dziewczynki, a potem babcię, kucharkę i Wilsona do Denham.

Teraz poczuła przemożną chęć wyjścia znów z domu, bez niczyjego towarzystwa. Zostawiła samochód, by oszczędzić drogocenne paliwo, i wsiadła na rower - w takich sytuacjach nawet wierny Bruno nie domagał się, żeby zabrała go ze sobą.

Była piękna, ciepła i słoneczna pogoda, taka, która normalnie sprawia, że człowiek ma ochotę wystawić twarz do słońca i cieszyć się życiem. Ale jak długo Anglia będzie mogła się cieszyć taką pogodą? Czy uda im się wytrzymać napór potężnej maszyny wojennej Hitlera?

Nie pozostało nic innego, jak tylko modlić się w intencji dzielnych chłopców we Francji i prosić Boga, żeby miał ich w swojej opiece.

Oczami wyobraźni Amber zobaczyła Jaya i wielu innych jemu podobnych. Boże, zachowaj ich w zdrowiu.

Dziewczynki były już w łóżkach. Udało się też nakłonić babcię, żeby po szła do swojej sypialni. Reszta dorosłych siedziała w pełnym niepokoju milczeniu, słuchając wiadomości o dziewiątej, z których wprawdzie nic dowiedzieli się nic konkretnego, ale - byli co do tego zgodni - mieli wrażenie, że celowo nie mówi się im o czymś złowrogim, co czeka ich w nic dalekiej przyszłości.

Amber pozmywała naczynia po kolacji i nakryła stół na jutrzejsze śniadanie, a potem wyprowadziła Brunona na ostatni spacer. Mimo iż była już prawie jedenasta, w ogóle nie czuła się śpiąca.

Weszła do biblioteki, zastanawiając się przy tym, jakie postępy poczynił pan Melrose w poszukiwaniu ewentualnego spadkobiercy tytułu księcia żęcego jej męża. Może była zbyt sentymentalna, ale miała nadzieję, że tak właśnie się stanie. Choć Robert za wszelką cenę starał się to ukryć, był niezwykle dumny ze swoich korzeni i historii swojego dziedzictwa. Wy starczyło, że przypomniała sobie, z jaką radością przekazywał tę wiedzę Lucowi, który miał pójść w jego ślady.

Amber przeglądała regały z książkami, szukając czegoś, co mogłaby wziąć do łóżka i co mogłoby pomóc jej zasnąć.

W pewnym momencie jej wzrok zatrzymał się na egzemplarzu *Juliusza Cezara* Williama Szekspira.

Palce zdrząły jej lekko, kiedy wyjęła książkę i odłożyła ją na biurko. Słabe światło żarówki elektrycznej wydobyło złote litery wytłoczone na podniszczonej skórze.

Wiele książek w bibliotece należało do poprzedniego właściciela. Tak również.

Na stronie tytułowej widniał podpis: „Charles Vaughan Percy, III hrabia Sarisfield”.

Kim był ten człowiek i jak się tu znalazły jego książki? Pewnie też je odziedziczył. W trakcie swojego małżeństwa z Robertem Amber wiele razy miała okazję przekonać się, że arystokraci mieli skłonność do

gromadzenia dóbr swoich przodków i przekazywania ich kolejnym pokoleniom.

Szybko znalazła interesujący ją ustęp. Inne serca i umysły pewnie odczuwały to samo pragnienie, ponieważ książka praktycznie otworzyła się na właściwej stronie:

*Istnieją nurty wszelkich spraw człowieczych,*

*Które w przyływie wiodą ku fortunie,*

*Lecz pominięte, skazują na podróż*

*Aż po kres życia smutny na mieliźnie.*

*Skoro jesteśmy już na morzu, trzeba*

*Ów sprzyjający prąd przyjąć lub stracić Cały ładunek\*.*

Amber przeczytała te słowa, najpierw po cichu, a potem na głos - celowo i z determinacją. Poczwała, jak jej serce wypełnia się ich mocą i jej miłością. Była gotowa okazać tę siłę i miłość mężczyznom, którzy tak bardzo lego teraz potrzebowali.

Przez głowę przelatywały jej kolorowe obrazy - rodziców, Roberta, Luca. Miała wrażenie, że czuje wokół siebie ich obecność. Jak gdyby stała na brzegu morza, a oni obok, zachęcając ją, by zrobiła krok naprzód.

Krok w stronę Jaya? W trudny do wytłumaczenia sposób, choć sprawiający jej wielką radość - o tak, wyjątkowo wielką radość! - Amber uświadomiła sobie, że dług, który miała wobec Roberta i Luca, a który przygniatał ją swoim ciężarem, nagle zniknął z jej barków. Po twarzy potoczyły jej się łzy. Tym razem nie były to jednak piekące, oślepiające łzy goryczy, rozpacz i wyrzutów sumienia, ale słodkie, lecznicze łzy świadomości, zrozumienia i miłości. Otarła je z policzków, a potem zamknęła książkę i odłożyła z powrotem na półkę. Kiedy to zrobiła, zegar dziadka na schodach wybił północ. Amber była zaskoczona. Wydawało jej się, że zeszła do biblioteki zaledwie kilka minut temu. Tymczasem minęła prawie godzina.

\*Przełożył: Maciej Słomczyński.

„Przyptyw i odpływ...”. Amber uświadomiła sobie, że jej przyptyw właśnie nadszedł.

A więc to prawda. W końcu, po wielu pełnych napięcia godzinach i dniach, które obfitowały w plotki i spekulacje, strach i nadzieję, ogłoszono oficjalnie, że rozpoczęła się ewakuacja żołnierzy Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego z plaży Dunkierki. Tego dnia Brytyjczycy modlili się w kościołach w intencji szczęśliwego i bezpiecznego powrotu swoich wojsk.

Amber i Blanche nie przestawały czytać w kółko tych samych doniesień prasowych. Wszyscy domownicy zgromadzili się wokół stołu w kuchni. Łzy same płynęły z oczu, słysząc było stłumione oddechy ulgi, kiedy Amber czytała na głos to, co było napisane w gazetach.

- To jeszcze nie koniec wojny. Poza tym nie wolno nam zapominać, że nasze wojska wracają w roli pokonanych, a nie zwycięzców - skomentowała oschle Blanche.

- Babciu, w terminologii wojskowej jest to być może porażka - zareagowała emocjonalnie Amber - ale w kategoriach czysto ludzkich, w których liczy się wola przetrwania i wszelkie dążenia do tego celu, jest to wielkie zwycięstwo.

- Tutaj jest napisane, że dobra pogoda i spokojne morze sprzyjają ewakuacji naszych chłopców do domu - powiedziała kucharka, po czym do dała równie emocjonalnie: - To tak, jakby sam Bóg sprawił, że wzburzone wody kanału La Manche rozstąpiły się przed nimi.

Kiedy opadły emocje i minęła początkowa euforia, Amber z drżącym sercem zdała sobie sprawę, że na pewno nie wszystkim brytyjskim żołnierzom uda się bezpiecznie dotrzeć do domu. Chwilę później po czuła niepokój i strach, że wśród tych, którzy zostali we Francji, może być także Jay

Minęło kilka dni - jeden, potem drugi, a później jeszcze dwa - aż w końcu nastąpił piąty czerwiec. W tym czasie wiele się zdarzyło, a jednocześnie nie było żadnych konkretnych wieści dotyczących ewakuacji, na których tak bardzo zależało Amber. W gazetach i radiu powtarzano jedynie te same entuzjastyczne ogólniki, że udało się wydostać naszych żołnierzy z paszczy lwa.

Coraz więcej małych łodzi i statków odpowiadało na wezwania i do taczało do całej floty różnych jednostek pływających, które odbywały rejs na drugi brzeg kanału i przywoziły do kraju żołnierzy. Nad ich głowami myśliwce RAF-u toczyły zaciekle boje z samolotami niemieckiej Luftwaffe, żeby zapobiec zrzucaaniu przez nie bomb na bezbronnych ludzi czekających cierpliwie na ewakuację bądź zmierzających już do domu na pokładach łodzi i statków.

Każdy, z kim rozmawiała Amber, miał w zanadru jakąś opowieść z drugiej ręki - na temat wspaniałej odwagi i męstwa brytyjskich żołnierzy. Nie brakowało jednak i takich, którzy koncentrowali się na straszliwych tragediach i bolesnych stratach.

- ...A pani Lewis pracująca na poczcie opowiadała, że jeszcze nigdy nie dostawali tylu kartek pocztowych od żołnierzy, którzy pragnęli zawiadomić swoje rodziny, iż są cali i bezpieczni. Podobno dziewczyny z Kobiecej Służby Ochotniczej odbierają od nich te kartki, kiedy żołnierze schodzą ze statków. Tak słyszałam. Vera Dawson otrzymała informację, że jej wnuk jest bezpieczny. W drodze do Macclesfield jest leż wielu innych chłopaków, na których ich rodziny często postawiły niź krzyżyk.

Amber starała się być dobrej myśli i zachować spokój, kiedy kucharka wymieniała nazwiska tych wszystkich, którzy dowiedzieli się, że ich bliscy są bezpieczni.

Od ogłoszenia ewakuacji z Dunkierki upłynęły już cztery dni. Wciąż nic było żadnych informacji o losie Jaya.

- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Przez wzgląd na niego, ale lakże na jego dwie córki - powiedział Maurice, kiedy Amber przyjechała rano do fabryki, aby omówić rządowy nakaz zwiększenia produkcji spadochronów, przy jednoczesnym zmniejszeniu częstotliwości dostaw surowca, czyli jedwabiu.

- Z czego, ich zdaniem, mamy produkować te cholerne spadochrony? denerwował się Maurice. - Z powietrza?

- Musimy porozmawiać z Ministerstwem Zaopatrzenia - odparła Amber. - Pojadę tam po południu i zobaczę, co mają do powiedzenia na ten temat.

Mieli do powiedzenia tylko tyle, że robią, co w ich mocy, by zapewni, płynność dostaw jedwabiu i szukają nowych źródeł zaopatrzenia, co oczywiście nie zmieniało sytuacji.

- Nie możemy przejść na dwudziestoczęterogodzinny tryb pracy, Ink jak nam polecono, jeżeli nie będziemy mieć surowca - wytknęła im Amber. - W tym momencie wystarczy nam jedwabiu na dwa miesiące, jeśli będziemy pracować na dwie zmiany, tak jak dotychczas, lub na miesiąc, jeśli przez całą dobę.

Urzędnik był wyrozumiały, ale jednocześnie nieugięty. Nie miał jej do powiedzenia nic więcej ponad to, co usłyszała wcześniej.

Po wyjściu z ministerstwa Amber wsiadła na rower i pojechała na dworzec kolejowy, żeby pomóc innym ochotniczkom, które częstowały herbatą ocalałych żołnierzy Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego wracających z przepustki na front.

Widziała tylu zmęczonych żołnierzy wyglądających na przegranych. Niektórzy z nich nie byli wcale tacy młodzi.

Wśród nich nie było jednak Jaya.

Po powrocie do Denham przysłuchiwała się znowu opowieściom ku charki o tym, że coraz więcej ludzi otrzymuje dobre wieści o losie swoich krewnych walczących na froncie, i czuła, jak jej serce z każdym dniem na pełnia się coraz większą trwogą o Jaya, który wciąż nie dawał znaku życia.

Później miała jeszcze pojechać na farmę, żeby porozmawiać z agentem

o jego prośbie, z którą chciał się zwrócić do Ministerstwa Rolnictwa. Potrzebował pomocy - w dowolnej formie: ziemi, pracownic lub internowanych; wspominał jej o tym już wcześniej.

Mając tyle na głowie, Amber nie powinna zamartwiać się jeszcze dodatkowo o Jaya. Ale oczywiście cały czas o nim myślała. I nie była w tym odosobniona.

Była piękna pogoda i dziewczynki piły herbatę na dworze, gdzie urządziły sobie coś w rodzaju pikniku. Amber siedziała razem z nimi i obserwowała, jak Ella bawi się kanapkami, zamiast je jeść. Na jej zazwyczaj radosnej i promiennej, a dzisiaj bladej twarzy widać było wielką troskę.

- Co się stało? - spytała Amber łagodnym tonem.



Boli mnie brzusek - odparła Ella ze łzami w oczach. - Boli mnie zawsze wtedy, kiedy myślę o tatusiu. - Jej usteczka zdrząły, a do oczu napłynęło jeszcze więcej łez.

Amber przytuliła ją bez słowa. Jak mogła jej powiedzieć, że ją także „boli brzusek” - i serce - kiedy myśli o Jayu?

- Nie martw się, kochanie - odparła. - Tatus wróci cały i zdrowy.

- Obiecujesz? - spytała Ella. Amber poczuła ukłucie w sercu.

- Obiecuje - szepnęła, nie znajdując żadnych innych słów.

Wydawało mi się, że miałaś pojechać na farmę dziś wieczorem. Amber podała babci filiżankę z herbatą.

- Tak, to prawda. Ale pomyślałam, że najpierw posłucham wiadomości o dziewiątej.

Babcia nie chciała się do tego przyznać, ale Amber widziała wyraźnie, że wygląda na osłabioną i postarzała się w oczach. Śmierć Grega była dla niej olbrzymim ciosem, tym większym - jak przypuszczała Amber - ze względu na jej bardzo złe stosunki z wnukiem.

Komentarz do serwisu informacyjnego BBC wygłaszał nowy lektor, powieściopisarz J.B. Priestley Jego twarde głos z północnym akcentem, płynący w eter do tych wszystkich, którzy słuchali o żołnierzach ewakuowanych z Dunkierki na pokładzie - jak to ujął Priestley - „malutkich stateczków wycieczkowych”, napełnił serce Amber falą emocji.

„Te małe stateczki - mówił do słuchaczy Priestley - opuściły bezpieczny, niewinny świat i wpłynęły prosto do piekła, aby ratować naszych żołnierzy. Niektóre z nich nigdy już nie wrócą. Wszystkie, tak jak mała «Gracie Fields» i jej dzielne poobijane siostry, zostaną na zawsze w naszej pamięci”.

- Cóż za sentymentalne brednie - zachnęła się Blanche, lecz Amber zobaczyła, że jej stalowoszare oczy błyszczą od łez, i wiedziała, iż babcia jest tak samo poruszona słowami lektora jak ona.

Było już dobrze po dziesiątej, kiedy Amber wróciła z farmy do domu. Postanowiła, że pójdzie, a nie pojedzie rowerem, wieczór był bowiem piękny i ciepły.

Kiedy zbliżyła się do drzwi kuchennych, Bruno, który cały czas biegł przy jej nodze, nagle cały zeszywniał, spuścił pysk nisko do ziemi, zaczął węszyć, po czym wyjąc z radości, pognął wprost do domu.

Serce Amber zaczęło bić mocno i zdecydowanie za szybko. Wkrótce i ona biegła, ile sił w nogach, nie chcąc robić sobie niepotrzebnej nadziei, a jednocześnie nie przestając o niej myśleć. Zobaczyła go pierwsza. Kucał na podłodze i głaskał prawą ręką szczęśliwego Brunona za uszami. Jego lewa ręka, razem z dłonią, była cała w bandażach.

Jay.

Radość wybuchła w niej z siłą pokazu sztucznych ogni, napędzając ją lekkością i szczęściem. Przez krótką chwilę Amber stała bez ruchu, napa wając się jego widokiem i tym, że jest bezpieczny. Bez wątplenia była to najczystsza i najprawdziwsza radość, jaką знаła.

Postąpiła krok naprzód. Imię Jaya cisnęło jej się już na usta, a w sercu czuła wielką radość, kiedy raptem otworzyły się drzwi z korytarza i do kuchni wpadła jak burza Bunty, wołając do Jaya:

- Rany, ale to miejsce jest wielkie! Już myślałam, że się zgubię. Och, tak się cieszę, że wróciłeś szczęśliwie!

Bunty tutaj? Z Jayem!

Amber weszła do kuchni sztywna, jakby połknęła kij.

- Och... - W głosie Bunty była mieszanina pewności siebie i rozczarowania.

Widać to było tym wyraźniej, że Bunty natychmiast podeszła do Jaya i stanęła władczo u jego boku.

- Zanim przybiegł Bruno, myślałem, że wszyscy jesteście już w łózkach.

Jay puścił psa, wstał i spojrzał na Amber, która weszła do kuchni.

- Inni już śpią - przytaknęła. - Ja musiałam odwiedzić farmę.

Jej głos brzmiał sztywno i sztucznie. Słysząc było, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę, by ukryć przed nimi swoje prawdziwe uczucia. Niełatwo jest w ciągu zaledwie kilku sekund przejść daleką drogę od niebianckiego szczęścia do nieznośnej zazdrości. Zwłaszcza kiedy Amber pomyślała sobie, jakiego upokorzenia doznałaby, gdyby podbiegła do Jaya i na oczach Bunty rzuciła mu się na szyję.

- Dziewczynki ucieszą się z twojego powrotu. Martwiły się o ciebie, szczególnie Ella.

Amber usłyszała oskarżenie w swoim głosie.

- Byliśmy jednymi z ostatnich, których ewakuowano z plaży. Ale wypełniłem kartkę, którą wręczały nam dziewczyny z Kobiecej Służby Ochotniczej.

Amber tylko skinęła głową, bojąc się odezwać. Była już prawie jedenasta. Na dworze panowała jeszcze szarówka, ale wkrótce się ściemni. Tymczasem nie zanosilo się na to, że Bunty musi wracać na swoją kwaterę. Czy to znaczyło, że zamierza spędzić tę noc z Jayem? W jego ramionach? W jego łóżku?

Amber przeszył tak nagły i druzgocący ból, że z trudem mogła oddychać.

- Lepiej pójde na górę i przygotuję ci łóżko - powiedziała nieco opryskliwie, nie mogąc spojrzeć mu w oczy

Poczuła na swoich barkach niewysłowny ciężar pragnienia Bunty, która w końcu, bardzo niechętnie, odezwała się:

- Najwyższy czas na mnie. I tak mi się już oberwie. Mamy meldować się o dziesiątej.

- Powiedz pani Jenkins, że to moja wina. Jutro się tam zjawię i sam ją przeproszę - uśmiechnął się Jay.

- Dobranoc, wasza księżęca mość. - Bunty pożegnała się grzecznie z Amber, po czym wyszła z kuchni, oczywiście w towarzystwie Jaya.

- Dobranoc - odparła przelotnie Amber.

Skłamała, mówiąc, że musi przygotować łóżko dla Jaya. Czekalo już zaścielone, od kiedy dowiedzieli się, że Brytyjski Korpus Ekspedycyjny ma być ewakuowany z Francji. Ale to doskonały pretekst, aby upewnić się że Jay i Bunty nie wymkną się dyskretnie na górę, czyż nie? - Amber uśmiechnęła się pod nosem. A więc do tego doszło? Stała się egoistyczną, złą kobietą, którą zawładnęła zazdrość?

Nie czekała, żeby się przekonać, ile czasu zajmie Jayowi pożegnanie z Bunty. Nie mogła się na to zdobyć.

Jay i Bunty. Nie powinna się dziwić. Bunty wyraźnie dała jej do zrozumienia, że zakochała się w Jayu od pierwszego wejrzenia.

Ale Bunty była jeszcze taka młoda. Ledwie dziewczyna. A Jay potrzebował...

No właśnie. Kogo? Jej? Kobiety, która odrzuciła jego miłość i oskarżyła go o śmierć swojego męża i syna?

Zrezygnowana Amber powlokła się schodami do swojej sypialni.

Oczywiście wszyscy domownicy byli podekscytowani powrotem Jaya do domu, który chętnie odpowiadał przy śniadaniu na wszystkie pytania, ale Amber widziała po jego oczach, że nie ma specjalnie ochoty wracać pa mięcią do tych wspomnień.

W pewnym momencie Amber musiała wstać od stołu, tak silne od czuwała pragnienie, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć Jaya. Nakryć jego dłoń swoją, uchylić przed nim drzwi swojego serca i powiedzieć mu, jak bardzo go kocha. Jay został ranny w rękę podczas odwrotu. Rana była na tyle poważna, że uszkodziła ścięgna, co w rezultacie oznaczało - jak go uprze dzono - że może zostać uznany za niezdolnego do dalszej służby

Amber przeprosiła i wstała od stołu tak szybko, jak to było możliwe, zasłaniając się dokumentami, które musi przejrzyć, co częściowo było prawdą.

Godzinę później pracowała jeszcze w bibliotece, kiedy wszedł do niej Jay z posępnym wyrazem na twarzy.

- Przykro mi z powodu Grega. Tak wiele musiałaś przejść.

- Na pewno nie tyle, co ty - odpowiedziała Amber.

- Powinienem odwiedzić panią Jenkins i usprawiedliwić wczorajsze spóźnienie Bunty. Miałem szczęście, że akurat przejeżdżała w pobliżu, kiedy wyszedłem z dworca kolejowego i poznała mnie. Próbowałem się do was dodzwonić i uprzedzić o swoim powrocie. Ale nikt nie podnosił słuchawki. Pomyślałem więc, że zrobię sobie spacer.

- To znaczy, że nie umówiłeś się z Bunty na stacji?

- Dobry Boże, a po cóż miałbym to robić?

Spojrzeni po sobie. Amber nie pamiętała, kiedy odsunęła krzesło i po deszła do niego. Zarejestrowała tylko zaniepokojenie w głosie Jaya, kiedy wymówił jej imię.

- Jay, ja...

Przerwał im przeraźliwy dźwięk telefonu. Amber i Jay odwrócili się w stronę aparatu.

- Lepiej będzie, jeśli odbiorę - powiedziała. - Wszyscy są tutaj lekko głusi, nawet babcia, chociaż nigdy się do tego nie przyzna.

Ku zaskoczeniu Amber dzwoniła Cassandra, która pytała, czy są jakieś wieści o Jayu.

- Dzwonisz w samą porę. Jay wczoraj wrócił do domu. Amber podała słuchawkę Jayowi i szepnęła:

- To Cassandra.

Gdy Jay rozmawiał z kuzynką, Amber stała, wyglądając przez okno, i starała się zebrać rozsypane myśli. Jay i Bunty

- ten temat nie istniał. Jay nie kochał Bunty. Jay...

- Muszę jechać do Fitton. Amber spojrzała na niego.

- Chodzi o mojego dziadka. Chyba nie czuje się najlepiej. Jest z nim doktor Brookes.

- Zawiozę cię - zaproponowała.

- Amber?

- Tak?

- Wiem, że to nie jest odpowiedni moment. Ale muszę ci o czymś powiedzieć. Dużo myślałem o tobie i o nas, kiedy... zastanawiałem się, czy w ogóle wrócę do domu.

- Ja też myślałam o tobie.

W jakiś sposób ich dłonie zetknęły się, a palce splotły ze sobą. Serce Amber nie biło. Ono waliło jak opętane. Z najwyższym trudem łapała oddech, jakby w powietrzu zabrakło nagle tlenu.

A potem znalazła się w jego ramionach, wdychając jego ukochany zapach. Przywarła do niego i zaczęli się całować.

Z pasją, głodnie i chciwie, tak gdyby liczyła się tylko ta chwila - nikt i nic innego.

Jay pierwszy przerwał ten namiętny pocałunek. Delikatnie odsunął Amber od siebie, ale trzymał ją nadal w ramionach. A ona drżała z emocji.

- Musisz jechać do Fitton - przypomniała mu.

- Wiem.

Żadne z nich nie ruszyło się nawet na krok.

- Skorzystałem z twojej mapy.

- Naprawdę?

- Ocaliła mi życie, dała nadzieję i cel w życiu. Ponieważ wiedziałem że dostałem ją od ciebie. Kocham cię, Amber.

- Ja też cię kocham.

To była prawda. Ale w głosie Amber zabrzmiał smutek wywołany |ci przeszłością.

Po drodze do Fitton Amber i Jay wymieniali jedynie zdawkowe komenta rze na temat domu i fabryki. Rozumieli się tak jak dawniej, niepotrzebni więc były wyczerpujące wyjaśnienia.

- Wracam do domu - powiedziała Amber, kiedy wysadziła Jaya przed Fitton Hall. - Zadzwoń, kiedy będziesz chciał wrócić.

- Nie wiem, po co Jay tak pognał do Fitton Hall? Tylko po to, żeby zoba czyć się z Barrantem? - spytała cierpko Blanche.

Delikatnie mówiąc, nie była zachwycona, kiedy się o tym dowiedziała

- Babciu, dziadek Jaya źle się czuje - wyjaśniła jej spokojnie Amber. To normalne, że chce się z nim zobaczyć.

- Czyżby? Barrant nigdy zbyt wiele dla niego nie zrobił. Co konkretnie powiedziała Cassandra?

- Powiedziała, że posłała po doktora Brookesa.

- Za bardzo się nad nim rozczuła. Barrant przeżyje nas wszystkich, jeszcze wspomnisz moje słowa.

Amber cały dzień spędziła w domu. Czekwała na telefon od Jaya, a kie dy nie zadzwonił do dziesiątej wieczorem, uznała, że postanowił zostać na noc w Fitton Hall. Miała właśnie zamknąć dom na noc, gdy drzwi ku chenue otworzyły się i stanął w nich Jay.

- Mogłeś zadzwonić... - chciała go delikatnie skarcić, ale kiedy spojrzała na Jaya, już wiedziała. - Twój dziadek...

- Odszedł w pokoju. Myślę, że był na to przygotowany. Doktor Brookes stwierdził, że dziadek czekał tylko na mnie. Byłem z nim do samego końca. Tylko on i ja.

Jay odsunął krzesło stojące przy stole i usiadł na nim.

- Przekazał mi wiadomość dla twojej babci.

- Co takiego?

Powiedział mi, że się kochali. Czy raczej to ona kochała jego. Z tego co powiedział, wynikało, że dopiero później zdał sobie sprawę z tego, co czuje do niego Blanche. Kiedy było już za późno i oboje byli po ślubie.

- Babcia zawsze podkreślała, jak bardzo go nienawidzi. Ale to dla niej takie typowe. Och, Jay, to musi być straszne żyć tak długo w takiej goryczy i żalu.

- To prawda. - Jay wziął Amber za rękę. - Nie możemy pozwolić, żeby i nam się to przytrafiło. Wiem, jak się czujesz z powodu Roberta i Luca...

Amber położyła mu wolną dłoń na ustach.

- Kocham ich. Zawszę będę. Ale kocham też ciebie, Jay.

Tym razem ich pocałunek był delikatny, czuły i wyrażający pełne zaangażowanie.

- Chcę się z tobą ożenić, wiesz? - spytał Jay.

- Wiem.

- I to raczej wcześniej niż później. Ta wojna...

- Dobrze.

Kiedy Jay zamknął drzwi, weszli po schodach na górę, trzymając się za ręce. A gdy znaleźli się przed drzwiami jej sypialni i Jay chciał puścić jej rękę Amber przytrzymała ją kurczowo i potrzęsnęła głową.

- Chcę spędzić tę noc z tobą - powiedziała. - Pragnę twojej miłości,

Jay, i chcę ci dać moją.

Dopiero później, w nocnej ciszy poprzedzającej świt, Amber obróciła się w ramionach Jaya, podniosła głowę z jego piersi i spytała z ciekawością:

- Jaką wiadomość twój dziadek chciał przekazać mojej babci?

- Słucham? A tak. Powiedział: „Przekaż Blanche, że to ona miała rację, a ja się myliłem. I że ją przepraszam”.

- W czym miała rację? W tym, że powinni być razem?

- Nie wiem.

- Jay, nie wolno nam dopuścić, żeby spotkało nas to samo.

- Nie spotka - zapewnił ją. - Kiedy zapakowano mnie na pokład łodzi płynącej do Wielkiej Brytanii, przysiągłem sobie, że cię jakoś zdobędę,

a kiedy już mi się to uda, spędzę resztę życia, udowadniając ci, jak bardzo cię kocham.

- A więc Barrant nie żyje, tak? - Tak, babciu.

Oczywiście Blanche wiedziała - jak mogłaby nie wiedzieć? Wiedziała i sercem oraz myślami była przy nim. Czy czekali, żeby przeprowadzić go na drugą stronę, jej syn i jego syn - ich synowie?

Jak potoczyłoby się ich życie, gdyby nie powiedziała mu wtedy o Marcusie? Gdyby zwyczajnie pozwoliła mu uwierzyć - tak jak uwierzył w to świat - że jej syn poczęty w pierwszym roku małżeństwa był dzieckiem Henry ego Pickforda, a nie Barranta.

Czy to jej duma i pragnienie zemsty przyczyniły się do tego, że straciła ich obydwu, Marcusa i jego brata? Syna, którego nie wolno jej było ni gdy przytulić. Syna, którego zabrano jej zaraz po porodzie i oddano żonie Barranta, która przygarnęła go jak własne dziecko.

Blanche pamiętała, jaki Barrant był wściekły, gdy powiedziała mu o Marcusie i śmiała mu się w twarz, że nie ma dziedzica. Trzeba było oże nie się ze mną - szydziła z niego wtedy Ale tak naprawdę to szyderstwo było podszyte mściwością i goryczą, że Barrant ją odrzucił i że jej syn ni gdy nie będzie miał prawa do jego majątku i tytułu. Barrant przyciągał ją jak narkotyk - czy to mogło być przyczyną słabości Grega? Czy Blanche zaraziła go i sprawiła, że uzależnił się od rzeczy, które go zabiły - tak jak ona była uzależniona od gorzkiego pożądania, które czuła do Barranta? Nie mogła go zmusić, żeby się z nią ożenił, ale nie mogła też dać za wygraną. Dlatego została kochanką Barranta. Blanche celowo nie używała słowa „metresa", ponieważ oznaczało ono kobietę pozostającą na łasce mężczyzny i będącą opłacaną przez niego zabawką.

Łączyło ją z Barrantem obustronne pożądanie. Byli w tym sobie równi, nawet jeżeli on nigdy tego nie zaakceptował. Z jaką satysfakcją obserwowała zazdrość na twarzy Barranta, kiedy patrzył, jak Marcus rośnie i staje się takim synem, jakiego każdy mężczyzna pragnąłby mieć. Barrant miał same córki. Jaką radość sprawiało jej



sztywność i drwienie z Barranta, a potem wykorzystywanie tej furii i obracanie jego pragnienia w namiętność. Ich drugi syn został splodzony w takich właśnie okolicznościach. Ale tym razem nie była już w stanie zatuszować, że nie jest dzieckiem jej męża.

Henry Pickford nie mógł się z nią rozwieść. Blanche była właścicielką fabryki i miała go w garści. Ale Barrant i Henry wygzekwowali od niej straszliwą zapłatę w zamian za dalsze „powszechnie poważanie” wśród lokalnej społeczności.

Dziecko, którego Blanche nie zgodziła się usunąć, miało przyjść na świat w sekrecie, a następnie zostać przekazane Barrantowi, który wychowa je jak własne.

Jej drugi syn, spadkobierca Barranta, zajął miejsce, które prawowicie należało się jego starszemu bratu. I właśnie to dziecko było odpowiedzialne za śmierć jej pierwszorodnego syna i straciło życie razem z nim, walcząc w tej samej wojnie.

Marcus nigdy nie powinien był zaciągać się do wojska. Nie było takiej potrzeby Blanche powiedziała mu to, błagając, żeby nie jechał na front. Ale Marcus miał silną wolę swojego ojca i jego pełną upór dumę. Nie chciał, żeby nazywano go tchórzem. A już na pewno żeby takie słowa nie padły z ust tego aroganckiego głupca, syna Barranta de Vries.

Razem pojechali na wojnę, razem walczyli i zginęli ramię w ramię. Marcus - jej syn. Jej najcenniejszy, wspaniały chłopiec, który miał wszelkie zadatki na bycie wielką indywidualnością - i na karierę polityczną, która dla Grega oznaczała pokonanie zbyt wysokich progów, a z czym Marcus poradziłby sobie bez najmniejszego problemu. Był wspaniałym mówcą posiadającym dar rozumienia potrzeb innych ludzi. I dużo lepszym mężczyzną niż jego ojciec. Jej syn.

Marcus oddał życie na próżno. Poświęcił je, żeby ratować swojego rannego brata. Gdy Barrant się o tym dowiedział, jego twarz była szara jak popiół.

Ależ go wtedy nienawidziła. I ta nienawiść towarzyszyła jej aż do dzisiaj. Barrant odrzucił jej miłość, odebrał jej syna, a potem pozwolił obydwu swoim synom umrzeć, choć wystarczyłoby jedno jego słowo, żeby zostali w domu.

Teraz do nich dołączył.

Blanche zawsze wierzyła, że pierwsza ich zobaczy, by móc im pow., dzieć, jak bardzo ich kocha.

Z jaką zazdrością patrzyła, jak rośnie jego spadkobierca. I jak bardzo go to bawiło. Przypomniała sobie, z jakim okrucieństwem wymalowany., na twarzy Barrant wyjął dziecko podczas chrztu z rąk opiekunki i dał je potrzymać Blanche. Do dzisiaj pamięta bicie swojego serca, ściśniętego mocno pod suknią, i mleko napływające jej do piersi na samą myśl o tym, że trzyma na rękach swojego syna.

Czy to było tylko czyste okrucieństwo, czy może Barrant chciał po prostu, by przez moment potrzymała syna, tak żeby mógł ją zobaczyć w tej roli?

Skąd jej to przyszło do głowy? I dlaczego czuła teraz spokój i spełnienie zamiast tak dobrze znanego uczucia goryczy, które zawsze towarzyszy ło myślom o utraconych dzieciach?

Barrant i jego synowie. Razem. Czekający teraz na nią.

## Epilog

W rocznicę śmierci Roberta i Luca w Osterby odprawiono nabożeństwo żałobne.

Miesiąc później Amber i Jay pobrali się. Wielka Brytania świętowała w tym czasie zwycięstwo RAF-u w bitwie o Anglię.

Amber powiedziała swojemu świeżo poślubionemu mężowi:

- To już chyba taka tradycja, że zawsze wydają na świat dzieci po ośmiu, zamiast po dziewięciu miesiącach.

Minęło kilka sekund, zanim Jay zorientował się, co Amber miała na myśli. Dopiero wtedy uściskał ją mocno i pocałował.

- Oczywiście jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby mieć całkowitą pewność ostrzegła go - ale wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że jestem

w ciąży

Świadomość, że urodzi dziecko Jaya, napawała Amber radością. Wiedziała, że to dość nierozsądne, ale w jakimś sensie czuła, iż ta ciąża jest dowodem błogosławieństwa, jakiego Robert i Luc z za grobu udzielili ich miłości.

Robert i Luc. Na zawsze pozostaną w jej myślach i sercu. Z pomocą Jaya będą obecni w ich wspólnym życiu. Staną się częścią przyszłości i miłości, jaką Amber czuje do Jaya - tak jak niegdyś do Roberta.

Przyszłość. Amber położyła dłoń na brzuchu i uśmiechnęła się.

„Przytyw i odpływ...”. Uchwyciła się swojej fali i dała się jej ponieść do bezpiecznego portu, jakim była miłość Jaya.

Niczym kokon jedwabnika ich wzajemna miłość do siebie i swoich dzieci zwiąże ich na zawsze. I sprawi, że będą bezpieczni.